

Stanisława Fleszarowa-Muskat

Pasje i uspokojenia..

W roku 1983 polska kinematografia nie była reprezentowana na festiwalu filmowym w Cannes - powieść jest fikcją literacką, jedynie czas i świat są w niej prawdziwe.

PASJE I USPOKOJENIA W roku 1983 polska kinematografia nie była reprezentowana na festiwalu filmowym w Cannes - powieść jest fikcją literacką, jedynie czas i świat są w niej prawdziwe.

Przeczytajmy to jeszcze raz Woficynie POLNORD - Wydawnictwo OSKAR ukazały się następujące książki Stanisławy Fleszarowej-Muskat Łza Lato nagich dziewcząt Wczesną jesienią w Złotych Piaskach Zatoka śpiewających traw Pasje i uspokojenia Most nad rwącą rzeką Milionerzy Kochankowie róży wiatrów Dwie ścieżki czasu Stangret jaśnie pani Pod jednym dachem, pod jednym niebem Szukając gdzie indziej Powrót do miejsc nieobecnych Tak trzymać Wiatr od lądu Brzeg Niepokonani, niepokorni Czterech mężczyzn na brzegu lasu Nie wracają na obiad Czarny warkocz Noc pod Alpami Piękna pokora Złoto nie złoto Pozwólcie nam krzyknąć Przerwa na życie Wizyta Dla dzieci i młodzieży: Wycieczka - ucieczka Portret dziewczyny na zielonym tle Papuga pana profesora Wznowienia 2002 roku: Zatoka śpiewających traw Wczesną jesienią w Złotych Piaskach Pasje i uspokojenia Szukając gdzie indziej STANISŁAWA FLESZAROWA-MIWTPASJE I USPOKOJENIA

^ y -0- tMwmi -i1--9 2nn9 "ł" ^?

"" \_".  
i ^m -03- O 8.

Opracowanie graficzne ZYGMUNT GORNOWICZ 3005 Copyright by Fundacja im. Stanisławy Fleszarowej-Muskat Sopot 2002 ISBN 83-86181-00-1 POLNORD - Wydawnictwo OSKAR, Gdańsk 2002 Akc.

/"-.

--'?Cy .

- - -; Niemiała już pieniędzy, do pierwszego pozostało jeszcze kilka dni, a honorarium za film dawno się rozszedło, dzień był brudny jak ścierka od podłogi, Sebastian nie chciał jeść kaszki, jego wyprane wczoraj rajtuzy nie wyschły jeszcze i trzeba by je dosuszyć żelazkiem, życie trzymało się tylko na obowiązkach, pusta torba zawieszona na gwoździu, Anno - mówi do siebie - nie rozklejaj się, masz dom, męża, dziecko, powinnaś być szczęśliwa jak miliony kobiet zagonionych od świtu do nocy niczym zdyszane psy, szczęście wymaga od kobiety wysiłku, o tym powinnaś wiedzieć nie tylko z ról, które grałaś, z życia powinnaś tym wiedzieć, z życia, wystarczy rozejrzeć się wokoło, żeby.

żeby co?

Żeby nic, dlaczego ten Paragraf tak długo siedzi w łazience, niechby przynajmniej podał jej przez drzwi te niedosuszone rajtuzy Sebastiana, ale sam na to nie wpadnie, on nigdy sam na nic nie wpada, doskonałość, jaką mówił sobie, czyni go uodpornionym na drobniactwa życia, kiedy właściwie przestała go kochać, między dwudziestym a trzydziстым któregoś miesiąca, teraz wiele małżeństw przechodzi kryzysy te kalendaryzacji porze, dawniej otworzyłyby drzwi do łazienki i przytuliła twarz do jego mokrych pleców, ściągając równocześnie rajtuzy ze sznurka nad wanną, on powiedziałby: wariatka, śmiało b się do szczęśliwie; ale onanie otworzy drzwi do łazienki i nie przytuli twarz do jego pleców, ma zato ochotę trzepnąć w kark Sebastiana, który gmerze łyżką w wystygłej kaszce, rozpryskując ją wokół talerza.

- Zabiję cię - mówi, a głos ten chowała w sobie od chwili, kiedy zamarzyło jej się, że zagra kiedyś Lady Makbet - zabiję cię, jeśli zaraz nie zjesz kaszki.

- Zabij!

- śmieje się Sebastian, nareszcie czymś rozbawiony tego ponurego ranka.

Ma trochę wdzięku to dziecko świetniezapowiadającej się aktorki i równie świetnie, co beznadziejnie, jeśli chodzi o finansowe perspektywy, zapowiadającego się prawnika, ale Annanie pozwala sobie na wzruszenie, na wzruszenie trzeba mieć czas, a te trzy godziny, które dzielają od chwili, kiedy zjawisię w teatrze z zawodowo rozpromienioną twarzą, te trzy godziny mają sto osiemdziesiąt sześć przyspieszonych minut, rozkradzionych przez zakupy w najbliższych sklepach, najkonieczniejsze zajęcia domowe, jazdę tramwajem do przedszkola i jazdę autobusem do teatru, nie mawiając mowy o żądnych wzruszeniach, zamiast pocałować Sebastiana, Anna wali pięścią w drzwi łazienki.

- Śpisz tam?

Szymon (Paragrafem zaczęła gonażywać w myślach chybatą kżemiedzy dwudziestym a trzydziestym któregoś miesiąca) z ręcznikiem na szyi staje na progu.

- Przecież musiałem się ogolić!

- Mógłbyś chociaż raz odwiedzić Sebastiana do przedszkola.

- Wiesz, jak chodzą tramwaje.

Nie mogę spóźnić się do sądu.

A jado teatru mogę?

- Chce krzyknąć Anna, ale powstrzymujesz się.

Tak, Paragraf do sądu spóźnić się nie może, zawałiłoby się coś i pękło.

Paragraf mógłby się spóźnić do sądu tylko w wypadku końca świata.

W Annie wzbiera wściekłość za lekceważenie jej zawodu, za lekceważenie tego wszystkiego, co dotąd uważała za najważniejsze, zanim pozwoliła sobie tak bardzo zakłócić życie.

Ale nie powie nic, bo kłótnieco najwyżej zabierają czas, i niczego nie mogą zmienić, trzeba milczeć i przywoływać na pomoc pamięć tych dni, kiedy wysoki, młody człowiek (nie wiadomo dlaczego wydał jej się całkiem nadzwyczajny), kiedy ten wysoki, młody człowiek czekał na nią przed teatrem i milcząco wręczał jej mały bukiet, żeby potem zaraz odejść, uciec, wtopić się w tłum.

i tonie on, ale ona przemówiła pierwsza, więc właściwie sama ponosi odpowiedzialność za cały dalszy ciąg, za kilka kawałków zamykanych już o tej późnej porze w kawiarenkach, za kilka pocałunków w windzie i za tę pierwszą noc, po której - jak myślała - miał zostać niej czegoś jej powrót po próbie w teatrze.

Ale zerwał się od razu, kiedy mu to tylko zaproponowała.

- Odsamegoranamam rozprawę.

- Co..

masz?

- Wyjąkała.

- Rozprawę.

- Jak.

mam to rozumieć?

- Zwyczajnie.

Mam rozprawę w sądzie.

- Musisz przyznać - zaczęła ostrożnie - że wykazałam dużo taktu, nie pytając cię dotąd, kim jesteś.

- Jestem sędzią.

Przypatrywała mu się długo, jakby dopiero teraz nadarzyła jej się ku temu okazja.

- Nie.

- roześmiała się.

- Co w tym śmiesznego?

- Właściwie wiem, przepraszam.

Nigdy w życiu nie widziałam żywego sędziego.

Mąż ciotki mojej matki był przed wojną sędzią sądu okręgowego w Czortkowie.

Kłaniało mu się całe miasto.

- Ja jestem sędzią sądu wojewódzkiego, ale w tym mieście nikt mi się z tego powodu nie kłania.

- Dlaczego?

- Takie czasy.

Wiedziała więc, naco się decyduje, zostając drugą sędzią w rodzinie, co prawda rzeczywiście w zupełnie innych czasach.

Początkowo ją to bawiło, a także dostarczało pewnej satysfakcji, że wyszła za któregoś lekkoduchów czy taniutkich cwaniaczków, którzy wciąż kręcili się koło niej, ale oceniła, że zdobyła się na ocenę wartości, które - tak nieefektywnie, niestety - reprezentował Szymon.

Później życie gromadziło refleksje.

Och, do diabła, z refleksjami!

- Nie grzeszymy - powiedziała na głos.

- A grzeszymy?

- Szymon wrzucił ręcznik do łazienki, nałósł sobie herbaty, myślał już zapewne o stosach zakurzonych sądowych akt i nie uczestniczył pełnią uwagi w rozmowie.

- Powiedzmy, że ja - ucięła.

Chwyciła siatkę i portmonetkę.

- Przypilnuj, żeby Sebastian zjadł do końca kaszkę, skoczę do sklepu.

Zawsze, gdy pojawiała się na ulicy, doświadczała uczucia wywoływanej swoją osobą sensacji. Sprawiało jej to nawet trochę przyjemności, sława - choćby tylko nadwiślańska - dodaje nieco pewności siebie, mało jednak, niestety, z niej wynika.

Kolejką w sklepie zaszemrała wprawdzie najejwidok, nikt jednak nie rzucił się ku niej, nie po autograf oczywiście, co by było żałościemieszne w tych okolicznościach, ale żeby jej zaproponować swoje miejsce bliżej lady.

Tylko jakiś chwiejny pijaczek zawołał na cały sklep: - Przepuście panią artystkę!

- A gdy nikt się nie ruszył w kolejce, a Anna nie wiedziała, gdzie podziać oczy - zapiał ławo: - Po rękach powinny panią całować, a nie pchać się przed panią ze swoimi tyłkami.

- Jeśli nikt się nie sprzeciwi - ekspedientka za ladą uniosła się na palcach - obsłuży panią pozakolejnością.

- Nie, nie!

- zaprotestowała Anna.

- Dziękuję.

Mam dużo czasu.

- Co się stało?

- spytał Szymon, gdy wróciła do domu.

Stał już w płaszczu przy drzwiach, ale jednak dostrzegł wypieki na jej twarzy.

- Nic.

Tylko jutro ty pójdziesz po zakupy.

Nikt cię nie zna, co najwyżej spotkasz jakiegoś byłego klienta, który wymyśla kolejkę, że nie chce cię przepuścić do przodu.

- Haniu.

- zaczął Szymon niewiedomo dlaczego przeprasza ją.

(Za co?)

Za siebie?

Za świat, w którym żyli?

)- Spóźnisz się do sądu!

- krzyknęła.

Wyszedł cicho idopiero, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi od windy, zrobiło się jej go żal.

- Zjadłem kaszkę!

-obwieszcza triumfalnie Sebastian i Anna obdarza go mocnym całusem, nie zdając sobie sprawy, że przeznaczony jest on dla Szymona, któremu otowłaśnie zepsuła dzień który nigdy się nie dowie, że pod swoją nieobecność została przeproszona.

Ubieranie Sebastiana jest jedną z nielicznych okazji rozmowy z synem.

Kiedy Anna przychodzi wieczorem z teatru, Sebastian już śpi, a popołudniowy powrót z przedszkola odbywa się zawsze w nerwowym pośpiechu, żeby zdążyć odstawić go do domu i nacieszyć się przed przedstawieniem w garderobie.

Sebastian bardzo sobie ceni te poranne chwile, niekiedy Anna odnosi wrażenie, jakby pragnął wyrazić jej nie wdzięczność, igdyby tylko miał czas na wzruszenie.

Pomyliły ci się guziki - mówi jednak miękko, zamiast trzepnąć go po łapach niezdarnie zapinających bluzkę.

- Pani w przedszkolu sama zapina guziki!

- Sebastian lubi chwalić się względami, jakimi darzą go w przedszkolu skokietowane przez niego panie.

Anna zdaje sobie sprawę, że to nie jej, pożałuj Boże, sława - ale urok Sebastiana sprawia, że wszystko łączy się z nim.

- Pani ciężko rozpieszcza - mówi prawie groźnie.

- Ty nie możesz?

- pyta ciutko Sebastian.

- Czego ja nie mogę.

- Rozpieszcza cię!

- Sebastian unosi swoje długie rzęsy i patrzy nanią fiołkowym spojrzeniem Liz Taylor.

Najbardziej dumiewające jest to, że teoczy topo Paragrafie; trzeba dopiero patrzeć się w szkła okularów Szymona, żeby to stwierdzić.

- Nie mogę cię rozpieszczać - mówi Anna tym samym prawie groźnym tonem, choć znów walczy ze wzruszeniem, na które wciąż nie ma, naprawdę nie ma czasu - nie mogę cię rozpieszczać, bo ktoś wreszcie musi cię nauczyć zapinania guzików.

Wiesz, co by się stało z ludźmi, gdyby się nawzajem rozpieszczali?

- Co?

- pyta natychmiast Sebastian.

- No.

niedobrze by było.

- Fajnie by było!

- wykrzykuje Sebastian, usiłując wciągnąć prawy bucik na lewą nogę.

- Bardzo fajnie by było!

- Nie wiem, czy tak fajnie.

- Anna rezygnuje z dydaktyki, pośpiesznie kończy ubierać Sebastiana, szciotkuje mu włosy, kręcąc w koło, żeby obejrzeć go z każdej strony, a kiedy maszerują już oboje do tramwaju, wie, że z żadnym mężczyzną nie jest jej tak do twarzy, jak z tym właśnie, sięgającym jej do łokcia, bardzo poważnie kroczącym przy jej boku w granatowej dżokejce na złotych puklach, kraciastej kurtce i przykrótkich juźneco bryczesach.

- Odzieżą znajdziesz cię spodnie?

- mruczy.

- Spodnie się kupuje - poprawia Sebastian.

- No właśnie.

Ale przedtem trzeba je znaleźć.

- Będziemy chodzić po sklepach?

- Tak, w poniedziałek.

- I pójdziemy na lody do Texu?

- Do Hortexu.

Pójdziemy, jeśli będzie pogoda i nie będzie śmiać chrypki.

- Na pewno nie będę miał chrypki - żarliwie przyrzeka Sebastian.

Uwielbia poniedziałki, kiedy Anna ma wolny dzień w teatrze, wcześniej odbiera go z przedszkola i chodzą razem po mieście.

Czasem Szymon dopuszczony jest do tego rodzinnego święta i Anna doświadcza uczucia, tak podnoszącego na duchu wszystkie kobiety świata, że oto jest jak inne, ma męża i dziecko, zaraz wrócić do domu pod lampę nad okrągłym stołem, otworzyć telewizor, nastawi wodę na herbatę.

Ale przecież tyle lat nauki włożyła w to, żeby właśnie nie być jak inne!

Żeby się czymś wyróżniać, wybijać, wystawać ponad przeciętność.

Czy teraz nie czekała na cud, który miał się przydarzyć tylko jej, a nie wszystkim paniom, które ciągnęły swoje pociechy do przedszkola?

Bardzo trudno było pogodzić owe przeciwstawne pragnienia.

Anna od dawna tym wie i w bezustannej panice pozwala tym dwóm kobietom, z których się składa, okradać się wzajemnie.

Myślała, na którąś z nich, przypomina jej o lekcji francuskiego zaraz po próbie u czarującej, ale mieszkającej daleko od teatru, przedszkola i domu, madame Yalentine.

Tę godzinę, z trudem wciśniętą w przepełniony program dnia, uskrzydla jednak tylenadziei, że Anna z radością godzi się na wysiłek podróży w komunikacji miejską w popołudniowej godzinie szczytu.

Teraz na szczęście, gdy we wszystkich fabrykach i biurach zaczęła się już praca, w tramwaju jest zupełnie luźno i Sebastian odrazu znajduje miejsce siedzące dla siebie i dla niej.

Kiedy będzie poniedziałek?

- pyta.

Już niedługo.

Za trzy dni.

- Nie można w czymś pokręcić, żeby było prędzej?

W czym pokręcić?

W zegarku można nastawić jedną godzinę naprzód - przypomina się Sebastianowi zapowiadana w telewizji zmiana czasu letniego.

- Nie można w niczym pokręcić - uśmiecha się Anna - żeby prędzej był poniedziałek.

- Szkoda!

- Sebastian smutnieje.

Ale zaraz zajmuje go zawartość siatki kobiety w czerwonym berecie, siedzącej naprzeciwko.

Wśród obfitej zieleni porów dostrzegając rzodkiewki.

Przytula się do matki i szepcze cichutko, żeby tamta pani nie słyszała: 10- Kupisz mi?

- Kupię.

Dostaniesz na kolację.

- Jakie uroczdziecko!

- kobieta, która oczywiście wszystkim słyszy, stara się tym komplementem zastąpić poczęstowanie Sebastiana rzodkiewką, na ców pierwszym odruchu może miała ochotę.

- Uroczdziecko!

- powtarza.

- A pani przypomina mi Annę Turoń.

Nikt pani tego nie mówił?

- Nie - zaprzecza Anna.

- Byłam na tym filmie.

zaraz.

jaki tytuł.

Annamilczy, patrząc przez okno na poranne ulice.

- Aha.

"Zdobycie świata".

Co to za tytuły teraz wymyślają.

"Zdobycie świata"!

Człowiek zadowolony, jak zdobędzie kawałek mięsa albo kilometrów.

Ale film mi się podobał.

Ona taka śliczna i smutna, a on.

- Nie chodzę do kina.

- Nie?

Powinna pani pójść.

Spłakałam się jak bóbr, kiedy on się rozstawał.

Człowiek tak głupi, wie, że to na niby, a jednak płacze.

Ale to przyjemnie popłakać sobie w kinie albo w teatrze.

- Nie chodzę do kina ani do teatru.

Anna chwyci Sebastiana za rękę i ciągnie go do wyjścia z tramwaju.

- Przecież ty chodzisz do teatru - woła Sebastian, który ma straszne przyzwyczajenie prostowania wszystkich kłamek starszych.

- Pracuję w teatrze, a więc dlatego nie chodzę do teatru - wyjaśnia Anna, choć wie, że Sebastian nie może tego zrozumieć.

Od przystanku do przedszkola jest już niedaleko.

Niestety, podrozie jest kilka sklepów, o których Sebastian wie, że sprzedają w nich cukierki.

- Nie mamy już kartek?

pyta z intonacją nadziei.

- Wiesz dobrze, że nie.

- A kiedy będą nowe?

- Zaraz po poniedziałku.

Może już w ogóle nie będzie kartek.

Sebastiana ogarnia przerażenie.

- To już nie będą dawać cukierków?

- Przeciwnie - śmieje się Anna.

Każdy będzie mógł sobie kupić, ile zechce.

11. Sebastian milnie; nie bardzo może sobie coś takiego wyobrazić.

Od kiedy zaczął się sprzedawać cukierki, zawsze były na kartki.

- Może już w ogóle nie będzie kartek - powtarza Anna, a sklep z nabiałem, który mijają, załadowany masłem, serami, mlekiem i śmietaną, sklep bez żadnej kolejki - jest najprzyjemniejszym widokiem tego ranka.

Może to się jakoś ułoży, myśli Anna, poprawi i naprawi, może ludzie zwrócą się ku sprawom możliwym do rozwiązania, może wreszcie zaczną ułatwiać sobie życie.

We wszystkich zawiłościach świata jest jednak miejsce na dobrą wolę, szkoda, że nie istnieją komputery, któreby mogły obliczać płynące z niej korzyści.

- Przyjdiesz po mnie punktualnie?

- pyta Sebastian, gdy zbliżają się do drzwi przedszkola.

- Oczywiście.

Może nawet trochę wcześniej.

- Trochę wcześniej?

- powtarza Sebastian z zachwytem.

Wciąż trzyma ją za rękę, choć mógłby już pójść ku wejściu, nawet młodsze dzieci wykazują tę cieszącą je samodzielność.

Ale Sebastian kilka dni temu przeżył bolesne prawie godzinne spóźnienie matki i odtąd co dnia odbiera od niej przyrzeczenie, że to się więcej nie powtórzy.

- Na pewno trochę wcześniej- powtarza Anna.

Czeka jeszcze, aż za Sebastianem zamkną się drzwi, powinna wejść za nim do środka, ale panie przedszkolanki zwykły zatrzymywać ją rozmową, a nie ma na to czasu, pozwala sobie na ten luksus tylko w poniedziałek, teraz musi jej wystarczyć pewność, że Sebastian po drugiej stronie drzwi jest już bezpieczny i pod dobrą opieką.

Aniołami wydają się kobiety, które na kilkadziesiąt godzin dziennie zdejmują nie ten ciężar, i jak Koszmar wspomina okres, kiedy Sebastian był jeszcze za mały, żeby go oddać do przedszkola; opiekowały się nim różne panie z ogłoszenia, co do których nigdy nie można było mieć pewności, czy im się ten obowiązek nagle nie sprzyrzy.

Może powinna w tamtych latach wziąć trzyletni urlop wychowawczy, ale miała akurat dobre role w teatrze, wiele propozycji w telewizji, no i wreszcie zagrała w filmie, dzięki któremu czekała teraz na ów cud, jaki miała się zdarzyć właśnie tej wiosny.

Anna oddała od siebie poczucie winy wobec Sebastiana, przecież kiedyś mu to wszystko wynagrodzi, na pewno mu to wynagrodzi, nie należy trapić się tym akurat dziś, kiedy słońce zaczyna wreszcie pokazywać się zza chmur, a nieśmiała zieleni drzew nabiera soczystej barwy.

Anna poprawia włosy, wydłuża krok, lekko skakuje do autobusu i bez przykrości przyjmuje fakt, że wszyscy na nią patrzą.

Jakiś szarmancki starszy pan ustępuje jej miejsca, dziękuje mu najpiękniejszym uśmiechem (bądź miał staruszeko czym opowiadać w Kole Emerytów).

Wewnątrz rozpozna wisiadła na przystanku w pobliżu teatru, wpadając od razu w ramiona Marka Sarpowicza, który najwidoczniej tu na nią czekał. W Annie zamiera serce. Marek był jej partnerem w "Zdobyciu świata".

Kręcił właśnie następny film z tym samym reżyserem, cudownym i w ich przekonaniu najznakomitszym Wojtaszkiem Tarła, który miał być głównym adresatem cudu, na jaki wrażliwą całą ekipą czekali.

Jeśli więc Marek zjawił się teraz, żeby złapać ją przed próbą, to chyba miał już jakieś wiadomości.

Anna wpatruje się w jego twarz roziskrzonymi oczyma.

- Wiesz już coś?

Zdumiony Marek cofa się krok.

- Co.

Co mam wiedzieć?

- Ana co czekamy?

- Ach, o to ci chodzi- uśmiecha się Marek z zakłopotaniem.

- Nic jeszcze nie wiem.

Annaczuje się nakłutym szpilką balonikiem, z którego uchodzi cała napętniająca gorącość.

Opanowuj się z trudem.

- Przecież Wojtaszek miał być w ministerstwie.

- I był.

Ale niczego się nie dowiedział.

Niema decyzji.

- Niema decyzji.

- szepcze Anna i gotowa jest uderzyć Marka w ten kudłaty łeb, który tak podoba się paniom.

- Dlaczego wobec tego.

Dlaczego na mnie tu czekałeś?

Marek milczy skubiąc brodę; tyle razy kłufa Annę podczas pocałunków na planie, ale nie pozostawił to w niej żadnych podniecających wspomnień.

- Dlaczego?

- krzyczy.

- Elżbieta mnie przysłała, żeby złapał cię przed próbą.

- Elżbieta?

- Tak.

Sądziła, że pamiętasz jeszcze, jak to było z Sebastianem.

Mamy kłopoty z Magdusią.

Od wczoraj rana.

wiesz, anirazu.

Czy półrocznym dzieciom się to zdarza.

- Co.

czy zdarza się półrocznym dzieciom.

13.- Takie hamowania.

Od wczoraj rana.

odwczoraj rana.

- ...

nie zrobiła kupki, tak?

- Właśnie, o to chodzi.

- Mój biedaku!

- Anna wsuwa dłoń pod ramię Marka i zabiera go z przystanku, gdzie już zaczynał się wokół nich gromadzić zaciekawiony tłumek.

Strapiona twarz Marka nie powinna budzić w niej wesołości, ale jednak nie może powstrzymać się od śmiechu, wciąga Marka w najbliższą bramę i usiłuje go także rozbawić.

- O czym my mówimy, Marek?

Gdyby ci ludzie to słyszeli.

- Co w tym śmiesznego?

- Co najmniej pół Polski uważa naszą kochankę także i poza filmem.

A ty czekasz na przystanku, żeby mi powiedzieć, że Magdusia odwczoraj nie zrobiła kupki.

- Elżbieta sądziła, że może coś poradysz.

Czy Sebastian.

- Sebastian oddawał się tej czynności z prawdziwym entuzjazmem!

- Anna wciąż może pohamować wesołości, tarmosi Marka za poły wymiętej kurtki - i nagle robi jej się gozał.

Skapcał jakoś tym małżeństwie, gdzież to błyszcząca dawniej oko, ta postawa zdobywcy?

Nie przespane noce przytępiły jego twarz, ciężyła sennością, upodabiając go do innych młodych chłopców, snujących się półprzytomnie po kraju, który zawsze w trudnych latach fundował sobie wyż demograficzny, zadziwiający świat.

- Słuchaj!

- mówi cicho - czy nie masz wątpliwości.

- O czym myślisz?

- przytomnie na chwilę Marek.

- O tym trudzie, który kobiety i mężczyźni w naszym wieku wkładają w utrzymywanie swoich rodzin.

Dla jakiego świata spłodziliście nasze dzieci?

- Nie dążyłem świadomie do ojcostwa.

- Wypadek przy pracy, tak?

- Coś w tym rodzaju.

- Marek nie rozśmiesza popularne powiedzenie.

- Wojny zawsze groziły światu, a mimo to ludzie się rodzą.

- Masz na myśli te poczciwe wojny, o których uczyliśmy się podczas lekcji historii?

- Najpoczciwsza będzie ta, która wcale nie wybuchnie, nastraszoną samą sobą.

- Daj Boże!



- szepcze Annaz żarliwie zgodliwą chęcią uwierzenia w słowa Marka.

-A Elżbiecie powiedz, żeby zaparzyła rumianku.

Jeśli nie pomoże, niech się zgłosi z Magdusia w przychodni.

- A nie mogłabyś jednak wpaść po próbie?

-Mam akurat francuski zmadame Yalentine.

- Ty jednak jesteś wariatka!

-mruczy Marek.

- Dlaczego?

-Anna wyprowadza go z bramy i wyciąga rękę na pożegnanie.

- Naprawdę wierzysz, że coś takiego mogłoby się wydarzyć?

-Jestem tego pewna.

- Wariatka!

-mruczy wciąż Marek.

Wariatka!

-Tylko podkręcaj Wojtaszka, żeby energiczniej chodził koło sprawy.

-Nie wszyscy artyści mają siłę przebicia.

- Niestety.

I wciąż na takich trafiam.

Rozstawszy się z Markiem, Anna musi popracować nad sobą, nad wyrazem oczu i ust, żeby nikt w teatrze nie mógł domyśleć się o zczarowaniu, jakie spotkał ją przed chwilą.

Wkracza do małej sali, gdzie odbywają się czytane próby, swobodna i promienna, sama radości sukces; aktor musi grać także poza sceną.

Młody reżyser, pracujący gościnnie w teatrze, rozwdzi się nad różnymi wartościami zagranicznej sztuki, którą przedstawia aktorom.

Jak większość Polaków pokorny wobec obcych światłości, podchodzi do jej tekstu z żarliwie nabożną dobrą wolą.

Alenie udaje mu się zarazić nią słuchaczy, próba wlecze się sennie, ożywiana jedynie niezwiązanymi z nią szeptami, które młody reżyser karcie kokietujące zgorzonym spojrzeniem.

Bardzo pragnie pozyskać zespół, stać się "swoim chłopem" w tym gronie, a równocześnie pragnie od początku kariery roztaczać wokół siebie aurę Leona Schillera, nie wie, jak pogodzić z sobą dwa pragnienia; albo będąc lubić, albo podziwiać i szanować, myśli, czy istnieje trzecia możliwość w tym środowisku?

- Autor najwidoczniej nie znoś pań, nie napracował się nad damskimi rolami - mruczy siedząca obok Anny Ewa Zabiełło.

Nieuwikłana tak jak Anna w obowiązki rodzinne, młoda i pięknie zdrowa, awdatku nigdy niesyta demonstrowania swojej płci nasienie- pragnie grać, grać za wszelką cenę.

Niedobrze zemną- myśli Anna - mnie się już nie chce, a przynajmniej nie tak jak dawniej.

Starzeję się?

Boże drogi!

15. W dwudziestym ósmym roku życia?

Trzebami czegoś, co bym niewyrwało z otępiającego rytmu codzienności, ruszyło z miejsca, podbiło w górę, jeśli by nawet trzeba było potem spaść i połamać sobie gnaty.

To podłez mojej strony - myśli, wciąż nie mogą kupić się nad analizowanym tekstem, bardzo podłez wobec Sebastiana i wobec Paragrafa także, powinna żyć dla nich i zapomnieć o głupstwach, które chodzą jej po głowie.

Wojtaszek Tarło chybanaprawdę nie masiły przebicia i nie potrafi sprzedać filmu, który rzeczywiście musiał udać, a tym samym ten cud, choć mógłby się wydarzyć, niewydarzy się nigdy i można by już od dzisiaj dręczyć się tym szlifowaniem francuskiego u

madame Valentine, alenadzieja jest jedynym miłym uczuciem, które ożywia serce Anny, i niepozwoili jej sobie odebrać.

Aby ją umocnić, kupuje po wyjściu z teatru pięć bukietów fiołków dla madame Valentine i ufornowawszyz nich w autobusie grabną wiązaną, wręcza ją już na progu starszej pani.

- Są jakieś wiadomości?

- Wykrzykuje madame; wciągając do pokoju i sadowi w fotelu, spodziewając się długiej radosnej opowieści.

- Ach, nie - musi sprawić jej zawód Anna, ale stara się nadać mu jak najładniejszą formę - gdyby były jakieś wiadomości, dostałaby pani róże.

A te fiołki dlatego, że dzień niespodziewanie zrobił się taki piękny i że jestem w wyjątkowo dobrym nastroju.

- Zaraz wstawię je do wody - madame Valentine staje przed serwantką, gdzie trzyma swoją cenną porcelanę, i zastanawia się nad doborem odpowiedniego dla fiołków naczynia, po czym szurając nieco po podłodze futrzanymi bamboszkami na chudziutkich nóżkach udaje się do kuchni.

Ale powstrzymuje ją okrzyk Anny: - Czikuś!

- Czikuś zamknięty jest w łazience - uspokajają madame.

- Dziękuję.

Jakoż z łazienki wzdłuż szpary między drzwiami a podłogą rozlega się posapywanie Czikusia, oburzonego metodami, jakiegoś wobec niego stosuje tylko dlatego, że panie drżą swoje rajstopy.

Czikuś jest pięknym przedstawicielem niemodnej już - jak wszystkowokół madame Valentine - rasy pekińczyków.

Uwielbia swoją panią i nie znosi jej uczennic, choć - myśli Anna - powinien je lubić, choćby za to, że dla jakichś tam swoich nadziei uczył się języka, który przestał już obowiązywać w świecie.

- Co dziś czytamy?

- Pyta, gdy madame, postawiwszy naczynie z fiołkami na stoliku, sadowi się naprzeciwko niej w fotelu.

- Dzisiaj - madame Valentine poprawia białe loczki nadczołem mam dla pani prawdziwy rarytas.

- Rarytas?

- Coś z branży filmowej.

Pożyczyłam z empiiku "Paris Match".

Są recenzje filmowe, a nawet mała wzmianka o przygotowaniach do tegorocznego festiwalu w Cannes.

- Mój Boże!

- Wzdycha cichutko Anna.

Madame przechyla się nad stolikiem i lekkim muśnięciem palców dotyka jej głowy.

Milczą obie przez chwilę, a potem madame wzmożoną energią dla pokrycia wzruszenia rozkłada francuski tygodnik.

- Od czego zaczniemy?

- Od przygotowań do festiwalu w Cannes oczywiście.

Po wyjściu od madame Valentine Anna już się nie śpieszy.

Mapołowę dnia za sobą, a w tej drugiej połowie jest kilkadziesiąt minut dla niej samej, wchodzi więc do jakiegoś baru, zjada coś bardzo niesmacznego, żalując przy płaceniu rachunku, że nie zdecydowała się na zupę pierogi w barzemlecznym; w różnicy cen zmieściłyby się co najmniej trzy pęczki rzodkiewek dla Sebastiana.

Przypomniawszy sobie orzodkiewkach, kupuje je w najbliższym kiosku warzywnym, i nie może się oprzeć pokusie, żeby jednej z nich - bez mycia - nie schrupać.

Krótką myśl o Szymonie, że chyba ostatnio zmiżerniał, ale może i ona zmiżerniała, a jemu nie przychodzi na myśl zwrócić nato uwagi.

Jeśli tam pojedę, myśli Anna, a jest to myśl skierowaną w te najwyższe rejony nad światem, gdzie zapadają wszystkie decyzje, myśl-modlitwa, myśl-przyrzeczenie, jeśli tam pojedę, może jakoś lepiej się towszystko ułoży; wróci tamtąd przychylniejszemu muzykowi, bardziej nimpogodzona.

Może jednak jest coś warte, skoro nie zmarnowało jej do czasu swoim kierownictwem, skoro kura domowa nie zadziobała jeszcze aktorki.

Jest nią przez dwie godziny wieczorem w teatrze.

Alenię podnosząc to na duchu tak, jak tego oczekiwała.

17 Przedstawienie straciło jakby tempo, słowa - swój pełny sens.

Na nie wypełnionej publicznością salipuste krzesła wręcz dachy żółtą żałobą po dawnych stu procentowych frekwencjach.

"Gracie tak samo dla pięciu widzów, jak dla pełnej sali" - mawiał profesor w szkole, i Anna wierzyła w to zawsze.

Ale tego wieczoru przestała wierzyć.

Dzieje się ze mną coś niedobrego, myśli w popłochu między słowami wyuczonego tekstu sztuki.

Niechże prędzej ogłoszą tę decyzję i niech już będzie wiadomo, czy cud się ziścił, czy nie, zwariuję, jeśli to dłużej potrwa.

Och, spać!

- myśli.

Jak najprędzej znaleźć się w łóżku i spać!

- Weźmiemy taksówkę?

- pyta Ewka Zabiełło w garderobie po przedstawieniu.

Zmywają z twarzy sceniczny makijaż, spod którego zaczyna - kawałek po kawałku - wyzierać bladłość i chorośliwość, jakby naturalna i chorobliwa.

- Weźmiemy - godzi się Anna.

Mieszkają niedaleko siebie, i jeśli tylko na Ewkę nikt nie czeka, razem wracają do domu.

- Kiedy zreperujesz naszego malucha?

- Nie wiem.

Brakuje jakiejś ważnej części.

Paragraf oddawał go do warsztatu, a on w życiowych sprawach.

Ewka odwraca się kulej, lewe oko do białej sztucznej rzęsy i fioletowe cienie, prawe pozbawione tej oprawy wydaje się nagie i przeraźliwie smutne.

- Dlaczego mówisz wciąż o Szymonie - "Paragraf"?

Anna wzrusza ramionami.

- Sama nie wiem.

Prawe oko Ewki smutnieje jeszcze bardziej.

- Nierób tego.

Gdybym miała takiego męża, nie nazywałabym go Paragrafem.

Ale jak go tak nazywać, skoro - gdy tylko Anna zjawia się w drzwiach - nie pyta jej o przedstawienie czy osamopoczucie, ale od razu woła: - Minister zarządził rewizję nadzwyczajną! Rewizję nadzwyczajną wyroku w procesie zabójców taksówkarza z Otwocka.

Anna zrzuca przy progu obuwie w rajstopach wchodzi dopokoju, sprawdza, czy Sebastian śpi.

Nic jej nie obchodzi to, o czym mówi Szymon, ale pyta: - Mówili w dzienniku?

- Tak.

- Czy się przejmujesz?

To nie twój wyrok.

- Mój, czy nie mój, to bez znaczenia.

Sprawa dotyczy wszystkich sędziów.

Kara śmierci.

Anna idzie do kuchni, nalewa sobie zimnej herbaty.

- Znam dokładnie twój pogląd na karę śmierci.

Czy Sebastian wypił swój soczek?

- Tak.

Oczywiście.

Szymon przytomnie i jest przez chwilę wśród domowych spraw.

- Pytasz, jakbym kiedykolwiek zapomniałmu go dać.

- Ale dziś jesteś taki zaafierowany.

- Bo jest czym.

Rewizja została spowodowana protestem publiczności na sali po ogłoszeniu wyroku nie orzekającego kary śmierci.

- Sama bym protestowała, gdybym tam była.

Dwóch bezwartościowych dla społeczeństwa oprychów morduje człowieka.

- Ale zachowanie publiczności na sali ani listy protestacyjnej nie powinny podważać wyroku.

Anna tłumii ziewanie.

- Toteż Sąd Najwyższy rozpatrzy jeszcze raz sprawę.

Wyszkoliłem mnie już w tej procedurze sądowej.

- Usiłuje się śmiechnąć, ale nie bardzo jej się to udaje.

Och, Boże!

- myśli.

Spać.

Skończyć tę rozmowę, wskoczyć do łazienki, a potem podkołdrę i spać, spać!

Ale równocześnie przypomina jej się to, co powiedziała Ewka.

"Gdybym miała takiego męża.

" Nie powiedziałaby tego, gdyby to z nią wiódł podobne rozmowy.

Mógłby się zapytać, jak się udało przedstawić, czy były długie oklaski, czy też publiczność od razu rzuciła się doszatni.

Jego spektakle kończą się inaczej, nie oczekuje oklasków i nie przypuszcza, że komuś może nanich zależeć.

- Odrywa ci się guzik odpizamy - mówi.

- Jutro rano ci przyszyję.

Teraz za bardzo chce mi się spać.

- Wyobrażam sobie, co się jutro będzie działo w sądzie - ciągnięcie zrażony Szymon.

Upija herbaty z jej szklanki; zdjął okulary i wpatruje się z bliskaw jej twarz fiołkowymi oczyma Sebastiana, czekając na jej uczestnictwo w tym wyobrażeniu.

Ale Anna wstaje, rozbiera się po drodze i zamyka za sobą drzwi łazienki.

Czuje się znużona i wyprana z wszelkich emocji, myśli o tysiącu oprychów, których czeka kara śmierci, nie jest w stanie je żywić, wchodzi do wanny i osłoniwszy włosy nyló.

nowym kapturkiem puszcza prysznic, unosząc twarz ku kojącymuderzeniom kropel.

Kiedy opuszcza łazienkę, Szymon już leży na swoim miejscu pod ścianą.

W nadziei, że zasnął, ostrożnie układa się na samym brzegu tapczanu i doznajaniem jego zdumienia, gdy Szymon przyciąga ją ku sobie.

Zwykle odbywa się torano, kiedy Sebastian śpi jeszcze, a oni budzą się wcześniej, wypogodzeni snem i życzliwi dla siebie niż uszytku dnia.

To, że Szymon zdecydował się naruszyć ten zwyczaj, przydając spontaniczności ich małżeńskim zbliżeniom, powinna przyjąć entuzjazmem, zaleciłyby to zapewne wszystkie podręczniki seksuologiczne świata.

Ale ona, zamiast przytulić się oddawać pocałunki, mówi złym, ostrym szeptem: - Nie wiedziałam, że podnieca cię myśl o karze śmierci.

Szymon nieruchomieje.

Poczuła najpierw ciężar jegorekinapiersi, twarżnienieust na policzku, dopiero po długiej chwili odsunąwszy ijednympodrzuceniem ciała ułożył na wznak naprzeciwległym brzegu tapczanu.

Czekała, że krzyknie, że coś powie, zewreszcie usłyszysz odniego, jaka jest niemożliwa i okropna ijaktrudno jest żyć ztaką kobietą.

Ale on milczał, i sama musiała powiedzieć sobie prawdęo tym niezrozumiałym stworzeniu,jakimbyła dla siebie, musiała na siebie nakrzyczeć i użyć epitetów, naktóre onzapewnenigdy by się nieodważył.

W tejbolesnej rozgrywce międzynimi, wciążmilczący Szymon okazałby się niewątpliwym zwycięzcą, ale popełnił jedenbłąd -zasnął.

Jeszcze raz zdumiewającą tej nocy,zaczyna wydawać cichutkie pomruki i posapywania, które najpierw wydajająsię złudzeniem, potem - tragicznym faktem.

Śpi, kiedy ona nienawidzisziebie za wyrządzoną mu krzywdę, i wdodatkuśni mu sięzapewne minister sprawiedliwości albo co najmniej prezes SąduNajwyższego, nie ona, ale minister albo prezes.

I jest to wystarczającym powodem, żeby w tej małżeńskiej "story" skrzywdzeniu żalowani stali siękrzywdzicielami,a prawdziwym krzywdzicielom została w zupełności odjęta ich wina. Anna nie wierzy własnym uszom.

Cud,naktóry czekała, spełnia sięnaprawdę!

Przysiadła na brzegukrzesła,rajtuzy Sebastianawypadającej z rąk.

To nie z telefonu odWojtaszka Tarły,jak sobiewyobrażała, inie ze zdyszanej radości Marka czekającego na niąprzed teatrem, lecz z krótkiego komunikaturadiowego dowiadywała się, że na tegorocznym festiwalu w Cannes Polskę będzie reprezentować film "Zdobywanie świata" w reżyserii WojciechaTarły, z Anną Turoń i Markiem Sarpowiczem w rolach głównych.

- To niemożliwe -szepcze do siebie Anna.

-To mi się śni.

Albo zwariowałam!

Takdługo wmawiałam to sobie, aż opętałamnie ta myśl: Na tegorocznym festiwalu w Cannes Polskę będzie reprezentować film "Zdobywanie świata".

Sebastianniecierpliwemajta bosymi nogami.

-Mama!

Prędzej!

Anna rzuca mu rajtuzy.

-Ubierz się sam!

-Nie chcę!

Spóźnimy się do przedszkola.

-I tak przychodzisz później niż inne dzieci.

- Dlaczego?

-pyta od razu Sebastian.

- Bo jachodzędo teatru później niż inni ludzie do fabryki biur.

-Dlaczego?

- Sebastian jest niestrudzony w zadawaniu pytań.

-Daj mi spokój!

-Zawszemówisz: daj mi spokój.

Anna chwyta Sebastianai unosi wysoko.

- Ale dzisiaj mam do tego prawdziwy powód, nie dąsaj się namamę.

Ciesz się razem z nią.

Spełnił się coś, na co czekała.

- Co to takiego?

Kupiszmi coś?

- Oczywiście, że ci kupię.

-Anna całuje syna, sadza go znówna fotelu, postanawia być czarującą miłą i dobradla wszystkich, sytuacja nie tylko na to zasługuje, ale wręcz tego wymaga.

Najpierw więc telefon do Szymona!

Anna sadowi się w fotelu, bierze aparat na kolana, choć nie znosi, gdy robią to w filmach aktorzy całego świata.

Telefon do Szymona!

- Kochanie!

-powie "lu.

- Przepraszam, że ostatnio byłam niezbyt miła.

Ale to z ner.

wowegonapięcia.

Czekałam, aż ogłoszą wreszcie, który film pojedzie do Cannes.

No i właśnie ogłosili.

Słyszałam przed chwilą w radiu.

Jedzie "Zdobywanie świata".

Pogratuluj mi!

Ale zamiast głosu Szymona odzywa się wsłuchawce głos pani Wisi, prowadzącej sekretariat wydziału karnego, którą Szymon nazywa starszą panią ze względu na przedemerytalny wiek.

- Pan sędzia jest na rozprawie.

-O mój Boże!

- Czy stało się coś?

-Nie!

To jest.

tak! A nie można bymęza poprosić na chwilę do telefonu?

- Cóżżnowu!

-oburza się pani Wisia, z trudem zachowując przejmość.

-Mogę przekazać coś podczas przerwy.

- A więc proszę powiedzieć, że jadę do Cannes!

-Dokąd, proszę pani?

- Do Cannes!

Na festiwal!

Nie słyszała pani.

- Ależ tak.

Tylko.

początkowo nie skojarzyłam sobie.

- Niech więc pani sobie skojarzy.

Do Cannes na festiwal.

Przekáže pani?

- Oczywiście - prawie oschle przyrzeka długoletnia pracownica sądowej kancelarii.

Kocha się w Szymonie - myśli Anna.

- Wszystkie sekretarki kochają się w swoich szefach, więc dlaczego - mimo swego wieku - miałaby być wyjątkiem?

- Niech mu pani powie - woła bojąc się, że tamta jakby słyszającej myśli, odwiesi słuchawkę - niech mu pani powie, żeby zadzwonił do teatru.

Chociaż nie.

Może nie być mnie w teatrze, pewnie zwolnię się z próby.

Będę miała tyle spraw do załatwienia.

- Gdzie więc ma pan sędzia zadzwonić?

-Niech w ogóle niedzwoni.

Sama spróbuję jeszcze raz zadzwonić albo wpadnę do sądu, a jeśli nie, to zobaczymy się dopiero po południu.

Zobaczymy się po południu w domu.

A...może.

mąż wstąpiłby do Sebastiana do przedszkola.

Niewiem, czy zdążę go odebrać.

- Rozprawiam może się przeciągnąć - zauważa z godnością pani Wisia.

- Dobrze - Annamiałaby ochotę ją trzepnąć, gdyby był w zasięgu jej ręki.

- Postaram się odebrać go sama.

- Oczywiście, rozprawiam jest najważniejsza - mruczy odłożywszy słuchawkę.

Kontakt z sądem zepsuł jej humor, ale przed rozmową z Wojtaszkiem Tarła wypogadza się znów promiennie - niestety, telefon w mieszkaniu najsłynniejszego tego dnia reżysera jest wciąż zajęty.

Anna kilkakrotnie nakręca numer, ale bezskutecznie.

Dzwoni więc do Marka Sarpowicza, ale i tym razem w słuchawce odzywa się sygnał zajętego numeru.

Gratulacje!

- myśli Anna inatychmiast odkłada słuchawkę na widełki, bo pewnie i doniej ktoś pragnie się dodzwonić niecierpliwiając się, że ona wciąż rozmawia.

Ciekawe, któż pierwszy zadzwoni?

- zastanawiała się, i trochę jej żal, że to nie Szymon, na pewno nie Szymon, odgrodzony od jej światowych spraw całą ponurością swego zawodu.

Telefon jednak milczy, jakby się zawziął.

Anna zdejmując więc telefon i odstawia na stolik.

Teraz dopiero zauważa Sebastiana, kompletnie ubranego, wstarannie pozapinanej kurteczce, bryczesach i granatowej dżokejce nagładkoczesanych włosach.

- Nie!

- woła.

- Mój syn się sam ubrał!

- Bądź zadowolona ze mnie - mówi Sebastian.

- Chociaż raz!

- Co to znaczy?

Skąd się nauczyła takich słów?

- Pani tak do nas mówi, jak coś dobrze zrobimy.

- No więc jestem z Ciebie zadowolona!

Ale "chociaż raz" opuszczę, bo przecie częściej mi się to zdarza.

- Idziemy?

- pyta Sebastian.

Anna spogląda na telefon.

- Muszę się przebrać.

- Przecież jesteś ubrana.

- Włożę kostium.

Dzień jest za piękny na kurtkę i spodnie.

- Dlaczego ja zawsze muszę nosić spodnie?

- pyta Sebastian.

Anna nie odpowiada.

Telefon wciąż milczy.

Czyżby nikt nie słuchał rannych komunikatów?

To dlaczego do Wojtaszki i Marka dodzwonić się niemożna?

Jeszcze raz nakręca numer reżysera, potem kolegi: obydwaj są zajęte.

Zajęty jest również numer na Puławskiej, zespół filmowy chyba także ogarnął szal.

Na wszystkich piętach starego i ciasnego budynku nie mówiono zapewne o niczym innym. Anna wyszarpuje z szafy kostium, szuka bluzki, potem nowych rajstop, do spodni nosi stare spuszczone oczkaczki.

Wreszcie jakby jakiś brzdęk w telefonie, nie dzwonek, ale właśnie brzdęk - Anna słucha przez długą chwilę, nie mając odwagi podnieść słuchawki, żeby nie przerwać połączenia. Ale potem brzdęku następuje znów cisza.

Chyba się nagle nie zepsuł, złośliwe bydlę!

- myśli Anna w telefonie i podnosi wreszcie słuchawkę, w której brzmi długi, spokojny sygnał. Ale kto właściwie miałby donieść zadzwonić?

Matka była już w aptece, ojciec w swoim biurze, matka Szymona mieszkała w miejscowości, która nie miała automatycznego połączenia telefonicznego z Warszawą.

Koleżanki i koledzy byli właśnie w drodze do teatru, a poza tym, czy to dla nich taka radość, że ona jedzie do Cannes.

Sebastian przysiadł na brzegu fotela i nie spuszczając niejoczu usiłuje rozpinąć kurtkę.

- Kiedy wyjdziemy?

- Jak się biorę.

I umaluję.

- Zawsze się tak nie malujesz.

Tylko trochę.

- Bo dziś jest święto.

- To dlaczego ja idę do przedszkola?

- Bo to jest inne święto.

Tylko moje i jeszcze paru osób.

Wieczorem cito wytłumaczę.

Wreszcie telefon!

Anna jednym skokiem jest przy aparacie.

- Tu Anna Turoń!

- woła.

Odpowiadając chwilą jakby zdyszanej ciszy, potem rozlegają się zakłopotane chrząknięcie i wreszcie zachrypnięty głos: - Tu Fjałkowski.

Gospodarz domu.

Dozorca.

- Tak, słucham pana - Anna nie umie ukryć rozczarowania, jej głos brzmi cierpko.

- Chciałem pani pogratulować.

Właśnie słyszałem przez radio i mówimy żoną, że to pewnie pani.

Bo wszystko się zgadza, nazwisko i imię i to, że pani aktorka.

- Zgadza się, panie Fjałkowski - Annie staje coś w gardle, ledwie może wykrztusić tych kilka słów.

- Żona więc mówi - zadzwoń, powiedz, że się cieszymy.

Zawsze to człowiekowi miło, jak się inni cieszą, kiedy go co dobrego spotyka.

- Dziękuję panu szepcze Anna.

Oczywiście, że bardzo mi miło.

- Teraz to jakby cały nasz blok był więcej wart.

Dziękuję pani!

24 - Pan mnie?

Panie Fjałkowski!

To japońskie dziękuję.

- Nie, nie - upiera się zachrypnięty głos w słuchawce.



-Japani!

Kiedy milknie, Anna długo stoi w bezruchu i dopiero pochwili sprawdza palcem, czy łyzy, które nagle poczuła, nie zwilżyły jej rzęs dopiero co powleczonych tuszem.

- Idziemy?

-dopytuje się Sebastian.

Znowu się pozapinał, taopanowana wreszcie czynność zaczyna mu sprawiać widoczną satysfakcję.

- Tak, idziemy.

Kiedy są już w drzwiach - Anna tego dnia bez żadnych torebki siatek - jeszcze raz rozlega się telefon.

Długo dzwoni, zanim Anna decyduje się zawrócić od progu.

Przed telefonem Fjałkowskiego podbiegłaby do aparatu natychmiast, teraz zbliża się powoli prawie niezadowolona, że musiała cofnąć się od drzwi, co podobno wróży pecha w ciągu całego dnia.

- Anna - mówi bezbarwnie.

-Gratuluję!

- woła Wojtaszek Tarło.

-I całuję cię, czego - pamiętaj - nie omieszkam uczynić osobiście.

- Gratulacje należą się przede wszystkim tobie!

Usiłowałam się do ciebie dzwonić zaraz po komunikacie, ale telefon był wciąż zajęty.

- Miałem kilkarozmów.

-Czy także dowiedziałeś się dopiero z radia?

- Właściwie wiedziałem już wczoraj, ale bałem się, że wiadomość nie jest całkiem pewna.

Wolałem poczekać.

- Dobrze zrobiłeś.

Nie przeżyłabym rozczarowania.

- Wolałem poczekać.

Mogły zajść różne okoliczności.

- Czysaj już jakieś szczegóły dotyczące wyjazdu?

-Jeszcze nie.

Ale szykuj suknię!

- O, Boże!

Jeszcze wcale o tym nie myślałam.

-No to myśl!

Masz mało czasu.

Całuję cię, Hanka!

Pamiętaj, że musisz wyglądać antykryzysowo.

-Łatwo ci to powiedzieć.

Nic nie mam.

- Masz siebie.

Tak wyposażonym zagranicznym dziewczynom to wystarcza.

Pokazują siebie po kawałku.

- Nie poznaję cię, Wojtaszku!

Tak mnie okrywałeś w swoim filmie.

25.- Bo film jest ascetyczny.

Liczę nato, żeto zaszokuje.

Zabiedni jesteśmy, żeby podrabiać lub naśladować.

Możemy tylko zaskakiwać przeciwstawieniem.

- Tylko nie mów tego na konferencji prasowej.

-Dlaczego?

Właśnie zamierzam coś podobnego powiedzieć - Wojtaszek urywa, milczy przez chwilę.  
- Prawdopodobnie zostaniemy przed wyjazdem poproszeni do ministerstwa, zawiadomięcię o tym.

Aw ogóle, jesteśmy w kontakcie.

Dowidzenia, Hanka!

- Do widzenia!

Dziękuję za telefon.

Po odłożeniu słuchawki Anna nie od razu kieruje się kudrzwiom.

Widzi siebie, Wojtaszka i Markaw międzynarodowym festiwalowym tłumie.

Wojtaszek, niski i niepozorny, zginąłby zapewne nawet w foyer kina w Wołominie, kto przeczuje w nim tęcza duszę słowiańską, kto dostrzeże naniej guzy, ponabijanewtoczonych walkach?

Boże!

Żeby wziąć chociaż smoking i odpowiedni doniegiokrawat!

Nigdy nie widziała jeszcze Wojtaszka w krawacie, nosił zawsze jakieś trykotowe koszulki i nieprawdopodobnie, za małe albo za duże na niego kurtki - to nie on jej, ale ona jemu powinna przypomnieć o odpowiedniej garderobie do Cannes, gdzie przed dwoma laty brylował ktoś taki jak Wajda.

- Najmniej można się było obawiać o wygląd Marka.

Wystarczy, że ponad tłum będzie wystawał jego kudłata głowa, reszta mogłaby być niewidoczna w ścisiku.

No, a ona.

Skąd miała wziąć suknię, w której mogłaby, w której musiała pokazać się w Cannes?

Sprawa z babskiej błahostką stała się prawie patriotyczna, to nie ona miała tam stać w świetle fleszów i reflektorów, ale polska aktorka, która jej kraj wysłał na festiwal.

- Idziemy?

- Sebastian, pozostawiony przy progu, zdążył się już znowu porozpinać zastanawiając nawet, czy nie ściągnąć kurtki.

- Teraz już naprawdę idziemy.

- Anna wyciąga klucze, zamyka drzwi, igdy słyszy, że telefon znowu zaczyna dzwonić, już niewraca do mieszkania.

; W przedszkolu czekają niespodzianka.

Wszystkie panie zebrały się przed wejściem, panikierowiczka wręcza jej śliczną wianuszek stokrotek.

- Nasze najserdeczniejsze gratulacje!

Cieszymy się razem z panią.

Niech pani je wszystkie zakasuje, te zagraniczne piękności.

26- To będzie trudne!

- śmieje się Anna i pozwala obcałowywać się przedszkolakom, choć na ogół tego nie lubi, niczego się tak nie boi jak wirusów, aktorka nie ma prawa chorować, aktorka musi być co dnia na scenie.

- Czy mama ma mieniny?

pyta Sebastian, niemiłe dotknięty tym, że żadna z pań nie zwraca na niego uwagi.

- Więcej niż imieniny!

- woła panikierowiczka i obcałowuje teraz Sebastiana.

- Mama jest sławna!

Będzie jeszcze sławniejsza, bo jedzie do miasta, gdzie będą same najslawniejsze osoby!

Sebastian nic z tego nie rozumie, dość stanowczo wydstajesz ramion pani kierowniczkę i w przekrzywionej zapeczce patrzy pytającą na matkę.

Anna nie wie dlaczego, i jest to jedyny dysonans tego ranka, ale w tym spojrzeniu syna odczytuje przede wszystkim przyczajony strach.

Zebrani wokół kobiety śmieją się hałaśliwie, a dziecko patrzy czujnie z niepokojem.

Tak, co będzie z Sebastianem?

O tym jeszcze nie pomyślała.

Z kim go zostawi?

Kto go zaprowadzi i przyprowadzi z przedszkola, bo oczywiście Szymon będzie miał w tym czasie same trwające w nieskończoność rozprawy.

Pan Feliks!

- myśli w popłochu.

Pan Feliks z czwartego piętra, u którego już nieraz zostawiała Sebastiana, gdy nie mogła się nim zająć.

- Niemartw się!

- poprawia czapkę na głowie Sebastiana.

- Mama wyjedzie na całkiem krótko.

- I zobaczysz, co ci przywiezie!

- dodają panie, dla których myśl o zagranicznym wojażu nieodmiennie łączy się z atrakcyjniejszymi niż w kraju zakupami.

Ale Sebastian nie zdaje się być pocieszony.

W drodze do teatru Anna kupuje jeszcze kilka bukietów kwiatów, trzymając je oburącz przed sobą, wkracza na salę prób.

- Jaka ukwiecona!

- wołają wszyscy.

- Czyżby wielbicieleczekali przed teatrem?

- Trzeba było wyjrzeć, to byście widzieli.

Głuptasy!

woła Anna.

- Sama kupiłam sobie kwiaty w słusznym przeczuciu, żenie da mi ich nikt z was.

- Przeczucie niesłuszne!

- do sali wkracza (z wiązanką storczyków!

) dyrektor, wprowadzając administracyjny, bo artystyczny niezwykły przychodzić punktualnie, jeśli sam nie miał prób, jest to 27.

Jednak chwila wystarczająco uroczysta, żeby wszyscy kupili się wokół Anny.

- Aleskąd wiecie?

- dopytuje się Anna.

- Przecież radio dopiero co.

- Był telefon z ministerstwa - wyjaśnia dyrektor.

- Musimy udzielić pani urlopu w związku z wyjazdem.

Nasze najserdeczniejsze gratulacje!

I niech pani wraca z nagrodą!

Wszyscy ją całują, wylewnie, z obfitą serdecznością i tylko - jak zawsze skwaszony Bobrowski zdobywa się na szczerość.

- Ja będę gratulował po przyjeździe.

Jeśli będzie czego.

Sam wyjazd jeszcze nic nie znaczy.

Jakąś polską chałupę musieli w końcu wysłać.

- Dziękuję, Romeczku!

- mówi Anna.

- Przestań!

- Ewka Zabiełto odpycha Bobrowskiego od Anny.

- Z nagrodą czy bez nagrody, będziemogła do końca życia wspominać, że była wCannes.  
-W ostateczności można to sobie wyobrazić.

- Zwłaszcza przytvoim bogatym życiu wewnętrznym -gasiBobrowskiego Ewa.

Do Anny zbliża się reżyser.

- Drogapani Anno!

-całuje ją w obie ręce.

-Serdecznegratulacje!

Wprawdzie pani wyjazd skomplikuje nam niewątpliwiepracę.

- Właśnie.

-Anna uważa, że chwila jest najbardziej stosowna - chciałam pana prosić ozwolnienie z próby.

Mam tyle rzeczydo załatwienia.

- Ależ to oczywiste - młody reżyser wciążzachowujeprzejmość, choć nie bawi go perspektywa czytaniaroli Annyprzezcałą próbę - to oczywiste, że dni przed wyjazdem.

-Dziękuję,paniereżyserze.

Ewka odprowadza Annę do wyjścia.

- Wiesz już, w co się ubierzesz?

-Pojęcia niemam.

- Właściwie suknię powinno ci zafundowaćministerstwo albozespół filmowy.

Tarłonie powiedział ci nicna ten temat?

-Nie.

- Mogłaśzapytać.

-Nie przyszło mi tona myśl.

Byłam tak zaszokowana.

28- Wnajwiększym szoku trzeba myśleć praktycznie.

-W ostateczności.

mogą mi zwrócić koszty.

- Weźrachunek zMody Polskiej.

-Myślisz, że powinnam pójść do ModyPolskiej?

- A dokąd?

Muszą ci cośuszyć.

Hanka!

Masz w tej chwili pozycję,możesz pewnych rzeczy wymagać, nie zachowuj się terazjak gęś!

- Ewkamówito z manifestowaną serdecznością, alejestjasne, iżuważa, żeAnnaw ogóle nie nadaje się na festiwal i że gdybyto onajechała do Cannes.

-Dobrze - mówiAnna prawie pokornie - pojedęzaraz doMody Polskiej.

Tylko.

- Tylkoco?

-Będiesz mi mogłażyczyć kilka tysięcy?

- No.

-energia Ewysłabnie.

-Konkretnie ile?

-Nie mam pojęcia, ile takasukniamoże kosztować.

- Zbierze się skądś forszę,zanim będzie gotowa.

-Mogę więc liczyć na ciebie?

- Jasne.

Na ulicy Anna odzyskuje pewnośćsiebie.

Tupet Ewy, jeszczeza czasów szkoły teatralnej, sprawiał, że stawała się przy niej zupełnie bezradna.

Oczywiście, że zwróci się do Mody Polskiej, oczywiście, że muszą coś dla niej specjalnie uszyć.

I niech tokosztuje, co chce, zadłuży się, ale nie będzie wyglądała w Cannes jak uboga krewna z prowincji.

Choć nastawiona tak wojowniczo, najpierw pragnie zadzwonić do sądu.

Ale telefon przyjmuje znów pani Wisia.

- Tu Anna Turoń.

Może jest akurat przerwa w rozprawie?

- Nie, proszę pani.

Właśnie się skończyła.

- Właśnie się skończyła.

Aprzekazała pani mężowi.

- Tak.

- I co powiedział?

- Nic nie powiedział, proszę pani.

- Powiedziała mu pani, że jądę do Cannes?

- Oczywiście.

- I nic nie powiedział?

- Nic.

- Przepraszam.

29. Właściwie dlaczego powiedziałam jej: przepraszam?

- myśli Anna poodłożeniu słuchawki.

Stoi w budce telefonicznej i rozważa tę kwestię, jakby to jedno słowo wyrażała całą nicość jej małych poważnych spraw wobec obwarowanej zakurzonymi aktami powagi sądownictwa.

Na szczęście przed budką telefoniczną zatrzymuje się jakaś młoda para,

więc Anna wychodzi w pośpiechu; przymknąwszy na chwilę oczy unosi twarz kusłonu i stara się powrócić do radosnego nastroju tego tak szczęśliwego dla niej poranka i do tupetu, którym starała się ją zarazić Ewa Zabięto.

W Modzie Polskiej kieruje się od razu do biura dyrektora, i nie musi przedstawiać się sekretarce, bo ta wybiega ku niej z zabiurką.

Tu przynajmniej jest kawałek wielkiego świata, którego prawie niemożna sobie wyobrazić w zbiedniałej ojczyźnie.

Już za chwilę Anna siedzi przy filiżance kawy naprzeciw nader uprzejmego pana, który nie przerywając z nią rozmowy szkicuje coś w pośpiechu na arkuszach brystolu.

Obok panienka rozpromieniona szczytem, który przypadł jej w udziale, rozrzuca na stoliku sterty wieczorowych materiałów.

- Myślę - mężczyzna odkłada ostatni arkusz brystolu i jeszcze przyglądamu się przez chwilę - że mógłbym pani zaproponować coś awangardowego, a równocześnie bardzo spokojnego w tonie.

Przepraszam - zerkam na nogi Anny, okrytym dość długą spódnicą zeszłorocznego kostiumu - czy może pani pozwolić sobie namini.

- Sądzę, że.

tak - szepcze Anna.

- A więc spodenki mini, ale szerokie i marszczone w pasie, z brązowego aksamitu.

Dotego bluzeczka z beżowego atłasu - z przodu dekoltyw kształcie łódki, z tyłu w kształcie trójkąta dopasa.

Przepraszam, muszę jeszcze zapytać, czy może się paniobejść bez biustonosza?

- Sądzę, że tak - powtarza Anna.

-Na ten beż brązem narzucimy przezroczysty płaszcz tego wzorzystego, przetykanego złotą nitką materiału, który panituwidzi.

Jego bursztynowa barwa nada właściwy ton całości.

Przepraszam, czy utrzyma pani ten kolor włosów?

- Sądzę, że tak - po raz trzeci powtarzając zupełnie oszłamioną Anna.

Kolor jest naturalny.

30- Ja bym tę rudość pani włosów nieco podjaskrawił.

Tego wymaga kompozycja całości, ale oczywiście decyzja należy do pani.

- Dziękuję - mówi Anna z zaskakującą ją wdzięcznością w głosie.

Drugi rano zdumiewają ją wypowiedziane przez nią słowa.

Przepraszam - do pani Wisi, a teraz to - dziękuję, są chyba dowodem, że może rzeczywiście - jak myśli o niej Ewka nienadaje się na ten festiwal.

- Czy odpowiadają mi moja propozycja?

- pytaszef firmy.

- Sądzę, że.

po raz czwarty zaczyna Anna, ale w poręczywa i zdobywa się na entuzjazm, którego się tupo niej oczekuje.

-Och, całość wydaje mi się cudowna!

- Podkreśla pani naturalne walory, to najważniejsze.

Oczywiście niska obcas!

- obwieszcza pani dotąd tak miły.

-O, nie!

- Anna aż unosi się na fotelu, opadło z niej całe zaszokowanie sytuacją, o wysokie obcasy będzie walczyć jak lwica.

-Dlaczego nie?

- pyta chłodno pan.

-Tej kompozycji nie widzę z obuwiem na wysokim obcasie.

A poza tym tego roku całe światło nosi się niskie.

-Ale ja się przyzwyczaiłam do wysokich, dobrze się na nich czuję. dobrze wyglądam.

Każda dziewczyna.

- Ale pani nie jest każdą dziewczyną.

Panią pewne rzeczy obowiązują.

- Pragnę jednak zachować wysokie obcasy bardzo stanowczo obstaraj przy swoim Anna.

-W takim razie ja musiałbym zrezygnować.

-zaczyna dyrektor oschle.

- Och, nie!

-Anna chwyta go za rękę.

-Tego pan nie zrobi - Nie mogę zepsuć kreacji, którą firmuję, tak ważnym uzupełnieniem jak obuwiu.

-Dobrze - godzi się Anna, pocieszając się w myśli, że tak stanowczy pan nigdy się nie dowie, jakie obuwiu ona wkończuła w Cannes.

- Dobrze, zrobili tylko dla pana.

-Dziękuję.

Najodpowiedniejsze byłyby brązowe lakierki.

Może znajdzie pan coś odpowiedniego w komisach.

- Postaram się.

-Człowieku!

-myśli Anna - nie mam czasu ani pieniędzy na komisę.

I tak muszę zapożyczyć się na kieckę.

-Pozostaje nam więc tylko wziąć miarę.

Pani Zofio!

- wołamaestro w głąb baśniowych pokoi, a Anna nie wie, jak zapytać31.

o cenę.

- Na kiedy przewidziany jest wyjazd do Cannes?

- To ostatnie słowo pan, dla którego zagraniczne wojaże nie są znów czymś aż tak

nadzwyczajnym, wymawia jednak z nutką pewnej nobilitującej przyjemności.

Annę podnosi to na duchu.

W końcu niepieniądze są ważne, i nie to, że ich nie ma; nie zapyta wcale o cenę, niech się

dzieje choćby, raz w życiu zachowa się tak, jakby była kimś, kim bardzo pragnęłaby być.

- Jeszcze nie wiem dokładnie, ale sukniapowinna być gotowa jak najprędzej.

- Będzie gotowa najtutro wieczór.

Tak, pani Zofio?

Pani Zofia przerywa na chwilę branie miary.

- Oczywiście.

Przymiarka o siedemnastej.

- O osiemnastej muszę być już w teatrze.

- O szesnastej trzydzieści - dostosowuje się natychmiast pani Zofia.

Coś takiego przeżywam pierwszy i ostatni raz myśli Anna opuszczając progi Mody Polskiej -

chyba żaden cud, który dziś się zdarzył, miałby dalszy ciąg, ale otymnie wolno

myśleć, nie, nie, za taką bezczelność los daje często po łapach.

Naucy przypomina sobie, że musi natychmiast starać się o pieniądze.

Ewka Zabięto obiecała wprowadzić.

ale ile ona może pożyczyć.

Cztery, pięć tysięcy, chyba że zwróciłaby się do tego swego malarza, o ile już z nim nie zerwała.

Nie, Ewka nie będzie w stanie pożyczyć jej całej sumy.

jakiej sumy.

Do tej pory bała się pomyśleć o jej wysokości.

Dwadzieścia tysięcy!

- odważ się wreszcie to ustalić i równocześnie myśli: ojciec!

Ale najpierw jedź do apteki, w której pracuje matka.

Naszczyście zastają ją nie za ladą przy ekspedycji lekarstw, ale na zapleczu przy ich

sporządzaniu.

Matka od razu wyciąga doniej ramiona.

- Już wiesz?

- zdumiewa się Anna.

- Oczywiście!

- śmieje się całkiem jeszcze młoda pani magister.

- Zaprzyjaźniona klientka naszej apteki wpadła z tą wiadomością zaraz po radiowym

komunikacie.

- Moje drogie dziecko!

Tak się cieszę!

Aż się popłakałam ze wzruszenia.

- No, no - całuję matkę Anna, sama także bliska łez.

- Tylko nie to.

32- Bo przyznam ci się, że nie miałam nadziei.

- Nie miałaś nadziei?

W przeciwieństwie do ciebie myślałam, że to chyba niemożliwe.

Tyle szczęścia!

Anna zdejmuje żakiet, obciąga bluzkę, spogląda w lustro, które panie farmaceutki zawiesiły w swojej pracowni.

- A dla czego nie miałyby mi się przydarzyć tyleszczenia?

- Los nas nigdy nie rozpieszczał.

Dochodziliśmy do wszystkiego ciężką pracą.

Gdyby to powiedział ktoś obcy, Anna pewno by się obraziła, na matkę nie może - zwłaszcza że za chwilę ma ją prosić o pieniądze.

Pozwalając sobie na leciutką wymówkę: - A jado mego Cannesie doszłam ciężką pracą?

Najpierw musiałam zdać do szkoły teatralnej, potem wkuwać nieraz po nocach, żeby jąkończyć.

W teatrze każda rola to także egzamin, to samo w telewizji, no i w końcu cztery filmy, ostatni u Wojtaszka Tarły, który jest bardzo wymagającym reżyserem.

- Ależ wiem, moje dziecko - mama czuje się niecospeszona i prawie z radością podnosi słuchawkę telefonu, który właśnie się odezwał.

- Nie, alaxu niema - mówi do słuchawki.

- Na razie się nie spodziewamy.

Haneczko!

zwraca się znów do córki - wiem, że nie przyszło ci to łatwo.

- Koniec z tym, mamusiu.

Na pewno tak ci się to tylko powiedziało.

Nie wyobrażam sobie, żebyś myślała, jak wielu ludzi, że aktorki tylko się malują i przyjmują kwiaty.

- Anna znówu całując matkę i zacerpnawszy tchu obwieszcza: - Potrzebuję pieniędzy!

Takie teraz czasy, że nawet radość kosztuje, i to drogo!

Już miw Modzie Polskiej szyją suknię.

- Zaile?

- Nie wiem.

- Jak to, nie wiesz?

- Nie zapytałam.

- I kiedy matka milczy zdumiona, Anna wybucha: Niemogłam!

Nie rozumiesz tego?

Niemogłam!

Skaczawszy wszystko mnie, dyrektor sam projektuje dla mnie model, dziś przymiarka, a na jutro suknia ma być gotowa - i w takiej sytuacji ja pytam o cenę!

- Nie, alaxu nie ma - odpowiada znów pani magister jakiemuś głośowi, dramatycznie brzmiącemu w słuchawce telefonu.

- Na 33.

razie się nie spodziewamy.

- Zapewniam cię - odwraca twarz do córki że Sofia Loren by zapytała.

- Co ma do tego Sofia Loren?

- Tylko tyle, że pytanie o cenę nikomu nie przynosi ujmy.

- No więc nie zapytałam!

Niech ci się wydaje, że zachowałam się jak odurzona zaszczycem pensjonarka, trudno.

- Ile potrzebujesz?

Nie, alaxu nie ma!

- tym razem słuchawkę gwałtownym ruchem zostaje odłożona na aparat.

- Powiedz wreszcie, ile?

- Dwadzieścia tysięcy - bąka podnosem Anna.

- Aż dwadzieścia?

- Nie mogę być przecież zaskoczona.



- Mam akurat przy sobie siedem, miałam zamiar pochodzić trochę po sklepach po zakończeniu dyżuru.

Trzeba mieć zawsze pieniądze przy sobie, bo jak się coś trafi.

Ale co się może trafić za siedem tysięcy złotych?

Weźże pieniądze, a o resztę zwrócimy się do ojca.

Trzyma na książeczce wszystkie swoje zaskórniaki, premie, nagrody.

- Nie ruszy ich!

- Jak się dowie, że córka jedzie prezentować swój film w Cannes?

- matka Anny sama kręca numer telefonu męża.

Ale i w tym wypadku, tak samo jak w sądzie, odzywa się cerber w spódnicy.

- Pandyrektor bardzo zajęty.

- Proszę powiedzieć, że mówisz ona.

- No, nie wiem.

- Zważaniem i odrazą podejmuje decyzję sekretarka.

- Spróbuję.

Pan dyrektor prosił, żeby nikogo nie łączyć.

- Alesą nagłe okoliczności.

- Tu Zakrzewski!

- warczy w słuchawce głos ojca i Anna - choć stoisz daleko od aparatu - już wie, że ojciec jest wściekły.

- Tu Barbara.

Jest właśnie umnie Hanki dzwoniemy do ciebie.

- Comi głowę zawracacie?

Mam korektę planu.

- Nic nie wiesz?

Hanka jedzie na festiwal do Cannes!

- Nie mogliście mi tego powiedzieć wieczorem?

- Józek!

Na litość boską!

Twoja córka jedzie do Cannes!

- Gratuluję!

- ojciec dopiero teraz pojmuję, o co chodzi, stara się naprawić rodzinną gafę.

- Ucałuj ją ode mnie!

34- Już torobię.

Aleona.

poza wszystkim innym potrzebuje.

pieniędzy.

- Pieniądzy?

Ile? Mów szybciej, bo naprawdę jestem bardzo zajęty.

- Trzyście, no.

powiedzmy, piętnaście tysięcy.

- Piętnaście tysięcy?

Na co jej tyle pieniędzy?

- Na suknię.

Już jej szyją w Modzie Polskiej.

Na jutro ma być gotowa.

Nie pojedzie przecież dziewczyna do Cannes jak dziadówka.

- Nie mam przy sobie piętnastu tysięcy.

Musiałbyś do PKO, stać w ogonku, a w ogóle nie wiem, o której wyjdę dziś z biura.

I taki sam dzień mam jutro.

-Pożycz odkoś.

-Nie mam teraz czasu na takie historie, wy gdzieś pożyczcie.

Niech Hanka pójdzie do Alfreda, oddam mu te piętnaście tysięcy.

Ale w ogóle zastanówcie się, tyle pieniędzy za jakiś łach!

-Są inne wydatki.

- No już dobrze, dobrze- ale powtarzam: zastanówcie się.

-To samo, co z babcią!

- mówi Anna, gdy matka odkłada słuchawkę.

-Z jaką babcią?

- Z naszą.

Nie pamiętasz, że ile razy jej coś kupowałyśmy, trzeba było podawać o wiele niższą cenę, a ona i tak krzyczała nanas, że wszystko przepłacamy, że nie umiemy się targować.

Taksamo wyszłoteż zojcem.

Śmieją się obydwie, przysiadłszy na brzegu krzesła, a telefon znów się odzywa i matka, nie czekając na pytanie od razu wyciąga słuchawkę: - Alaxu.

Przepraszam, wibracja jest, oczywiście.

Proszę przyjść.

Od rana - tłumaczy się Annie - same telefony o Alax, jakby cała Warszawa cierpiała na zatwardzenie.

- Śmieją się znów, i w tym pogodnym nastroju matka wyprowadza Annę przed aptekę, przygląda jej się przez chwilę, jak wygląda w słońcu, obiecuje wystarać się o masło kakaowe dla niej, żeby się przedziej opaliła, niespodziewanie mówi, pieszczotliwie dotykając jej ramienia: - Tylko proszę cię, nie zrób cienia wyrzutu Szymonowi, że ze swojej pensji nie może ci dać tych pieniędzy.

Że inni mężowie.

- Przysięgam ci, że nigdy jeszcze nie użyłam zwrotu "inni mężowie".

Chyba że naszenie.

35.- Przepraszam.

- szepcze matka już dłonią na klamce, bona zaplecze telefon na pewno znów dzwoni i rośnie stos recept, które trzeba zamienić w lekarstwa.

-Przepraszam.

Nie chciałabym, żeby było mu przykro.

- Nie bój się - mówi Anna odchodząc.

Wie, że matka lubi bardzo swego zięcia i straciłaby do niego serce, gdyby zrobiła mukrzywdę.

Och, nie ma resztą na najmniejszej ochoty.

Różne sytuacje sceniczne nauczyły ją, jak łatwo można zepsuć najszczęśliwszy dzień, będzie się więc pilnować, żeby nieuczynić żadnej niezręczności, żeby tego szczęścia starczyło aż do wieczora.

Aż do.

nocy.

Najpierw musi iść do stryja Alfreda, do tego "stryjcia przystojniaczy", jak żartem mówiło się o nim w rodzinie, gdyż wciąż nie tracił męskiej urody, cotrzymało w stanie bezustannego alarmu stryjenkę, wysyłaną w dodatku dość często z racji jej pracy w zagraniczne delegacje.

Stryjciobylł pisarzem, więc miała nadzieję zastać go w domu, o tej godzinie przedpołudniowej zwykł bowiem pisać, o ile nie załatwiał jakichś spraw albo nie był umówiony namieście.

Jeśli rzeczywiście - myśli Anna - ten dzień jest dla mnie tak szczęśliwy, to on będzie w domu i nawet się nie skrzywi, tylko damie piętnaście tysięcy, nie mówiąc przy tym, że to za dużo, jak na jedną kieckę do Cannes, że powinna się zastanowić.

nie, stryjciono pewno tego nie powie, lubi być miły dla dziewczyn, podejdzie do biurka, wysunie szufladę i zapyta, czy nie potrzebuję więcej?

Na szczęście machyba pieniądze, bo wydał ostatnioksiążkę(grubą!  
Anna wie, żehonorarium liczy się od ilości stron) i robiamu coś w filmie, chyba jeszcze nie  
przepuściłtych pieniędzy.

Annadzwoń już po raz drugi do drzwi mieszkania stryja, alenie słychać zanimi żadnego  
poruszenia ani kroków zmierzającychdo przedpokoju, naciska więc dzwonekpo raz trzeci  
iniezdejmujez niego palca, dopóki za drzwiami nie odezwie się zniecierpliwiony głos.

- Pali się,do jasnej cholery?

Ja siępale, żeby stryja ucałować, odpowiedziałaby Anna,gdyby nie to, żestryj stał w progu w  
nader niedbałymporannymdezabilu, z kilkudniowym zarostem natwarzy, w dodatku  
siwym,czego nikt chybanie miałprawasiędomyślać.

36- Hanka!

- szepnął prawieprzerażony.

-Przepraszam cię.

OdMilkli dni, korzystając z wyjazduZofii,pracuję jak wariat.

- To ja przepraszam - Annazwahaniem wchodzi do przedpokoju.

-Powinnam była zatelefonować.

- Ależ głupstwo!

Wchodź, jak już jesteś.

Rozgośćsię,a jatymczasem się ogole.

- Stryj wpada do łazienki, gwałtownie zamyka drzwi za sobą, a Anna wchodzi do pokoju, w  
którym żywiołbałaganu pomieszał ze sobą sprząty, męską garderobęwierzchniąi intymną,  
papieryw mniejszychi większych arkuszach, zapisanei zupełnie jeszcze czyste.

-Posprzątam tu tymczasem -woła w stronę drzwi do łazienki.

Uchylają sięnatychmiast iukazujesię w nich jeszcze bardziejprzerażona twarz zbrodą okrytą  
już naszczęście obłokiem obfitejmydlanej piany.

- Broń Boże!

Tylkonie to!

Mam tam wszystko poukładane.

-Poukładane?

- No przynajmniejwiem, gdzie coleży.

Śniłmi się w nocyGoździkowski - stryjwracado łazienki, ale nie zamykadrzwi.

-Byłempewny,że będę miał jakąś przykrość.

Ale naszczęście-poprawiasię odrazu - sen sięnie sprawdził.

Twoja wizyta to miłaniespodzianka.

Anna wie, żejakiś stryjowi śni kolega szkolny Goździkowski, zktórym odnajniższychklas  
łączyła go, a raczejdzieliła, bezustanna rywalizacja - spotyka go zawsze cośpaskudnego.

- Powiedzmi,co to jest - ciągnięstryj właziencie- tyle latniewidziałemczłowieka na oczy, a on  
jako chłopiec w krótkichspodniach,zpoobgryzanymipaznokciami, zakodowany jest wmojej  
pamięci i mózg mój jego wybrał sobieza posłańca, żebykażdorazowozawiadamiać mnie o  
czekającej przykrości.

Tylkoscąd mójmożgo tymwie?

W jaki sposób uprzedza fakty?

Żebysię było nie wiem jakim realistą,bez odrobiny metafizyki nie dasię przeżyćjednegodnia.

- Stryjciu!

Anna zbliża się do drzwi łazienki.

JadędoCannes!

-Nie!

Stryj parska w pianę, którą już zgarnia z twarzyostatnimi pociągnięciami żyletki.

- Żartujesz!

-Naprawdę!

- Anna puszcza mimo uszu obraźliwe bądź cobądź zdumienie stryja.

Radiopodało wranych wiadomościach.

37.

- No to gratuluję!

-Stryj pośpiesznie oplukuje wodą twarz, żeby jak najprędzej móc ucałować Annę.

-Gratuluję!

A więc zdecydowaliśmy wysłać "Zdobywanie świata"!

-No i Cannes musiało się zdecydować na przyjęcie tego filmu do udziału w konkursie - z nie pozbawionym dumnaciskiem uzupełnia Anna.

- Oczywiście, oczywiście- tak jest festiwalowa procedura.

Ale głowę daję, że odbyło się to, jak zawsze, poza wszelkimi terminami, film pojawi się w Cannes bez żadnych dodatkowych materiałów, bez reklamy, na którą nie mamy pieniędzy, ale do któregoż z waszycy nasi opiekunowie czują nieprzewyciężony wstręt.

Anna przysiadła na brzeżku zasypanego przeróżnymi rzeczami fotela.

- Nasz film nie potrzebuje reklamy - szepcze.

-Oto jest pogląd Polaka nasztukę!

Że mimo nieudolności tych, którzy przejmują ją od twórcy, przebiję się sama.

Nic bardziej mylnego.

Zwłaszcza jeśli chodzi o film.

Bo książka może nagle zostać odkryta po latach- choć i to wątpliwe, nie powinniśmy się ludzi nieszczęściem i szczęściem Norwida, nie uznawanego za życia, hałaśliwie cenionego w wiele dziesiątków lat ponędzarskiej śmierci.

Mnie na przykład by to nie urządzało.

Zbyt jestem doraźny, żeby pocieszać się sławą u wnuków.

A z filmem sprawa ma się jeszcze gorzej.

Film w wyjątkowych wypadkach przeżywa swoich twórców i dlatego trzeba umieć go pokazać i sprzedać, kiedy wchodzi na ekrany.

Amerykanie.

- Och, Amerykanie!

-przerywa stryjowi Anna.

Ale on nie pozwala sobie przerwać.

- Amerykanie opracowując budżet filmu, od razu niemałą kwotę przeznaczają na reklamę w słusznym przewidywaniu, że w tej dziedzinie spotkają się z potężną konkurencją dystrybutorów francuskich, włoskich, angielskich czy zachodniemieckich.

Tylko film polski wierzy, że talentom artystów niepotrzebne jest żadne wsparcie.

- Zdaje się, że film polski dojadł stryjowi - odważa się zauważyć Anna.

-Skądże!

Mam tam jak najgorsze stosunki.

To, o czym mówię, możesz przeczytać w całej naszej filmowej prasie.

Od 38 lat si?

o tym pisze - i bez najmniejszego skutku.

Pogarda dla -głównie dotyczy resztą całej sztuki.

Wyobrażasz sobie - stryj Anny, młodszy z braci Zakrzewskich, wciąż najwidoczniej niesyt sławy, w przeciwieństwie do swego brata żyjącego jej jedynie na resortowych konferencjach, gdy jego zakład wypracował jakiś nikły ułamek miliprocentu dochodu narodowego, ten młodszy brat, nie zastanawiając się nigdy nadmało efektywnym trudem

starszego, wiązał starannie krawat wydobyty spod sterty papieru - wyobrażasz sobie, co znaczy dla artysty dobry impresario?

- Och, jakby mi się teraz przydał!

- wzdycha Anna.

- Niestety, musisz go sobie sama zastąpić.

Ale skąd brać tylesity i czasu, żeby być artystą i równocześnie sprzedawać samego siebie?

- Stryj podąży do kuchni, gdzie panuje nie mniejszy bałagan.

- Zrobię ci kawy.

Kupiłem wczoraj w Pewexie.

- Nie, nie!

- woła Anna.

- Nie rób sobie kłopotu, śpieszę się.

- Naprawdę?

- stryj nie namawia zbyt silnie.

Widocznie kawy miało mało, a potrzebował jej, kiedy pracował.

Siada przy biurku, kładzie dłoń na rękopisie.

Nie uznawał maszyny.

"Nie myślałomu się", jak mówił, gdy miał ją przed sobą.

- Odkilku dni pracuję jak wariat!

- powtarzało, czym powitał ją na progu.

Anna wie, że powinna teraz zapytać: nad czym?

- ale nim się na to zdobywa, stryj sprzedaje ją swoim wybuchem: - Jeśli, być może, my właśnie będziemy ostatnimi ludźmi na ziemi, to zdajesz sobie sprawę, jak ciężka jest nasza odpowiedzialność?

- Ostatnie słowo przed zagładą!

Jakie powinno być to słowo, żeby zawrzeć w sobie nasz strach, nasze przywiązanie do tego, co tracimy, acobyśmy tworzyliśmy od tysięcy lat, nasz żal, że nie umieliśmy powstrzymać zagłady, choć nie była nieunikniona, nasz pogardę wreszcie dla nas samych.

- Stryju - zaczyna Anna ostrożnie - może nie będzie aż tak źle?

- Nie wierzy w wojnę, pokobiecemu, z irracjonalnym uporem, z nadzieją w trwające mimo wszystko dobro, który czasem nazywa Opatrznością albo Bogiem.

- Nie będzie aż tak źle?

Dziewczyno!

Czy nie widzisz, że świat oszalał?

Pycha zastępuje rozsądek, a ludzkość dzieli się teraz" a skazujących na skazywanej śmierć. Jedyna nadzieja w tym, że ludzkość nie zgodzi się na ten podział.

39.- Stryju!

- zaczyna Anna jeszcze raz.

Żal jej radosnego nastroju, w jakim tu przyszła: rozwiewa się już rozbijany i zabijany każdym słowem, które wytacza się tu przeciwko niemu w ten wiosenny, słoneczny dzień.

- Nie wierzę, żeby do tego doszło.

Niewierzę!

I trzeba tak myśleć.

Nie wolno poddawać się.

- Nie!

Trzeba się przygotowywać.

Jeśli ludzkość ma zginąć, trzeba w pełni wyrazić to, co najbardziej było w niej ludzkie.

Ślad, jaki zostawimy po sobie następnym cywilizacjom.

to ostatnie słowo przed zagładą.

Anna próbuje żartować:- Wierzy stryj jednak, że coś po nas zostanie?  
Chwila milczenia, która zapada po tym pytaniu, wystarczy, żeby stryj ocenił swój nietakt.

- Mój Boże!  
- uderza się w czoło, od razu pogodnie uśmiechnięty.  
- Jedziesz do Cannes, ajaciu tu truję takimi historiami!

Anna przesiada się na oparcie fotela stryja, dotyka dłonią świeżo wygolonego policzka.

- Aksamit?  
- pyta niezupełnie jeszcze starszy pan z zadowoleniem.  
- Aksamit!

Ale.- Anna nabiera powietrza w płuća -Goździkowski śnił się stryjowi nie nadarmo!  
- Co się stało?  
- Nic wielkiego.  
Tylko przyszłam popieniądze.  
Ojciec prosi.  
żeby mu stryj pożyczył piętnaścietysięcy.  
Niemoże wyjść z biura do PKO, bo ma korektę planu.  
Odda za kilka dni.  
To dla mnie tepieniądze, na wieczorową suknię do Cannes.  
Przepraszam, czy stryj ma akurat w domu.  
- Ależ oczywiście!  
Niepotrzebnie straszyłam mnie tym Goździkowskim!  
Wszystko odbywa się teraz tak, jak przewidywała.  
Stryj zrywa się z fotela, całuje ją w obydwie policzki, podchodzi do biurka, wysuwa szufladę.  
(inaprawdę ani słowa o tym, że to za dużo, jak na jedną kieckę do Cannes!  
)... odlicza pieniądze i podnosi na nią uśmiechnięte oczy:- Wystarczy ci to?  
- Musi.  
- Masz jeszcze ode mnie dziesięć tysięcy.  
Na dodatki.  
- Och, stryjciu!  
Dziękuję!  
40- Suknia piękna?  
- Dopiero się szyje.  
W Modzie Polskiej.  
Dziś po południu przymiarka, jutro ma być gotowa!  
- Tylko nie puść się tam!  
- Gdzie?  
- W Cannes!  
- Co też stryj!  
Jadę prezentować film.  
- No, no.  
Tam się to odbywa tak mimochodem, że się tego prawie nie zauważa.  
Dopiero po powrocie do domu dziewczynalicy, z iloma panami się przespała.  
I czy pomoże jej to w karierze.  
- Mam nadzieję, że stryj żartuje?  
- Ależani trochę.  
- Jestem poważną osobą.  
- Anna chowa pieniądze do torebki- mam męża i syna.  
- Znałem panie z liczniejszym potomstwem, którym to nie przeszkadzało.  
- Tym paniom najwidoczniej ktoś inny wychowywał ich dzieci, skoro miały jeszcze czas.  
- Nie sroż się tak!

-Stryj całuje Annę w czubek nosa, w ogóle całującą często chętnie.

-Szymonnie mazamiaruprzenieść się do adwokatury?

- pyta nagle.

-O ilewim, to nie.

I ja mu tego nie proponuję.

Bobyodrazu pomyślał, że chodzimi o wyższe zarobki.

Ju^ mi mama dziś powiedziała, że bymnie zrobiła mu cienia wyrzutu.

„-O co?

- Żetonie on wyposaża mnie do Cannes.

Alew końcu oddajemy prawiecałą pensję.

Nie miałabym w ogóle kłopotów finansowych, gdybynie ta przerwa w występach w radiu i telewizji.

- Nowłaśnie -stryj pozostawia kwestię bez komentarza.

Anna gotowajest dowyjścia, ale stryjnie towarzyszy jej do przedpokoju.

Usiadł znów w fotelu, zamyślił się.

- Muszę przyjsć do was któregoś dnia wieczorem.

Popatrz na Szymona.

- Popatrzeć?

-Tak.

Mało wie się o takich ludziach.

A przecież są.

Egzy^UJą.

I my dzięki nim egzystujemy w spokoju.

-Niech mu tylko tego stryj nie mówi.

Bardzo proszę.

-I pomyśleć, że i jakiegoś studiowałem prawo.

41.- Ale na szczęście nie skończył stryj w sądzie.

Już zadrzwiami, zbiegając z schodów, Anna przytarniasobie, co powiedziała.

I że jest to tak bardzo przeciwko Szymonowi.

Wkażdym razie, pociesz się, nie nazwałam go dzisiaj w myślach ani razu Paragrafem, a to jakby zmasujeta tą winę.

Znów w dobrym humorze kupuje w cukierni Hotelu Europejskiego góręciastek, odbiera wcześniej Sebastianaz przedszkola, a w domu, wyciągnąwszy zamrażalnik kawalekschabu, postanawia zrobić prawdziwy obiad.

Wszystko z zegarkiem w ręku -oszesnastej trzydzieści musi być w Modzie Polskiej, o osiemnastej w garderobie teatru.

Ciekawe, myśli Anna, czy będę się kiedykolwiek nudzić?

Może na starość?

Na taką prawdziwą, głęboką starość, kiedy nie będę już grała w teatrze ani w filmie, kiedy będę miała wnuki.

Och, ale babcie mają teraz najwięcej roboty, i jeśli świat wbrew przewidywaniom stryja Alfreda nie stoczy się w przepaść, na pewno już się to nie zmieni!

Anna, pobijając łuczkami zmarznięte na kość kotlety, śmieje się cicho, jakby ten brak czasu, zaprogramowany dokońca życia, nie był jej w gruncie rzeczy przykry.

Koń przyzwyczajony do galopu, nie potrafi już chodzić stępą; Anna szybko obiera kilka ziemniaków, nastawia w rondelku na największym gazie, wrzuca na patelnię kawalek smalcu z kartkowego przydziału Sebastiana.

Szymon jada obiady w sądowej stołówce, a lena pewno zjez ochotą taki popisowy kotlet w bułeczce, a i Sebastianowi należ się od czasu do czasu domowy obiad.

Nie odstępuję matki, krąży z nią po kuchni, olśniony tym, że coś się dzieje w porze, w której zwykleniksie tu nie krząta.

- Dzisiaj będzie prawdziwy obiad?

- Najprawdziwszy!

- Taki jak w niedzielę i poniedziałek?

- Jeszcze lepszy!

- Dlaczego?

- Już ci mówiłam.

Mama jest dzisiaj bardzo szczęśliwa.

- Niech mama będzie zawsze taka szczęśliwa.

Żeby był kotlet na obiad!

I ciastka!

Smalec na patelnicy już skwierczeć, więc Anna obsypuje kotlety mąką, macza je w rozbitym jajku, panieruje w tartej bułce i wrzuca na rozgrzany tłuszcz.

Żeby tylko Paragraf się nie spóźnił.

Nie, nie, nie!

Szymon, Szymon, żeby się nie spóźnił!

Anna pragnie z czarować ten dzień, żeby nic złego się nie wydarzyło, sposób na to z czarowanie jest jeden: w niczym nie może być jej winy, najmniejszej winy, nawet takiego nazwania Szymona Paragrafem.

- Tatuś zaraz przyjdzie - mówi do Sebastiana.

- I usiądziemy wszyscy troje przy stole!

A że cuda naprawdę zdarzają się tego dnia (komunikat w radio, kwiaty od dyrekcji w teatrze, Moda Polska, pieniądze.

), Szymon nie spóźnia się nawet minuty!

Staje w drzwiach dokładnie tej porze, kiedy zjawia się, gdy nie ma rozprawy i udaje się łapać tramwaj zaraz po wyjściu z sądu.

Staje w drzwiach z ogromnym bukietem czerwonych róż i wyciąga rękę do Anny: - Haneczko!

Tak się cieszę!

Gratuluję!

Gratuluję z całego serca!

Mój Boże!

- myśli Anna.

- Do końca miesiąca będzie palił papierosów!

- Ale tym goręcej oddaje mu pocałunki, aż Sebastian pilnując patelni, uważa za stosowne krzyknąć: - Kotlety!

Przymiarka w Modzie Polskiej także udaje się nadzwyczajnie.

Uczestniczy w niej sam dyrektor i projektant modelu w jednej osobie, który, gdy Anna stoi przed ogromnym lustrem jeszcze ładniejszą w tych wszystkich brązach, brązach i złoto przetykanymi ciułach, pochyla się do niej blisko i szepcze: - Chyba się pani domyśliła, że skomponowałem tę całość do modowej barwy pani oczu.

Wieczorem w teatrze wydarza się także coś cudownego.

Kiedy Anna wychodzi na scenę, publiczność witają oklaskami, jakby był martwy wstałym Solskim, a po przedstawieniu dostaje kilka wiązanek kwiatów do uzupełnienia nieznanymi osobami, co w teatrze ceni się zawsze najwyżej.

Szymon czeka na nią z butelką szampana (chyba się zadłużył - myśli Anna z coraz większą żęłością), Sebastian już śpi w drugim pokoju, więc wypijają go tak, jakby po raz pierwszy przydano się im takie uroczysko sam na sam, a potem w pośpiechu, szybko. Jak najszybciej - wyjmują z tapczanu pościel, rozścielają ją byle jak, i wciąż się całując, gaszą światło.



- Będę miał braci i siostrzyczkę?

pyta drugiego po ojcu głosik Sebastiana.

43. Nieruchomieją w jednej chwili, wstrzymując oddech.

- Braciszka czy siostrzyczkę?

- dopytuje się Sebastian.

Anna zrywa się z tapczanu, narzuca szlafrok.

Szymon wciąż gospodnie od pizamy idzie za nią do pokoju Sebastiana.

- O coci chodzi?

- pyta Anna na pół rozbawiona, na pół wściekła.

- Chcę wiedzieć - szepcze Sebastian, bardzo jednako - co będę miał?

Bo jak mama idzie z tatą do łóżka, to potem jest braciszka albo siostrzyczka.

- Kto ci to powiedział?

- pyta Szymon prawie ostro, nie zdobywając się na poczucie humoru.

- Wszyscy w przedszkolu tak mówią.

Klemens chce mieć siostrzyczkę.

- Jaki Klemens?

- Klemens!

Chodzi ze mną w parze.

Wciąż myśli, że będzie miał siostrzyczkę, kiedy jego mama śpi razem z tatą w łóżku.

- Ale my zawsze śpimy razem - stara się ratować sytuację Anna.

- Nie mamy drugiego tapczanu, przecież wiesz.

- No, dobra - mruczy Sebastian.

- Ale ja wolę braciszka.

- I zasypia zaraz, odwracając oczy od światła lampy, a oni oboje nie mogą ruszyć się z miejsca, Anna szuka łoni Szymona i zaciska naniej palce, jest cicho, spokojnie idzie dobrze, Sebastian śpi w swoim obszarpanym Kotem-Mamrotem w objęciach, świat musiał się zatrzymać w swoich złych zamiarach, kiedy Sebastian śpi, nie trzeba myśleć, że tyle milionów matek utraciło swoje dzieci, Niobe.

Dlaczego przypomina jej się teraz Niobe i poemat Gałczyńskiego, który mówiła kiedyś w telewizji.

Nie! Nie!

Trzeba wierzyć, że nic takiego się nie powtórzy, że nic takiego się nie stanie, kiedy Sebastian śpi.

Że można się temu przeciwstawić.

Nie dopuścić do tego.

Jeśli nie będzie się miało żadnej winy.

W niczym żadnej winy.

I wobec nikogo.

Bardzo w obu kocham mówi cicho.

Bardzo!

III. Następne dni są wypełnione radosną bieżącą.

Paszport!

Bilet!

Fotosy!

Wizyta w ministerstwie, gdzie pobłogosławiono ich na drogę, nie szczędząc rad i sugestii.

Sytuacje mogły przydarzyć się różne, byli reprezentacją kraju, w którym dopisuje

zawieszono stan wojenny który oto znów brał udział w festiwalu porocznej nieobecności.

Na konferencjach prasowych mogła Paść różnego pytania - mówi ktoś, dobierając ostrożnie słowa - pewna elastyczność wypowiedzi.

Człowieku - myśli Anna - pary z ustnie puszcze,choćby mnie nie wiem jak przypierano do muru.

- Zerka natwarz Wojtaszka Tarły, ale nie może nic wywnioskować z jej wyrazu.

AMarek Sarpowicz patrzy wokno, na obłokiporuszające się wzdłużniebieskiego ekranunieba. Nie będą mieli łatwego zadania, topewne.

Oczywiście, najważniejsze było to, czy film się spodoba,ale i oni powinni spodobać się także, zrobić wrażenie,olśnićczymś, zainteresować.

Chyba wszyscy troje zdawali sobie z tegosprawę,że to przerastało ich możliwości.

Ile tysięcy osób dążyłoco roku doCannes, żeby sięspodobać, zrobić wrażenie, olśnić zainteresować?

Młode aktoreczkirozbrały się nago wdrapywały na drzewa,ryzykując, że prędzej niżfotoreporterzy zauważąje tam policja.

Każdej ekstrawagancji towarzyszyła nadzieja naprzyszły sukces albo przynajmniej melancholijny spokój sumienia, że zrobiło się naprawdę wszystko, żebygo osiągnąć.

I w tymtargowisku, w tej płątaniniedrapieżnych ambicji i interesów - oni mieli reprezentować swój kraj!

Przede wszystkim reprezentować swój kraj!

Annę poraz pierwszy pośród doznawanego szczęścia ogarniapopłoch.

I strach,czy temu podola.

Dobrze, że jedziez Wojtaszkiem i Markiem, na nich - a głównie na Wojtaszku, który był niejako szefem ich małej ekipy - spoczywała cała odpowiedzialność.

Ona powinna tylko ładnie wyglądać,włożyła jużniemałotrudu^o swojejkobiece zadanie, wciąż jeszcze nie przygotowane nalejcie.

Szef Mody Polskiej (całkiem skromną ustaliłnależność za^sację, którą Ewka

Zabiełło,dysponując kasąswego malarza,^ciała od razuodkupić od niejza podwójną cenę, po festiwalu45.

oczywiście), otóż szef Mody Polskiej domagał się stanowczo wykończenia modelu brązowymi lakierkami napłaskich obcasachibrazową lub złotą kopertą, która byłajedyną możliwą torebkąprzy tym stroju.

Czekało ją więc bieganiepo komisach, bo przynajmniej co do torebki przyznawała wymagającemu panurację.

Anna łapięsię na tym, że niesłucha tego,o czym się mówi,i ztrudem powraca do rzeczywistości.

Wymagano od niejtakwiele, składano na jej barkizadania takpoważne,że śmiesznewydały jej się nagle te wszystkiezabiegi wokół najkorzystniejszegowyglądu, zaprzatające ją bez reszty od dwóch dni.

W Cannesniktjej na pewno nawet niezauważy, ale gafa, gdyby ją popełniła w tejniewymiernej,różnorakiej i nieokreślonej przez własne i cudzo niej wyobrażenia dziedzinie reprezentacji, na pewno zostaniezauważona w kraju- a z tym należało się liczyć przede wszystkim.

Zmęczona ostatnimidniami, a w tej chwili dziwnie jakośzubożała w przeczuciach i oczekiwaniach festiwalowych rewelacji- pomyślała zcichutkimżalemo utraconym spokojem i błogosławionej monotonii dotychczasowego życia.

Musiało się jakośodbićnajej twarzy, bo wiceminister, uznając konferencję za zakończoną, podszedł najpierw do niej.

- Nie wiem doprawdy, czego paniżyczyć.

Festiwalowy sukces dla aktorki to przede wszystkim reżyserskie propozycje, a toby oznaczało utratę pani dla nas.

Ale na czasową - wiceministeruśmiecha się z błogosławiącą jej ukryte marzenia uprzejmością -moglibyśmy się zgodzić.

Po co on to powiedział?

-myśli Anna, jest jak wszyscy aktorzybardzoprzesadna.

- Zapeszył!

Na pewno wszystkojuż zapeszył'.

- Dziękuję - mówi bezcienia radości.

-A ja protestuję!

-niegadza się Wojtaszek Tarło.

- Mamjuż dla Anny następną rolę i jeśli tylko scenariusz.

-reżyserspogląda wymownie w oczy szefa kinematografii - jeśli tylko scenariusz zostanie zatwierdzony, zaraz zaczynamy kręcić,-"Na pewno nie będzie z tym żadnych kłopotów!

- Wiceminister bardzo pragnie, żeby konferencja zakończyła się jaknajpogodniej; jeszcze jakieś komplementy pod adresem reżyserai wykonawcy głównejrolimęskiej,uścisk dłoni, ostatni uśmiech, odprowadzeniegości do drzwi -i oto sajuż w szatni w pałacowym46korytarzu ministerstwa, a potemna czworobocznym dziedzińcu,zalany majowym słońcem.

-I po błogosławieństwie!

-mruczy z ulgą Tarło, źle znoszącywszelkie oficjalne okoliczności.

- Było całkiemprzyjemnie zauważa ze zwykłąobojętnościąMarek Sarpowicz, przygaszony i wyczerpany swoim szczęściemrodzinnym.

Anna nie podtrzymuje rozmowy, czujesię wciąż zagrożonażyczeniami wiceministra, któryzapeszył, na pewno zapeszył to,o czym nawetnie śmiała myśleć.

No ijak po takich życzeniachwrócić doWarszawy bez zagranicznegokontraktu.

- Co cijest, Hanka?

-pytaTarło.

- Och, nic!

Mam jeszcze tyle do załatwienia.

- Ale sukniajuż gotowa?

-Gotowa.

- Piękna?

-Bardzo!

- Powinna możeteraz zapytać o jegofestiwalowągarderobę, ale choć łączy ich prawdziwie koleżeńskakomitywa- nie ma jakośna to odwagi.

WojtaszekTarło znany jest bowiemz szokującej niedbałościostroju.

Raz nawet na premierze filmuzjawił się nie dość, że spóźniony - cododatkowo zwróciło nanięgo uwagę- to takzewrozciągniętymswetrze i obstrzępionychdżinsach.

-No,to dojutra na lotnisku!

Tylkosięnie spóźnij!

- Wciąż pamiętasz, że dwa razy spóźniłam się na plan?

-Przepraszam.

- Na samolot na pewnosię nie spóźnię.

MójBoże!

- Annawreszciesię rozpromienia.

-Na samolot do Paryża!

Mamnadzieję,żebędzie trochę czasu międzylotami,żeby wyskoczyćdomiasta.

- Nic z tego: I ja otym myślałam.

Ale zaraz poprzylocie mamysamolot do Nicei.

Obiecuję,że w drodze powrotnej zatrzymamy sięw Paryżu.

Mam nadzieję,że bierzecie z sobajakieś dewizy?

- Mam dwieście dolarów - wyznaje Anna.

Tak jak ojciec, lubi""ećzaskórniaki.

Ale dwieście dolarów w Polsce to nie to samo, w dwieście dolarów w Paryżu, więc głos Anny brzmiał abrutko, 8dy powtarza: - Dwieście.

Marek milczy.

Annawie, że kiedy się żenił, przynaglany nieodziewanym ojcostwem, musiał kupić mieszkanie i jest sfluka47.

ny do ostatniego dolara.

Pożyczęmu, myśli z litością; ale co to będzie za Paryż zasto dolarówna osobę?

- Jutro rano wypłacą nam diety - odzywa się wreszcie Marek.

- Człowieku!

- wrusza ramionami Tarło.

- Jeśli wyobrażasz sobie, że będziesz za nie szaleć.

- Mam całą listę zakupów - zastrzegam młody ojciec, nawszelki wypadek nie patrząc w oczy reżysera.

Wie, że wydaje mi się śmieszny i że pewnie już nigdy nie obsadzi go w głównej roli, zwłaszcza że nie reżyserował nigdy komedii.

- Nie mogli nam tych diet wypłacić dzisiaj?

- zmienia szybko temat Anna.

- Jeszcze jutro trzeba będzie przed odlotem wleźć z bagażami.

- Kasjerka nie podjęła dewiz w banku.

- No tak - nie powiem, że bym wypoczęta jechała na ten festiwal.

Na takie olśniewające szczęście trzeba mieć przede wszystkim siły, myśli Anna, rozstawszy się z Wojtaszką i Markiem.

Managłowie mnóstwo spraw, które musiałatwić przed wyjazdem.

Trzeba zaopatrzyć dom w żywność, wykupić kartkowe przydziały, ubłagać pana Feliksa z czwartego piętra, żeby podczas jej nieobecności opiekował się Sebastianem - zawozili przywoził go z przedszkola i trzymał u siebie do powrotu Szymona z sądu - trzeba wpaść także do madame Valentine.

Obiecała jej przeciw różę, gdyby ziściło się to, o czym obydwie marzyły.

Ten obowiązek wydaje się najprzyjemniejszy, więc na niego się najpierw decyduje, zwłaszcza że w domu, w którym mieszka madame Valentine, jest nadoleśklep mięsny i będzie mogła zamówić w nim kolejkę przed udaniem się na górę.

Jeśli ktoś z bukietem róż wkracza do rzeźnika, wszyscy myślą, że kwiaty przeznaczone są dla ekspedientki - cały ogonek zwraca się więc Annie, która nie wie, czy pochwali się ten jej zamiar, czy też ma się go jej za złe; postanawia jak najprędzej rozczarować ogonkowiczów, i gdy tylko jakaś kobieta staje za nią, zwraca się do niej donośnym szeptem: - Kochana!

Ja tustoję!

Tylko wpadnę na chwilę na górę złożyć życzenia pewnej starszej pani.

- Pani Walentynie?

- włącza się w ten dialog ekspedientka, rzucając na ladę kawałek schabu.

- Nie wiedziałam, że ma dziś mieniny.

48- Urodziny!

- wyjaśnia Anna i już zaznajomiona z całym sklepem, już rozpoznana (widziałam panią w telewizji - mówij jakaś kobieta, a ja w kinie - dodaje druga), nie bojąc się swojego miejsca w kolejce, może popędzić na górę.

Ledwie dotyka dzwonka, w przedpokoju rozlegają się gwałtowne szczekania Czikusia, a potem uciszające perswazyje jego pani, której nie od razu udaje się zamknąć w łazience.

- Madame!

- woła Anna, gdy starsza pani wreszcie ostrożnie uchyla drzwi.

- Madame!

- powtarza zdyszana, zupełnie zapomniawszy, co ją tu przywiodło.

-Jest schab!

I polędwica!

Mam zamówioną kolejną dole.

Niech mi pani da swoją kartkę!

Madame Valentine wciąga Annę do mieszkania, sadza ją w fotelu, odbiera z jej rąk różę i -nie wiadomo dlaczego -zaczyna płakać.

- Moje dziecko!

Przecież ty jedziesz do Cannes!

- Tak!

-Anna całuje mokrą twarz starej nauczycielki.

-Tak!

Obiecałam przecież pani różę.

Ale ponieważ wybieram swoją miłośną kartkę, to i panimogę wybrać.

- Jedziesz do Cannes!

-krzyczy teraz histerycznie starsza pani, niemogąc wciąż opanować łez.

-Te wszystkie baby, które tam się zjadają, siedzą teraz w

gabinetach kosmetycznych, poddają się zabiegom i masażom, a ty stoisz w kolejkę po mięso!

Dziewczyno, nie daj się tak stłamsić, wszystko ma swoje granice!

Anna podchodzi do lustra, przygląda się swojej twarzy.

- Masaże sami jeszcze niepotrzebne, a Sebastian z Szymonem lubią zjeść coś solidnego na kolację.

Nie mogę zostawić impusty lodówki.

- Przede wszystkim nie możesz prawie wprost ze sklepu mięsnego udawać się na festiwal do Cannes!

Co się z tobą stało!

Co się z wami wszystkimi stało!

Co..Anna czeka, że Madame Valentine, tkwiąca wciąż połową swojej duszy w winnym świetle, wypowie teraz swój ulubiony zwrot: Co oni z was zrobili!

- ale starsza pani inaczej kończy rozpoczęte zdanie:- .

co byna to powiedzieli twoi wielbiciele, gdyby zobaczyli ci?

w tym ogonku po mięso?

-Ależ Madame!

- Anna jest szczerze ubawiona.

-Widziałam niedosyć często.

I takie teraz czasy, że budzi to raczej sympatię

niż zgorszenie.

Nawet ministrowie chwalą się tym, że stoją w ogonkach, a co dopiero aktorzy.

-Nie, nie, nie!

- niemoże się z tym pogodzić starsza pani.

-Przynajmniej mam obowiązek doprowadzić do tego, żebyś pojechała do Cannes jako artystka, a nie babawykłócająca się w ogonku kurżenika.

-Tam są wszyscy dla mnie bardzo mili - śmieje się wciąż Anna.

- Poczekaj!

-Madame podchodzi do biblioteczki i wyjmujesz spośród książek pięknie oprawny tom.

-Poczytamy sobie "Cyda" Comeille'a, rolę Infantki.

Anna składa błagalnie ręce.

- Ale ja mam jeszcze tyle przygotowań przed wyjazdem.

Wpadłam tylko na chwilę.

- Na tomusiszmieć czas!

Słyszysz?

Musisz!

Nie wypuszczę od siebie bezzanurzenia choćby na krótko w atmosferze wielkiej sztuki.  
Artysta nie ma prawa żyć tylko codziennością.

Społeczeństwo powinno ochronić przed nią, a także wymagać, ażeby dobrowolnie nie  
pozwalał się jej niszczyć.

Starsza pani przerzuca pośpiesznie kartki książki i znalazłszy odpowiedni fragment, podaje ją  
Annie.

- Ty czytasz Infantkę, a ja Eleonorę.

- Przecież umiem rolę Infantki na pamięć.

- Kolejka przede, myśli Anna, ale trudno!

Może madame ma rację?

Niepowinno się godzić, żeby życie oskubywało mnie w wszelkich wzniosłości.

Gdy kończy się scena między Infantką a Eleonorą, madame Valentine odkłada książkę na jej  
miejsce na półce i wyciąga szufladę małego sekretarzyka.

- Mam tu coś dla ciebie - mówi tajemniczo.

- Co takiego?

- pyta Anna bez zainteresowania, chwyciła już torebkę i jest gotowa do lotu ku wszystkim swoim  
niezależnym sprawom.

- Popatrz tylko!

- Madame Valentine odwraca się ku niej.

Trzyma w ręce piękną kameę.

- To dla ciebie!

Od dawnąci to chciałam dać.

- Ależ to.

to bardzo cenne!

Nie mogę tego przyjąć.

- Nie mów mi takich rzeczy.

Nie znam nikogo godniej szego, kto mógłby ją nosić.

50- Jest bardzo piękna.

Dziękuję!

Ale to za drogi prezent.

- Cicho!

Itak to komuś wszystko zostawię.

For die Leichen Erben - znasz to niemieckie powiedzenie?

Dla śmiejących się spadkobierców.

Tylko czekają, kiedy umrę, a oni to wszystko zagarną.

Coraz częściej myślę, że bym zrobił paskudny kawał!

- Starsza pani śmieje się cichutko.

- I właśnie dziś zaczynam!

Anna wciąż jeszcze się wzbrania od przyjęcia tak kosztownego prezentu, ale schyla głowę,  
gdy madame zakłada jej kameę, i ośniona patrzy w lustro.

- Skąd pani wiedziała, że tak bardzo będzie pasować do sukni?

Nawet ta brązowa aksamitka!

- Przeczucie!

Iżyczliwe myśli!

- Madame Valentine całuje Annę w czoło.

- Noś szczęśliwie!

I długo!

- Och, dziękuję!

Dziękuję pani!

- A teraz mykaj, jeśli tak bardzo się śpieszysz.

Dziękuję ci, że przysłaś!

Anna przystajana schodach, żeby ochłoniąć z doznanych wrażeń.

Alena dole przed sklepem rzeźniczym nie może się opanować - i wchodzi jednak do środka.

Co zaszczęście!

Kobieta, za którą zamówiła miejscówkę kolejną, jest akurat przy ladzie i "zaświadcza" przed później przybyłymi, że "ta pani tu stała".

- Dzień jest więc naprawdę piękny, Anna wykupuje całą przydzieloną kartkę powtarzając słowa Infantki, wybiega z sklepu, łapietaksówkę i przez chwilę waha się, czy nie pojechać po Sebastiana i wcześniej nie zabrać go z przedszkola, ale inną myśl wydaje jej się bardziej od tej uroczą, więc każe się najpierw wrócić do domu, a w windzie decyduje się wstąpić na czwartą piętro, do pana Feliksa.

Podrodzemyśli, że świat, dzisiejszy świat nie mógłby funkcjonować należycie bez tych wszystkich starszych ludzi, którzy przyjmują na siebie obowiązki wybawców w nieprzewidywalnych okolicznościach.

- Kochany panie Feliksie!

- zaczyna od progu.

- Mam do pana wielką prośbę!

- Wiem, wiem - uśmiecha się żywiutkijeszczę, choć już bardzo przygarbiony pan Feliks.

- Kocham Sebcia jak rodzonego wnuka i przypilnuję, jak długo będzie pani w Cannes.

Słyszał pan w radiu!

Czytał pan w prasie?

51.- Nie, tonasz pan Fjałkowski powszystkich lokatorach rozniósł tę nowinę.

Bardzo z pani dumny!

- Mój Boże!

- szepcze Anna.

Przysiadła na krzesło, złożyła na kolanach wyładowane sprawunki misiatki.

- Ja też jestem dumny!

- dodaje pan Feliks.

- To wielkie wyróżnienie brać udział w takim festiwalu.

Bo chyba najważniejsza w świecie?

- Najważniejszy!

- z satysfakcją przyznaje Anna.

- I będzie tam wiele osobistości, które liczą się w świecie filmu?

- Przypuszczam.

- Dobrze być młodymi pięknym!

- mruczy pan Feliks.

- Och!

- Anna odstawia siatki, żeby go uściskać.

- Pan miał także okres swojej świetności.

- Tak - podługiej chwili wyznaje emeryt.

- Cztery lata w Lasach Lipskich, kiedy nie dałem się Niemcom ani złapać, ani zabić.

Milczą teraz oboje, on - bo wspomina ten straszny, ale heroiczny, ale wielki czas, ona - bo po prostu nie znajduje słów, które mogłaby w tej chwili powiedzieć.

Chwyta więc swoje siatki i już przy drzwiach uśmiecha się jeszcze raz do pana Feliksa: - Nie wiem, jak się panu odwdzięczę.

Sebastian nawet u mojej mamy nie lubi tak być, jak u pana.

- Cieszę się, bardzo się z tego cieszę.

- Wiem, że nie stanie się żadna krzywda i mogę być o nie - ^go spokojna.

- Najzupełniej.

Idla mnie to przyjemność, niech mi pani wierzy.

Zawsze samw tych czterechścianach.

Nierazmyślę: niechbyktoś przyszedł!

Niechby tu ktoś ze mną pobył.

- Przywiozępanucośz Cannes.

Albo z Paryża.

Ma panjakieśulubione zagranicznepapierosy?

Starszy pan z żalem potrząsa głową.

- Nie palę.

-Od kiedy?

Cosię stało?

- Doktor zabronił.

Już i tego musialem się wyrzec.

Na starośćopadają z człowieka przyjemności jak listkiz drzewa.

A kiedyzostanie jużgoły pień,najwyższy czas, żeby przyszedł ktoś i gością.

-A fe!

Panie Feliksie!

Co zamysli okropne w taki pięknydzień!

-Kiedy Sebastian będzie ze mną, ani rozumnie te myśli nienawiedzą.

-Dziękuję panu!

W swoim mieszkaniu Anna wyjmuje z siatek zakupy;mięsoimasło wkłada dolodówki.

Myje się, jeszczezrobi makijaż,staranniejszy niż rano, iprzezchwilę siedzi przed lustrem,co jejsięw domu raczej rzadkozdarza, dość mapatrzenia w lustro wgarderobie.

- A więc jakaż to myśl wydała jej się bardziej uroczaod tej, żeby wstąpić po Sebastiana i zabraćgo wcześniej z przedszkola?

Ta właśnie, żeodbiorą Sebastiana oboje - ona iSzymon,poktórego pojedzie do sądu i jeślitylko nie ma dziś rozprawyi będzie mógł wyjść o zwykłej godzinie.

Szybko nakręca numersekretariatuwyzdziałukarnego i ponieważ świat jest takipiękny odkilku dni, starasię być bardzo miła dla pani Wisi:-Dzieńdobry pani!

Tu Turoniowa.

Czy mogę mówićz mężem?

- Nie - odpowiadaabsolutnie jednoznacznie pani Wisia.

-Ma rozprawę?

- głos Anny traci dużo z poprzedniej jasności.

-Tak.

Ma rozprawę.

- Czy.

Przepraszam.

Czy pani sądzi, że rozprawa skończysię do trzeciej?

- Napewnonie.

-Dlaczego?

- Bo na pewno się nie skończy.

Prokurator żąda karyśmierci.

Anna odkłada słuchawkę i przez chwilę stoiprzy telefonie jaksparaliżowana.

Na ławie oskarżonych siedzi napewnojakiś morderca, zabiłkogoś, więc sam na siebie wydał wyrokśmierci -totwierdzenie Kanta,pamięta je z długich dyskusji z Szymonem naten temat.

Przyznaje rację Kantowi, ale dziś, w tendzień dla niejtak cudowny, niechbysię niestało zadościej zasadzie, niechbySzymon.

Myśl jestniedorzeczna, zupełnie niedorzeczna.

Annachwyta torebkę i wybiega z domu.



Odebrany przedszkola Sebastian natychmiast wyczuwa, że coś się stało.  
Nic niemożna przed nim ukryć - myśli Anna, nie miała dotąd co ukrywać, ale gdyby coś takiego się zdarzyło.

Niktakiego nigdy się nie zdarzy - myśli, mocniej ściskając w dłoni małą rączkę.

- Mama jest bardzo zmęczona - wyjaśnia, gdy Sebastian wciąż się dopytuje, dlaczego nic nie mówi.

53. - Czym?

- chce od razu wiedzieć.

- Och, nabiegałam się tyle po mieście.

Byłam w ministerstwie, u madame Valentine, u rzeźnika, winnych jeszcze sklepach.

- Czy musiałaś tyle biegać?

- Musiałam.

Bo jutro wyjeżdżam miałam wiele spraw do załatwienia.

Sebastian przystaje.

Milczy przez dłuższą chwilę, wysunawszy dolną wargę, wreszcie szepcze przez zęby: - Ja nie chcę.

- Czemu nie chcesz?

- Żebyś wyjeżdżała.

Nie chcę!

Anna ciągnie go za rękę, wiedziała, że ta rozmowa się odbędzie i że jednakże trudno będzie powstrzymać się od łez.

Ale tym bardziej stanowczo mówi: - Muszę.

Muszę wyjechać na kilka dni.

- Dlaczego musisz?

- Wiesz, że mama się pracuje.

Zarabiana chlebek, na mleczko, na cukierki.

I dlatego musi też teraz wyjechać.

To należy do jej pracy, rozumiesz?

- Nie!

- wrzeszczy Sebastian nacał ulicę, choć Anna wie, że wszystko dokładnie rozumie, pogodził się przecież z jej wieczorną nieobecnością i wietakże, że kiedy oglądamamę w telewizji, to jest to jej praca, za którą dostaje pieniądze.

- Na pewno rozumiesz, tylko chcesz mnie zmartwić.

Anna nie tak nie jest łatwo cię zostawić.

Pan Feliks będzie cię odbierał z przedszkola.

Sebastian milczy, ponuro zamyślony.

- I będziesz u niego, aż tatuś przyjdzie po ciebie.

A mama się coś przywiezie.

Coś ładnego i dobrego.

Nie chcę!

- wybucha znów Sebastian, nieprzejednany obietnicą prezentów.

- Nie chcę!

Nic nie chcę!

I zaczyna płakać, tak jak płaczą dzieci, nie wstydząc się swojej rozpacz, z odsłoniętą, nie zakrytą dłońmi anichusteczką twarzą - ryczy, aż oglądając się przechodnie, więc Anna chwytając ją w objęcia, unosi na brzeg chodnika i dramatycznymi gestami zatrzymuje ją.

W domu z trudem udaje się go udobruchać, zasypia wreszcie, może bardziej zmęczony swoją rozpaczą niż pogodzony z wyjazdem matki, i Anna wreszcie może zająć się pakowaniem,

ułożeniem w walizce rzeczy tak, żeby jak najwięcej miejsca zostało nasuknię, rozpostartą staranną wierzchu, bezniepotrzebnych załamań materiału.

Inaczej wyobrażała sobie nastrój tej chwili.

Może Ewka miała rację?

Może ona naprawdę nie nadawała się na festiwal?

Szymon wraca, na szczęście, tuż przed jej wyjściem do teatru.

Kładzie na stoleteczkę wypchaną aktami, a oznacza to, że długowoc będzie pisał uzasadnienie wyroku, który już zapadł, aktórze trzeba obronić przed ewentualnością rewizji.

Anna patrzy ze zgrozą na teczkę, na palce Szymona, które wyjmują z niej akta, układając je w wysoki stos.

Nigdy chyba jeszcze nie widziała czegoś tak ostro i wyraźnie.

- Muszę, niestety, już iść - mówi cicho.

Tak, zupełnie niedorzeczne są jej myśli sprzed kilku godzin.

Świat składa się z dobrego i złego, piękna i brzydoty i muszą być na nim ludzie, którzy uprzątają cały ten brud i świństwo, gromadzące się na ziemi każdego dnia.

Czy tym ludziom nie należało się więcej szacunku niż piękności?

Ale Anna jednak nie może, naprawdę nie może zbliżyć się do Szymona i tylko powtarza, jak przeproszenie: - Niestety, muszę już iść.

Muszę już iść.

IV następnego dnia rano okazuje się, że Anna do Cannes nie jedzie.

Niema jej na liście dewizowych diet, a Bogu ducha winna urzędniczka, jękając się i nie śmiać spojrzeć jej w oczy, informuje, że pani Turoń została wyłączona z delegacji do Cannes.

Wojtaszek Tarło, który już podjął swoją dietę, rzuca się do telefonu.

Ale wiceministra nie ma, wyjechał do Poznania, nikt niczym nie wie, i nie można się dowiedzieć, kto właściwie podjął decyzję o oszczędności dewizowych właśnie przy okazji wyjazdu delegacji na festiwal.

Wojtaszek odkłada słuchawkę i siada jak żonony gromem na krześle przy biurku speszzonej coraz bardziej

urzędniczki, która jednak zamknęła już na klucz podręczną kasę dewizami i ma zamiar właśnie umieścić ją z powrotem w ogniotrwałej szafie.

- Ja także nie pojadę - mówi Tarło.

Marek Sarpowicz rozważa w nie opuszczającym go sennym otępieniu - czy powinien powiedzieć to także.

Ale ma w portfelu obok listę zakupów, którą wręczyła mu żona, walczące w nim powinnoscinierówną mają siłę, więc milczy i postanawia milczeć, żeby nie umocnić decyzji reżysera.

- To niemożliwe - mówi Anna cicho.

- Niemożesz tego zrobić.

Nie możesz - powtarza, choć odczułaby pewną satysfakcję doznałaby pociechy, gdyby i on, i Marek także, nie pojechali do Cannes.

- Dlaczego nie mogę?

upiera się Wojtaszek, ale brzmi to prawie dziecinnie; Sebastian zacietrzewia się nieraz w podobny sposób, choć wie, że to na nic się zda.

- Po prostu nie możesz.

Musisz być obecny na pokazie filmu.

Wybuchłoby skandal, aktorki może zabraknąć, ale reżysera.

- Głos Anny się łamie.

Chyba się tu nie rozplacę - myśli wściekła na siebie - tego by jeszcze brakowało.

- Najgorsze w tym wszystkim jest to, że czuje się śmieszna, tak bardzo już gotowa do wyjazdu z torbą podróżną wręce, z walizką nogi, w której na samym wierzchu leży jej piękna festiwalowa suknia.

Urzędniczka zabrała już kasę do szafy, odebrała od Anny paszport i bilet, który zaraz trzeba zwrócić w LOT-cie, choć wciąż usiłuje wyglądać nazmartwioną, nie może mieć przecież pojęcia, co Anna przeżyje tego dnia, odwołując swój wyjazd do Cannes tam wszędzie, gdzie przed trzema dniami obwieszczała go z taką radością i triumfem.

Rodzice, stryj, teatr, madame Valentine, pan Feliks, paniew przedszkolu, och, i dozorca Fjałkowski, który pierwszy złożył jej gratulacje, i Szymon wreszcie - oni wszyscy mieli od niej usłyszeć, że do Cannes nie jedzie, że oszczędności dewizowe, zastosowane akurat w jej wypadku.

- Hanka, nie becz - prosi Wojtaszek, sam bliski łez z bezsilnej wściekłości.

- Pójdę do ministra!

- zrywając krzesła, ale urzędniczka od razu sprawia, że pada na nie z powrotem: - Pan minister także wyjechał.

A poza tym w sprawach kinematografii.

- Cóż za paskudna historia!

- jęczy Tarło, ale już słabiej i pokorniej, i Anna wie, że pojedzie na festiwal, że buntuje się tylko zezwyczajnej koleżeńskości przyzwoitości, którą nie może tumieć żadnego znaczenia.

Powinna czuć o tożal do niego, ale go nie ma, że mechanizmy rządzące ich śmiesznie małym światkiem, w którym bohaterów trudniej niż na polach bitew, bo przelana krew niewsiąka w papiery tak łatwo jak ziemię.

- Cóż za historia!

- jęczy wciąż Wojtaszek.

- Chyba zapeszyła nam cały udział w festiwalu.

- Nie bądź przesądny jak stara baba - Anna usiłuje się śmiechnąć, choć torażąco bezsensowne w jej sytuacji.

Jest także przesądna i już wtedy, kiedy wiceminister życzył jej zagranicznego engagement, ścierpiała w złym przekonaniu, że zapeszyło, o czym najskryciej marzyła.

No i ten wyrok, ten straszny wyrok, który akurat teraz musiał wydać Szymon.

Udawała wczoraj, że śpi, kiedy on długo w noc ślęczał nad aktami,

podpierając uzasadnienie wyliczaniem argumentów, które - choć starała się o tym niemyśleć - wciąż tłukły się jej pogłowie.

Nagminność przestępstwa!

Symptomy bezwzględnej nieprzydatności sprawcy do życia w społeczeństwie!

Jego niepoprawialność, czyli ujemna prognoza kryminologiczna!

Brak wyższej uczuciowości!

Sposób popełnienia przestępstwa z wielokrotnością skutku!

Zachowanie po przestępstwie!

Pasożytniczy tryb życia!

Tyle razy słyszała te określenia i nigdy tak bardzo nie przerażała jej ich treść.

Widziała nieomal, jak Szymon swoim starannym, wyraźnym pismem wypisuje je kolejno na arkuszach papieru, aby jutro dać jedoprzepisania sądzie - piękne, nie do podważenia sformułowane uzasadnienie wyroku, któremu Sąd Najwyższy na pewno nie będzie miał nic do zarzucenia.

- Hanka!

- Wojtaszek Tarło objął ją i pocałował w obydwie policzki.

- Tak bardzo mi przykro.

- I mnie - odzywa się w końcu Sarpowicz, z trudem pokonując nagłą chrypkę.

- I mnie!

- Tak.

Musicie się śpieszyć.

- Anna także chwyta swoją walizkę i skinąwszy głową żegnając ją z ulgą urzędnicze, wychodzi na korytarz, żeby tu szybko i już bez żadnych uścisków pożegnać się ze szczęśliwcami, których nie objęły dewizowe oszczędności.

Na pewno czułaby się lepiej, gdyby obydwaj zrobili komuś wściekłą awanturę, gdyby w końcu ona sama - do licha, chyba.

najbardziej dotęgowprawniona - zrobiła awanturę w kilku gabinetach, alenię było już nanić czasu, a może także chęć do walki z postanowieniem, chyba bardziej żenującym dla tych, w których go dzieliło, niż dla tych, którzy je powzięli.

Nie ona śpieszy się na lotnisko, nie ona musi szukać taksówki, której kierowca miałby ochotę jechać na Okęcie, a jednak pierwsza dopada drzwi i wydostaje się naurągliwie radosnego dnia słońce.

Jest dopiero wpół do dziesiątej, więc postanawia pojechać do teatru i jakby nigdy nic zjawić się na próbie.

W salce, w której wciąż odbywa się czytanie sztuki przy stole, zebrał się już prawie cały zespół i wjeżdżają Anny powitane jest gromkimi oklaskami.

- Och, jakie to miłe z twojej strony!

- Ewka Zabiełło ostrożnie, żeby nie zostawić śladów szminki, całują ją w policzki.

Znalazłaś czas, żeby pożegnać się z nami przed wyjazdem.

Anna stawia walizkę na podłodze, torbę podróżną rzuca na stół.

- Nigdzie nie jadę.

Żadną reżyserią nie dałoby się osiągnąć tak nagłego i doskonałego milczenia, jak to, które teraz zapadło.

- Nigdzie nie jadę - powtarza Anna głośniej.

Teraz dopiero powstaje wrzawa, wszyscy skupiają się wokół niej.

- Co się stało?

Dlaczego?

Co ty opowiadasz?

- Oszczędności dewizowe - że zbyt sztucznie bez troską swobodą obwieszcza Anna.

- Zastosowane akurat wobec ciebie?

- I w dniu odlotu?

- Tożłośliwość - mówi Bobrowski.

Wyraźna złośliwość!

- Ale dlaczego?

Wobec Hanki?

- Wobec nas wszystkich.

Wobec całego środowiska.

- Nie opowiadaj.

Od razu we wszystkim doszukujesz się podtekstu.

Nawyki aktorski.

- Może - wzrusza ramionami Bobrowski, nie przekonany.

- To okropnie nietaktowne - dochodzi wreszcie do głosu reżyser.

Niekryjąc się ze swojej egoistycznej radością dodaje: - Aledla mnie fakt, że bierze pani znów udział w próbach.

- Od zaraz - przerywa mu Anna.

- Od zaraz!

- Dziękuję pani.

Postaramy się wszyscy, żeby jak najprędzej zapomniała pani o tej przykrości.

- Och!

-Anna potrząsa głową.

-Już oniej niepamiętam.

- Zachowujesz się bardzo dzielnie - Ewka Zabiełto zno-wucałuje ją w policzek, niedbając już to, że zostawi na nim ślad swoich warg - ale nie da się ukryć, że zrobili ci paskudne świństwo.

Na twoim miejscu pojechałabym zaraz do którejś redakcji.

Właśnie tak, jak stoisz, przygotowana do podróży - z walizką, z tą suknią z Mody Polskiej, którą specjalnie musiałaś dać sobie uszyć na festiwal.

- A propos.

-Anna podprowadza Ewkę do kina, żeby nikt nie słyszał ich rozmowy - mówiłaś, że ci się podoba?

-Co?-Suknia.

Chciałaś ją odkupić po festiwalu.

- Och, tak!

-Możesz ją kupić zaraz.

- Żartujesz!

-Ani trochę.

I wcale nie za podwójną cenę.

-Nie cofam słowa.

Powiedziałam, że za podwójną, to za podwójną.

Mój malarz mapieniędzie.

Wystawia obrazy w tej nowej galerii w Intraco i wciąż coś sprzedaje.

Chwali się, że prywatnie zarabuje pieniądze na jego obrazach.

- No, dobra.

-Annie jest ciekawa tego wszystkiego.

-Zadzwoni do niego!

Ewka biegnie do sekretariatu i wraca po chwili rozpromieniona.

- Zjawi się tu podczas przerwy w próbie - obwieszcza.

-I z pieniędzmi.

Powiedziałam mu dwadzieścia pięć tysięcy, pięć dla mnie!

- Ewka znowu całuje Annę.

-Kiedy dziewczyna dużo kosztuje, powiedział, staje się naprawdę drogą.

Czy to nie cudowne?

- Cudowne - potwierdza Anna.

Gdy zaczyna się próba, stara się skupić nad czytaniem tekstem nawet jej się to udaje; w oczach reżysera błysko światła aprobaty przy kilku jej kwestiach, zaczyna więc odczuwać coś rodzaju podziwu dla samej siebie - potrzebna by jej była teraz rola, w której mogłaby imitać najordynarniejsze przekleństwa, a jednak potrafiła nie skazić swoim nastrojeniem jakiejś cholernie subtelnej postaci, którą grała w sztuce.

Malarz zjawia się punktualnie, nie ogolony, w przybrudzonej, pomiętej koszuli, ale tak jawnie zakochany w Ewce, że można mu wybaczyć.

Co on widzi w tej idiotce?

-myśli Anna z obudzoną nagłym niesprawiedliwym zazdrością.

Bo przecież Ewka jest jej jedyną przyjaciółką od pierwszego roku szkoły teatralnej i ma naprawdę mnóstwo zalet.

Ale na Annę od dawna już nikt nie patrzył tak, jak teraz na Ewkę patrzy jej malarz, z tą pożądaną, roziskrzoną radością, jaka towarzyszy tylko początkom miłości.

Każdy następny dzień, następny krok w powszedniość i przyzwyczajenie odbiera jej blaski żar, i nawet jeśli się wciąż kocha, radości jest w tym coraz mniej.

Coraz mniej - myśli Anna - coraz mniej.

Ściskaw dłoni dwadzieścia pięć tysięcy (pięć dla Ewki) i czuje się tak jakby sprzedała wielką życiową szansę, może inna ta radość także; a jeśli i na nią miała ochotę, jeśli jej się spodziewała, wstrząsaniągnęły dreszcz przerażenia, to dobrze, że los jej ją odebrał.

A Ewka przymierz teraz suknię przed największym lustrem w garderobie.

Nie krępując się tym, że przygląda się temu nie tylko cały zespół próbowanej sztuki, panie z sekretariatu, inspicjenci woźny, ale i jej malarz, zrzuciła spodnie i bluzkę, i w figach tylko wspaniała, naprawdę wspaniała dziewczyna - nakłada na siebie miodowo-bursztynowe cudoz Mody Polskiej.

- Sam bym lepiej skomponował tych barw - szepcze malarz.

Ewka obraca się przed lustrem, ukazując się patrzącym z każdej strony.

Ma tak samojak Anna długie nogi doskonale wyglądające w króciutkich, marszczonych spodenkach brązowego aksamitu, musiała się już opalać na balkonie (kiedy? kiedy?)

- myśli Anna - chyba rano przed próbą albo po południu między próbą a przedstawieniem? ), bo plecy jej mają już ten złotawy odcień, nieodrodnym dla wykończenia całości.

- Słuchaj, Ewka - mówi malarz, wciąż patrząc na nią roziskrzonym wzrokiem, który ma się tylko w pierwszych dniach miłości - czy nie uważasz, że do takiej sukni pasuje tylko ślub?

- Nie rozumiem - mówi Ewka, nieruchomiejąc przed lustrem.

- W lot powinnaś zrozumieć.

Innej dziewczynie nie musiałbym tego powtarzać dwa razy.

- Mniemasz.

- A więc powtarzam.

I przy takim tłumie świadków!

Bierzesz ze mną ślub w tej sukni.

Urząd Stanu Cywilnego, jak długo istnieje, jeszcze czegoś takiego nie widział.

Co ty na to?

Zaprosimy pół 60 Warszawy.

Mam przyjaciela w Kronicy Filmowej.

Będzie ślub nacztery fajerki!

Powiedz coś!

Odezwi się, dziewczyno!

- Właściwie.

- Ewka pozwala się całować malarzowi i wszystkim po kolei - można by spróbować.

Jeszcze nigdy nie byłam mężatką.

- Zobaczysz, jak szybko się rozwiodą - szepcze Armie Doucha Bobrowski.

On jeden jest przy niej, zawsze zgryźliwy, chorujący na wrzód żołądka i nigdy nie obsadzany w głównych rolach, co mogłoby być zarówno powodem, jak i skutkiem choroby, teraz jest przynajmniej, jakby zażenowany tym, że wszyscy niezapomnieli, że nikt już nie zwraca na nią najmniejszej uwagi.

- Może mnie nawet pocieszyłeś, Sewerciu - szepcze Anna w blade ucho kolegi.

- Bo jakby naprawdę dopiero teraz wiem, że nie jadę do Cannes.

Popróbie Anna zgłasza kierownikowi artystycznemu teatru swój udział w granej wieczorem sztuce zostawiając w garderobie walizkę torbę podróżną, zastanawia się, od kogo zacząć odwoływanie swojego wyjazdu.

Paragraf?

- Nie, do Paragrafa nie zadzwoni.

Inaczej niedługo, że pewnie jest na sali rozprawy musiałaby się narazić na rozmowę z panią Wisią, jej komunikując, że nie jedzie do Cannes.

Czyby to rozumiała, czyby pojęła, co znaczy dla niej nie jechać do Cannes?

Najpierw więc trzeba zawiadomić osoby, które to pojmą i zmartwią się tym serdecznie.

I nie pocieszysz ich to, że dostaną z powrotem swoje pieniądze.

Ikameę, kameę także.

Matka się spłakała.

Wszystkie panie, prócz tej, która musiała wydawać lekarstwa, zbiegły się na zaplecze, otoczyły Annę, takszczerze zmartwione, jakby one musiały się rozstać z jakimiś swoimi marzeniami.

Żal stajesię jeszcze większy, gdy Anna wyznaje, że sprzedała suknię.

- Ależ dlaczego?

- Matka patrzy z przerażeniem nasiedem tysięcy, które Anna położyła na stole.

- Dlaczego?

Było ci w niej takładnie!

- Noi koniec.

Nie chcę jej już.

Nawet nie miałabym okazji, żeby ją gdzieś pokazać.

Zwracam pieniądze i dziękuję za pożyczkę.

Jadę zaraz do stryja Alfreda.

Ojciec nie wrócił mu pewnie jeszcze tych piętnastu tysięcy?

- O ile wiem, to nie.

Był bardzo zajęty.

61.- Tosię dobrze składa, zaraz zrobię to sama.

- Może przyszlabyś wieczorem do domu?

- Matce nie podobasię ten spokój Anny, jej rzeczowa oschłość, wie, co się pod tym kryje, zna swą córkę lepiej niż ona sama siebie.

- Do domu!

- powtarza, a dom to są tecztery ściany, gdzie jest matka i ojciec, gdzie zawsze było miejsców wszelkich pocieszeń.

Ale Anna tym razem nie chce o tym pamiętać.

- Nie mogę - mówię wciąż tym samym twardym, oschłym tonem.

- Gram wieczorem.

- Grasz?

Przecież przygotowano zastępstwo?

- Już je odwołałam.

Jestem, więc gram.

- Anusiu!

- Matka usiłuje ją przytulić.

^ - Ależ naprawdę nicmi nie jest.

Nie wyobrażasz sobie chyba, że będę rozpaczać.

- Wiem, że jesteś nato za rozsądna - teraz pani magister starasię opanować, zrozumiała wreszcie, że pocieszanie Anny jest najgorszą terapią na jej smutki.

- No właśnie Anna poprawiana ramieniu pasek od torebki.

Jadę do stryja Alfreda, potem jeszcze w jednomiejsce i.

będę miała towszystko z głowy.

- Czy Szymon już wie?

- Nie.

Ma rozprawę.

A jak Szymon ma rozprawę - wybuchą Anna - wszystko wokół może się zawalić, byleby tyłkonie zawaliła się sala sądowa.

- Haneczko!

- panią magister ponownie ogarnia przerażenie.

- No, nic.

Lecę.

- Zadzwoń po przedstawieniu.

-Nie będę mogła.

Nierozmawiam przez telefon, kiedy Sebastian śpi.

-Nic mu się nie stanie, jeśli się obudzi.

Ten jeden raz.

- Dobrze, mamusiu.

-Anna zdobywa się na uśmiech.

-Zadzwonię.

Stryja Alfreda zastajemy razem kompletnie gotowego do wyjścia i dosłownie - w drzwiach.

- Czy coś się stało?

-pyta od razu.

-Chyba o tej porze powinnaś być już na lotnisku?

- Nie jądę do Cannes - po raz trzeci tego dnia obwieszcza Anna.

Idąc, że stryj siedokądś śpieszy, w największym skrócie opowiada o swoich rannych przeżyciach.

- Sprzedałam suknię - kończy - więc mogę stryjowi od razu oddać to, co stryj pożyczył ci, ite dziesięć tysięcy, które.

-Ależ dałam ci je i nie ma powodu, żebyś mi je zwracała.

-Stryj wciąga jednak Annę do środka, wyjmując butelkę koniaku, nalewając do dwóch kieliszków.

- Napijmy się!

-mówi.

- Odrobina rauszu dobrze ci zrobi.

-Och, nic mi nie jest - Anna pociągając kromniutki łyżeczek, żeby potwierdzić swój bezwzględny spokój i opanowanie.

- Poprostu los spletał mi figła.

-Dość paskudnego, trzeba przyznać.

Ale dlaczego zrzędzeniem losu nazywać to, co spreparowali ludzie?

Gdybyśmy i w przyinnych okazjach tak oszczędzali dewizy, być może nie mielibyśmy takich długów.

- Stryj dokądś się śpieszy?

-Anna pragnie uniknąć wątków przykrego dla niej tematu.

- Tak.

Przepraszam cię, jestem umówiony.

Chciałbym z tobą posiedzieć, ale nie mogę już odwołać spotkania.

Schowaj mi zaraz te dziesięć tysięcy i nie denerwuj mnie.

Kup sobie za nie na pocieszenie coś ładnego.

Nie tak nie poprawiasz samopoczucia jak odrobina lekkomyślności.

- A więc powinniśmy jako naród mieć jak najlepsze samopoczucie na świecie.

-Brawo, Hanka!

Marnujesz się na scenie, gdzie wciąż musisz mówić cudzym tekstem.

Może w niedzielę rano wpadłabyśeswoimi panami, żeby pogadać?

- Mogłabym przyjść tylko z Sebastianem.

Szymon najprawdopodobniej znów będzie pisał uzasadnienie jakiegoś wyroku.

- Wielki Boże!

Nie robimy tego w domu?

- Wyłącznie!

Podobno w sądzie niemożesz kupić.

Taszczydo domu kilogramy akt i ślęczyna d nimi po nocy.

- Biedna dziewczynko!



-Stryj Alfred zerka nieznacznie na zegarek.

-Mogę cię podrzucić do domu.

- Za nic!

-Anna dopija swego koniaku.

-Sebastiana z przedszkola odbiera pan Feliks, nasz sąsiad czwartego piętra, mam więc dzisiaj wolne całe popołudnie, aż do przedstawienia wieczorem.

Ale jeśli stryj miałby ochotę mnie podwieźć, to pod inny adres, mianowicie na Mokotowską 63.- O, ho, ho!

Cóż to za tajemnicza historia!

- Wcale nie tajemnicza.

Od pół roku, od premiery filmu i pierwszych dobrych recenzji, jakie zebrał, zaczęłam pobierać lekcje francuskiego u cudownie niedzisiejszej madame Valentine.

Domyśla się stryj, na co był mi potrzebny ten podszlifowany francuski?

- Moje biedne dziecko!

-Nie, nie, stryjciu - żadnych rozczulani! Jestem twarda jak granit.

To, że mi się trochę chce beczeć, jeszcze nic nie znaczy.

Otoż madame dała mi w związku z wyjazdem do Cannes piękny prezent, kameę, bardzo pasującą do sukni.

Muszę ją zwrócić, bo skoro niejadę.

- Obrazisz staruszkę.

-Stryj po raz drugi, już nieco nerwowo, zerknął na zegarek, klucze zadzwięczały w jego dłoni.

-Radzę ci się zastanowić.

Madame Valentine rzeczywiście prawie że się obraziła.

- Co ty mówisz?

-woła.

-Zwracasz mi ją, bo nie jedziesz?

Co za głupstwo!

Chcę, żebyś ją miała!

Zrobili ciś wiństwo, o jakim świat nie słyszał, więc miej przy sobie coś, co ofiarowanociz całego serca.

Powiedziałam ci już- komu to wszystko zostawię?

Für die lachenden Erben?

- Starsza pani wyciera chusteczką mokre od płaczu oczy, wydychuje w nią wziębrany tkliwością nos.

Inagle zrywa się z fotela.

- Zrobię ci kogel-mogel!

Imocną, gorącą czekoladę.

Dostałam właśnie w paczce.

- Ależ dziękuję -niezbyt stanowczo broni się Anna.

-A może ty obiadu nie jadłaś?

Przyznaj się!

- Zjem coś przed przedstawieniem.

-Kiedy to będzie?

Ja ci coś powiem - madame zatrzymuje się w drzwiach.

- Mam zupę pomidorową z kładzionymi kluseczkami.

Marchewkę z groszkami ziemniaczki.

Nie pogardzisz?

- Uwielbiam zupę pomidorową i groszek z marchewką!

-No, widzisz.

A nadeser kogel-mogel z gorącą czekoladą.

Anna czuje ucisk w gardle, wiele wytrzymała tego dnia, przykrości i serdeczności, ale kogel-mogel, który dla niej ma zrobić madame Valentine, tak jak ona nieraz robi dla Sebastiana na pocieszenie w jakichś jego martwionkach, rozkleja ją zupełnie.

Głęboko wciśnięta w fotel, przymyka oczy i starasie o niczym niemyśleć.

Czikuś zamknięty w łazience posapuje wzdłuż szpary w drzwiach, z kuchni dochodzą dźwięki krzątania się madame, przez otwarte okno napływa podwórkowy gwar, śmiechy i pokrzykiwania dzieci, nawoływania ich matek - wszystko działa dziwnie kojąco.

Chciałaby zasnąć tutaj i spać tak długo, ażby się cudowną jakąś mocą przeterminowały jej smutki i powróciła dawna spokojna zwyczajność.

- Jedz zupę!

- Madame Valentine stawia przed nią dymiący talerz.

- Od razu poczujesz się lepiej, jak napełnisz żołądek czymś ciepłym.

A do Cannes masz szansę jeszcze pojechać.

Długie życie przed tobą i wiele filmów, zobaczysz.

Wypuszczę Czikusia z łaźienki, bo rozchoruje się nerwowo.

Nie bój się, nic ci nie zrobi.

- Ależ wcale się nie boję.

- Anna zwykle siadana podkurczonych nogach, gdy Czikuś wpada do pokoju, teraz prawie pragnie, żeby pekińczyk poszarpał jej nowiutkie, założone po raz pierwszy na podróż rajstopy - ale piesek biegnie najpierw do kuchni, żeby sprawdzić, czy gość nie wyjadł jedzenia z jego miski, a potem wskakuje na drugi fotel i dysząc po tym wysiłku, z wywieszonym językiem, nie zdejmując z twarzy błyszczących oczu.

- Widzisz - mówi madame Valentine.

- Jaki grzeczny!

Poobiedzie i po czekoladzie, zagęszczonej ubitym z cukrem żółtkiem, Anna zasypia na kanapie, przykryta przez madame kraciatym pledem.

A gdy się budzi, Czikuś leży zwinięty na jej nogach, miłe ciepło, promieniujące z tego futrzanego kłębuszka, rozchodzące się po całym jej ciele - rozkoszując się nim przedłużając strawa nieruchomemu żadna myśl nie przywołuje jej do rzeczywistości, użyczona jej przez Czikusia zwierzęca ufność jest całym jej istnieniem.

Inagle, jak sztylet w sam środek mózgu: Nie pojechałam do Cannes!

Zlekceważono mnie!

Odebrano szansę, na którą czekała się całe życie!

Poniżono i zdeptano!

Jak wyjdzieś na scenę?

Jak zdoła wydusić siebie chociaż słowo?

Wybuchnie skandal!

Ale niech wybuchnie skandal!

Wyniosą ją zsceny i wszyscy będą wiedzieli, dlaczego tak się stało.

Anna odrzuca pled, strąca z nóg przerażonego pekińczyka i siada gwałtownie na kanapie.

- Madame!

- woła.

- Chyba nie pojedę do teatru.

Madame Valentine staje w drzwiach pokoju zaniepokojona.

- Jak to nie pojedziesz?

Właśnie miałam cię budzić.

65.- Nie pojedę!

Nie mogę.

Zabraknie mi siły, żeby wyjść na scenę.

Och, po co odwołałam zastępstwo.

Po co tak bardzo.

takbardzochciałam pojechać do Cannes?

- Anna podnosi ręce dooczu(nie potrafi tak jak Sebastian płakać z odsłoniętą twarzą), alew tej samej chwili ostry dzwonek rozlega się w przedpokoju, niespodziewany kontrapunkt jej rozpaczy.

Czikuśzaczyna ujadać, rzucając się ku drzwiom inie ma jużmowy o płaczu, o wybuchu, który groziłjej przed chwilą, Annapoprawia włosy, sprawdza palcem, czy na rżęsach nie ma łez, ktośtu zaraz wejdziei trzeba się rozpogodzić, jest przecież aktorką, nieraz miewało się role, wktórychzdarzały się katastrofy, a ponich zaraz trzeba się było śmiać, więc i teraz, choć nie jest to rcla, ależycie, jej życie, potrafi chyba.

- Kto to możebyć?

-Madame Yalentine, szurając futrzanymi, mimociępłęgomaja, bamboszami, rusza do przedpokoju.

-Lekcjidziś nie mam.

I nagle wśród jazgotliwego szczekania psa, dźwięku opuszczonego przydrzwiach łańcucha i szczęku kluczy w dwóch zamkach - odzywa siędyszany głos Szymona:-Czy Annatu jeszcze jest?

-Jest, jest- odpowiada niewiadomo dlaczegouradowana odrazu madame.

Nie zaczęła nawet, żeby się przedstawił ten zupełnie jejnieznany młody człowiek, wystarczy jej, że Anna jużprzy nimjest, jużgo obejmuje, ściska, tuli, całuje bez tchu.

- Skąd.

Skąd wiedziałeś.

- Stryj Alfred do mnie zadzwonił.

-Szymontrzymajawobjęciach, wgarniętą w jego ramiona, wciśniętą w nie, oplecionąnimi ciasno, nieistniejącaprawie osobno - .

stryj Alfred powiedział mi, że nie pojechałaśdoCannes, że podwiózłcię tutaj i żegraszwieczorem, więc pomyślałem sobie, że dobrze.

że dobrze będzie, jeśli przyjadę tui będę razem z tobą.

VPoranek, który otwiera na nowo całązwyczajność, całą szarącodziennosc życia, o dziwo, dzięki wczorajszemu wieczorowi nie jest zły.

Smutki naprawdę jakby uległy przeterminowaniu, Anna podśpiewuje ubierając Sebastiana, jak mogłam być tak głupia, myśli, żeby poddawać się rozpaczy ztak błahego powodu?

No więc cóżz tego, że nie pojechałam do Cannes?

Mam męża i dziecko, nieistnieje nic ważniejszego dla kobiety, naprawdę nie istnieje nicważniejszego, trzeba o tym pamiętaći trzeba.

- Nigdzie nie pojedziesz?

-upewnia sięSebastian.

-Nie, nigdzie nie pojedę.

-I będziesz ze mną?

- Tak jak co dnia - rano, po południu i w nocy.

-Ale w poniedziałekcały dzień?

- W poniedziałek cały dzień.

-I pójdziemy na lody?

- Pójdziemy na lody.

-Do Texu?

- Do Hortexu.

Anna odkrywa w sobie niewyczerpane pokłady słodyczyi cierpliwości.

Zapina samawszystkie guziki przy kurtce i spodenkach Sebastiana, szcztokuje delikatnie jego czuprynkę, wciska nanią corazbardziej jużprzyciasnądżokej kę.

- Samasię poszczotkuj!

-mówi Sebastian, który uwielbia przyglądać się toaletowym zabiegom matki, więc Anna kilkomapociągnięciami szczotki poprawia swoją fryzurę i w pośpiechu maluje usta; nie musi dziś nikogo zadziwić urodą i starannym wyglądem, dzień jest całkiem zwyczajny, a ona jedną z aktorek, które nie jadą do Cannes.

- Idziemy!

-mówi do Sebastiana.

Otwierając drzwi, a za nimi, na wycieraczce przed progiem - Annanie wierzy swoim oczom - stoi, już z ręką uniesioną dodzwonka, jeszcze do dzisiaj jawnie zmartwiona i speszona urzędniczka, która poprzedniego dnia wypłacała jej dewizowych diet.

- O, Boże!

-woła, prawie rzucając się Annie na szyję.

-Jakie to szczęście, że panią zastałam!

67.- Dlaczego.

- Anna cofa się do środka, ciągnąc za sobą Sebastiana.

-Co się stało?

Młoda osoba wchodzi do pokoju, błyskawicznie otwiera torebkę, wyjmując z niej wszystko, co wczoraj zamknęła w swojej jodłowej kasie.

- Pan minister.

-wyjaśnia, z trudem łapiąc oddech pan minister wrócił z Poznania i dowiedział się, że pani nie pojechała do Cannes.

Okazało się, że to nieporozumienie.

tak, to fatalne nieporozumienie.

i proszę, tu jest paszport.

bilet lotniczy nadziś.

i diety.

Jeszcze zdąży pani na otwarcie festiwalu.

Anna w pierwszej chwili nic z tego nie rozumie.

Nie poprosiwszy gościa, żeby usiadł, sama siada na brzeżku krzesła, odsuwając siebie Sebastiana, który tarmosi jązarkę.

- Mama!

Idziemy?

- Poczekaj - mówi słabo.

-Za dwie godziny ma pani samolot do Paryża - ciągnie dalej urzędniczka, wciąż wyrzucając coś na stół ze swojej przepastnej torby.

- W Paryżu złapie pani samolot do Nicei, a stamtąd dostanie się pani jakoś do Cannes.

Proszę pokwitować tutaj odbiór diet.

Biletysą powrotne.

- Ależ janie mogę!

-Anna odzyskuje wreszcie głos.

Podnosząc rękę do twarzy i dopiero teraz ma naprawdę ochotę zapłakać.

- Niemogę!

Jak pani to sobie wyobraża?

Za dwie godziny samolot do Paryża!

Przecież ja wszystko odwołałam.

Rozpakowałam się, nawet.

nawet sukni już nie mam.

- A..

co się z nią stało?

- młodą dziewczynę ze wszystkich spraw do natychmiastowego rozstrzygnięcia najbardziej zaciekawia ten fakt.

-Mniejsza z tym.

Nie mam!

- Ico zrobię z dzieckiem?

Jak zawiadomię męża?

- Są przecież telefony.

-Aleni wszyscy mężowie przy nich siedzą.

Mój jest w tej chwili prawdopodobnie na sali rozpraw.

- My zawiadomimy męża.

Biorę to na siebie!

- Mama!

Idziemy?

- dopytuje się Sebastian.

-Niech się panipakuje!

Proszę.

Bardzo proszę!

Za dwie godziny ma pani samolot do Paryża.

Samochód czeka przed domem.

Odwiozę panią na lotnisko.

68- Dziecko!

- krzyczy Anna, bo Sebastian, który zaczyna już pomалу wszystko rozumieć, wpatruje się w nią czujnymi oczyma.

Co mam zrobić z dzieckiem?

- Przecież miała pani jechać wczoraj młoda osoba nie traci przytomności -musiała to panijakoś zorganizować.

-Oczywiście - wczoraj!

Pan Feliks czwartego piętra.

Nawet nie wiem, czy jest w domu.

- Zaraz doniegnę.

Niech się panipakuje.

- Urzędniczka jest już w drzwiach, ale jeszcze od progu woła: - Ma pani chyba jakąś wieczorową suknię?

-Mam, oczywiście - szepcze Anna zupełnie oszołomiona.

Irzuca się do szafy, wyjmując niej wszystkie suknie, ale żadna nie wydaje jej się odpowiednia natak świetną okazję.

W końcu decyduje się na czarną długą spódnicę i białą bluzkę szeroką, suto haftowaną falbaną przydekolcie, w której nieraz występowała na estradzie; trudno, myśli, będzie wyglądała jak maturzystka na pierwszym balu, ale to przecież nie ma żadnego znaczenia, nic w tej chwili nie ma żadnego znaczenia przy rozpaczy Sebastiana, który już dokładnie wszystko rozumie, rzuci się płaczem na walizkę, bije pięściami, kopie.

-Obiecałaś!

Powiedziałaś, że nigdzie nie pojedziesz!

- Ale zmieniłaś się.

Wiedziałaś, że mamusia miała jechać wczoraj - i już byłeś grzeczny, już wiedziałaś, że tak musi być.

-Ale dzisiaj powiedziałaś.

Na szczęście pan Feliks, wyraźnie popychany i przynaglany przez postępującą za nim urzędniczkę, staje w drzwiach i bierze Sebastiana na ręce.

- Mamusia bardzo szybko wróci, zobaczysz.

-Nie chcę!

- ryczy Sebastian.

-Obiecała!

- Obiecała, bo nie wiedziała, że ta pani przyjedzie z biletami i że jednak będzie musiała jechać.

-Dlaczego.

musiała?

- przycichanie co Sebastian.

-Bo, takie jest życie - pan Feliks nieznajduje żadnego innego wytłumaczenia na to, co dzieje się przed jego oczyma; Anna jest mu nieskończenie wdzięczna, że zdjął z niej ciężar uspokajania Sebastiana, obiecuje sobie, że za diety wyda na prezenty dla pana Feliksa, który wart jest w tej chwili wiele, bardzo wiele, bo Sebastian pochłupuje coraz ciszej i pozwala matce wrzucać

(w kompletnym popłochu) do walizki przypadkowo wygarnięte z szafy rzeczy.

- Kosmetyki pani wzięła?

-przypadkiem przypomina urzędniczkę.

Anna wpada do łazienki, zbiera z półek pod lustrem jakieś sztućki, tubki i flakony, nie ma czasu myśleć, nie ma możliwości zastanowić się nad tym, co robi, jakieś okrucyństwo świadomości podsuwają jej motywy innych rozwiązań i zachowań, może powinna się obrazić i podziękować teraz za zmianę decyzji.

podziękować i odesłać tę panią, skąd przyszła, z jej biletami i dietami w dewizach, może powinna powiedzieć jej, że wczoraj miała, adziś nie ma ochoty jechać do Cannes.

ale, mój Boże, kto nie miałby ochoty jechać do Cannes, kto nie pozwoliłby się tam wysłać nawet w takich okolicznościach, w takim wariackim pośpiechu, kiedy wszystko rąk leci, a Sebastianowi nie obeszły jeszcze policzki od łez.

- Prędzej!

-przynagła urzędniczkę, - Na litość boską, nie możemy się spóźnić na samolot!

-Z niewiadomego powodu używaj cizby, jakby i ona leciała do Cannes, absolutnie odpowiedzialna za dostarczenie tam swojej podopiecznej.

- Nie spóźnimy się!

-warczy Anna nad walizką, która niedaje się dopiąć.

-I tak wykazałam maksimum dobrej woli.

i przytomności.

Żeby w ten sposób.

W ten sposób wyjeżdżać do Cannes.

-Niech pani będzie spokojna - pan Feliks wie, kiedy powinien interweniować przypomnieniem swojej życzliwej obecności.

-Niech pani o wszystko będzie spokojna!

Pana sędziego zawiadomię, Sebastiana zawiozę i przywiozę z przedszkola, oka z niego nie spuszczę, dopóki pana sędzia nie wróci.

- Och, dziękuję panu!

Dziękuję!

- Anna całuje starszego pana i wskazuje do łazienki, żeby się przebrać, z przerażeniem spostrzega, że strzeliło jej czołko w rajstopach, ale tę nową parę, w której miała jechać wczoraj, wrzuciła do zamkniętej już (z takim trudem) walizki, więc musi jechać ze spuszczonym oczkiem, naniec nie ma już czasu; przerażona sytuacją urzędniczką wciąż woła do niej z pokoju, żeby się pośpieszyła, że nie mogą się spóźnić, och, naprawdę nie mogą się spóźnić, Anna wraca do pokoju, chwytając torbę, walizkę trzymając urzędniczkę, coraz bardziej przerażona tym, że jej podopieczna uważa za konieczne - jak w radzieckich filmach - przysiąc na chwilę przed podróżą.

-Na litość boską!

woła.

70 Ale Anny tonie obchodzi.

Patrzy na syna, uciszonego w końcu w ramionach pana Feliksa, na swój dom, chce go zapamiętać, chce tu wrócić tak sama, jaka stąd wyjeżdża, ani odrobiny inna - no, może jednak trochę sławniejsza!

Ta myśl podrywają krzesła.

Nie oglądając się już za siebie, wypada z mieszkania i - ponieważ winda jest akurat na dole - zbiega schodami do wyjścia.

Kierowca samochodu z ministerstwa, który - on jeden całkowicie spokojny - opalał się opuszczając szybę, podrywa się na jej widok, wysiada, okrąży wóz i otwiera przednią drzwiczki.

- Cieszę się - mówi - że jednak jedzie pan do Cannes.

Stylistka!

- myśli Anna, dziękując mu uśmiechem za ten aktorski akcent na słowie "jednak", którego wszakżemiotająca się wciąż jak wukropie urzędniczka wcale nie zauważa.

- Zdaży pan, panie Władysławie?

- pyta.

- Zawsze dowożę piękne panie tam, gdzie trzeba, i zawsze na czas - zauważa szarmancki kierowca.

Istotnie, przyjeżdżają na lotnisko jeszcze przed rozpoczęciem odprawy paszportowej.

Celną ograniczono wobec Anny jedynie dopieczętka na właściwym dokumencie, co nie obywa się bez równoczesnej prośby o autografy, Anna odzyskuje pomalutku pewność siebie, zwłaszcza że dyrygująca nią urzędniczka z centralnego urzędu pozostaje poza barierą sali odpraw i wciążnie spuszczając z niej oczu upodabnia się do kury, która, odprowadziwszy nabrzęstaw wychowaną przez siebie kaczkę, musi zatrzymać się na brzegu.

Anna zdobywa się na serdeczny uśmiech; w gąszczu urzędowych powinności, kompetencji, uzależnień i powiązań - nie wiadomo w końcu komu co przypisać, dziewczyna może była Bogu ducha winna.

Głos megafonie zapowiada odlot samolotu do Paryża, Anna pozostawia więc tę myśl niedokończoną i kieruje się wraz z innymi pasażerami kupodanemu w zapowiedzi wyjściu na płytę lotniska.

Głowado góry, dziewczyno, mówi do siebie, jedziesz do Cannes, jednak - jak to ujął kierowca - jedziesz do Cannes!

Lot do Paryża odbywa się bez większych emocji, nieliczących, których sama dostarcza, rozpoznana od razu przez stewardesę i pasażerów.

Patrzana nią, niektórzy mogą wiedzieć, że leci na festiwal do Cannes i dziwi się pewnie, że jest sama, bez osób towarzyszących, tak chętnie z różnych resortów i powodów bar71. dziej błahych wyjeżdżających za granicę.

W tym, że leci sama, ostatecznie upewnia wszystkich sąsiedztwo brodatego komisjonarza, który siedzi obok Anny - nie deleguje się przeciw komisjonarzy na festiwal, żeby towarzyszyli aktorkom, choć to może kiedyś byłoby i słuszne, i potrzebne.

Anna uśmiecha się do tej myśli, jakkolwiek nie przewiduje, żeby w Cannes czekały na nią jakieś szaleństwa, zwłaszcza w tym stroju dla maturzystek, który będzie miała na sobie, ale zerka jednak komisjonarzowi, starając się wyobrazić sobie sensację, jaką wywołałaby na festiwalu.

- Ksiądz leci do Paryża, czy gdzieś dalej?

- zagaja rozmowę, bardzo chce z kimś rozmawiać, panicznie chce z kimś rozmawiać, żeby nie myśleć o sobie, żeby nie dopuścić do siebie tego lęku, który może wyłonić się z każdej myśli, że oto zdana jest absolutnie sama sobie w zupełnie niewiadomych okolicznościach, idiotko, gani się, nikt nikogo nie uczy podróży zagranicznych i udziału w festiwalach, teraz dziewczyny ze wsi jeżdżą do Ameryki i Australii, prosto trzeba nie bać się życia, tak, jak ci

wszyscy ludzie, którzy zapełniają samoloty pociągają teraz sok pomarańczowy z podanych im przez stewardesy szklaneczek.

Misjonarz powoli zwraca ku niej głowę.

Jest młody, gąszcz zarostu nie od razu pozwalało dostrzec, w oczach ma odległe zamyslenie, możesz modlić.

- Narazie do Paryża - odpowiadają po długiej chwili, jakby potrzebnej mu do koncentracji.

- A po kursach językowych do Ghany.

- Wymagany jest tam język francuski?

- Nie tylko.

Także znajomość kilku afrykańskich narzeczy.

- Długo to potrwa?

- Anna bardzo chce przedłużyć rozmowę.

- Trzy miesiące.

- Misjonarz oszczędza słowa, jakby to były dewizy, skąpo zapewne wydzielone mu na podróż.

- Trzy miesiące?

- dziwisię Anna.

- Przez trzy miesiące nauczy się ksiądz kilku narzeczy afrykańskich?

- Chodzi o podstawowe słowa i zwroty, które pozwolą nawiązać kontakt z miejscową ludnością.

- Rozumiem.

Rozmowa się urywa.

Misjonarz patrzy teraz w okno, ale w końcu musi się odwrócić, kiedy i donich podchodzi stewardesa z sokami na tacy.

72- Pomarańczowy czy grapefruitowy?

pyta.

- Dla mnie pomarańczowy - prosi Anna.

- Grapefruitowy.

- Misjonarz bez uśmiechu odbiera swoją szklaneczkę z rąk przystojnej dziewczyny.

On się nas chyba boi myśli Anna - gdyby na moim miejscu siedział jakiś mężczyzna, napewno wiódłby z nim rozmowę o swoich misyjnych podróżach, ciekawe, czy i wśród Murzynek jest taki powściągliwy.

Anna usiłuje sobie wyobrazić tę spaloną słońcem afrykańską ziemię, na której w końcu wylądował jej sąsiad z samolotu po odbyciu kursów językowych w Paryżu.

Każda myśl, oddalająca od niej wyobrażenia różnojęzycznego tłumu, w który już za kilka godzin miała się wtopić (wtopić, tak, cóż za adekwatne słowo!

) w Cannes, była ukojeniem ulgą.

Pozazdrościła prawie misjonarzowi jego samotności na afrykańskich szlakach i znowu musiała skarcić siebie zato, że się nie cieszy tak, jak cieszyć się powinna, jak sobie obiecywała, że będzie się cieszyć, kiedy spełni się cud, na który czekała, poprawiając swój francuski u madame Yalentine.

- Czyż ten sok pomarańczowy, od tak dawna niedostępny w Polsce, nie był już pierwszą przyjemnością?

Astewardesy wtoczyły właśnie w przejście między fotelami wózek z zimnym posiłkiem, który rozdają natychmiast pasażerom.

- Zobaczmy, co tu mamy?

- mruczy Anna, pochylając się nad swoją tacką, przyjemnie zaintrygowana.

Widok soczystego plastra szynki, schabów i cielęciny, gamirowanych ćwiartką jajka, rzodkiewką, krążkami pomidora i ogórka - wyraźnie poprawia jej humor.

Misjonarz ożywia się także.

- Jestem głodny jak wilk - wyznaje nagle.



-Nie jadł ksiądz śniadania?

- Jadłem,ale o świcie.

Przed wyjazdemz Pienięzna.

- Skąd?

-pyta Anna; nigdy nie słyszała nazwy tej miejscowości.

- Z Pienięzna.

Małe miasto na wschódod Elbląga.

Mamytamseminarium księżywerbistów, kształcące misjonarzy.

Założyliśmynawet małe muzeum.

Gdyby była pani w tamtych stronach.

-Och,nie sędę.

- Mówię na wszelkiwypadek.

Wmuzeumgromadzi się pamiątki przywożone przezmisjonarzy z różnych stronświata.

Jestna co popatrzyć.

73.- Wyobrażam sobie - mówiuprzejmie Anna.

Sama jest takżegłodnajakwilk;po emocjach wczorajszego dnia niewiele zjadłana śniadanie, zajęta głównie pilnowaniem, żeby Sebastian zjadłporządnie swoje płatki.

Kto będzie teraz nad nim stał iwmuszałw niego łyżkę połyżce?

CzySzymonowi starczycierpliwości.

-Ja także jestem głodna - mówi bojąc się, żeby ksiądz nie zamilkł,pozostawiającją jej myślom.

- Miałam bardzo nerwowechwileprzed odlotem.

-Teraz pani sobie odpocznie - mówiłagodnie ksiądz, nawykły do uspokajań i pocieszań.

-Wprostprzeciwnie,proszę księdza, nie czekamnie anichwilkaspoкою, nie jadę odpoczywać.

- już gotowa była opowiedzieć wszystko o udreće wczorajszego dnia i o równie intensywnej udrećeradości,którą miałaprzed sobą, a doktoręj była najwyraźniej nie przygotowana, ale ksiądzdyskretnie o nic niepyta, zajętypochłanianiem swego posiłku.

-Kawa czy herbata?

- pyta teraz stewardesa.

-Kawa!

- wykrzykujązgodnie.

-Europa zaczyna się już w polskich samolotach - stwierdzamisjonarz.

-Niestety, nie podróżujęzbyt często- wzdycha Anna.

Jest to typowe zdanie z amerykańskiego dialogu, który poprzez swoją gładkość i enigmatyczność daje tyle satysfakcji aktorom.

W polskiej sztuce powiedziałyby się na pewno:proszęksiędza,ostatniraz leciałam samolotem pięć lattemu do Budapesztu,i była to moja podróżpoślubna.

Od tego czasu miałam mnóstwokłopotów, kraj miał mnóstwo kłopotów, i nie w głowie nam byłopodróżowanie.

W polskich dialogachobowiązywała "kawa naławę",z solidną informacją, odbierającąim całą lekkość i polot,więc Anna rozkoszujesięswoimzdaniem sprzed chwili,powtarzając je

jeszczeraż: - Niestety, niepodróżuję zbyt często.

-I nagle pyta bez związku (O, Boże!

Pozorniebez związku.

) -Ksiądz jest szczęśliwy,prawda?

-Ja? - misjonarz cofa się na oparcie fotela, wyraźnie i niemile zaskoczony.

- Dlaczego przyszło panido głowy pytać mnieoto?

-Nie wiem.

Przepraszam.

Bo wydało mi się może, że ksiądz.

jest szczęśliwy.

74- Jeśli szczęściem jest dokonanie właściwego wyboru, to tak. Jestem szczęśliwy.

- I jest ksiądz spokojny?

Nieszamocze się, nie miota.

- Oczywiście, jak wszyscy ludzie, napotykam pewne wątpliwości, ale nigdy w zasadniczej sprawie, w mojej zasadniczej sprawie.

- To bardzo wiele.

- To najwięcej z tego, co jest możliwe.

Annawie, co ksiądz nazywa swoją zasadniczą sprawą, i dlatego milknie, nie śmiać mówić w tej chwili o swoich wątpliwościach i rozterkach.

Ale misjonarz najnie spodziewanej ciągnie: - Nieraz dokonanie właściwego wyboru oznacza rezygnację z ponętnej, choć mniej dobrej, mniej pięknej alternatywy.

Niewszyscy ludzie potrafią rezygnować.

- Wiem.

- Ale trzeba się o to starać, trzeba.

- Czy ksiądz zaczyna mnie nauczać?

- Przepraszam.

Nie uważam duszpasterstwa za zawód, ale jednak najwidoczniej ulegam nawykowi zawodowemu.

- Ależ to dobrze, nie ma mnie ksiądz za co przepraszać.

Bo zastanawiam się właśnie, czy to czegoś oznacza w moim życiu, że teraz, akurat teraz księdza spotkałam.

- Och, to przypadek.

- Najprawdopodobniej.

Niemniej jednak wyobrażam sobie, że kiedyś do księdza napiszę.

Nie możemy ksiądz podać swego adresu?

- Nie znam go jeszcze.

- Nie szkodzi, jakoś go znajdę.

Jakie imię nosi ksiądz w swoim zakonie?

- W Zgromadzeniu Słowa Bożego księży werbistów po wyświęceniu przybrałem imię ojca Damiana.

- Dziękuję, ojcze Damianie.

Do końca lotu rozmowa z misjonarzem nie jest już przymuszaniem go do każdego słowa.

Nalotnisku w Paryżu zostają się jak para przyjaciół, żałujących serdecznie, że nie odbywają razem dalszego ciągu tej podróży - i Anna bez radości i prawie z przedziwieniem zajmuje w samolocie do Nicei miejsce obok kobiety w białym garniturze, młodej, efektownej, pachnącej, opracowanej<sup>75</sup>.

z niezwykłą dbałością i z zawstaniem.

Aktorka!

- myśli z nieprzynośzącą jej szczytu niechęcią.

Tamta prawdopodobnie to samopomyślała o Annie, ale jest bardziej bezpośrednia, bo od razu pyta: - Do Cannes?

- Do Cannes.

- Aktorka?

Przepraszam, ale niemożę sobie przypomnieć.

- Ja także nie przypominam sobie pani - zauważa Anna niezbyt uprzejmie.

- Och, ja jestem scenografem - śmieje się młoda kobieta.

- Isabelle Pasreger - przedstawia się, a Annie oczywiście nic nie mówi to nazwisko.

- Fotosami scenografów nie ozdabia się, jak narazie, okładek filmowych pism.

A więc - aktorka?

- Tak- wyznaje Anna, jakby przyznawała się do jakiegoś nietaktu wobec świata.  
- Skąd?  
- Szlifowanie francuskiego u madame Valentine nie odniosło chyba właściwego skutku, skoropani Pasreger natychmiast rozpoznała w niej cudzoziemkę.  
- Z Polski - oznajmia Anna i rzeczywiście, jak się spodziewała, budzi to zdumienie jej sąsiadki.  
- Z Polski?  
Nie było was ubiegłego roku.  
Wrócisz na festiwal?  
- Wrócimy na festiwal - dość cierpko potakuje Anna.  
- Jakim filmem?  
- "Zdobycie świata" Wojciecha Tarły.  
- To reżyser?  
- Reżyser.  
- Pani gra w tym filmie?  
- Tak.  
Anna Turoń - dopiero teraz przedstawia się Anna.  
- I sama będzie go pani prezentować?  
- Reżyser i kolega grający główną rolę są już w Cannes od wczoraj.  
Ja.. miałam pewne komplikacje.  
domowe.  
- Och, aktorka, która wybiera się na festiwal do Cannes nie powinna mieć żadnych komplikacji domowych.  
- A jednak!  
Mam dziecko.  
- Rozumiem.  
Ale czy nie ma pani tak zorganizowanego domu, żeby w każdej chwili móc wyjechać?  
- Nawet gdyby mój dom był tak zorganizowany - Anna niemożesz powstrzymać od tkliwego uśmiechu na myśl tej "organizacji" swego domu, która w tej chwili spoczywała wyłącznie na 76 wątyłchi stareńkich barkach pana Feliksa - toprzeież gram jeszcze w teatrze.  
- Wy macie posady w teatrach?  
- Tak, mamy posady w teatrach.  
- To bardzo niewygodne.  
Stałe związanie z jednym teatrem.  
- Wasze kontrakty są równie niewygodne, a chyba każdy aktor zabiega, żeby je mieć.  
A stałe związanie z jednym teatrem ma swoje zalety, zapewniam panią - ucina Anna sucho.  
Kiedyż tababa przestanie mnie indagować?  
myśli.  
Nie pragnie już rozmowy, jak w samolocie do Paryża, już się uspokoiła, okrzepła jakoś swojej samotnej samodzielności, na lotniskubez żadnych trudności udała jej się przesiadka do Nicei, więc może nie jest taką gęsią, za jaką sama siebie uważa, i byłby już najwyższy czas, żeby spokojnie zastanowić się nad tym, co powinna powiedzieć o swojej roli w "Zdobyciu świata", gdyby ją o to ktoś zapytał.  
- Oczko panipuściło, moja droga - zauważa pani Pasreger, spoglądając na kolano Anny.  
Wustach tak nieskazitelnie wyglądającej osoby brzmi to jak zaszokowane zdziwienie, ale Annaniema zamiar się poddać.  
- Tak - odpowiada pogodnie - nie miałam już czasu się przebrać.  
- Nie ma pani zapasowych rajstop?  
- Mam, ale w walizce, którą oddałam na bagaż.  
- Proszę!  
- Francuzka wyjmuje ze swojej torby podróżnej kartonik z nowymi rajstopami.

-Niech się pani przebierze w toalecie.

- Ależnie mogę tego od pani przyjąć.

-Anna aż się cofa, uprzejmość jej denerwująco wspaniałej kobiety budzi w niej urazę zamiast wdzięczności.

Poza tym zbyt dobrze pamięta cenę rajstop w Warszawie, żeby przyjmować takie prezenty.

W dodatku, gdyby to przeliczyć na dolary z zagranicznych diet, bo

przecież powinny zwrócić równowartość.

-Nie - protestuje prawie w popłochu - naprawdę nie mogę, dziękuję.

- Dlaczego?

-Isabelle jest wyraźnie urażona.

Idodaje pochwili: - U nas to drobnostka.

Tyle, co pudełko papierosów.

A w Stanach, gdzie ostatnio pracuję, jeszcze mniej.

-Ale jednak nie mogę.

- Moje drogie dziecko!

-pani Pasreger zdejmuje swoje ogromne przeciwsłoneczne okulary, jakby chciała, żeby Anna do77.

strzegła te leciutkie zmarszczki, które jednak ma już wokół oczu, zwłaszcza teraz, kiedy się uśmiecha.

Przygarnia Annę do siebie, całuje ją w policzek.

Pachnie przyjemnie delikatnymi perfumami, którymi musibyć natarty jej opalony dekolt międzybiałymi wyłogami żakietu.

- Niechmi pani niesprawia tej przykrości.

Międzynami kobietami takie ceregiele.

- Dziękuję- słabnie Anna.

Idodaje z prawdziwym męstwem(Mój Boże!

Prezenty dla Sebastiana i pana Feliksa, choćby jakiś drobiazdek dla madame Y Valentine, no idla Szymona, dla Szymona także) - Ale proszę przyjąć równowartość.

- Obrażę się!

Nie handluję rajstopami.

Niechże się pani szybko przebierze, bo zaraz dadzą nam coś jeść.

Anna, ściągawszy w toalecie podarte rajstopy, ma przez chwilę ochotę wrzucić je do kosza na śmieci, ale ponamyśle - wściekła na siebie - chowa je do torby.

Po zaciągnięciu oczkaw w Warszawie, będzie je mogła jeszcze długo nosić.

Kim ja jestem?

- myśli, przyglądając się odbiciu swojej twarzy w lustrze, że drobny incydent znowu strącił ją w dołek, z którego z takim trudem starała się wygramolić.

Myśli nawet w dodatku kryzysowymi sloganami, tego już za wiele!

Musi się wziąć w garść, musi się zachowywać, jakby toniła przede wszystkim czekano w Cannes jakby to ona miała wysiąść z samolotu na lotnisku w Nicei w tymolśniewajaco białym kostiumie ze śmiałym dekoltem między jegoklapami.

To, że poczuła się od razu upokorzona serdecznością tej obcej kobiety, było ostatnią zasadzką, jaką sama na siebie zastawiała.

Dosyć!

Dosyć!

- powtarza sobie, wracając na miejsce.

Czeka na nią tacka z posiłkiem; pani Pasreger zabrała się już do swojej porcji.

- Podróżuję dość często samolotami, ażawsze jestem ciekawa, co dadzą mi do jedzenia.

Lubię latać liniami francuskimi, bo podają na nich dużo jarzyn i sałat.

Zbrzydły mi natomiast konserwy, którymi karmią swoich podróżnych linie amerykańskie.

- Jedzenie w polskich samolotach jest znakomite - uśmiecha się Anna, chrupiąc jak królik liść świeżutkiej sałaty.

- Znakomite - powtarza szczęśliwa, że może coś dobrego powiedzieć oswojejojczyźnie.

- Nigdy nie byłam w Polsce - wyznaje pani Pasreger bezwidocznego żalu.

78- Może kiedyś wybierze się pani do nas?

- Mam nadzieję - Isabelle wyjada do ostatniego żdziebełkazieleniny swoją porcję.

Apetyt jej służy, służy jej na pierwszy rzut oka zdrowie, w ogóle służy jej życie, co do tego nie ma dwóch zdań.

Anna obserwuje kątem oka pewność i wdzięk ruchów jej dłoni, gdy po skończonym jedzeniu wyjmując z torebki paczkę camel i malutką zapalniczką zapala papierosa.

- Nieczęstuję pani, bo widzę, że pani nie pali.

- Nie palę.

- A ja muszę.

Powinna się odzwyczaić choćby dla męża, który nie lubi, gdy kobiety palą.

Sam też nie pali.

Sportowiec.

Biega, pływa, gra w tenisa.

- Zawodowo?

- Och, nie.

Moim mężem jest Marcel Soldivier.

Mówi panicoś to nazwisko?

- Oczywiście!

- wykrzykuje Anna, choć nie może sobie przypomnieć żadnego filmu Marcela Soldiviera.

- Czy sądzi pani, że nie interesujemy się kinem światowym?

- Przepraszam.

Istotnie, mało wiem o Polsce i Polakach.

- Filmy francuskie cieszą się u nas dużym powodzeniem.

Także filmy pani męża.

(Boże Boże, co on nakręcił?)

- myśli Anna w popłochu.

Do kina nie chodzi, bo kiedy?

Wolne ma tylko poniedziałki, ale w poniedziałki ogląda przeważnie teatr w telewizji, ciesząc się, że nie musi wieczorem wychodzić z domu.

Znawiec filmy, twarze aktorów i nazwiska reżyserów jedynie z lektur i filmów, przerzucanych w przerwach między aktami w teatrze, ale ten Soldivier to znany reżyser, czytał o nim dość często, tylko co nakręcił, na litość boską, co nakręcił.

)- Cieszę się - mówi pani Pasreger.

- Powtórzę to Marcelowi.

- Czy mąż prezentuje na festiwalu swój nowy film?

- Tak.

Film będzie pokazany poza konkursem.

Ale inauguruje festiwal.

Dlatego właśnie rzuciłam robotę, choć mam bardzo napięte terminy, i lecę do Cannes.

- Jaki tytuł?

- "Odsiecz".

- "Odsiecz"?

Film wojenny?

- Nie.

Współczesny.

Słowo "odsiecz" użyte jest tu niewłaściwie w znaczeniu przybycia z odsieczą krajowiczom - ale człowiekowi, 79.

który może być osaczony i zagrożony przez innych ludzi czy choćby przez drugiego człowieka.

- Rozumiem.

- Ale nie będziemy teraz mówić o filmie megomeża.

Jestem ciekawa "Zdobycia świata", w którym gra pani.

Dobry tytuł!

- Nie przemawia do wszystkich.

Nawet u nas.

Boję się, że obiecuje zbyt wiele, a tymczasem.

- A tymczasem?

- ... jest to kameralna historia wchodzenia w życie dwojga młodych, z których jedno poświęca się dla drugiego.

- Oczywiście ona?

- Oczywiście ona.

Są biedni.

Żyją tylko ze studenckich stypendiów, więc ona postanawia wziąć pracę, żeby on mógł uczyć się spokojnie, bo wydaje jej się zdolniejszy, więcej wart, zrealizuj marzenia ich obojga, dla nich obojga zdobędzie to wszystko, co ma jakąś wartość w życiu.

Oczywiście chodzi tu tylko o sprawę materialnej egzystencji.

- Tak to rozumiem.

- Pani Pasreger zapala drugiego papierosa.

- Choć i ona jest ważna.

- Tak to rozumiem - powtarza Isabelle.

- I chłopak robi karierę dzięki dziewczynie?

- Tak.

- A potem ją porzuca?

- Och, nie!

Skądże znowu!

W dalszym ciągu stanowią znakomitą parę.

stanowiliby znakomitą parę, gdyby ona godziła się na jego sposób "zdobywania świata".

Może wyidealizowała go za bardzo, może postawiła mu za wysokie wymagania, a tymczasem chłopak przede do przodu, nie przebiegając w środkach.

Życie, które mają razem spędzić, zaczyna opierać się na zasadach, których on nie chce i nie może akceptować.

- Rozstają się?

- A tego nie powiem, bo chcę, żeby pani obejrzała film.

- Nie wiem, czy zdążę.

Za trzy dni muszę być z powrotem w Hollywood.

- Proszę zgasić papierosa i zapiąć pasy!

- ogłasza stewardesa.

Schodzimy do lądowania w Nicei.

- Jak to szybko minęło - uśmiecha się pani Pasreger.

- Czy dostanie się pani do Cannes?

Będzie ktoś na panią czekał na lotnisku?

80 - Nie.

Nikt.

Ale są chyba jakieś autobusy albo

taksówki.

- Z tych ostatnich nie radzę korzystać.

Taksówkarze strasznie zdzierają z cudzoziemców, jak zresztą nacałym świecie.

Na mnie będzie czekał mąż samochodem.

Zabierzemy panią.

- Dziękuję.

- Otwarcie festiwalu odziewi nastej.

Musi pani zdążyć odświeżyć się i przebrać.

W jakim hotelu się pani zatrzymuje?

- Właściwie.

nie wiem.

Mam się zgłosić w biurze festiwalu.

- Och, to przedłuż sprawę.

Powinna pani wiedzieć, w jakim hotelu ma pani rezerwację.

- Ale miałam lecieć wczoraj.

wczoraj z resztą delegacji.

- płaczesz Anna - tylko, że moje obowiązki rodzinne.

- Znów to ponizające uczucie niepewności, którego tak bardzo i raz nazawsze chciała się pozbyć.

- Dam sobie jakąś radę - stwierdza z nadmierną energią.

Isabelle uśmiecha się leciutko.

- Wszędzie panią zawieziemy.

To ten misjonarz - myśli Anna - wymodlił dla mnie tego ani o! albo po prostu wzbudza w ludziach uczucie politowania.

Ale czy po to wydelegowano mnie do Cannes?

Marcel Söldner jest wysokim mężczyzną około czterdziestki.

Ma nieczęsto u Francuzów spotykane bardzo jasne włosy, znakomicie ostrzyżone, podkreślające opaleniznę twarzy.

Między szerokimi, ciemnymi brwiami zmarszczka, dwie bruzdy wokół ust - ale kiedy się uśmiecha i bruzdy, i zmarszczka układają się w łagodną linię chłopięcego rozbawienia.

Podnosi wysoko żonę wraz z jej podręcznym bagażem.

- Witaj w Europie!

I w moich objęciach!

- Nie wyobrażam sobie bez nich Europy!

śmieje się Isabelle.

Anna stoi obok, zmieszana swoją sytuacją, pragnęłaby zapaść się pod ziemię, żeby nie przeszkadzać tym dwojgu w powitaniu i w pierwszych chwilach po długiej rozłące.

Pani Pasreger od razu to wyczuwa.

Oswobadza się z uścisku męża.

- Marcel!

To jest pani Anna.

- Turoń - szepcze Anna prawie przepaszająco.

- Pani Anna Turoń z Polski.

Zaprzyjaźniłyśmy się w samolocie.

Pani Anna gra w filmie reprezentującym Polskę, cała delegacja przyleciała wczoraj, a ona ze względów rodzinnych.

Jest zupełnie sama.

i nawet nie wie, w jakim hotelu ma się zatrzymać.

- Wszystko to załatwimy - Marcel wciąż się uśmiecha, ale Anna ma uczucie, że nie jest zachwyconym narzuconym towarzyszem.

Nie obdarzył jej ani jednym uważnym spojrzeniem, conie wróżył sukcesów na ziemi francuskiej, skoro nie wzbudził zainteresowania już w pierwszym napotkanym tu mężczyźnie.

- Może jednak nie powinnam trudzić państwa.

- Sza!

- Pani Pasreger bierze ją pod rękę.

- Zabieramy panią do Cannes, a Marcel postara się jak najszybciej załatwić dla pani hotel w recepcji festiwalu.

- Otwarcie o dziewiętnastej!

- przypomina Soldivier dościerpko.

- Trzeba odebrać bagaże.

Przepychając się przez kolorowy i gwarny tłum, zalegający plac przed lotniskiem, docierają do zaparkowanego tu samochodu.

Jest to biały kabriolet, peugeotz niebieskimi siedzeniami.

Pani Pasreger wskazuje Annie miejsce na przedzie, ale Anna stanowczo potrząsa głową.

- Proszę, niech pani siada przy mężu.

Macie sobie państwo zapewne wiele do powiedzenia.

- Dość często rozmawiamy przez telefon - uśmiecha się Isabelle do męża z czułością.

- I jesteśmy szczegółowo o sobie poinformowani.

- Wsiadajcie!

- przynagla Soldivier.

Jest wścikły - myśli Anna, wyraźnie omija ją spojrzeniem, żeby się z tym nie zdradzić.

Gdyby był aktorem, może by zagrał tę drobinę serdeczności, którą pozwoliłaby jej nie czuć się intruzem w niebieskim siedzeniu jego samochodu.

Wyobrażam sobie - myśli Anna - jaki nieprzyjemny musi być na planie.

To nie Wojtaszek Tarło, który dowodzących aktorów wodnosi się tak, jakby czynili mu zaszczyt, grając w jego filmie.

Wojtaszek Tarło.

Zatęskniła tak gwałtownie do swoich Polaków zagubionych gdzieś wśród festiwalowego tłumu, jakby nie widziała ich od wieków.

Ależ sprawiła niespodziankę zjawiając się w Cannes!

Uśmiechnęła się do siebie, wreszcie trochę odprężona i zdolna do podziwiania widoków, które jak najszybciej filmowej przesuwali się po obydwu stronach samochodu.

I nie wiadomo na co było patrzeć - czy nad morze w dole, naprawdę lazury w obramowaniu pływających w południowym słońcu skał, czy na wzgórza ciągnące się pod drugiej stronie autostrady, pokryte zielenią ogrodów, wśród których jak białe inkrustacje jaśniały fasady okazałych willi i mniejszych domów, uszpionych za opuszczonymi żaluzjami. To mi się śni myśli Anna - albo gram w jakimś filmie dziewczynę jadącą do Cannes, dlaczego nie mam dość siły i odwagi, żeby zagrać siebie, najlepiej jak potrafię i najmniejszym wysiłkiem, jak to czasem zdarza się na scenie, kiedy po prostu przestaje się istnieć poza postacią i ma się tylko jedno życie, to napisane i wyreżyserowane, ale najbardziej i jedynie własne?

Kto ją napisał i kto reżyseruje ją w tym filmie?

Anna unosi twarz pod dederzeniem wiatru, oddycha głęboko, żeby oddalić strach, żeby choć trochę poczuć się szczęśliwą w tym pięknym miejscu świata i tak niespodziewanym miejscu swojego życia.

Kończą się grody w obramowaniu wysokich sztachet i zieleni obniża się ciągnące się kilometrami obszary winorośli.

Isabelle i Marcel wiodą wciąż ożywioną rozmowę, dopiero gdy po obydwu stronach autostrady ukazują się znów domy, Isabelle odwraca się ku tylnemu siedzeniu.



- Mamy pod Antibes letni dom.

Kiedy jestem w kraju i niepracuję, spędzam tu przynajmniej jeden letni miesiąc.

A Marcel nawet w zimie lubi się tu ukryć i przygotowywać w spokoju nowy film.

Teraz nie mam czasu tam wstąpić, ale mam nadzieję, że w ciągu tych trzech dni mego pobytu w Cannes znajdziemy wolne popołudnie, żeby pokazać pani nasz domek.

- Dziękuję.

- Anna odczuwa wciąż żenowane zdumienie zderzeniu z niewytłumaczalną dla niej życzliwością pani Pasreger.

Jak bardzo była jej potrzebna, okazuje się dopiero w Cannes, gdy z trudem zaparkowawszy wóz, dość daleko od nowego Pałacu Festiwalowego, przebijają się przez tłum do biur festiwalu, żeby się dowiedzieć, w jakim hotelu zarezerwowany jest pokój dla Anny - i gdy się okazuje, że pokój dla niej ogóle niema, ponieważ delegacja polska zawiadomiła wczoraj organizatorów, że Anna Turoń do Cannes nie przyjedzie.

Na szczęście wszyscy tu znają Marcela Soldiviera.

- Pani Turoń właśnie przyjechała - mówi.

- I jest tu ze mną.

To jakieś nieporozumienie.

Proszę szybko i tuż załatwić pokój 83.

dla pani, nie mogę spóźnić się na otwarcie festiwalu, a muszę panią odwiedzić do hotelu.

- To nie będzie łatwe - pani w festiwalowej recepcji rozkładające.

- Szybko!

- powtarza Soldivier choć to zdrobniła słowo mogłoby zabrzmieć prawie piśmiennie, jest już w nim ów ton zniecierpliwienia, który chyba w każdym rozmówcy Soldiviera budzi popłoch.

- Mam jeszcze małą rezerwę - wyznaje pani cichutko.

- No właśnie - podchwytuje reżyser.

- Byłem pewny, że coś się znajdzie.

Nie! Nie!

Nie! Żadnych autografów!

- woła do grupy dziewcząt, która chce gościnnie przyjechać do recepcji.

- Ostatni pokój w "Carltonie" - uśmiecha się pani z biura festiwalowego, wypisując skierowanie.

Pod Anną giną jej nogi.

Naczytała się tyle corocznych sprawozdań prasowych z Cannes, żeby wiedzieć, że "Carlton" jest tu najelegantszym i najbardziej ekskluzywnym hotelem, ustępującym już wprawdzie ostatnio miejsca nowemu "Majesticowi", ale wciąż zapewne bardzo drogim. Czy wolno jej zamieszkać w "Carltonie"?

Czy nie zawyży to znacznie kosztów jej pobytu w Cannes, i kto je pokrywa?

Powinna coś powiedzieć, zaprotestować, poprosić o tańszy hotel, ale Isabelle Pasreger uśmiecha się zadowolona z takiego załatwienia sprawy, a Soldivier z uniesioną nad głowę ręką, w której powiewa skierowanie do "Carltona", przebiega przez tłum ku wyjściu, nie dając się nikomu zatrzymać, choć pozdrawia go wiele osób.

- Cieszę się - mówi Isabelle już w samochodzie.

- "Carlton" to przyzwoity hotel.

Boże święty!

- myśli Anna, nie śmiać się odezwać.

- "Przyzwoity hotel!"

"Wojtaszek Tarło się wścieknie, wściekną się w ministerstwie, kiedy się dowiedzą, że usadowiła się w "Carltonie".

Jedyną pociechą może być tylko nadzieja, że to organizatorzy festiwalu pokryją koszt zakwaterowania gości.

- Przynajmniej będziemy wiedzieć, gdzie pani szukać - ciągnie, nieustępliwie i natarczywie uszczęśliwiona Isabelle.

-Mymieszkamyw "Majesticu".

Soldivier milczy.

Anna czuje, jak wzrasta w nim irytacja i wie, że on na pewno nie będzie jej szukać, a także nie pozwoli na to żonie.

Uwikłany w narzuconą mu uprzejmość, ledwie panuje nad sobą, zwłaszcza że przed "Carltonem" kłębi się tłum wchodzących i wychodzących gości, dziennikarzy i fotografów czekających na ukazanie się gwiazd, a także ciekawskich, którzy po top przyjechali do Cannes, żeby zobaczyć żywych swoich ulubieńców.

Musi przebić się przez tę ciżbę z ciężką walizką w ręce, bo nigdzie, absolutnie nigdzie nie widać żadnego boya, zato pełnotu znajomych, których wolałby zapewne nie spotkać w tej sytuacji, nadwie godziny przed projekcją swego filmu, inaugurującą festiwal.

Anna przepycha się za nim, zaczyna go już prawie nienawidzić za odrażający impet, z jakim zajmuje się jej osobą, a lenajgorsze jeszcze ją czeka: oto Soldivier, dostrzegłszy wreszcie boya w tłumie wypełniającym hotelowy hali, wciska mu w rękę walizkę - i od razu napiwek! w jawnym przekonaniu, że Polka nie wywiąże się z tego przyjętego tu obowiązku.

- Teraz chyba da już panisobie samaradę - mówi znów, jak na lotnisku, nie zaszczyciwszy jej spojrzeniem, znika w tłumie, przepychając się ku wyjściu, szczęśliwy najprawdopodobniej, że Isabelle została w samochodzie i nie wyrazi zdziwienia, iż nie doprowadził Polki do lady recepcji i drzwi jej pokoju.

Anna także oddycha z ulgą, że wreszcie się rozstają.

Nie wie, nie może wiedzieć, i nie uwierzyłaby, gdyby jej ktoś przepowiedział, że i resztę wieczoru spędzi w tym samym towarzystwie.

A jednak.

Kiedy przeraźliwie samotna wróży z języcznym tłumie, nie znalazłszy telefonicznie Tarłani Sarpowicza, stoi w swoim stroju licealistki przed wejściem do Pałacu Festiwalowego - tłum rozstępuje się nagle, żeby przepuścić Marcela Soldiviera, udającego się z żoną na premierowy i inaugurujący festiwal pokaz jego filmu.

Isabelle - w olśniewającej sukni z morelowego aksamitu - zbyt jest pewna swej urody, żeby bać się drugiej kobiety uboku męża.

Dostrzegłszy Annę unosi ku niej rękę.

- Anno!

- woła.

- Wchodzimy!

Soldivier, najłżejszym nawet ruchem nie zwracając ku niej głowy, podaje jej ramię - sztywne i przeraźliwie obce, ale tak bardzo potrzebne jej w tej chwili.

85.

Natychmiast wybiega im naprzeciw gromada fotoreporterów, błyskają flesze.

Anna unosi głowę i uśmiecha się po raz pierwszy od wielu wielu godzin tak, jak powinna się uśmiechać aktorka w tej sytuacji.

Zwycięsko.

I oto nazajutrz przy porannej kawie Wojtaszek Tarło i Marek Sarpowicz, polscy dziennikarze akredytowani przy festiwalu i przedstawiciele filmu polskiego, powiadomił ją także, że Anna Turońdo Cannes nie przyjedzie, oglądają ze zdumieniem na pierwszej stronie wszystkich dzienników jej zdjęcie, wchodzące do Pałacu Festiwalowego w towarzystwie Marcela Soldivier i jego pięknej żony.

VI Anna o tym jeszcze nie wie, kiedy budzi ją telefon i kiedy otwiera oczy, patrząc na zdobiony wymyślną sztukaterią sufit pokoju w hotelu "Carlton".

Z trudem przypomina sobie gdzie jest, zwłaszcza że na przyjęciu po pokazie filmu wypić kilkakieliszków szampana, a potem z Soldivierami i całym poznanym towarzystwem był gdzieś na kolacji, przymuszono ją do kilku drinków, i kiedy w końcu odprowadził ją ktoś do hotelu, zasnęła jak kamień, nie rozglądając się przedtem po swoim apartamencie. Telefon nie przestaje dzwonić, i Anna wreszcie przytomnieje, wyskakując pościeli, podnosi słuchawkę.

- Słucham!

- woła po polsku.

- Czy to pani Anna Turoń?

- Francuz nie bez trudu, choć wielką starannością wymawia jej nazwisko.

- Tak - odpowiada Anna już po francusku jestem przy telefonie.

- Cieszę się, że panią zastałem.

Mówi Robert Presson "Presse Soir".

Chciałem prosić panią o rozmowę.

Gdzie pani jeśniadanie?

- Och, nie wiem jeszcze.

Pana telefon mnie obudził.

- Przepraszam.

Zadzwoiłem dość wcześnie, ale bałem się, że później nie znajdę pani w tym tłumie.

86- Dobrze, że mnie pan obudził.

Spałybyśmy do południa, a rano taki piękny.

- Stolik z telefonem stoi przy oknie, przez które Anna widzi zalany słońcem nadmorski bulwar Croisette, najbardziej ruchliwe miejsce w Cannes, chyba nie tylko podczas festiwalu.

W obydwie strony płynie kolorowa i gwarna ciżba; w Pałacu Festiwalowym od rana wyświetlane są filmy, choć zapewne nieszczęśliwi na bulwarze są widzami, którzy wracają lub udają się do sal kinowych; największe, najciekawsze, przez nikogo niereżyserowane widowisko dzieje się właśnie tutaj, gdzie można zobaczyć znane z ekranu twarze, otrzeć się o sławnych ludzi, być świadkiem jakiegoś skandalu lub manifestacji, nie zawsze na tyle umiarkowanej, by nie musiała uczestniczyć w niej policja.

Rajno jest już także na plaży, ciągnąc się poniżej bulwaru, i na pokładach jachtów zakotwiczonych w porcie, na których ich właściciele chyba już od rana przyjmują zaproszonych gości, podejmujących śniadaniem, wspaniałym widokiem na Cannes i słońcem.

Poranek jest naprawdę cudowny.

- Halo!

- woła dziennikarz, któremu cisza w słuchawce wydaje się spowodowana przerwaniem połączeniem.

- Och, nie ma pan pojęcia, jaki widok mam tutaj z okna.

Wczoraj tego nie zauważyłam, przyjechałam przecież przed inauguracją festiwalu, i dopiero teraz widzę bulwar, palmy i morze.

Byłam pewna, że w Cannes jest pięknie, ale nie sądziłam, że aż tak!

- Zapewniam panią, że większość uczestników festiwalu tego nie zauważa.

- To chyba niemożliwe?

- A jednak.

Tak są zajęci czym innym.

Ale porozmawiamy o tym później.

Zapraszam panią na śniadanie.

Gdzie je zjemy?

Może w głównej kawiarni "Carltona"?

- Dziękuję - mówi Anna powoli.

W jej bezdewizowej duszyczce budzi się i nadzieja, iniepokój.  
Nadzieja, bo zaproszenie na śniadanie pozwoliłoby jej zaoszczędzić trochę franków (Sebastian! Szymon!

Pan Feliks!

Matka!

I ojciec!

Madame Valentine!

Może nawet Ewka Zabiełło.

- Wszystkim powinna coś przywieźć, a niepokój - bo być może w zwyczajach francuskich zaproszenie nie oznacza wcale prawdziwego zaproszenia, jak w Polsce, i będzie musiała sama płacić za siebie, co przy cenach 87.

w "Carltonie" nie będzie zapewne błahą sumą.

- Właściwie nie jestem głodna.

- szepcze.

- Och, kawyna pewno napije się pani z przyjemnością.

Czekam więc w recepcji, tam, gdzie oddaje się klucze.

- To trochę potrwa.

Zerwał mnie pan z łóżka.

- Będę czekał.

Anna odkłada słuchawkę i zamiast się pośpieszyć, patrzy przez długą chwilę na bulwar, obserwując głównie, jak są ubrane kobiety.

Na szczęście dążyła przed tym nieoczekiwanym wyjazdem wyszarpnąć szafy kilkadziesiąt par niezłych letnich sukienek, na które w Warszawie było jeszcze za chłodno; a letnie tutaj napewno będą w sam raz.

Taróżowa, kupiona w "Telimie" na ubiegłoroczny urlop, za zupełnie śmieszne grosze w porównaniu z obecnymi cenami w butikach, miała śmiały dekolt, upodabniający ją do plażowych negliży noszonych na Łazurowym Wybrzeżu.

Postanowiła ją włożyć nie po to, żeby podobać się dziennikarzowi, ale żeby nie wyglądać prowincjonalnie.

Co do dziennikarzy nie miała razie zbyt wielkich nadziei.

Przedpokazem "Zdobycia świata" nie była dla nich aktorką, o której można by coś napisać, a jedynie polską sensacją, wzniesającą zgoła pozaartystyczną ciekawość.

Już wczoraj na przyjęciu przekonała się, że nawet jeśli któryś mówił: "ma panizniewalający uśmiech", po chwili nieodmiennie pytał: Jak tam naprawdę u was jest?

"Robert Presson jest młodym człowiekiem ojmujące powierzchowności i ojmującym sposobie bycia, Anna zaczyna wycofywać się w myśli, że jej na dziennikarzach nie zależy, o wiele bardziej niż w lustrze lubi przeglądać się w męskich oczach.

A Francuz patrzy na nią długo i dopiero przyjrząwszy się jej z uwagą i jawną przyjemnością, mówi: - Wolę panią żywą.

- Co to znaczy?

- Prawie wszystkie dzisiejsze dzienniki zamieściły pani zdjęcie.

Przyniosłem kilka, żeby pani pokazać.

- Moje zdjęcie?

- Niedowierza Anna.

Idopiero kiedy Presson rozkłada przed nią na stoliku jedną z gazet, widzi, że z niej niezartuje. Zdjęcie jest bardzo udane, nawet jeśli skromny strój licealistki, udającej się na pierwszy bal, nie razi swoją młodzieńczą odświętnością przy nieskazitelnym smoku Soldiviera i świetnej reakcji Isabelle.

"Marcel Soldivier - wyjaśnianapis pod zdjęciem- udaje się na premierę swego filmu Odsiecz w towarzystwieżony, scenografa o światowej sławie, Isabelle Pasreger, i polskiejaktorki Anny Turoń, występującej w reprezentującymPolskę filmie konkursowym ((Zdobywanieświata".

-Skąd.

skąd wiedziano, kim jestem?

- Fotoreporterzymająswój wywiad.

Najprawdopodobniejwcisnął się któryś na przyjęcie po premierzefilmuSoldiviera alborozpoznanopanią z fotosówreklamowych.

A potem już tylko telefony albo teleksydo gazet.

Wkażdymrazie, takjak film Soldiviera, takw jakimśsencie pani zdjęcie, zdjęciepierwszej aktorki,wydobytej z tłumu pięknych kobiet,którezjechały do Cannes otwiera festiwal.

- Niech pan zemnie nie żartuje.

-Ależ naprawdę.

To maogromne znaczenie.

Pani pije kawę?

- pyta Presson, gdy w pobliżu pojawiasię kelner.

-Tak, proszę.

- A może mały koniaczek do kawy?

-Zanic.

Wczorajwypiłam trochę na przyjęciu ichtyba do teraz to ze mnie nie wywietrzało.

- Wobec tego nie namawiam.

-Ja bymraczej.

cośzjadła - wyznaje Anna, podjąwszy desperacką decyzję zapłaceniaza swoją konsumpcję;jest po prostuw zawstydzający sposóbgłodna i nie może tegoopanować.

Marzyjej siędomowe śniadanie, nawetpłatki owsiane, które z takimwstrętem wpycha w siebie co rano Sebastian.

- Dwie kawy, koniaki coś do zjedzenia dla pani - zamawiaPresson.

Kelnerpodajekartę, ale Annanawet jej nie otwiera.

- Najchętniej zjadłabym kanapkę z szynką.

Imoże jakieściastko.

- Czekoladowe?

-pyta kelner.

Ma około pięćdziesiątki, widywałtu zapewne i obsługiwał największe gwiazdy ekranu,a terazbardzo chce podać coś smacznego tej, która możekiedyś będziesię do nichzaliczać.

Anna zerka ku sąsiedniemustolikowi.

Trzymłode dziewczynyzabierają się własniedoogromnych porcji czekoladowegotortu,obłożonego śnieżystapuszystością bitej śmietany.

89.- Proszę o to samo, co podałpan do sąsiedniego stolika.

-Tort czekoladowy zmigdałami i bitąśmietaną - precyzujekelner.

- Jużpodaję.

-Od jak dawna znapani MarcelaSoldiviera?

-pytaPresson;majūż przed sobą swój notesi pstryknąwszy w długopis jest gotowy do indagacji.

Anna nie lubi wywiadów, nieudzielałaich nigdy za granicą,ale nawet te, przeprowadzane z nią nieraz w kraju, napełniały jąłękiem; zawsze to, copowiedziała, wydawało jej się potem niestosowne, niezręczne albo za śmiałe, albo zbyt lęklive.

W Can"nes obowiązywałają dodatkowa czujność,ileż to razy przypominałasobie, że.

No tak, ale zadane jej pytanie na pewno nie miało żadnych podtekstów i nie było powodu, żebysię nadnimzastanawiać.

- Od kiedy znam Soldiviera?

Od wczoraj.

- Miała pani dużo szczęścia, że tak od razu zwróciła pani uwagę.

- Nie on.

Jego żona.

Leciałam z panią Pasreger z Paryża do Nicei.

- Pani Pasreger pracuje teraz dla Hollywood.

- Tak, mówiła mi o tym.

Ale znalazła jednak czas, aby uczestniczyć w pokazie filmu swego męża.

- Który, dodajmy sobie, jest zadowolony - okazał się pełnym sukcesem i gdyby był pokazany w konkursie, na pewno mógłby liczyć na jedną z głównych nagród.

- Też tak sądzę - przyświadcza Anna z zapałem, choć podczas całego wczorajszego wieczoru nie nabrała ani cienia sympatii do Marcela Soldiviera, który nie zadał sobie trudu, żeby wreszcie naprawdę zauważyć ją w swoim towarzystwie.

Film jednak wydał jej się bardzo interesujący, i w temacie, i w realizacji, miał jakiś szlachetny ton, moralne przesłanie, nie tak znów częste w światowym kinie.

Ciesząc się, że może być szczerą, powtarza: - Też tak sądzę.

- Fama głosi, że Soldivier, odsapnąwszy nieco po sukcesie, zabiera się wkrótce do następnego filmu.

Robi filmy autorskie.

Sam pisze scenariusz i niezawsze korzysta z rad scenografa, chyba że jest nim jego żona.

90 - Tak, pani Pasreger wspominała o tym.

Do czego on zmierza - myśli Anna - nie zaprosił mnie przecież na śniadanie, za które być może zapłaci nawet rachunek, żeby wypytywać mnie o Soldiviera.

Mógłby się z nim umówić.

A może Soldivier jest tak niedostępny, że trzeba w ten sposób zbierać o nim wiadomości młody dziennikarzyna z "Presse Soir", zobaczywszy ją w jego towarzystwie, ma nadzieję, że wydobędzie z niej jakieś rewelacje.

Robert Presson nie wydaje jej się już tak ujmujący, jak na początku rozmowy, nie ma zamiaru być tubą, przez którą świat dowiadywałby się o zamierzeniach francuskiego reżysera.

- Podobno Suzanne Aringaux - zauważa dziennikarz - tak znakomita w "Odsiecz", jest właśnie odkryciem pani Pasreger.

Byłaby świetnym impresariem, gdyby nie zajęła się scenografią.

- Być może.

- Na pewno.

Suzanne wiele jej zawdzięcza.

- Jeśli by tak, jak pan mówi, Anną coraz większym rozczarowaniem podtrzymuje rozmowę - będzie grała za panem w następnym filmie Soldiviera?

- O, nie!

- W tej materii Presson wydaje się być dobrze poinformowany.

- Podpisała już kontrakt na udział w filmie Saumonta.

- Soldivier nie zatrzymał jej dla siebie?

- Gdyby chciał, na pewno by mu się udało.

Co to mnie wszystko obchodzi?

- myśli Anna.

Rozgląda się dyskretnie po kawiarnię pełną ludźmi, którzy zapewne wiele znaczą w światowym kinie.

Ale ona nikogo tu nie zna, nikt jej nie zna, nie należy mieć nadziei, że ktokolwiek pozna w niej od razu aktorkę, wkraczającą na łamy wszystkich gazet do festiwalowego pałacu w towarzystwie Soldivierów.

Na szczęście zjawia się kelner icałauwagę Anny pochłaniakanapka z szynką.  
Jest rozległą kromką ukośnie ukrojonej bułki, pokrytą różowym plastrem szynki.  
Ułożono na niej pasmami: majonez, sałatkę z krabów, plasterki pomidora i ogórka, dwie  
ćwiartki jajka natwardo i śnieżny wzgórek świeżo utartegochrzanuprzybranego dla  
kontrastustrzępkim papryki.

- Ależ to cała góra jedzenia!

-woła Anna.

-W naszym krajukanapki są całkiemmaleńkie.

Kelner pochyla przed nią siwiejącą głowę.

- W Cannes naszym gościom dopisujezwykle apetyt.

91 Ale paniom zależyczyba na linii?

-Nie zauważyłem,żeby dbały oniąpodczas festiwalu.

- Oczywiście - mówi RobertPresson, gdykelner się oddala -podczas festiwalu zapominasię o  
wszystkim.

Są to najbardziejzwariowane dwa tygodnie na Lazurowym Wybrzeżu.

A czasemnajbardziej zwariowane dwa tygodniew czymś życiu.

Coon sobie wyobraża- myśli Anna - mówiąc mi takierzeczy?

Z ciekawością i apetytem zabiera się do swojej kanapki, która- szczerze mówiąc -  
wcaleniwydaje jej się za duża.

Nigdy niemusiła się odchudzać czy dbaćo linię, jadła zawsze to, na comiała ochotę, no,  
nie za dewizy.

- Dziwię się, że do tej pory - ciągnie dalej Presson -nie napisałnikt pracy socjologicznej na  
temat ustalonych już przecież odlat festiwalowych obyczajów.

-Myśli pan, że są tak odmiennieod zwykłego sposobu byciawtychśrodkach?

-W każdym razie udzielająca się atmosferafestiwalu, któryjest swojedorodzaju targiem,  
nietylko na filmy, ale także - i możeprzede wszystkim - na kariery filmowe,a ich źródłem są  
nie zawsze wartości artystyczne.

Człowieku!

- myśli Anna, nie słuchającdalszego wywoduPressona - czy tymnie ostrzegasz, czy  
zachęcasz?

Wkażdymrazie wołesałatkę z krabów odtwoich ostrzeżeńalbozachęt.

Jestznakomita, ale może trzeba było jednakzerknąć dokarty, żebydowiedzieć się, ile tak  
gamirowanakanapkaz szynką kosztuje.

może podają także kanapki bez tych dodatków.

Zajęta jedzeniem nie zauważa, że Presson przechyliwszy głowęobserwuje ją, czekając na  
odpowiedni moment, żeby zrobić jejzdjęcie.

Ma jużw ręku swój aparat, którytrzymał dotąd na kolanach, podnosigo do oka.

- Chwileczkę!

-prosi.

-Niech pani spojrzy na mnie, i proszęsięuśmiechnąć!

Tak.tak jest właśnie dobrze.

Nie!Proszę niewycierać ust serwetką, niech będą lśniące, i koniecznie - uśmiech!

Czy mówił już ktoś pani, że ma pani zniewalający uśmiech?

- Nawet kilkakrotnie podczas wczorajszego wieczoru - niezbyt uprzejmie i bez cienia  
kokieterii odpowiada Anna, spodziewając się, że on zarazzapyta: "Jaktam naprawdę uwasjest?"  
"Ma jużwłaściwie dosyć Pressona, za śniadanie będziemy92siała prawdopodobniezapłacić  
sama i niepotrzebnej jej toimpertynenckie indagowanieo Soldivierów, deprecjonujące jeszcze  
bardziej itakmało ważnąw jej oczach własną osobę.

AleRobert Presson nie stawiałtego pytania.

Przypatruje się jej wciąż z nieukrywaną przyjemnością malarza, który zadowolony jest z wyboru modelu, i robi jej drugie zdjęcie.

- Anna Turoń- mówi.

-To bardzo dobrze brzmi po francusku.

- Zapewniam pana, że wymawiane po polsku brzmi równie dobrze - zauważa z niepotrzebnym naciskiem Anna.

Dziennikarznie odbiera tego podtekstu, może w ogóle nie jest nastawiony na żadne podteksty, ale Annie nie przychodzi to do głowy.

Rozpogadza się dlatego, że doszła do tego wniosku, ale kelner stawia przed nią talerzyk czekoladowo-migdałowy z tortem, który naprawdę czekoladowo i migdałowo pachnie, a oddawna nie jadła czegoś takiego.

Przychodzi jej od razu na myśl Sebastian, który w ciągu swego trzyletniego życia nigdy nie jadł takiego tortu i już postanawia przywieźć z Paryża (Wojtaszek Tarło obiecał, że się tam zatrzymają) pudło ciastek dla Sebastiana.

Przy wejściu do kawiarni zatrzymuje się boy hotelowy z tablicą w ręce.

Wszyscy odwracają się ku niemu, starając się odczytać wypisaną na niej nazwisko.

- Ależ to panią właśnie proszą do telefonu - mówi Presson.

-Mnie?

- Anna gwałtownie odwraca się ku tablicy.

-Tak.

Nazwisko jest nawet napisane bezbłędnie.

- Gdzie jest telefon?

- Anna stawia nietknięty tort i zrywa się do stolika.

- W recepcji.

Boy panią zaprowadzi.

Przechodząc między stolikami Anna pojmuje, dlaczego tyle dziewcząt kręci się wciąż po kawiarni.

Trzeba się tu pokazać, zaprezentować z każdej strony, i w całości; Presson miał rację, odbywają się tu targi nie tylko na filmy, i nie jest się z nich wyłączonym, choćby niewystawiało się siebie na sprzedaż.

- Halo!

- woła Anna, podnosząc odłożoną przy aparacie słuchawkę.

Nie umie ukryć podniecenia, jest to już drugi telefon doniej tego ranka, ale nie przestaje się tym ekscytować i zdumiewać, choć powinna już może nabrać przekonania, że nie jest tak całkiem zagubiona w tym festiwalowym tłumie.

Halo!

- powtarza głośniejszym głosem.

93.- To ty, Hanka?

- pyta z niedowierzaniem Tarło.

Także krzyczy w słuchawkę - tam, skąd dzwoni, panuje nieopisany hałas, ktoś musi stać w pobliżu z odbierającym muzykę jazzową tranzystorem, brzmiały podniecone głosy ludzkie, nawet szczeka jakiś pies.

- Oczywiście, że ja.

Cieszę się, że mnie znalazłeś.

Ja wczoraj, zaraz po przyjeździe szukałam cię telefonicznie.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Wojtaszek nie może wciąż ochłonać ze zdumienia.

- Nie chce mi się wierzyć, że na własny koszt?

- Na własny koszt nerwowy, jeśli można to tak określić.

Ale dewizy wyłożyło jednak ministerstwo.



- Anna opowiada w największym skrócie wydarzenia poprzedniego dnia.  
- Cieszę się, że ten niesłychany nietakt wobec ciebie okazał się nieporozumieniem.  
Mam nadzieję, że nikomu nie opowiedziałas tej historii?  
- Spaliłabym się ze wstydu.  
- Ale to wszystko niewyjaśnia, w jaki sposób znalazłaś się z Soldivierami na pokazie filmu, na który, nawiasem mówiąc, ja ledwo się dostałem?  
- Leciłam z żoną Soldiviera z Paryża do Nicei.  
Przywieźliśmy samochodem do Cannes, a Marcel.  
- Anna, zawaławszy się przez sekundę, wymawia tylko imię francuskiego reżysera, choć nie łączy ją z nim nawet cień zażyłości - Marcel załatwił mi pokój w "Carltonie".  
- Bój się Boga, dlaczego aż w "Carltonie"?  
- Bo był to jedyne wolne miejsce.  
Słyszałam wczoraj na przyjęciu, jak mówiono, że jeszcze bardziej niż ja spóźnionych gości zakwaterowano w Nicei.  
- Ale wyobrażasz sobie, ile kosztuje pokój w "Carltonie"?  
- Powinni się tym martwić ci, którzy opóźnili mój przyjazd.  
Czy to w końcu nie ty odwołałaś rezerwację pokoju dla mnie?  
Przepraszam - Anna milknie, widzi prawie przed sobą w przykry sposób zdumioną twarz Wojtaszka.  
Co się stało z tą dziewczyną - myśli zapewne - przez jeden wieczór w Cannes?  
- Przepraszam, ale najmniej w tym mojej winy, musisz sam przyznać.  
Poza tym koszty zakwaterowania ponoszą chyba organizatorzy festiwalu.  
- Miejmy nadzieję.  
Jestem tu z Markiem, chcemy się z tobą spotkać.  
Co teraz robisz?  
- Jem w kawiarni śniadanie z dziennikarzem z "Presse Soir".  
- Ostro startujesz, Hanka!  
- Przypadek - mruczy Anna.  
Żebyś ty wiedział - myśli - że ten dziennikarz wypytuje mnie głównie o Soldiviera!  
Oczywiście nigdy się do tego przed nikim nie przyzna, nawet przed Szymonem, i w oczach własnego męża opłaca się być bardziej kimś, niż się jest w istocie.  
- Już tam do ciebie idziemy.  
Jakkolwiek Marek wciąż się rozgląda za jakimiś sklepami.  
- Zwariował!  
W Cannes jest wszędzie chwila dwa razy droższe niż gdzie indziej.  
- Wytłumaczysz mi to sama.  
Anna wraca do stolika z twarzą zarumienioną po tej rozmowie, w której tak bardzo się sobie nie podobała.  
- Dzwonił Soldivier?  
- pyta Presson.  
- Ach, nie.  
To Wojciech Tarło.  
Wyleciał z Warszawy dzień wcześniej.  
Ja.. miałam pewne komplikacje domowe.  
Wojciech Tarło - twórca "Zdobycia świata".  
- Scenarzysta?  
- pyta w roztrąnieniu Presson.  
- Nie, reżyser.  
Scenariusz napisał ktoś inny.

- Anna niemoże sobie przypomnieć nazwiska młodego pisarza, którego scenariusz stał się załącznikiem filmu.

Nigdy nie widziała go na planie.

Wojtaszek, jak wszyscy polscy filmowcy, niezwykły był zwracać sobie głowy scenarzystami.

- Zaraz tu przyjdzie.

- Kto?

- Wojciech Tarło.

aktor grający główną rolę męską, Marek Sarpowicz.

Presson niedwuznacznie zerka na zegarek.

- Będę musiał uciekać.

Chcę obejrzeć film brazylijski.

Podobno pełendrastyczności erotycznych.

- Pana to epatuje?

- pyta Anna.

Nie umie ukryć rozczarowanego zdumienia - po co właściwie dziennikarz się z nią umówił?

Jednak zewzględu na osobę Soldiviera!

- Czytelnicy to lubią - uśmiecha się Presson; zamykając swój notes pochyla się leciutko ku Annie.

- Proszę przypadkiem nieprosić rachunek, już zapłacony.

- Och - zaczyna Annazę świetnie zagranym protestem - niech pan nie sądzi, że nasze diety są aż tak małe.

95.

- Zaprosiłem panią - Presson całuje ją w rękę, potrafi być czarujący i można wybaczyć mu nawet to, że nie obchodzą go filmy, które prawdopodobnie zainteresowałyby czytelników jego gazety.

Niemniej Annie jest wyraźne swoje, gdy Tarło i Sarpowicz nie zastają go przy jej stoliku.

- Gdzie twój dziennikarz?

- pyta od razu Wojtaszek.

- Śpieszy się na pokaz filmu brazylijskiego.

- Może byśmy także poszli?

- Ja jestem umówiona na plażę.

- Twój kraj - zaczyna Wojtaszek z miną bardzo zasadniczo nastrojonego decydenta - wysłał cię tutaj po to, żebyś się opalała, tylko żebyś godnie reprezentowała.

- Właśnie najlepiej zrobię to na plaży w kostiumie, który mam pożyczyć Isabelle Pasreger.

O tej porze wszyscy, którzy liczą się w Cannes, spotykają się na plaży.

- I ty już o tym wiesz?

- Wyobraź sobie!

- uśmiecha się Anna.

- Jedliście już śniadanie?

- Oczywiście - odzywa się wreszcie Marek.

Odespał się trochę w Cannes po swoich nocnych obowiązkach ojcowskich, ale wciąż tkwi chyba przy nich myślami, bo spojrzenie ma odległe i roztargnione, a to jedyne słowo, które powiedział, zawiera podtekst, natychmiast właściwie odebrany przez Annę: Dziewczyno! Jedliście już śniadanie w o wiele tańszym lokalu i nie zmusisz nas nawet do wypicia kawy w "Carltonie".

- Wobec tego możemy wszyscy pójść na plażę.

- Mój kraj - zaczyna znów Wojtaszek - nie po to wysłałem niedo Cannes, żeby tu leżał na plaży, zwłaszcza że sami mamy tylko kilometr morskiego brzegu, ale żebyśmy chłonęli trendy światowego kina.

- Totalnie możesz robić na plaży.

Tylko dziennikarze chodzą na ranną projekcję i zaliczają pięć do sześciu filmów nadobę. Wszyscy inni.

- ...

którzysię liczą w Cannes.

- to już słyszałem.

No, dobrze- poddaje się w końcu piekielnym gruncie rzeczy stremowany reżyser polskiego filmu, który za kilka dni ma być pokazany w oficjalnym konkursie.

Niewie, jak przetrwa do tego terminu, nicgo nie bawi, nie zaciekawia ani nie interesuje.

Najchętniej zaszyłby się gdzieś w kącie i nawet nie poszedł na pokaz, boi się, że do 96 stanie atak serca, słysząc skrzyknięte krzesła, co nieomylnie wróży klępkę filmu, bo ludzie albo się nudzą i kręcą, albo nawet opuszczają salę kinową.

Dlaczego tak łatwo popadał w panikę, dlaczego nawet w krajach miały siły przebicia co inni?

Naprawdę, to, że właśnie jego film wysłano do Cannes, było najprawdziwszym cudem, jak twierdziła Hanka, nie przyłożył do tego cudu ręki o!

napewno.

I tutaj także ktoś inny na jego miejscu.

Wyobraził sobie kilku swoich kolegów brylujących w tym międzynarodowym towarzystwie.

Tu by rzucili jakieś grabie powieszono, tam byłbyś nęty cierpiętniczo-ironicznym stwierdzeniem, którym zapewne popisywaliby się w kraju.

Weszliby w ten gęszcz zależności, w którym rodziły się i przepadały kariery i umieliby uczynić atut tego, co on uważał za obciążenie.

Czy miał jakąś szansę?

Czy jego film, choć zakwalifikowany przeciw przez jury konkursu, rzeczywiście nadawał się do Cannes?

Miał wprawdzie ten szczególny, o który tu, na pierwszym festiwalu świata, zawsze chodziło jurorom, ale czy nie zabrzmi on zbyt słabo przy dobitniejszych akcentach niepokoju o coraz bardziej pochyłą drogę współczesności?

Ale czy zamyślenie człowieka nad sobą można było ukazać w tonacji innej niż kameralna oszczędność środków, niż prostota i ściszenie?

A jednak!

Taki na przykład Soldivier.

Swoje postanie moralne pokazał w ascetycznej formie - przed którą dołał się obronić - ale w całym bogactwie i blasku najnowocześniejszych osiągnięć kina, nie zaniedbując obowiązków wobec widza zdemoralizowanego perfekcjonizmem filmów komercyjnych.

Na wczorajszym pokazie "Odsiecz" nie trzeszczały krzesła.

Film był "do myślenia" i "do oglądania", jak mówiono o projekcji na Poziomie

Trzeci pałac wśród krytyków i profesjonalistów, i "do sprzedania" - jak zapewne ostatecznie stwierdzono na Poziomie Minus Jeden, gdzie odbywały się targi filmowe.

- A więc chodźmy!

- przynagła Anna, już trochę niecierpliwiła.

Wczoraj wieczorem tęskniła tak bardzo za Wojtaszkami Markiem, że przeszukała telefonicznie połowę Cannes, żeby ich znaleźć.

Dziś wydawali jej się przypomnieniem murek, które pragnęła zrzucić z siebie: Tarło uosabiałów przerażający znak zapytania, jakim był czekający pokaz "Zdobycia świata", Marek-spętany ojcowskimi powinnościami - nie pozwalał jej oddalić od siebie myśli o własnych obowiązkach matczynych.

Może także 97.

powinna sporządzić sobie listę najkonieczniejszych zakupów i panicznie oszczędzać franki. no, narazie nie wydała ani jednego!

- Jajednak.

-zaczyna teraz oponować Marek, ale Anna bierze go energicznie pod rękę.

Człowieku, rozejrzyj się!

Zobacz, jak baby wytrzeszczają na ciebie ślepia!

Nie namawiam cię, żebyś miał tuż raz wskoczyć do czyjegoś łóżka, ale przestań chociaż na chwilę myśleć o pieluchach!

- Coty wygadujesz?

-Marek jest co najmniej odroku zupełnie pozbawiony poczucia humoru.

-Przejrzyj moją listę, czy są tam w ogóle zapisane pieluszki?

- Wojtaszku!

-Anna bierze i Tarfę pod rękę, żeby nie zgubić go w zatłoczonym hallu "Carltona".

-Nie mogłeś mi znaleźć innego amanta?

- Szczerze mówiąc, mam was obydwójce powyżej uszu.

Ty ciągniesz mnie na plażę, a on dosklepów.

- A na co ty masz właściwie ochotę?

-W gruncie rzeczy - na nic!

-wyznaje Tarło z tak bolesną szczerością, aż Anna uznaje za słuszną dać mu kuksańca w bok.

- Ciebie chyba takżemuszę przywołać do przytomności.

-O, tak!

-kiwa smętnie głową Wojtaszek.

-Zrób to, Hanka.

I upoważniam cię do tych kuksańców za każdym razem, gdy tylko zauważysz, że.

-Koniec z tym!

Słońce namucieka!

- Anna popycha obydwój stronę wyjścia.

Nabulwarze Croisette jest jeszcze tłoczniej niż przed godziną chyba także przybyło leżących ciał na plaży.

Słońce przypieka ostro, napokładach jachtów, zakotwiczonych na Morzu Liguryjskim, rozpięto kolorowe parasole.

- Gdzież ty znajdziesz w tym tłumie tych, z którymi się umówiłaś?

-powątpiewa Tarło, kiedy schodzą już na plażę i wymijając leżących posuwają się wzdłuż brzegu.

- Przynajmniej spróbuję - mruczy Anna.

Zaczynają ją także ogarniać wątpliwości.

Wprowadzając tę plażę od lat Isabelle określiła dokładnie, gdzie należy jej szukać, ale nie przewidziała chyba, że tłok będzie aż tak wielki, a kosze pod ścianą kawiarenki usytuowanej w centralnym miejscu zajmie jakaś hałaśliwa młodzież.

- Mieliliśmy się spotkać gdzieś tutaj.

-Zkim?

98- Z żoną Soldiviera i jej towarzystwem.

-A on?

-pyta Tarło.

Może jednak miałby ochotę poznać francuskiego reżysera.

- On pływa.

-Co robi?

- Pływa.

Długo dystansowiec.

Co dnia pięć kilometrów.

- Wariat!

-Poza tym graw tenisa i biega.

- Matko Przenajświętsza!

Akiedy kręci filmy?

- Chyba w tak zwanym międzyczasie.

-Wariat!

- powtarza Wojtaszek.

Sam, kiedynie pracuje, lubidługo spać, siedzieć z wyciągniętymi nogami w głębokim fotelu,udając przed samym sobą, że myśli, a jeśli się z niego podnosi,topo to,żeby przesiąść się naktóreś z krzeseł w SPATiF-ie.

Nierazna planie zadawał sobie nagłos pytanie: Właściwie nie wiem, czyjestem chory, czy leniwy?

- Wariat- powtarza jeszcze raz -i pewnie się kiedyś utopi.

-Ma motorówkę z wynajętym ratownikiem, któramu przezcały czas towarzyszy.

-Ba!- To warunek jego żony.

Inaczej niepozwoiłaby muptywać.

- Mówiąco motorówce, Anna wpatruje sięw morze i dostrzega nalazurowej płycie, nie zmarszczonej nawet najdrobniejszą falą,białą łodzi obokniej również biały czepek pływaka.

-Gdzieśtu,w prostej liniiod łodzi,musi byćIsabelle - mówido Tarłyi Sarpowicza.

-Rozejrzyjcie się, widzieliście w prasie jej zdjęcie.

- Zapamiętałemtylko to, że jest piękna - wzrusza ramionamiWojtaszek.

-Ale jest tu wiele pięknych kobiet.

Jedna nawetod dłuższego czasuidzie zaimi, niespuszczającoka z Marka, który zdjąłkoszulę, żebywystawić na słońce swojeszerokieplecy.

Wyróżniają się tu rażąca bielą skóry, ale tym bardziej zwraca uwagę ich męska uroda, siłamięśni i wspaniały rysunek karku.

Dziewczynamusiaładostrzec to pierwsza, bosnuje siętuż za piętami Polakapodśpiewując cichutko.

Cała w czekoladowej polewie skóry, przepasanejtylko na biuście ibiodrach wąskimi skrawkami opalacza, jest chyba Mulatką i jedną z tych ciemnoskórych ślicznotek, którym już niewystarcza kariera covergirl czymodelki ipragnęłabywdrzeć sięw świat filmu.

99.-Anna!

- woła Isabelle, unosząc w górę ramię.

Leży na pomarańczowym ręczniku,otoczona swoim towarzystwem, ale takjak na schodach festiwalowego pałacu,tak i tutaj wyławia Annęz tłumy, może tym razem dlatego, że Polka jest ubrana, a nie rozebrana, jak wszyscy wokół.

- Jesteśmy tutaj!

Proszę do nas!

- Och,bałam się, że już pani nie znajdę.

-Anna klękaprzyniejna ręczniku inaprawdę jestszczęśliwa, żeją widzi.

To dzięki niej przestała się bać Cannes isiebie, zagubionej wtejmiędzynarodowej ciżbie, a nawet nabrała trochęaufania do własnychmożliwości, które nie wydawały jej się już takznikome.

Cozrobiłaby bez niej?

Nie wyobraża sobie nawet, że mogłaby poznać kogośinnego, jest przekonana, że byłaby zdanatylkono towarzystwoWojtaszkai Marka, ale po cóż wobec tego wyjeżdżała z Warszawy?

- Ogarnęło mnie prawie przerażenie -mówi - kiedy zobaczyłam, że te kosze podścianą kawiarni zajęte są przez jakąś młodzież.

-Tak, wpakowaliśmy tamjuż wcześniej jacyś gówniarze -Isabelle nie przebiera w słowach, ale dodaje jejto jeszcze wdzięku.

- Na plaży ten lepszy, kto pierwszy.

Dobrze, żeudało mi sięznaleźć to miejsce.

Nie jest nadzwyczajne, bo za blisko wody wciąż siętu ktoś kręci, ale przynajmniej mogą obserwować, jak płynie Marcel.

Anna uśmiecha się i patrzy także na białoczepek, oddalając się wciąż od brzegu, w bezpiecznej bliskości łodzi.

- Ale nie musimy się wciąż w niego wpatrywać.

- Isabelle przenosi wzrok na Tarła i Sarpowicza.

- Zdaje się, że wreszcie panowie zamierzają przedstawić mi swoich Polaków.

- Tak, to właśnie oni!

- Anna uśmiecha się i wie, co należy w takiej chwili powiedzieć: - Po obejrzeniu dzisiejszej prasy obydwaj marzyli, żeby panią poznać.

Pan Wojciech Tarło, reżyser "Zdobycia świata" i pan Marek Sarpowicz, mój partner z tego filmu.

- Patsy Walth - przedstawia się również Mulatką, skądś wcale nie zdziwionej jej obecnością pani Pasreger, która czynie okrągły gestku reszcie towarzystwa.

- Poznajcie się!

- Chętnie!

- mówi Patsy i wyciąga ciemną apkę ku leżącej również na pomarańczowym ręczniku Suzanne Aringaux, potem 100ku gorze tłuszczu, jak jest Francis Balk, producent trzech ostatnich filmów Soldiviera, bardzo odważnie pokazujący się na plaży w ledwo trzymających się na podbrzuszu kąpielowych spodenkach, wreszcie - odsuwa gazetę, którą czyta René Paton, współpracujący z Soldivierem kompozytor, żeby także i jemu się przedstawić.

Dziewczyna ma bardzo dużo olśniewających zębów, które ledwo się mieszczą w rozpiętych uśmiechem ustach i trudno nie czuć się szczęśliwym, że masie przed sobą taką osobkę.

- Poznajmy się - mówi ochotczo Wojtaszek Tarło, niemający pojęcia, że to oni przywlekli Mulatkę do towarzystwa pani Pasreger.

Przedstawia się także Marek, któremu ciemnoskóra dziewczyna nie pozwala już oddalić się od siebie.

Dotyka smagłym palcem, zakończonym nieprawdopodobnie długim koralowym paznokciem, jego pierś i uśmiecha się porozumiewawczo do pań.

- Prawda, jakiś śliczny?

Ale podnieconym śmiechem odpowiadają panowie.

Jakoś się łożyli, Paton odłożył gazetę, Balk podniósł na czoło przeciwsłoneczne okulary, Tarło prostuje swoją niepozorną postać, nawet Marek - zamiast poczuć się urażonym za tak bezceremonialne zwrócenie na niego uwagi wyszczerzył zębiska.

Mulatkę mówi po francusku z okropnym akcentem, ale to się najwidoczniej podoba; po co - myśli Anna - wydałam tyle pieniędzy i zadałam sobie tyle trudu, żeby poprawić mój francuski, kiedy trzeba tu być właśnie kaleczyć ten język, żeby zwrócić na siebie uwagę?

W ogóle - myśli Anna - w takim jednym miejscu, do którego zjechało tyle pięknych kobiet, nie może wystarczyć tylko uroda.

Trzeba być ponadprzeciętnie głupią, jak ta mała, która niewiadomo właściwie skąd się wzięła, albo tak jak Isabelle promieniować pychą dobroci, wypływającej z uspokajającego poczucia własnej doskonałości.

I Isabelle rzeczywiście okazuje się taka, jak Anna sobie ją wyobraża.

Życzliwie przyjmuje infantylny nietakt Mulatki, powtarzając nawet to najmniej pasujące do męskiej urody Marka słowo: - Śliczny!

- Ale zaraz dodaje, uważnie choć bezimpertynencji oglądając Polaka od stóp do głowy: - Cieszy mnie, że przynajmniej inne kinematografiemają przyływ młodych obiecujących aktorów.

Bo, niestety, o francuskiej nie da się tego powieść 101. dzieć.

Mój Boże, naszczotłowi amanci już po pięćdziesiątce, a nowych -im dorównujących - nie widać.

Na szczęście, jeśli chodzi o aktorki, jest o wiele lepiej.

Wystarczy pojechać do któregoś z prowincjonalnych teatrów, żeby znaleźć tam prawdziwą piękność.

Ja zobaczyłam Suzanne (Suzanne Aringaux porusza się w ręczniku, nie otwierając oczu) na scenie teatru w Orleanie.

Pascal prosił mnie o wspólne obejrzenie kilku zamków nad Loarą, chciał w którymś z nich zrealizować jeden z dramatów Szekspira.

Nie miał jeszcze konkretnych planów co do sztuki, chciał, żeby najpierw obejrzała te plenery, ewentualnie może mu coś zasugerowała, a przede wszystkim, żeby z nim była, żeby z nim rozmawiała, rozmowy działają na niego inspirująco, nie pracuję sam, jak Marcel.

Jest już tak daleko.

Wszyscy patrzą w morze, więc Anna unosi się z kłęczki patrzy na biały czepek pływaka oddalającego się wciąż od brzegu.

- No więc przegadaliśmy cały dzień - ciągnie dalej Isabelle - a wieczorem wstąpiliśmy do teatru w Orleanie, żeby zobaczyć którąś tam Joannę d'Arc w swoim życiu.

Teatr w tym mieście musi mieć wciąż Joannę w repertuarze, turyści tego oczekują, pozwiedzenie muzeum Joanny d'Arc, po modłach w katedrze St Croix, wieczorem chcą zobaczyć swoją Joannę na scenie.

Przedstawienie zresztą było znakomite.

Joanna.

- Shawa czy Anouilha?

- pyta Anna; jeszcze w szkole dramatycznej marzyła, żeby zagrać w "Skowronku".

- Anouilha, oczywiście.

Przedstawienie reżyserował gościnnie Gaspar Garrou, a on mógł zrobić tylko "Skowronka". Gaspar nie nosi Shawa.

Paton i Balk potakują, wiedzą, że Gaspar Garrou nie nosi Shawa, wszyscy się tu znają, każde wymienione nazwisko ma tu określone znaczenie; tylko dla mnie - myśli Anna, jest pustym dźwiękiem, którego nie warto nawet zapamiętywać, na nic się dzisiaj nie przyda.

- Ogarnia ją nagle zniechęcenie.

Zbyt wiele barier trzeba było pokonać, żeby naprawdę być tu, wśród tych ludzi.

Tylko ktoś taki jak Patsy mógł się nad tymnie zastanawiać.

A więc to jednak ją chodzi, myśli Anna pokorzona, że potrzeba jej tak mało - Patsy!

To przez nią poczuła się od razu zgaszona, jakby całe słońce padało natę brunatną dziewczynę.

Ogarnęła ją panika.

Musiała coś zrobić, musiała w jakiś sposób zwrócić na siebie uwagę, musiała walczyć, wszędzie i wciąż, bez chwili wytchnienia!

Tymczasem Francis Balk nie spuszcza oczu z Mulatki.

- Chyba gdzieś już panią widziałem.

- Zgadzasz się - potwierdza Patsy.

- Na pewno pan widział.

Okładka "Playboya" numer siódmy, osiemdziesiąty drugi rok.

- Nie zwraca uwaga Balka, choć wie, że jak ktoś jest stary i gruby, musi być kimś w tym środowisku.

Zajęta jest wyłącznie Polakiem, ogląda go sobie, jakby stał na wystawie, był sztuczny i na pewno do kupienia.

A Marek, ściągawszy spodnie (nie chciał się na plażę, myśli Anna, a jednak wyszedł z hotelu już w slipkach), składa je starannie, żeby nie straciły kantu i kładzie w cieniu ogromnej torby plażowej pani Pasreger, która wyjmując z niej od razu tubkę z kremem podaje Polakowi.

-Och!

- przypomina sobie.

-Anno!

Przecież przyniosłam dla pani kostium plażowy!

Ten "kostium" mieści się cały w dłoni Isabelle i wręczony Annie napełnia ją prawdziwym przerażeniem.

Zastanawia się, jak nie ulec i nie zostać zmuszoną do zawiązania na sobietych czterech trójkącików (dwa większe na dół i dwa mniejsze na górę) z szafirowej tkaniny, która miała stać się osłoną nagości.

- Może ja zostanę.

-zaczyna.

Ale pani Pasreger nie przewiduje oporu.

- Zsuniemy zaraz dwa kosze - mówi, patrząc wymownie na mężczyzn - żeby mogła pani się przebrać.

Już wraca!

- dodaje spojrzawszy w morze.

Biały czepek zaczyna teraz zbliżać się do brzegu, łódź także zawraca i płynie obok w czujnej bliskości.

Isabelle rozkłada na piasku kilka ręczników, a lenie zaprasza nikogo, żeby się na nie położył.

- Niech się nagrzej - mówi.

- Marcel wychodzi z wody zimny jak lód.

Anna, skurczona w zsuniętych przez Wojtaszka i Marka koszach, nie ma łatwego zadania.

Trzeba nie lada ekwilibrystyki, żeby przebrać się w tych warunkach, a ponadto nie jest pewna, czy powinno się zrobić, nigdy w życiu nie nosiła takiego kostiumu.

i jakkolwiek aktorka najmniej ze wszystkich ludzi ma swoje ciało tylko dla siebie - to może przecież nie poddać się tej zasadzie.

Czy jednak.

akurat teraz?

I tutaj, gdzie większość młodych kobiet nosiła toplessa wśród nich te, choć odrobinę szlachetniej ubrane, wydawały się od razu kalekami?

Jednym szarpnięciem rozsunięła zamek błyskawiczny na plecach i ściągnęła przez głowę suknię.

Żeby choć kawałek lustra, myśli, przecież nawet niewiem, jak w tych idiotycznych trójkącikach wyglądam, nigdy bez sprawdzenia siebie w lustrze pokazywała się na scenie. Bo to jednak jest scena, to pasmopiachu, zryte tysiącamistóp, niemożna o tym ani na chwilę zapomnieć.

Ale porównanie nie jest trafne.

Gdyby - uporawszy się z trudną znikomością swego kostiumu - pojawiła się na prawdziwej scenie, zwróciłyby się ku niej oczy całej widowni.

Tu, gdzie wszyscy są aktorami i widzami, nie patrzy na nią nikt - prawie nikt, bo Isabelle obrzuca ją jednak krótkim spojrzeniem.

- Świetnie!

-mówi.

-Czy także chce pani kremu?

Mam nadzieję, że niewchłoną całej tubki rozległe powierzchnie waszego czołowego amanta. Ostatnie zdanie skierowane jest do Patsy, która jednak za słabo zna francuski, żeby pojąć, o co chodzi.

W dalszym ciągu nie żałując kremu, wciera go w plecy, ramiona i nawet uda wyraźnym zmieszaniem, ale jednak nie oponującego Sarpowicza.

- Ten krem wystarczy także dla mnie - cierpko zauważa Anna.

- Powiedz jej to!



-również popolsku odpowiada Marek.

- Ty jej powiedz!

Znasz angielski, a ona zdaje się mówić w języku.

Zresztą diabli ją wiedzą, nie mam pojęcia, skąd się tu wzięła.

- Była już tu, kiedy przyszliśmy.

- Skądże?

Przedstawiła się przecież pani Pasreger.

- Nie zauważyłem.

- Żeby tylko nas nie okradła!

Widziałeś, że wszędzie wiszą ostrzeżenia przed złodziejami?

- Widziałem - Marek odwraca się tak, żeby mieć na okus swoje spodnie; zostawił w kieszeni wszystkie dewizy.

- Elżbieta by nie uwierzyła, że okradzionie cię na plaży.

Przypomnienie żony budzi w Marku energię.

- Dostyc!

- mówi do Patsy po angielsku.

- Przecież grubą warstwę kremu nie przebiję się wcale słońce.

A w ogóle, chcę mieć trochę spokoju.

Patsy robi ze zdumienia okrągłe oczy, prześliczne okrągłe oczy (rzęsy ma chyba sztuczne - myśli Anna), nie rozumie Polaka, najwidoczniej zna angielski, ale nie rozumie Polaka, nie może pojąć, że nie jest zachwycony natłuszczającą masażem uwagę, jaką mu poświęca.

- Dostyc!

- powtarza Marek, odbiera tubę z kremem Mulatcei wręcza ją Annie.

- No, chyba teraz zrozumiała - stwierdza Anna popolsku.

- Wyraźnie wpadłeś jej w oko.

- Przecież kiedy wychodziliśmy z hotelu włączaliśmy do rozmowy, również po polsku, Wojtaszek Tarło - zalecał mi, żeby rozejrzałem się wśród gapiących się na niego pań.

- Ale czy to musi być od razu Murzynka?

- Ona nie jest Murzynką.

Co najwyżej jej biały tatuś wybrał dla niej czarną mamę.

Nie wiedziałem, że masz rasistowskie uprzedzenia.

Ale chyba tylko w stosunku do prześlicznych Mulatek?

- Och, daj mi spokój!

- Niech się pani nie przejmie - mówi Wojtaszek po angielsku do Patsy.

- Osoby tak uroczenie powinny się niczym przejmować.

Cała ta rozmowa toczy się przy absolutnym milczeniu Francuzów, które wreszcie przerywa pani Pasreger, zwracając się do Tarły po angielsku.

- Pan, zdaje się, nie zna francuskiego?

- Zapamiętałem tylko najczęściej używane słowa, madame.

Pain, eau, amour, argent.

- Chleb, woda, miłość, pieniądze - powtarza po angielsku Isabelle.

- To rzeczywiście najważniejsza słowa.

- Ja bym tu dodał jeszcze befsztyk z polędwicy - uśmiecha się Balk.

- A ja wino!

- dorzuca Paton.

Wreszcie rozmawiają wszyscy razem i Anna, chociażna angielski bardzo słabo, nabiera przekonania, że Wojtaszek, uważany prawdopodobnie dotąd przez całe towarzystwo za mizerną figurę,

zaczyna błyszczeć w tym gronie iemu głównie Isabelle, umiejąca świetnie wybierać, poświęca swoją uwagę.

- Ma pan rację - mówi.

- Trafna obsada jest najważniejsza.

Jatakże, choć jestem scenografem, a nie reżyserem, patrzę na aktorę jako na główny akcent kompozycji kadru.

Dobrze - myśli Anna - niech sobie tak rozmawiają, nic mnie to wszystko nie obchodzi.

- Posmarowawszy kremem dekolt ramiona, wrzuciła tubkę do torby Isabelle, i teraz siedzi nieruchomo, jak swój własny posąg, starając się opanować nagły smutek i rozdrażnienie. Jest jej zimno - w Cannes!

Jest jej zimno - maprawie dreszcze (chyba dostanie zaraz gęsiej skórki - myśli w popłochu);

Warszawa wydaje jej się najwspanialszym miejscem świata, a Szymon, jej Szymon.

zatekniła zanim tak boleśnie, że zaczęła się zbierać na płacz.

I wtedy właśnie wszyscy zrywają się ze swoich miejsc - Marcel Souldivier zbliża się do brzegu.

Isabelle biegnie do morza i płynie mu naprzeciw, a kiedy wyprowadza go z wody, rzuca się od razu po ręcznik ogrzany słońcem i zaczyna wycierać i rozcierać nim męża.

- Anno!

- woła.

- Niech mi pani pomoże!

Jest naprawdę zimny jak lód.

Anna zbliża się posłusznie (dlaczego nie zawoła Suzanne?

myśli), choć bez ochoty.

Zostaje jej powierzone piersi Souldiviera; trudno uwierzyć, że ktoś tak spalony słońcem może być zmarnięty, ale tak jest, czuje to, gdy kładzie dłoń nabrązowej, twardej napiętej na mięśniach skóry, i trze ją ręcznikiem dla rozgrzewki.

Souldivier nie patrzy na nią, powieki ma opuszczone, w półotwartych ustach dzwonią mu zęby, chyba się wstydzi, że nie może tego opanować, i znowu jest wściekły na żonę za przywołanie Polki, która oczywiście jest już tu także razem z nią.

Jak spod ziemi wyrasta rój fotografów.

Nieobecni, gdy nie było tu Souldiviera, teraz obskakują go zwartym kołem; trzaskają aparaty, Anna wie, że i ona będzie w tych zdjęciach, ona i Souldivier, otulany przez nią ręcznikiem; zbyt jest przez pracę w telewizji filmie obeznaną z okiem kamery, żeby nie orientować się w jej nastawieniu - i nagle ogarnia ją strach, niewytłumaczalnym strach, zamiast triumfu radości.

106VII- Kiedy wróci mama?

- Sebastian co rana zadaje to pytanie.

Budzony teraz wcześniej, żeby Szymon, odprowadzając go do przedszkola, mógł zdążyć na ósmą godzinę - kapryśny adalerzemyłatków, które nie wiadomo po co wmusza się w niego, skoro zaraz po przyjeździe do przedszkola dostaje tam śniadanie.

Szymona ogarniają te wątpliwości, kiedy już od szóstej rano zaczyna gotować wciąż przypalające się płatki, kiedy kipi mu z rondelka i trzeba potem myć kuchenkę, szorować proszkiem przypalone dno garnka i wyrzucać niedojedzone przez Sebastiana płatki do ustępu - ale Anna powiedziała przed wyjazdem, że niewolno dziecku wyprowadzać z pustym żołądkiem z domu, więc musi tak być, nie należy niczego zmieniać w tej regule.

- Kiedy wróci mama?

- powtarza Sebastian, kategorycznie domagając się odpowiedzi.

Płatki z trzymanej nasztortki łyżki spływają naderwetę.

- Zobacz, co robisz!

- krzyczy Szymon.

- Nic nie robię.

To się samo robi.

Słusznie, Szymon nie może odmówić synowi racji, a poza tym wciąż pozostaje bez odpowiedzi zadane mu przez niego pytanie.

- Jak zjesz zaraz płatki mówi, nie patrząc mu w oczy - to mama wróci bardzo prędko.

Sebastian zanurzył znów łyżkę w ziemistobury klej i może by był skłonny podnieść ją do ust, ale teraz zaniechał tego zamiaru.

- W tym jest jakieś szachrajstwo.

- Jakie szachrajstwo?

- Wybuchła ojciec i zaraz milknie.

Sebastian znów marację, bezbłędnie wychwytyując brak logiki w kierowanych do niego zdaniach, nie można mu niczego mówić, nie można go szukać.

Sędzia Turoń czuje się pokonany.

Wyobrażał sobie zawsze, że wrodzone skłonności, wychowanie, jakie odebrał, i wykonywany zawód wykształciły w nim tyle przymiotów pedagogicznych, że mógłby promieniować nimi w każdej sytuacji.

Tymczasem wobec swego trzyletniego syna.

Ależ on jest już starszy, ma już trzy lata i pięć miesięcy, dzieci w tym wieku są podobno najbardziej dociekliwe.

Ciekawe, w jaki sposób radzi sobie z nim Anna?

Może po prostu nie przywiązuje

zbyt wielkiej wagi do jego paplania i pozostawia czasem pytania bez odpowiedzi.

To on, wpatrując się przez wiele godzin dziennie w oczy ludzi siedzących na ławie oskarżonych i usiłujący dociecć - jakie zaniedbanie, niewłaściwe słowo, brak uczucia ze strony bliskich - ich tu zaprowadziło, być może zbyt skłonny zastanawiać się nad sensem i uczciwością każdego skierowanego do syna słowa.

A jednak teraz pozwolił sobie wobec niego na to idiotyczne zdanie: "Jak zjesz zaraz płatki, to mama wróci bardzo prędko".

Naprawdę kryło się w nim szachrajstwo, niemożna było temu zaprzeczyć.

Ten mały człowieczek, którego z Anną stworzyli, powinien rosnąć bez najmniejszego kłamstwa, w przeciwnym razie, pocóż było go powoływać na świat?

- Przepraszam cię - mówi Szymon, wyjmując z lepkiej piąstki syna klejoną płatkami łyżkę - wylejemy zaraz to świństwo do ustępu.

Choćbyś wyjadł doczysta cały talerz, mama nie wróci tak prędko.

- Ale w poniedziałek już będzie?

- Dla Sebastiana najważniejszym i najpiękniejszym dniem tygodnia jest poniedziałek, kiedy matka nie musi iść do teatru.

- Chyba jeszcze nie - zeznaje Szymon, pilnie zważając, że bymówić "prawdę i tylko prawdę", jak przed sądem.

- Nie?

- smutnieje Sebastian.

- Przykro mi, ale nie.

- Obiecała, że w poniedziałek pójdziemy na lody.

Powiedziała, że bym nie jadł lodów bez mamy.

- Słusznie.

- Bobby mnie może rozbolało gardło, a nie powinno mnie boleć gardło, kiedy mamy niema.

- Słusznie - powtarza Szymon.

- Ale mój diabełek.

- Jaki diabełek?

- Pan Feliks mówi, że jak są aniołki, to muszą być diabełki.

I właśnie mój mnie wciąż pokusza.

- Co takiego?

- Pan Feliks mówi, że lody to pokusa, więc jak wracam z panem Feliksem z przedszkola, to ten mój diabełek wciąż mnie pokusza, żebyśmy wstąpili do Texu.

-Do Hortexu.

108- Ojej, mama mnie też wciąż poprawia.

-Bo trzeba mówić właściwie.

- Co to znaczy -właściwie?

-Tak, jak powinno się mówić.

Jak jest napisane.

- Nie umiem jeszcze czytać - stwierdza Sebastian zrzucając sobie całkowicie odpowiedzialność za przekręcanie słów.

Chodzi za ojcem krok w krok: do ustępu, gdzie unicestwione zostały prawdopodobnie jadalne z powodu przypalenia płatki, potem do kuchni, gdzie wlewie trzeba umyć talerz i wydrapać przypaleniżę z dna garnka.

- Mamienigdy się nie przypala - zauważa Sebastian, krytycznie przyglądając się zabiegom ojca.

-Ma większą praktykę - warczy Szymon.

- Co to znaczy - ma większą praktykę?

-To znaczy, że stało to robi.

- Musi?

-No..

nie musi -plącze się Szymon.

- Chce?

-Daj mi spokój!

Jak będziesz się wciąż pytał, to się spóźnimy ty do przedszkola, ja do sądu.

Sebastian milknie, alenienie nadługo.

Zmienia tylko temat.

-Ty też byłeś kiedyś mały?

- Oczywiście.

-A ja myślałem, że nie.

Żeto nie każdemu się przytrafia.

- Przytrafia się każdemu.

-Skąd on znatakie słowa?

-zastanawia się Szymon.

To chyba z tych wielogodzinnych konwersacji z panem Feliksem, który wreszcie ma się przed kim wygadać.

Ale te aniołki i diabełki, które wmówił Sebastianowi.

Trzeba by to było jakoś wybić z głowy, chyba jednak nie teraz, nie zaraz.

Szymon wyciera ręce w ścierkę i bierze z stołu zegarek, zapinając na ręce.

- Musimy się już bardzo śpieszyć.

Ubieraj się!

-Sam?

- Oczywiście, że sam.

A kto by miał ubierać takiego dużego chłopa?

- Mama.

-zaczyna Sebastian cichutko.

- Po pierwsze mamy teraz nie ma, a po drugie opowiadała mi, że już świetnie radzisz sobie z guzikami.

-Ależ butami nie.

109.-No to buty ja ci nałożę mięknie Szymon.

Sadza Sebastianawfotelu iprzyklęknąwszy przed nim, niebez trudu wciska munastopy obuwie.

Sebastian nieomylnie orientuje się, kiedy ojciec łagodniejej kiedy możnawrócić do nie dokończonej rozmowy o lodach.

- A jak byłeś kiedyśmały, to też nie wolno ci było jeść lodów?

-Chyba też.

- A teraz możesz jeść, ile chcesz i w ogóle wszystko ciwolno?

-No, wiesz.

- Szymon, zasznurowawszy buciki Sebastiana, podnosi się z klęczek -to nie jest całkiemtak. Dorosłemuczłowiekowi także wielu rzeczy robić nie wolno.

- Mój Boże!

Najprościej byłoby powiedzieć muod razuo K.

K. Kodeks Karny najzwężlej określał, czego człowiekowi nie wolno!

Tym ludziom,których widywała ławieoskarżonych, może trzebabyło właśniepokazać i daćdo przeczytania tęksięgę, kiedy wyrastali z zakazówdzieciństwa, wszystko zaczynając negować.

Aleprzecież nie tylkota księgastawiała bariery ludzkiej wolności.

Wcześniej uczyniły toreligie i jeśli ktoś zakodował sobie w duszy.

- A czego nie wolnorobić dorosłemu człowiekowi?

-chcewiedzieć Sebastian.

- Na przykład, na pewno nie wolnomu za późno przyprowadzać syna do przedszkola.

Wkładaj kurtkępokaż wreszcie, jakpięknie potrafisz zapinać guziki.

W szatniprzedszkola panuje tłok i gwar, jakzwykle otej godzinie.

Dwóch trzyletnich nowicjuszy płacze, nie chcąc rozstaćsięz mamami.

Jednaz nich, drobniutka kobietka trzyma w objęciachwierzgającą pociechę.

- Popatrz - mówi - jakigrzeczny jest synek tego pana.

Tenpan napewnobardzo by się zmartwił, gdyby jego synek płakał.

- Płaczą tylko gówniarze - stwierdza Sebastian.

-Jak ty się odzywasz?

- gromisynaSzymon.

Nie egzekwujejuż od niegorozpinaniaguzików, sam je rozpina i ściąga z niegokurtkę.

- Noco takiego powiedziałem?

Płaczątylko gówniarze.

- Sebastian!

-Co za uroczeimię!

uśmiecha się do małego Turonia pani,bynajmniejniezgorszonajego słownictwem.

-Ja i ZdzisiekKlemens nie płakaliśmy nawet pierwszego dnia.

110- Nicmnie nie obchodzątwój Zdzisieki twójKlemens, proszę, żebyś się grzecznie wyrażał.

-ZdzisiekKlemensjest jeden, chodzi ze mną w parze.

- Jak to jeden?

-Szymon czuje,że kręci mu się w głowie odścisku i hałasu, odtej rozmowy z Sebastianem.

- Przecież mówię, że jeden.

Jakby byłoich dwóch,to by niemogli chodzić ze mnąw parze.

- Oczywiście - mruczy Szymon, zaczynanie lubić własnegodieckaza tę precyzjęmyślenia.

Jak też radziła sobieznim Anna?

Tymczasem szlochający malec uspokoił sięjuż w ramionachmatki i od dłuższego czasu patrzy na Sebastianaspode łba,możebygo kopnąłw kostkę, gdyby stałobok niegonaziemi.

Ale Sebastian nie zwraca naniego uwagi.

- Klemens!

-woła olśniony.

W drugim końcu szatni stoi niepozorny chłopaczek.

Matka już go rozebrała i zostawiła, a lenajwidoczniej to go niemartwi.

O wiele mniejszy od Sebastiana, ma jednak w sobie coś męzkiego, Szymon tak właśnie nim pomyślał, patrząc, jak energicznie przebija się przez dziecięcą cizbę, żeby dotrzeć do Sebastiana.

- Ach, więc to jest Klemens!

- Tak.

Zdzisiek - dokonuje prezentacji Sebastiana.

Nie patrzy już na ojca, zupełnie interesuje go jego obecność.

Pierwsza przyjaźń jest równie silna i zniewalająca jak pierwsza miłość. Szymon wie, że wobec Klemensa nie ma szans.

Nie może tylko pojąć, na czym polegacharyzma tego piegowatego krasnala; jeden rzut oka przekonał go, że tonie Sebastian, ale tamten jest wodzem w tej dwuosobowej grupie.

- Cześć!

- mówi Klemens do Sebastiana i brzmi to łaskawie.

- No to ja już mogę iść - z ulgą stwierdza Szymon.

- Do widzenia!

Bądźcie grzeczni!

- Do widzenia - szepcze Sebastian w roztargnieniu, cały pochłonięty obecnością przyjaciela, który - Szymon to zauważył - przygląda się z pobłażaniem jego ojcu.

- Dzieci są teraz coraz trudniejsze - stwierdza mała kobietka, która także wychodzi z przedszkola iskręca w tym samym co Szymon kierunku.

Wyglądana dziewczynkę i zadziwiające jest to, że ma coś do powiedzenia o dzieciach.

- A jeszcze, jak są jedynakami i wychowuje je tylko jednozrodziców.

111. - Żona wyjechała na krótko - wyjaśnia Szymon pośpiesznie.

- Ach, tak.

- Tak.

Do widzenia pani!

Nadjeżdżający tramwaj byłby świetnym powodem do zakończenia rozmowy, ale mała pani również do niego wsiada.

- Jeśli dziecko przywiązuje się zbyt do jednego z rodziców.

- ciągnie dalej, nie zauważywszy jakby, że Szymon powiedział jej do widzenia.

- Na początku swego istnienia przywiązuje się zwykle do matki.

^- Sam pan powiedział - zwykle.

Czyli, że może być inaczej.

- Oczywiście.

- Dziecko powinno kochać jednakowo rodziców; jest to najwłaściwsze, nawet w dobrych, zgodnych rodzinach.

Ale kiedy rodzina ulega rozbiciu.

Szymon dopiero teraz przygląda się swojej rozmówczyni.

Jest blondynką o ciemnych oczach i nieskazitelnej cerze, ma świeżo usta i białe równo zęby.

A jednak porzucił ją mężczyzna, który byłojcem jej dziecka i zapewne kochał ją, zanim przyszło na świat.

Dlaczego?

Czy zaczęła mu się podobać inna, i z tego tylko powodu zniszczył założoną przez siebie rodzinę?

I choćby nie zakładał jej w pełni odpowiedzialności, choćby lekkomyślność, będąc podstawą wielu związków małżeńskich.

- Szymon łapie się natym, że formułuje myśli, jakby uzasadniał wyrok w sprawie rozwodowej. A może to ona.

Może ona była przyczyną rozbicia małżeństwa?

Właściwie, zaczęła go wysłać za nim z szatni, i wiodła dalej na ulicy rozmowę, choć niczym nie zachęcił jej.

Tagotowość kobieca imputowana nieznanemu przywiodła mu niespodziewanie na myśl Annę. Na pewno kręci się tam teraz wokół niej wielu mężczyzn; czy także tak jawnie pragnie ich towarzystwa zachęcająco patrzy im w oczy?

Nie znała takiej Anny.

Ale może w ogóle jej nie znał, człowiek jest czasem niespodzianką dla samego siebie, a dopiero dla innych.

- Mój Piotruś nie lubi chodzić do przedszkola, bo - jak wszyscy mężczyźni - chce, żeby tylko nim się zajmowano, co oczywiście w przedszkolu jest niemożliwe.

Nie może się pogodzić z tym, że jest traktowany jak wszystkie inne dzieci, że jest jednym z nich.

- Już to samo jest wystarczającym powodem, żeby go w przedszkolu umieścić.

- Prawda?

- matka Piotrusia z rosnącym ożywieniem prowadzi rozmowę.

- Cieszę się, że jest pan tego zdania.

Bo na przykład moja matka uważa, że nie należy dziecka przymuszać i skoro warunki, żeby wychowywać się w domu.

- W domu, pod opieką babci, wyrośnie na egoistę - orzeka Szymon z naciskiem, choć nic go nie obchodzi tak gorliwie omawiana przez nieznajomą kwestia.

- Prawda?

- powtarza znowu kobieta.

- Jak to dobrze, że pan też tak myśli.

Nie mam kim porozmawiać na ten temat.

A pan wydaje mi się taki rozsądny.

Bardzo się pan spieszy?

- Bardzo!

- nie przejmie stwierdza Szymon.

- Och, jaka szkoda!

Bo ja.

mogłabym się trochę spóźnić do pracy.

- Ja nie - Szymon zaczyna sobie torować drogę ku wyjściu, żeby wysiąść na najbliższym przystanku, choć mógłby to zrobić dopiero na następnym.

- Czy przyjdzie pan po południu do syna?

woła za nim mała dziewczynka; patrzy z taką nadzieją, i chyba naprawdę zasługuje, żeby potępić ją za to, że rozmawia z obcym mężczyzną.

- Nie!

Po południu odbierają go sąsiad od krzyku jednak Szymon.

Na ulicy uśmiecha się do siebie.

Niechbygo Anna zobaczyła w tej sytuacji!

Szkoda, że i on nie może jej zobaczyć w sytuacjach, w których ona teraz bywa.

Czy zwróciła na nią uwagę?

To chyba niemożliwe, żeby została niezauważona.

Przesadą byłoby wyobrazić sobie, że na jej widok wszystkich ogarnąłby szachmat, jak przed pięć laty obzwiądnął pewnego młodego sędziego, niemniej jednak można było mieć pewność, że nawet w Cannes tak dzwoniła, jak ona.

Nawet w Cannes!

Ależ tam zjeżdżały się najpiękniejsze z najpiękniejszych!

Przerażała czy też.

pocieszała go tym?

I pragnął, i bał się sukcesu Anny - nie po raz pierwszy przyłapywał się na tej zawstydzającej rozterce.

Ale czy nie rodziła się stąd, że tak bardzo obydwaj jej potrzebowali.

Kupił gazetę, przejrzał nagłówki tylko na pierwszej stronie, i wsunął ją do kieszeni.

Choć nie było jeszcze ósmej, słońce przygrzewało ostro, maj nie sprawił tego roku zawodu.

Dobrze by było pójść z Sebastianem po południu na spacer, ale kto mógł przewidzieć, kiedy

skończy się rozprawa, pan Feliks był pewniejszym opiekunem.

113-Dzień dobry, panie sędzio!

- pani Wisia, punktualna jak zawsze, także zmierza ku wejściu do sądu.

Wyciąga ku Szymonowi rękę z bukietem fiołków.

Niech pan powącha, jak pachną.

Lubi pan fiołki?

- Oczywiście.

- W ten majowy, słoneczny dzień powinien być powiedziec: bardzo, albo: szalenie!

- ale mówi: oczywiście, ponieważ wkracza już w tę sądową oschłość ukształtowane niaślownictwo, z którego usunięte zostały wszelkie zachwyty i egzaltacje.

- Oczywiście - powtarza niezadowolony jednakz siebie, przez samego siebie skarcony, ale nie mający dość siły, żeby zmienić coś w swoim sposobie bycia.

Pani Wisi tonie zraza.

Za dobrze zna swego przełożonego, żeby wymagać więcej.

Sekretarki i pracownice biurowe spędzają swoimi szefami więcej czasu niż ich żony, nie licząc nocy naturalnie, choć niektóre z nich i w nocy towarzyszą im myślami.

Pani Wisia więc wie, że sędzia Turoń nie zdobędzie się na bardziej emocjonalne określenie swego stosunku do fiołków, ale mimo to stawia mu je na biurku w małym wazoniku.

- Cóż to jest?

- pyta Szymon, podnosząc oczy znad akt sprawy, którą miała chwilę prowadzić.

^ \Pani Wisia comeła się już ku drzwiom, położyła dłoń na klamce.

- Powiedział pan przecież, że lubi pan fiołki.

- Ależ.

- Sza!

- pani Wisia jest już w progu.

- Postanowiłam wprowadzić trochę wiosny w te sądowe wnętrza.

Czy nie sądzi pan, że jesteśmy dość smutną instytucją?

- Niewszyscy mogą pracować w "Syrenie".

- Ale.

może przynajmniej oglądającej spektakle?

Widział pan ostatni program?

- Nie.

- Wstydem byłoby przyznać się, że od kilku lat nie widział żadnego.

- A nie miałby pan ochoty zobaczyć?

- Ochota by się może znalazła.

- zaczyna Szymon ostrożnie.

Cóż za dzień!

- myśli.

- Najpierw ta kobieta z przedszkola, a teraz-któżby pomyślał?

- pani Wisia!

Widocznie mają działające panie.

Ale maj jest także w Cannes.

- A więc, jeśli ochota by się znalazła- podejmuje wątek pani Wisia.

- Ale niestety muszę zostać w domu z synem.



Mojażona wyjechała na festiwal.

- Wiem.

-No i dopóki.

- ...

dopóki Sebastian niedorośnie, nigdy nie ruszy się pan wieczorem z domu.

Bo kiedy żona wróci, każdy wieczór będzie miał zajęcia w teatrze, a pan będzie musiał.

Przepraszam.

- Pani Wisia opanowuje swój wybuch.

Szymon patrzy na nią zdumiony.

- Przepraszam, nie chciałam pana urazić, ale tak mi czasem pana.

żał.- Żal.

- Szymon zamyka teczkę z aktami i coraz bardziej przykro zdumiony patrzy na panią Wisię.

Miał ją zawsze za osobę zrównoważoną i taktowną.

- Jeszcze raz pan przepraszam, panie sędzio.

Nie powinienam była tego wszystkiego mówić.

- Ale już pani powiedziała.

- Samanie wiem, co mi się stało.

- A..

dlatego właśnie pani mnie.

żałuje?

- No.

- pani Wisia przyparta do muru, właściwie do drzwi, które ma wciąż tuż za plecami, nie od razu znajduje odpowiedź.

- Czuję się całkiem szczęśliwy.

Kocham swoją rodzinę, swój zawód.

- Zawód też pan kocha, panie sędzio?

Co jej się stało?

- myśli Szymon; czym prędzej pragnie przerwać tę rozmowę.

Wstaje, wyjmując z szafy togę i łańcuch sędziowski, pani Wisia powinna zrozumieć, że przedrozwprawą muszę się skupić.

Ale ona powtarza: - Zawód też pan kocha?

- A jakże mógłbym go pełnić - teraz Szymon ledwie opanowuje rozdrażnienie - gdyby mnie żywił do niegospodarku.

- Szacunek to coś innego.

Ja także żywię szacunek do całego sądu, czasem trudno mi tu wytrzymać.

- Trudno pani tu wytrzymać?

- Oczywiście.

- Nigdy nic pani nie mówiła.

- Nieraz mówiłam, tylko pan tego nie zauważał.

Nawet przed chwilą powiedziałam, że jesteśmy dość smutną instytucją.

Kiedyś tam wychodzę, aż trudno mi nieraz uwierzyć, że istnieje jakieś inne życie - bez morderstw, bez kradzieży i gwałtów.

- Po to właśnie istnieje prawo i sądy, żeby chronić to inne życie.

- Jato wszystkowiem, panie sędzio.

- Czyżby miała pani zamiar opuścić?

- Ja? - pani Wisia zdumiała się i przestraszyła.

- Skąd przyszło topanu do głowy?

- No bo jeśli źlesię pani tutaj czuje.

- Spóźni się pan na rozprawę, panie sędzio.

- Pani Wisia rusz się od progu, pomaga Szymonowi założyć togę i łańcuch, poprawia kołnierz.

-Widzę, że nie można przed panem się pożalić.

- Nie należy tego robić nawet przed samym sobą - ucinaw końcu tę rozmowę Szymon.

Ale nawet podczas rozprawy zdarza się myśleć o niej.

Dotego budynku trafiały rzeczywiście sprawy przerażające.

Oto na ławie oskarżonych siedzieli dwoje młodych - dojrzałych pod względem

odpowiedzialności prawnej, nie można ich było sądzić w sądzie dla nieletnich - ale zupełnie

niedojrzałych życiowo i emocjonalnie.

Ona była adoptowaną córką bezdzietnego małżeństwa, on - jej przyjacielem, może także złym

duchem, miał to dopiero wykazać przewód sądowy, narazie pytania prokuratora zmierzały do

ustalenia, kto kogo namówił do zbrodni, a obrońcy każdego z oskarżonych starali się umniejszyć

winę swego klienta.

- Skąd oskarżony wiedział - pyta prokurator - gdzie w domu Forysiów przechowywane były

pieniądze i koszty?

- Od Joli.

- Proszę mówić - od oskarżonej.

- Od oskarżonej - powtarza chłopak.

Nie patrzy na dziewczynę, siedzącą obok niego na ławie między dwoma

uzbrojonymi milicjantami.

Już nie są parą kochanków, pragnących swej bliskości, są oskarżonymi, których opuściło ich

dotychczasowe życie, sami je przekreślili i zabili w chwili, w której dopuścili się morderstwa.

- Często mówiła o pieniądzach jej przybranych rodziców?

- Często.

- Kiedy?

W jakich okolicznościach?

- Kiedy.

chcieliśmy coś mieć.

no..kiedy chcieliśmy sobie coś kupić.

- Oskarżony nie dysponował żadnymi własnymi funduszami?

- Nie.

To znaczy.

wyciągnąłem czasem coś od matki.

matka sama mi dawała.

- Jakie jest źródło utrzymania matki oskarżonego?

- Ma rentę.

- Wysoką?

- Siedem tysięcy.

- Oskarżony nigdzie nie pracował?

- Nie.

To znaczy ostatnio nie.

- Ale w ostatnim miejscu zatrudnienia wytrzymał oskarżony tylko dwa miesiące.

W poprzednim trzy, a jeszcze w poprzednim tylko półtora.

Dlaczego?

- Miałem daleko do pracy.

- W każdym z tych trzech wypadków?

- No nie.

Ta ostatnia praca była nawet całkiem blisko.

- Dlaczego więc oskarżony ją porzucił?

- Była za ciężka.

- Gdzie oskarżony pracował?

- W Urzędzie Telekomunikacyjnym.

Jak gdzieś zepsuł się telefon, to musieliśmy odkopywać z ziemi przewód.

- A więc jedynym źródłem pozyskiwania pieniędzy była oskarżona kasa Forysiów.

- Oni nigdy nie chcieli jej dać więcej pieniędzy.

- Coto znaczy - więcej?

- No..

dostawała tylko na ciuchy, nalożyła, na kawę i kino.

- To mało?

Oskarżony milczy.

Prokurator rezygnuje z zadawania głupich pytań.

Prosi o powołanie świadków, którzy występują w procesie jako świadkowie oskarżenia, choć są najbliższymi przyjaciółmi oskarżonego.

Pierwszy z nich jest niskim blondynem o niepozornym wyglądzie, oczy ma tylko jakby wypożyczone z innego ciała, czujne, pełne blasku i sprytu.

Stoi za balustradą ograniczającą miejsce dla świadków, by najmniej niespeszony swoją sytuacją, uważając ją nawet za zaszczytną i wyróżniającą.

- Odkiedy świadek przyjaźni się z oskarżonym?

- Od dawna.

- Dokładniej.

- Od.

czterech miesięcy.

- Gdzie świadek poznał oskarżonego?

- W Urzędzie Telekomunikacyjnym.

Pracowaliście razem.

- Czy razem też zrezygnowaliście z pracy?

- Tak.

Powiedziałem Heńkowi.

- Proszę mówić - oskarżonemu.

- No nic.

To była ciężka praca.

- Dlaczego ciężka?

- Jak się przyszło do domu, to się już nic nie chciało.

- Czy oskarżony szybko uległ namowom świadka, żeby porzucić pracę?

- Myśmy zawsze jedno myśleli.

- Świadek posyła krótkie, zwycięskie spojrzenie ku ławie oskarżonych i sędzia Turoń uzmysławia sobie, kogo mu przypomina ten pewny siebie chłoptaş.

Widocznie zawsze niedomogi ciała wzmagają w osobnikach nim dotkniętych rekompensując siłę ducha.

Ależ tak!

Klemens!

Zdzisio Klemens, którym Sebastian był tak oczarowany, że poskapiłojcu pożegnalnego spojrzenia!

Zaczynają więc to dość wcześnie nie ojciec, nie matka stają się wyrocznią w wielu życiowych sprawach.

Pohamowawszy chęć zapytania, czy świadek chodził do przedszkola, Szymon włączył się znów z uwagą w tok przesłuchania.

- Od kiedy oskarżony zaczął mówić, że będzie miał niedługo dużo pieniędzy?

- Jak przestaliśmy pracować w Urzędzie Telekomunikacyjnym.

Mówił, że ma teraz bogatą dziewczynę i będzie miał niedługo dużo pieniędzy.

- Nie podawał żadnych szczegółów?

- No..

wiedzieliśmy, że to chodzi o Forysiów.

Chwalił się, że tam jest co dnia i obiecywał nam ubaw.

- Nie zwierzał się nigdy, w jaki sposób zamierzał zdobyć te pieniądze?

- Nie.

- Mogliście się domyślać.

- Ale nie, że onich.

że on ich.

Copan?

Co wysoki sąd sobie wyobraża?

Żemy.

wiedzieliśmy?

Że mogliśmy przypuszczać.

- Nie mam więcej pytań - mówi prokurator.

Rozprawa wlecze się ospale, prokurator usiłował dowieść, że oskarżony działał z premedytacją, że od dawna planował swoją zbrodnię; adwokaci oskarżonych starają się obalić tę tezę.

Przesłuchiwany przez swego adwokata oskarżony, pouczony prawdopodobnie przez niego, jak ważną sprawą jest kwalifikacja zbrodni, żarliwie powtarza jedno zdanie: - Nie wiedziałem, że oni będą w domu.

Nie wiedziałem, że oni będą w domu!

Nigdy bym tam wtedy nie poszedł.

Ale Jolka.

ale oskarżona powiedziała, że wybierają się do cioci na imieniny.

- Obecność Forysiów w domu była więc dla oskarżonego zaskoczeniem?

- Tak.

Nie spodziewałem się, że usłyszą, jak dobieram się do ich schowka.

Jakbym nie miał już tych pieniędzy w rękach, to bym mu dał, że niby nigdy nic, że tak sobie przyszedłem.

Ale oni widzieli, że trzymam te cholerne pieniądze, że drzwiczki do schowka są wyłamane - i tak zaczęli wrzeszczeć.

Sędzia Turoń odwraca wzrok od twarzy oskarżonego.

Pani Wisia maraży; kiedy się spędza trzy czwarte dnia w tej ponurej sali, trudno uwierzyć, że istnieje jakieś inne życie, bez morderstw, bunków i gwałtów, i jak mało było ostatnio procesów poszlakowych!

Jak łatwo przyznawali się do swoich zbrodni ci nie kochający pracy a łaknący pieniędzy młodzi ludzie, którym - gdy stawali przed sądem - towarzyszył tylko strach przed karą a nigdy poczucie winy.

Ktoś inny miał pieniądze, i po prostu trzeba było je odebrać.

- Sąd ogłasza przerwę - obwieszcza Szymon, szukając już pudełka z papierosami w kieszeni marynarki, pod togią.

Pokój za salą rozpraw na pewno nie jest wesołym miejscem, ale przynajmniej można przez piętnaście minut nie patrzeć na twarze, które na zawsze chciałoby się wymazać z pamięci.

Sędzia Korzyński, wchodzący w skład zespołu orzekającego, podsuwa Szymonowi gazetę.

- Czytał pan już korespondencję z Cannes?

- A jest?

- pyta Szymon bez ożywienia, które powinien w tej chwili okazać.

Tak, nie mógł tego dłużej ukrywać przed sobą - pragnął, ale i bał się sukcesu Anny; to poniżające go we własnych oczach uczucie sprawiało, że zachowywał się nigdy nie okazywaną młodszemu koledze rezerwą.

- Ależ jest!

Oczywiście!

piszą tu o pani Annie.

-Dobrzeczy.

źle?119.

- Ach, skądże znowu, źle?

Wygląda na to, że ma już całe Cannes u stóp.

Szymon gasipapierosai pochyła się nadgazetą.

Szybkoprzebiega oczyma linijki tekstu, w którym nie ma nic o Annie i dopierona widok jej imienia przymyka na chwilę oczy.

- No?

Znalazł pan?

- dopytuje się kolega.

-Chwileczkę.

- Szymon podnosi gazetędo oczui zakrywanią sobie twarz.

Czyta z rosnącymłomotem wskroniach: "Od drugiego dnia festiwalu prawie cała prasa zamieszcza zdjęcia AnnyTuroń, przeważnie w towarzystwie Marcela Soldiviera.

PresseSoir opatrzył nawet jedno z nich tytułem: Czy polska aktorkabędzie następnąmużką Marcela Soldiviera?

Jak wiadomo, znakomity francuski reżyser po niewątpliwym sukcesie - szkoda, że poza konkursem - swego filmu Odsiecz, z wylansowaną przezniego Suzanne Aringaux, zamierza w niedługim czasie rozpocząćpracęnad nowym filmem.

Będzie to zapewne znówobraz w pełni ^autorski.

Soldivierznany jest z tego, że wybiera aktorki, inspirowane go swoją osobowością, pisze dla nichscenariusze.

- Szymonznów przymykaoczy.

-Przeczytał pan?

- dopytuje się wciąż Korzyński.

-Tak, dziękuję.

- Szymon składa gazetę, stara się uśmiechnąć,tego się po nimoczekuje.

-Przeczytał pando końca?

Z jakim zainteresowaniem oczekujesię w Cannes pokazu "Zdobywania świata"?

Oczywiście zewzględu na pana żonę!

Byłem pewny - kolegajest wyjątkoworozmowny - że paniAnna zwróci tam na siebie uwagę.

To tylkou nasaktorki właściwie się marnują.

Nawet odniósłszy sukcesw jakimś filmie, nieraz przez całe lata nie są angażowane do następnego.

A jużnajgorzej jest z tymi, które mają mężów reżyserów.

Grają tylko w ich filmach, jakby istniał zakaz angażowaniaich do filmów innych reżyserów.

Czy pamiętapan naprzykład.

- Koniec przerwy - mówi Szymon bezbarwnie.

-Wracamynasalę.

120VIIIJadą do Antibes.

Nadranem, kiedy morze zaczynało wydobywać się z mroku różowypołyskiem, trzema samochodami jadądo Antibes - Soldiyierowie i goście, zaproszeni do ichletniogodomu po pokazie polskiego filmu, konferencji prasowej ikoktajlu.

Anna i Tarło jadą w wozie Soldivierów, obydwojemilczący,pełni wątpliwości co do własnych i cudzych zachowań po pokazie, własnych icudzych wypowiedzi, które trudno było na razieocenić.

W wozie producenta Balka na przednim siedzeniu obok niego jechał George Blanchot, przyjaciel i dawny wspólnik, który przeniósł się ostatnio do Stanów, ale pojawiał się co roku w Cannes, z tyłu zaś Marek Sarpowicz i Patsy Walth, przezniko nie zapraszana, ale zawsze obecna wszędzie tam, gdzie był Polak.

René Paton zabrał do swego starego peugeotu bardzo już senną Suzanne Aringaux, reżysera Saumonta i dziennikarza Roberta Pressona, który tak długo przeproszał Soldiviera za nagłówek nad jego zdjęciem z polską aktorką w "Presse Soir", aż przylgnał do towarzystwa. Soldivier milczy, milczy przez cały czas, pustawa przed świtem droga z Cannes do Nicei nie wymaga chyba aż takiego skupienia; jadą nią zakwaterowani tam uczestnicy festiwalu oraz ci, którzy - pokazawszy się już na nim do latującego pierwszym samolotem do Paryża.

Dlaczego on milczy?

- myśli Anna.

- I dlaczego nie był na pokazie "Zdobycia świata"?

Zakrawało to na afront albo na celową manifestację po tym, co napisał ten kretynek Presson w "Presse Soir".

Isabelle powiedziała wprawdzie, że mąż ma migrenę - co musi czasem zdarza - dodała, spotkawszy zdziwione spojrzenia, ale jakoś ta migrena nie przeszkodziła mu w pojawieniu się na korytarzu w całkiem dobrym humorze, i nawet potrafiłnieść spokojnie pomysłu Isabelle, żeby zakończyć noc w ich domostwie w Antybach.

Dlaczego milczy?

Czy nie powinien teraz powiedzieć, że mu przykro, że tak bardzo chciał zobaczyć ten polski film, i tym bardziej żałuje po tym, co usłyszał o nim na konferencji prasowej.

Mniejsza o nią, widocznie nie mogła liczyć nawet na taką uprzejmość Soldiviera (skąd to przekonanie, że ona była?)

świecie, że Francuzi są tak uprzejmi dla kobiet?

) - ale Wojtaszek, Wojtaszek!

Jego zdumienie było aż bolesne.

Prawdopodobnie myślał o tym, że gdyby Soldivier pokazywał swój obraz w Polsce, gdyby przedtem spędził wspólnie kilka dni, on - Wojtaszek - uważałby za swój obowiązek nie tylko być na projekcji, ale zdobyłby się także na kilka ciepłych słów, nawet gdyby film mu się nie podobał.

- Marcel, kochanie - odzywa się Isabelle.

- Mam nadzieję, że nie spisz nad kierownicą.

Tędy jeszcze brakowało!

Anna z niepokojem patrzy na nieruchomą głowę Francuza, którą ma przed sobą.

Żeby zasnął, pozabijał nas wszystkich.

Byłaby to reklama - niestety, spóźniona - jakiej nie miała żadna aktorka na tym świecie.

Zginąć w katastrofie samochodowej po pokazie własnego filmu na festiwalu w Cannes!

I to z Marcelem Soldivierem!

Ale chyba wspomniano by w gazetach, że siedziała przy nim jego żona.

- Marcel!

- powtarza Isabelle, zaniepokojona milczeniem męża.

- Ależ nie śpię!

Co ci przychodzi do głowy?

- Bo nic nie mówisz.

- A co mam mówić?

- Cokolwiek.

Choćby to, że taki piękny wstaje ranek.

- Zbyt wiele razy go tu widziałem.

- Nie mówisz we mnie, że zrywanie się przed świtem należy do twoich przyjemności.

- Skąd wiesz?

Może zmieniłem obyczaj?

Ostatnio widujemy się dość rzadko.

Głos Soldiviera jest bezbarwny, nie ma w nim wyrzutu ani pretensji, a jednak Anna ma nadzieję, że zaczną się kłócić, że jakieś ostrzejsze słowa przetną ściszoną ospałość wsamochodzie.

Isabelle jednak milknie zupełnie nie podejmując kwestii, rzuconej przez męża w ich małżeńskim dialogu.

Milczy także Tarło; może przeżywać wciąż jeszcze wydarzenia wieczoru, a może żałując, że dał się namówić na tę wyprawę do Antibes, która - wręcz samej - niestwarza żadnych perspektyw.

Tych dni w Cannes nienależało marnować na bezowocne znajomości, każdy starał się tu coś dla siebie załatwić zyskać; czas przeznaczony na przyjemności był czasem straconym. Chociaż.

W końcu Balk i Blanchot byli producentami, liczącymi się na świecie.

1220 tym samym myśli Sarpowicz, mając przed sobą dwie świecące siny starszych panów.

Pattsy rozpięła mu koszulę i błazipalcami po jego piersiach.

Jej ostre paznokcie, jak pazurki przeciągającej się kotki, wpijają mu się pewien czas w ciało, ale nie podnieca go, siedzi obok niej ociężały i senny; na krótkie momenty otrzeźwia go tylko myśl, że powinien w jakiś sposób spożytkować znajomości obydwoma producentami, z reżyserem Saumontem i choćby samym Soldivierem, który wprawdzie na pokazie filmu nie był, ale słyszał, co o nim mówiono na konferencji prasowej.

Czas uciekał, ten przeklęty, niewyczerpany dług dystansowiec, którego nikomu nie udało się zatrzymać, i liczyła się już teraz każda godzina nie przerobiona szansę, na nadzieję.

- Z czego ty jesteś?

- pyta Pattsy ustami przy jego uchu.

- Nierozumiem.

Co znaczy - z czego?

- Bo na ogół ludzie robią cię ciała.

Aty jakby nie.

Gdybym się tak przytulała do innego mężczyzny.

Marek całuje Pattsy, żeby uzyskać choć chwilę spokoju.

Ale. Czy nie ma racji czaruszka?

Czy ona pewno zrobiła cię ciała, a nie zról, które wykuwa na pamięć, nie z list sprawunków, które rano wręcza mu Elżbieta, nie uwalniając go nawet w Cannes od obowiązku myślenia o rodzinie?

Do dziś nie udało mu się znaleźć tego jakiegoś wymyślnego smoczka, który przyjaciółka Elżbiety, również młodamatka, dostała dla swojej pociechy z Paryża, a więc i Magdusia nie mogła być się bez niego.

- Gdybym miał w zapasie choć pięć dobrych scenariuszy - mówi Balk do swego przyjaciela George'a Blanchota - mógłbym spać spokojnie.

'- Chyba właśnie po to, żeby móc spać spokojnie, przeniosłem się do Stanów.

- I śpisz?

- Nie.

- To samo, co tutaj?

- To samo.

Wciąż zjawiają się jacyś wyleniali faceci z pogniecionymi kartkami w rękach i wpychają mi je, i każą czytać.

Ale ja nie czytam pogniecionych kartek, bo wyglądają na to, że już ktoś miętościł i odrzucił, i ci faceci przychodzą z nimi do mnie.

Mam dla nich zawsze jedną radę.

- Jaką?

123.- Żeby przychodzili do producentów ze świeżoprzepsanym scenariuszem.

Bo nikt z ciekawości nie czyta pogniecionych kartek.

- Ja czytam.

- Masz dużo czasu?

- Nie.

Ale mam wciąż nadzieję, że w końcu trafię na jakąś rewelację.

- Masz Soldmera, to ci powinno wystarczyć.

- Częściowo.

I na razie.

Bo Soldmer się kiedyś skończy.

Jak długo można co roku wypływać z siebie nowy film?

Wciąż się boję, że jeśli nie znajdzie odpowiedniej dziewczyny.

- Znajdzie, znajdzie.

Oto nie ma obaw - mruzcysennie Blanchot.

W trzecim wozie się śmieją.

Suzanne Aringaux z kolaniem przysuniętym do kolana reżysera Saumonta opowiada, jak na egzaminie do studium aktorskiego wyrecytowała miastoczekiwanego Corneille'a fragment ociekającej lubieżności prozy Rabelais'go.

- Wyobrażam sobie miny czcigodnego grona egzaminujących!

- woła Presson.

Odwrócony do tyłu, żeby móc widzieć Suzanne, nie jest zadowolony z miejsca obok kompozytora Patona, który zaprosił go do swego wozu.

Wolałby siedzieć obok Aringaux, w osobistym zetknięciu miała jeszcze więcej seksu niż na ekranie.

- Takież nowość czcigodnego ono nie jest - ciągnie wciąż zaśmiewająca się Suzanne.

- Bo kiedy już byłam na studiach nieraz powykładałam ci panowie.

- Suzanne urywa, śmieje się jeszcze przez chwilę, ale już nie kończy zdania.

Nie wszystkie wspomnienia z życia nadają się do zwierzeń, nawet większość nie nadaje się do zwierzeń, a już na pewno ni te, które chce się wspominać.

W dodatku ten plotkarz Presson mógłby to wszystko wydrukować, nigdy nie wiadomo, co takim dziennikarzowi może przyjsć dogłowy.

No i nie należy samej sobie psuć opinii, wystarczy, że robią to inni.

- Suzanne, moją dziecko!

- mówi Saumont, który nie ma jeszcze czterdziestki i dlatego z kokieterii chętnie posługuje się ojcowskim tonem.

Mocniej przyciska dość chuderlawe kolano do okrągłego kolana Suzanne, zastanawia się nawet, czy nie położyć na nim dłoni.

- Nie należy mieć za złe panom, że nie mogą oprzeć się twoim wdziękom.

124- Ależ ja im wcale nie mam tego za złe - nie przestaje śmiać się Suzanne.

Z tą drobiną rozwiązłości - myśli Presson - ta dziewczyna zrobi karierę.

Tęgoważnie brak tej Turoń, która w życiu jest jeszcze bardziej zasadnicza niż na ekranie.

Może się boi?

Boi się stworzyć, pozwolić sobie na swobodę, na jakąś małą niewłaściwość, która dodałaby jej pikanterii.

Jest w obcym kraju, wśród obcych ludzi, wydaje jej się zapewne, że ją wciąż obserwują i tylko czekają, żeby mieć jej coś do zarzucenia.

Niechby choć na chwilę przestała być spięta jakkoń przed wzięciem następnej przeszkody.

Czy ją weźmie?



Czytenskomny, pełenprosty środkowi intencji polski film z jej rolą ściszoną, ale tym bardziej wyrazistą, przekonajurorów, że tak właśnie trzeba walczyć onajbardziejpodstawowapotrzebę człowieka- patrzenia drugiemu człowiekowi prosto w twarz.

- Dlaczego pan zamilkł?

- pyta Suzanne.

- Przepraszam.

Zamyśliłem się.

- Nad czymś przyjemnym?

- Nie wiem.

Raczej czegoś mi.

żal.- Żal?

- Saumont kładzie spoconą, kościstą rączkę na opalonym kolanie Suzanne.

- To nie jest uczucie ani refleksja na dzisiejszą noc, a raczej poranek.

Mam zamiar upić się u Soldivierówi spędzić czas nasamych głupstwach.

- Czy pani śpiewa, Suzanne?

- pyta Paton znad kierownicy.

- Oczywiście - odpowiada Suzanne bez zbytej pewności.

- Sopranem?

- Raczej altem.

- Co to znaczy - raczej?

- Bo nie mogą przykład śpiewać sopranowych arii.

- Ach, któż myśli o ariach?

Od kilku tygodni chodzi mi pogłowie piosenka, którą mógłby zaśpiewać ktoś taki jak pani.

Zmysłowa, ale bez melancholii, przeciwnie - pełna ekspresyjnej nadziei.

Bertrand, przydałaby ci się piosenka w twoim filmie?

- Czemu nie?

Jeśli dobra.

- Zagram ją wam u Soldivierów.

- Mają fortepian?

- Mają.

I to dobry!

Marcel kupił go dla mnie.

Nie odwiedzałbym go, gdyby nie miał fortepianu.

125.- Teraz ludziami mają raczej magnetofony - mówi Suzanne.

- Właśnie - potwierdza Paton.

- Raczej magnetofony.

Jadący przodem Soldivier skręca w boczną drogę, wiodącą między winnicami ku morzu.

Poświata na płycie zatoki staje się coraz jaśniejsza, jej różowość przechodzi w złoto, zaraz z zawschodniej linii horyzontu wychyli się gorejący czub słońca.

- Za chwilę zobaczycie nasz dom - mówi Isabelle do Polaków.

Martwi ją, że obydwój zamilkli, czyżby przyjęcie ich filmu przez publiczność nie wydało im się dość życziwe?

Nie ono zresztą się liczyło ani nawet nie to, co po pokazie napisze prasa; werdykt jury okazywał się niekiedy zupełną niespodzianką.

- Dostaniecie zaraz coś do jedzenia.

O ile oczywiście uda się nam obudzić Paulette.

- Paulette wstaje teraz bardzo wcześnie - informuje Soldivier.

- Och!

- woła Isabelle zdumiona najbardziej tym, że mąż zna obce zwyczaje opiekunki ich letniego domostwa.

- Nie jest chyba chora?

- Prosto starzeje się.

Aludzie starzy nie potrzebują już tyłesu.

Prócz tego.

ma kury.

- Co takiego?

- Kury.

I do nich wstaje o świcie.

Twierdzi, że musimieć w końcu jakieś towarzystwo.

- Ma Salomona i Dianę.

- Salomon śpi całymi dniami, zwinięty w kłębek pod jej kołdrą, a Diana, od kiedy nie zabieram jej do lasu, włóczy się po okolicznych Winnicach.

- Nie masz ochoty znów zapolować?

- Nie.

- Dlaczego?

Lubię to.

- Przeszło mi.

Nie tylko Paulette, ja się też starzeję.

A im bardziej człowiek zbliża się do śmierci, tym więcej cenit także cudzoziectwo.

Tonię potrzebne - myśli Anna - to nawet niewłaściwe - w taki piękny poranek mówić o śmierci.

- Przez cały czas uważała, że gromadzone przez Isabelle towarzystwo przeszkadza jej w obcowaniu z mężem, teraz nabiera przekonania, że Isabelle czyni to celowo, żeby uniknąć jakiegś rozmowy, choćby nawet i teo śmierci, której nie można kontynuować wioząc na tylnym siedzeniu przysłuchujących się gości.

126- Tak, masz rację - ucina Isabelle.

I od razu zmienia temat.

- Kiedy skończą się te Winnice - mówi - zaraz zobaczycie oliwki w naszym sadzie.

A za nimi białe ściany.

Dom Soldivierównie jest duży ani piękny.

Ale właśnie dlatego kupili go jakichś wieśniaków, że nie przypomina żadnej z tych nowoczesnych rezydencji, którymi ludzie bogaci pragną podkreślić swój status.

Długi i niski, miał piękny stromy dach zielone okiennice zamknięte teraz na noc, jak ogromne powieki ułożone do snu wierzęcia.

Od frontu tonął w różach i pnączach glicynii, od tyłu miał opadający w stronę morzarozległy trawnik, a na nim podogromnym kolorowym parasolem okrągły stół i białe krzesła.

- Ależ to jest bajka!

- woła Anna, czym prędzej wysiadając z samochodu.

- Bajka!

- potwierdza Wojtaszek.

On także marzy od lat o takim wiejskim domu i takim przednim trawniku, po którym mogłyby biegać jego dzieci.

Anna myśli o tym samym.

- Sebastian!

- wzdycha.

- Sebastian byłby zachwycony!

- Kiedyś przyjedzie tu na wakacje - mówi Isabelle.

Zdanie to rzucone jest mimochodem, bo Isabelle już zgarniaswoichgości i zpodjazdu dla samochodów prowadzi ich ku wejściu -ale Anna słyszy jeinaczej, może jeszcze nie jak zapowiedzcy obietnicę, alejak sygnał czegoś,co naprawdęmogłoby sięzdarzyć.

Kiedyś.

powiedziała Isabelle.

Anna drapieźnie wychwytyje każde słowo, które jak piękny prezent będzie mogła zawieźć tam, dokąd już wracaza kilka dni, dokąd wraca już teraz,choćjeszcze tu jest wśródtych obcych ludzi.

Wariatko, mówi dosiebie, tak jakpowtarzała to sobie w Cannes już dziesiątki razy,ciesz się, że tu jesteś, że to ci się przydarzyło, bo najpewniej nieprzydarzysię po raz drugi w życiu.

Wbrew przewidywaniom Soldiviera Paulettejeszcze śpii dopiero walenie w okiennice jej pokojuwrywa ją ze snu.

- Paulette!

-woła Soldivier.

-Nie przestrasz się!

To my!

Mija długa chwila, zanim Pauletteowinięta w szlafrokzjawiasię na progu.

Siwiuteńka, ale krzepka,ma już chyba siedemdziesiątlat, któredobrały sięjednak tylkodojej włosów,pozostawiającpoliczkom ich rumianą krągłość.

127.- O, Boże!

- szepcze na widok gości.

-Nie przestrasz się - powtarzaSoldivier.

- Jest chyba w domucoś do jedzenia.

Wszyscy są strasznie głodni.

- Są konserwy.

Ijaja.

Icoś do picia.

- szepcze w popłochuPaulette, cofając się przed gośćmi w głąb domu.

-Alkoholamizajmę się sam.

-Podobno masz kury -mówi Isabelle.

- Tak - rozjaśnia się Paulette.

-I nawet dziesięćkurczaków.

- Świetnie!

-woła Isabelle.

-Będąsmażone kurczęta na śniadanie!

Czy to długopotrwa?

- Co, proszę pani?

-pytaPaulette.

-No..

żeby je.

oczyścić.

I oskubać.

-Ja mogę pomóc zgłasza się Balk.

Zwykle, kiedy jeżdżenapolowanie, samskubię dzikie ptactwo.

- No toprędziutko, Paulette!

-przynagła Isabelle.

-Pokaż, copotrafisz.

Jesteśmy bardzo głodni.

Ale Paulette nierusza się z miejsca.

Policzki jejpobladyijakby zapadły się w zszarzałej twarzy.

- Prędeż, Paulette!

-powtarza Isabelle.

-Piliśmy tylko przezcałą nocy jesteśmygłodni jak psy.

Poza tymstęskniłam się zatwoją kuchnią, wieszo tym.

- Aleja.

-Paulette wydobywawreszcie zsiebie cichutki,drżący głos.

-Ja..

Soldivierobejmuje ją ramieniem, kierując się razemznią kudrzwiom.

- Pomogę ci - mówi.

-Paniei panowie - zwraca się dogości.

Ja odpowiadam dziśza kuchnię!

- Najwyższy czas - mruży Balk - żebyś się zajął czymśpożytecznym.

-A my - woła Isabelle - nakryjemy do śniadania wogrodzie.

Jest już zupełnie ciepło, zaraz wszędzie słońce.

- Otwiera ogromnydębowy kredens, który chyba zrośnięty jest z tym domem od pokoleń, i wyjmuje z jego przepastnego wnętrzaserwetę, tace, naczynia.

-Ruszajcie się, dziewczęta!

Pomóźcie mi!

- Ja siędo tegonie nadaję - wzrusza ramionami Patsy.

-Jeszcze coś stłukę.

-Nie stłuczysz, nie stłuczysz.

A zresztą.

Nie jestem zbytprzwiązana do skorup.

To wszystko kupiliśmy razem zdomem.

128Tamci ludziejuż nie żyją, a to wciąż trwa.

Nie lubię przedmiotówza towłaśnie, że są trwalsze od ludzi.

- Isabelle bierze w dwapalceśliczną filiżankę z cieniutkiej porcelany iupuszcza ją napodłogę.

Cichutki trzask trwaprzez sekundę wzapadłej ciszy.

Przerywają Balk, uplasowany już wwygodnym fotelu.

- Tak, Isabelle!

Tak właśnie trzeba walczyćzagraniemświata przezcywilizację.

Anna schylasię, żeby pozbierać szczątki filiżanki.

- Szkoda - szepcze.

-Taka piękna.

- My też jesteśmy piękne, prawda?

-Isabelle odbierajej skorupki i wrzuca do kosza na śmieci.

-Nakryj serwetą stółwogrodzie.

Wschodzące słońce wydobywa z zieleni jej najpiękniejszy odcień.

Chyba i woń także, bo powietrze przesycone jest aromatemkażdego drzewa i krzewu.

Anna stoi przez długąchwilę przy stolepod ogromnym parasolem i patrzy nazdarzającysię przecież codnia, ale tak rzadko oglądany, cud poranka.

Niedalekostąd, poniżej stromego brzegu, uderza o skały morze.

Nad wierzchołkamipalm widać jego pasemko stopione z błękitem horyzontu.

Przejmujące piękno świata pomniejsza wszystkie sprawy, którymi zajmuje się człowiek.

Ile było w moim życiu takich chwil -myśliAnna - kiedy pozwalałam sobiena zachwycone patrzeć,naprzyglądanie się ziemi, zanim ludzie nie zniszczajej do końca.

- Anno!

-woła Isabelle.

-Co się z tobą dzieje?

Niesiemy talerze i sztućce.

Anna pośpiesznie rzuca serwetę nawilgotną jeszcze trochę od rosypowierzchnię stołu. Żal jej chwili, którą przeżyła tu w samotności, prawie ból sprawia jej myśl, że zaraz wtargną wszyscy ten poranek, nie zauważając nawet jego niezwykłości.

- Chybatu zmarzniemy- krzywi się Suzanne.

Ma bardzo dekoltowaną suknię i dziwnie przy niej wygląda stos talerzy, które dźwiga.

- Dam ci szal - mówi Isabelle.

Samataż ubrana jest skąpo, a lenie przechodzi jej przez myśl, że mogłaby zmarznąć.

- Lubie tutaj dać - dodaje, jakby przepraszając Suzanne, że narażają ją na gęsią skórę.

- Zbyt często muszę wzrok ograniczać ciasną klatką kadru, żeby nie tęsknić do wolnej przestrzeni.

Wybaczone mi, moje pięknie rozebrane panie.

129. Anna podsuwa wyżej haftowaną falbanę białej bluzki, którą Isabelle przyzdobiła na filmowy pokaz czarnym strusim pióremi obniżając tak, że obnażała głęboko dekolt i ramiona. Do tej pory nie odczuwała chłodu, dopiero uwaga Suzanne, przywołująca doraźne i pospolite doznania, sprawiła, że także zrobiło jej się zimno.

- Hej, chłopcy!

- woła Isabelle w głąb domu.

- Przynieście sześć foteli!

Za mało tu krzesel.

- Ja swegonie oddaję - odpowiada Balk.

- I pozwólcie mi się drzemnąć, dopóki nie zjawi się coś na stole.

Ale właśnie Isabelle nie dopuszcza do tego, żeby Balk zapadł w drzemkę.

Korzystając z zamieszania przy wnoszeniu foteli, siada przy nim na piętach i zapaliwszy papierosa pyta: - Francis, chyba pochwalasz zawsze mój wybór aktorek do filmów Marcela? Choćby ta Aringaux!

Jak nam donoszą z Poziomu Minus Jeden, o czym zapewne wiesz także, "Odsiecz" sprzedaje się świetnie i już wkrótce Suzanne stanie się sławna w kilkunastu krajach, które zakupiły film.

- Zasługuje na to - mruczy ten tłuszcioch Balk.

- Jej widok sprawia, że byle ogryzek w kinie czuje się mężczyzną.

- Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy w nacięciu Orleanie, nie uwierzysz.

Dzięki niej można było sobie po raz pierwszy wyobrazić, że Joanna d'Arc była seksowną dziewczyną, za którą naprawdę mogłoby się całe wojsko.

- A to jest koncepcja!

- śmieje się Balk.

- Ale nie przyszłam do ciebie, żeby rozmawiać z Suzanne.

Przypatrz się tej Polce.

Myślę, że wystarczyłoby ją popchnąć trochę w górę, żeby już sama wywindowała się bardzo wysoko.

Bezskutecznie staram się wmówić ją Marcelowi, niewiem dlaczego jest taki oporny.

Może gdybyś ty spróbował.

- Nie mam zagrosz talentu do perswazji.

- Balk odbiera Isabelle papierosa i sam się nim zaciąga.

- Ale obiecaj mi, że jeśli nadarzy się odpowiedni moment.

- Obiecuję.

- Balk dotyka wierzchem pulchnej dłoni policzka Isabelle.

- Jesteś niestrudzona!

- Muszę - uśmiecha się melancholijnie pani Soldivier.

Wraca do stołu na trawniku, poprawia i uzupełnia nakrycie, które jest dziełem Suzanne i Anny. Patsy zajmuje się raczej paniami.

Przysiadła razem z nimi na stopniach ganku, oparła brodę na 130 kolanach Sarpowicza i wpatruje się w niego swoimi wypukłymi oczyma pięknego psa.

- Moi przodkowie - mówi - najbardziej cenili sobie polowania na trudną zwierzynę.

Mam to po nich.

Marek milczy.

Wciąż myśli o liście zakupów, którą przed wyjazdem wstawiła mu do kieszeni Elżbieta.

Ale już zaczyna być wściekły na siebie, że jest spętany jej oddziaływaniem, jakby był czarnym przedmiotem, odbierającym mu wszelką swobodę.

- Amoi przodkowie - odzywa się Presson - mieli restaurację.

Niestety, nie mam tego po nich, brakuje mi nawet czasu, żeby się porządnie najść i jestem wciąż głodny.

- Zaraz!

- chwytaw locie tę kwestię Soldivier, znoszący piwnicywino.

- Zaraz będzie coś do jedzenia!

- Pomogę panu!

- Saumont zrywa się ze schodów.

- Mam wyrzuty sumienia, że zrobiliśmy taki najazd na wasz dom.

- Isabelle to lubi.

- Soldivier zamyśla się na chwilę.

- Zwłaszcza ostatnio.

Do piwnicy podąża za nimi również Tarło, wkrótce Paton, a także Blanchot, zaintrygowany tajemniczym znikaniem mężczyzny.

- To jest przybytek!

- woła, stanąwszy wśród półekapełnionych ułożonymi na nich butelkami.

- Marcel!

Nie podejrzewałem pana o to.

- Również i wino kupiliśmy razem z domem.

A że służy prawie wyłącznie gościom, więc wciąż utrzymuje się tu jeszcze spory zapas.

- Tylko ja go uszczuplam - przyznaje się Paton, szukając dla siebie odpowiedniej butelki na półkach.

- Lubię prowansalskie wino i skomponowałem przy nim, gospodarzactwu razem z Paulette, muzykę do trzech filmów Marcela.

- Przypominam - Saumont także przygląda się etykietom na butelkach - że obiecał pan nam zagrać piosenkę dla Suzanne.

- Pamiętam.

Ale tym bardziej muszę się przedtem napić.

- Postawiłem już na stole - wtrąca Soldivier - wszystko, co lubisz.

- Dziękuję.

Gdybym tak mógł zapraszać do siebie swoich przyjaciół - myśli Tarło.

Ma dwa pokoje i troje dzieci, które muszą wcześniej iść spać.

Odkiedy zaczęły pojawiać się na świecie, nie za 131.

prosił nikogo do swego domu nawet na herbatę.

Pracował nocami w kuchni, gdy wszyscy już spali, przy dziennym gwarze domu mógł oddawać się tylko lenistwu.

Ale i w Polsce byli reżyserzy, którzy mieli domy, a w nich dobrze zaopatrzone piwnice.

Teraz "Zdobycie świata" mogło sprawić, że zacząłby się donich zaliczać.

- Jak pan sądzi - chwytając za guzik producenta Blanchota - kupi ktoś ten mój film?

- Ależ oczywiście - Blanchot jest człowiekiem uprzejmym, poza tym wie, że najlepiej prowadzić rozmowę, gdy mówi się to, co chce usłyszeć rozmówca.

- Napewno.

Może tylko podczas konferencji prasowej pani Anna upierała się niepotrzebnie przypewnych stwierdzeniach.

- Przy jakich mianowicie?

- pyta Wojtaszek cierpnąc.

i- Kilku dziennikarzy podkreślało polską specyfikę pana obrazu i trzeba było pozwolić im na to.

A ona.

-A ona?

-Ona uparcie twierdziła, że życie ułatwione poprzez rezygnację z zasad jest problemem ogólnoswiatowym.

Niesłyszał pan tego?

- Chyba słyszałem, ale nie uważałem tego za aż tak ważne.

-A jednak.

Poza tym.

- Co poza tym?

-Na przyszłość dam panu jedną radę: niech pan robi filmy, które można streścić w jednym zdaniu.

Tylko takie dobrze się sprzedają- mogą być nie wiem jak skomplikowane, ale ich treść powinna się zamknąć w jednym zdaniu.

Niech pan weźmie na przykład "Love story".

Kochają się i ona umiera.

Może pan tak krótko streścić "Zdobywanie świata"?

- Owszem- mówi Wojtaszek, czując, jak tężeją mu wargi.

-Kochają się, a on okazuje się zwyczajnym współczesnym sukinsynem.

- Doskonale!

-śmieje się Blanchot.

-Film maszansę!

- Wychodzimy!

-woła Soldivier.

Nastole pojawiły się już półmiski z zakąskami.

- Wszystko z puszek- usprawiedliwia się Isabelle - ale Paulette nie była uprzedzona, że zjawimy się tucałą gromadą.

Za tota kich kurczą nie dostanieciew żadnej restauracji.

132- Na pewno - bąka pod nosem Soldivier, nalewając wino.

Isabelle zwracana chwilę ku niemu spojrzenie, ale zaspany Balk pojawia się właśnie w drzwiach, więc podbiega do niego i sprowadza go ze schodów na trawnik.

- I znowu każe ci coś pić- mruczy, opierając się na jej ramieniu.

-Ależ nikt ci nie każe, mój drogi.

- Nie?

To po co mnie budzono?

Być u wasi nie napić się wina, które wasi poprzednicy składowali w tym domu od lat- to byłby prawie grzech.

- Grzech - potwierdza Paton, unosząc w górę szklanę.

Pierwsze promienie słońca są już na czubach drzew i naraz, jakby cała filharmonia ożywiona pałeczką dyrygenta- odzywiają się ptaki.

- Przyjeżdżam tu czasem dla tej jednej chwili - mówi Soldivier.

Nie pije, trzymając w ręce szklanę w ręce, gładząc palcami szkło.

Spojrzenie ma nieruchome, nie zwraca go ku nikomu, jakby nie był tu ani jednej twarzy, na którą chciałby patrzeć.

- I pomyśleć- Isabelle stara się nadać swemu głosowi żartobliwy ton - że nigdy nie kontemplowaliśmy tej cudownej chwili razem.

- Ale można to nadrobić, prawda?

- Marcel, przechyliwszy głowę, patrzy wreszcie na żonę.

Również stara się, aby żartobliwanutka zabrzmiała w jego głosie, ale wyraz twarzy nie popiera tego wysiłku.

- Możemy to nadrobić, choć.

nie należy dowierzać czasowi, który masie przed sobą.

- Przede wszystkim nie należy nie straszyć - szepcze Isabelle; wypija od razu swoje wino i sięga po butelkę nie czekając, żeby mąż jej nał.

- Mam nadzieję, że miałeś namyślić tylko to, iż kiedy postarzę się jeszcze bardziej, nie będzie mi się chciało wstawać o świcie.

Ale mylisz się, bardzo chcę się postarzeć.

- Och, nie żartuj, Isabelle!

- woła Suzanne z pełnymi ustami.

Nałożyła sobie wżórek szynki, salami i krabów i pochłania to wszystko z bezwstydnym apetytem.

- Postarzeć się?

To najgorsze, co nas czeka.

- Dlaczego?

- uporczywie nierezygnuje ze swego zdania Isabelle.

Ido daje nietaktownie wobec trzech aktorek przy swoim stole.

- Z moim zawodem mogę starzeć się spokojnie.

I jeszcze.

dobrze mieć męża, przy którym nie opuszczałby ten spokój.

133. Czy ona wyobraża sobie - myśli Anna, sennie przysłuchując się tej rozmowie - że matakiego męża, czy też stwierdza tylko, że dobrze by było go mieć?

- Zawiała stylistycznie wypowiedź Isabelle nie stwarzała co do tego żadnej pewności.

Szymon.

Anna powstrzymuje czuły śmiech, który drżyna jej wargach.

Sędziowie, na szczęście, nie byli atakowani tak jak reżyserzy bezustannym widokiem młodych ciał.

- Niestety- Patsy umyślnie czy też bezwiednie podkreśla niezręczność gospodyni - aktor musi być zadowolony z własnego wyglądu albo przynajmniej z nim pogodzony.

Gdybym był na przykład gruba.

- Psujecie mi apetyt!

- Suzanne wyjada wszystko ze swego talerza i odsuwa go od siebie.

- Ależ, kochanie!

- woła pani Soldivier.

Na razie nic ci niegrozi.

Masz znakomitą figurę.

Radzę jednak zostawić trochę miejsca w twoim ślicznym brzuszku na następne danie.

Zaraz będzie kurczęta.

Ale zamiast nich Paulette i Soldivier, który pobiegł do kuchni, żeby jej pomóc, wnoszą ogromne półmiski z dymiącymi omletami.

Nagła cisza przewiała gwar przy stole.

- Co to jest?

- pytają Isabelle, wznosząc oczy na męża.

- Omlety, kochanie.

Wiesz, jak świetnie Paulette robi omlety.



- Wiem.

Iuwielbiamje.

Ale można je było podać po kurczętach.

- Wogóle niebędzie kurcząt.

-Jak to, nie będzie kurcząt?

- Poprostu nie będzie.

Widziałaśchyba, jak Paulette.

Pani Soldivier zrywasię od stołu i potracając krzesło biegniedo kuchni.

Paulette już tu jest; zwrócona twarzą ku drzwiom czeka.

Isabelle dyszyp przez chwilę, oparłszy sięo stół.

Ale w twarzystarejsłużącej jest coś,co sprawia, że nie wybuchy.

Milczy przedługą chwilę, a potem mówicicho:- Przepraszam, Paulette.

Zachowałam się okropnie.

- I zaczynaj oby dwie płakać, ciasno objawszysię ramionami.

Kiedy Isabelle, przemywszy oczy zimnąwodą, wracawreszcie z kuchni,całetowarzystwo powymieceniu omletów z półmisków jest już w pokoju, gdziePaton przegrywa wciąż piosenkę,którą miałaby śpiewać Suzanne w filmie Saumonta.

Wszyscy jużją nuć podnieconymiwinem głosami.

Potem zaczynają się tańce, 134pań jest mniej niż panów, więc wszystkie zostajaporwane naskrawekparkietu, pusty po wyniesieniu na trawnik foteli.

Balkwreszcie dorwałsię do Patsy, aletusza jegospawia, że nie starczy mu długości rąk, żebyją objąć.

- Ależ ty jarożnieciesz tym swoimbrzuchem-śmieje sięBlanchot.

-Jest całkiem mięciutki - Patsy przytula się do ogromnejwypukłości, którą Balk dźwiga przed sobą.

Ale zostawia go pokilkutaktach idopada Marka, szukającego dyskretnie miejsca, gdzie by mógł się przespać.

- O, nie!

-woła, wyciągając go naśrodek pokoju.

- Nie po to tu przyjechaliśmy, żeby spać!

Anna tańczyz Pressonem, sztywna, ani trochę nie senna, całaowładnięta potęgującą sięrozpaczą.

Mijała godzina za godziną nie działo się nic, co mogłaby zapisać na swoje konto.

Pressonpowiedziałjej, żezaraz ranapo powrocie do Cannes musi przetelefonować do gazety sprawozdania z wczorajszych pokazów, zpokazu "Zdobywania świata" także.

Z pokazu "Zdobywaniaświata" przede wszystkim!

-powiedział, a ona powinna byłaprzytulić się do niego, zarzucićmu ręce na szyję, pozwolićmożena jakąś poufałość, gdyby miał na nią ochotę.

Ale do niczego takiego nie była zdolna, tańczyłajak drewno, którego niesą w stanierozgrzać obejmujące je ramiona.

Niezapytała nawet Pressona, czyfilm musię podobał,puściła mimo uszu

jegonieobowiązującekomplementy, niebyła ciekawa tego, co powie i co napisze, ponieważ wciąż myślała - i wciąż się tymtruła - dlaczegonapokazienie było Soldiviera.

Tańczył teraz z żoną; obydwójemilczący, najwidoczniej niepotrzebujący już słów do porozumienia.

- Wiem, że chciałbyś teraz pobiegać - mówi wreszcie Isabelle.

-Wymknij się niepostrzeżenie, wciągnij dres.

- Tak chyba zrobię - Soldivier całuje żonę w policzek.

-Pobiegnębrzegiem morza ze dwakilometryw stronę Nicei.

- Ale nie dalej.

- Nawet nie mam nato ochoty.

Jednak taniec była męcząca.

Prześpimy się kilkadziesiąt godzin po powrocie do hotelu w Cannes.

- Ja także marzę o tym.

- Więc pobaw teraz gości bez mnie.

- Sami bawią się doskonale.

135. Blanchot, stojący z Wojtaszkiem przy fortepianie, na którym Paton wygrywa najmodniejsze szlagiery, otwiera nową butelkę wina.

Przyglądają się tańczącym zamglonym już trochę oczami.

- Skądże pan wyrwał taką dupę?

- pyta naraz Blanchot.

Tart prostuje swą niepozorną postać, stara się nadać głosowi ton pełen obrażonej godności.

- Anna nie zasługuje na to, żeby w ten sposób.

- Ależ ja nie myślę o pani Annie.

Przepraszam.

To ten pana amant od siedmiu boleści!

Chłop jak byk, ażupełny mięczak.

Na kranię jeszcze jako tako, ale w życiu najwidoczniej się niesprawdza.

Ile się namęczyła ta brązowa ślicznotka, żeby go rozruszać!

Bronią chonoru Polaków, powinien pan sam się niażając, i- Chętnie - propozycja

Blanchot przypadkiem spodziewanie Wojtaszkowi do gustu.

Poprawi akrawat, obciąga na sobie wygnieciony nieco smoking.

Już wieczorem nabrał pewności, że uszyty przed czterema laty nie był smokingiem, w którym można by zablęsnąć na schodach w Pałacu Festiwalowym, gdzie spotykały się supergwiazdy, słynni producenci i reżyserzy.

W dodatku wyrósł jakby z niego, niestety, wszsz, ale teraz ta przyciasność smokingu wydała mu się nawet pożądana.

Wyglądał w nim bardziej męsko, bicepsy rozsadzały przyciasne rękawy, zbyt wąskie marynarki i pinasprężyste pośladki.

Wojtaszek rusza ku Patsy i odsuwa od niej wcale tym nie zmartwionego Marka.

- Brawo!

- woła Blanchot.

Anna dostrzega wyjście Soldiviera, przeprasza Pressona i podchodzi do Isabelle.

- Chce trochę pobiegać - wyjaśnia od razu, choć Anna o nic nie pyta.

- I tak już zapewne robi sobie wyrzuty, że dziś nie będzie pływał ani grał w tenisa, więc niech się chociaż przeleci wzdłuż brzegu.

- Czy.

- Annie drży trochę głos - czy mogłabym pobiec razem z nim?

Podczas studiów należała do klubu sportowego i miała całkiem niezłe wyniki.

Pani Soldivier patrzy na nią przez chwilę.

- Ależ doskonale!

- mówi wreszcie (choć wie, że mąż będzie wściekły).

- Doskonale!

Niech pani biegnie zanim.

Po obydwu stronach ścieżki, wiodącej w dół ku morzu, drżają jeszcze gałązki krzewów potrącone przez Soldiviera.

Ale jego już nie widać, Annę ogarnia panika, że już go nie dogoni, że co najwyżej będzie musiała usiąść u wylotu ścieżki na plaży i czekać tam na niego.

Dostrzega go jednak zaraz po wydostaniu się zarośli; biegnie samotny wzdłuż brzegu, niespiesznie odmierzając kroki.

Anna rzuca się w tym kierunku, już wie, że uda jej się z nim zrównać, że zobaczy ją wkrótce obok siebie i będzie musiał przystanąć, będzie musiał się zatrzymać.

Nie dziejesię jednak nic takiego.

Soldivier się nie zatrzymuje, nie poznaje go nawet, że dostrzegł jego obecność obok siebie.

Morze jest tego poranka spokojne i obydwoje słyszą swoje oddechy; Annie wydaje się to jakąś wspólnością, pierwszą, która powinna zbliżyć ich do siebie.

O, Boże!

-myśli.

- Niech ten człowiek przemówi, niech odezwie się do mnie!

- Mokry piasek ugina się pod stopami, Soldivier biegnie w trampkach, Anna - boso, wilgotny chłód przenika ją całą, słońce nie zdążyło jeszcze nagrzać poranka.

Pomysł, żeby towarzyszyć Soldivierowi w jego rannym biegu, wydaje jej się naprawdę idiotyczny. I ośmieszające pozbawiony taktu.

Czemu Isabelle jej tego nie wyperswadowała, czemu - znając swego męża - pozwoliła, żeby spotkała go kolejne upokorzenie?

- Dlaczego nie był panna pokazie naszego filmu?

- krzyczy.

Soldivier jakby tego nie słyszał.

Biegnie dalej, nie zwolniwszy kroku, nie zwróciwszy ku niej głowy.

- Dlaczego?

Czy szkoda było panu czasu?

Niespodziewał się pan żadnych rewelacji i szkoda było panu czasu, tak?

Ale mógł pan choćby z uprzejmości.

Skąd się bierze w człowieku taka pycha?

Taka pycha!

Soldivier milczy, biegnie i milczy.

Anna zaczyna go nienawidzić.

Za spokój, którego nie potrafi w nim zburzyć, za utkwiony w horyzoncie wzrok ani na sekundę nie zwrócony ku niej.

- Niech pantylko nie myśli, że się tym przejmuję.

Pytam tylko z ciekawości.

Bo mnie pan ciekawi!

Ciekawimnie pan jako osobnik.

Annie brak tchu, potyka się, uderza palcami stopy w wystający z piasku kamień, ale mimo bólu nie przestaje krzyczeć, zdyszana i w pół przytomna.

- Osobnik opętany pychą!

O, Boże!

Czemu akurat mnie musiał pan tak zlekceważyć?

Akurat mnie!

I tego biednego Wojtaszka, nie czuje pan, że zrobił mu pan świństwo?

Właściwie nie po 137.

winniśmy byli tu przyjechać!

Nie! Po tym, co pan zrobił?

Mogliśmy zostać w Cannes z bardziej zyczliwymi ludźmi.

Bo film się podobał!

Słyszysz pan?

Podobał się!

Na twarzy Soldiviera zaczyna ukazywać się nikły uśmiešek.

Anna go nie dostrzega.

Wciąż krzyczy, nie panując nad sobą: - Film się podobał!

Prawie wszystkim!

Mówilite!

Dwie mewy, siedząca na kamieniu wystającym z morza, zrywają się do lotu spłoszone ich widokiem.

- Podobał się!

Na złość panu!

Na złość panu!

Anna wyskakuje przed Soldiviera i szarpiego gwałtownie zaprzód dresu.

Szamocze się z nim przez chwilę, aż mężczyzna unieruchamia jej ręce, przytrzymując ją swoich piersiach.

i- Ależ i mnie się podobał - mówi cicho.

Anna dysząc ciężko, przysłuchuje się słowom Soldiviera, niedowierza im.

- Przecież go pan nie widział!

- Widziałem.

- Był pan na pokazie?

- Byłem, mała historyczko.

Jeśli chcę naprawdę zobaczyć film, nie pcham się tam, gdzie by mnie widziano.

Potrzebuję spokoju, żeby się skupić.

Wszedłem na salę, gdy szła już czołówka.

Usiadłem obok jakiegoś człowieka, mając pewność, że nie będzie nic do mnie mówił podczas projekcji.

- I na konferencji prasowej był pan także?

- Oczywiście.

Stanąłem przy drzwiach.

- Ale słyszał pan wszystko?

- Słyszałem.

Anna wciąż nie może uwolnić rąk z uścisku Soldiviera.

Chciałaby się zapaść w piasek, ukryć pod nim, nie istnieć.

- Przepraszam.

Marcel podnosi jej ręce do ust, całuje i dopiero wtedy pozwala Annie, żeby mu je odebrała.

- Rozumiem, że mogła pani mieć żal do mnie, teraz chyba jeszcze większy, bo już wie pani, że widziałem film i nic o nim nie mówię.

Ale to dlatego, że wciąż jeszcze nie wyrobiłem sobie pełnego o nim zdania.

- Powiedział pan przecież, że.

podobał się panu - nie śmiało zauważa Anna.

138- Och, tak - generalnie rzecz biorąc.

Ale to jest w ogóle niewłaściwe słowo.

Podobał się!

Film trzeba przeżyć.

Trzeba wmieszać się niejako w to, co dzieje się na ekranie.

Jeśli reżyser nie potrafi wciągnąć widza na plan swego filmu.

- A Tarło nie potrafił?

- Nie, nie - tego nie powiedziałem.

Film jest zrobiony według bardzo interesującego scenariusza.

I miała pani rację, twierdząc na konferencji prasowej, że życie ułatwione, robienie karier poprzez rezygnację z ideałów jest zjawiskiem ogólnoswiatowym.

Pod tym względem film jest uniwersalny.

Ale według mnie jest może jednak za bardzo ściszony, przemawiający do innych warstw wrażliwości niż te, które ożywiają się w tłumie.

Ale to oczywiście nie jest zarzut.

Różni ludzie przemawiają różnym głosem.

Pani, na przykład, przed chwilą krzyczała.

- I mam na to znowu ochotę.

Bonie mówić pan nic o

mojej roli.

- Pani.

- Soldivier zawraca i idą teraz powoli w stronę Antibes ku ścieżce prowadzącej z plaży do domu.

- Gdybym pani nieznał, myślałbym, że mam do czynienia z aktorką jednego tonu.

Alena szczęście wiem, wyobrażam sobie, że tak nie jest.

Dwie mewy, które - spłoszone przez nich - znów usiadły na swoim kamieniu, i tym razem zrywają się do lotu.

- Naszczęście - powtarza Soldivier, a Anna nie ma odwagi zapytać, co to znaczy.

Gdy stają na progu pokoju, w którym Paton wygrywa wciąż fortepianie modne szlagiery, a trzy pary tańczą, Isabelle - uwięziona w ramionach Pressona - zwraca powoli ku nim głowę.

Dopiero po długiej chwili uwalnia się z objęć dziennikarza i klaszcząc dłonie.

- Wracamy do Cannes!

- Chwileczkę!

- woła Patsy.

- Nie widziałam jeszcze ogrodu!

I pociąga za sobą tańczącego z nią Wojtaszka, który wcale nie ma ochoty się opierać.

Za drzwiami na skraju posesji jest tana.

Wciągając Wojtaszka w jej mroczne wnętrza, Patsy chichocze cichutko.

- Od razu ją odkryłam, jak tu przyjechaliśmy.

Czytu nie bosko?

- Bosko!

- potwierdza żarliwie Wojtaszek.

Padają obydwojema stos tytoniowych liści, które prawdopodobnie przechowywał tu Paulette.

139. Patsy wciąż się śmieje i rozwiązuje Wojtaszkowi krawat, rozpina koszulę.

- Nie robiłam tego jeszcze nigdy z Polakiem.

- No.

- mruczy Wojtaszek.

- Nie wiem, czy jestem taki reprezentatywny i czy mógłbym występować w kadrze narodowej.

Patsy pomaga mu pozbyć się resztek garderoby.

- Nieźle!

- mówi, dotykając go swoimi chwytnymi rączkami.

- Nie ma się pan czego wstydzić.

Liście tytoniu pachną odurzająco.

I chrząszczą cichutko, osobliwa muzyczka towarzyszy każdemu ruchowi ludzkich ciał.

- Hej, hej!

- odzywa się w dali nawoływanie Soldiviera.

- Wracamy do Cannes!

Wracaamy!

- powtarza Isabelle.

- Prędzej.

- szepcze Patsy.

- Prędzej, mój słodki, wspaniały Polaku!

Ci okropni ludzie, ci nudni ludzie każą nam wracać do Cannes.

IX w dniu ogłoszenia werdyktu jury, Soldivierównie ma już w Cannes.

Wezwały ich pilne sprawy, jego do Paryża, ją do Stanów, a ponadto "Odsiecz" nie uczestniczyła przecież w konkursie.

Anna pożegnała ich z niejasnym uczuciem żalu i równoczesnej ulgi, jaką przynosiło uwolnienie się od ichtowarzystwa.

Miała jakby pretensję do nich (i do siebie także!

), z najnierzędniej w świecie poświęcając cały swój czas, nie szukając innych kontaktów.

Choć nie ogłoszono jeszcze wyników konkursu, nosiła już w sobie swoją klęskę, i nawet Presson (Boże, jaki w końcu okazał się poczciwy!

) nie jest w stanie jej rozjaśnić, rozkładając przed nią na stole kawiarni Pałacu Festiwalowego płachtę najświeższego numeru swojej gazety z artykułem, w którym nazwał "Zdobycie świata" prawdziwą rewelacją.

- Dziękuję - mówi Anna bezbarwnie.

Wie, że jury nie bierze pod uwagę dziennikarskich opinii, że nawet nie lubi presji wywiejanej przez prasę.

Co najwyżej opinia gazet mogła liczyć się na poziomie Minus Jeden, gdzie Film Polski miał swoje handlowe stoisko, starając się zjednać zagranicznych dystrybutorów dla obrazów kręconych nad Wisłą.

- Ja także dziękuję - odzywa się Wojtaszek, bo obydwaj Sarpowiczem są tu także, i oczywiście Patsy wraz z nimi, Patsy woszałamiająco skąpym jakimś łaszku na oszołamiającym ciecie.

Wpatruje się teraz w Tarłę, tak jak przedtem wpatrywała się w Sarpowicza, co Wojtaszka zaczyna w końcu krępować.

- Mam nadzieję, że pan tego nie opisze - z głupawym uśmiechem szepcze do Pressona.

Francuz w lot pojmuję, o co chodzi.

- Ma mnie pan za takiego plotkarza?

Aniejesteś?

- myśli Anna.

- Nie jesteś?

- Nie może mu wciąż jeszcze wybaczyć nagłówka nad korespondencją, którą przesłał z Cannes już nazajutrz po jej przyjeździe.

"Czy polska aktorka będzie następną muzą Marcela Soldiviera?"

"Dobre sobie!

Boki można było teraz z tego zrywać.

Marcel, żegnając się z nią, nie poprosił jej nawet o adres.

I tylko Isabelle zostawiła jej dwa swoje na wypadek, gdyby była w Paryżu lub Stanach.

Co za idiotyzm!

Wrzuciła tę wizytówkę do torby bez nadziei, że będzie jej kiedykolwiek potrzebna.

Natomiast Patsy ma dla Wojtaszki konkretne propozycje.

- Rozumiem - mówi, oparłszy łokcie na stole, cała przechylona ku Polakowi - że reżyseramogłoby usatysfakcjonować zaproszenie z Paramountu lub Warner Brothers, ale myślę, że zaproszenie Patsy Walth nie jest do pogardzenia.

Nie zagrałam wprawdzie żadnej głównej roli, ale za to wystąpiłam w dziesięciu filmach; która gwiazda może to powiedzieć osobie?

Ludzie rozpoznają mniema ulicy szybciej niż Meryl Streep, która jest teraz tak modna, a panowie na ogół liczą się z moim zdaniem.

Gdybym szepnęła któremuś producentowi.

Wojtaszek zamiast się obrazić, czuje się wzruszony.

Bierze łapkę Patsy i długo ją całuje.

- Jesteś kochana!

Ale niezwykle miło robić karierę przez łóżko.

Nawet własne, aco dopiero przez cudze.

- Ależ nie bądź naiwny - woła Pattsy.

Tak się załatwiawiększość spraw.

W barze albo w łóżku!

141. Wojtaszek śmieje się; pragnie całą rozmowę obrócić w żart, kępując obecność Marka, choć on zdaje się najmniej w niej uczestniczyć.

Natomiast Presson poczuwa się nagledożłożeńia uzupełnienie oczekiwanego oświadczenia: - A ja mógłbym w przyszłym roku zaprosić panią Annę.

Najpierw do Paryża, a później do Cannes!

- Kiedy to mówi, twarz maszczerze uśmiechniętą i biją z niej dobre intencje, jak piorun z głowy Zeusa.

Mimo to Anna nie czuje się wzruszona, jak Wojtaszek przed chwilą.

- Copan powiedział?

- pyta cicho.

- No.

że mógłbym w przyszłym roku wysłać pani zaproszenie.

oficjalne zaproszenie - płacze się już nieco zbity z tropik dziennikarz.

- Bo, zdaje się, że.

jest w waszym kraju wymagane.

- Ależ tak!

- woła Pattsy.

- Wiemna pewno!

- Wypchajcie się swoimi zaproszeniami!

- wybucha Anną głosem, którym na pewno nie mogłaby mówić Corneille'a.

Madame Yalentine byłaby przerażona, słysząc ją w tej chwili.

- Wypchajcie się!

Albo przyjadę tu kiedyś, aby naprawdę coś znaczyć, albo nie przyjadę wcale.

Nie chcę być zapraszana jak dziadówka, z zapewnieniem wyżywienia, a nawet leczenia na wypadek choroby, upokarza mnie to, rozumiecie?

- Anno!

Uspokój się!

- szepcze po polsku Wojtaszek.

- Upokarzamnie!

- powtarza Anna wciąż nie hamując głosu.

- Czuję się jak zbity pies.

Nie jestem byle jaką łajzą, którą można wywołać z domu w każde inne miejsce świata.

A wogóle nie muszę grać w filmie.

Mam męża, dom, dziecko, swój teatr, mam się czym w życiu zająć.

Siedzący przy sąsiednich stolikach zaczynają nieznacznie zwracać ku nim głowy.

Czekają tu wszyscy na wezwanie do salik konferencyjnej pałacu, gdzie ma się odbyć ogłoszenie werdyktu jury, które wciąż jeszcze obraduje.

- Sądziłem, że się pani ucieszy - rozbrajająco wyznaje Presson.

- Pomylił się pan.

I zdarzają się to panu w stosunku do mnie już poraz drugi.

- Anno!

- prosi Wojtaszek.

Anna milknie, boi się, że się rozplacze, robi jej się przejmująco żal - siebie, ale i Pressona, w końcu była pierwszą polską wariatką, z jaką zdarzyło mu się obcować.

Skąd mógł przypuszczać, 142 że obyczaj zaproszeń, utrzymujący się od wielu lat między Wschodem a Zachodem, może się wydać komuś obrażą?

Dobrzebybyło udać przed nim, że trochę wypita, ale on przecież wie, że od czasu wyjazdu Soldivierów nie miała w ustach kropli alkoholu, więc musi się przyznać przed nim, że nerwy odmawiają jej posłuszeństwa, że - jakby to określiła Ewka Zabiełło - stanowczo nienadaje się do Cannes.

- Przepraszam - mówi wreszcie.

- Sama nie wiem, co się zemną dzieje.

Presson z ulgą zapisuje incydent na konto z denerwowania przed ogłoszeniem wyników konkursu.

- Udział w każdym konkursie jest hazardem - mówi prawie pocieszająco, i jest to jego pierwszy prawdziwy nietakt tego wieczoru.

W sali konferencyjnej tłok zdaje się rozsadzać ściany.

Nie widać wieczorowych kreacji, jakie kobiety włożyły na tę okazję, niektórzy z nich może w nadziei, że wywołane zostaną na podium.

Annatej nadziei nie ma; opuściło ją towarzyszące jej przed wyjazdem do Cannes uczucie czekania na cud, który miał na pewno się spełnić.

Wojtaszek ściska jej dłoń, gniecie ją, wyłamuje palce.

Widocznie ma jednak jakąś nadzieję.

Boże!

Jakże kochał ten swój film, kiedy go robił, dlaczego inni ludzie mieliby gotakże nie pokochać, dlaczego mieliby pozostać obojętni na wszystko, o czym mówił.

"Złotą Palmę" otrzymuje film brazylijski, pierwszą nagrodę film amerykański, specjalną nagrodę zaartyzm obraz radziecki, nagrodę za najlepszą reżyserię film angielski.

Wojtaszek cierpnie, słuchając tych obcych tytułów i nazwisk; wtulił głowę w ramiona, jakby słowa przewodniczącego jury były obsypującym go gradem kamieni.

I nagle z tego przerażonego odrętwienia wyrzywa godźwięk znajomy.

Już gdzieś słyszał to nazwisko.

to nazwisko z trudem wymawiane teraz przez przewodniczącego.

Krzysztof Kęsowicz.

ten jakiś facet, Krzysztof Kęsowicz otrzymał nagrodę specjalną za scenariusz do filmu "Zdobycie świata".

- Hurra!

- woła Marek, jeszcze bardziej ponad tłum wystawiając swój wspaniały kędzierzawy łeb.

- Hurra!

- powtarza Anna.

Nie spodziewała się, że i cudze szczęście może być przyczyną takiej radości.

Wyrażają ją oboje 143.

z Markiem może zbyt żywiołowo jak na miejsce i szacowne grono, w którym się znajdują, ale nie potrafią się opanować.

Bo jednak zabrzmiało na podium polskie nazwisko i nie wyjadą stąd bez sukcesu, bez uznania dla ich filmu.

Wojtaszek, wciąż niemożąc ochłonąć, stara się przypomnieć sobie twarz scenarzysty, jego niepozorną postać.

Bo to był właśnie ktoś taki - pętaczyna, którego nie można zapamiętać, o którym przestaje się myśleć, gdy się oddala, gdy się go nie widzi.

- Nagroda specjalna za scenariusz filmu "Zdobycie świata", za jego wartości ogólnoludzkie

- powtarza przewodniczący jury, krztusząc się jak za pierwszym razem przy wymawianiu nazwiska - dla pana Krzysztofa Kęsowicza z Polski.

^- Niestety, nieobecny!

- woła z tłumu Sarpowicz.



Opadła senność, całe otępienie, któremu poddał się w Cannes, po raz pierwszy od kilkumiesięcy zaznając wypoczynku od zawodowych obowiązków.

Bo to on przyniósł Wojciechowi Tarlezwinięty wrulon scenariusz początkującego pisarza, z którym się przyjaźnił i w którego talent wierzył, dość osobniony zresztą swoim przekonaniu.

On musiał Wojtaszka do przeczytania scenariusza, on go w końcu skontaktował z autorem, już gdy scenariusz był przyjęty i Wojtaszek zabierał się do pisania scenopisu na jego podstawie, więc z piera go teraz дума, że choć nie uhonorowany nagrodą za swoje aktorstwo, przyczynił się jednak do sukcesu polskiego filmu.

- Kto odbiera nagrodę?

- pytają nieco niecierpliwie przewodniczący jury.

Wojtaszek przepycha się przez tłum w stronę podium.

Gdy przewodniczący wręcza mu nagrodę, rozlegają się dość długobrzmiące brawa i mały Polak ma czas, żeby zebitego psa, jakim czuł się przed chwilą, przemienić się w filmowego lwa, który najwidoczniej niespartolił filmu, co przecież nieraz się zdarza, nawet gdy scenariusz jest wręcz genialny, skoro zwrócił jednak na siebie uwagę jury.

Wojtaszek obejmuje zwycięskim spojrzeniem całą salę i powoli schodzi z podium.

Kiedy jednak wraca na swoje miejsce wśród tłum przy drzwiach, ogarniają go myśli podlutkie i niegodne tej chwili.

Bo mógł przecież, mógł, udiabła!

użycywszy scenariuszowi swego "filmowego spojrzenia", stać się jego współautorem, mógł nie poddać się w pokorze - 144g<sup>^</sup>ygnując z wszelkich kalkulacji - jego doskonałości.

Scenariusz jednak wydał mu się dobry bez uzupełnień, a ponadto nie zwykł wyrywać ludziom gardła pieniędzy, niewielkich zresztą; w filmie polskim honorarium za scenariusz wynosiło przeciętnie jedną czwartą procentu kosztów produkcji filmu.

Ba! ale ktoż mógł przewidzieć nagrodę w Cannes!

- Nie wyjeżdżamy bez nagrody!

- szepcze Anna.

Teraz ona ściska dłoń reżysera, wieszając na ramieniu Marka.

- Najważniejsze, że nie wyjeżdżamy bez nagrody!

- Wyobrażam sobie, jak się Krzysztof ucieszy - Marek ściska Annę i Wojtaszka, całuje oboje.

Podczas konferencji prasowej on jeden z polskiej delegacji może powiedzieć coś o autorze nagrodzonego scenariusza.

Zresztą niewiele jest do powiedzenia - dwa tomy opowiadań, wcześniej tomik wierszy.

Tak na ogół zawsze startuje młodzież literacka, a Kęsowicz do niej jeszcze należał.

- Scenariusz jest jednak zdumiewająco dojrzały - zauważa dziennikarka z tygodnika

"L'Express" - co podkreśliło jury w swoim werdykcie, przyznając mu nagrodę za jego wartość ogólnoludzką.

Pani mówiła zresztą o tym - zwraca się do Anny, która czerwienieje z radości, że zapamiętano jej słowa - na konferencji prasowej po projekcji waszego filmu.

- Tak - Anna czuje się upoważniona do powtórzenia tego, co powiedziała przed dwoma dniami.

- Życie ułatwione poprzez rezygnację z zasad jest problemem ogólnoswiatowym.

- Na pewno.

Inietylko prawo, ale i sztuka powinna z tym walczyć.

Film "Zdobywanie świata" ma swój udział w tej walce.

A Blanchot uważał - myśli Wojtaszek Tarło - że dzięki tej uniwersalności film będzie się źle sprzedawał.

Wolałby, żeby jego treść była uznaną za wyłącznie polską specyfikę.

Do diabła z tym wszystkim!

Do diabła z tym podziałem świata na sprzeczne racje!

Sztuka, zaprzęzona w szory politycznych interpretacji, przestawałabyć sztuką.  
Zaczynała czemuś służyć, a nie była dotego powołana.

Ale przecież.

były sprawy tak ważne, tak wzniosłe i piękne, że mogłabyi powinna im służyć bez  
uszczerbkudla swoich artystycznych wartości.

- Wojtaszek płaczesię w swoich dywagacjach, łowi uchem dźwięki dźwięczące w którejś z  
sąsiednich salszkła.

Kieliszek szampana miał zakończyć uroczystość, miał 145.

zamknąć festiwal, którego ostatnie chwile stawały się już historią światowego kina.

Oczywiście, nie jest to tylko jeden kieliszek.

Jeszcze na kontofestiwalu, ale już niejako poza nim, goście żałują sobie alkoholu  
i skłonniejsi są do zawierania znajomości, bardziej niż podczas wszystkich poprzednich dni.

Ogłoszenie wyników konkursu przywróciło im swobodę bycia, znikła trema i napięcie,  
każdy bysobą bardziej otwarcie, niżby sobie na to pozwolił w innych okolicznościach.

Anna, przeszedłszyna ty z niezliczoną ilością osób, jeszcze raz żałuje, że straciła tyle czasu na  
Soldivierów, gdy codziennie człowiek okazywał się przemiłym rozmówcą i - och!

Boże drogi!

- niewątpliwie znaczył coś w tym filmowym światku.

^- Jesteś czarującą!

- mówi jakiś osobnik, wyglądający na Meksykanina; jest o głowę niższy od Anny i trzymając  
ją w półsprawia wrażenie wymagającego tkliwości niedorostka, a nie mężczyzny, który  
przytula kobietę.

Schodzą wraz całą grupą rozweselonego towarzystwa naplażę, oświetloną  
lampami bulwaru, a Meksykanin wciąż powtarza: - U mnie grałabyś tylko główne role!

Tylko główne role!

- Od kiedy to od operatorów zależy obsada filmu?

- zauważa Presson, który chyba trochę przywiązał się do Anny, skoro nie odstępował jej także po  
wyjeździe Soldivierów.

- Od operatora zależy bardzo wiele - upiera się Meksykanin.

Wielkie gwiazdy zastrzegają kontrakcie, kto ma być operatorem filmu i jakich im życzą  
sobie ujęć.

Wiele z nich wylansowali operatorzy na równi z reżyserami, choć ich nazwiska się  
przeważnie nie pamięta.

Słynne cienie na policzkach Marleny Dietrich, linia ich wklęsłości od ucha ku brodzie!

Ktoś przecieżyto opracował, ktoś zrobił tę twarz!

A usta Ingrid Bergman?

Inaczej fotografowane nie byłyby tak soczyste i wypukłe.

- Niech on przestanie bredzić - mruczy Wojtaszek po polsku.

- Posłuchaj, posłuchaj - mówi Anna.

- To ci się przyda.

Może byś zaczął wymagać od operatorów, żeby uważniej przyglądali się twarzom aktorów.

- Brednie!

Epoka takiego kina się skończyła.

Z aktorem byle jak fotografowanym utożsamia się każdy widz, gwiazdor wypieszczony przez  
operatora nadaje się tylko do oglądania.

Weź na przykład.

146- Nie chce mi się o tym wszystkim gadać.

Nic mi to nie obchodzi.

Ostatni raz przeżywamy noc w Cannes!

Pewnie nie będziemy tu poraz drugi.

- Ja, żeby się miało wściec - twarz Wojtaszkanabiera zaciętego wyrazu -jeszcze tuprzyjadę!  
Ijeszcze im pokażę!

- Nie rozmawiajcie po polsku!

-woła przylepiona do Wojtaszka Pattsy.

-Nie rozmawiajcie po polsku!

- powtarza za nią Meksykanin.

-Cicho, do jasnej cholery!

- krzyczy Anna.

Zazdrości Wojtaszkowi jego zaciętości i uporu.

Z niej opadły ambicje.

Patrząc na smugi blasku, padające na morze z latarni bulwarze i świateł milionerskich jachtów, zakotwiczonych w porcie, niemożeszłumić w sobie żalu, że pozwoliła trawiącym ją ambicjom pożreć całą radość z pobytu w tym pięknym miejscu.

A jutro mieli już stąd wyjeżdżać: po kilku godzinach w Paryżu czekała ich zdeszczona - jak głosiły komunikaty meteorologiczne - Warszawa.

Anna unosi twarz chłonie powietrze, napływające z morskiej nocy, jeszcze nie spaliny, nie zaduch tramwajów i autobusów, ale czyste powietrze morskiej nocy, jego zaprawioną słoną goryczką aromat, i- Najpiękniejsza!

- Meksykanin z potrzebującego tkiwość niedorosłka zmienia się jednak wpałającego namiętnością mężczyzną.

Całuje Annę w szyję, ale Presson go zaraz odtrąca.

- Co pan sobie wyobraża?

-woła z oburzeniem.

- A kim pan właściwie jest?

-pieni się Meksykanin.

-Kim pan jest dla Anny?

Anna nie słucha żywo i słowo rozwijającej się sprzeczki.

Dotyka ramienia Wojtaszka.

- Chodźmy stąd!

-Pytam poraz drugi, kim pan jest dla Anny?

- pieje Meksykanin, doskakując do Pressona jak kogut podczas walki.

-Chodźmy stąd!

Co oni wszyscy nas obchodzą?

- Spotkałem kobietę mego życia-zacietrzewia się coraz bardziej meksykański operator.

-Kobietę mego życia!

Czy pan może samo powiedzieć o sobie?

- Pan przede wszystkim za dużo wypił - stwierdza Presson.

-Ja? Nawet na swoim chrście nie byłem równie trzeźwy!

Spotkałem kobietę, którą bym wielbił do końca życia!

Którą.

147.

- Zaraz jutro będę musiała zrobić pranie-mówi Anna, wciąż po polsku.

-Wyobrażam sobie, ile Sebastian brudził rzeczy.

-Ja jutro -odpowiadając Wojtaszk - wreszcie się porządnie upiję!

Polską wódką, bez strachu, że zabraknie mi nania pieniędzy.

Stojący obok Marek trząsa z siebie oblegające go młodzieńskie Angielki.

- A ja.

-zaczyna, ale zaraz milknie.

Nie wie, co zastanie w domu, nie ustala sam swoich programów.

Pogodzony z tym faktem doznaje jednak szczęśliwego uspokojenia - załatwił prawie wszystkie sprawy, poza tym cholernym smoczkiem, którego nie znalazł, ale będą przecież jeszcze w Paryżu.

- Dlaczego pan mi przeszkadza?

- Meksykanin samocze się Pressonem.

- Zjawił się pan niewiadomo skąd.

- Ja?

- Presson usiłuje zachować spokój, ale operator go rozsierdza.

- Ja się skądś zjawiłem?

To pan przyczepił się nagle, kiedy już wychodziliśmy.

- Czy mam ich stąd oburzyć?

- pyta Marek, ale Annanie odpowiada.

Zatoka Lśnijak wielki brylant, wpięty w ząb ziemi.

Niskie fale przemywają piasek, żeby jeszcze bardziej jaśniał w mrokuncy.

Anna zdejmując obuwie oddala się - nie żegnając się z nikim - ku oświetlonemu rżęsiście "Carltonowi".

Od bulwaru dochodzi szelest palm poruszanych nocnym powiewem.

Suchy poszum niesie się góra nad gwarem, którym wciąż rozbrzmiewa Croisette; odwieczne trwanie przyrody nie ma nic wspólnego z ludzkimi sprawami, z ich tak mało znaczącą w dziejach świata ulotnością.

- Madame tak wcześnie idzie spać?

dziwi się recepcjonista "Carltonie", aż poprawiając okulary, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

Jest pierwsza po północy, ale dla Cannes, gdy kończy się festiwal, jest to naprawdę bardzo wczesna godzina.

- Mam jutro męczący dzień - odpowiada Anna, odbierając klucz.

- Muszę się porządnie wyspać.

- Dobranoc, madame!

- Dobranoc.

Rozbierając się w swoim pokoju, Anna długo patrzy na Croisette.

Ściągnęła już suknię i w białym tylko stoi przy oknie, olśniona widokiem, jaki się stąd rozpościera.

Na bulwarze jest jeszcze bardziej tłoczniej niż za dnia.

Tłum nieprzerwanymi strugami płynie obydwie strony, wśród gwaru pobrzmiwają śmiech, bezustanny akompaniament podnieconych nocnych rozmów.

Annawie, że nie zaśnie, ale nie żałuje, że uciekła z plaży.

Przerazają ją tylko te podniecone śmieszki, ale i błyszcząca odświecała czerń nocy, która zbyt pięknym była niebezpieczeństwem, żeby się jej nie bać.

Następny dzień jest naprawdę męczący.

Szczególnie godziny w Paryżu, ten krótki czas, dany bezdewizowym turystom, którego mijanie było aż bolesne.

- Tylko niewyobrażaj sobie - od razu przed lotniskiem zapowiada Markowi Wojtaszek - że będę się włóczył po mieście szukając twego smoczka.

- Ależ musimy go kupić!

- staje w obronie kolegi Anna; to na pewno złudzenie, ale wydaje jej się jakby w oczach Marka błysnęły łzy.

- Jak on się pokazuje domu bez smoczka?

- A niech was!

- Wojtaszek macha ręką.

- Ja moim nic nieprzywożę i też dobrze.

Co to zamania z tym przywożeniem prezentów?

Powinni być szczęśliwi, że w ogóle wróciliśmy, że niepoprosiliśmy azyl.  
Anna uśmiecha się nieznacznie.

- Szczerze mówiąc, to nikt nas tu nie zatrzymywał.

-Właśnie!

- mruczy Tarło.

-Czuję się tym prawiekompromitowany.

Na szczęście smoczek udaje się kupić w pierwszym napotkanym kiosku.

Jest to sukces, który Markowiod razupoprawiahumor.

- Mójbiedaku!

-szepcze Anna.

- Co powiedziałaś?

-Nicważnego.

Ale wyobraź sobie, znam cię takdługo, a dopiero tutaj nabrałam do ciebie prawdziwej sympatii.

- Ależ dlaczego?

-prawie oburza sięMarek, pomęsku oceniając przyczynę wzmożonejsympatii Anny.

- Tylkosię nieroztkliwiającie- przerywa tę rozmowę Tarło.

Wie, coma na myśli Anna i woli nie roztrząsać tego tematu.

-Proponuję dostaćsię dośródmieściami, a tamzłożymy się,weźmiemy taksówkę i objedziemy wszystkie miejsca, w którychtrzeba być.

149.Tychmiejs jest dużo, odwrotnie proporcjonalnie dofrankóww trzech portmonetkach.

W dodatku trudnobyłoprzewidzieć, ilewyniesie przejazdprzez Pola Elizejskie, wokół wieży Eiffla, naMontmartreczy Plac Yendóme.

Bo jeśli taksówkarze paryscyzachowują się wobec cudzoziemcówpodobnie jak ich warszawscykoledzy,perspektywy nie były wesołe.

- Wysięw ogóle nie odzywajcie!

-mówi Anna.

-Ja będęz nimirozmawiać.

llk- To nic nie pomoże - pesymistyczniestwierdza Tarło.

-Taksówkarzena całym świecie bezbłędnierozpoznającudzoziemców - dodajeMarek.

- I są zdania,że można nabijać ichw butelkę.

Jadawięc jakimiśokrężnymi, jakprzypuszczają, ulicami,w napięciuwpatrując się wlicznik, który oczywiście nie przestajedięłać, gdy taksówkastoidługo i często w ulicznych korkach.

- Jak przyjadę do Warszawy- mówi Marek, zapominając, zemiał się nie odzywać -przez trzydni będę wyłącznie jeździł taksówkami.

-A janie będę wyłaził ze swego malucha -dodaje Tarło.

Obydwaj przypominają kilkulatków z przedszkola, licytującychsięczekającymi ich przyjemnościami.

- Polacy?

-bezbłędnie zgaduje taksówkarz.

Niemłody już, alew sile wieku, uśmiecha się podczarnym wąsikiem.

- Tak - potwierdzaAnna.

-Z Cannes?

-indaguje dalej taksówkarz.

- Z Cannes!

-potwierdza Marek, który po zakupie smoczkażywi przyjazne uczucia do całego świata.

Znów stoją w jakimś korku itaksówkarz odwraca głowę kutylnemu siedzeniu.

- Dostaliście, zdaje się,jakaś nagrodę?

dotyka pliku gazet,wsuniętychwkieszach na drzwiach.

- Zaraz.

zaraz.

który z panów jest ten Christopher.

- Kęsowicz - uzupełniawciąż promieniejącyMarek.

-ChristopherKęsowicz.

Ale to żaden z nas.

To kolega.

- Ale gratulacje z powodu nagrody możecie panowie przyjąć?

-Oczywiście.

Pan interesuje siękinem?

- Tak, trochę.

Kiedyja mam czas na kino?

Jeśli nawetdzarżam się wcześniejwrócić dodomu, siadam przed telewizorem i jak150leci

Jakiś film, to jasne, że oglądam go chętniejniż co innego.

Alenajwięcej mam kinowychwiadomości z czytania, bo wciąż człowiek coś czyta na postojach.

A ostatnio wszystkie gazety rozpisywały się o festiwalu w Cannes.

Anna odwraca głowę, nie chce, żeby taksówkarzprzypomniałsobie, że widział ją na zdjęciu z Soldivierem.

Ale,na szczęście, korekrusza i Francuz musi skupić się naprowadzeniu wozuzapchanymi ulicami Paryża.

Kiedy się z nim rozstają, okazuje się, że nie ma resztyz wręzonego mu banknotu.

Chucha naniego i uśmiechasię szeroko.

- To na szczęście!

Możetakże dostanę jakąś nagrodę.

- Zaduśiłbym sukinsyna - warczy Wojtaszek, ale trudnozgadnąć, kogoma na myśli.

Uspokaja siędopiero nalotnisku.

Gdy Polak zagłębia się w fotel polskiego samolotu, opadajążeńwszelkie emocje, wszystko, co przeżył poza krajem, wydajemusię nierealne, jak jakaś opowiedzianahistoria, zasłyszany żartna czyjś temat, może nawet sen.

Odwróconycałym sobą kukrajowymspawomzaczyna już zapominać o olśnieniach, których doznał, błdną wnim rozpaczę,którym może niekiedy się poddawał,rozprasza się nawet podszyta zawiścią pociecha, że itam, potejdrugiej stronie świata ludzie drąsobie duszę pazuramii stawiająpytania, różną formułowane stylistyką, ale dotyczące tych samychtreści.

W Cannes,przesyconyoglądaniem filmów, reżyserTarlomyślał nieraz z prawdziwym przerażeniem, czy nietrzebababy znowu strasznego podmuchu wojny, żeby wraz z częstkąświata rozpadły sięte wszystkie "no future", pesymizmy i bezsilności,izolacje i alienacje, rezygnacje i samounicestwienia - i żeby człowiekzateśknił znów doczłowieka.

Teraz myślał, z jakimś ciepłkiemwokółserca, do którego nigdy bysię nikomu nie przyznał, że tateśknota jeszcze istniała, żeżycie nie miało owej głębokiej czerni,jakąrozlewałina kolorowej taśmie mistrzowie kina, żejaśniałydość jasnym blaskiem człowieczeństwa miliardy domów na całejkuli ziemskiej.

Bardzo już chciał ich zobaczyć, tę całą swojaczwórkę - kobietę, nieprzypominającą gwiazdekranu, i trzechchłopaków, którzy na pewno będą czekaćna niego na lotnisku.

I nieprawda, że nie miał dla nich żadnych prezentów.

Ukradkiem151.

(żeby nie byćpodobnym do Sarpowicza) kupił w Cannes pięknyśweterek dla niej, a dla nich supertrampki i koszulki,którychnapewno będą im zazdrościć w szkole.

Incydentz Patsy nie miałżadnego znaczenia, należałdotego innego świata,z którego - rozgrzeszony oczyszczającym uczuciem tęsknoty wracałoto dodomu.

Anna i Marek równieżmilczą.

Opróżnili podaną przez stewardesę tackę z zimnym - cudownie polskim - jedzeniem, wypili kawę i teraz także milczą, przymknąwszy oczy.

Czy Szymon będzie na lotnisku?

- myśli Anna.

- Szymon i Sebastian?

A może także pan Feliks?

Może matka i ojciec, a nawet stryjcio?

Ostatecznie nieczęsto się zdarza, żeby ktoś rodziny brał udział w festiwalu w Cannes.

- Jeden Marek ma pewność, że nikt na lotnisku nie będzie oczekiwał.

Elżbieta nie miała z kim zostawić Magdusi, a wyprawa z dzieckiem na lotnisko była zbyt trudna.

Nie oczekując więc powitalnych emocji, przesypia prawie cały lot i dopiero potężny szturchaniec Wojtaszka przywraca gorzeczywistości, gdy samolot kołuje już na pasach lotniska na Okęciu.

W Warszawie wbrew zapowiedziomnie pada.

Płyta lotniska jest wprawdzie mokra jeszcze od niedawnego deszczu, ale chmury rozpełzły się po niebie i majowe przedwieczorne słońce daje prawdziwy popis wiosennej warszawskiej pogody.

Gdy stają wreszcie na podstawionych do samolotów schodkach, wydaje im się, że powietrze na tym obrzeżonym zielonymi przestrzeniami lotniska ma jakiś szczególny zapach, czego nie odczuwali przed wyjazdem, na co nie zwrócili uwagi przed wyjazdem, a co teraz wydaje im się tym bardziej radośnie zdumiewające.

- Są!

- woła Wojtaszek, podnosząc rękę ku pomostowi, z którego zwykle warszawiacy i wycieczki z głębi kraju obserwują odloty i przyloty samolotów.

- Są! Trzech małych Tarłów przepchało się do bariery pomostu i rozwijają teraz nad swoimi głowami biały transparent z niebieskim napisem: "Witaj, tato!"

"- Co za smarkacze!"

- Wojtaszek z trudem ukrywa wzruszenie.

Szymona, niestety, nie ma.

Oczywiście nie ma także i Sebastiana ani pana Feliksa.

Nie ma matki i ojca, i stryja, nie ma dziennikarzy ani delegacji z ministerstwa, której się trochę spodziewali, bądź co bądź przywozili do kraju nagrodę dla filmu.

152- Mógłby chociaż przyjść ten twój Kęsowicz - mówi cierpkodo Sarpowicza Wojtaszek, gdy już wychodzą z sali odpraw celnych do hali lotniczego dworca i nie można już mieć żadnych złudzeń co do tego, że oprócz trzech nieletnich synów reżysera nie przybył nikt więcej, żeby ich powitać.

Wieszają się teraz ojcu naszyi, mężnie powstrzymując się od pytania, co im przywiózł.

- Bierzemy jedną taksówkę - mówi Anna do Sarpowicza, żeby ukryć rozczarowanie, jakie ją spotkało.

- Jutro się telefonujemy - Wojtaszek całuje ich oboje.

- Trzeba pewnie będzie pójść do ministerstwa.

Ostatecznie nie trudno było przewidzieć, kiedy wracamy - myśli Anna w taksówce.

- Na pewno wszystkie gazety podawały datę zakończenia festiwalu.

Można było także zadzwonić do ministerstwa albo Filmu Polskiego, ale czy tam udzielono by im właściwej informacji?

- Anna stara się już usprawiedliwić swoich bliskich nieobecnością na lotnisku.

Szymon ma przedłużającą się rozprawę, pan Feliks bał się wybierać z Sebastianem aż na lotnisko, i słusznie, matka pracowała pewnie w aptece na drugiej zmianie, ojciec miał jakąś nasiadówkę, a stryj.

Zaraz robię pranie!

- myśli Annaz mściwą satysfakcją, wymierzoną niewiadomo przeciwkomu.

Nie nagrodzona w Cannes, nie powitana przez nikogo na lotnisku, nadawała się najwidoczniej tylko do tej zwykłej kobiecej przeciętności, z której chciała, z której miała nadzieję się wydostać.

Ukarana za te pragnienia, zepchnięta z pierwszego szczebla drabiny, na którą udało się jej dostać, zabierze się teraz do prania i sprzątania, żeby jak najprędzej powrócić w opuszczone tylko na kilka dni żyzkoswoich obowiązków.

Nie tak wyobrażała sobie swój powrót z Cannes.

Wcale nie myślała o tym, że dostanie nagrodę, bezczelnością byłoby oczekiwać tego od losu, ale przecież na festiwalu mogły ją spotkać inne jakieś satysfakcje, którymi można by się było pochwalić w Warszawie.

Ewka Zabiełło!

Znowu przyszła jejna myśl Ewka Zabiełło!

Ona umiałaby wykorzystać pobyt w Cannes, atakże powrót stamtąd!

- Pomogę ci - mówi Marek, gdy taksówka staje przed jej domem.

Ale Anna odbiera walizkę z jego ręki, wręcza mu przypadający na nią udział w naleźności za przejazd i sama wlecz swój bagaż do windy, która na szczęście nie jest zepsuta.

153. Gdy wsuwa klucz w zamek, serce jej bije.

Otwieranie drzwi jest wejściem w tajemnicę domu; co za nią czeka - dobre lub złe nowiny, szczęście lub nieszczęście, a może tylko pozostawiona uspokajająca, dobra zwyczajność powszedniości?

Już od progu dostrzega róże.

Czerwone róże, cały ich bukiet na stole w pokoju i karteczkę opartą o flakon tak, żeby wchodząc od razu ją zauważyła.

Rzuca walizkę na podłogę i w jednej chwili jest przy stole.

"Hanezko!

- pisał Szymon.

- Spodziewam się, że przylecisz z Paryża dziś wieczorem, ale prawdopodobnie nie będę mógł być na lotnisku.

Mam rozprawę z wieloma świadkami do przesłuchania.

Odbierz Sebastiana od pana Feliksa i czekajcie na mnie, postaram się jak najprędzej być w domu.

Gorąco całuję, Szymon".

I dopisek w dole kartki: "Bardzo tęskniłem za Tobą".

I dopisek przy dopisku: "Bardzo obydwaj z Sebastianem tęskniliśmy za Tobą".

Anna siada przy stole i kilka razy przebiega oczyma skąpatreść karteczki.

Potem patrzy na róże, ich świeżość każe się zastanowić, kiedy Szymon je kupił.

Chybanie wczoraj.

A dziś?

Kwiaciarnie otwierano dopiero o jedenastej, musiał więc przed udaniem się do sądu pojechać na targowisko i kupić je wprost od ogrodnika.

Och, żeby jak najprędzej był w domu!

Zjedzą kolację, położą spać Sebastiana.

Małżeńskie rozstania sprawiały, że po raz drugi przeżywało się noc poślubną.

W ich wypadku - przedślubną, ale to nie miało żadnego znaczenia.

Co powiedziała Pressonowi, gdy czekali w kawiarni na ogłoszenie werdyktu jury festiwalu?

Że wcale nie musi grać w filmie, ma swój teatr, ma męża, dziecko, dom.

Zaśnie w ramionach Szymona i wszystkie złe myśli odlecają jak mara.

A jutro próbuje w teatrze zagrać Ewkę Zabiełło, powracając z festiwalu w Cannes.



Rozglądając się uspokajającą dumą po swoim malutkim mieszkanku, Anna dopiero teraz zauważyła przedziwny ład w nim panujący - poukładane zabawki Sebastiana, lustrzaną podłogę, pomytą naczynia w kuchni.

I nigdzie ani śladu porzucanej garderoby, żadnych brudnych koszuli skarpetek nakrzeszłych i fotelach.

Anna powoli otwiera drzwi łazienki.

Wisita na kilku przeciągniętych ponad wanną sznurach to pranie, za które miała się wzięć zaraz po powrocie do domu.

Chce jej się śmiać i płakać, jest ubawiona i wzruszona - jej jedyny canneński sukces wyrażał się tym, że sąsiad Turoń po raz pierwszy w życiu zrobił pranie.

154X Obudził się nad ranem.

Różowa poświata zaczynała już wydobywać rysunek wzorów na storach zasłaniających okno, ulicą przejechał ciężarowy samochód z mlekiem lub pieczywem dosklepu za rogiem, zaczynała się cudowna, błogosławiona zwykłość dnia - Anna wróciła, była w domu, spała tuż obok, przytulona do jego boku, i tak zaczynał się ten piękny dzień, który miał przywrócić wszystkim następnym spokojną jednostajność.

Bez szarpiącego nerwy czekania.

Bez oblegających go pytań.

Bez rozdwojenia pragnień, z których jedno życzyły Annie spełnienia jej marzeń, a drugie przywoływały ją pokorną nie przyjętą przez świat w jej oramiona.

Wróciła pokorna.

Może nawet aż pokonana, wyraźnie widział, że powrót do domu nie był tylko zwykłą radością, ale prawie pocieszeniem, bardzo musiał się starać, żeby nie okazać jej współczucia.

Może powinien był ją spytać o Soldiviera; skoro sama o nim nie mówiła, ale zaskakując tym samego siebie uznał za słuszną jej tego zaoszczędzić.

Nawet w jej oddaniu, tak samo żywiołowym jak pierwszych zbliżenie, w zapamiętaniu, które uczyniło ich znów spragnionymi siebie kochankami, wyczuł jakby szukanie ratunku, panicznie przed czymś ucieczkę.

Oszalałem - pomyślał.

Dlaczego kilka zdjęć w prasie i głupity tuł, jaki nad nimi umieścił francuski dziennikarz, potrafiły rozbudzić w nim zawstydzający niepokój?

Czy nie powinien się cieszyć, że była tu, że znów tu była, że okazała tyle czułości Sebastianowi i jemu?

O co mu chodziło?

Czego jeszcze chciał?

Powstrzymując oddech słuchał przez chwilę spokojnego oddychania Anny; uniósł się, żeby móc patrzeć na jej uśmiechniętą twarz, jakby teraz dopiero mógł się jej dobrze przypatrzeć.

Jak wyglądały te przestronne teraz powiekami oczy, gdy spoglądały w stronę nainnego mężczyzny?

Oszalałem!

- powtórzył w myśli.

Przecież obudził się z uczuciem, że wróciły zwykłe dni, gdy Anna była w domu, a teraz otopsuł pierwszy z nich wywołaną jej wyjazd mudrąką.

Piętro wyżej, tuż nad głową, gdzie chyba także i u sąsiadów z góry stoi tapczan, rozlega się charakterystyczny odgłos.

To Wieczorek, wytapiacz z Huty "Warszawa", z którym tylko niekiedy 155.

spotykają się w windzie, wsuwa nogi w ranne pantofle iszurającymi po podłodze udając się do łazienki.

Szymon jest muprawie wdzięczny za to, że wstaje tak wcześnie, że pracuje na pierwszej zmianie i że za chwilę spuści wodę, obficie oddawszy mocz ponocy.

Czeka na ten szum w rurach kanalizacyjnych, rozchodząc się w dół i w górę - a kiedy rozlega się ta miejska pobudka ludzi, którzy zapomnieli już jak brzmi pianie koguta, kładzie się znowu na wznak szczęśliwy, że nie musi wstawać tak wcześnie i że te sąsiedzkie odgłosy przywoływały go w wymiar codzienności, obdarzającej aktem łaski udręczone myśli sprzed chwili.

Jakaż Anna była wczoraj uroczą.

Śliczna imiła!

Biegł do niej po schodach przeskakując po trzy stopnie, biegł doniej, gdyż niecierpliwość nie pozwalała mu czekać na windę, a kiedy zdyszany stanął w drzwiach, ona od razu zarzuciła mu rękę na szyję i całowała się gwałtownie w długi, wniebowzięty milczeniu, aż Sebastian wbiegł do przedpokoju i wrzasnął pretensją: - Mnie nikt tak długo nie całuje!

Był zazdrosny, nie wiadomo o które z nich, prawdopodobnie oboje naraz, wydało im się to i niezrozumiałe, i śmieszne, więc wciąż objęci zaczęli się śmiać, a on nie przestawał powtarzać jużże łzami w oczach: - Mnie nikt tak długo nie całuje!

- Boni gdzieś wyjeżdżałeś - zaczął mu tłumaczyć.

- A mamy nie było przez wiele dni w domu, teraz wróciła, stęskniliśmy się za nią.

- To ja sobie też gdzieś pojedę!

- Sebastian wybrał najmniej odpowiedni moment na dasy.

Ale Anna nie pozwoliła mu w nich trwać.

Skoczyła do walizki, wyjęła dwie pięknie opakowane paczki.

- Nigdzie nie pojedziesz, bo mama cię nie puści.

Ita też, prawda?

- Prawda - przyświadczył, choć w najbardziej niedorzeczny sposób zaczynałby czuły, że Anna zaczęła się teraz zajmować wyłącznie synem.

- A poza tym - ciągnęła po comiałbyś wyjeżdżać, skoro najpiękniejsze i najsmaczniejsze rzeczy są u ciebie przyjeżdżają.

Którą paczkę mam najpierw otworzyć?

- Tę lepszą zdecydował Sebastian.

156 Ale nie wiem, co jest dla ciebie lepsze - aksamitne ubranko czy ciastka z Paryża.

Ciastka z Paryża - powtórzył Sebastian.

Nie wiedział, co to Paryż, ale już sama nazwa, taka obca, zapowiadała jakąś nadzwyczajność.

Sam, z niesłychaną ostrożnością i uwagą, zaczął rozpakowywać pudełko z ciastkami, przewiązane przezlicznym kolorowym sznurkiem, zawinięte w szeleszczący papier, zadrukowany firmowym znakiem cukierni.

Patrzyli porozumiewając się oczyma ołsnioną radość dziecka, kiedy po długich zabiegach ukazały się wreszcie te nadzwyczajne ciastka - oblane prawdziwą czekoladą, obsypane migdałami, przybrane zielonymi listkami pistacji.

- Które mogę zjeść?

- szepnął Sebastian.

- Które chcesz.

- Ja chcę wszystkie.

- Ale może jednak po kolei.

Wybierz sobie najpierw dwa.

- Kiedy nie wiem, co znaczą.

Jak przynosisz ciastka z Texu, to zawsze wiem, co znaczą.

- Jaki mają smak - poprawił go od razu, ale nie domagał się od Sebastiana, żeby wyrażał się poprawnie, żałośnie śmieszna i niepasująca do tej chwili wydała mu się naraz jego prawnicza dokładność.

Anna nie zwróciła zresztą na to uwagi.

Nakładała już nawyjęty z kredensu talerzyk najbardziej okazałe ciastko.

- To z grzybkiem jest czekoladowe.

A to z tym białym- migdałowe.

- Co to- migdałowe?

-zapytał Sebastian.

- Mój Boże, Szymon - Anna zwróciła ku niemu głowę.

-Czy dajesz sobie sprawę, że nasze dziecko jeszcze nigdy nie widziało migdałów?

- Rzeczywiście -powiedziała beznależnego przejęcia.

Powstrzymał się od dalszych uwag, ale na szczęście tę najważniejszą zrobiła Anna sama,

uśmiechając się smutno:- Nie jest to oczywiście tragedia w latach, gdy miliony dzieci na świecie nie co dnia oglądają kromkę chleba.

Nie można jednak wziąć miza złe pragnienia, aby moje dziecko miało wszystko co najlepsze.

- Niczego nie można ci wziąć za złe, kochanie- powiedziała miękko.

157. Anna uśmiechała się wciąż z w smutnym zamyśleniu.

- Teraz tego nie rozstrzygniemy.

Teraz ichyban nigdy.

A bogaci ludzie są biedni - powiedziała po chwili - nie mają pragnień.

-Nie mają pragnień- powtórzył za nią.

-Anaszychna długonam starczy.

-O, na długo!

- Chcesz jeszcze jednociastko?

-zapytała.

- Chcę - Sebastian pochylił się nad paryskim pudełkiem obrzeżach wyklejonych papierową koronką.

-To z zielonym!

I tamto drugie.

-Jak myślisz, Szymon - Anna podniosła na niego oczy - nie zaszkodzi mu tyle ciastek?

- Daj mu, nawet jeśli miałyby mu to zaszkodzić - uśmiechnęła się.

Patrzył na nich oboje z ogrzewającą serce czułością.

Sebastian pochłaniał ciastka z podnieconym ciekawością apetytem, a Anna przysiadłszy naprzeciwko nie zdejmowała z niego oczu.

Wydała mu się pełną spokojnego szczęścia wilczycą, która wróciwszy w rodzinne łóżce, obserwuje swoje małe, pożerające przyniesiony przez nią łup.

A potem odbył się przymierzanie przywiezionych przez Annę rzeczy.

On dostał koszulę z modnym kołnierzykiem i jawnie paryską krawat.

Jak się pokaże w tym w sądzie - pomyślał, głośno wyrażając same zachwyty.

Niestety, Sebastian nie stać było jeszcze na dyplomację, od razu żywiołowo zaprotestował przeciwko aksamitnemu ubranku i białej bluzeczce o obszytych falbankami i mankietach, od wieków stanowiących wizytowy strój małych gentlemanów na Zachodzie.

- To dla mnie?

- spytał krytycznie.

- Dla ciebie, skarbie!

-promieniała wciąż radością Anna.

- W przedszkolu będą się ze mnie śmiać - wydusił z siebie Sebastian opuszczając głowę.

-Śmiać się?

Dlaczego?

- Bo tak nikt nie chodzi ubrany.

Klemens powie, że się wygłupiam.

Widziałem wreszcie tego Klemensa, chciał powiedzieć Annie, ale wydał mu się niewłaściwe obmawianie trzyletniego dziecka, do którego poczuł niechęć tylko z tego powodu, że od małego wykazywało zniewalającego syna siłę charakteru.

Anna zresztą sama się rozprawiła z tym mitem.

158-Co mnie obchodzi twój Klemens!

Nie chcę w ogóle słyszeć żadnym Klemensie!

- Wyobraź sobie - zdołał jednak wtargnąć ze to nazwisko, a nie imię.

- Wszystko jedno.

Anna utraciła całą swoją słodycz i promiennosc.

- Klemens i Klemens!

Mama przywozi z zagranicy takie śliczne ubranko i najważniejsze okazujesz, co jakiś Klemens na to powie.

- Boon na pewno coś powie - szepnął Sebastian przez łzy.

- W ogóle cię w nim nie zobaczy.

- Dlaczego?

- zaniepokoił się Sebastian.

- Bo w takim ubranku nie chodzi się do przedszkola, tylko na wizyty.

- Na..

co? - Na wizyty.

Jak pójdziemy do babci albo do stryja Alfreda.

- No, dobra!

- skapitulował z westchnieniem Sebastian.

- Mogę przymierzyć.

Anna była już bliska tego, żeby dać synowi klapsa, ale uznała najwidoczniej, że wieczór jest na to zbyt uroczysty, więc wrzuciła tylko ubranko z powrotem do walizki, nawet ją zamknęła.

- Dobra!

powtórzyła z krzywym uśmiechem.

- Przymierzysz jutro.

- Może byśmy położyli go już spać?

zauważył półgłosem.

Ale Sebastian słuch miał znakomity.

- Mnie?

- zaprotestował od razu.

- Nie chcę spać!

Jeszcze nie!

Anna spojrzała na zegarek i otworzyła telewizor.

- Obejrzyj "Dobranockę" i do łóżka!

- Do łazienki nie?

- Nie - zdecydował za nią dość ostro.

- Nie musisz się dziś kąpać.

- Dlaczego?

- Bo mama zmęczona podróżą.

- A ty?

- Ja także chciałbym się dziś wcześniej położyć.

Po tym haniebnym niepedagogicznym wybuchu wobec Sebastiana schronił się natychmiast w kuchni, dokąd już wybiegła krztusząca się odśmiechu Anna.

159.- Popisałem się!

- mruknął.

I znów zaczął ją całować, zachłannie stęskniony, z radością wyczuwając, że ona nie ma mu za złe jego gwałtowności.

- Zamknę drzwi - szepnął.

- Och, nie - zaprotestowała słabo.

- To byłoby okropne.

-Co..

okropne?

- Gdybyśmy przed nim zamykali drzwi.

-Wiele małżeństw tak robi.

- Ale my nie możemy.

My nie.

- Przepraszam.

Ale to dlatego.

to dlatego, że tak bardzo.

- Znowu sięcałujecie!

-Nie zauważyli, że Sebastian stanął w drzwiach kuchni, rezygnując z oglądania narysowanych przygód "Bolka i Lolka", które zwykła go pochłaniały.

Uwolnił Annę z swoich objęć, odwrócił powoli głowę ku Sebastianowi.

- Już ci mówiłem, że mamy niebyło tak długo.

-Mnietakże może czasem długo nie być - zakonkludował Sebastian swoją przedziwną, ale precyzyjną w wyrażaniu intencji stylistyką.

- Na razie nie grozi -burknął, a Anna zgromiła go spojrzeniem.

Reszta wieczoru upłynęła w namyślnym namawianiu Sebastiana, żeby pozwolił położyć się spać.

Ale trzymał się dzielnie.

Złościł się śmiało na przemian, a on śmiało się z nimi.

Wreszcie Anna wpadła na pomysł, żeby zrezygnować z tych usiłowań i pozwolić mu oglądać film - w nadziei, że znudzi się nim i zaśnie, wtulony między rodziców na kanapce przed telewizorem.

Film był resztą naprawdę nieciekawym, a głos lektora czytającego tekst tłumaczonych dialogów tak monotony, że przeraziła się, aby to Anna nie zaśnęła, zmęczona podróżą.

Ponad głowę Sebastiana położył jej dłoń na ramieniu.

- Nic mi nie mówisz o Cannes.

-Później ci wszystko opowiem.

Było cudownie.

- Wyobrażam sobie - bąknął.

-Co sobie wyobrażasz?

- Że musiało być cudownie.

-Już wystarczyłbyś pobyt w tej miejscowości, nawet gdyby nie było w niej festiwalu.

Bulwar, palmy i morze.

160- U nas też jest morze - zauważył Sebastian, nie przestając wpatrywać się w ekran telewizora.

Podzielna uwaga pozwalała mu śledzić równocześnie akcję filmu i rozmowę rodziców.

Był ubiegłym roku z matką na wybrzeżu i dobrze zapamiętał.

- Ale u nas morze jest zimne, a tam jest ciepłe - odpowiedziała Anna z westchnieniem, bo głos Sebastiana nie był wcale senny.

-Wieszco?

- ożywił się jeszcze bardziej.

-Jak w przyszłym roku pojedziemy do Sopotu, to weźmiemy ze sobą grzałkę podgrzeje morze.

- Dobra rada - roześmiała się Anna.

-Ty byś latwo z Sopotu zrobił Cannes.

Ale to chyba nie jest takie proste.

- Dlaczego?

-spytał Sebastian, odwracając głowę ku matce.

- Albo oglądasz film, albo rozmawiasz-zdenerwował się naniego.  
Rozchyliwszy szlafrok, który miała nasobie Anna, gładził jej kark i szyję, zanurzał palce we włosach.

Przytrzymała brodaję rękę, ugryzła ją leciutko.

- Co robiłaś wieczorami?

-Och, oglądałam filmy!

Wciąż oglądałam filmy.

Po kilkadziennie.

- Apotem?

-Co - potem?

- Co robiłaś po ostatnim filmie?

-Różnie.

Przeważnie były jakieś koktajle po pokazach.

- Musiałaś nie chodzić?

-Nie musiałam.

Chciałam!

- Anna mocniej ugryzła go w rękę.

-Bardzo chciałam!

Co ty sobie wyobrażasz?

Być w Cannes nie zaliczyć koktajlu w Pałacu Festiwalowym?

- Długo trwały te.

koktajle?

- Długo.

Czasem do rana.

- Do rana?

-W maju bardzo wcześnie robi się jasno.

- Tak, w maju bardzo wcześnie robi się jasno.

Czy. Tarłoi Sarpowicz również bywałina tych koktajlach?

- Oczywiście.

-Odprowadzali ciepotem do hotelu?

- Przeważnie.

-Co to znaczy - przeważnie?

161.- Bo czasem jechaliśmy gdzieś całą paczką, przecież poznałam mnóstwo ludzi.

-Ciekawych?

Zamyśliła się.

- Chyba tak.

Wielkie nazwiska w świecie filmu.

Ale to ci nie powie, nie twoja branża.

Czekał, że wymieni wreszcie nazwisko Soldiviera, a lenie zrobiła tego.

Nie wiedziała jeszcze, że polski dziennikarz wysłany do Cannes uznał pokazywanie się jej z Soldivierem za sukces i nie pominął tego faktu w swoich korespondencjach.

- Poznałaś tam więc mnóstwo ludzi?

-To pytanie zabrzmiało prawie tak, jakby mówił: - A więc oskarżona poznała tam mnóstwo ludzi.

-Anna nawet chyba tak to odebrała, bo wzruszyła nieznacznie ramionami, i- Chyba cię toniedziwi?

Po to przecież pojechałam do Cannes.

- Oczywiście - potwierdził, zły na siebie.

-Między innymi i po to także pojechałaś do Cannes.

Postanowił o nic już nie pytać i tylko czekał, żeby ona wreszcie powiedziała, czy wynikało coś z tego, że poznała tam mnóstwo ludzi, noszących w dodatku wielkie filmowe nazwiska.

Ponieważ jednak milczała, można się było domyślać, że albo chce coś ukryć, albo nie ma się czym pochwalić.

Gwałtowniej zanurzył palce w jej splecione na karku włosy, ale później pogładził je miękko. Pierwszą możliwością wznęcała w nim gniew i poniżającą go własny chęć zazdrość, druga budziła tkliwe współczucie dla Anny, która może naprawdę nie miała się czym pochwalić.

- Kocham cię - powiedział.

Odwróciła kuniemu twarz, uśmiechnęła się, przyłożyła palec do ust, wskazując mu oczyma uśpionego Sebastiana.

Zaniósł go do jego łóżka, rozebrał, a kiedy wrócił, ona czekała na niego.

W ciemności rozjaśnionej tylko smugą światła, bijącą od ulicznej latarni przez zasłonięte story, siedziała na brzegu posłania z dłońmi złożonymi na kolanach i czekała na niego niecierpliwie przyzywając, tak jak czeka się na człowieka, który dopełnia życie, który w ogóle czyni je możliwym.

Pomyślał, że musi być dobry, nie tylko teraz, po meksku, w tej wymagającej tego chwili, ale zawsze, we wszystkich ich zbliżeniach, itakże kiedy siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, i kiedy myślał o niej w ciągu dnia, 162 dobry - ponieważ ona chyba naprawdę, chyba naprawdę nie odniosła żadnego sukcesu w Cannes.

Wytapiając Wieczorek trzaśnięciem drzwi zawiadamiał cały blok, że opuszcza łazienkę wciąż szurając domowymi pantoflami udał się do kuchni na śniadanie.

Z radia, które zaraz w kuchni stworzył, buchnął sygnał porannej audycji.

Wszystko to oznaczało że on może jeszcze trochę poleżeć, wstawał dopiero wtedy, gdy Wieczorek trząsał drzwiami od mieszkania, a w chwilę potem od windy.

Sądzenie łoczyńców różnego autoramentu zaczynało się dwie godziny później niż wytapianie stali.

Pomyślał ze znużeniem, choć dzień dopiero się zaczynał, o sprawie, którą oddwóch dni miała wokandzie.

Był to proces poszlakowy, pełen niewiadomych, których rozwiązywanie nie zajmowało jednak tak, jak to sobie wyobrażał, pragnąc ich nieomal podczas ponurych i łatwych dlaskładu orzekającego spraw, gdyż brodniarze od razu cynicznie przyznawali się do czynu.

Teraz czyn trzeba było dopiero udowodnić jednemu z szajki lub kilku z niej, może nawet wszystkim, jak siedzieli w piątkę na ławie oskarżonych - a to po dwóch dniach procesu okazywało się coraz trudniejsze.

Prokurator, mając przeciwników pięciu obrońców, zaczynał się denerwować.

Podczas przerwy w rozprawie wyznał, że ma w zanadrzu nie przesłuchiwanego w śledztwie świadka i że od jego zeznań wiele zależy.

Nie dopytywał się, nie lubił zbyt wiele wiedzieć przed rozprawą.

Obowiązywało go tylko to, co naniej słyszał; reszta nie była materiałem dowodowym.

Przewidywał, że proces może się przeciągnąć do dwóch tygodni.

Przesłuchiwanym mnóstwo osób; zakład pracy, w którym dokonano zabójstwa nowego pracownika, należał w mieście do znaczniejszych.

Przy okazji śledztwa w sprawie morderstwa wykryto permanentne nadużycia, co było pierwszym sygnałem, kierującym do ciekawiana - być może - właściwy tor.

Przypomniało mu się to, co mówiła pani Wisia, sekretarka wydziału, o pracy w sądownictwie, o posępnym gmachu, w którym spędzali tyle godzin dziennie.

Nadwrażliwość kobieca, pomyślał, prawie ją nanią, że odważyła się przed nim na te zwierzenia.

Ale jednak kojąca wydała mu się świadomość, że Anna ma zawód tak piękny, ciesząc ludzi.

Postanowił ograniczyć przynoszenie akt do domu, żeby jego rodzina miała jak najmniej wspólnego z roz 163.

patrywani pod jego przewodnictwem sprawami zwłaszcza że Sebastian zaczynał się już interesować tym, co jest w tych książeczkach, i nieraz prosił, żeby mu coś z nich poczytać.

Czym zajmowała się matka, umiał już sobie jakoś wyobrazić.

Pracowała w teatrze, chodziła po scenie i ludzie na nią patrzyli, mówiła, i ludzie jej słuchali! I płacili za to pieniądze.

- Co robił cię trudnym byłoby tłumaczyć, więc raczej oboje z Anną unikali tego tematu.

Razusił go mu przybliżyć pojęcie sądu, ale zakończyło się to zgoła nieoczekiwanie.

- Jak ktoś coś zrobi źle, to tatuś mu wymierza karę - powiedział.

- Wymierza?

Czym?

- Tak się mówi.

Kiedy ty jesteś niegrzeczny, to mama tobie też wymierza karę.

Nie pozwala, na przykład, żebyś oglądał "Dobranockę".

- Mamy i tak niema w domu, kiedy jest "Dobranocka".

- Dał mi przykład.

Ale chyba nieraz karę nie dostawał deseru.

Sebastian zamyślił się, jakby w ogóle nie mógł sobie przypomnieć takiego zdarzenia.

- To było dawno - powiedział, rozciągając z lekceważeniem samogłoski.

- Teraz mama już tego nigdy nie robi.

Pokrzyczy już.

- Bo masz dobrą mamę.

A ja niemożę nakrzyczeć na tych złych ludzi.

- Dlaczego?

- To by było za mało.

Zamąłakara, rozumiesz?

- Nie - wyznał z satysfakcją Sebastian.

- Oni by się wcale tym nie przejęli, i znowu by źle robili.

Karamusi być dokuczliwa.

- Doku.

co? - Dokuczliwa.

Taka, żeby się nią martwili, żeby ją poculi.

- Spuść im łanie.

- A tego robić nie wolno.

A poza tym to by chyba także było zamął.

- To co się im robi?

Tym złym ludziom?

Zastanawiał się długo, jak to ująć.

- Nie pozwala im się chodzić na spacer powiedział wreszcie.

- Całkiem nie?

164 - Całkiem nie.

- Nawet jak jest słonko?

- Nawet jak jest słonko.

- I długo tak?

- To zależy od tego, co zrobili.

Jeśli coś bardzo złego, to długo.

Sebastian opuścił głowę, dumiał chwilę.

- Czasem bardzo chce się zrobić coś złego.

Przestraszył się.

- Co?

O czym ty mówisz?



- Bardzo chce się!

- Tobie?

Sebastian!

- Mnie i Klemensowi.

- Co chcecie zrobić?

- Chcemy Heńkowi odkręcić ucho.

Teraz on zamilkł na długo i patrzył z niedowierzaniem na swoje dziecko.

- Odkręcić ucho?

- Tak.

- Na litość boską!

Sebastian!

Dlaczego?

- Bo się przeżywa.

- Co to znaczy - się?

Siebie przeżywa czy was?

- Nas.

Najwięcej mnie.

- wyznał Sebastian cichutko.

- Jak cię przeżywa?

- Tak dziwnie.

Nikt nie wie, co to znaczy, ale wszyscy się śmieją.

- Jak cię przeżywa?

- Artysta.

Artysta, mówi na mnie, ten artysta.

Ale jak mu odkręcimy ucho.

- Sebastian!

Ależ on nie mówi niczego.

I z tego powodu chcecie mu odkręcić ucho?

Przed wszystkim nie wolno samemu wymierzać kary.

Od tego właśnie jest sąd, a w waszym wypadku - poprawi się zaraz - pani przedszkolanka.

Musicie z tym pójść dopani.

- Ee tam - Sebastian wzruszył ramionami - zaraz do pani.

My to samiz Klemensem załatwimy.

- Anisę ważcie.

Najlepiej będzie, jeśli ja sam z panią porozmawiam.

Na czółku Sebastiana ukazała się pionowa zmarszczka.

165.- Nie - szepnął.

- Dlaczego?

Dawno nie rozmawialiśmy z panią na twój temat.

- Nie!

- zaprotestował gwałtowniej Sebastian.

- Klemens jużby nie chciał się ze mną bawić.

- Bo co?

- Powiedziałby, że wszystkowi klepałem.

- Powiedziała statusiowi, to wcale nie znaczy, że wyklepałeś.

- Wyklepałem!

Wyklepałem!

- rozbeczał się Sebastian.

- O tym Heńkowymuchu miał wiedzieć tylko Klemens i ja.

Zaczynały się więc już tajemnice przedrodzicami, ukrywanie przed nimi myśli i zamiarów, dzielenie ich z kimś, kto był ważniejszy i bardziej godny zaufania niż ojciec matka. Patrzył zezgrozą na coraz gwałtowniej kłającego Sebastiana i ani myślał go pocieszać. Po raz drugi w ciągu ostatnich dni pomyślał o dzieciństwie ludzi, których oglądał na ławie oskarżonych.

Od jakiego momentu zaczęli ku niej dążyć?

Czy było możliwe w tym zbliżeniu przeszkodzić?

I kto ponosił winę zaniechanie pomocy czy interwencji?

Ostrożnie, żeby nie zbudzić Anny, odrzucił kołdrę i zsunął się tapczanu.

Żał mu się zrobiło Sebastiana, przypomniana teraz rozmowa sprzed kilku dni wydała się krzywdzącym pomieszaniem jego dzieciennych spraw ze sprawami dorosłych ludzi.

Podszedł do łóżeczka syna, dotknął delikatnie jego czoła, żeby sprawdzić, czy nie jest gorące, naszcześnie jednak to nie choroba, lecz wspaniałe zdrowie barwiło policzki Sebastiana czerwienią jabłuszka.

Spał w kwiecistej piżamce, skopawszy w dół kołdrę - rozgrzani śliczny - ufny wobec wszystkiego, co go otaczało w tym domu.

Zatrzymać czas!

- pomyślał.

O, Boże!

Jak wspaniale by było, żeby człowiek mógł zatrzymać czas w najlepszych momentach swego życia.

Aby tym dwóm istotom, które kochał, udowodnić i niejako naocznie swoją miłość - ugotował płatki Sebastianowi - ponieważ musiał je zjeść przed wyjściem do przedszkola.

Annie - gdyż bardzo nie lubiła ich gotować.

Cieszył się, że śpi, nie wprzęgnięta jeszcze w kołową rękawicę całodziennych zajęć; już od jutra będzie się zrywać razem z nim, z zegarkiem w ręku odliczając kolejne obowiązki: poranne zakupy, przygotowywanie śniadania, odwożenie Sebastiana do przedszkola, próba w teatrze, południowe zakupy, przywożenie Sebastiana z przedszkola, gotowanie obiadu następnego dnia, przygotowanie kolacji, przedstawienie w teatrze, powrót do domu około 22.00, czasem później, gdy nie było już pieniędzy na taksówkę, a tramwaj czy autobus uciekł przed nosa.

Wśród okłasków schodząca z sceny, już za progiem teatru zapadała w szarość swojej egzystencji, w którą zapewne nie chciałby wierzyć żaden widz.

Może nawet czułby się zawiedziony, że jego zachwyt nie wywyższa aktorów, nie zabezpiecza im życia lepsze niż powszednie.

To lepsze życie zabezpieczał dziś Annie on, jej maż - ugotowanymi płatkami, zagotowanym mlekiem, przyniesionym ze sklepu pieczywem, posprzątaną kuchnią.

Stojąc w jej drzwiach podziwiał przez chwilę z dumą nad w niej panującym i nie dopuścił do siebie myśli, że Annie, być może, nie wydasię to godnym jej darem.

Włożył kurtkę, otworzył cicho drzwi i jeszcze ciszej je zamknął, z windy nie skorzystał, gdyż jej zatrzaśnięcie słyszałbył całym blokiem.

Pogwizdując zbiegł po schodach i zanurzył się?

w blask majowego ranka.

Anna leży jeszcze przez chwilę, sama przed sobą udając senność.

Tak naprawdę, to nie śpi od momentu, kiedy Szymon wstał tapczanu, ale nie chciała przyznać się przed nim do tego, bojąc się, że znów zacznie ją o coś pytać.

Wolała wkroczyć w pierwszy po powrocie dzień ze wspomnieniem nocy, a nie z niepokojem obudzonego zachowaniem.

Ma za trzy godziny zagrać w teatrze Ewkę Zabiełto, powracającą z Cannes!

Musi się zmobilizować, musi przybrać twarz w spojrzenia i uśmiechy z daleka głoszące zwycięstwo w tę nabytą zagranicą, wśród obcych, pewność siebie, której tutaj, wśród swoich, takiej zawsze brakowało.

Zrywając tapczanu, otwierana ościeższafę i zastanawia się długo, co na siebie włożyć.

Wybór pada na białą letnią suknię?

(choć na dworze chyba jeszcze nie upał), która najbardziej korzystnie ujawni jej canneńską opaleniznę.

Potem, osłoniwszy włosy nylonowym kapturkiem, bierze prysznic, wklepuje w twarz, dekolt i ramiona dobry krem, nie bez przyjemności przyglądając się sobie w lustrze.

Rozchyła wargi, wyszczerza zęby, prezentując się olśniewająco.

Co mówili wszyscy panowie w Cannes?

Pani nie zniewałający uśmiech, mówili wszyscy panowie w Cannes, więc Anna uśmiecha się zniewałająco do lustra, w końcu parska śmiechem.

chem i narzuciwszy płaszcz kąpielowy wkracza wreszcie do kuchni, już z przyspieszeniem na myśl, że musi zaraz zabrać się.

Nie musi.

Tak jak wczoraj na widok wysprzątanego mieszkania, śmieje się teraz znowu, ubawiona i wzruszona, patrząc na garplątków nagotowanych dla Sebastiana, nadymiące jeszcze mleko, na czajniczek z herbatą, naciągającą na parującym wrzątku.

Co to się stało?

- zastanawia się.

Chyba od dwóch tygodni myśląc Szymonie ani raz nie nazwał go Paragrafem.

A w teatrze, gdy wszyscy od razu pytają o Soldiviera, Anna uśmiecha się z leciutkim pobleźaniem.

- Zabawny facet - mówi.

("Zabawny facet" o Soldivierze, wielki Boże!

) - Nie można się nudzić w jego towarzystwie.

I jakimiły dłapań!

- Tego jestem pewny - mruczy Sewercio Bobrowski.

Wróżdźko! Najbardziej dajemy się weznaki na wiosnę, więc jest gryźliwy nawet wobec Anny.

Odciąga ją na chwilę nabok, palcami dotyka jej opalonego ramienia, jakby badał gatunek skóry.

- Przyznaj się, Hanka.

Przespaliśmy tym Soldivierem?

Anna nie obrażając się, nieraz sobie tak z Sewerciem gawędzi, więc i teraz mówi, nachylając się do jego ucha: - Wyobraź sobie, że wcale tego nie chciałem.

Sewercio zdejmuję palce z jej ramienia.

- Jest gorzej niż myślałem - mruczy.

- Kobieta nigdy nie wybacza tego mężczyźnie.

XI - Ona jest piękna.

Aleniczek poza tym - mówi za plecami Anny jakiś męski głos.

A drugi pyta: - To mało?

Mnie by wystarczyło.

- A ja bym się bał.

Taka żona to jak bomba w domu.

Nie można być pewnym dnia ani godziny.

- Znam faceta, który ożenił się z brzydulą, a dom aż się trząsł od wybuchów.

168 - Można lubi?

- Przyzwyczał się.

Anna odwraca głowę i zerkanieznacznie pozasiebie.

Rozmowę tę wiedzedwóch młodych ludzi, prawdopodobnie kolegówpana młodego. Na ślubEwki Zabięło z Olkiem Tereszkiewiczemzbiegli się nie tylkoaktorzy, ale i całamalująca Warszawa, przyjaciele plastycy, profesorowie Akademii, nawetstudenci, podopieczni Olka, który mimo wzrastającejsławy nie zrezygnował asystentury u swego profesora.

Studentki na znak żałoby (chybaniezbyt taktownie) pozmianie stanu cywilnego pedagoga, liczącego się w planach niezupełnie artystycznych każdej z nich - przewięzałyczowało czarnymi aksamitkami.

Taki byczek,myśliAnna,patrzac na kark pana młodego w przyciasnym nieco kołnierzykubiałej koszuli, mógł rzeczywiście czynić spustoszeniewśród tychsmarkul.

Furioso - nie wiadomo dlaczego przychodzi jej na myślto muzyczneokreślenie - w łóżku musi zachowywać się furioso:w jego malarstwie także jest coś porywczego i gwałtownego,można było nie zachwycać się tymszaleństwemkształtów i barw,ale każdy musiałpoczućsię nimzaatakowany, tojuż wiele w sztuce, która zawsze ma do pokonania przede wszystkim obojętność.

Ewka miała odtąd królować nawernisażach męża i jego przyjaciół,bardziej godna oglądania niż ich dzieła.

Annamyśli o tymbez zazdrości; naprawdę lubi Ewkę,która przez dwa latapodczasstudiów wWyższej Szkole Aktorskiejmieszkałanawet w domujej rodziców itraktowana była przez nich jak drugacórka; małeułuciew sercu czuje tylko na widok tak pochopnie odsprzedanejkreacji Mody Polskiej, wspanialezdoświadczającej teraz Ewkę w uroczystym dlaniej dniu.

Powraca żal,że niemiała jej wCannes, żenie pokazała się w niej wCannes, czasem dobre nogi, gdyje widać w całości, znaczą więcej niż talent; niebyłoby MarlenyDietrich,gdybynie wyeksponowanojej nóg w słynnej pozie nabeczcew"BłękitnymAniele"; przed projekcją "Zdobywaniaświata" powinna była stanąć na tleekranu w tych zaprojektowanych dla niejkusych spodenkach, tego roku nie było w Cannes anijednej aktorkiw tak szokującym stroju.

Anna wstydzi się tychmyśli,ale nie ma siły, żeby nie ulegać ich prymitywnym racjom.

- Mama!

-szepcze Sebastian donośnym dziecięcym szeptem.

- Kiedy pójdziemy dodomu?

-przytulony do biodra matki, bar169.

dzo uroczą się wygląda w swoim zagranicznym aksamitnymubrankui oko kameryK-roniki Filmowej zatrzymuje się na nimdłużejniż na którymkolwiek z gości.

Dopiero później kamerzystazaauważa Annę i umieszcza ją również w kadrze, żeby wszyscywidzieli, kto jestmatkąatakuroczego malca.

Ten incydent podnosi Annę nieco naduchu.

Miliony widzóww całym kraju zobaczą ją zSebastianem, jaka szkoda, że Paragraf.

O Boże,znów i już Paragraf!

Jaka szkoda, że Szymon maakurat wizję lokalną i nie może być tu razem z nimi.

- Mama!

-powtarza corazgłośniejsze Sebastian.

-Kiedy pójdziemydo domu?

- Niedługo!

Ibądź cicho!

Tu niewolno mówić!

- Ata pani!

-Sebastianzwraca wymownei potępiającspojrzeniena panią,kończąc właśnie swoje przemówienie do nowożeńców.

- Tej pani wolno.

Itylko jej.

- A co ona ma na szyi?

Taki łańcuch?

- W domu ci wytłumaczę.

Ślub Ewki i Tereskiewicza odbywa się w poniedziałek, który jest dniem wolnym od zajęć w teatrze; na poniedziałek Sebastian czeka przez cały tydzień, ponieważ ten dzień spędza zawsze z matką - nie można więc było pozostawić go pod opieką pana Feliksa, musiał być na ślubie, i weźmie także udział w weselnym przyjęciu, a niektórzy udają się wprost z Urzędu Stanu Cywilnego do pracowni pana młodego.

Przyjęcie wprawdzie ma być krótkie, bo za jutro państwo młodzija do Rzymu, ale Anna wyobraża sobie, jak zmęczy się Sebastianem, nudzącym się w towarzystwie dorosłych.

I znowu nieprzychylna dla Szymona myśl, że gdyby nie ciągnął w nieskończoność tej swojej wizji lokalnej, mógłby się wreszcie tu zjawić i przejąć część rodzicielskich obowiązków.

Następuje moment składania przysięgi przez nowożeńców, głos pana młodego brzmi triumfująco, sopranik Ewki także pobrzmiwając wycięskaną, tylko obydwie mamy płaczą - w przekonaniu jednej, tej z Łowicza, wychowanej w cieniu kolegiaty i nie opuszczającej żadnej z kościelnych procesji, aktorka nie była w ogóle materiałem na żonę, druga, ta z Siedlec, dumna z rzetelnych chłopskich tradycji swojej rodziny, nie wyobrażała sobie artysty malarza w roli męża.

Niechby był doktor, myślała, albo inżynier, w stateczności adwokata albo sędziego, dodawała w myślach, spoglądając na Annę.

W krawieckiej firmie pradiadka, dziadka i papy Zabiełtów przedstawiciele tych zawodów byli najlepszymi liczącymi się klientami.

Wprawdzie Olek Tereskiewicz dostawał za jeden obraz wysłany do USA - gdzie miał stryja dbającego o jego własne interesy - okrągłe pięćset dolarów, to jednak nie satysfakcjonowało teściowej.

Ceniła dochody stałe i pewne; raz mu kupi obraz, raz nie, myślała, co będzie, jak w ogóle przestaną kupować?

Ale po zakończeniu ceremonii mało nie zadusiła zięcia w swoim potężnym uścisku, a mama z Łowicza długo obcałowywała drżąco swój makijaż Ewki.

- Podaj kwiatki cioci Ewie - Anna popycha Sebastiana ku nowożeńcom - i powiedz, że jej życzyś wszystkiego najlepszego.

- Czego.

- Wszystkiego najlepszego - tak się mówi: wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia.

- A ciocia gdzieś idzie?

- Nigdzie nie idzie, powtarzam ci, że tak się mówi.

- To śmieszne!

- Sebastian parskała salkę Urzędu Stanu Cywilnego.

- Cicho bądź!

I już najlepiej nic nie mów.

Podaj tylko kwiatki.

- Niech ciocia dobrze idzie na tej drodze - mruczy pod nosem Sebastian, nadstawiając niechętnie policzek, który Ewka całuje wroztargnieniu.

Tereskiewicz poświęca mu więcej uwagi.

Chwyta potężnymi dłońmi i unosi wysoko w górę.

- Cóż za wspaniały kawaler!

- woła do Anny.

- Jeśli będzie miał ochotę namalować portret hiszpańskiego infanty, poproszę cię, żeby mi pozował. Furioso!

- myśli po raz drugi Anna, patrząc na czarne, szerokiebrwi malarza, zrosnięte nadwydatnym nosem.

Inie wiadomo, czy współczuje, czy zazdrości Ewce; cudze śluby przywołują zawsze na pamięć ślub własny, noc poślubną, która przeważnie w współczesnej obyczajowości nie jest jednak pierwszą.

Możetoi szkoda, myśli Anna, chwytając znów za rękę Sebastiana, postawionego wreszcie na ziemi przez Tereszkiewicza.

Wokół młodej pary robisz coraz większy tłok.

Na pewno szkoda.

Gdyby oni i Szymon nie byli tak niecierpliwi, na pewno pamiętałyby lepiej tę pierwszą noc, którą spędzili razem jako małżeństwo.

171- Mama!

- zaczyna znów Sebastian.

- Pójdziemy potem do Texu?

- Nie.

Najpierw pojedziemy do pracowni tego pana, cocię podnosił do góry, a tam będzie mnóstwo dobrych rzeczy dojedzenia.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

cicho bądź!

- Dlaczego mam być wciąż cicho?

- Sebastian niebezpiecznie wygina w podkówkę dolną wargę.

Itylko ja.

Teraz wszyscymówią.

- Alenie tak głośno.

- A szyneczkatam też będzie?

- Pewnie tak.

- Ja będę jadł tylko szyneczkę.

Tak? Mama?

Anna wie od Ewy, że o przyjęcie weselne zadbały obydwie teściowe.

Wprawdzie było to zwyczajowym obowiązkiem matki panny młodej, i stanęła ona na wysokości zadania, zwożąc z Siedlec przy pomocy rodziny kilka waliz wspaniałego jedzenia - ale mama spod kolegiaty łowickiej nie zamierzała pozostać w tyle.

Anna bez obaw niespełnienia może więc obiecać synowi: - Będziesz jadł tylko szyneczkę.

Ale możesz wybrać sobie coś lepszego.

- Nie ma nic lepszego - stwierdza Sebastian po zastanowieniu.

Kiedy ostatni gość wyczołował już Ewkę i wyściskał pana młodego - wszyscy ruszają do samochodów.

Annę prowadzi do swego wozu profesor Olka, starszy, niedbale ubrany pan, znany z tego, że bardzo lubi młode, ładne panie.

- Słoneczko!

- mówi.

- Niechże pani siada przy mnie.

Ogrzeję się trochę przy pani.

- Zimno panu profesorowi?

- żartuje Anna.

- Och, kto mówi o temperaturze?

- Właśnie.

To by było dziwne, dzień taki piękny.

- Idłatego dla dopełnienia zapraszam panią do samochodu.

Żeby był jeszcze piękniejszy!

Annauwielbia takie rozmowy.

Bardzo pragnie, żeby mężczyźni ją zauważali, adorowali, żeby iskrzyły im siędziej oczy, żeby jeszcze liczyła się, choćwokoło było tyle wspaniałychdziewcząt.

Przechyla głowęku starszemu zaniechanemu panu,który jednak na pewno znasie na kobiecejurodzie, i uśmiechasiędo niego,jak domłodogo chłopca.

- Zapamiętamto,panie profesorze.

-Ja! - wrzeszczy Sebastian.

- Jasiadam z przodu!

Profesor jakbygo dopiero teraz zauważył.

Wsuwa dłoń w jegoczuprynę, tarmosi ją leciutko.

- Na szczęście przepisy tego zabraniają.

Dzieci nie mogą jeździćna przednim siedzeniu.

-Ja chcę!

- Jak ty się odzywasz?

-zawstydzagoAnna.

-Nie wolno,i koniec.

Chcesz, żebymilicja drogowa spisałaprotokół panuprofesorowi?

- To bybyło fajnie!

-rozpromienia się Sebastian.

- Pojedziesz natylnym siedzeniu.

-Z mamą!

- No, dobrze- uśmiecha się z rezygnacją profesor.

-Mamapojedziesz tobą.

-I jeszcze raztarga czuprynkę Sebastiana.

- Maszrację, pilnujemy!

Pilnuj swojej ślicznej mamy, tata będzie ci zato wdzięczny.

A gdzież szanowny małżonek?

-zwraca się do Anny.

- Ma akuratdziś wizję lokalną, pewnie się przeciągnęła.

-Wielkie nieba!

Prokurator?

Sędzia?

- Sędzia.

-No i proszę, proszę.

- mruczy profesor, gdy już ruszająsprzed Urzędu Stanu Cywilnego.

-Niby pogrążony w tychswoich kodeksach iwyrokach, a jednak potrafiłwypatrzyćiporwaćnam sprzed nosa takie dzieło sztuki.

Nigdy nie dowierzałemprawnikom.

Anna śmieje się, co profesor musi widzieć w swoimlusterku.

- Dobrze mitu jest - mówi.

-Gdzie?

- pyta starszy pan.

-Tu, upana profesoraw samochodzie.

Profesor nie odstępuje również Anny i na weselnymprzyjęciu,choć młode malarki istudentki usiłująwcisnąć sięmiędzy nich.

Pomaga jej karmić Sebastiana, co naprzyjęciu a la fourchette jestnieco utrudnione.

Nakłada natalerzyk soczysteplastry szynki,kroina mniejsze kawałki i wkłada mu je w otwarte usta.

- Sam pan profesornic nie zje - upomina Anna.

-Zdążę.

Najpierw napchamy tego małego smoka.

173- Nie chcę być smokiem!

- protestuje Sebastian z pełnymi ustami.

- Jedz!

Jak długo pan profesor będzie tu sterczał nad tobą?

Inni goście wszystko zjedzą i idlaniego nic nie zostanie.

Sebastian unosi się na palcach i wcisnąwszy głowę między dwie postacie zasłaniającemu widokna rozległe płaszczyzny obficie zastawionych stołów, stwierdza uspokajająco:-

Jeszcze wszystkiego nie zjedli!

- I to ma być kryzys!

- mówi profesor, nGoście wśród śmiechu podejmują ten temat, zmuszając obie mamy do wyznań, w jakis sposób oszukały system kartkowy.

Taz Siedlec zamówiła na wsicategowieprza, taz Łowiczaciele.

Niemówiąc o taktwie i rybach wszelkiego rodzaju.

- Jedną mam córkę - pani Zabięło unosi niespodziewanie chusteczkę do oczu - i raz jej wyprawiam wesele.

- No niewiadomo - stwierdza ktoś donośnym szeptem.

Jest to jeden z tych malarzy, którzy szeptali za plecami Anny w Urzędzie Stanu Cywilnego.

- Niewiadomo.

Pana młodego w wyraźny sposób puszcza poczucie humoru, typie kudo w cipi niosiowi oburzonym okiem i pomija go napełniając kieliszki.

- I tak już za dużo wypieś.

- Od dawna obiecywałem sobie, że upiję się na twoim weselu.

- No i już tego dokonałeś!

- Boże!

Co też potrafisz zrobić z człowiekiem, kiedy się ożeni?

- wzdycha młody malarz.

Profesor chwytając go za ramię i odciąga pod okno, gdzie śmieją się obydwaj, ale już przyciszonymi głosami.

W pracowni robi się coraz gwarniej i coraz cieplej.

Słońce, wpadające przez ogromne okno przebudowanego przez Olka poddasza, przypiekając w lipcu.

Panna młoda, zrzuciwszy swój przezroczystry płaszcz, olśniewa wszystkich nagimi plecami, tylko obydwie mamy ledwie kryją się z dezaprobatą.

- Ja to bym chciała - mówi pani Zabięło do Anny - żeby Ewka miała suknię jak Pan Bóg przykazał.

Białą, długą, pozapinaną pod brodę.

- Zwłaszcza - teściowa Ewki, czując się upoważnionym wystąpieniem matki pannymłodej do własnej krytyki, dodaje zezgrozą - zwłaszcza że mają być w Rzymie u papieża.

174- U papieża?

- zdumiewa się, ale jednak w olśnieniu, mama Zabięło.

- Oleczek nic nie mówił?

- Pani Tereszkiwiczowa, szczęśliwa i dumna, że jest tak dobrze poinformowana co do zamiarów syna, ścisza głos: - Wiecie Ojcu Świętemu obraz, więc spodziewa się, że go razem z żoną przyjmie.

Piękny obraz - dodaje jeszcze intymniej - przedstawiający ołtarz na Placu Zwycięstwa, przy którym papież podczas bytności w Warszawie odprawił mszę świętą.

Jest noc, plac opustoszał, domy cofnięte jakby w cień i tylko ten ołtarz jaśnieje.



- Ależ mamusiu - z lekkimrozbowieniem wtrąca Ewka - Olek bardzo nie lubi, kiedy opowiadasię jego obrazy.

- A czyja co opowiadam?

Mówi?

tylko o tym, co widać.

- Wracając do sukni - pani Zabięło pragnie zażegnać niebezpieczną wymianę zdań między matką a żoną malarza; wie, że oddzisiejszego dnia obydwie zaczynają walczyć o swoje racje.

- Wracając do sukni.

Ja bym wołała.

- Nieważne, co by mama wołała przynajmniej wobec własnej matki Ewka może być bez skrępowania niegrzeczna.

- Przecież postanowione, że w Rzymie będę w białym kostiumie.

A w ogóle nie będziemy wspominać, że jesteśmy parą nowożeńców, skoronie mamy ślubu kościelnego.

Obie panie, ta z Siedlec, a zwłaszcza ta z Łowicza, spod kolegiaty, milkną jak rażone gromem.

W ferworze przed weselnymi przygotowań zapomniały o zadrzęgłęboko tkwiącej w ich sercach: ślub cywilny bez kościelnego.

Bezkościelnego!

I kiedy sobie to przytomniają, cała pracownia, pełna tak znakomitych gości, wydaje im się jakimś krańcowym nieporozumieniem, niegodnym żartem, jaki zrobili im młodzi.

- Mama!

Ja chcę spać - w najbardziej odpowiednim momencie odzywa się Sebastian.

- Co ty mówisz, moje dziecko?

- niedośłyszawszy, że zgroząpyta pani Zabięło.

- Spać!

- powtarza, tym razem z nieskazitelną dykcją Sebastian.

- W przedszkolu wszyscy śpimy po obiedzie.

- Musimy wracać do domu - zrezygnacją stwierdza Anna, znów i coraz bardziej wściekła Szymona, że nie pojawił się jeszcze, choć słońce sunęło już po dachach kamieniczek Nowego Miasta ku zachodniemu skrajowi nieba.

175- Mowy nie ma - protestuje Ewka.

- Zaraz powiem Olkowi, żeby go gdzieś ułożył.

Ma tu na strychu takie różne kąty.

Tereszkiewicz zjawia się posłusznie i tak jak w Urzędzie Stanu Cywilnego unosi Sebastiana wysoko w górę.

- Chciałbym mieć takiego syna - mówi patrząc czule na żonę.

Nie przeszkadza mu to od razu chwycić Anny w objęcia, gdy tylko Sebastian zasypia na zakurzonej kanapie pod stromym dachem stryszku.

- Oszalałeś!

- odpycha go, zaskoczona.

Malarz ziejgorącym, przesyconym alkoholem oddechem.

- Pozwól się pocałować.

Jeden raz!

Masz usta.

- Stale mi to mówiono w Cannes.

- Że co.

- Tereszkiwicz nie uwalnia Anny ze swoich ramion.

Jego oczy, widziane z bliska, mają ogromne, błyszczące źrenice.

- Żemam zniewalający uśmiech.

Znienawidziłam to.

- Ale ja ci tego niemówię.

Ja chciałam.

Nie wiem jak ci faceci w Cannes, jachcę.

Twarde wargi malarza spadają na uciekające od pocałunku usta Anny, miażdżą je i gnioją.

Furioso!

- myśli znowu, teraz już prawie przerażeniem, które jednak jest równoczesnym odkryciem, jest równoczesnym odkrywaniem słabnącego oporu własnego ciała.

Ponieważ to dopiero budzi w niej prawdziwy strach, odpycha w końcu napastnika i uskakuje w pobliże kanapki, na której sspi Sebastian.

- Powiemo wszystkim Ewce idaći popysku w sam dzień ślubu.

Tereszkiewicz przesuwając dłonie po twarzy, zatrzymuje ją na oczach.

- Przepraszam.

To dlatego, że jestem taki podniecony.

- Zachowaj podniecenie na podróż poślubną.

- Och, będziemy wciąż łączyć po Rzymie i pewnie już na nic innego nie starczy nam siły.

- Niesądzę - mruczy Anna.

Malarz przysiadł na kanapce, złożywszy nogi uśpionego Sebastiana na swoich kolanach.

- Pozwolisz, że tu odpocznę?

- Ależ jesteś siebie.

176- Teraz u ciebie.

Oddałem ci ten kąt i jestem twoim gościem.

Śpi tu twój syn i szczerze mówiąc, miałbym ochotę wyciągnąć się koło niego.

- Obudzisz go.

- Nie zrobię tego.

Wiesz - wcale nie chce mi się jechać do Rzymu.

- Oszalałeś!

Mówię ci to drugie raz.

- Nie.

Naprawdę.

- To nie jedź!

- Ale obiecałem Ewce.

I wszystko załatwione, bilety, hotel.

Wiesz - Tereszkiewicz zamyśla się przez chwilę - ile razy jestem w Rzymie, zatrzymuję się w tym samym hotelu.

Skromne maleństwo, ale gdzie położone!

Przy cienie wąskiej uliczki w połowie drogi między Colosseum a Forum Romanum.

I kilkaset metrów od pasaży "Mojżesza" Michała Anioła w kościele S.

Pietro; zwykle wstawałem rano i szedłem najpierw powiedzieć mu dzień dobry.

- No i tym razem też to zrobisz.

- Właśnie tego nie jestem pewny.

Zwykle w Rzymie bywałem sam.

Dostawałem jednoosobowy pokój z widokiem na małe patio, ozdobione jakimś marmurowym piersieniem bez nosa i szczątkiem kolumny obrośniętej bluszczem, teraz pewnie pokój będzie miał inny, bo dwuosobowy.

- I co z tego?

- No, nie wiem.

Ale jakoś nie cieszę się tym wyjazdem, jak wszystkimi poprzednimi.

- Oszalałeś!

- mówię ci to po raz trzeci.

Nie powinieneś pić alkoholu, głupiejesz po wódce.

- Przeciwnie.

Nabieram ostrości spojrzenia.

Czy myślisz, że tak łatwo rezygnuje się z samotności?

- Jeśli tak trudno, to zawołajmy tu Ewkę, powiedz jej wszystko, najpewniej naprawdę, choć za co innego, dostaniesz po pysku i ona zgodzi się na unieważnienie małżeństwa, zwłaszcza że jeszcze jest non consummatum!

- Consummatum, moja droga.

Od dawna consummatum!

Wybuchają obydwoje śmiechem, aż Sebastian, na szczęście rozbudzony do końca, porusza się na kanapie.

- Ależ ja ją kocham, co ty sobie wyobrażasz?

Kocham Ewkę, cudowną dziewczyną.

Ale tak samo kocham moją wolność i dlate 177.

Choć tak trudno mi pogodzić się z tym, że podczas tej podróży stracę dlaniej, stracę przez nią Rzym.

- A nie potrafisz wyobrazić sobie, że mógłbyś go jej ofiarować?

- Och, nie wiem, niewiem.

- Niebredź.

Zyskując, zawsze się coś traci.

Wracaj do gości.

Ja tu jeszcze posiedzę.

Sebastian często budzi się zaraz poza snem.

Narobiłby wrzasku.

Tereszkiewicz podnosi się niechętnie i niespodziewanie nówcałuje Annę w usta, ale zaraz się wynosi ze stryżku niedomykając drzwi, także słychać tu wszystko, co dzieje się w pracowni, tylko wizję trzeba sobie wypracować wyobraźnią.

Oto pan młody, prawdopodobnie, żeby usprawiedliwić swoje zniknięcie, wynosi skądś z zaplecza magnetofoni zapowiada prezentację najlepszych swoich nagrań.

- "Andaluza" Enrique Granadosa - obwieszcza - w wykonaniu hollywoodzkiej orkiestry.

Brawa, które się zrywają po tej zapowiedzi, nie pozwalają Annie dosłyszeć, jaka to orkiestra gra "Andaluze", a gracudownie słuchając jej z przymkniętymi oczyma można oddalić odsiebie wszystko, co niegodne jest tej chwili.

Anna, przytuliwszy się do Sebastiana, zapada w zachwycony półsen, który z całego świata wyodrębnia tylko muzykę, wszystko inne cofając w ciemność i nieistnienie.

Kiedyś, jeszcze w szkole, ucząc się strof "Pana Tadeusza", zaczęła modlić się i dziękować Panu Bogu, że stworzył Mickiewicza.

Później wydało jej się to śmieszne i egzaltowane, ale teraz nagle zapragnęła podziękować Panu Bogu, że stworzył Granadosa i że pozwolił mu skomponować "Andaluze".

Chyba się upiła - myśli, gdy Olek Tereszkiwicz puszcza taśmę Sinatrę, bo i za Sinatrę chce jej się dziękować Panu Bogu.

Ale jasność umysłu temu zaprzecza, więc nie upiła się, tylko jeszcze i teraz, jak za młodych lat myśli, że trzeba dziękować Panu Bogu za artystów, za to, co stworzyli i dali innym ludziom, że byc, ich zachwyć i ucieszyć, ponieważ przynajmniej część duszy została stworzona na przyjmowanie piękna.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - mówi ktoś niepokojąco zbliżając się.

Anna otwiera oczy, unosi się gwałtownie, potarćając Sebastiana, który jednak, objęty szynką, śpi dalej, posapując cichutko.

178 - Nie przeszkadzam?

- pyta jeszcze raz łysiuteńki młodyczłowiek, przysiadłszy na drugim krańcu kanapki.

Znam skądś faceta -myśli Anna,ale nie może sobie przypomnieć,gdzie i kiedyjuż z nim rozmawiała.

Tymczasemintruśadowi się coraz wygodniejsza kanapce, wzniecając obłoki kurzuzezwójów płótna, którepodkłada sobie pod plecy.

- Te przyjęcia a la fourchette są jednak męczące.

-Tak- bąka Anna.

- Zwłaszcza gdy stół jest tak obficie zastawiony.

-Właśnie.

Mój syn, jak pan widzi, poległ w tej nierównej walce.

- Pani syn.

Kiedy pani zdążyła.

Przepraszam, widzę panią wciąż jako tragiczną,ale jednak wiośnianą Antygonę.

- Czyżbym się tak bardzo zmieniła do tej pory?

-pyta Anna manifestacyjną ochotą obrażenia się za tę niezręczność - i w tej chwili uświadamiasobie, że ten młody człowiek, z którym rozmawia, jest znanym krytykiem, a w dodatku bardzo dla niej laskawym w swoich recenzjach.

-Och, nie.

Nie to miałem na myśli.

Tylko prywatna rola matki.

- Antygonę grałam zaraz po szkole.

Cieszę się, że pamięta pan to przedstawienie.

- Wyjątkowo dobrze.

To była "Antygona" taka, jaką Sofokles napisał.

Budzi we mnie sprzeciw posługiwanie się tekstem autora dla podkreślenia jakichkolwiek aktualności.

Jeśli reżyser jest za, czy przeciw - niechże to sam stara się napisać, nie mieszając Boguducha winnych klasyków wrogrywki dzisiejszego dnia.

Anna bardzo nie chce się narazić swemu sąsiadowi na zakurzonej kanapce, ale jednak nie może się z nim zgodzić:- Istnieją sytuacje, kiedy właśnie "za", czy głównie "przeciw" można wyrazić tylko interpretacją klasycznego tekstu.

Młody człowiek, podepchawszy sobie pod plecy dodatkowy rulon płótna, które kiedyś stanie się jednym z obrazów Aleksandra Tereszkiwicza, uśmiecha się z wyrozumiałością.

- Ale istnieje także coś takiego, co nazywamy intencjami autora.

- Czy można określić je dokładnie?

Nieraz powiekach?

- Są zapisane w tekście.

Wstyd się przyznać, ale wie pani -PO iluś tam polskich "Hamletach" zrozumiałem ten utwór naprawdę dopiero po obejrzeniu przedstawienia telewizji angielskiej.

Reżysernie odczytywał sztuki, tylko ją prosto dobrze prze179.

czytał.

I wszystko stało się jasne.

Krótko mówiąc, istnieją jednak granice interpretacji, a tekst nie jest plasteliną, którą możnagniatać w dowolne formy.

Annie zaczyna ciążyć ta rozmowa, próbuje obrócić ją w żart.

- Kiedyś pisarze dramatyczni wystawią panu pomnik.

- A reżyserzy go zburzą.

- Może widzowiana to nie pozwolą?

Bo oni jednak kochają klasykę w jej przyrodzonym kształcie.

- Któż to mówił przed chwilą, że istnieją sytuacje, w których tylko interpretacja klasycznego tekstu może wyrazić stosunek do rzeczywistości.

-Ja. Ale w gruncie rzeczy lubię grać w teatrze, który podobasię ludziom.

- Aluzyjny teatr także się podoba.

Nawet bardzo.

- Już teraz może trochę mniej niż dawniej.

- Bo wiele rzeczy zostało powiedziane wprost.

- Choć może nie w teatrze i nie dokońca.

- Anna wstaje, pragnąc przerwać rozmowę, nie pasującą ani do weselnego gwaru, który tu dociera, ani do jej myśli sprzed chwili.

- O czym my rozmawiamy, proszę pana, kiedy trwawesele mojej przyjaciółki.

- O, właśnie!

Wesele!

Czy to wszystko, nawet ta nasza rozmowa, nie przypomina pani.

- Żadnych podobieństw.

Ewka nie jest córką gospodarza z Bronowic, ale krawca z Siedlec, niech pan weźmie pod uwagę

- najlepszego w mieście, a on artystą malarzem bez inspiracji intelektualnych, zdolnym malarzem, który macza pędzel w intuicji, niewiem, czy w ogóle czytał "Wesele".

- Musiał - wszkole.

A poza tym na pewno zaliczył kilka przedstawień odmiennie odczytywanych przez różnych reżyserów.

I znów jesteśmy przy tym samym temacie odczytywania sztuki.

Anna zmierza kudrzwiom.

Krytykowi najwyraźniej nie posłużył alkohol, chcemu się teraz - i akurat z nią - rozmawiać o teatrze, o jego najważniejszej rzadko dyskutowanej wprost sprawie.

W dodatku już sama nie wie, kto z nich jest za, a kto przeciw teatrowi aluzyjnemu, wszystko się poplątało; z pracowni dochodzi muzyka zmieszana z wzrastającym gwarem rozmów, nikt już nie słucha jej w skupieniu, dźwięczyszczą i wysoki, podniecony śmiech, jakieś dwa ciała uderzają nie domknięte drzwi stryżku, wtaczają się do środka.

- Przepraszam - piszczy jedna z studentek z czarnąksamitką naczole.

- Przepraszam - powtarza skonsternowany młody malarz, tensam, który usiłował pocieszać mamę Zabięło, podsuwając jej myśl, że może jeszcze nieraz będzie wyprawiać wesele swojej pięknej córce.

- Ależ proszę - mówi Anna, wściekła, iż tych dwoje wyobraża sobie nie wiadomo co, zastawszy ją tu z mężczyzną, w dodatku, jeśli wiedzą, kim on jest.

Dodaj więc zaraz, podnosząc głos.

- Tylko, żetu śpi mój syn.

- Och, przepraszam - piszczy jeszcze raz spłoszona studentka.

Zniewiadomego powodu chwytają rękę krytyka i wyciąga go ze stryżku.

- No, tak.

- mruczy, jakby wcale tego nie zauważywszy malarz.

- Można tu świetnie odpocząć.

- Pan zmęczony?

- bez współczucia pyta Anna.

Niestety, kanapka zajęta przez mego syna.

- Ale moglibyśmy przysiąść na jej brzeżku.

- Jeśli ma pan ochotę - proszę.

Przypilnuje młodym dziecku, a ja się pójde czegoś napić.

W tłumie, który wciąż tkwił po obydwu stronach zsuniętych sobą stołów, z trudem odnajduje Ewkę.

To ona teraz dotrzymywałatowarzystwa profesorowi, który bardzo lubił młode, ładne panie.

Trzymając Ewkę w pól, obejmuje także natychmiast i Annę.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wszystkie wernisaże odbywały się w ten sposób.  
Bo to jest wernisaż, moje drogie, weselny wernisaż Olka!  
Teobrazy na ścianach żona jak obrazek.

- Jest tu gdzieś telefon?

- zwracając się do Ewki, przerywając profesorowi Anna.

- Jest, oczywiście.

Ale chcesz teraz gdzieś dzwonić?

- Muszę.

- Do Szymona?

Do Szymona.

Dawno powinien tu być.

Miał tylko wpaść do domu, żeby się przebrać.

Podejrzewam, że grzebie się, a ja muszę pilnować Sebastiana.

181.- Przecież śpi.

- Ale wciąż ktoś wchodzi nienawistnie.

- Czy ty myślisz, że jak Szymon wreszcie tu przyjdzie, pozwolę mu tkwić przy Sebastianie?

- Trochę będzie musiał posiedzieć.

Ja jestem z dzieckiem od rana.

- Boże, Boże!

- szepcze profesor.

- Tyle szczęścia i tyle udręki!

- Co pan profesor ma na myśli?

- pyta już trochę nastroszona Anna.

- Że tak bardzo lubicie być zakochane, paśjami lubicie wychodzić za mąż, chwalić się rodziną,  
która zwłaszcza w dziwnych wywiadach ma tyle uroku, niekiedy jednak.

- Coniekiedy.

- głos Anny niełagodnieje.

Profesor całuje ją policzek.

- Cóż jacy będę mówił, moja mała.

- To wszystko przez ten poniedziałek - wybucha Anna.

- Przepraszam - uśmiecha się do Ewki.

- Oczywiście, tylko w poniedziałek mogłaś wziąć ślub, ale Sebastian wie, że poniedziałkiem mam wolne i tego dnia za nic nie zostanę pod niczyją opieką.

Mama chciała przełożyć sobie dyżur w aptece.

- Tyle szczęścia i tyle udręki!

- powtarza profesor.

Stojący obok przy stole Sewercio Bobrowski w pośpiechu zmiata z talerzyka ostatni kawałek galantyn z kaczki.

- Hanka!

Ja posiedzę przy Sebastianie.

- Dziękuję ci, Sewerciu.

Jesteś kochany!

Czasem tylko nieznośny, ale w ogóle kochany.

- Jeśli tylko ta kaczka ci nie zaszkodzi, z przyjemnością posiedzę przy Sebastianie.

- Nic ci nie zaszkodzi - zapewnia Ewka.

- Z kuchni możemy nikomu nic nie może zaszkodzić.

Przyniosę ci na stół gorącą herbatę.

- Ja jednak zadzwonię do domu - mówi Anna.

- Może Szymon już wrócił i korzystając z tego, że nikogo nie ma, uciął sobie drzemkę.

- Tyle razy ci mówiłam, żebyś nie był aż tak śliwaw w stosunku do Szymona.

-Poczekaj, poczekaj.  
Zobaczysz, jak potrafi się zachować twój małżonek po pięciulatach.  
182- O mnie mowa?  
- pod słuchuje przez stół Tereszkiewicz.  
- Właśnie.  
Pokaż Annie, gdzie jest telefon.  
- Chętnie!  
- podrywa się miejscami młody.  
Poddaszemy wiele zakamarków.  
W jednym z nich stoi całkiem wygodny fotel i biurczko z telefonem.  
- Usiądź - zaprasza gospodarz.  
- A ty zamknij drzwi.  
Zdrugiej strony!  
- dodaje Anna widząc, że pan młody nie ma zamiaru opuścić pomieszczenia.  
Pozbywając się w końcu, nakręca numer.  
Szymon prawie natychmiast podnosi słuchawkę.  
- Dlaczego jesteś tam, a nie tu?  
- Bo dopiero co wróciłem.  
Wizja się przeciągnęła.  
- Oczywiście.  
Tego mogłam się spodziewać.  
- Czy jest ci tam źle beze mnie?  
- pyta trochę złośliwie Szymon.  
- Jest mi wspaniale, zwłaszcza że wciąż muszę pilnować Sebastiana.  
Właśnie zasnął.  
- No to dobrze.  
- Ale śpiw jakimś kącie na stryszku, a kręci się tam mnóstwo podпиты osób.  
Przyjeżdżaj!  
- Już się ubieram.  
- Białą koszulę położyłam ci na fotelu.  
- Dziękuję.  
Tylko nie wiem, gdzie są te srebrne spinki.  
- Boże drogi!  
Może są w koszu na bieliznę, tyle razy proszę, żebyś wyjmował spinki.  
- A pozatym.  
- głos Szymona cichnie.  
- Co - poza tym?  
- Jest do ciebie telegram.  
- Telegram?  
- Tak.  
Przysłali z ministerstwa, bo został skierowany na tamten adres.  
- Co to za telegram?  
- krzyczy Anna, aż słychać ją chyba w pracowni, mimo panującego w niej gwaru.  
- Otworzyłeś?  
- Otworzyłem.  
- No to czytaj!  
- Przeczytałem.  
Masz.  
masz propozycję wystąpienia w zagranicznym filmie.  
Anna milknie i dopiero po chwili zdolna jest zapytać: - Skąd?

Skąd ten telegram?

183. Teraz Szymon milczy przez długą, bardzo długą chwilę.

- Skąd?

- Z Meksyku.

XII- To tym dziwniejsze - mówi prokurator Klimontowicz, usiłując zgarnąć widelcem majonez, zakrzepły na przemarzniętej w lodzie chłodniczej połówce jajka - tym dziwniejsze, że sam się zgłosił, żeby złożyć zeznania.

Szymon także walczy z połówką upartego jajka, ślizgając się po całej powierzchni talerzyka.

Siedzą w sądowym bufecie podczas przerwy spowodowanej niestawieniem się świadka.

Jest to wciąż proces o zabójstwo pracownika jednego z stołeczkich zakładów pracy, ciągnący się od kilku nastu dni, pogmatwany mnogością spraw w związku z nim ujawnionych.

- Toten, na którego najbardziej liczyłeś.

- Znasz akta sprawy i wiesz dlaczego.

- Trzeba było wcześniej go powołać.

- Miał to być mój najcelniejszy strzał.

Człowiek, który pracował przed zamordowaniem na tym samym stanowisku i zwolnił się na własne życzenie, znękanym pogrozkami ze strony oskarżonych.

Po prostu zdecydował się przystąpić do przestępczej sytuacji.

Myślisz, że to jajko jest świeże?

- Nie jestem tego pewny.

- To może nam zaszkodzi?

Szymon nauczył się już nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do jedzenia.

- Różne rzeczy jadało się w tym bufecie i jakoś żyjemy.

Klimontowicz pozostawia na brzegu talerzyka rozbramanego majonezu i niedojedzonego kawałek jajka; odsunawszy się nieco od stolika, patrzy prawie ze współczuciem na kolejkę ustawioną przed bufetem, w którym najwykwintniejszym daniem są owe jajka w majonezie, prezentujące się istotnie lepiej niż kawałki smażonej ryby i resztki jarzynowej sałatki.

184- Nie wiem dlaczego - mówi, zapomniawszy na chwilę o przerwanej sprawie - inne instytucje potrafią zadbać o to, żeby mieć bufet na lepszym poziomie.

My, dysponując sankcjami.

- Dysponujemy nimi, ale właśnie z tego powodu niewypada nam ich używać - uśmiecha się Szymon.

Zjada odważnie jajko, zagryza bułką, popija herbatą.

- W dodatku w tak błahym sprawie.

- Masz rację.

Wyrażając niezadowolenie z naszego bufetu powinniśmy postawić w stan oskarżenia całą polską gastronomię - restauracje, stołówki, bary i garmaze - za to, że pogłębiają kryzys marnowaniem darów bożych.

Bo jeśli czegoś jest mało jeśli piąć się za to słone pieniądze, to niech to przynajmniej będzie dobrze przyrządzone, jadalne, a nie zdatne tylko do wyrzucenia.

- Prokurator, samotny kawaler, który od śmierci matki jadał byle gdzie i byle co, przy każdej okazji rozwodził się ze znanym popartym smutnym doświadczeniem nadupadkiem zbiorowego systemu żywienia.

Zsadyści z dużą satysfakcją zwykli wspominać, gdzie i czy się zatruli i na ile usiłowano gończyć w butelkę przy płaceniu rachunku.

Z żalem, jak za rajem utraconym, podawał przykłady jakichś wspaniałych i niedrogich dań, które podawano w restauracjach za dawnych dobrych czasów sprzed kilku lat.

- I niech mi nikt nie mówi - ciągnął dalej, zapatrzony w stojący przed nim talerzyk - że w narodzie wzrosła świadomość społeczna.

Gastronomia jest przykładem działania klasy robotniczej przeciwko samej sobie.



Bo któż zjada tenie dogotowane, przesolone lub przypalone, czasem wręcz zepsute potrawy- kapitaliści, prywatna inicjatywa, bogacący się spekulanci?

Klasa robotnicza musi to wepchnąć w siebie, psując sobie wątroby i żołądki - idź reszty dobrego smaku.

Ci ludzie już w ogóle nie wiedzą, jak powinno smakować dobre jedzenie.

A nie zawsze tak bywało.

Pamiętam.

- Długo jakoś trwało doprowadzenie świadka - odważyła się wtrącić sędzia Turoń.

-Doprowadzą go, doprowadzą- bądź spokojny.

Nie zawsze tak bywało.

Pamiętam taką małą restaurację PTTK w Żelazowej Woli.

Zaniósł mnie tam podczas urlopu któregoś roku.

W karcie był kotlet cielęcy z sałatą i młodymi ziemniaczkami.

Czy abyś świeży?

- zapytałem kelnerki.

Sam się pan przekona, odpowiedziała.

Zaryzykowałem, i co powiesz?

Do dziś ten kotlet wspominam z rozrzewnieniem.

Świeżuteńki, mięciutki, na prawdziwym masle.

masła, sałatka chrupiąca, polana gęstą śmietaną, ziemniaczki posypane koperkiem, i zapłaciłem za to wszystko trzysta złotych pięćdziesiąt groszy!

- Były czasy!

-mruży Szymon z pobłażaniem.

Lubił jadać drugie śniadania ze Staszkiem Klimontowiczem, bo w przeciwieństwie do innych prawników nie drażył podczas przerw temat procesu; odpoczywał przy jego dywagacjach na nieważne tematy, bawiły go dygresje odległe od spraw, które miał w kancelarii.

-Były czasy!

- powtarza i usiłuje sobie przypomnieć, gdzie i kim był w latach, kiedy za kotlet cielęcy płaciło się trzysta złotych pięćdziesiąt groszy, oczywiście nie w "Bristolu" ani w "Europejskim", ale w poczciwych restauracjach na bogobojnej prowincji.

Gdzie i kim był?

Studentem?

Aplikantem?

Może już sędzią Sądu Rejonowego?

- Musisz wziąć pod uwagę - dodaje - że wszystkobyło dawniej lepsze, choćby dlatego, że byliśmy o ileś lat młodszy.

-Cóż za brednie!

Jeśli w naszym wieku chcesz już wspominać młodość.

- Niemłodość, ale to, co minęło.

Z sentymentem na przykład wspominałem pracę w Sądzie Rejonowym.

- Tu przyznaję rację.

W porównaniu z tym, w czym się dziś bierzemy, ileż uroku miały te niewinne fałszerstwa, złodziejstwa i pyskówki.

- Ale w naszym, ile było zapału, nieomal poczucia posłannictwa w ferowaniu wyroków sprawiedliwości.

Pamiętasz Zochę Łopuszankę?

-Nie znałem jej bliżej.

- Później wyszła za mąż i przeniosła się do Krakowa.

Ale początki jej sędziowania przypadły na nasz sąd.

Znana była z tego, że każdy wyrok opatrywała umoralniającą mową dooskarżonego, naprawdę wierząc, że nie dokuczliwość kary, ale jej słowa sprowadzą go nadrogę poczywości.

Sama zresztą była wzorem wszelkich cnót i oskarżeni wili się na lawie, gdy wpierała w nich swoje niewinne spojrzenie.

Ale któregoś dnia wygłosiła ostatnie przemówienie tego rodzaju i opuszczała odtąd salę sądową natychmiast po odczytaniu wyroku.

- Dlaczego?

- Klimontowicz bezwiednie podnosi do pulchnych ust wzgardzony kawałek jajkai przełyka go ze smakiem.

- To długa historia.

186- Czekamy przecież na doprowadzenie świadka.

- Przypadła jej sprawa, w której oskarżoną była młoda prostytutka, obwiniona o okradzenie klienta.

Przyznała się zresztą odrazu do swego czynu, wykazała nawet należną skruchę, siedząc na lawie oskarżonych zeschylną głową, pogodzoną z wymierzoną jej karą, uznającą niemal ją za słuszną i należną.

Ale tylko do momentu odczytania wyroku.

Bo gdy Zocha swoim zwyczajem zaczęła umoralniającą mowę, wskazując zdeprawowanej istocie drogę powrotu do społeczeństwa - dziewczyna zmieniła pozę na lawie oskarżonych.

Podniosła głowę i jej ożywione nagłą uwagą oczy zetknęły się z niewinnym spojrzeniem naszej Zosieńki.

" Jest tyle pięknych zawodów dla kobiety - ciągnęła Zocha - tyleni uwłaczających jej godności zawodów!

Na przykład.

" I zaczęła wyliczać po kolei te piękne, nie uwłaczające cześci kobiecej zawody, a dziewczyna prostowała się powoli i podnosiła coraz wyżej głowę wreszcie, kiedy pani sędzia zaczęła się rozwoździć nadurokiem krawiectwa i szy-deł-ko-wa-nia, zerwała się z ławy i zawołała na całą salę: "A cóż to pani sędzinie tak nagle o moją dupę chodzi?

" - Znakomite!

A co na to Zosieńka?

- Zawinęła się i wyniosła z sali, aż łańcuch zadzwieczał najej piersi.

Tak oto traciliśmy złudzenia.

- Chcesz przez to powiedzieć, że już ich nie mamy?

- A jakie można mieć złudzenia - poważnie Szymon - pakując człowieka na dwadzieścia pięć lat do więzienia albo.

- No, dokończ, dokończ.

- Albo.

zasądzając najwyższy wymiar kary.

- W takim wypadku zamiast złudzeń, że kara pomoże przestępcom wrócić na łono społeczeństwa, ma się uczucie naprawdę dobrze spełnionego wobec tego społeczeństwa obowiązku.

- Wiesz, co mi powiedział niedawno jedna z naszych urzędniczek?

Że kiedy opuszcza ten gmach, trudno jej nieraz uwierzyć, że istnieje jakieś inne życie, bez morderstw, bez gwałtów i rozboju.

- Babskie historie!

- Ale powiem ci, że i ja doświadczałam czasem tego samego uczucia.

- Ty? - Wyobraź sobie.

187.- Coś niedobrego dzieje się z tobą, Szymon.

Ja -wprostprzeciwnie, wychodzę z naszego gmachu z poczuciem, że tonormalne, praweżycie, w któresię zanurzam,jest moją zasługą, jest także imoją zasługą, że po to pełnię swoją funkcję, po to tkwię tu przez osiem, a czasem więcejgodzin dziennie,żeby porządni ludzienie bali się chodzić po ulicach.

Przybufecie powstajenagłe ożywienie, wszyscy stojącyw kolejce - sędziowie,prokuratorzy,adwokaci, aplikanci, urzędnicy ioskarżeniopowiadającyz wolnej stopy-zwracają się kupostaciom w bieli, wskazonejnieco bieli, wnoszącypojemnikiz nowym zaopatrzeniem.

Twarz Klimontowicza, okrągła i rumiana, stanowiąca jakbyzaprzeczenie wszelkiej surowości, łagodnieje jesczzebardziej.

Zadarty nosk wietrzy zawiewające od pojemników zapachy.

- Zdajesię, że przywieźli wątróbkę.

Może zjemy?

Szymon zerka na zegarek.

Nie lubi atmosfery bufetu, wydajemusię, że przepada tu jakby cała powaga sądu-w oparachsmażonej wątróbki, w tych nagłych olśnieniach, którym ulegają najwybitniejsi stołeczni prawnicyna widok pojawiającychsię - coprawda z rzadka - atrakcyjnych dań.

- Musimyjuż wracaćdo sali narad.

Nasi ławnicy właśniejużtam poszli.

Nie chciałbym, żeby mówili, że przedłużam przerwyw rozprawiez powodu. wątróbki.

- Lepszy ten powód niż jakikolwiek inny.

Traciszpoczuciehumoru.

Masz jakieś.

trudności rodzinne?

- Skądże!

-zbyt gwałtownie zaprzecza Szymon.

W drzwiach stajełody oficer milicji i rozgląda się po sali.

-To Wiśniewski!

- Klimontowicz podnosi rękę.

Pewnie jużdoprowadziłświadka.

Porucznik przeciska się między stolikami.

- Ma go pan?

-Nie, panie prokuratorze.

- Dlaczego?

;- Od trzech dni nie zgłasza się do pracy.

I także nie magow domu.

Sąsiedzi mówią, że nie widzieli go od kilku dni.

- Uciekł?

-Wygląda na to,że uciekł.

- To samotny człowiek?

Niema rodziny?

- pyta Szymon.

188- Samotny - odpowiada porucznik.

- Rozwiódłsię z żoną,dzieci nie mieli.

Rozpylałem o niego sąsiadów.

- Jeśli uciekł.

-zastanawia się prokurator.

Co by to właściwie miało znaczyć?

-Że się czegoś boi bardziej niż niestawienia w pracy w sądzie - podsuwa Szymon swoją argumentację.

- Możliwe.

Ale ja go znajdę!

Znajdę sukina syna!

Tak mnie napuścić!

- Jabym na twoim miejscu - Szymon zamyśla się nachwilę - zajął dotychczasowe mieszkanie.

Wydaj nakaz.

Klimontowicz powoli zwraca mu głowę.

- Co masz namyśli?

-Wydaj nakaz.

A ja rozprawę odroczyć do jutra.

-Niech pan pozwoli zeznać, prokurator wstaje od stolika.

- Dam panu nakaz i jeszcze niech pan tam pójdzie.

Jutro muszę go mieć, żywego albo umarłego.

Przed Szymonem otwiera się niespodziewanie całe długie, wolne popołudnie.

Opuściwszy sąd punktualnie o trzeciej, co musi nie zdarzyło co najmniej od tygodnia, powoli zmierza do tramwaju, bynajmniej nie zainteresowany tym, żeby nadjechał jak najprędzej.

Pogoda jest cudowna; po wyjątkowo pięknych ostatnich dniach maja, czerwiec nastąpił od razu upalny, przywodzący namysł sianokosy, pierwsze kąpiele w rzekach i jeziorach, leśne wędrówki pod baldachimem świeżej zieleni.

Nawet tu, w środku miasta, lekki powiew zdaje się mieć zapach lata, jakby piwonie i narcyzy w wiadrach kwiatów zdolne były pokonać swoją wonią dym samochodowych spalin.

Szymon kupuje mały bukiet kwiatów i stokrotek, zastanawiając się, czy Anna nie poweźmie podejrzenia, że chce wpłynąć na jej decyzję.

Kiedy to ostatni raz przyniósł jej kwiaty?

Och, przecież całkiem niedawno, kiedy wróciła z Cannes.

Mógłby ponadto pojechać do przedszkola po Sebastiana, ale zerknięcie na zegarek upewnia go, że Anna chyba już odebrała, kończyła próbę w teatrze o drugiej i zwykle, gdy nie nagrywała czegoś w radiu lub telewizji, o wpół do trzeciej była już w przedszkolu, a o trzeciej obydwój z Sebastianem gospodarzyli w domu.

Czy ten rytm - nieraz zakłócany, ale jednak rytm - ich codzienności miał zostać przerwany i zniszczony dla jakichś nie sprecyzowanych powodów?

Nadziei.

Tak, tak, tak!

Nadziei na pieniądze!

Na pieniądze tej cholernej wymiennej walucie, może na większe mieszkanie i nowy samochód i może jakiś strzęp sławy, która nie dawała się niczym wymierzyć.

Ale Anny w domu jeszcze nie ma.

Natomiast na wycieraczce przed progiem stoi Wojtaszek Tarłów przyjacielskiej pogawędki gospodarzem domu, dla którego goście Anny godni są wyjątkowych względów.

- To właśnie pan sędzia Turoń, mąż pani Anny - dokonuje prezentacji, gdy Szymon wysiadł z windy.

- Ależ my się znamy, panie Fijałkowski - uśmiecha się Szymon i zaraz zwraca zaniepokojony wzrok na reżysera.

- Czy coś się stało?

- Och, nic szczególnego - Wojtaszek niezwykły był do słania kart, zwłaszcza pod nieobecność partnera, z którym miał nadzieję zagrać partię.

- Tak przyszedłem, pogadać z Hanką, nie złapałem jej już w teatrze.

-Pewnie zaraz wróci - Szymon otwiera drzwi, wpuszczając przed sobą Tarę, Fjałkowskiemu ściska dłoń.

- Dziękuję, że pana opiekował się naszym gościem.

- Bo ja wiem, że do państwa byle kto nie przychodzi - dozorczak łania się i nie otwiera windy, dopóki drzwi mieszkania Turoniów się nie zamkną, a potem jeżdża na dół i czeka przed blokiem.

- Ma pani gościa - melduje Annie, gdy ona nadchodzi, ciągnąc za rękę zziębłego Sebastiana.

- I pan sędzia już wrócił!

- Och, dziękuję panu, panie Fjałkowski - same dobre nowiny!

- No, nie wiem, czy takie dobre.

Moja żona, to dla przykładu - nie lubi gości.

Dlatego wolałam panią uprzedzić.

- Byliśmy na lodach!

- uznaję za słuszną pochwalić się Sebastian.

Usta ma jeszcze lepkie od słodyczy, dotyka ich wciąż końcem języka.

- Tobie się powodzi!

- szczypiego w policzek Fjałkowski.

- Mama cię dziś odebrała z przedszkola i jeszcze zafundowała lody.

- Ja zafundowałam - prostuje - z mojej skarboxki.

- Postanowiliśmy być dzisiaj cudownie lekkomyślni, panie Fjałkowski - dodaje Anna.

- Zna pan to uczucie?

Fjałkowski niewie, co odpowiedzieć.

Uwielbia rozmawiać z panią Turon, ma potem co opowiadać wszystkim lokatorom, ale czasem nęka go obawa, czy staje na wysokości zadania.

190- Bo ja wiem, proszę pani, czy lekkomyślność może być cudowna.

- Ależ tak!

Zapewniam pana!

Niech pan czasem spróbuje.

- Ale co ja bym mógł takiego zrobić.

- Niech pan także pójdzie na lody - wtrąca Sebastian.

- Pójdę panem!

- ofiarowuje się z ochotą.

- O, nie!

- Anna popycha go w stronę windy.

- Tegoby już było za dużo.

I zapominasz, że mamy gościa.

Kto to może być?

- myśli w windzie.

Widok Wojtaszka zdumiewają.

- Czy coś się stało?

- pyta tak, jak Szymon.

- Boże drogi!

- woła reżyser.

- Czy musi się aż coś stać, że bym was odwiedził?

- Byliśmy na lodach - obwieszcza Sebastian i bardzo czuje się rozczarowany, że ojciec prawie wcale nie zwraca na niego uwagi.

- Cieszę się - mówi w roztargnieniu, całując go w policzek, i stara się na trzeciego wślizgnąć do ich małej kuchni, bo Tare już tam wszedł z Anną, wypakowując z siatki swoje codzienne zakupy, i zaraz powie, co go tu sprowadza, dlaczego szukał Anny w teatrze, a nie zastawszy jej tam, przyszedł do domu.

- Słuchaj, Hanka -zaczyna.

-Najpierw dostaniecie po porcji truskawek ześmietaną -przerywa Wojtaszkowi Anna.

Wysypałzorebki docedzakatruskawki i przemywa je mocnym strumieniem wody.

Potembrywa je zszypułek i sprawiedliwie rozkładado czterech miseczek, posypując cukrem ipolewając śmietaną.

Sebastian niespuszcza oczuz rąk matki, pilnie obserwując, która z porcji jestnajwiększa.

- Ta!

-wskazujemmatce upatrzonamisceczkę.

-Ta jest moja!

- Brzuchcię będzie bolał - wzdycha Anna.

-Słuchaj, Hanka - zaczynaporaz drugi Wojtaszek.

Przenieśli się dopokoju, usadowili wfotelach, każdy ze swoją porcjątruskawek w ręce.

- Mam trudności ze scenariuszem, więc pomyślałem sobie, że powinienem ci topowiedzieć, żebyś bez skrupułów, że mi umykasz, mogłajechać do Meksyku.

-O, wiesz już otym?

-W naszymśrodowisku nic się nie ukryje.

191.- To prawda.

-Bądźco bądź to wydarzenie.

Jeszczeinikt zpolskich aktorównie występował w meksykańskimfilmie.

A kino latynoskie zaczyna się coraz bardziejliczyć.

-Wiem.

-Więc jakaś szansato napewnojest inie chciałbym być tym,który przeszkodziłby ci w przyjęciutejpropozycji.

- Jesteś kochany - mówiAnna bez serdeczności.

Boi się, żeTarło wspomni przy Szymonie o meksykańskimoperatorze,któryzalecał siędoniej w Cannes, pomijając oczywiście tenfakt, ale jużsamo przypomnienie jego osoby wyjaśniłoby w dostatecznymstopniუსytuację.

- Jestem pewien, że świetniebędzie cisię tam pracować.

Meksykianie są tacy mili.

-Tak.

Sebastian dzwoni już łyżeczką o dnomisceczki i nie zdejmujerozblęstego spojrzenia z ojca,który nie napocząłjeszcze swojejporcji.

- Nie chcesz truskawek?

-pytacichutko.

-Nie lubisz?

- Uspokój się - karci go Anna- dostałeś tyle co wszyscy.

Anie jesteś taki dużyjakmy.

- Ale apetyt mamduży.

-Pozatym - reżyser Tarło wracado przerwanegotematu -kinematografia meksykańska jest chyba nieźle zorganizowana.

Jakiś wpływ Hollywoodu się tam odczuwa.

Ile dni zdjęciowych ciproponują?

- Nie wiem.

Chciałbyś, żeby jużto ustalili w pierwszym telegramie?

- Tak się na świecie pracuje.

Terminy!

Liczą sięprzedewszystkim terminy.

Wielkie gwiazdy mają impresariów, którzyjeustalają, a ty - na razie - sama musisz się o wszystkozatroszczyć.

Anna uśmiecha się leciutko.

Niepatrzy naSzymona, aleuśmiecha się jakby w jego stronę, tylko że ontego nie dostrzega.  
- Myślę -ciągnie dalej Wojtaszek- zeczterdzieści dni zdjęciowych na pewnoim wystarczy.  
Do tegoczasu japrzebrnę przezmojetrudności, zapnę wszystko na ostatni guziki od jesieni  
moglibyśmy zacząć kręcić.

192- Wspaniale!

-No to cieszę się, że takmyślisz i że cię złapałem, żeby towyjaśnić.

Bałę się, żebędzieszmiała wyrzutysumienia.

-Ależ, Wojtaszku-ja nigdzie nie jadę.

- Jak to nie jedziesz?

Nie jedzieszdo Meksyku?

-Nie.

Tarło, który wstał już, żeby się pożegnać, siada znów nabrzeżu fotela.

- Mówisz poważnie?

-Jak najpoważniej.

- Ależ dlaczego?

-A muszę?

Muszę jechać?

- Oczywiście, że nie musisz.

Ale taka propozycja!

- Najgorszym z terrorów współczesności jest przymus robienia tak zwanej kariery.

Apoza tym.

Skąd wiesz/czynie chodziło trzy dni zdjęciowe.

W dodatku pod prysznicem.

-Dla ujęcia pod prysznicemnie sprowadza się aktorkiz drugiejpółkuli.

-A zresztą.

nie mam ochoty jechać.

Szymonajakby nie było w pokoju.

Nie powiedział dotąd anisłowa i Anna wie (o, zna trochę tego swojego Paragrafka), że pewniei  
nie powie.

Sebastian dobrał sięjednak dojego truskawekizmiata je, posapując cicho z łakomej rozkoszy.

- Nie mamochoty jechać!

-powtarza Anna.

-Gdzieś tam.

Tak daleko.

- Kilka godzin lotu z Paryża!

-nie wiadomodlaczego takuparcie perswaduje Wojtaszek.

poco?

Nieruszając się stąd, mam zapewnioną dobrąrolęw następnej sztuce, otrzymałam ciekawą  
propozycjęz Teatru Telewizji, mam nagrać coś radiu a dyrektor sceny"O  
dwudziestejdrugiej" chciałby, żebym zagrała.

- Bój się Boga - szepcze Wojtaszek truchlejąc wobec tylupomyślności, które  
zduszonymjakimś głosem wyliczaAnna.

Tak.chciałby, żebymu niego zagrała.

Och, i zapomnialiśmy najważniejszym!

Dostałam zaproszenie z Przasnysza.

- Skąd?

-Z Przasnysza.

ZDomu Kultury.

Proponują mi, żebym sięzaopiekowała ich kółkiem recytatorskim.

Słyszeli,jak mówiłam193.

w radiu Leśmiana i bardzo chcą, żeby im do nich przyjechała.

Pozatym mają jakąś uroczystość i proszą, żeby im ją uświetniła.

- Bój się Boga - powtarza wciąż coraz bardziej struchlały Wojtaszek.

- Uświetniła!

- podnosi głos Anna.

- Tak napisali.

Gdzieś w świecie nikt by tak do mnie nie napisał.

A oni jeszcze samochód przysłał, któryś poniedziałek, zawiozą i przywiozą.

- Z Przasnysza?

- Z Przasnysza.

Szymona w dalszym ciągu nie ma w pokoju, jest, ale go nie ma, i Anna - nie patrząc nawet na niego - przestała uśmiechać się w jego kierunku.

- i kiedyż ty na to wszystko znajdziesz czas?

- zewzrastającym zdumieniem pyta Tarło.

- Znajdę - twardo stwierdza Anna.

Wojtaszek przestaje na nią patrzeć, bo się nanią patrzeć, jest wściekła na siebie, że tu przyszedł, właściwie naprawdę, idiotą jeden, niepotrzebnie tu przylazł, co go obchodził ten cały jej Meksyk, jego scenariusz nie został jeszcze zatwierdzony, mogła sobie jechać albo nie, jak to miało znaczenie, skoro on będzie mógł kręcić najwcześniej na jesieni.

- Rób, jak uważasz - mówi, podnosząc się z fotela.

- Wiesz, że jestem ci życzliwy.

- Wiem, dziękuję.

- Do widzenia, panie sędzio.

Szymon odprowadza gościa do drzwi, a kiedy wraca, obejmuje Annę i milczątką, stojąc przy sobie - nie, flie zostanie powiedziane ani jedno słowo o prawdziwym powodzie zaniechani tej wspaniałej podróży do Meksyku, ani jedno słowo o urodziny tego kraju, który Szymon widzi teraz przed sobą jakoraj, raj tu racony dla Anny, ziemię różowych oleandrow i puszystych palm.

- Telefon!

- woła Sebastian, podnosi słuchawkę i podaje ją matce.

- Tu prokurator Klimontowicz - odzywa się podniecony głos.

- To pani Anna?

Dzień dobry!

Muszę rozmawiać z mężem.

Jest?

- Jest - mówi Anna niechętnie, nie lubi takich telefonów.

- Oddaję słuchawkę.

194- On nie żyje!

- woła od razu prokurator, nie czekając, żeby się odzwał.

- Ten człowiek nie żyje!

- Kto?

- Szymon powoli wraca z obszaru swoich myśli, właśnie widział Annę na targu w jakimś meksykańskim miasteczku, olśnioną innością każdej rzeczy, na którą patrzyła, Annę przymierzającą kolorowe poncho, Annę wybierającą jakąś ceramikę azteckich wzorach, Annę.

- Kto, na litość boską?

- Jakto kto?

Świadek!

Mój świadek!

Miałeś rację, że trzeba było dać nam milicji.

Mogłem zrobić to wcześniej, kiedy pierwszy raz nie pojawił się narozprawie.



- Tak - przytomniejąc stwierdza Szymon.

-Zastali go w mieszkaniu uduszonego.

Ta samametoda.

Obrońcy tych czterech, którzy siedzą już na ławieoskarżonych,mają nowy dowód na niewinność swoichklientów.

Oni siedzą,azostała dokonana nowa zbrodnia.

Jużjutro pewnie.

- Jutro odraczam sprawę.

Porozmawiamy o tym w sądzie.

- Przepraszam.

Nie możesz teraz rozmawiać?

- Właściwie.

nie mogę.

- Żałuję, że dzwoniłem, ale chciałem podzielić się z tobą.

-Rozumiem.

- No to pozdrów swoją śliczną panią i przeproś ją wmoimimieniu.

-Dziękuję.

Do widzenia.

- Stało się coś?

-pytaAnna, odbierając rękSzymona słuchawkę ikładąc ją na widełki.

-Nie.

Nic szczególnego.

Będę miał chyba przez cały tydzieńwolne popołudnia,odraczam sprawę.

-To pięknie!

- Imama nigdzie nie jedzie?

-Sebastian, wyjadłszy do końcadrugą porcję truskawek, obejmuje rodziców za kolana i podnosi kunim głowę.

- Nie - odpowiada Anna.

-Nigdzie nie jadę.

Tylko w któryśponiedziałek na pół dnia do Przasnysza,ale do Przasnysza zabioręcięż sobą. 195.XIIIJuż po lecie, pourlopienad morzem, po premierze sztuki,otwierającej nowysezon, a nawet poowym procesie, tylekroć odraczanym,gdyokazało się, że niestawiający się na rozprawęświadek został również zamordowany.

Jest październik, Sebastianprzywłóklwłaśnie zprzedszkolapierwszą anginę i pielęgowanyjest przez panaFeliksa, ponieważ aniaktorce, anisędziemuniełatwozwalniać się zpracy.

Leżyw łóżku z Kotem-Mamrotem i wszystkimi swoimi misiami, ale niepoświęcazbytnej uwagiichnaderwanym uszom.

Wodzioczymazapanem Feliksem,który krząta się po pokojui kuchni, teraz chyba myje pod kranem szklanę,myje starannie,boSebastian pił zniej wodę po zażyciu lekarstwa i mógłby sięktoś zarazić anginą, gdybynie została dobrzewypłukana.

-Nie będę już dzisiaj musiał połykać antybutiku?

- Antybiotyku- poprawiapan Feliks.

-A co to jest antybutik?

- Niema takiego słowa.

Jest tylko butik.

-I coto jest?

- To jest sklep, w którym są same drogie rzeczy.

-Teraz w każdym sklepie są same drogie rzeczy.

- No, nie w każdym - sła biutko zaprzecza pan Feliks i zamyśliwszy sięprzez chwilę nad swojąemeryturą z bardzo staregoportfela, nie podejmuje sięwyjaśnić tej sprawySebastianowi.

Choroba małego Turonia, skądinąd tak przykra (pan Feliks miałby siebie za ostatniego z ludzi, gdyby uważał ją za niezwykłą pomyślność w sytuacji emeryta) znacznie wspomógł jego finanse, gdyż pani Anna stale powtarza: "Kochajmy się jak bracia, ale liczymy się jak Żydzi", i pozwala dyżurować przy Sebastianie, czy - gdy jest zdrowy - odprowadzać go i przyprowadzać z przedszkola, wyłącznie za ustalonym wynagrodzeniem.

"Pan mi się i tak lepiej kalkuluje, kochany panie Feliksie - śmieje się zawsze, wciskając mu pieniądze (bo jednak krępuję go przyjmować je od niej) - niż te wszystkie panie zgłoszenia. Nie miałam chwili spokoju, kiedy zostawiałam Sebastiana pod ich opieką.

"- Niezna pan już żadnych bajek?

- dopytuje się Sebastian.

196- Już wszystkie ci opowiedziałem.

- Wszystkie?

- Wszystkie, które znałem.

- To mało panznał!

- Widzisz.

jak ja byłem mały, to mi nikt nie opowiadał bajek.

- Dlaczego?

Nigdy pan nie miał Anginy?

- Anginę pewnie miałem, ale nie siedział wtedy nikt przy mnie.

- To jak to tak?

- martwi się Sebastian.

- To kto dawał panu butiki do połykania?

- Butików.

antybiotyków wtedy też nie było.

Bo to byływ ogóle całkiem inne czasy.

Mogę ci opowiedzieć bajkę- pan Feliks chce zmienić temat- o kotku, któremu mole zjadły futro.

- Jak mamie czapkę złisa?

- Jak mamie czapkę.

Otóż ten kotek wyjmuję na jesieni swoje zimowe futro z szafy.

- Mama chowa futro w tapczanie.

- A kotek chował w szafie.

- Dlaczego?

- Bo nie mógłby otworzyć tapczanu.

Taki mały kotek, jakby stworzył taki duży tapczan.

- Dobra.

- Oczy Sebastiana okrągłej, stają się jeszcze większe i ciemniejsze zaszuchania.

- I co ten kotek?

- Ten kotek wyjmuję z szafy swoje zimowe futro i widzi z przerażeniem, że pogryzły je mole.

- Bardzo?

- Bardzo.

- Ale koty to gryzą pchły, a nie mole.

Klemens ma kota i opowiadał, że go gryzły pchły.

- No tak.

ale to jest bajka, chciałeś, żeby opowiedzieć ci bajkę.

- Panza bardzo zmyśla.

- Jak jesteś taki mądry - obraża się całkiem serio pan Feliks - to w ogóle nie będę ci nic opowiadał.

- Ale ja niewiem, co dalej z tym kotkiem?

- Nie maw ogóle tego kotka.

Niema kotka, którego gryzą mole.

Są tylko koty, które mają pchły.

Jak ten u Klemensa.

Sebastian milknie i długo coś kombinuje.

- Czy Klemens też ma anginę?

- Pytacie o to.

197.- Skąd ja mogę wiedzieć?

- Bo jak ja mam, to on się mógł ode mnie zarazić.

- Albo ty od niego.

Wciąż się nawzajem od siebie zarazacie.

- A jakby pan zadzwonił.

- Dokąd?

- Do przedszkola.

- Sebastian kryje połowę twarzy w poduszkę i patrzy na pana Feliksa kokietując swoim jednym ślicznym oczkiem.

- Jakby pan zadzwonił do przedszkola i zapytał Klemensa.

- Po co będziemy pani kierownicze głowę zawracać?

Lewoczek Sebastian patrzy prosząco.

- Ale ja chcę wiedzieć, czy Klemens jest chory!

- Dobrze - kapituluje pan Feliks, otwierając książkę telefoniczną.

- Jak on się nazywa, ten twój Klemens?

- Klemens.

- Pytam o nazwisko.

- To właśnie jest nazwisko.

- Ma wobec tego jakieś imię?

- Zdzisio.

Ale wszyscy go tak wołają Klemens.

- W porządku.

- Pan Feliks pokonując niecierpliwienie nakreśla numer przedszkola.

- Czy to przedszkole?

- Pyta, gdy w słuchawce rozlegają się chrząsty i zgrzyty, i w końcu niechętnie mruknęło.

- No, jest przedszkole.

O co chodzi?

- Chciałem się dowiedzieć, czy Klemens.

czy Zdzisio Klemens jest dzisiaj w przedszkolu?

""^^- A kto pyta?

^- Feliks Wawrzekiewicz, nazwisko pani nic nie powie.

Jestem sąsiadem pani Anny Turoń i odbierałem nieraz z przedszkola małego Turonia Sebastiana.

On ma anginę i chciałby wiedzieć, czy Klemens jest też chory.

Bo on się przyjaźnił.

- Klemens?

Zdrów jak rybka.

Na szczęście się nie zaraził.

Najmniejszy w grupie, a odporniejszy od innych dzieci.

A jak się ma Sebastianek?

- Głos w słuchawce nabiera słodczy.

- Narobił kłopotu swojej mamie, musi przynieść siedzieć, a ludzie chcą ją widzieć w teatrze.

- Ja przy nim siedzę, proszę pani - skromnie stwierdza pan Feliks.

;198- Och, topięknie pana strony!

-Starzy ludzie mają więcej wolnego czasu.  
- Ale nie zawsze mają chęć pomagać młodym.  
Co prawda młodzi teraz nie zawsze na to zasługują.  
Co innego pani Turoń.  
Niech ją pan pozdrowi ode mnie.  
- Dziękuję.  
-Klemens jest zdrow jak rybka!  
- mówi pan Feliks do Sebastiana, odłożywszy słuchawkę.  
-Jak rybka?  
- powtarza Sebastian, nie wiadomo, czy się cieszy z tej wiadomości, czy jest niezadowolony.  
-Przyszedł dziś do przedszkola?  
- Oczywiście.  
jest tam.  
jest tam.  
bezemnie?  
- No, jak ty jesteś chory.  
-A z kim chodzi w parze?  
- O to nie pytałem.  
-Dlaczego?  
- wrzeszczy Sebastian, bliski łez.  
-Dlaczego pan nie zapytał?  
- To chyba nieważne.  
Chodzi w parze z kimś innym.  
- Z kimś innym!  
-Sebastian naprawdę wybuchł płaczem, a w tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu i tak nagle obudzona rozpacz ustępuje miejsca zaniepokojeniu i nadziei.  
-Mama?  
- Pewnie mama - mówi pan Feliks i podnosi słuchawkę szczęśliwy, że ktoś przybywa na pomoc.  
-Z kim wy sobie rozmawiacie?  
-pyta od razu Anna.  
-Dzwoniłam przed chwilą i telefon był zajęty.  
Bałam się już, czy zdążę się do was dozwonić w czasie przerwy.  
Czy to mój mąż dzwonił?  
-Nie, to nie pan sędzia.  
To ja rozmawiałem z przedszkolem.  
-Z przedszkolem?  
Dlaczego?  
Zawiadomiłam ich przecież.  
- Ale Sebastian chciał wiedzieć, czy ten Klemens, jego kolega, jest także chory.  
-Wariuje na punkcie tego Klemensa, będę musiała się tym zająć.  
No i co, chory?  
- Nie, zdrow jak rybka - powiedziała pani kierowniczką.  
-No, widzi pan.  
Tylko nasz musiał złapać anginę.  
Dał mu pan antybiotyk?  
- Oczywiście.  
-Pan Feliks jest nieco dotknięty tym pytaniem.  
199.- Przyjeżdżam prosto z teatru i zaraz zrobię obiad.  
Aha, w tej szafce w kuchni pod oknem polewej strony są czekoladki.

Wykupiłam wczoraj.

Nie dałam ich nawet Sebastianowi, bo miał wysoką gorączkę, ale dzisiaj już może dostać.

Niech mu panda jedną proszę siętakże poczęstować, panie Feliksie.

- Czekoladki są dla dzieci.

- Straszna, według mnie, niesprawiedliwość.

Niech się pan poczęstuje, panie Feliksie, bardzo proszę.

Jestem w domu o wpół do trzeciej.

Anna odkłada słuchawkę i stoi przez chwilę oparta o biurko; w sekretariacie teatr podczas przerwy w próbie panuje tłoki gwar, wszyscy załatwiają jakieś sprawy, chcą skorzystać z telefonu ale gdy kolej nadłóż wyciąga się do aparatu, rozlega się dzwonek i Anna pierwsza chwyciła słuchawkę.

- Ach, panie Feliksie!

- woła.

- W kuchni wszafce podoknem.

Polewej stronie!

Po lewej!

Podrugiej stronie przewodu trwa cisza.

- Przepraszam - odzywa się po chwili kobiecy głos.

- Czy to teatr?

- Teatr.

- I pani Anna Turoń?

Poznałam panią od razu pogłosie.

- Tak, Anna Turoń przy telefonie - potwierdza coraz bardziej zdumiona Anna.

- Tu telegraf.

Jest depesza do pani.

Z Paryża, więc pozwoliłam sobie panią odszukać, żeby przetelefonować.

/- Z Paryża.

- Anna opiera się o Sewercia Bobrowskiego, nogi podnię mięką.

/- Tak.

Życzy pani sobie, żeby przetelefonować treść czy też przesłać pani telegram.

- Ależ proszę przetelefonować.

Przede wszystkim.

Kto? Kto wysłał ten telegram?

- Marcel Sol-di-vier - odczytuje wyraźnie telegrafistka.

- Och, Sewerciu!

- szepcze Anna.

- Marcel Soldivier - powtarza telegrafistka.

- Czytać treść telegramu?

- Ależ tak!

- woła Anna.

- Proszę!

- "Napisałem dla pani scenariusz.

Stop.

Proszę przyjechać na zdjęcia próbne.

Stop.

Zwrot wszelkich kosztów zapewniony.

Stop.

200 pozdrowienia.

Marcel Soldivier".

- To już wszystko, proszę pani - woła telegrafistka, zdumiona milczeniem Anny.

-Słyszała pani wyraźnie?

Powtarzam: "Napisałem dla pani scenariusz.

Proszę przyjechać na zdjęcia próbne.

Zwrot wszelkich kosztów zapewniony.

Pozdrowienia.

Marcel Söldviev".

Przepraszam - czy to ten Marcel Söldviev?

- Tak, to ten Marcel Söldviev.

-Gratuluję pani.

Wszystkie gratulujemy pani, bo koleżanki oczywiście już wiedzą.

- Dziękuję - mówi Anna bezbarwnie.

-Czy telegram przesłać pani do domu, czy do teatru?

- Do teatru, jeśli uda się to zrobić przed drugą.

- Oczywiście.

Do widzenia pani.

- Do widzenia.

Dziękuję.

- Söldviev?

-powtarzają wszyscy skupieni wokół Anny.

-Telegram od Söldviera?

- Tak - potwierdza cicho Anna.

Opiera się wciąż o Bobrowskiego, jest zupełnie oszołomiona.

- Czego chce?

-Ewka Zabięto przepycha się ku Annie.

- Chce, żeby przyjechała na zdjęcia próbne.

-A scenariusz?

- Właśnie napisał.

napisał dla mnie scenariusz.

- Ale ty go nie czytałaś.

To impertynencja proponować aktorce rolę, nie zapoznawszy jej ze scenariuszem.

- Nie bredź!

-Sewercio odsuwa Ewkę od Anny.

-Ileż to razy grałaś w naszych filmach i nie widziałaś żadnego scenariusza naoczy?

- Bo to były ogony, nie role - dodaje ktoś zgryźliwie.

-Zawsze znałam scenariusz - upiera się Ewka.

- Trzeba chyba wiedzieć, w jakim masie zagrać filmie.

-Wystarczy, że w filmie Söldviera.

To chyba wystarczy!

- Ale przecież nie obrazi się - Ewka Zabięto-Tereszkiewiczowa ma zamiar zmienić zdania - jeśli odtelegrafujesz, że przosisz o scenariusz.

-Oczywiście - popierają ktoś stojący w głębi.

- Nie wiem jeszcze, co zrobić - mówi Anna.

Przykro jej, że wynikiładyskusja nad telegramem Söldviera, że w ogóle wszycy się o nim dowiedzieli.

Nie spodziewała się przede wszystkim, że 201.

Ewka zajmie taki stanowisko i bardzo pragnie wierzyć, że tylko przyjaźń i pragnienie, żeby jej przyjaciółce okazywano należny szacunek, jest tego powodem.

Bo.. w gruncie rzeczy Tereszkiewiczowa (bardzo zhardziła, dodawszy sobie to drugie nazwisko) marację.

Ma rację, nie wiedząc nawet, ile lekceważenia okazał jej Söldviev w Cannes.

Ile przez niego wycierpiała.

Ilenajadła sięwstydu przed samąsobą.

I nagle: "Napisałem dla pani scenariusz,proszę przyjechać na zdjęcia próbne".

Cóż on sobie właściwiewyobraża?

Że wystarczykiwnąć na nią palcem.

- Koniec przerwy!

-obwieszcza inspicjent.

- Kochana -mówi Ewka, całując Annę.

-Zrobisz,jak zechcesz.

Ja ci tylko dobrze radzę.

- Ależwiem -Anna oddaje pocałunek.

-Powinnyśmy się szanować.

Zwłaszcza na forum międzynarodowym.

- Daj jejspokój - Sewercio Bobrowski po raz drugi odsuwająodAnny.

-Spiesz się na próbę, maszpierwszą kwestię.

-I gdywszyscyaktorzywchodzą na salę prób, zatrzymuje Annę nachwilę wsekretariacie.

- Nie bądź głupia!

-mówiz prawdziwąserdecznością.

- Szacunek jest niesłychanie godnymuczuciem.

Ale nikt się nimjeszcze nie najadł, nie ogrzał ani sięw niego nieubrał.

A najgorzejjest wtedy,gdy człowiekchorobliwego pragnieichcenim zastąpić wszystko inne.

Nic głupszego pod słońcem.

Dostałaś propozycję - ciesz się nią i nie oglądając sięnanić,jedź tam natychmiast.

Bobrowski ci to mówi,do któregoani razunie uśmiechnęło się słońko.

Anna dopieroteraz uświadamia sobie, że najbardziej przerażające jest to, iż w całej tej sprawie nie pozostawiono jejnajmniejszego choćby miejscana radość.

Niktjej nie pogratulował, nikt niepowiedział, że się cieszy.

Jeden Bobrowski w swoisty dla siebie sposób.

A przecież powinna się cieszyć!

Powinna skakać zszczęścia, nie dopuszczając do siebie żadnej myśli prócz tej, że takniespodziewanie i tak bardzo powiodło jej się w życiu.

Próba ciągnie się niemrawo,Annaz trudem usiłujesię skupićnad swoim tekstem, nade wszystko pragnie, żeby nikt nie posądziłjej oto, żelekceważy już sobie udział wsztuce, że już nie zależyjej na roli, skoro zaproszonoją,skoro jedzie do Paryża.

Jeszcze nie powiedziała ani słowa, ale oni już są pewni, głowę daliaby202za to, że tam pojedzie.

Wydaje jej się (może jest tak naprawdę?

),że wszyscy -a szczególnie reżyser - patrzą na nią z pretensją.

Spłatała bliżnimpaskudnego figla i długo niebędą mogli go jejwybaczyć.

Ale przecież to nie ona, to Soldivier goimspłatał.

O Boże!

Dlaczego niedodał do swojejdepeszy tego jednego zdania: Scenariusz w drodze.

- Dokąd cię podrzucić?

Do domu?

Czy do przedszkola?

- pytaEwka po próbie.

Jeździ teraz citroenem Tereskiewiczza ichoćrzadko proponuje Annie podwiezienie, tym razemrobi to znatarczywąserdecznością.

- Dziękuję -Anna w pośpiechu wciąga kurtkę.

-Mam podrodze mnóstwo sprawdo załatwienia.

Ado przedszkola nie jadę.  
Sebastian jest w domu- ma anginę.

- No widzisz -mówi Ewka.  
-Jeszcze ito!

Jeszcze i to!  
- powtarza sobie Anna.

Nie, w całej tejsprawienaprawdę nie ma miejsca nawet na odrobinę radości.  
Jak czułabysię w Paryżu, zostawiwszy tu chorego Sebastiana?

Wprowadzieangina u dzieciimija bardzo szybko, aleczasem zdarzają się powikłania ipowinna przynajmniej odczekać do momentu, kiedy będzie można mieć pewność, że sięjuż niewywiążą.

Prośba o przysłanie scenariusza da jej kilka dni zwłoki, tak potrzebnej w tejsytuacji.  
Kilka dni zwłoki!

Soldiviernie wyobraża sobie chyba, żeona natychmiast rzuci wszystko i zaraz zjawi się w Paryżu.

Anna jedzie na poczcie poprosiwszy o blankiet telegraficzny, wypisujena nimdużymiwyraźnymi literami: DZIĘKUJĘ ZAPROPOZYCJĘ STOP PROSZĘ  
OSCENARIUSZ STOP POZDROWIENIA ANNA TURONÓDopiero po opuszczeniu poczty zdaje sobie sprawę, że przezcały ten czas nie pomyślała o tym, żeby zasięgnąć radySzymona. Bałasię?

Aleczego się bała?

Powinna byłazadzwonićdo niego, powiedziećmu o tym, może zapytać.

Czy słusznie sądziła, żeSzymon lubi, Szymon woli, żeby sama podejmowaławażnedecyzje?  
W końcu to ona przecież zadecydowała o ich małżeństwie, o przyjsciu na świat Sebastiana.  
Kiedysędzia wraca do domu (i jak nazłośc tak wcześnie!

Dlaczego akurat niemiał tego dniariozprawy, wizji lokalnej, jakichśinnych sądowych czynności.

), Anna bez słowa kładzieprzed nim na stole depeszę od Soldiviera.

203. Szymon czyta ją powoli i uważnie, długo nie możeoderwaćwzroku od trzech linijek tekstu, a potem podnosi oczy i pyta:- Kiedy jedziesz?

Tego Anna się nie spodziewała.

Stoipo drugiej stronie stołów zapadłenagle ciszy, boi w pokoju obokSebastian, o słuchuwyczulonym nawypowiedzianeprzez ojca słowo, przestaje przekomarzać się z panemFeliksem, stoiinagle pragnie zapłakać, głośno irozdzierająco, jak płaczesię nieczęsto w życiu.

- Kiedy jedziesz?

-powtarza Szymon.

-Bo jeśli chodzi o Sebastiana, to przecież panFeliksi ja. mógłbym nawet wziąć zwolnienie wsądzie, wkońcu są sytuacje.

- Kiedy dostałam propozycję z Meksyku.

-szepcze Anna.

- Och, to było zupełnie coinnego.

Nie wiedziałaśnic o ludziach, którzy cię zapraszali.

A tu w końcu Soldivier.

Jego nazwisko.

- Jego nazwisko.

-powtarza Anna wciąż z tym samym, rozsadzającym gardło pragnieniem wielkiego płaczu.

Nie wie, niemoże wiedzieć, że Szymon po przeczytaniu w warszawskiejprasiekorespondencji z Cannes zapragnął dowiedzieć się czegoś bliższe- fgoofrancuskim reżyserze, że zadzwonił doznajomego, któryodlat był członkiem Dyskusyjnego Klubu Filmowego, a nawetdoredakcji



jednego z filmowych pism i teraz, kiedy r<sup>o</sup>wił o Soldivierze, wiedziało nim więcej niż ona sama.

- Nazwisko Soldiviera liczy się w światowym kinie i jeśli proponuje ci udział w swoim filmie.

- Odelegrowałam, żeby przysłał mi scenariusz.

- Co zrobiłaś?

- Napisałam, że dziękuję za propozycję i proszę, żeby przysłał mi scenariusz.

- Żeby przysłał ci.

scenariusz?

- Mam chyba prawo wiedzieć - Anna przeżyła swój płacz, teraz zaczyna dusić ją wściekłość, tym większa, że sama mam chyba prawo wiedzieć, jaką rolę mi proponuje.

Aktorki nacały w świecie czytają scenariusze.

przebierają w scenariuszach, akceptują albo odrzucają.

- Na litość boską!

- szepcze Szymon.

Ze zgrozą, z żalem, z zdumieniem - z tymi wszystkimi uczuciami, z jakimi zapewne Soldivier odbierze jej telegram.

Na litość boską!

Oszalałaś!

204- Dlaczego oszalałam?

- krzyczy Anna całe mieszkanie, aż na Felix rad by pod ziemię się zapaść, zamknąć się w łazience, uciec do siebie.

- Dlaczego oszalałam?

Bo chcę, żeby mnie szanowano?

Żeby mnie traktowano jak inne aktorki?

Och, żebyś wiedział, jaki on jest pyszny!

Jaki pewny siebie!

- Kto?

- Soldivier.

- Nigdy nic o nim nie mówiłaś.

- Bo nie musiałam, Inie chciałam.

Po co miałabym o nim mówić?

Szymon milknie.

W drugim pokoju pan Felix zaczyna w panice opowiadać Sebastianowi bajkę o kotku doszczętnie zżartym przez mole, piętro wyżej wytapiacz Wieczorek wrócił z pierwszej zmiany na cały regulator włącza telewizor, przed blokiem wrzeszcza dzieci, ktoś woła psa.

- Powtórz jeszcze raz - odzywa się wreszcie Szymon - co napisałaś w tym telegramie?

- Napisałam.

- głos Anny staje się głosem małej dziewczynki, którą musimy wyznać swoją winę.

- Ale dosłownie!

- Dosłownie: Dziękuję za propozycję.

- To tak, jakbyś w ogóle dziękowała mu za propozycję, nie chcąc jej przyjąć.

- Ale potem napisałam: Proszę o scenariusz.

- I nic więcej?

- Pozdrowienia.

Szymon znów milknie, pan Felix obskubuje nieszczęsnego kotka z resztek futra, wytapiacz Wieczorek musi być chyba głuchodółcą panujących w hucie, dzieci przed blokiem bawią się coraz hałaśliwiej, pies się nie odnalazł i wołający go głos zaczyna nabierać akcentów nasilających się rozpacz.

Anna opiera głowę o stół, zaciska palce na jego brzegu.

- Myślisz, że on w ogóle już się nie odezwie?

-Tak sędę.

- Mama nigdzie niejedzie?

-woła Sebastian z drugiegopokoju.

205.XIVSzymonmiafrację.

Soldivier się nie odezwał.

Dwa tygodnie,które minęły od dnia wysłania do niego telegramu, były dla

Annywypełnioneokrucieństwem czekania, żalemdo siebie, wstydem wreszcie.

W teatrze nie byłajuz tą,której Soldivier zaproponował rolę w swoimfilmie, ale tą, której nie przysłał scenariusza, gdytego zażądała.

Słyszała nieomal, jakśmiejąsię z niej wszyscy poza jejplecami.

Nie powiedziała nikomu, ilepychybyło w Soldivierze, a teraz jej samej ją przypisywano - aktoreczka z prowincjonalnej w Europie stolicy wymaga od Soldiviera, żeby przysłał jej scenariusz do wglądu!

W domu panował przyczajony spokój.

Szymon, gdy nie wracał potrzebniej dodomu, dzwonił teraz zawsze i pytał: co słyhać?

Miała nawetochotę mu powiedzieć, żeby przestał telefonować, raz nawet nie podniosła słuchawki, tłumacząc Sebastianowi,że przepowiada sobie rolę i że nie chce, żeby jej w tymprzeszkadzano.

- Cośkręcisz - powiedział Sebastian.

Wyzdrowiał bardzopędko, już nazajutrz po owymfatalnym dniu, w którymwysłałatelegram do Soldiviera, nie można było utrzymać go w łóżku, rwałsiędoprzedszkola, do Klemensaoczywiście, tego można było byćpewnym.

- Chcesz gozarazić?

Anna znalazła wreszcie sposób, żebyzatrzymać go w domu.

- Ja- Klemensa?

-Ty -Klemensa.

Chyba przykro by ci było, gdyby zachorował.

- To ja jestemjeszcze zaraźliwy?

-Tak, jeszcze można się od ciebie zarazić.

Więcsiedź w domu inie grymaś.

- Dlaczegojesteśzła?

-Wcale nie jestem zła.

Co ci przychodzi do głowy?

- Jesteś.

Nie lubisz już nas?

Tatusia?

I mnie?

-Ach, co ty wygadujesz?

- Annie zrobiło się przykro.

Czy rzeczywiściejejzły humor przejawiał się dokuczliwościąwobec Szymona i Sebastiana?

Jeśli tak, to byłogorzej niżmyślała.

Było całkiem źle.

Niemiała zamiaru aż tak się poddawać, aż tak206uginać karku przed losem, który w tychdniach przyoblekł postaćMarcela Soldiviera.

- Nie lubisz już nas- powtórzyłSebastian tymrazem twierdząco.

-Nie mów takichgłupstw!

- Anna pocałowała syna w głowę.

--Poszperam dziś po księgarniach.

Może znajdędlaciebie jakąśnową książeczkę.

- Z kolorowymi obrazkami!

-Oczywiście, że z kolorowymi.  
Żebyś ty tylko! Szczyście dostała coś takiego.  
-Nie robią?  
- Robią, tylko pewnie za mało.  
-A dzieci jest za dużo?  
- Tak by wyglądało - roześmiała się.  
Ale Sebastian pozostał poważny.  
- Omnie za dużo?  
-Co ty pleciesz?  
- Bo wciąż czegoś dla mnie nie ma.  
Iniewiadomo coze mną zrobić.  
Pan Feliks musi przy mnie siedzieć.  
- Ależ on to lubi, skarbie!  
-Anna znów pocałowała syna.  
-I mama lubi siedzieć przy tobie.  
I tatuś.  
Kiedy tylko mają czas.  
- To nie jest o mnie za dużo?  
-Wcale nie!  
- Annę ogarnęło wzruszenie, którego dawno nie doznawała.  
Wiesz.  
może nawet za mało.  
- Coto znaczy- za mało?  
-Bo mógłbyś mieć siostrzyczkę.  
Gdyby ty tylko miała więcej czasu.  
- Po co ci na to czas?  
-O, na to potrzeba czasu.  
Dużo czasu!  
Musiałabym pójść do szpitala i stamtąd przyniosłabym ci siostrzyczkę.  
- Nie chcę!  
-Sebastian przytulił się do matki.  
-Nie idź do szpitala.  
Tam ludzie umierają.  
- Kto ci to powiedział?  
-Pan Feliks.  
On bardzo boi się szpitala.  
To, że Sebastian nie pragnie siostrzyczki, było pewnym pocieszeniem, ale iroczarowaniem także- sama jedynaczka nieraz czyniła sobie wyrzuty, że pozbawia go rodzeństwa.  
Drugie macierzyństwo mogłoby być skuteczną ucieczką od zawodowych udęk, od ambicji pożerających jej duszę.  
Pieluszki, smoczki, zupki, przecie207.  
ranę jarzynki, czy to nie było dla kobiety lepsze od.  
Od czego?  
-krzyknęła nagłos.  
- Od czego?  
-A teraz znówu krzyczysz- stwierdził ze smutkiem Sebastian.  
Drugi telegram od Soldiviera przychodzi w momencie, kiedy Anna dogryza samą siebie.  
Wiedział dobrze, co robi, zostawiając ją dwa tygodnie na żal, na zde gustowane rozmyślanie, na wściekłość i piekące niezadowolenie z siebie.

Bo kiedy listonosz po raz drugi przynosi jej do teatru depeszę z Paryża - jej treść ją uskrzydla, rozświetla, wypełnia radością i triumfem, którego się niespodziewała.

Wywołana po odbiór depeszy do sekretariatu, biegnie powrotną scenę i - tak, tak! odważa się przerwać próbę, wręczając reżyserowi blankiet telegramu.

- Co to jest?

- pyta zdumiony.

- Depesza.

Depesza z Paryża.

Od Marcela Soldiviera.

Przyjeżdżaj tu, żeby się ze mną zobaczyć!

Proszę więc o zwolnienie próby.

- Na cztery dni przed premierą?

Na trzy dni przed próbą generalną?

- ryczy reżyser.

Nie jest to ktoś gościnnie robiący w teatrze sztukę, ale dyrektor artystyczny, który sam reżyseruje rzadko, jest to wtedy absolutny ewenement, święty stan pogotowia dla całego teatru, każdy siłuje być najlepszy, uczestniczyć całym sobą w tym niezwykłym wydarzeniu, a już na pewno nie przeszkadzać, nie przeszkadzać, dyrektor zalicza się wprawdzie do ludzi skochanych aktorów, ale są chwile, kiedy - zapominając tym - potrafi zachować się jak ostatni cham.

- Co pan sobie właściwie wyobraża?

- Wyobrażam sobie.

- Anna nie spuszcza z dyrektora roziskrzonych oczu, wie, że ma do niej słabość, a prócz tego nikt nie jest w stanie osłabić w niej uczucia równającego się w niebostąpieniu - wyobrażam sobie, że pan dyrektor całą życzliwością dla mnie zwróci mi próbę.

- Jeszcze życzliwość pani zachciewa, kiedy mnie ślaga może trafić.

Na cztery dni przed premierą rozwała mi pani przedstawienie!

- Ależ ja będę grała!

Będę grała, panie dyrektorze!

Jeszcze nic nie wiem, nie mam pojęcia, co zaproponuje mi pan Soldivier.

Na scenie trwacizna.

Aktorzy znieruchomieli w miejscach, w których ich zatrzymała swoim wtargnięciem w granę przez nich 208 rzeczywistość.

Choć dyrektor może za chwilę eksplodować, wszyscy są po jej stronie, wszyscy patrzą na nią z podziwem.

Nie jest już aktorką zaproszoną do udziału w filmie przez Marcela Soldiviera, którego poprosił o scenariusz, a on jej nie przysłał, jest tu, dla której Marcel Soldivier przyjeżdża do Warszawy, choć najęszcze niewie, czy przyjmie jej propozycję.

O dziwo, dyrektor nie eksploduje.

Patrzy nawet na Annę również z podziwem, ale jest to podziw przede wszystkim dla jej bezczelności.

- Będzie pani grała!

Bo jeszcze nic pani nie wie!

A jak się paniidowie?

Wtedy przyjdzie pani do mnie i powie mi.

Anna podnosi rękę idotyka guzika przy dyrektorskiej kurtce, nie kręci go, ale gładzi dwoma palcami i jest w tym i prośba, i pieśczoć.

- Powiem - niech mi pan tego nie psuje!

Dyrektor (do diabła!

ma przecieży opinię, że kocha aktorów, że zawsze stara się iść im na rękę) chętnie by strzepnąłdłoń Annyzeswojej kurtki, ale wszyscypatrząna niego: aktorzy, maszyniści; suflerka i inspicjent z za kulis, wszyscy patrzą naniego, więc musisięopanować, woli sięopanować, padłotuwońcu nazwiskoSoldivierai znaczy onocośdla tych ludzi.

- Dobrze!

- godzi się, wykrzywiając szczękę.

Niech pani idzie jutro do tego swego Francuza.

Uskrzydlenie Anny nie mija, może nawet potęguje się po tych słowach, bo unosi się lekko ku dyrektorowi całego w świetni wygolonych policzek.

Nie jest to dla obojga nieprzyjemne, dyrektor wreszcie się uśmiecha, aktorzy, maszyniści i inspicjent w kulisach biją brawo - i tak się kończy ten pierwszy etap walki, którą znów podejmuje Anna.

Po wyjściu z teatru wpada do zaprzyjaźnionej kawiarni stamtąd dzwoni do Szymona.

Nie skorzystała z telefonu w teatrze w obawie, że trafi na panią Wisię i będzie musiała przy tyłu świadkach składać przed nią "zeznanie na okoliczność telegramu z Paryża".

- Istotnie, telefon przyjmuje pani Wisia.

- Sędzia Turoń jest na rozprawie obwieszcza ze zwykłą satysfakcją - Czy nie będzie wkrótce przerwy?

- Przerwa właśnie się skończyła.

209.

- Jak długo może potrwać rozprawa?

- Tego nikt nie wie, proszę pani.

- Gdyby.

gdyby jednak mój mąż zjawił się w sekretariacie, proszę mu powiedzieć, że dostałam telegram z Paryża.

- Dobrze, powtórzę.

- I proszę jeszcze powiedzieć, że Soldivier przyjeżdża jutro do Warszawy.

- Kto, proszę pani?

- Marcel Soldivier.

- Zaraz zapiszę.

Proszę przeliterować nazwisko, - Och, nie trzeba.

Niech pani powie, że reżyser z Paryża przyjeżdża jutro.

Do widzenia.

- Do widzenia - w pełni zadowolona z siebie odpowiada sekretarka wydziału.

Co za babsztyl!

- myśli Anna, odkładając słuchawkę.

Nieraz miała ochotę pójść do sądu i przyrzeć się temu Gerberowi w spódnicy, no ale teraz na pewno nie jest czas po temu.

W drodze do przedszkola wstępuje do kilku sklepów, trzeba zaopatrzyć dom, bo przecież jutro nie będzie robić zakupów, nie chce przyjść do "Victorii", gdzie ma na nią czekać Soldivier, zziębnięta i objuczona siatkami.

Postanawia, że tego wyjątkowego dnia nie będzie w ogóle wyglądać na osobę, która kiedykolwiek dźwiżyła torbę z kartoflami.

Może nawet włoży kapelusz, myśli, ale nie miała kapelusza na głowie wieki całe i boi się, że sama sobie wyda się w nim prowincjonalna i śmieszna.

- Dlaczego nie mówisz?

- dopytuje się Sebastian, gdy ciągnie gozarekę do tramwaju.

- Mamusi myśli - odpowiada dziecku.

- Przepowiadasz sobie rolę?

- Żebyś wiedział jaką!

-Ważną?

- Bardzo ważną!

Na razienajtrudniej jest doczekać się powrotu Szymona.

- Oczywiście - nie powiedziała ci?

-woła, gdy maż staje naprogu.

- Kto?

Co? - pyta zdumiony.

- Pani Wisia!

Dzwoniłam do niej.

Czy ktoś tylko z tego powodu, że stoi przed emeryturą, ma prawo być tak impertynencki?  
210 Czy Szymona nachwilę nieruchomością, a potem pojawia się w nich krótkibłysk rozbawienia.

Widocznie uważa, że nie warto już zmieniać sposobu bycia.

Ale o czym miała mi powiedzieć?

Anna w jednej chwili zapomina o pani Wisi.

Wyjmuje z torebki telegram.

- Soldivier przyjeżdża jutro do Warszawy.

Będzie czekał namnie odwunastej w "Victorii".

- Mój Boże!

- mówi Szymon.

Tylko tyle: Mój Boże!

- I tak bardzo nie wiadomo, co to znaczy, że Sebastian, widząc obejmujących się rodziców, również obejmuje ich swoim zwyczajem zakolana i przytula do nich twarz.

Nazajutrz punktualnie za dwiedwunasta Anna wkracza doholu hotelu "Yictoria".

W obawie, żeby się nie spóźnić, przyjechała wcześniej, ale krążyła opodal, co chwila spoglądająca na zegarek.

W "Victorii" była tylko raz przedrokiem z Ewką i jej malarzem, gdy ten nie wiedział jeszcze, czy zabrać się do odbijania Anny sędziemu, czy też - bez tych podniecających trudności - zająć się wolną Ewką.

Wtedy, przed pobycem w Cannes, hotel zrobił na niej duże wrażenie, a i teraz jeszcze, choć mieszkała w "Carltonie" i bywała w "Majesticu", hotel "Victorii" wydaje jej się wycinkiem innego świata, rzuconym w szarość stolicy.

Anna mruży oczy przed światłami jarzącymi się w suficie nad recepcją i nagle doznaje uderzenia w piersi - Soldivier już tam stoi, przy ladzie recepcji, lekko oną wsparty; ma na sobie prawie białe spodnie i jasno granatową marynarkę ze złotymi guzikami, jakby to było lato, a on wybierał się na regaty.

Dostrzegł ją daleka, ale nie idzie jej naprzeciw, to ona zbliża się do niego i poraz pierwszemu uczucie, że Soldivier naprawdę patrzy na nią.

- Witam panią - mówi.

- To ja witam pana w Warszawie.

- Annie przypominasz powitanie Soldivierów na lotnisku w Nicei, gdy on, unosząc w górę Isabelle, wraz z jej torbą podróżną, wołał: "Witaj w Europie i w moich objęciach!"

"Och, dobrze by było, gdyby i teraz Isabelle była z nimi!"

Rozmowa potoczyłaby się na pewno naturalnie i lekko, bez tego skrepowania, które przynajmniej Annie maści oddech i paraliżuje wargi.

- Dobrze miał pan podróż?

- pyta.

211. - Znakomitą.

A teraz bym coś zjadł.

Mam nadzieję, że jest tu restauracja?

- Sądwie.

-Anna wdzięcznajest Olkowi Tereszkiewiczowi, że dzięki niemu może udzielić tej informacji.

-Są dwie.

Jedna nosi nazwę sali Canaletta, słynnego malarza włoskiego, który żył i malował w Warszawie, malował Warszawę, należałoby powiedzieć, w XVIII wieku.

Utrzymane jest w jasnym kolorze jego obrazów, a nawet jeden z nich zdobi jej wnętrze.

Druga - Hetmańska - jest bardziej mroczna, podaje się w niej przepaź niepotraw z grilla.

- Nieznoszę grilla.

Chodźmy do sali Canaletta.

O tej południowej godzinie jest tu pustawo.

Petrodolarowcy siedzą teraz w kawiarni albo w koktajlbarze z wczesnie zaczynającymi pracę (albo późno ją kończącymi) dewizowymi dziewczynami: tu kilka zaledwie stolików jest zajętych przez stateczne jakiegoś towarzystwa, bez ożywienia prowadzące rozmowy.

Kelnerzy od razu rozpoznają Annę, sam kierownik sali biegnie jej naprzeciw, prowadzi do stolika, co dodaje jej niecopewności siebie, zerka spod oka na swego towarzysza, czy to dostrzegai ocenia: tak chyba w Paryżu i na całym świecie wita się w restauracjach znanych artystów.

Natychmiast zostają podane dwie karty i butelki szroniałej od chłodu wody sodowej.

Kierownik sali, trzymając przy sobie kelnera, nie odchodzi od stolika, pragnie osobiście przyjąć zamówienia.

Soldivier wybiera dla siebie pstrągaw galarecie i to samo zamawia Anna.

- Oczywiście z cytryną - dodaje Francuz.

Boże drogi!

- myśli Anna.

- Teraz się zacznij!

Skąd oni mu wezmą cytrynę?

- Przed miesiącem widziała cytryny na bazarze, kosztowały tysiąc złotych za kilogram; czy restauracja, uspołeczniona restauracja może się odważyć na ich zakup, i w jakis sposób mogłoby się to odbić na ceniedania?

- Oczywiście, z cytryną!

- kłania się kierownik sali.

- I dużo jakichś sałat!

Dowszystkiego jadam mnóstwo różnych sałat!

- Jest sałatkaz cykorii.

- Proszę.

- I sałatka z pomidorów.

212 Tylko, żeby były dojrzałe i obrane ze skórki - dodaje Annano polsku, nie bacząc, że to nietakt, skoro kierownik sali zna francuski.

Ale ogarnia ją przerażenie myślo sałatkach pomidorowych,

podawanych w polskich restauracjach - z zielonych nieobranych pomidorów nieraz schodziły ze stołów nie tknięte i gotowe do podania następnemu klientowi.

- Będzie sałatka z dojrzałych i obranych pomidorów - potwierdza, również po polsku, kierownik sali.

Soldivier uśmiecha się leciutko, pojmująca czym polega ta krótka konwersacja w rodzimym języku.

- A może jest zielona sałata?

- pyta.

- Oczywiście - odpowiada kierownik sali i Anna zaczyna być coraz bardziej nim olśniona.

- Brawo!

- woła Soldivier.

-Dużo zielonej sałaty!

- Spodziewał się prawdopodobnie czegośowielegorszegow skryzysiałej Polsce,może nawet bał się tu jechać iz ciężkim sercem zaryzykowałkilka godzin w tymkraju, a tu tymczasem,proszę bardzo, Europa.

-Jakie podaćwino?

- pyta kierownik sali.

-A macie jakieśprowansalskie?

Noi koniec - myśli Anna - terazbędzie wpadka!

Europa okażesię zafałszowana, a Soldivier choć nie wygląda na złośliwego -będzie miałpowód dotriumfu.

Ale kierownik sali znów się kłania.

- Oczywiście,mamy wino prowansalskie.

Yaucluse - odpowiada panu?

- Owszem- zgadza sięSoldivier, absolutnieświadom potyczki,jaka rozegrała się przy tym stole.

Kiedy kierownik sali wraz z kelnerem oddalają się, żeby zrealizować zamówienie,Soldivierpochyla się nadstołem ku Annie.

- Przyjechałem zamiast scenariusza.

-Och, dziękuję- szepcze Anna.

- Oczywiście sąreżyserzy, którzy piszą scenariusz albobprzyjmują, gdy pisze go ktoś inny, w formie idealnie skończonej zamkniętej, a potem trzymają się go ściśle, opracowując scenopis.

Nie należę do nich.

Ponieważ producent mi wierzy, aija mamdo siebieaufanie, całość istnieje wyłącznie w mojej głowie,nadniektórymi szczegółami pracujeobecnie moja asystentka,a pewne213.

sceny kręcone sąw ogóle jakby z marszu, rodzą się z atmosferynaplanie.

Cóż więc miałempaniprzysłać,gdyzażądała pani scenariusza?

- Przepraszam.

-Nie pogniewałem się.

Zrozumiałem, żewidocznie tak pracujecie w Polsce, albo że jestpani przyzwyczajona do tak pedantycznych reżyserów.

Anna usiłujesobie przypomnieć ze swoichdoświadczeń, jakna przykład pracuje Wojtaszek Tarło, ale Soldivier nie daje jej nato czasu.

- Musiałem więc przyjechać, żebyopowiedzieć pani mój scenariusz - mówi, otwierając, nim zdążył podbiec jeden z młodszykelnerów, butelkęwody sodowej i napełniając nią dwie szklaneczki.

-A ściślej, pani rolę.

- Gdybym wiedziała- szepczeAnna - na co pananarażę.

-Sza!

Ani słowa na ten temat.

Jestem tui opowiadam.

Poczekajmytylko na nasze pstrągiwino.

Wkrótce zamówione danie zjawia sięna stole i Soldivier,skosztowawszy i ryby, i wina,unosi z uznaniem brwi, codostrzeżone zostaje przez trzymającego sięjuż teraz z dalekakierownika sali.

- Zaczynam utwierdzać się w przekonaniu, że "naraziła" mniepani na same przyjemności.

Ale wracając do filmu- nosiłem sięz tym pomysłem od dawna, i Isabelleoczywiście go znała.

Miałemdwa takietematy,o których wiedziałem, że na pewno jekiedyszrealizuję.

Chowałem je w jakimś zakamarku mojej duszy,realizując kolejne filmy, ale natychmiast wracałem do nich, gdyczułem się wolny.



Pierwszy dotyczył mojej matki, która była Norweżką - stąd moje jasne włosy, tak dziwne u Francuza.

Poznałam go ojca podczas wojny, bezustanne zagrożenie tej miłości wydało mi się sprawą dostatecznie wielką, aby ukazać ją w czasach, gdy miłość umiera odznudzenia lubz pętlą codzienności na szyi.

Nie zrealizowałem dotąd tego filmu, bo nienatrafiałem na aktorkę, w której bym widział młodszą moją matkę.

Drugie moje filmowe marzenie - oburzyło się dzięki pani!

- dotyczy naszego domu nad morzem.

- Tego, w którym byliśmy podczas festiwalu w Cannes?

- Tak, naszego domu pod Antibes.

Kupiliśmy gonię tylko starymi meblami, z piwnicą pełną win, ale i z przeszłością, która nie zostawiła śladu, a którą - przebudowaną oczywiście i wzbogaconą, dla potrzeb filmu - chciałoby się ożywić.

Nalać pani wina?

- Tak, proszę.

- Otóż do tego domu, dotychczasowej farmy, którą prowadzili gospodarze, utrzymujący się z uprawy winorośli, trafiła którejś wojennej nocy polska dziewczyna, zbiegła z osławionego "pociągu śmierci", z transportu więźniów, członków francuskiego ruchu oporu, wywożonych z francuskich więzień w głąb Niemiec; inwazja wojsk amerykańskich od południa spodziewana była ładadzień.

Dam pani do przeczytania opracowania historyczne na ten temat, teraz przedstawiam to oczywiście w największym skrócie.

Oddziały maquis starały się jak najbardziej opóźnić jazdę tego pociągu, jak najdłużej zatrzymać go na ziemi francuskiej, rozmontowywano szyny, zmieniano nazwy stacji, między którymi krążył pociąg, nie zbliżając się do granicy.

Trzeba pamiętać, że był to lat czterdziestego czwartego roku, w Normandii już w czerwcu wylądowali alianci tego samego oczekiwano na południu Francji, gdzie szczególnie silne były zgrupowania partyzanckie; na terenie całej Francji walczyło w nich około trzydziestu sześciu tysięcy Polaków.

- Nie wiedzieliśmy o tym.

- I na ten temat dam pani coś do poczytania.

Lubię, gdy aktor pieraswoją rolę o rozległą o niej wiedzę.

Nie wszystko oczywiście przechodziło filmu, ale czasem jedna obudzona refleksja może okazać się nader ważna i zapładniająca.

A więc Maria - tak ją nazwijmy - jest jedną z Polek, które walczyły w oddziałach maquis.

Ale już nie walczy, schwytana i pokonana jedzie w zamkniętym wagonie, z więzienia do któregoś z obozów koncentracyjnych na terenie Rzeszy.

Małe okienko jest zakratowane, drzwi zamknięte żelazną sztabą, ale jest podłoga z desek, z przyjaznego, dającego się strugać każdym metalowym przedmiotem drewna.

I więźniowie usiłują tą drogą opuścić wagon.

- Czy podać coś jeszcze?

- pyta młody kelner, pod którego opieką kierownik sali pozostawił stolik Anny i Soldiviera.

Sprzątnął talerze popstrągach i czeka na dalsze dyspozycje.

- Może coś gorących zakąsek?

- Chętnie - godzi się Soldivier.

- Z przyjemnością zjemy jakąś gorącą zakąskę.

215. - Jest boeuf Strogonow?

- pyta Anna.

Przypomina sobie, żejadła tu to danie z Ewką i Olkiem Tereszkiwiczem; sporządzonez soczystej, mięciutkiej polędwicy - było znakomite.

- Oczywiście, proszę pani- potwierdzakelner.

-Wobec tego dwa razyboeufStrogonow - zamawia Soldivier, pragnąc jak najprędzej powrócić do przerwanej opowieści.

Podejmuje ją natychmiast, gdy kelnersię oddała.

- Maria jestostatnią z grupy,która podczas biegu pociągu przez otwór w podłodze wydostaje się z wagonu.

Niech ta scena pani nie przeraża,będzie pani miała dublerkę, anawet chyba dublera w odpowiedniej charakteryzacji.

Jest ranna, nie ma dośćśił, żeby od razuz nasypu kolejowego schronićsię wlesie, ciągnącym się wzdłużtoru.

Towarzysze czekająna nią dość długo, w końcu dochodzą downiosku, że chybanie zdecydowała się na skok i oddalają sięwgłęb lasu.

O świcie znajduje nieprzytomną Marięw rowie opodal drogi młody chłopak, wiozący mleko z pobliskiej farmy domiasta.

Załadowawszy ją na furmankę, okrywszyplandeką natychmiast wraca do domu.

Tu - a jest to właśnie nasz dom podAntibes - Maria przychodzi do zdrowia pod opieką matki Jeana,która pod nieobecność męża, przebywającego w niewoli niemieckiej, gospodarujena farmie tylko przy pomocy syna i nieletniejsłużącej Rosalie.

Nie potrzeba zbyt długiego czasu, żeby Jean zakochał się w Polce, a i ona chyba zaczyna darzyć go uczuciem,gdyż to onnajczęściej zjawia się w domku w ogrodzie, który jestjekyllówką,przynosząc lekarstwa i jedzenie.

Kiedy jednakdochodzi między nimi do zbliżenia wbrew jej woli, kiedywłaściwiezostaje prawie zgwałcona przez wpółprzytomnego z pragnieniachłopaka, Maria z przerażeniemwita każde jego przyjście, ponieważ taksamo, jak jego, boi się chyba i siebie.

Kiedytylko aliancizajmują Marsylię,Maria natychmiast opuszczafarmę i udaje siętam wposzukiwaniu rodziców, którzy razem z niązostali aresztowani przez Niemców.

- Soldivier podnosi do ust kieliszek z winem, milczyprzez chwilę, Umoczywszy w nim wargi.

-KiedyIsabelle zobaczyła panią w samolocie, pomyślała od razu, że mogłaby pani zagrać tę rolę, ponieważ jest panidość młoda, żeby byćmłodziutką Marią,a także mogłaby panibyć Marią wwieku dojrzałym, ta opowieść bowiem ma kłamrę współczesną.

Za udziałempani w tym filmie -według Isabelle - przemawiał ponadto leciutki216cudzoziemski akcent, który już po pierwszym słowiebudzi wzruszenie.

Towszystko- wedługIsabelle; przyznaję, że dośóddługomusiała mnie przekonywać,abym wreszcie itym razemzawierzyłjejintuicji.

Anna milczy.

Kochana, dobra, mądra Isabelle!

Jakże jej terazbrakowało przy tym stole!

Zjawia się kelner z kokilkami, pachnącymi z daleka duszonąw pikantnym sosie wołowapolędwicą.

Niestety,nie jesttak miękka jak ta, zachowana przez Annę w miłym wspomnieniu.

Soldivier czym prędzejpowracadoprzerwanego tematu.

- Bo, jak powiedziałem, opowieśćma kłamrę współczesną.

Zaczyna się w Warszawie.

Maria jestdojrzałą kobietą, któraniemprzeszła obok swego życia, ale wzięła na siebie cały jegociężar,teraz zamyka właśnie jedenz jego etapów,żegna się z mężem,którego co dnia odwiedza w szpitalu.

Któregoś dnia przynosiotrzymane właśnie z Francjizaproszenie na odsłonięcie w Tuluziepomnika dowódcy oddziału maquis, doktóregonależała.

Pokazuje jej mężowi.

Kiedy to ma być?

- pyta.

-Za miesiąc, odpowiada Maria.

- Jest jeszcze trochę czasu, mówi mąż.

-Tak, jest jeszcze trochę czasu, powtarza Maria.

A mąż pyta: Czy to ten, którego zdjęcie przez cały czas - nie zaprzeczaj, już teraz możesz nie zaprzeczać - ukrywałaś przede mną?

-Nie, to nie ten, odpowiada Maria.

- A kto to jest?

-To chłopak, który znalazł mnie, kiedy uciekłam z pociągu.

- Dlaczego nie chciałaś nigdy o nim mówić?

-Wydawało ci się, coź miałam o nim mówić prócz tego, że uratował mi życie?

Anna słuchatego dialogu, chłonąc go z uwagą.

Wie, że Söldivier, jak wszyscy reżyserzy, którzy sam piszą dialogi i mają głowie intonację każdego słowa, będzie wymagał powtórzenia jej na planie.

- Prócz tego, że uratował mi życie - powtarza bezwiednie.

-Maria - już wżałobie - długo szpera w szufladzie, żeby znaleźć wreszcie fotografię młodego francuskiego chłopaka i postawić ją na biurku obok zdjęciemęża.

A potem przygotowuje się do podróży.

Odżywają wspomnienia ostatnich przedwojennych wakacji, które spędziła wraz z rodzicami na południu Francji, gdzie zastaje ich wybuch wojny.

Ciągnąc się wzdłuż brzegu plaży, kąpiele w przezroczystej, mieniącej się od słońca wodzie, pod wieczorki na tarasach nadmorskich kawiarni, gdzie wiatr rozdzierał włosy i chłodził skórę pleców i ramion, nagrzaną w ciągu dnia.

A potem żałoba i surowość pierwszych miesięcy wojny wreszcie wyjście z zagubienia, odnalezienie innych ludzi, którzy także pragną walczyć.

Grupa kombatantów, przybyłych do Tuluzy na odsłonięcie tablicy ku czci dowódcy ich oddziału, nie jest zbyt liczna.

Wielu mężczyzn jest już bardzo posuniętych w latach, Mariausiłuje zidentyfikować ich z bohaterskimi młodymi ludźmi, których zachowała we wspomnieniu, bezskutecznie.

Dopiero rozmowy przy lampce wina, zorganizowane w pobliskiej restauracji przez komitet odsłonięcia tablicy, ożywiają pamięć, ludzie mieniają miejsca przy stole, przysiadają się do tych, z którymi łączyło ich coś wojennych dniach.

Choć trwa to dość długo, przed restauracją spaceruje wciąż tęgawy mężczyzna, nie przestając wyczekująco spoglądać w jej drzwi.

Kamera wychwyciła go już wśród obecnych podczas odsłonięcia tablicy. Stał nieco na uboczu i nie zdejmował oczu z Marii, nie mogąc ukryć podniecenia odchwili, gdy się pojawiła.

Kelner sprzątnął kokilki i z kartą wręku zatrzymał się wyczekująco przy stoliku.

Söldivier wyciąga po nią rękę.

- Zjemy coś jeszcze?

Co może pan polecić?

- Pierś pieczonego indyka z borówkami.

-Brawo!

Od dawna marzyłem o czymś takim!

- Czy podać drugą butelkę wina?

^^-Zwykle tyle nie piję, ale indyk z borówkami wprost tego wymaga.

-Powtórzyć Vaucluse?

- Tak, proszę.

-Ja także tyle nie piję- wzbraniające uśmiecha się Anna poodejściu kelnera.

- Niech się pani rozgrzeszy na ten jeden raz.

Bądź co bądź pijamy interes.

Bo sztuka między innymi swoimi znaczeniami, posłannictwami i tak dalej, jest także interesem i to dość opłacalnym.

Szanuję ludzi, którzy nie wstydzą się przyznać, że pośród kalkulacji artystycznych- i tę biorą pod uwagę.

Na czym stanęliśmy?

- Przed restauracją chodzi jakiś mężczyzna.

-Właśnie.

Wyraźnie na kogoś czeka.

I kiedy Maria w towarzystwie innych osób opuszcza restaurację, spiesznie do niej podchodzi.

Wiedziałem, że przyjedziesz!

mówi.

218-1 zabiera ją na farmę.

Bo to jest Jean, prawda?

Oczywiście.

Jadą na farmę pod Antibes, ale nie ma tam już matki Jeana, całym gospodarstwem zajmuje się przy pomocy swoich dwóch synów Rosalie, kobieta o rozległym biuście i niespokojnych oczach.

Francuzkom z biegiem lat przybywa ciała zaciętości w traktowaniu życia.

- Jest żoną Jeana?

-Nie.

Nie jest jego żoną.

Zjawia się porcja indyka, białe i soczyste pod przyrumienioną skórką, frytki i salaterka pachnących orzeźwiająco borówek.

- Muszę przyznać - woła Soldi wierzając za sztukę - że grzeszyłem dotąd, nie podejrzewając nawet kuchni polskiej o tyle uroków.

-Och, nasza kuchnia - zauważa niedbale Anna - nie ustępuje chyba francuskiej.

I jest równie sławna!

-Człowieku!

- myśli - zmieniłbyś zdanie, gdybym cię zaprowadziła do kilku restauracji, gdzie jadają zwykli polscy śmiertelnicy.

No i zobaczysz, kotku, ile to będzie kosztować!

Indyk jest rzeczywiście znakomity i pozwala zapomnieć o łykowatej polędwicy, podanej jako boeuf Strogonow, poziom winaw butelce obniża się dość szybko, oczy Soldi wiera, i tak zwykle jakby trochę wilgotne i połyskliwe, nabierają blasku.

-I co dalej?

-pytanie potrzebnie Anna.

- Właściwie już wszystko.

Na farmie wracały wojennyczas, który przeżyła tam Maria.

Ale, niestety, wciąż jeszcze nie jest to przeszłość, przynajmniej dla Jeana.

Maria, choć nie chce dopuścić do siebie tej świadomości, musi w końcu uwierzyć, że nie przestał jej kochać przez wszystkie te lata.

Proszę tylko nie pytać, czym to się kończy.

Nie przyjechałem tu po to, żeby opowiedzieć pani cały scenariusz, zwłaszcza że bardzo często zmieniam zakończenie moich filmów, gdy narracja niespodziewanie unosi mnie ku konkluzjom niezamierzonym, ale nieodzownym.

Przyjechałem tutaj, żeby opowiedzieć pani jej rolę.

Przyjmuje ją pani?

- Dziękuję- szepcze Anna.

-Dziękuję -tak, czy dziękuję - nie?

Ma pani dość nieprecyzyjny sposób wysławiania się.

-Dziękuję-tak!

219.- Wobec tego i ja dziękuję- mówi Soldivier z niezwykłą jak na niego miękkością.

Milczą przez chwilę, patrząc przed siebie.

Jest już po zmianie czasu nazimowy i o trzeciej popołudniu -a dzień jest pochmurny- plac przed "Victorią" tonie w mroku.

- Oznaczatowsumie - odzywasię Soldivier - rolę, jakiej pani chyba dotąd nie miała.

Jest pani prawie przez cały czas na planie.

A więc duża rola, duży udział w zdjęciowych, dużo pieniędzy.

Isabelle przykazała mi, żebym uzyskał dla pani u producenta Balka możliwie najlepszą stawkę.

- Och, jawca nie liczyłam.

-Tylko niech mi pani nie mówi, że nie zależy pani na pieniądzu.

Wyłożyłem już pani mój pogląd na tę kwestię.

Pieniądze są bardzo przyjemnym dodatkiem do życia.

Annę jednak naprawdę bardziej niż honorarium interesuje coś innego.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, to film będzie częściowo kręcony w Warszawie?

-Och, nie - nie mamy na to czasu.

W końcu są tylko wnętrza- szpitalne i domowe, takie jak na całym świecie.

Nakręcimy je oczywiście w atelier w Paryżu.

Anna opuszcza głowę.

"- Anad czym pani teraz дума?

- Mam trzy ipółletniego syna.

-Pięknie!

Sama radość!

- Tak, tylko że wymaga on jeszcze opieki.

-Teraz aktorki stają na planie z niemowlętami przy piersi.

Choć nie powiem, żeby mi odpowiadała tego rodzaju współpraca.

- Towarzyszy im zapewne świetnie wykwalifikowana nurse.

-I pani możecie świetnie wykwalifikowaną nurse.

- Gdzie?

-Gdzie pani zechce.

W Paryżu.

W Antibes.

- Wolałabym w Warszawie.

-A to niemożliwe?

- Prawie nie.

-Dlaczego?

- W naszym kraju ubliża kobietom tego rodzaju rola.

Uważają za uwłaczające pomaganie innym kobietom w wychowywaniu ich dzieci.

Pomoc domowa, niania, gosposia - brzmi u nas jak obraza.

- Ale przecież macie kryzys.

-Widocznie jeszcze taki.

I nie polegający na bezrobociu.

Raczej wprost przeciwnie.

- Wprost przeciwnie?

-Nie tak łatwo to wytłumaczyć.

- Niech się paninie stara.

Nie mam zainteresowania dla tych soraw.

Niewiem, jak pani to robi, ale musi panina czasnieobecności jakoś zorganizować dom.

Powiedziałem: duża rola, dużo dni zdjęciowych, dużo pieniędzy.

Najwyżej cenę w aktorze dyspozycyjność.

Oczywiście wyraża się to nie tylko tym, że mam go naplanie wtedy, kiedy jest mi potrzebny.

Także i tym, że nie obciążony żadnymi innymi sprawami staje się całkowicie otwarty na to, co chcę mu przekazać.

Odkrywam w nim czasem pokłady wrażliwości, których sam się w sobie nie spodziewał.

- Rozumiem - mówi Anna.

Nie wyobraża sobie, iż kiedykolwiek mogłaby stać się tak bardzo uwolnioną od wszelkich innych spraw, żeby osiągnąć tę pełnię dyspozycyjności, o której mówił Soldivier.

Francuz wydaje jej się nagle tak odpychający, jakby wciąż jeszcze byli w Cannes, a on bronił się, bronił wytrwale i odrażająco przed narzuceniem mu przez Isabelle polskiej aktorki.

- Co pani rozumie?

- pyta Soldivier dość oschle.

- Rozumiem, czego pan oczekuje od aktora.

- To świetnie.

Powiedzmy za tydzień przyjedzie pani do Paryża podpisać kontrakt wiać udział w pierwszych przygotowaniach.

Mam na myśli zdjęcia próbne, kostiumy tak dalej.

Potemna jakiś czas będzie pani mogła wrócić do Warszawy, żeby ostatecznie zorganizować swoje sprawy przed dłuższą nieobecnością.

Bo kiedy zabierzemy się ostro do pracy.

- Rozumiem - powtarza znów Anna.

Zaczyna ogarniać ją przerażenie na myśl, że będzie musiała spędzić kilka miesięcy z tym człowiekiem otak zmiennych nastrojach, tak bardzo rygorystycznym wobec siebie i bliźnich.

Czy mogła się jeszcze wycofać?

Niech diabli wezmą te pieniądze, które miała szansę zarobić.

Czym w końcu czegoś brakuje - Szymonowi, Sebastianowi i jej?

Jest oczywiście wiele rzeczy, których niemogą mieć, ale nawet bardzo

bogaci ludzie nie mogą mieć wszystkiego, czego pragną, choćby drugiego człowieka, nie każdy jest do kupienia.

A on co noc może przytulić się do Szymona i nasłuchiwać, jak w drugim pokoju Sebastian słodkoposapuje przez sen.

- A więc jesteśmy umówieni!

Ach, tak!

Nie powiedziałem jeszcze pani, jakich będzie pani miała partnerów.

Młodego Jeana zagra Serge Satie, bardzo dobrze zapowiadający się aktor, wróżę mu dużą przyszłość, jest zniewalająco wzruszający w swojej niewinności, wierzy się - Soldivier uśmiecha się nieznacznie - że dopiero w naszym filmie ją utraci.

Do roli Jeana w późniejszym wieku udało mi się pozyskać Gerarda Valendie - mówi pani coś to nazwisko?

- Oczywiście.

Widziałam kilka jego filmów, choćby ostatni: "Kroki w ciszy nad ranem".

- No to właściwie się znać.

Bo on był w Cannes i widziałem go na pokazie waszego filmu.

- Miłomi.

- Napijemy się kawy?

- Właściwie.

- Anna z trudem zwalcza uczucie rozterki, które nią na chwilę owładnęło - nakawę chciałabym zaprosić pana do domu.

Żeby poznał pan mego męża i syna.

^YSoldivier rozgląda się za kelnerem.

\- Bardzo bym tego pragnął - mówi zdawkowo ale może.

innym razem.

Szybcuteńko (Anna pamięta z Cannes to słowo ustach reżysera) wypijemy kawę tutaj, przeproszę panią, żenie odwiozę jej do domu, i wskakuję od razu do łóżka.

Bardzo jestem niewyspany, a jutro pierwszym samolotem lecę do Paryża.

- I niewidział pan wcale Warszawy?

- Tyle co w drodze do lotniska.

Odbiję to sobie po polskiej premierze naszego filmu.

- Nie zapytałam pana o tytuł.

- I dobrze.

Boczęsto zmieniam go po zakończeniu zdjęć.

A tytuł roboczy brzmi: "Za wcześnie i za późno".

- Dobry!

- Być może.

Ale nie wiem, czy go utrzymam.

Pije pani koniak czy kawę?

- Nie, dziękuję.

- Ja także nie.

W takim razie, dwie kawy!

- Soldivier zwraca się do kelnera.

- I rachunek!

Szybcuteńko!

222 Gdy kelner po podaniu kawy zjawia się z rachunkiem na mały itkiej tacy, Anna ciekawa jest reakcji Soldiviera.

Czy będzie nrawda za pozycje, czy za dziwi go ich suma?

Ale Soldivier, zerknąwszy tylko na rachunek, kładzie natęce pieniądze, wzbraniając się od przyjęcia reszty.

- Tanio tu u was - mówi do Anny.

Najwidoczniej w Paryżu - myśli ona - w przeliczeniu na dolary wyniosłoby to znacznie drożej.

Soldivier towarzyszy Annie do szatni, ubiera ją w jesienny płaszcz.

- Ma panitu samochód?

- Pojadę taksówką.

Samochód od kilku miesięcy w warsztacie, brak jakiejś części.

- Rozumiem - mruczy Soldivier w obawie, żeby nierozpoczęła zbyt długiej opowieści.

- Proszę pozdrowić małżonka, ucałować synka.

- Kiedy będzie pan rozmawiać z Isabelle?

- Zaraz jutro.

- Niech jej pan powie, że dziękuję za wszystko.

- Będzie zdumiona.

Interesuje się ludźmi, nie licząc na wdzięczność, a w pani wypadku.

- W moim wypadku.

- Uważa, że to ja powinienem być jej wdzięczny.

Jej, i pani.

Soldivier odprowadza Annę do głównego wyjścia, ścisną jej dłoń i od razu kieruje się do recepcji pokłucz do pokoju.

Anna, nie ochłonawszy jeszcze po ostatnich jego słowach, z uniesioną już stopą, nie przekracza przez chwilę progu, jakby jej żal było opuścić tę oazę ciepła, światła i wszelkich niespodzianek, jaką jest hol hotelu.

Na dworze zupełnie się już ściemniło.

Zprzystanku odjechał właśnie autobus i trzeba będzie czekać na następny.

223. XV Tendom stoi przy ulicy Porzeczkowej w małym mieście od przeszło sześćdziesięciu lat. Nie jest to oczywiście wiek podeszły dla budynku, ale wyrosły tu teraz wokoło nowe wille o białych tynkach i przy nich dom Turoniów wygląda jak szarżały od lat przejęty staruszek, trzymający się nisko przy ziemi swoją jedyną, parterową kondygnacją.

Miasto leży tak blisko Warszawy, że jadąc tu można z łatwością obrócić jednego dnia tam i z powrotem, ale i tak daleko, że czasem i przez kilka miesięcy nie podejmuje się tej podróży.

Szymon kocha ten dom, wybudowany wkrótce po pierwszej wojnie światowej przez dziadka, mecenas Turonia, którego nazwisko znaczyło wiele dla mieszkańców miasta i okolicy, tu urodził się i wychował jego ojciec, tu i on sam przyszedł na świat i może nawet by tu kiedyś wrócił, gdyby domem nie trzeba było zadysponować inaczej.

\- A gdzie są porzeczeki?

- pyta Sebastian, gdy otwierają furtkę.

Rosną przy niej dwa srebrne świerki, które Szymon pamięta, gdy był małym dzieckiem.

- Porzeczeki są za domem.

- Pójdziemy tam?

- Po co?

Teraz i tak nie ma porzeczek.

Teraz jest jesień.

- A ulicą nazywa się Porzeczkowa przez cały rok?

- Bokrzaki i porzeczeki rosną tu przez cały rok, ale owoce są tylko w lecie - odpowiada zkończając się już cierpliwością Szymon.

Wyczerpała się podczas podróży, gdy wszystko wymagało pytań i wyjaśnień, i dobrze by było znaleźć jakiś sposób na zahamowanie rozmowy Sebastiana.

- Babcia nie lubi - zaznacza podnosząc dłoń do dzwonka przy drzwiach - jak się ktoś, owszem, wszystko bez przerwy pyta.

- Druga Babcia?

- Tak, ale wiesz, że Pierwsza, ta w Warszawie, bardzo jej nie lubi.

- Niechodzę tam; - stwierdza Sebastian - bo się wciąż zarazam od apteki.

Tu się nie zarazę?

- Nie, tu nie.

224 Od Drugiej Babci zarazić się nie można, choć jest chora i nie ouszcza swego fotela na kółkach.

Przed dziesięć laty złamanie nogi w biodrze przykuło ją do tego fotela i uzależniło całkowicie od Ludwika, wtaczającego teraz fotel do salonu, który salonem dawno przestał, ale nazwy mają żywot dłuższy niż związanymi z rzeczywistością.

- Och, Szymeczku!

- woła pani Turoniowa.

- Jak się cieszę!

- kiedy wyciąga przed siebie obie ręce, kiedy ukazuje w uśmiechu zdrowe jeszcze zęby, a oczy jej rozjaśniają się radością, jakby oddalała się od niej, pozostawiając w fotelu może tylko konieczną rozleniwioną panią, która nie kwapi się ze wstaniem na powitanie syna i wnuka.

Szymon całuje matkę i popycha Sebastiana, żeby także się przywitał.

Ale Sebastian z przerażeniem patrzy na fotel, najętego ogromnego koła, i gniewnie nerwowo zdjętą z głowy czapkę.

- Dzień dobry!

- szepcze.

- Dzieci nie powinny się całować, to nie higieniczne - mówić przędzej Druga Babcia.



-Dobrze, że go tak wychowujecie.

- A ze mną się nie przywitasz?

-mówi nietaktownie Ludwika.

- Też nie - oświadcza Sebastian, nie wypuszczając z rąk czapeczki.

-O, ho, ho!

- udaje, że jej się to podoba, Ludwika.

Ma szeroką, pospolitą twarz, której nie rozjaśniają małe oczka, usta nieskore do uśmiechu i miłych słów, na pewno nie wypowiada ich wiele w ciągu dnia, ale to ona właśnie, a nie córka, lecząca białych i czarnych w zasobnej wzdłoto Południowej Afryce, i nie syn, sędzia ożeniony z warszawską aktorką - opiekuje się i będzie się opiekowała starszą panią do śmierci, a po niej odziedziczy ten dom, w którym nie pozostanie już nawet śladu po trzech pokoleniach Turoniów.

Właściwie po dwóch, bo trzecie ledwie tu zaczęło swoje życie, żeby zaraz stąd uciec dokądś, za czymś.

kto to wie, dokąd i za czym chcą uciekać młodzi ludzie małych miast.

- Podaj babci ciastka - mówi Szymon do Sebastiana, wyjmując z podróżnej torby w biały papierowinietą paczkę.

-Z Texu - informuje Sebastian.

-Staliśmy długo w ogonku.

- I po co?

-Ludwika wzrusza ramionami.

-Upiekłam ciastko.

- Zabiera z rąk Sebastiana nie rozwinięte i niezaprezentowane babci ciastka, ustawia fotel tak, żeby nikt listopadowe słońce padało jej na kolana, i wychodzi z pokoju.

225.- Taksję cieszę - powtarza starsza pani.

- Kiedyż to był ostatni raz?

-W czerwcu - wyznaje Szymon ze skruchą.

- Jestem tak zajęty.

I Anna.

Anna także.

Dziś na przykład nie mogła przyjechać, bo oczywiście gra, ludzie przecież najbardziej w niedzielę lubią chodzić do teatru.

- Ale poniedziałki mamy wolne - wtrąca Sebastian.

-Tylko mama - prostuje Szymon.

- Ja w poniedziałki muszę być wszędzie.

I w soboty także.

- W niedziele nie - dodaje ścisły jak zawsze Sebastian.

-Spójrz!

- mówi Szymon.

-Z tego domku naścianie za dziesięć minut wyskoczy kukułka i zakuka.

- Już mi to obiecywałeś, kiedy byliśmy tu w lecie.

Inie wyskoczyła, i nie zakukała.

- Bo zegar był zepsuty.

A teraz już naprawiony?

- Nie - Druga Babcia usiłuje się uśmiechnąć.

-Nie mogę się doprosić Ludwika, żeby zaniósł go do zegarmistrza.

Po cokomukukułka, mówi, kiedy przeżył dzień garadio, a wieczorem telewizor i wie się, która godzina.

- A jak.

stosunki?

- pyta ostrożnie Szymon.

Boi się, żeby matka się nie poskarżyła, bo cożby wtedy zrobił, coż by właściwie mógł zrobić? Ilerazy tu przyjeżdżał, a i w Warszawie, gdy myślało matce, doznawał wyrzutów sumienia, że tu nie został, a także, że nie zrobił nic, żeby tu wrócić.

Byłby tu sędzią w Sądzie Rejonowym, ożeniłby się z jakąś poczciwą (czyś takie?) dziewczyną mającą masochistyczną zdolność poświęcania się dla innych.

Ale pewnie takich dziewcząt od dawna już na świecie nie ma.

- Nietylko aktorka, ale i urzędniczka z banku, nauczycielka, telefonistka czy pracownica PGR-u nie dałaby się uwiązać do czyjegóż inwalidzkiego wózka dla miłości mężczyzny.

- Cóż.

- mówi pani Turoniowa.

- Stosunki dobre.

Nie mam zbyt wielkich wymagań.

I... dawno utraciłam zapotrzebowanie na serdeczność.

- Lilka pisze?

- pyta Szymon, przerzucając jakby w ten sposób na siostrę część winy za osamotnienie matki.

- Pisze.

Oczywiście.

Przysłała paczki przez Pewex.

Znakomicie im się tam powodzi.

Andrzej zawarł dodatkowy kontrakt z firmą belgijską, która prowadzi tam jakieś roboty.

Lekarzesa tam bardzo poszukiwani.

Mają piękny dom i troje osób służby.

Wyhraź sobie.

- starsza pani zaczyna się śmiać, ale jest to śmiech chrypsany jakby przez gęste sitko rezygnacji, śmiech sam siebie mieszający - wyobraź sobie, że Lilka rozważa możliwość przewiezienia mnie tam do nich, choćby na jakiś czas.

Choćby na jakiś czas.

Ale odpisałam, że mi nie do twarzy.

Z Ludwiką.

I z tym donosił, że z którego przecież nie odeszli całkiem wszyscy moi bliscy, choć mówi się, że ich nie ma.

- Mamusiu!

- szepcze Szymon bezradnie.

- Nie, nie - protestuje starsza pani.

- Mnie tu dobrze, Lilce tak napisałam ci tobie mówię, bo zdaje mi się, że trapi się czasem.

- Trapi się, bo niewiele mogę pomóc.

A jeszcze teraz nas sytuacja dodatkowo się komplikuje.

- O, Boże!

Co się stało?

- Ależnic złego!

Wprost przeciwnie.

Jest to nadzwyczajna pomyslność.

Szczyt marzeń dla aktorki!

Anna dostała propozycję zagrania we francuskim filmie.

- Noto pogratulować!

- rozjaśnia się starsza pani.

- Tak, wszyscy Annie gratulują.

Ale ona pojedzie do Paryża z ciężkim sercem, zostawiając Sebastiana tylko pod opieką moją pana Feliksa.

- Totenemeryt z czwartego piętra?

- Ten emeryt.

Bardzo kocha Sebastiana.

- Ja też bardzo Kocham pana Feliksa - uważa za słuszną wtrącić Sebastiana.

Siedzi na brzegu krzesła i strzyże uszami w kierunku nie domkniętych drzwi, tuż za którymi z niewiadomego powodu wciąż kręci się Ludwika.

- To błogosławieństwo boże, że macie w pobliżu kogoś takiego.

- Nie wiem, co byśmy bez niego zrobili.

Ale jest to opieka, żetak powiem, awaryjna.

Gdy Anna zewzględu na nagrania w telewizji lub radiu nie może odebrać go z przedszkola, amniezatrzymują w sądzie przedłużające się rozprawy.

Jednak późnym wieczorem Anna była dotąd w domu i mogła wszystkim doglądać.

Nie będzie miała w Paryżu chwili spokoju.

- Rozumiem - mów bardzo cicho Druga Babcia.

Ludwika z hałasem otwiera drzwi.

- Czy podać kawę teraz, czy po obiedzie?

Starsza pani zwraca ku niej zatrwożone, uległoczy.

227.- Jak Ludwice wygodniej.

- Mnie tam wszystko jedno.

Ale może pan sędzia by się napił?

- Jaby się napił!

- woła Sebastian.

- Ty?

- śmieje się babcia: - Kawy?

Może herbatki?

- Herbatki!

Takiej do picia!

- Co to znaczy - do picia?

- pyta bez zachęty Ludwika.

- To znaczy, że bynie była za gorąca - wyjaśnia Szymon.

- Pije więc pan sędziakawę?

- Proszę.

- Ja się też napiję - dodaje starsza pani.

Ludwika wychodzi z pokoju; jest równa od góry dodołu jak słup ogłoszeniowy, ale gdy odziedziczy ten dom, prawdopodobnie zyska naurodzie.

- Jest to w tej chwili najważniejsza sprawa, jaką mamy do załatwienia - Szymon wraca do przerwanej rozmowy.

Teraz onzerka ku nie domkniętym drzwiom i ścisza głos.

- Chciałbym zabezpieczyć Annie maksymalny spokój podczas pracy.

Żeby niesprawiała kłopotu realizatorom filmu, no i żeby rola wypadła jak najlepiej.

- Rozumiem - powtarza starsza pani.

Wyjmuje z kieszonek chusteczkę i podnosi ją do oczu.

Płacze cichutko, bo choć Ludwika krząta się teraz w kuchni, przy jej znakomitym słuchu (i uchyłonych drzwiach) nic nie ujdzie jej uwagi.

Szymon odjmuje rękęmatki od oczu, całuje ją i długo trzymaw swojej dłoni.

- Przepraszam.

Nie powinienem.

- Och, nie!

Powinieneś!

Do kogo innego najpierw miałbyś się zwrócić?

Ale widzisz jak jest.

Nieprzesądzajmy jednak jeszcze sprawy.

Tylko nie proponuj tego wprost, może raczej w formie delikatnej sugestii.

- Delikatnej sugestii?

- Tak.

I niechby Sebastianek był trochę.

milszy.

Sebastian, usłyszawszy swoje imię, od razu włącza się do rozmowy: - Dla kogo?

- Tak w ogóle.

- wyjaśnia Szymon.

Zdejmuje marynarkę, ściga przez głowę sweter.

Gorąco mu się zrobiło podczas tych "usiłowań nieudolnych", jakbyto określił prawniczym terminem, dodatkowo kuczał goich dalszy ciąg.

- W ogóle!

- dodaje z naciskiem.

- Potrafisz przecież być miły.

- Jak chcę.

-- No, to zechciej teraz, bardzo cię proszę!

- Szymon zochota pierzyłby synowi klapsa, ale rozsądek mu mówi, że lepiej zachować spokój.

- I kiedyż będzie .

ta herbata?

- Sebastian przysunął sobie krzesło do stołu i wyczekując, złożył na nim ręce.

Kiedy jednak Ludwika stawia przed nim szklankę herbaty, od razu odsuwa ją od siebie.

O co chodzi?

- pyta Szymon, ledwo opanowując rozdrażnienie.

- Za gorąca!

- Podmuchać, top przestygnie.

- Dlaczego ja mam dmuchać?

- Bo to twoja herbata.

Sebastian, ociągając się, przysuwa z powrotem do siebie szklankę i wylewa jej całą zawartość na politurowany i ozdobiony pośrodku koronką serwetką stół.

- Widzisz, co zrobiłeś!

- woła Szymon z rozpaczą.

Sebastian chowa za siebie ręce i wysunawszy dolną wargę, patrzy pośpiesznie na ojca.

- Tylko go nie bij - prosi cię matka Druga Babcia.

Ludwika, bez słowa, wychodzi z pokoju i wraca ze ścierką.

Zbiera wszystko ze stołu natarczywie i stara się wytrzeć do sucha jego powierzchnię.

Trwa to długo, tym dłużej, że wpatrują się jak urzeczeni - starsza pani, Szymon i Sebastian - wreszcie, gniewneruchy jej rąk.

- Jato w ogóle nie lubię dzieci - zauważa Ludwika mimochodem, skończywszy swoją czynność.

Sebastian zrywa się z krzesła, podbiega do okna i zatrzymuje się tam w pozycji zaczepno-odpomej.

- W przedszkolu są panie, które lubią dzieci!

- woła.

- I pan Feliks lubi dzieci!

Zawsze mi to mówi!

Zawsze!

Ludwika, jakby nie zauważywszy tego wybuchu albo jakby uznając, że jest on całkowicie po jej myśli - wychodzi z pokoju.

Cała sprawa jest tak dalece przegrana, że Szymon - gdyby mu nie było żal matki - mógłby już właściwie wracać do Warszawy<sup>229</sup>.

wcześniejszym pociągiem.

Zły jest na siebie, że pokpił chyba towszystko złą strategią, powinien był przyjechać sam, z jakimś prezentem dla matki i Ludwika (dla Ludwika przede wszystkim), być czarującym wobec obydwu pań (wobec Ludwika przede wszystkim), mówić wciąż o Sebastianie, jak i to uroczdziecko i ileś łońca mógłby wnieść do tego domu.

A po tygodniu przywiózłby im Sebastiana i zostawił go tu na czas pobytu Anny we Francji. Ale na myśl, że mógłby zostawić Sebastiana w atmosferze tej lodowatej niechęci, jakiej chybanigdy niezdolałaby się wyzbyć Ludwika, sercemu się ścisła i chciałby jak najprędzej porwać gościa, choć na stole zjawia się dopiero drugie danie, pieczonakaczka z jabłkami - przyjazd gości był zapowiedziany.

- Powiedz, że kaczka pyszna!

- starsza pani, daremnie czekając na wymagany w tym domu entuzjazm, pochyła się nad stołem ku synowi.

- Kaczka pyszna!

- Szymon nasila głos, aby na pewno dotarł do kuchni.

- I że dawno nie jadłeś czegoś tak dobrego.

- Dawno nie jadłem czegoś tak dobrego!

Ludwika niespodziewanie ukazują się w drzwiach.

- Bo kto panu sędziemu ma co ugotować, jak nie ma kobiety w domu?

Inaczejby pan wyglądał.

- Ależ Ludwiko!

- starsza pani odważa się przerwać swojej opiekunce.

- Pani Anna jest znaną aktorką i ważniejsze jest, żeby była na scenie niż w kuchni.

Lubi przecież Ludwika oglądać teatr telewizji!

Gdyby te panie gotowały obiady, zamiast uczyć się ról.

- Och, o natakżei gotuje, biedactwo - wtrąca Szymon, napół przerażony, na pół ubawiony wyłonionym tematem.

- Gotuje, i to całkiem dobrze.

- Nie widać tego po panu!

- konkluduje Ludwika.

- Raz na miesiąc są prawdziwe kotlety!

- takżei Sebastianusiłuje solidarnie bronić ich warszawskiego gospodarowania.

- W niedzielę albo w poniedziałek.

- A poza tym - już całkiem poważnie Szymon ma ochotę zakończyć rozmowę - ja jadam w sądowej stołówce, Sebastian w przedszkolu, nierobimy problemów z jedzenia.

Najbardziej jest Anna, która jada byle co i zawsze w pośpiechu.

Ale ona twierdzi, że robi jej to dobrze na linię.

230- Toteż one prawie wszystkie są takie chude, te nasze artystki!

Tudwika wycofuje się do kuchni, a przystole zapadacisza, któ, nawet Sebastian niema ochoty przerwać.

Absolutnie nic nie udawało się tego dnia.

Nawet słowa o jak najlepszych intencjach rodziły zupełne pasujące do nich dalszyciąg Teraz Szymon pochyła się nad stołem.

No i widzi mama, do czego doprowadziło to podpowiadaniem komplementów.

Starsza pani niespodziewanie się uśmiecha.

- Ale komplementy zostały przyjęte, zapewniam cię.

A reszta sama serdeczność w trosce o ciebie.

- Dziękuję za taką troskę.

-Stylistyka nieudolna i długich potrzeba lat, żeby wyłuskać niej właściwą treść.

- A mama już to potrafi?

-Oczywiście.

Szymon nie kontynuuje tej rozmowy.

Jak zaraz po przyjeździe, tak i teraz, gdy niedługo będzie się żegnać, woli pozostawić matkę jej optymizmowi, choć dobrze wie, że jest fałszywy.

I reszta popołudnia upływa na starannym omijaniu prawdy i szczerości; obydwój - syn i matka - narzucają sobie pogodną swobodę w wypowiedziach zwyczajowo koniecznych w tej sytuacji zdań.

Awiecz są zapewnienia rychłej następnej wizyty i brak goryczy w powątpiewaniu w prawdziwie bliski jej termin, są obietnice częstych listów i telefonów i zapowiedź - ona jednak tym wszystkim prawdziwa - że się co dzień będzie na nie czekać.

Na ścianie nad kanapą wiszą fotografie czterech pokoleń Turoniów.

Najstarszego Seweryna, który ten dom wybudował, Władysława tu urodzonego, także związanego przez całe życie z miejscową palestrą.

Szymona, rychło porwanego w świat z tego gniazda, i Sebastiana, któremu nie było dane spędzić tu nawet kilku miesięcy.

- Kiedy jedziemy?

-dopytuje się ten najmłodszy.

Szymon zerka na zegarek.

- Już niedługo.

Możesz się powoli ubierać!

- Przykro mi.

-mówi starsza pani.

Spogląda na syna i wnuka wciąż jeszcze fiołkowymi oczami, które obydwaj po niej odziedziczyli.

- Gdyby była zdrowa.

231. Przepraszam, że wprowadziłem tu jakiś niepokój.

Ucałuj Annę.

I powiedz jej, jak bardzo żałuję, że nie mogę zaopiekować się Sebastianką podczas jej pracy nad filmem.

Szymon zapina guziki przy płaszczu Sebastiana i tylko na chwilę podnosi głowę.

Ależ onao niczym nie wie.

Na dworze jest już ciemno.

Wczesny listopadowy zmierzchnął wraz z deszczem i wiatrem zacinającym prosto w twarz. Dodworca jest daleko, a na Porzeczkowej, jak i na innych pobliskich ulicach, nie ma postoju taksówek.

Szymon bierze Sebastiana naręce i kryje jego głowę w podniesionym kołnierzu swojej kurtki. Przyśpiesza kroku.

Przypominam się wykuwany w liceum na lekcjach niemieckiego pełen rozpaczliwej trwogi wiersz Goethego: "Wer reitet so spdt durch Nacht und Wind.

Das ist der Vater mit seinem Kind.

"XVII Jest początek grudnia i tak jak zaplanował to Soldivier, Anna udaje się do Paryża.

Termometr wskazuje cztery stopnie poniżej zera, więc wyciągnęła z tapczana kożuch, piękny kożuch przedwojennego stróża z ogromnym koltuniastym kołnierzem i cieszy się teraz, że go ma na sobie, bo gdy wysiada z taksówki przed lotniskiem, lodowaty podmuch pomocnego wiatru rzuca ją na maskęwozu.

Nikt jej nie odprowadza, kierowca taksówki nie obdarzył jej nawet uśmiechem, więc dzwigając walizę przypomina sobie z nagłą sympatią urzędniczkę z ministerstwa, która eskortowała ją na lotnisko przed wyjazdem do Cannes.

Powinna możebyła po powrocie odezwać się do niej, choćby teraz wdrodze do Paryża - napisać, karteczkę.

Ale nieznała jejnazwiska, nawet imienia.

Natomiast znała imię owegomisjonarza, z którym leciała zWarszawy, i w oczekiwaniu na rozpoczęcie odprawy przychodzi jej namysł, żeby napisać doSeminarium Misyjnego wPieniężniez prośbą o jego adres.

Kupuje wkioskupięknapocztówkę z widokiem PlacuZamkowego i piszedooo.

werbistów, że przed kilko232ma miesiącami leciała z ojcemDamianem do Paryża, ale że wtedyeszcze nie znalswego adresu wAfryce.

Pewnie nieodpiszą -myśli - wy^lm sl?

dziwne, żejakaś niewiastachce korespondować z misjonarzem, skądżeby mogli wiedzieć dlaczego.

Zapowiadają wreszcie odprawę lotu do Paryżai Anna stajeprzed okienkiem odprawy paszportowej.

Od razu rozpoznana,tak7g i podczas odprawycelnej,zbiera komplementy i

uśmiechy,oczywiście o otwieraniu walizy wysypywaniu zawartości torbynie ma mowy,miłe jest uczucie, że jest siękimś w swoim kraju milsza nadzieja, że może już niedługo będzie się kimś naświecie.

Podczaslotu nie ma interesującego towarzystwa, nie zamieniasłowa z otyłą sąsiadką, która zaraz po starcie zapada w sen i stewardesy muszą ją budzić, gdy przychodzi pora roznoszenia sokówi posiłku.

Annę także ogarniasenność, zdumiewa ją, że nieodczuwa najmniejszego podniecenia i niepokoju, który paraliżowałjąpodczas jej pierwszej podróży do Paryża.

Najwidoczniej jużdrugi razpokonującą samątrasę nabierało się pierwszych znamion nawyku, odbierającego podróży całą sensacyjną niezwykłość.

Trzeci raz, myśli Anna, i sprawia jejto dodającą pewnością siebie przyjemność, będą się czuła w samolocie jak w tramwaju.

Tak całkiembez wstrząsów ta podróż się jednak nie odbywa.

- Temperatura powietrza wParyżu - zapowiada stewardesaprzed lądowaniem - wynosi 14stopni.

Jak ja będę wyglądała wkożuchu?

- myśli Anna.

-I co powieSoldivier,kiedy mniew nim zobaczy?

Nalotnisku w Orły niema Soldiviera.

Nie wiadomo dlaczegowyobraziła sobie,że będzie czekał na nią, choć tegonie obiecywał.

Nieobiecywał, a jednak przykrojej, że go nie ma.

Gdy opuściwszy salę odpraw celnych, gdzie również - choć innego powodu - nikt nie interesował się jej bagażem, rozgląda się po halilotniczego dworca, podchodzi doniej niepozorna osóbką, okutanacala wzamaszyste szerokości płaszczą, w jakieś chusty izwisającez niej szale.

Ma w ręce wiązanekę róż.

- Pani Anna Turoń?

-pyta.

-Z Polski?

- Tak, to ja - odpowiada Anna i choćoczarowaniejeszczewniej nie wygasło, doznajejednak jakiejś pociechy, że nie jestpozostawiona sama sobie w tym przerażającoobcym mieście.

233.- Michele Variol.

Jestem asystentką Marcela Soldiviera.

Szefprzeprasza, że nie mógł pani powitać osobiście, jest bardzo zajęty,jakzwykle, gdy zaczynamy kręcić.

Proszę nie gniewać się, że zastąpią go róże i poniekąd-ja.

Jaką miał pani podróż?

- Dziękuję, dobrą.

-Anna odbiera kwiaty, trzyma je na piersi, jakby pozowała do zdjęcia, ale ani jeden fotograf niewysuwa się naprzeciwko niej z tłumy.

- Mamsamochód firmy.

mówiła osoba.

W zbliżeniu wygląda na czterdzieści lat, jest prawie nie umalowana, a odbałość urodę świadczą jedynie znakomicie ostrzyżone i ułożone kruczewłosy.

-Mam samochód i bez wyczekiwania na taksówkę zawiozę panią zaraz do jej pensjonatu.

Pani bagaż?

- Mam tylko jedną walizkę.

-Luis!

- Michele przywołuje kierowcę, który czekał opodal.

-Jedziemy do madame Pivette.

Wynajęłam dla pani pokój w pensjonacie - zwraca się do Anny, gdy idą do wyjścia.

- Paryskie pensjonaty różnią się tym od hoteli, że panuje w nich prawie rodzinna atmosfera, zależy nam na tym, żeby dobrze i swojsko się pani u nas czuła.

Ale jeśli woli pani hotel albo mieszkanie - chętnie to zmienię.

- Nie, nie, nie- protestuje Anna.

-Wolę pensjonat.

- Taksą dziłam - uśmiecha się Michele.

Czekając, że samochód podjechał, stoją przed wejściem na lotnisko w grudniowym paryskim słońcu.

Anna podnosi rękę i zsuwa nieco natył głowy swoją wspaniałą futrzaną czapę.

Jest w rozpaczy.

- W Warszawie był cztery; stopniemrozu - mówi, jakby przeproszała zaniepokojenie.

-Będziemy musieli jakoś temu zaradzić -zamyśla się Michele.

- Nie ma pani żadnego innego krycia?

-Nie, niestety.

Wprowadzwszy Annę do jej pokoju w pensjonacie i oddawszy ją pod opiekę madame Pivette, która od razu powiada, że przygotuje lunch- Michele dopiero teraz całuje Annę.

- Jest pani gościem firmy i proszę się nie kłopotować w zamawianiu czegokolwiek.

A ja nadwie godziny znikam, bo muszę porozumieć się z szefem.

- Z panem Soldivierem?

Czy przyjdzie tu?

234 Nie, z panem Balkiem.

I także jest bardzo zajęty.

Ze wszystkim.

proszę zwracać się do mnie.

Dziś mamy jeszcze trochę luzu, staram się, żeby go jak najlepiej wykorzystać.

Ale od jutra nabieramy się ostro do roboty.

Po wyjściu Michele Variol- Anna podchodzi do knajki patrząc mieszkająco w tak promiennym słońcu nagość kilku drzew, rosnących w małym ogrodzie pensjonatu.

Cieszy się, że nie ma pokoju od ulicy, będzie mogła tu dobrze wypoczywać po zdjęciach w ciągu tych kilku tygodni (miesiący?)

), które spędzi w Paryżu.

Zapukawszy leciutko madame Veronique Pivette w nos, co jest

podkreślonym właściwym wyrazem twarzy, tacez lunchem i paterą, pełną owoców; na ułożonych na spodzie jabłkach piętrzą się banany i pomarańcze.



- Och, sama się pani trudziła!

-woła Anna.

Intuicyjnie wyczuwa, że jej samopoczucie w Paryżu będzie w dużym stopniu zależało od stosunku, jaki będzie miała do niej madame Pivette.

-I ileż tu dobrych rzeczy!

- Pomyślałam sobie- uśmiecha się madame- że po podróży pani z przyjemnością trochę zimnego mięsa i owoców.

Suzanne Aringaux, która także mieszkała u nas, zjadała ich bardzo dużo.

- Ja także będę się nimi objadać - stwierdza Anna z prawdziwym entuzjazmem.

Niezabrawszy się najpierw do mięsa, sięga po banana i obierając go ze skórki, rozkoszuje się jego zapachem.

Nie, myśli, nie powiem jej, kiedy ostatni raz jadłam banany i ile kosztują u nas na bazarze, zwłaszcza że Soldmer zachwyca się, jak bardzo u nas jest tanio.

A poza tym.

poza tym już oddziś przestaję przeliczać wszystko na nasz i tutejszy kurs.

Zwariuję od tego i zepsuję sobie całą radość, że jestem tutaj.

Zarabiam i wydaję franki, poza tym nic mnie nie obchodzi.

- Rostbef mamy dziś pyszny - mówi madame Veronique.

Jest pulchną brunetką pod pięćdziesiątkę, ale lata zdają się nie umniejszać jej osobistego uroku, zawodowa uprzejmość, z jaką w ciągu całego życia musiała zwracać się do klientów, przeszła w miłą nałog i przerodziła się w serdeczność do całego świata.

Czyż stamtądnie przybywali jej goście i ich pieniądze, przyczyniając się do świetnego prosperowania interesu, który prowadziła?

A do 235.

rostbefu i szyneczki proponuję sałatkę z porów w majonezie.

Dopiero co ją przyrządziłam.

- Dziękuję - Anna chwyta sztucę.

- Na pewno wszystko jest wspaniałe.

Ipokój jaki miły!

- Podoba się pani?

Cieszę się.

Panna Aringaux także bardzo go lubiła.

I ma pani swoją łazienkę.

Nie wszystkie nasze pokoje wyposażone są w łazienki.

Ale gościom pana Soldiviera oddajemy te najlepsze.

- Cieszę się, że należę do gości pana Soldiviera - szepcze Anna, przełykając kęs szynki.

Ten pierwszy dzień w Paryżu zaczyna się więc nader przyjemnie.

Ale Anna nie wie jeszcze, co ją czeka.

Oto zjawia się Michele, wypłaca jej zaliczkę i proponuje wypad (samochodem firmy) do salonu mody "Pascale".

- Ubieramy w nim nasze aktorki - zaznacza.

- Ależ ja.

ja niczego nie potrzebuję - protestuje Anna.

Michele lubi jasne sytuacje.

- Wszystko na koszt firmy!

Niech panie proponuje.

Potrzebuję panina przykład płaszcza.

W tym kożuchu będzie pani wzbudzać sensację.

- Można to dobrze - usiłuje zażartować Anna.

- Sensacje w świecie filmu są potrzebne.

-Ale nie tego rodzaju - delikatnie zauważa Michele.  
- Próżna płaszczka musi pani mieć odpowiednią suknię na konferencję prasową.  
-Przywiozłam kilka sukienek - wciąż bardziej swej godności niż interesów broni Anna.  
^Obejrzymy ją później - stwierdza Michele i zagarnia Annę ku wyjściu.  
- Dobrych zakupów!  
-życzy madame Pivette, dyżurująca nadolew recepcji pensjonatu.  
Dom mody "Pascale" mieści się przy jednej z bocznych uliczek Montmartre'u.  
Klientelę najwidoczniej mastą, bo nie przywabia jej ani zbyt okazałym szyldem, ani zbyt bogatą wystawą.  
Leży na niej tylko jedna wieczorowa suknia z malinowego weluru-szyfonu, przerzucona lekko przez bardzo nowoczesną rzeźbę.  
Michele Variol musitu być znanym gościem, bo na jej widok ekspedientki przywołują szefa firmy, który natychmiast odbiega w uśmiechach i ukiwnach.  
Jest to młody jeszcze panokularach - lekki, zwinnie i lotny, sprawia wrażenie, jakby zawsze unosił się kilkadziesiąt centymetrów nad podłogą.  
- Znow ubieramy jakąś piękną panią?  
-woła z daleka.  
-Najpierw płaszcz!  
- zarządza Michele, wyjaśniając sytuację.  
-Ach, te różnice temperatur między Wschodem a Zachodem!  
wzdycha szef firmy.  
Choć nie dokonano jeszcze zakupu płaszczka każe zapakować kożuch Anny, uznając jednak za słuszną dać jej do zrozumienia, że uważa go za bardzo piękny.  
- Odkupiłbym go od pani.  
Moja żona zrobiłaby w nim furorę w St. Moritz.  
- A w czym wróciłabyś do Warszawy?  
-śmieje się Anna, mile ujęta tym, że jej garderoba nie wzbudza tylko przerażenia.  
Nie mija pół godziny, a Michele z obficie zaproponowanych rzeczy wybiera dla niej płaszcz w kolorze czerwonego winu z okrągłym kołnierzem ciemnoniebieskiej, połyskliwej norki i takimi samymi mankietami, zwężającymi przy dłoniach bardzo szerokie w górę rękawy.  
Dotego marynarkę (Michele: w Paryżu nosi się teraz pod płaszczem marynarki!) za dużą o dwa numery, w różową i czarną kratę i czarny wystający spod niej (tak, tak!)  
-Michele uważa to za nieodzowne) golf.  
Do marynarki czarna spódnica i czarne spodnie.  
Noi oczywiście botki na prawie niskim obcasie i kapelusz o ogromnym rondzie.  
- Aco nam pan proponuje na konferencję prasową?  
-pyta Michele (jednak już trochę zmęczona) szefa domu mody "Pascale", unosząc się wciąż niestrudzenie w stałym locie nad podłogą.  
- Do pani urody i na obecną porę roku pasowałaby najbardziej.  
-Francuz uśmiecha się do Anny, otwierając jedną z szaf i wyjmując z niej ciemnoniebieską suknię z puszystej wełny angora, której jedyną ozdobą jest dość duży dekolt na plecach.  
- Będziem tam dmuchać - oponuje Anna.  
-Niech dmucha!  
- bezlitośnie decyduje Michele.  
Przyglądając się zmrużonymi oczyma Polce, która wyszła już z przymierzalni obraca się teraz przed lustrem w proponowanej kreacji.  
- No, nieźle - mówi.  
-Całkiem nieźle!  
Pan Soldivier będzie bardzo zadowolony!

- Też tak myślę - dodaje szef firmy.

Ipytawpawie z rozmarzeniemw głosie: - Czy pamiętapani, jak świetnie było pannie Aringauxw tymzielonymaksamiecie, w który ją owinęliśmy?

237.- Pamiętam - równie rozmarzonymgłosem odpowiadaMichele.

To przypomnienieSuzanne Aringaux (któreż totego dnia?

)zamiast speszycAnnę dodaje jejjednakotuchy.

Nie jestwięc Polką, którątrzebaubrać,żeby jakotako wyglądała w Paryżu,naprawdę ubiera się tu wszystkie aktorkiSoldiviera!

Zaczynazprzyjemnością myśleć o nowo nabytychrzeczach, bo - choćbysię tego nie chciało,musisięto przyznać- bardzojednak poprawią stan jej garderoby.

Po powrocie do pensjonatu i porozstaniu się z Michele (wychodząc znówzaznacza,że następnego dniazabierają sięostro do roboty!

) Anna przymierza jeszcze raz przedlustrem płaszcz, kostium i suknię, a potem rozkłada je na łózkui długoim się przygląda.

Czy może mi ktośbrać za złe - myśli -że się cieszę, że cieszę się całkiem zwyczajnie i po babsku?

Jestemprzecież kobietą,a kobieta - wszystkojedno: królowa, premier,minister wielkiego państwa czy też poganiaczka wielbłądóww mongolskiej tundrze, kiedy ma coś nowego, czuje się,jakbyodwiedziło ją święto.

To uczucie jestAnnie potrzebne podczas pierwszego- samotnego - wieczoru, który spędzaw Paryżu.

Może jednak jakoś inaczej to sobie wyobrażała, alepomedytowawszy chwilę,dochodzi do wniosku, że tak jest właśnie dobrze, może skupić się, zaprogramować siebie wśród obcych ludzi, pomyśleć o domu.

Otwieratelewizor i z bananemw rękusiada przed nim w nadziei, że będąmoże jakieś doniesieniaz Polski, choćby przepowiednie meteorologiczne i mapka pogody, pozwalające wywnioskować, czyw"Warszawie będzie jutropadać deszcz czy śnieg, którym tak bardzo cieszy sięSebastian.

Ale w dzienniku telewizyjnym,na który akurat trafiła, najpierw mówi się o wydarzeniach politycznych,konferencjach i podróżach dyplomatów,o przerwanych rozmowach rozbrojeniowychw Genewie i pokazuje się pochody protestacyjne przeciwko wojnie nuklearnej, nieodmiennie rozpędzaneprzez policję.

Dlaczego -myśliAnna, trochęsenna, trochę oszołomionadniem, który mazasobą- nigdzie niema pochodów popierającychrządowe programyzbrojeń?

Czy nie oznaczato, że nawet jeśli są na świecie ludzie,którzy się nimi zgadzają, to nie ożywia ich jednak siła równa tej,wyprowadzającej tysiące zdeterminowanych na ulice.

- InagleAnna, oderwana od domu, skazana jakby na osobną śmierć,238/naje trwogi, niedopadającejej nigdy wkraju.

To, co się tamladało wtelewizji, brane było nieodmiennie za przejaszkrawionąandę, atymczasem naprawdę ulicami miast kroczyli śmierpropa:Inie zatrwożeni ludzie, ludzie, którzy wiedzieli, którzy byliprzekonani, że to może sięstać, jeśli się temu niezapobiegnie, jeśli niebędzie się krzyzczyć wielkim głosem.

I nagle wszystko wydajesię Annienieważne.

Ito, że ma tylenowych pięknychrzeczy, że jest wParyżu,że wystąpi w filmieSoldiviera.

Czyżby naprawdę pod światem przeciągniętojużtenlont którego długość decydowała tylko o tym, że jutro,jeszczejutro wstanie zwykłydzień.

Punktualnie o ósmejzjawia się Michele i bardzo jestujętatymże zastaje Polkę już po śniadaniu i całkowicie gotowądowójścia.

- Zabieram się dziśostro do roboty!

-powtarza to, co jużpowiedziaławczoraj.

- Czy pan Soldivier.

- zaczyna ostrożnie Anna.

- Och, pan Soldivier i dzisiaj będzie bardzo zajęty.

Wątpię, żeby miał dla nas czas.

- (Anna nawykła do analizy tekstów, od razu wyławia i ocenia uprzejmość użytej przez Michele w tym zdaniu liczby mnogiej).

- Wciąż konferuje z panem Balkiem, który jest znakomitym producentem, ale może właśnie dlatego - ma brzydki zwyczaj targowania się o każdy dzień zdjęciowy, każdy metr taśmy i każdego statystę.

Może nie powinnam tego mówić, ale chyba lepiej, żeby pani o tym wiedziała.

Nie wiem, jak wy kręcicie w Polsce.

- Och, również bardzo oszczędnie - z prawdziwym przekonaniem stwierdza Anna.

Michele ma jednak prawdopodobnie inny rodzaj oszczędności, bo dodaje:-

Najważniejszy jest brak przestojów na planie i gotowość każdego aktora.

Jedziemy!

Wytwórnia mieści się gdzieś na przedmieściach Paryża; jazda samochodem trwa przeszło pięćdziesiąt minut, mijane domy stają się coraz niższe, ustępują w końcu zieleni, i dopiero za jej pasmem rozpoczynają się zabudowania królestwa Francisa Balka.

Michele nie pozwala jednak Annie, żeby się bodaj rozglądnęła po tym królestwie, od razu prowadzi ją do charakterystyki.

239.- Juliette!

- woła, wprowadzając Annę do pokoju o ścianach ogromnych lusterek.

Juliette jawia się natychmiast w progach, choć jej okazała suchość świadczy o tym, że pośpiech musi ją kosztować nieco wysiłku.

- To jest pani Anna Turoń - przedstawia Michele.

- A to Juliette, która będzie panią charakterystyką przez cały czas kręcenia filmu.

- Miłomi - szepcze Anna, speszona nieco tym, że Juliette ogląda ją sobie, wcale się tym nie krępując.

Niemłoda już, musiała pracować z tysiącami aktorów, opracowywać wiele sławnych twarzy - i oto staje przed nią ktoś zupełnie nieznaną, o twarzy, jak poraz pierwszy oglądany krajobraz, który dopiero trzeba czymś oznaczyć, żeby ludzie go zapamiętali.

- Mnie również - mówili Juliette łaskawie.

Michele wyjmując torbę grubych notesów.

- Dziś zrobimy próbne zdjęcia do obydwu części filmu; retrospektywnej i współczesnej.

Maria, którą gra pani Anna, jest młodzieńką Polką, więzioną przez Niemców w Marsylii czy też w Lyonie podczas ostatniej wojny.

- Czy kręcimy coś w związku z procesem Barbiego?

- pyta Juliette.

- Nie, skądże?

Choć właściwie z procesem Barbiego się tonawet jakoś wiąże.

- (Ile razy mówiło się na zebraniach pracowników wytwórni, że cały personel powinien orientować się w tym, co się kręci.

Ale oznaczałoby to, że scenariusz musiałby mieć jakąś konkretną formę, że byłby maszynopisem, który każdy mógłby sobie wypożyczyć z sekretariatu, a wtedy nie trzeba by było tracić czasu na podobne rozmowy.

No, na szczęście - Michele wycofuje się z myśli przeciwko Soldivierowi - nie jesteśmy jeszcze na planie).

- A więc pani jest więźniarką.

Odpowiedni makijaż.

Czy Francois dostarczył więzienne peruczki dla pani?

Prosiłam, żeby zrobił kilka.

- Tak, przyniósł je.

- Juliette zaprasza Annę na fotel przed lustrem, zgarnia do tyłu jej włosy.

- Ale czy włosów pani niemożnaby trochę przystrzyc?

Obawiam się, że się nie zmieszczą.

Anna cierpnie, chce już zaprotestować, ale na szczęście Michele wyczytuje coś

pocieszającego swoim notesie.

- Muszą się zmieścić - stwierdza.

- Prawdziwe włosy panibędą potrzebne w współczesnych partiach filmu.

240 Zaczynasz więc wygładzanie na mokro włosów Anny, żeby - Można było wcisnąć na nie

peruczkę z krótkimi więziennymi włosami. Rezultat nie od razu jest zadowalający,

przychodzi Francois, chyba tak samo jak Juliette przez całe życie zatrudniony w filmowej branży,

zabiera peruczkę do poprawki, trzeba czekać, mokrymi włosami Anna nie może pójść

do bufetunkawę, więc Michele przynosi jej dużą filiżankę prawdziwego szatana z ekspresu

ikilka tostów, jest w końcu poprawiona peruczka, siedzi lepiej na głowie, teraz Juliette musi się

zająć twarzą, dziwnie naga przez pozbawienie jej tłabujnej fryzury, jak zwykle nosi Anna.

Tylko proszę nie podkreślać niczym do niej powieki!

- Michele sterczy wciąż przy fotelu Anny ze swoim notesem w rękę.

- Musi to być twarz z tamtych lat.

Pamięta pan ich chyba.

- pamiętam siebie z tamtych lat - mruczy Juliette.

- Usta może pani zaakcentować.

Będą tragiczne wyrazie.

Mój Boże!

- myśli Anna.

- Kto w końcu reżyseruje ten film, Soldivier czy Michele Variol?

- Ale zdaje sobie sprawę, że reżyser musi być chyba zadowolony z kompetencji wykształconej przez niego asystentki.

Poukończeniu charakteryzacji rozpoczyna się długie ustawianie świateł w atelier.

I przyglądanie się twarzy Anny, dokonywane tym razem przez głównego operatora, Anatole'a Gimenta, z którym Soldivier współpracuje od lat.

Nawet na powitanie Anny nie zdejmuje czerwonej czapeczki z łysej głowy, za to całuje ją dwarazy w rękę, co w Paryżu jest rzadkością.

W czarnej kędzierzawej bródce widoczne są już siwe włosy, ale usta nad nimi mają świeżość ust młodego chłopca, który chętnie pokazuje uśmiech uolśniewające zęby.

- Pani ma twarz - mówi - z którą wiele można zrobić.

Przynajmniej ja się postaram.

Ale choć ustawienie świateł i zdjęcia próbne trwają ponad dwie godziny - Soldivier jest z nich niezadowolony.

Ukryty gdzieś daleko w swoim gabinecie, długo musiał się im przyglądać, bo Michele, która mu je zaniósła, wraca po godzinie - z płonącą twarzą.

Zwołuje Juliette, Francois, prosi Gimenta, żeby się nie oddalał.

- Robimy wszystko jeszcze raz!

- oznajmia.

(Ona dopiero jest aktorką!

- myśli Anna.

Nawet drgnieniem ust nie zdradzi się, jak się wściekła.

) - Pan Soldivier uważa, że w tej charakteryzacji 241.

iw tym oświetleniu jego Maria przypomina zbyt bardzo Marię z "Komu bije dzwon".

Oczywiście podobieństwo do Ingrid Bergman byłoby zaszczytem dla każdej aktorki, ale niechby to było podobieństwo nie osiągnięte środkami tak łatwymi, jak fryzura. A o tych włosach chce się właśnie powiedzieć, żebyły "niewiele dłuższe niż futrobobra", a także, że "kiedy przesunęła po nich dłonią, położyły się i podniosły niby falujący od wiatru łan żyta nastoku wzgórza".

- Zacytował Hemingwaya?

- pyta Giment z uśmiechem.

- Zacytował.

I powiedział, że jeśli tego nie pamiętamy, powinniśmy pójść do archiwum i wyszukać zdjęcia.

- Niepotrzebne mi są żadne zdjęcia - dość nieuprzejmie mruczy François.

- Z tego wynika, że włosy powinny być albo krótsze, albo dłuższe.

Oczywiście łatwiej je skrócić.

- I niech pan skraca!

- decyduje Michele.

- W następnych sekwencjach, w miarę upływu czasu włosy Marii będą odrastać.

- Ale wtedy będziemy musieli przejść przez etap "futra bobra" i "łanu żyta".

TMożesz się tego uniknąć albo szefo tym zapomni.

Podczas tych rozmów Anna prawie przez cały czas milczy.

Ma już dosyć swojej twarzy, na którą wciąż musi patrzeć, w dodatku odrzucone przez Soldiwię zdjęcia próbne bardzo jej się podobały, jak również te z części współczesnej filmu, odesłane także do poprawki.

- Panizmęczona?

- pyta Michele, gdy zjadają coś pośpiechu w bufecie wytwórni.

- Anitrochę - odpowiada Anna; kręci jej się w głowie i duszą dym papierosów, które prawie bez przerwy pali Michele.

- Zapowiadałam, że dzisiaj będzie męczący dzień.

- Byłam na to przygotowana.

- No to świetnie.

Ale to tylko tak na początku, potem wszystko się unormuje.

Pan Soldiwi nie lubi pracować z przemęczonymi aktorami.

- Michele rozgląda się po salce bufetu i z kłębiącego się tłumu wyławia kogoś, kogo najbardziej potrzebuje.

- Natalie!

- woła, a gdy rudowłosa, zalotna i świetnie ubrana kobietka zbliża się do stolika, zapoznaje z sobą obie panie.

- Natalie jest kierowniczką naszej pracowni krawieckiej.

Czy pani wie, że jutro od samego rana zjawiamy się u pani?

242- Oczywiście!

- Złote loki, zwinięte w grubopierścienie, tań wokół głowy pierwszej krawcowej w królestwie Francisca Ball... - Według harmonogramu!

Kiedy Michele późnym wieczorem przywozi Annę do pensjonatu madame Pivette drzemie przy swoim kontuarze.

Przytomniej jednak od razu.

- Mój Boże!

- woła, i gdy Michele znika zadrzwiami, dodaje: Moje biedne dziecko!

Niech się pani nie daje.

Niech paninie oozwoli!

Tak, film to harówka od rana do nocy.

Już ja wolę swój pensjonat.

- Czy będzie pani coś jadła?

-Nie,dziękuję.

Ale chętnie zabiorę na górę trochę owoców.

- Już je pani postawiłam nastoliku.

-Dziękuję.

Dobranoc, madame Veronique.

- Dobranoc!

Niech pani dobrze wypocznie!

Anna ciężkowstępuje na schody, a znalazłszy się w pokojurzuca na fotelswój piękny nowy płaszcz i przysiadanabrzeğuółózka.

Chętnie wskoczyłaby podkołdrę,ściągnąwszytylko sukienkę, ale boi się, że nazajutrzwyglądałaby nieświeżo,więc musimieć tyle siły, żebywziąć prysznic,gorący, apotem zimny prysznic, którym zmywaz siebie cały uciążliwy dzień.

Przy drzwiachłazienki wisi płaszcz kąpielowy w szafirowo-malinowepasy,należy do wyposażenia wnętrza i używała go zapewne również Suzanne Aringaux, gdyzmężonaśmiertelnie wracałaz wytwórni dopensjonatu.

A może miała więcej odporności i siły?

Może po kąpieli szła z kimś nakolację, a później do jakiegoś klubu potańczyć?

I nagleAnna wybuchagłośnymśmiechem, bo jest pewna,że wszyscy, którzy - być może - myślą teraz o niejw Warszawie,wyobrażają ją sobie szalejącą na paryskim parkiecie.

Powiem im,że tak było, postanawia, że zaraz pierwszego dnia.

i wszystkichnastępnych.

Obrawszy pomarańczę ze skórki, dzieliją na cząstkii mazamiar zasiąść z nią przedtelewizorem, ale.

rezygnujez tego.

Bo co zobaczy na małymekranie?

Żeludzie coraz bardziejtracą rozsądek?

Że wyrzekają się wielu rzeczy - ale zawszedobrych, nigdy złych?

Wyrzekli sięczystego powietrza,czystej wody, zieloności ziemi.

Nie mogąwyrzec się mordów, niepotrzebnych wojen.

Żeby ocalić w tym wszystkim siebie, trzeba wy<sup>^</sup>rzętać swoją duszę iswój kawałek świata pod nogami, trzebarobić to, co trzeba robić wdanej chwili,a teraz trzeba wskoczyć243.

w łóżko, żebynazajutrz oósmiej czekać naMichele, która najwidoczniej także nigdy sięnie spóźnia.

Następedni są równie męczące, ale w końcu Michele, a może sam Soldivier, którego w dalszym ciągu nie dane było Anniezobaczyć,zaplanowałdlaniej całodzienne wytchnienie w towarzystwie jej trzech filmowych partnerów.

Był to jakby dzień zapoznawczyw plenerach,bistrach,kawiarniach i restauracjach Paryża, którestaranniewybrała Michele, nieopuszczającani na chwilęswoich podopiecznych.

Panowieprzyglądająsię Annie dyskretnie, zresztą ona czynito samo.

Najbardziej podoba jej się Serge Satie.

Oczywiście -najmłodszy!

- potępia samą siebie.

Dwaj pozostalisą w średnimwieku;Gérard Valendie- grający Jeana we współczesnej partiiifilmu jestmoże nieco młodszy odPaula Courdana, którego Soldivier zaangażował do rolimeża Marii.

W Serge'u jest rzeczywiście coś rozczulająco chłopięcego,Anna przypomina sobie,że tak właśnie określił goSoldivier.

Majuz chyba zedwadzieścipięćlat (dwa latapozskole aktorskiej-jak poinformowała, ceniąca nadewszystko precyzję idokładność,Michele), alezachował zdolność zachwyconegopatrzienia naświat.

Na kobiety, oczywiście, głównie.

- Nietrudno mi będzie zakochać się pani - oświadczył Annie od razu, gdy tylko Michele przedstawiła ich sobie.

Pozostałym panom wypadało to tylko potwierdzić.

Jeden i drugi zapewniają, że nietrudno im będzie kochać ją przez całe życie.

Znają scenariusz - myśli Anna.

- Czyżby i im Soldiviergo opowiedział?

Może jednak spisał to jakoś przez ten czas, żeby dać aktorom szansę pogłębienia roli przez dłuższe niż obcowanie.

Dlaczego wobec tego ona dostała jeszcze bodaj świstka maszynopisu?

Postanowiła to jakoś wydobyć od swoich przyszłych partnerów na planie, ale wkrótce zapomina o tym.

- Czystojąc przed Notre Dame można myśleć o roli, jaką będzie się grało w filmie?

Chyba, że myśl jest modlitwą, żeby rolą jak najlepiej wypadła, żeby stała się sukcesem, a nie klęską, albo - i to chyba jeszcze gorsze - nic nie znaczącym epizodem w bogatym życiu kina.

Już od południa zachowanie Michele nabiera pewnej nerwowości.

244- O dziesiątej - zapowiada - pan Soldivier oczekuje nas "restauracji "Petit Maxim".

- Nadzwyczajne!

- woła Courdan.

- Już myślałem, że go zobaczymy dopiero na planie.

- Szef jest bardzo zajęty!

powtarza swoją ulubioną formułkę Michele.

A jednak jest już przy zamówionym przez Michele stoliku, gdy wkraczają na salę przy poruszeniu wszystkich obecnych, a nawet klaskach, których nie może zagłuszyć orkiestra - Serge Satie jest wschodzącą gwiazdą francuskiego kina, a pozostali dwaj panowie cieszą się oddawna ustaloną sławą.

Michele promienieje.

Tak jest nowa swego wiele znaczącego udziału we wszystkim, co w końcu ocenia publiczność, że sunie teraz z podniesioną głową ku Soldivierowi, który podnosi się z krzesła na powitanie swoich gości.

- Marcel!

woła Paul Courdan.

- Stęskniłem się zatobą!

Telefon czy pismo z twojego sekretariatu to jednak nie to samo, co widzieć cię żywym i coraz młodszym!

- Wzajemnie, wzajemnie - mruczy Soldivier, niezadowolony, że wzbudzają wciąż sensację.

- Siadajmy!

Dzień był przyjemny?

- Och, cudowny!

- mówi Anna.

- Najbardziej dla mnie!

Bodla panów Paryż nie jest atrakcją.

- Zawsze nieodmiennie tą samą opowiada Gerard Valendie.

- Nie może się to jednak równać pierwszemu spojrzeniu na Paryż, jak moje.

Byłam tu przede wszystkim tylko przez kilka godzin w drodze z Cannes do Warszawy.

- Chciałem, żeby miał pani ten dzień - mówi Soldivier.

I jest to na długi czas jedyne skierowanie przez niego do Anny.

Zjawia się kelner, przyjmuje zamówienie, potem jedzą i piją wśród chaotycznej rozmowy, Anna tańczy kilka razy z Serge'emu szaleńczego rocka (jeszcze nie zapomniałam!



- dziwi się) i właściwie wieczór ma się ku końcowi, gdy orkiestra dla własnego chęba wychnienia zaczyna grać jakiś powolniejszy utwór i Soldivier prosi Annę. Tańczą długow milczeniu, zbliżenie nie jest żadnym zbliżeniem, Annanie podnosi oczu, choć wie, że tak niespotkałaby jego spojrzenia i jedynie twarde ramię pływaka i tenisisty, które ją obejmuje, określa wyraźnie tę rzeczywistość.

- Przepraszam - odzywa się wreszcie Soldivier - że nie miałem do tej pory dla pani czasu.

Niestety, sytuacja nie zmienia się<sup>245</sup>.

również w ciągu następnego tygodnia.

A poza tym, szczerze mówiąc, nie jestem jeszcze gotów do szczegółowej rozmowy z panią.

Wobec tego, że wizyty w pracowniach ma pani już za sobą, będzie pani mogła na ten tydzień wrócić - oczywiście na koszt firmy do Warszawy.

Albo.

- Albo?

- pyta Anna cicho.

- Pozostać tutaj.

Ofiarujemy pani tydzień w Paryżu.

Co pani woli?

Anna milczy.

Nie podnosi oczu (choć on teraz może patrzeć na nią) i milczy - bez żadnych rozważań i kalkulacji, bo przecież od razu wie, co odpowie.

- Wolę wrócić do Warszawy.

- To jest.

aż tak silne?

- Co? - To pragnienie.

Żeby tam być.

I żeby nie mieć sobie nic do zarzucenia.

- Och, o tym nie myślałam.

- Przepraszam.

\- Czy jutro jest konferencja prasowa?

\- Tak, oczywiście.

Pani przyjaciel, pan Presson, dowiadywał się, czy pani na niej będzie.

- Pan Presson nie jest moim przyjacielem.

- Wobec tego - nasz przyjaciel.

To w końcu bardzo miły człowiek.

- Od początku bardziej był ciekaw pana niż mnie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Sądzę nawet, że interesował się mną głównie z względu na pana.

- A wto już nigdy nie uwierzę.

- Soldivier wybuchając śmiechem, przypomnienie Pressona przywołuje nastrój poranka w

domu pod Antibesi chyba także tych krótkich chwil na brzegu, bo Marcel pyta prawie intymnie: -

Kiedyż znów pobiegniemy razem?

- Choćby zaraz!

- O, ho, ho!

Policja zatrzymałaby nas na ulicy.

- Świetna reklama dla filmu!

Wyobrażam sobie, co by Presson o tym napisał?

Śmiejąc się wracając do stolika.

- Michele!

Pani Anna zdecydowała się wrócić natychmiast do Warszawy o znajmianą Soldivier.

Oczywiście całkiem 246 wolny to on nie będzie, bodostanie pani komplet lektur dotyczących udziału Polaków we francuskim ruchu oporu oraz działania aiantów w Prowansji w lecie czterdziestego czwartego roku.

Jak również dialogi do zbiorowych partii filmu (nareszcie!

- myśli Anna).

Wymagam od aktorów, żeby szczególnie dobrze byli do nich przygotowani, gdyż pragnę uniknąć dubli na planie pełnym statystów.

- Będę przygotowana - przyrzeka Anna i nie sprawia jej przykrości podporządkowanie się tym, tak publicznie oznajmionym jej przez reżysera rygorom, choć francuscy koledzy zerkają ku niej, ciekawi jej reakcji.

Ale oni nie biegli z nim wzdłuż wybrzeża i niewiedzą, co chowa w zanadrzu na kilka chwil w swoim życiu i dla kogo ludzi, dla których zechce być sobą.

po bardzo udanej konferencji prasowej (temat chwycił niesłychanie ze względu na przygotowywany proces Barbiego, "kata Lyonu" wydane wreszcie w Francji po latach poszukiwań przez władze Boliwii) - Michele i Presson odwożą Annę na lotnisko.

- Jutro - mówi Presson ze słuszną pretensją - wszystkie gazety zamieszczą pani zdjęcia, a paninie będzie w Paryżu.

- Trudno - uśmiecha się Anna.

Ma w walizce - zamiast swoich rzeczy, które zostawiła w pensjonacie madame Pivette - kilkakilo pomarańczy, bananów, pudełka ciastki, czekoladek, najważniejsze na świecie jest dla niej w tej chwili wyobrażenie oczu Sebastiana, gdy zobaczy to wszystko.

- Jak można taknie pójść za ciosem, mówiąc stylem sportowym - denerwuje się wciąż Presson.

- Po konferencji prasowej wielu dziennikarzy chciałoby zapewne przeprowadzić z panią wywiady.

- Trudno - powtarza Anna, choć w gruncie rzeczy przyznaje rację Pressonowi.

- Jak można być tak lekkomyślną!

- Nie jestem lekkomyślna.

Zapewniam pana.

- To chociaż dla mnie kilka słów!

Mini-wywiad na lotnisku przed odlotem Anny Turoń do Warszawy.

Pani ma w Warszawie rodzinę?

- Tak.

Rodziców, męża i syna.

- Ile synek ma lat?

- Trzy i pół.

247.- A imię?

- Sebastian!

- Pięknie!

Może odziedziczy talent po mamie.

- A może po tacie będzie kontynuował tradycje prawniczej rodziny mego męża.

Mąż jest sędzią.

- Mój Boże!

- dziwi się Presson, tak jak Anna sama dziwiła się przed kilku laty.

- Może pan o tym nie pisać.

- Nie, dlaczego?

- Presson pragnie naprawić swój nietakt.

- To bardzo interesujący mariaż - aktorka i sędzia.

- Sądu Wojewódzkiego - uściśla Anna, którą ten wywiadczy nareszcie bawić.

- A więc od czasu do czasu orzeka najwyższymi miarą kary.

Presson odstępując w kroki do tyłu robi zdjęcie Anny w jej wspaniałym stróżowskim kożuchu.

- Karę śmierci także?

- Oczywiście!

Co najmniej zetrzy razy tygodniowo.

Nie, nie!

Żartowałam.

Niech pan nic nie pisze!

Bardzo pana proszę!

- Ależdlaczego?

-Bardzo pana proszę!

- Annaznając już trochę dziennikarza, dodaje: - Michele, jest pani świadkiem, żenie udzieliłampanużadnego wywiadu.

-Jestem świadkiem - potwierdza Michele ochoczo.

Jest pewna, że jej szef nie byłby zadowolony z tego wywiadu na nią spadłaby cała wina, że doniego dopuściła.

- Jeśli panisobie nie życzy.

-Presson chowa aparatniecourażony.

-Zamieszczę wobec tegotylko pani fotografię i krótkąinformację, że przed rozpoczęciem zdjęć jedziepani na kilka dnido Warszawy, żeby zobaczyć się z mężem i synkiem.

Czytelnicylubią znać szczegóły życia rodzinnego aktorów.

- To naprawdę wystarczy - ucinaMichele.

-Zapowiadają pani samolotdo Warszawy!

-dodaje z prawdziwą ulgą.

Pobyt polskiej aktorki w Paryżu bardzo ją zmęczył i marzy, żeby pożegnał się z nią, zając się wreszcie sobą.

- Kiedy pani wraca?

-pytaPresson, dzwignając walizkęAnnydo okienka odpraw.

- Za tydzień.

-Mam nadzieję, że będę mógł ujrzeć panią.

248- Zaraz popani powrociezabieramy się ostro do roboty -wtrąca Michele.

Presson ujmuje ją rękę i - dużowyższy od niej -patrzygóry w jej oczy.

-Czy szef nienakłaniał pani, żeby dla dziennikarzybyła panimiła?

- Ależ jestem!

-czerwiem się Michele.

--Tę kwestię uzgodnią już państwowtylko między sobą.

- Annawsuwapaszport wokienko i błyskawicznie uzyskawszy pieczęć, żegna uśmiechemswychtowarzyszy, oddając się pod opiekę celników, którzy równieżniezajmują się nią zbyt długo.

Kiedy okazuje się, że podstawiony samolot należy do Lot-ui że lecą nim tesame stewardesy, z którymipodróżowała przedtygodniem - Annama uczucie, że już teraz przekraczapróg domu.

XVIIStojąc przed drzwiami swego mieszkania, zmęczona, a równocześnieucieszona ciężarem swojejwalizki, Anna przypominasobie, że maklucze.

Godzina jest taka, że obydwaj jej panowiepowinni już być w domu, postanawia wejśćcicho, zdjąć w przedpokoju kożuch i jakby nigdy nic zjawić sięwpokoju.

Ostrożnie manipulując kluczem, bezszelestnie otwiera drzwi, ale już w przedpokoju uderza ją martwyspokój, panujący w małymmieszkanie.

Spokój i bałagan!

Nie spodziewano się jej, więc Szymon nie wysprzątał pokoi, od razu widać, że rzeczy razwyjęte z szafy nie wróciły na swoje miejsce i zalegają wszystkie fotele, biurko, a nawet część stołu, a brudy piętrzą się na pralce w łazience, opadającz niej w malowniczych zwisach.

W kuchni - Anna zatrzymuje się na progu i ponieważ jest w dobrym humorze (i bardzo stara się jak najdłużej go utrzymać) - wybucha tylko śmiechem na widok sterty naczyń, złożonych w zlewie.

Z tym obrazem przed oczyma dziwi się, że pan Feliks, odebrawszy Sebastiana z przedszkola, wolisz siedzieć z nim w swoim mieszkaniu niż tutaj; Szymon prawdopodobnie zapowie

dział mu, że późno wróci z sądu.

Anna otwiera walizkę, wyjmując dywan, sardynki i anchois dla pana Feliksa; nie czekając na windę, biegnie po schodach i długo trzyma palec na dzwonku.

Gdygo odejmuje, za drzwiami trwa jednak cisza, cisza jakaś jeszcze jakby bardziej ściszone tym sygnałem, który w nią wtargnął.

Anna dzwoni więc jeszcze raz, już zaniepokojona, że coś musiało się stać, że może.

I wtedy odzywa się cichutki głosik Sebastian gdzieś w głębi: - Otworzyć?

- Najpierw zapytaj: kto tam?

- również w głębi mieszkania odpowiada pan Feliks.

Sebastian, miękko stąpając w domowych paputkach, podbiega do drzwi.

- Kto tam?

- pyta.

- To ja, mama!

- woła Anna na całą klatkę schodową.

- Mama?

- najpierw niedowierza Sebastian, ale zaraz krzyczy radością: - Mama!

Mama!

- I manipuluje przy wszystkich zamkach, z którymi nie mogą się porać jej małe rączki.

- Najpierw łańcuch!

- odzywa się wciąż z głębi pan Feliks.

- Sebcu!

Najpierw łańcuch!

A potem zatrząsk na górze!

Coś się stało!

- myśli Anna.

Musiał się coś stać, skoro pan Feliks sam nie otwiera drzwi.

- Spokojnie, syneczku!

- mówi do Sebastiana, dysząc gociężko z drzwiami.

- Stań na palcach!

Stań na palcach, na pewno dosięgniesz do zatrząsku.

Musisz wspiąć się jak najwyżej!

Jesteś już duży!

Taki duży!

No, widzisz!

A teraz klamka!

Naciśnij klamkę!

Kiedy Sebastianowi udaje się wreszcie otworzyć drzwi, matka wychwyta go w objęcia.

Ale wśród pocałunków pyta z niepokojem: - Co się u was dzieje?

Gdzie jest pan Feliks?

- W łóżku!

- Sebastian mocniej zaciskając na jej szyi i zaczyna płakać - z napięcia, jakie przeżył, z ulgi, że jest w ramionach matki, że szczęścia, że wreszcie przyjechała.

- Ja przyniosłem wody panu Feliksowi.

I już mu lepiej.

Powiedział, że już mu lepiej.

Coraz bardziej niepokojona Anna wchodzi do pokoju.

Pan Feliks leży w ubraniu nałóżku, blady, ale chyba przede wszystkim zawstydzony swoją sytuacją.

- Tak mi się przytrafiło - szepcze.

- Tak mi się głupio przytrafiło.

Akurat dziś.

Anna pochyła się nad nocnym stolikiem, żeby odczytać nazwy leżących na nim lekarstw. Retiazil i nitrogliceryna!

Anna - córka farmaceutki i dyrektora, często popadającego w przedzawałowe stany - wle' w jakich przypadłościach stosuje się te leki.

- Trzeba wezwać pogotowie - szepcze.

- Kiedy mierzono panu ostatni raz ciśnienie?

- Trzy dni temu - odpowiadając szybko pan Feliks, wciąż zawstydzony, że zasnął w tak nieodpowiednim momencie, że trzeba się nim zajmować, że sprawia sobie kłopot.

- Trzy dni temu.

Poszedłem do przychodni.

- Jakie miał pan ciśnienie?

- Dwieście trzydzieści na

nie pamiętam dolnej granicy.

Ale doktor przepisał mi od razu retiazil i powiedział, że ciśnienie powinno opaść.

A nitro.

Nitro miałem, na szczęście, w domu.

- I w tym stanie chodził pan po Sebastian do przedszkola?

Imiał go pan tu na głowie aż do powrotu męża z sądu?

Trzeba mu było powiedzieć.

- A gdzie bym ja panu sędziemu sobą głowę zawracał?

Zresztą pan sędzia sam odwoził rano Sebastiana do przedszkola, i czasem go odbierał, zawsze mi mówił, kiedy wyjdzie z sądu, starał się tak.

Bo i porządek w domu chciał utrzymać.

- Widziałam - mruczy Anna.

- Ale zmarł mi pan, panie Feliksie.

- Jak pan Feliks kłapał na łóżko - odzywa się Sebastian, wreszcie postawiony przez matkę na podłodze od razu przyniosłem mu wody.

- Wezwę pogotowie - decyduje się Anna.

- Nie mogę panu tak zostawić.

Bez nikogo w domu, nawet bez telefonu.

- Ale ja nie chcę do szpitala!

- W oczach pana Feliksa pojawia się lęk.

- Ach, ktoż mówi o szpitalu?

- Zaprzeczają słabo Anna.

- Ale pogotowie wezwę.

Może dać jakiś zastrzyk.

Tak, tak.

- szepcze pan Feliks.

- Niech tylko dać jakiś zastrzyk.

- Przywiozłam panu skarpetki, dwa pudełka sardynek i anchois.

Wiem, że pan lubi.

Pewnie, że lubię.

Ale po co to było, pani Haneczko?

Wiem, 2C za granicą trzeba się liczyć z każdym groszem.

251.-Z każdym frankiem.

Ale to była dla mnie prawdziwa radość, móc przywieźć panu choć drobnostkę.

Zjepan apetytem, jak się pan lepiej poczuje.

- A co mnie przywiozłaś?

-pyta Sebastian.

- Zobaczysz w domu.

Bo zostawimy teraz na chwilę pana Feliksa i pójdziemy zatelefonować po pogotowie.

- Ale powiedzić możesz!

Powiedzić możesz już teraz!

-molestuje Sebastian na schodach.

- Przywiozłam ci mnóstwo smakołyków.

Banany i pomarańcze.

Co wolisz?

- Zobaczę - mówi Sebastian niezdecydowany.

Długo przygląda się owocom w otwartej walizce, wreszcie wybiera największego banana i podaje matce, żeby mu obrała.

Numer pogotowia jest oczywiście zajęty.

Dopiero za siódmym razem udajesię Annie dodzwonić i zgłosić zaśląbnięcie pana Feliksa, podając jego adres.

- Kto zgłasza?

-chce najpierw wiedzieć rejestratorka.

- Sąsiadka.

-Proszę podać imię i nazwisko.

- Anna Turoń, adreśten sam, co adres chorego.

W słuchawce zapada najpierw milczenie/ a potem olśniony, ale niedowierzający głos pyta: /- To pani?

/- Ja, Anna Turoń.

/-Ale czy to pani jest tą aktorką.

/- Ja!

I proszę opośpiech, bo chory.

-Tak się cieszę!

Tak się cieszę, że z panią rozmawiam.

Od razu wydał mi się pani głos znajomy.

Tyle razy słyszałam panią w radiu, oglądałam w telewizji.

No i w kinie.

W kinie także!

Ten ostatni film, jakże się on nazywa.

- Chory czuje się bardzo źle.

Boję się, że.

- Już!

Już wysłałam karetkę!

Jak tylko wróci z miasta.

To naprawdę pani!

Nie spodziewałam się, że kiedyś będę z panią rozmawiać.

Tak się cieszę!

- Ja również się cieszę - bąka Anna uprzejmie i całkiem nedorzecznie.

-Z czego się cieszysz?

-pyta od razu Sebastian, gdy matka odkłada słuchawkę na widelki.

- Ty też nigdy nie widziałaś pogotowia?

252-Widziałam.

Tak mi się to tylko powiedziało.

Że teży od razu musisz wszystko zauważać.

- To źle?

-Niepowiedziałam, że źle.

Ale teraz nie mam czasu na terozważania.

- Anna wyszukuje na biurkuczystą karteczkę i piszekilka słów do Szymona.

"Niespodziewaniemamtydzień wolny.

Testem z Sebastianem na górze u pana Feliksa.

Zasłabłimusiiałamwezwać pogotowie.

Przyjdź tam zaraz, jeśli zjawisz sięprzed moimpowrotem".

- Zgarnąwszy ze stołu wszystkie rzeczy, które tam leżały opierakartkę o pustywazon, żeby od progu była widoczna.

Szymon wpadana czwarte piętro wkrótce po przybyciu pogotowia.

Nie może się nawet przywitać z Anną, bo stan pana Feliksa jest poważny i niestosowneby tubyły powitalneradości.

Patrząc zniepokojemna twarz lekarza pochylonego nad chorym, trzyma tylkorękę Anny w swojej dłoni, gładzi jej palce.

- Pani jest córką?

-pyta lekarz.

- Nie-odpowiada Anna.

-Sąsiadką.

- A więc chory jest - samotny?

Przerażony wzrok panaFeliksa przenosi się w popłochu z twarzy Anny na twarzSzymona, wracznów dotwarzy Anny, prosió coś, błaga.

- Samotny - mówiAnna.

Dłoń Szymona zaciśnięta na jej palcach, jakby zeszytywniała, jakbyścisk stał się tylko uciskiem.

Ale jest jużza późno, lekarz zwraca siędo chorego:- Musimyzabrać pana doszpitala.

Niemoże zostaćpan bezopieki.

- Nie chcę iść doszpitala - cichutko odzywa się panFeliks.

Prosi, błaga, wpatruje sięrozpaczliwie w twarze otaczających go ludzi.

- Nie może zostać pansam perswaduje lekarz.

-Niech pantytkonie myśli, że z ochotą kierujępana do szpitala.

Wie pan, jaktrudnojest o wolnełóżko.

Alew pana przypadku hospitalizacjajestkonieczna.

- Niechcędó szpitala!

-powtarza pan Feliks, usta mu drżą, trzęsie się podbródek.

-Pan doktor dami zastrzyk iprzyjdęw domu jakośdo siebie.

- Oczywiście, żedam zastrzyk.

To nieodzowne.

Ale niech panrozumie - nie mógłbymz czystym sumieniem zostawić panaw domu.

253.Na tęprzykrą chwilę, kiedy po pana Feliksa zjawiająsię sanitariusze z noszami, żebywynieść go z mieszkania - Anna, zabrawszy ryczącego Sebastiana, ucieka na dół, do siebie.

Szymonzdejmuje zpawlacza walizkę, pakujedo niej najpotrzebniejszerzeczy, zamyka mieszkaniepanaFeliksa i towarzyszy mu aż dokaretki.

A potem wraca dodomu, wieszaw przedpokojukluczei długo myje ręce w łazience.

Inie jest tak, jak miało być, jak sobie to Anna wsamolociewyobrażała.

Jedzą wprawdzie kolację rozmaicą puszkowymispecjałami, które przywiozła, aponiej Sebastian przymierzakupione dla niego rzeczy, ale nie jest tak, jak miałoby być; kładą gospać i długo nie kładą się sami, a kiedy w końcu tego się zmuszają, naprawdę nie jest tak, jak miało być, jak myślała, że będzie, wybierając tydzień w Warszawie zamiast tygodnia w Paryżu.

Obudziwszy się w nocy, Szymon słyszy, że Anna płacze.

- Czy naprawdę mogliśmy zaopiekować się jakoś panem Feliksem?

- Pytacie.

Jest pewien, że ona właśnie o tym myśli, że dlatego płacze.

Następnego dnia Anna jest już ósmej w szpitalu, w którym umieszczono pana Feliksa.

Zawiozła Sebastiana do przedszkola, zadzwoniła do pogotowia i dowiedziawszy się, gdzie leży pan Feliks, już tu jest, już czeka przed gabinetem ordynatora oddziału wewnętrznego, żeby go złapać przed codziennym obchodem.

Na korytarzu panuje poranny szpitalny ruch.

Przed rozpoczęciem dyżuru wszyscy się tu w pośpiechu wymijają, pielęgniarki i młode lekarki zwalniają tylko trochę na widok Anny, żeby ją sobie dyskretnie obejrzeć.

Jedną z nich uśmiecha się i pyta: - Pani na kogoś czeka?

- Tak, na profesora.

- Powinien być już gdzieś.

- Czy.

mogłaby pani poprosić, żeby mnie przyjął?

- Och, na pewno panią przyjmie.

Ja tylko przypilnuję, żeby to było zaraz, jak tylko przyjdzie.

"- Dziękuję pani.

- Miło mi było panią poznać.

- Mnie również - mówi Anna.

Tak, na pewno dobrze jest być kimś w swoim kraju, jeszcze lepiej kimś na świecie - ale narazie ma do załatwienia przykrą, bolesną, jak gwóźdź tkwiącą w sercu sprawę.

Pan Feliks nie powinien dłużej myśleć, że jest samotny. Co za straszne słowo!

Jak mogła pozwolić, żeby wczoraj padło, a gdyby przekreśliło wszystko, co ich łączyło, ale co było z jej strony tylko braniem, odwzajemnianym okłamańmi zdawkowej serdeczności.

Samotność zmieniła się w ciągu ostatnich lat, stała się przerażającą, niezrozumiałą, jak dziwna choroba, na którą zapadł świat.

Dawniej człowiek mógł być samotny na pustyni, na stepie, na krzylodowej.

Teraz był samotny w przeludnionej ciasnocie, w tłumie deptającym mu po piętach, wścisku, w którym nikt nie był dla niego drugim człowiekiem, i na nic zdało się wołanie, nie odpowiadało mu nawet echo.

- Jest już pan profesor!

- Pielęgniarka, która zaofiarowała się pomocą, dogania Annę spacerującą wzdłuż korytarza.

- Proszę, czeka na panią.

- Dziękuję.

Profesor jest niewysokim szczupłym panem w okularach, które czynią jeszcze przenikliwszym jego spojrzenie.

- Witam panią!

Cóż panią sprowadza?

Ktoś chory w rodzinie?

- Na szczęście, nie w rodzinie.

Ale ktoś bardzo mi bliski.

Nasz sąsiad, starszy pan - wczoraj przywiozło go tu pogotowie.

- Jak się nazywa?

- Feliks.



- Anna przez krótką chwilę może sobie przypomnieć nazwiska, ponieważ nigdy się nim nie posługiwał w stosunkach z sąsiadem z czwartego piętra - Feliks Wawrzkiwicz.

Profesor dzwoni do kogoś, z kimś rozmawia, i już po chwili może Annę niepokoić.

- Stan przedzawałowy, ale miejmy nadzieję, że uchwycony w odpowiednim, choć ostatnim momencie.

- Czy.

czy hospitalizacja jest konieczna?

Tępy pytania profesor się nie spodziewał.

Nawet zdajemy się, że się przesłyszał.

- Czy konieczna?

- No..

czy nie mógłby zostać w domu?

Bo lekarz z pogotowia doszedł do wniosku, że nie ma nikogo, a on, przecież.

on w końcu ma nas.

meo męża i mnie.

- Ale pani przecież gra w teatrze?

- Nie.

Kręcę film w Paryżu.

- Jeszcze lepiej!

To co w takim razie pani robi w Warszawie?

255. - Przyjechałam na kilka dni.

I zastałam akurat taką sytuację.

Bo pan nie wie, panie profesorze - Anna przysuwa swoje krzesło bliżej biurka.

- Przepraszam, że zajmę panu jeszcze trochę czasu, ale musi pan to wiedzieć dla jasności sytuacji, otóż pan Feliks.

pan Wawrzkiwicz opiekował się podczas mojej nieobecności naszym synkiem.

Sebastian ma trzy i pół roku, właściwie niedługo skończy cztery, chodzi do przedszkola, ale trzeba go tam zawieźć przywieźć, no i być z nim, aż mąż wróci z sądu, a rozprawy czasami przedłużają.

więc pan Wawrzkiwicz był najczulszą nianką dla naszego Sebastiana.

Ktoś leciutko puka do drzwi, a nie zachęcony dowiejścia, odważa się je jednak uchylić.

- Przepraszam, czy mógłbym.

Profesor zerka na zegarek.

- Chwileczkę, panie docencie.

Drzwi zamykają się, Anna powtarza: - Najczulszą nianką, panie profesorze!

A kiedy sam zachorował.

Tak się bał szpitala, a myśmy jednak go tu wyprawili.

- Dolicha!

- profesornie może się powstrzymać od teju wagi, choć ja okrasza uśmiechem.

- Przecież mytu nie mordujemy ludzi!

Naprawdę nie mordujemy ludzi, choć warunki są skromne.

- Przepraszam.

Proszę mi nie brać za złe.

Ale on.

ale pan Feliks się bał.

I dlatego chciałabym zapytać, czy.

przez te sześć dni, kiedy będę w Warszawie - przyszedłby w domu do siebie?

Profesor milczy.

Prawdopodobnie myśli, że nie widział jeszcze w swoim życiu takiej wariatki, w dodatku zajmującej muczas, którego nie miał zbyt wiele.

Ale nie mówi tego na głos, nie zewzględu nato, że nie chciałby obrazić swojej, bądź co bądź takuroczej, rozmówczynie, ale że.

zaczynaagle myśleć tak jak ona: zdaje sobie sprawę, jak ciężar stanowi to wyobrazenie oczymszału i postanawia go z niej zdjąć.

- Proszę pani - zaczyna cicho - wszystko rozumiem, zapewniam panią, że wszystko rozumiem, choć nikt jeszcze nigdy z czymś takim do mnie nie przychodził.

Ale my tu mamy ten w razie potrzeby i reanimację.

- Reanimację.

- przeraża się Anna.

- Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

Ale pobyt w szpitalu jest konieczny w pewnych okolicznościach.

I nie mógł się zgodzić na zabranie pani sąsiada do domu.

Poza tym że talaskierujemygo od razu do sanatorium.

szt oczywiście, pan wie najlepiej, panie profesorze - szepcze Tencieżar naprawdę zaczyna ustępować i profesor patrzy skrywany uśmiechem, jak jego rozmówczynie się rozpogadza, że jaśniej jej spojrzenie.

- Przepraszam, że zająłem panu tyle czasu.

- Miałem miłą okazję poznać pani.

- Och, dziękuję.

A... czy mogłabym teraz odwiedzić chorego?

Wiem, że to nie pora.

- Zaraz poproszę pielęgniarkę i zaprowadzi panią.

- Profesorka otworzyła Annie drzwi, i opuściłaby jego gabinet naprawdę rozpogadzona, gdyby, żegnając się z nią, nie zapytał: - A co.

z Sebastianem?

- Jak to.

co z Sebastianem?

- Z kim go pani zostawi, wyjeżdżając znów do Paryża?

Annie opadają ręce.

Trzymając w nich pomarańcze i słoik kompotem, bezradnie opuszcza je wzdłuż ciała.

- Nie wiem.

naprawdę nie wiem - szepcze.

- Pytam, bo jestem w podobnej sytuacji.

- Profesor czuje się zażenowany tym zwierzeniem, ale nie może się przed nim powstrzymać.

- Mam chorą żonę i nie mogę znaleźć nikogo do pomocy w domu.

Dojdzie do tego, że będę jej woził w nosilkach z szpitala.

- Ale ja.

- No, właśnie.

Pani wyjeżdża.

A nie próbowała pani dać ogłoszenia?

- Dawałam.

Nikt się nie zgłosił.

- Bona zwykle ogłoszenie nikt się nie zgłasza.

Wie pani, co wymyśliłem?

I pewnie to zrobię, a teraz pani radzę - dać ogłoszenie, zaczynające się od następujących słów:

Powracając przyjmie od zaraz opiekunkę do czteroletniego chłopca.

- Powracająca?

Co to znaczy?

- Nieczytuje pani ogłoszeń?

Powracająca - to znaczy płacąc dolarami.

- Pan żartuje, panie profesorze?

- Ani trochę.

Do tego doszliśmy.

Zobacz pani, ile będzie ogłoszeń.

Drzwi się nie będą zamykać.

Niech pani spróbuje.

257.- Spróbuję - mówi Anna bez przekonania.

Wciąż podejrzewa, że to żart ze strony profesora.

- A osiada niech pani będzie spokojna.

Zwrócę na nie uwagę.

- Dziękuję, panie profesorze.

Wizyta Anny jest dla pana Feliksa ogromnym zaskoczeniem.

Jest to moment, kiedy akurat pielęgniarka i salowa przesuwały w pośpiechu jego łóżko z korytarza, gdzie najwidoczniej dotąd leżał, do czteroosobowego pokoju, w którym ciasno, bociasno, ale jednak jest to pokój, a nieruchliwy jak Marszałkowska korytarz.

I krzesło od razu znajduje się dla Anny, żeby mogła usiąść przychorym.

- Pani Haneczko.

- powtarza wciąż pan Feliks.

Pani Haneczko!

Annabierze jego rękę, gładzi ją leciutko.

- Nie spałam całą noc.

- Ależ dlaczego?

Tak mi przykro.

- Bopozwoliliśmy zabrać panado szpitala.

A pan nie chciał.

- Takie bredzenie starego.

Nie trzeba było zwracać uwagi.

- Byłam u profesora.

I postanowiłam, że jeśli on powie.

Aleni zgodzi się, powiedział, że w pana przypadku pobyt w szpitalu jest konieczny.

A potem dostanie pan skierowanie do sanatorium.

- Do sanatorium?

A kto będzie z Sebcem?

Anna milknie na długą chwilę.

Obiera ze skórki pomarańczy wkładając ją do ust pana Feliksa.

- Orzeźwi pana.

- Co będzie z Sebcem?

- powtarza pan Feliks.

- Profesor radzi.

- Jaki profesor?

- Ordynator.

Mówiłam panu, że byłam u niego.

I on radzi dać ogłoszenie do prasy.

- Wpuści pani do domu jakąś obcą kobietę?

- A co mam zrobić?

- Anna podnosi głos.

W teatrze rozpacz wyraża czasem szepcąc, w życiu prywatnym zawsze chce jej się krzyknąć.

- Co mam zrobić?

Muszę za sześć dni być w Paryżu!

- A może mama pani.

Pani magister.

- W aptece prawie wszystkie panie mają małe dzieci, więc południowedyżury musi brać mama.

258 Obca kobieta w domu!

- biada wciąż pan Feliks, zapominać o stanie swego zdrowia, a i Anna nie zapytała go, jak się czuje.

Poprzegląda wszystkie kąty, jeszcze ukradnie.

"" Co ukradnie?

- Anna uspokaja się powoli.

- Kożuch i biżuterie mam na sobie.

A co u nas można jeszcze ukraść?

"No jednak.

A zresztą, wszystko jedno.

Nie mam innego wyjścia.

- Ale na ogłoszenie trzeba teraz długo czekać.

- Jak to.

czekać?

- No tak.

Niezamieszczają od razu.

- Teraz do wszystkiego jest kolejka - włącza się do rozmowy sąsiad pana Feliksa, również starszy pan i chyba również przedzawałowiec.

- Tylko nadругi świat puszczają bez kolejki.

- A cóż pan!

- Anna macha ręką, jakby wpychała mu powrotem w usta te słowa.

Częstuje go pomarańczą i uśmiecha się przymilnie.

- Cieszę się, że mój chory będzie miał tak sympatycznego sąsiada.

- Pani aktorka?

Bo już chyba panią gdzieś widziałem?

- Aktorka.

Imogł mnie pan widzieć w teatrze, w telewizji albo w kinie.

Ważne, że mnie pan zapamiętał!

Bo aktorkę właśnie pragnie.

- Żonie powiem, że panią poznałem.

Ucieszę się.

- Niech ją pan odemnie pozdrowi.

- Anna wstaje z krzesła, ściska dłoń pana Feliksa.

- Przyjdę jutro, a może i Szymon wpadnie.

I niech się panniczym nie martwi.

Profesor przyrzekł mi, że zajmie się panem.

- Dziękuję, pani Haneczko!

- szepcze pan Feliks nie przyzwyczajony, żeby zwracać sobą głowę tak znakomitym osobom.

- Dziękuję.

Od razu z holu szpitala, gdzie są umieszczone automaty telefoniczne, Anna dzwoni do sądu.

Naszcześnie zastaje Szymon w jego gabinecie.

Streszcza pokrótce wizytę u profesora i widzenie z panem Feliksem, a najważniejsze pytanie pozostawiana koniec: - Cobyś powiedział, gdybym zaczęła szukać opiekunki dla Sebastiana?

- W jaki sposób?

- Dam ogłoszenie.

- Nikt się nie zgłosi.

259.- Ale jadam ogłoszenie tak sformułowane, że napewno będą kandydatki.

Właśnie profesorem poradził.

- Jaki profesor.

- Przecież mówiłam ci, że byłam profesora.

- Ale w sprawie pana Feliksa?

- No, tak.

Ale potem wywiązała się rozmowa.

- Nalitość boską, o czymże ty rozmawiasz z takim człowiekiem?

- To ty nie wiesz, o czym ludzie dzisiaj rozmawiają.

Profesor jest w podobnej sytuacji, ma chorą żonę i nie może znaleźć nikogo do pomocy w domu.

Dojdzie do tego, powiedział, że będzie żonę woził jedzenie ze szpitala w nosilkach.

- W czym?

- W nosilkach.

Takie trzy menażki, nakładane jedna nad drugą.

Chyba widziałeś coś takiego?

,-- Widziałem.

Haneczko, ja mam interesanta.

^- Chwileczkę.

Może poczekać.

Głowę daję, że moja sprawa jest ważniejsza niż jego.

- Ale jestem tutaj.

- Rozumiem.

I twój czas należy do sądu.

Jeszcze ci wczoraj nie dażyłam tego powiedzieć, ale proponowano mi, że bym ten wolny tydzień spędziła na koszt producenta w Paryżu.

A ja wybrałam Warszawę, choć oczywiście nie mogłam wiedzieć, że zdarzysię to nieszczęście z panem Feliksem.

- Dziękuję.

Pomówimy o tym w domu.

- Już na ten temat nie pomówimy.

Chcę ci tylko powiedzieć, że jadę do "Życia Warszawy" i daję ogłoszenie.

Zgadzasz się?

- Muszę.

Anna wiesz słuchawkę i odwracając się ku trzem osobom, które już za nią czekają namożliwość skorzystania z automatu, wygładza twarz w beztroski, zachwycony światem wyraz.

Tydzień w Paryżu!

- Wzdycha prawie na głos, ale na szczęście nikt tego niezauważa, ludzie przed automatami telefonicznymi, choćby im się wcale nie śpieszyło, zajęci są tylko swoim zniecierpliwieniem.

W Dziale Ogłoszeń okazuje się, że pan Feliks miał rację - termin druku ogłoszenia jest przeraźliwie odległy.

- Ale dla pani.

- mówi przyjaźnie uśmiechnięta kierowniczką Działu, do której Anna w końcu się udaje. (Och, jak dobrze, jak dobrze, jak dobrze być kimś w swoim kraju, tylko jak żyją zwykli ludzie?)

)- Czy ogłoszenie mogłoby się ukazać już jutro?

- Anna potyli dowodach uprzejmości, jakich doznała tego ranka, zaczęła stawiać się bezczelna.

-Bo już za sześć dni muszę być w Paryżu,anie mogłabymwyjechać, niemając opiekunki do dziecka.

- Rozumiem.

Będę się starać,żebyukazało się jutro.

Proszę treść ogłoszenia.

Musi pani podać w nim adresalbotelefon.

- Raczej adres.

Bo już raz podawałam telefon, panie dzwoniły,umawiały się, a potem żadna się nie zgłosiła.

- Tak to, niestety, jest.

Bieda, ale nie aż taka, żeby niektórymludziomchciało siępracować.

Anna szybko kreśli na karteczce treść ogłoszenia.

I oczywiściena początku to słowo: Powracająca.

-Tak mi doradzono -uśmiecha się, jakby konieczne tu było jakieś usprawiedliwienie.

- Owszem, wiele ogłoszeń taksię zaczyna, ale głównie, kiedychodzi o kupno domu lub działki.

-Bożedrogi!

Ja chcę tylkomieć opiekędla dziecka!

- Miejmynadzieję, że ktośięzgłosi - kierowniczk DziałuOgłoszeń jest optymistką albo pragnie być uprzejma do końca.

Po rozmowie telefonicznej z Szymonem wieczór niezapowiadał się najprzyjemniej, ale wkrótce doszłido wniosku, że jutrzejsze popołudnie - gdy zaczną się zgłaszaćpanie - będzie wymagało od nich jednolitego frontu i idealnejharmonii, którą trzebabędzie zaprezentowaćkandydatkomna opiekunkę dlaSebastiana.

- O jedno cię tylko proszę - powiedział Szymon.

-Żeby tunienocowała!

Ja przychodzę, ona wychodzi.

- Może chociażherbatę ci zrobi?

-Sam sobie zrobię.

- Dłaczegood razu myślisz, że to będziektos, z kim nie da sięwytrzymać?

-W każdym razie ktoś obcywdomu.

W tak małym mieszkaniu.

-Amożeakuratsię zgłosi jakaś miła, kulturalna pani.

- Trzeba było oprócz ogłoszenia dać na mszę świętą.

-Masz doczynienia tylko ze światem przestępczym.

- Poczekamy do jutra, zobaczymy.

Punktualnieo siedemnastej następnego dnia u drzwi odezwałsię dzwonek.

261.Siedzieli już od godziny w idealniewysprzątanym mieszkaniu,z

Sebastianemupozowanym na niezwyklegrzecznedziecko, którepo całych dniach siedzi nad książeczkami zobrazkami.

- Otwórz!

-powiedziała.

Szymon dopiero terazzerwał się pobiegł do drzwi.

Staławnich szykowna panienska w kozuchu i lisiej czapie.

-Ja z ogłoszenia - powiedziała.

- Proszę, niechpani wejdzie.

Może się pani rozbierze?

- Niewiem, czywarto - panienska przysiadła wkozuchu nabrzegu fotela.

-To ten?

-wskazała Sebastiana.

- Tak.

Sebastian!

Przedstaw się pani!

- Szturchnięty delikatnie przez matkę, Sebastian podnosi zdumione oczy.

Dopiero coprzykazała mu, żeby przez cały czas oglądał obrazki, a teraz.

- Sebastian - mruczyz odpychając niechęcią.

-Miłe dziecko!

- mówi łaskawie młodaosoba, nie zatrzymując na nim zbyt długo spojrzenia.

Rozglądnęła sięnajpierwo mieszkaniu, potemprzyjrzała się Szymonowi, w końcuAnnie.

- Pani to taaktorka?

-Tak.

- To.

ile dolców pani płaci?

- Chciałabym usłyszeć, jakpani to sobie wyobraża?

-ostrożnieodpowiada Anna, a Szymon odtego momentu nicjuż nie rozumiez toczonego przynim dialogu.

- Ja to sobie nic niewyobrażam.

Niech pani powie.

- Dwadzieścia - przechodzi wreszcie Annieprzez krtąń.

-Dolców?

- Oczywiście.

Dolarów.

Choć jeśli paniwoli w innej walucie.

- Wolę w dolcach.

Miesięcznie czy tygodniowo?

- Miesięcznie.

Niechże pani przeliczy - jeśli dolar jest posześćset.

- Już przeliczyłam.

-A więc miesięcznie.

Dotego utrzymanie.

Całodzienne.

- Ja nie potrzebuję całodziennego, boja popołudniu wychodzę.

-Jakto -pani wychodzi?

- Normalnie.

Osiem godzin.

262- Nie rozmawiałyśmy jeszcze o paniobowiązках.

Otóżnajważniejszymz nich jest,żeby zawiozła panii odebrała Sebastianazprzedszkola i byłaz nim w domu,ażmaż wróci z pracy.

- A o której pan wraca zpracy?

-dziewczyzna podnosi wzrokna Szymona i nie krępując się obecnością Anny, daje mu do zrozumienia,że niesą jejobojeźni mężczyźni w jego typie.

- Różnie wracam, tozależy.

-Ej, ej!

- śmieje się kandydatka na nianię Sebastiana.

-Żonietopan tak może mówić, ale mnie.

- Do widzenia pani!

-Szymon ujmuje przybyłą załokieci podprowadza ją do drzwi.

Zdumionanie odezwała sięjuż anisłowem, chyba że za drzwiami, ale tego już niesłyszeli.

- Słuchaj!

-woła Szymon.

-Co toza historia z tymi dolarami?

- Chciałam ci wytłumaczyć, kiedy wczoraj dzwoniłam do sądu, ale nie pozwoliłeś mi na to. Gdybyś czytał ogłoszenia w prasie, na pewno zwróciłbyś uwagę. Gwałtowny dzwonek nie pozwala Annie dokończyć. Sama otwiera drzwi zachęcającym gestem zaprasza do środka bardzo sympatycznie wyglądającą panią w średnim wieku, skromnie, ale starannie ubraną, która wyznaje z zawstydzoną kokieterią: - Ja z ogłoszenia. Państwo dawali ogłoszenie?

- Tak, my.

Niech pani siada.

Przybyła podwija połę płaszcza, żeby gonie pognieść zapada się w fotel.

- A panito ta aktorka!

- stwierdza z radosną satysfakcją.

- Ojej!

Cieszę się!

Nie wiedziałam, że będę u pani pracować.

Bo ja właśnie szukam pracy.

- To się świetnie składa.

- Anna aż musi poskramiać swoją nadzieję.

- Pomyślałam więc sobie, że mogłabym się zaopiekować tym dzieckiem, czemu nie, lubię dzieci.

A to taki śliczny chłopczyk!

- Bardzo grzeczny!

- mówi Anna i zaczyna ją ogarniać wściekłość na Szymona, że milczy, że pozostawia tylko jej prowadzenie tej rozmowy, w której zapewne - po tak miłym początku - zaczną się zaraz pojawiać nieprzewidziane trudności.

I rzeczywiście.

Sympatyczna pani, obejrzawszy z wyraźnym zadowoleniem mieszkanie (żetaki małe!), zgodziwszy się entuzjazmem na honorarium w dolarach, z niezmaconą pogodą przyjąwszy czekającą ją, a najwidoczniej niezbyt dokładnie określone obowiązki, już właściwie przed ostateczną zgodą - pyta: - A kto załatwi sprawunki?

- Jak to kto?

- pytaniem na pytanie odpowiada Anna.

- Słyszała pani, że ja wyjeżdżam na kilka tygodni, mąż jest bardzo zajęty, a pani zostaje na całym gospodarstwie.

- O, nie!

- sympatyczna pani traci cały swój wdzięk.

Podnosi się z fotela, wygładza płaszczyk.

- W ogłoszeniu było napisane opiekunka do dziecka.

Opiekunka to opiekunka!

O sprawunkach nie było mowy.

- Ale przecież prowadziwszy dziecko do przedszkola ma pan do godziny trzeciej tyle czasu, że z łatwością kupi pani wszystko, co potrzebne jest w domu, ugotuje coś, posprząta.

Sprawunki nie są teraz tak uciążliwe jak dawniej.

Pracując w teatrze, mam i inne dodatkowe zajęcia, jakoś potrafiłam zaopatrywać dom.

- Ma pani widocznie mocną energię.

- A pani ma słabe?

- Tak, ja mam słabe.

Iniechcę ich sobie zniszczyć sprawunkami.

Myślałam, że wszystko będę miała w domu, pod ręką.

- Do widzenia pani!



-wybucha Szymon i znów bardzo energicznie doprowadza przybyłą do drzwi.  
Niechybnie wróciłby natychmiast do tematu, który najbardziej interesował go w rozmowach z Anną z kandydatkami na opiekunki Sebastiana - gdyby nie to, że już dwie nowe czekały przed drzwiami.

Anna jedną z nich kieruje do sąsiedniego pokoju, a drugą sadowi na dopiero co opustoszałym fotelu.

Jest także w średnim wieku, nieźle ubrana, o sztucznie rozpogodzonej twarzy, co Anna, tak często korzystająca z tej maski, ocenia od razu.

Oczy - i ich wyraz - zakrywają przyciemnione szkła okularów.

- Pani z ogłoszenia?

- zaczyna Anna, ponieważ kobieta przedłuższy czas nic nie mówi.

Nic nie mówi, ale za to rozgląda się wyraźnym rozczarowaniem po nader skromnym mieszkanku Turoniów.

- Hm.

- zaczyna wreszcie.

- 1 pani płaci dolarami?

- Tak.

Czy to dziwne?

- Anna odwraca głowę, żeby nie widzieć coraz bardziej zdziwionych oczu Szymona.

- Nie odpowiadaj pani, że płacę dolarami?

264 - Tak.

Tylko myślałam, że jak ktoś płaci dolarami, to i mieszkanie ma większe.

Już jak zobaczyłam, że to bloki, to mnie coś tknęło.

- Na ogół panie, które się dotychczas zgłosiły, były zadowolone z mieszkania.

Właśnie dlatego, że małe.

Mniej okien do mycia, podłóg do froterowania.

- Mnie by tonie przeszkadzało, niechby był nawet domek jednorodzinny.

- Może niedługo będzie i domek - zaczyna Anna z zachętą, wciąż nie śmiać spojrzeć na Szymona.

- Bo właśnie podpisałam zagraniczny kontrakt i może, gdy skończę film, pomyślimy o kupnie domku.

- Pani to ta aktorka - stwierdza wreszcie przybyła, ale bez ośnienia, wprost przeciwnie - z jawną dezaprobatą, że aktorka, a tak dotychczas nieurządzona.

- Ale kiedy to wszystko będzie?

Bonnie się spieszy.

- Mnie się również spieszy - podchwytuje Anna.

- Za sześć dni muszę być w Paryżu, a znalezienie opiekunki do dziecka jest warunkiem mego wyjazdu.

Przybyła wstaje i zagląda do drugiego pokoju, speszona - a lenie za bardzo - tym, że siedzi tam kolejna kandydatka na nianię małego Turonia.

- Żeby chociaż ten drugi pokój był większy!

- stwierdza z żalem.

- Bo zapomniałam powiedzieć, że mam córkę.

- Córkę?

- wykrzykują razem Anna i Szymon, nareszcie zgodni w swoich reakcjach.

- Tak.

Bardzo spokojne dziecko.

Chodzi już do ósmej klasy.

Czas leci, proszę państwa, i takie różne rzeczy przynosi, żeby się ich człowiek nigdy nie spodziewał.

Kiedy była mała, też myślałam, że to będzie wiecznie trwało, że będę szczęśliwa, kochana i szanowana.

- kobieta wyjmując z torebki chusteczkę, i nie zdejmując okularów, wyciera nią oczy.

- Ale w ostateczności niechby był i ten mały pokój.

Jakoś się pomieścimy.

- Przykro mi - Szymon wstaje, i tym razem uznawszy, że to on, i to jak najprędzej musi zakończyć całą sprawę - przykro mi, ale niemyśleliśmy o odstąpieniu komukolwiek pokoju w naszym skromnym, jak sama pani zauważyła, mieszkaniu.

Nie wiem, jak moja żona sformułowała ogłoszenie, ale na pewno nie byłotammy o pokoju.

265.- Przecież jak się pracuje, to trzeba gdzieś mieszkać, Annamilczy, usiłując przypomnieć sobie popłochu, jak sformułowała ogłoszenie.

Ale na szczęście Szymon podprowadza już kobietę do drzwi.

- Nieporozumienie, droga pani.

Nieporozumienie - powtarza.

Teraz miejsce na fotelu zajmuje osoba, czekająca dotychczas w sąsiednim pokoju.

Fotel okazuje się wprawdzie dla niej przyciasny, ale jakoś się w nim mieści.

Tak okazała się zabudzi w Annienadzieję, że i Sebastian, a może nawet Szymon będą znakomicie karmieni.

Alena razierozmowa toczy się na inny temat.

- Ludzie są bezczelni - stwierdza kolejna kandydatka pod adresem poprzedniej, która dopiero co opuściła pokój.

- Bezczelni!

Jato bym czegoś takiego nie odważyła się zaproponować.

Wpakować się tu z córką!

Musicie państwu uważać, bo teraz różnego rodzaju zdarzają się na świecie.

- Nie jesteśmy tak naiwni - bąka Anna.

Wciąż ma uczucie, że kompromituje się przed Szymonem, bo nie potrafi prowadzić tych rozmów, które jedna po drugiej kończą się fiaskiem.

- A pani jest samotna?

- pyta starając się o chłodną rzeczowość, a równocześnie od dystans, zbyt jej zdaniem zmniejszony doradczym tonem, na który sobie pozwoliła ta obca kobieta.

1- Taka całkiem samotna nie jestem - uśmiecha się.

- Alenikogo pani nagłowę nie zwalę.

- Czy ja mam wciąż oglądać te obrazki?

- nie wytrzymuje Sebastian.

Zamyka książeczkę, odsuwa ją od siebie i podparłszy brodę na rękach, ponuro przygląda się pani, która decyduje się zostać jego nianią.

- Ja nie chcę - stwierdza w końcu.

- O czym ty mówisz?

Czego nie chcesz?

- zagaduje pośpiesznie Anna; zadowolona ironia w uśmiechu Szymon doprowadzają do szafu.

On się chyba cieszy, myśli, chyba cieszy się z tego, że nie powiodło się jej z tym ogłoszeniem!

Ale co wobec tego sobie wyobraża?

Co sobie wyobraża i na co czeka?

Że będzie musiała zostać?

Że nie pojedzie do Paryża?

Nie namawiał jej do wyjazdu, gdy otrzymała propozycję z Meksyku, ale na Paryż się zgodził, uważał, że to szansa dla niej, szansa dla całej rodziny, bo przecież w końcu tak należała ona to patrzeć.

-Zobaczysz, polubimy się - mówi otyła pani do Sebastiana, który cofa się na oparcie krzesła, kryjąc za plecami ręce.

266- On tylko z początku jest taki nieufny - tłumaczy syna Anna.

- Jachcę pana Feliksa!

-wyznaje Sebastian, z odrazą patrząc na ogromną postać, ledwie mieszczącą się w fotelu.

- Kto to jest pan Feliks?

-pada od razu pytanie.

- To nasz sąsiad, który dotąd opiekował się Sebastianem, ale zachorował.

-Ja to nie zachoruję, może się pani nie bać - rechocze z zadowolenia grubaska.

- Idziecka przypilnuję, żeby nigdy nie chorowało.

Już ja go odkarmię, bo teraz bardzo bledziutki.

Przywoziktoś państwu ze wsi prowiant?

- Pro.

wiant?

- z zająknięciem powtarza Anna.

-Przed wszystkim mięso imasło.

No i czasem drób.

Bo ja to lubię, żeby wszystko było od jednego gospodarza.

Wtedy mam zaufanie, że nie otruje człowieka.

Czyta pani czasem w gazecie, że się ludzie potruła trychinami.

więc najlepiej mieć jedno źródło, stałego samego gospodarza.

- Alemy nie mamy takiego gospodarza - wyznaje Anna z poczuciem winy i kłęski.

-Żadnego?

- Żadnego.

-A jak się państwo zaopatrują?

- Normalnie.

-Normalnie?

To znaczy z kartek?

- Z kartek.

No, czasem oczywiście coś dokupuję - czym prędzej dodaje Anna - jak mam okazję.

- Na okazję trudno liczyć.

-Otyła osoba usiłuje wydostać się z fotela, unosząc go na chwilę na swoim korpusie.

Z kartkowego ja gospodarstwa prowadzić nie potrafię.

Idzieciaka nie odkarmię, żeby był do ludzi podobny.

Myślałam, że jak pani dolarami płaci, to i na wsi wyrobiła sobie kontakty.

- Ale przecież tonic straconego.

Możemy się o te kontakty postarać.

- Teraz?

-kobieta śmieje się długo i z wyraźną przyjemnością podkreślania tym śmiechem swoich racji.

-Teraz każdy chłop mas swoich odbiorców i nieznanemu nic nie sprzeda.

Za dużo się kręci kontrolerów, co tylko wachają, czy ktoś mięsem nie handluje.

Ma pani dolary, a nie chce dzieciaka odkarmić.

O męża - tu 267.

spojrzenie ku Szymonowi, który rzeczywiście jakoś mizernie wygląda, czego dotąd Anna nie zauważyła - też by można lepiej zadbać.

Co chłop wart, jak głodny?

Jato swojemu.

- Proszę zostawić nam swój adres - Szymon przerywa ten monolog - napiszemy do pani, kiedy nawiążemy kontakty ze wsią.

-Nie wiem, czy będę wtedy akurat wolna, ale proszę- otyła kobieta wyjmując z torebki wizytówkę i kładzie ją na stole.

Na jej widok Anna uświadamia sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie miała wizytówki, ale teraz powinna ją mieć.

Ale równocześnie teraz wydaje jej się przekreślone takim znakiem zapytania, że cała myśl wydaje się boleśnie i śmiesznie niedorzeczna.

- No widzisz - sarkastycznie stwierdza Szymon, odprowadzając do drzwi odchodzącą - dałaś ogłoszenie, że płacisz w dolarach, co - przyznaję - z trudem wreszcie pojąłem, i takżenież tego.

Jak ty to napisałaś?

- Napisałam tak, jak pisze wiele ludzi, pragnących dać do zrozumienia, że płacę walutą wymienną.

Wymienną!

Dość precyzyjnie określiłam?

Takie ogłoszenie zaczyna się od słów: powracający albo-powracająca.

Szymon wreszcie ma ochotę się roześmiać.

- A ty już skądś wróciłaś?

-Będę mogła płacić dolarami!

A o to chodzi!

Niech się tylko zgłosi ktoś z sensem.

Ale jakoś na razie nie zgłasza się nikt.

Kroki, które rozlegają się w korytarzu po otwarciu i zatrzaśnięciu windy, odpływają w głąb, nie zatrzymując się przedichprogiem.

- Chcecie coś zjeść?

-pyta Anna.

Szymon zaprzecza ruchem głowy, Sebastian biegnie do kuchni przynosi pomarańczę.

-Obierz!

- mówi do matki.

Już drugi dzień odżywia się prawie wyłącznie przywiezionymi przez nią owocami i matka mu tego broni.

Są to jedyne miłe chwile, które przeżywa po powrocie z Paryża, gdy patrzy, jak Sebastian pochłania soczyste kawałki pomarańczy i jak z zachwytem wpijając się w kremowy rogal banana.

- Pojechałem do matki - odzywa się Szymon- głównie po to.

-Po co?

- pyta Anna, zdumiona brzmieniem jego głosu.

268- Nic ci przedtem nie mówiłem, ale chciałem, żebyś mogła spokojnie pracować, więc pomyślałem najpierw o domu mojej matki.

Miałem nadzieję, że uda mi się umieścić tam Sebastiana.

- Ależ mama jest unieruchomiona.

-Jest Ludwika, imyślałem.

- Niezgodziła się?

-Nie powiedziała tego wprost.

I ja tego także konkretnie nie proponowałem.

Ale zorientowała się jednak, po co przyjechałem i zachowywała się tak.

- Och, nie zostawiłabym jej Sebastiana nawet na pół dnia!

Anna chwytając syna w objęcia gwałtownie całuje, nie zwracając uwagi, że jego oblepione sokiem ręce zostawiają ślady na jej swetrze.

- Nawet na pół dnia!

Na pół godziny!

- Ja też tak myślałem, kiedy wracałem stamtąd.

-Szymon wyciąga rękę i jednym ruchem gładzi dwie przytulone do siebie głowy.

- Co zrobimy?

-szepcze Anna.

-O Boże, co zrobimy?

I wtedy właśnie odzywa się dzwonek.

Nie taki energiczny jak poprzednie, ale jakiś nieśmiały i proszący, żeby drzwi otworzyli dobrzy ludzie.

Otwiera Anna, jeszcze z Sebastianem w ramionach, i rozpromieniały się na widok każdej kobiety stojącej na jej progu, ale ta, która naprawdę tu stała, wydaje jej się szczególnie tego godna.

Bo nie miała ani tej pewności siebie co poprzednie, ani tych oczu latających pościanach, po meblach, po twarzach ich właścicieli.

Zapytała z trwożną nadzieją: - Czy miejsce jeszcze wolne?

- Tak - Szymon wreszcie postanawia sam prowadzić rozmowę - byłowielepań, ale z żadną nie umówiliśmy się wiążąco.

Odkiedy mogłaby pani zacząć pracować?

- Od zaraz!

-kobieciną, bo tak właśnie należałoby ją określić, ani nie młoda, ani nie stara, w wieku zmieniającym się stosownie do szczęścia lub nudy, kształtujących wyraz jej twarzy, ta najwidoczniej przegnaną przez los istota, w włóczkowej czapce i paletku bez skrawka futerka przy szyi, uśmiecha się z nadzieją.

-Od zaraz!

- To dobrze.

Bo żona wyjeżdża za granicę, a mamy dziecko, którym musi się ktoś opiekować.

- Och, ja tak lubię dzieci!

Idziecinnie.

269.- Pracowała już pani w tym charakterze?

-Tak.

Mam referencje.

I dowód.

Dowód mogę zostawić.

- Niewymagamy tego, dowódkażdy musi mieć przy sobie.

Spiszę tylko pani dane, jeśli dojdziemy do porozumienia.

- Dlaczego mielibyśmy nie dojść, proszę pana?

-Kobieciną podnosi na Szymona wyblakłe oczy, a potem prosząco uśmiecha się do Anny.

-Dlaczego mielibyśmy nie dojść do porozumienia?

Państwo tacy mili, a panią to ja znam z telewizji, i wszystko, wszystko chciałabym dla pani robić.

I ugotuję, i posprzątam, i dzieckiem się zajmę.

-Dziecko chodzi do przedszkola - Anna wreszcie dochodzi do głosu, ale Szymon jej zaraz przerywa: - Najpierw niech mi pani powie, czy ma pani mieszkanie?

- Mam.

-To dobrze, bo nasmięscia nie ma możemy mieć opiekunkę tylko na przychodne.

Podrugie - czy mogłaby pani czekać na mnie nieraz aż do wieczora, bo różnie kończą pracę.

- Ależ tak!

Ja tam nigdzie się nie śpieszę.

- Następnie: zakupy pani załatwia?

-A ktośby to za mnie robił?

-kobieciną zdumiewało pytanie.

- Wystarczają pani przydziały kartkowe?

-Szymon pyta coraz agresywniej.

-Czy też wyobraża sobie pani, że będę jeździł nawieś po mięso i błagał chłopów.

- Pomięso.

Na wieś.

- kobieta nie może pojąć, dlaczego zadawane są jej tak dziwne pytania.

Wydaje jej się to niepokojące, więc z większą jeszcze przymilnością w głosie zapewnia: - Jai bez mięsa dobry obiad ugotuję, kluseczki różne robię i ołatki, a z ziemniaków ile potraw można przyrządzić, z gryssu i ryżu, z jaj!

Zjadłbyś omlecek?

- zwraca się do Sebastiana, a ten, o dziwo!

odpowiada zrozbitymi oczyma: -Zjadłbym!

- To zaraz ci zrobię!

Wspaniały, puszysty omlet.

- To może jutro?

-przerywając zapał Anna.

- Dlaczego?

Ja zaraz zrobię!

Bowidzę, że dziecko ma ochotę.

- Mam!

-ożywia się coraz bardziej Sebastian, nie odrywając oczu od przybyłej.

- A jaja.

w domu są?

-pyta zakłopotaniem Anna.

- Kupiłem!

-obwieszcza triumfalnie Szymon.

-Dwadzieścia!

270- Ja to także lubię, żeby w domu wszystko było.

Już zrobię!

Już zrobię ten omlecek!

A...państwo by nie zjedli?

- Ja bym zjadła- wyznaje cicho Anna i z zdumieniem słyszy, że Szymon - prawie zawstydzony

- dodaje: -Ja też.

A potem stoją wszyscy troje w drzwiach kuchni i patrzą na przybyłą do ich domu kobietę, która, zdjawszy płaszcz i przewiąawsz się fartuszkami, długo myje ręce i zabiera się do przygotowywania ogromnej porcji omletu dla trojga - co tu ukrywać?

- nie dokarmionych osób.

-Jak pani ma na imię?

- pyta Anna.

-Sylwia.

Sylwia Dobrodziejczyk się nazywam, wszystko stoi w dowodzie.

I adres.

-Zje pani z nami, pani Sylwio.

- Anna wyjmując z kredensu słoik malinowego dżemu, nakrywa w pokoju stół serwetą.

-Zje pani z nami ten pyszny omlet.

I pachnie już w całym domu topione masło i wanilia, a ubite trzepaczką jajka, wstawione na patelnio piekarnika, rosną w oczach i zaczynają się złoto rumienić.

-W przedszkolach dają omletów -wyznaje z westchnieniem Sebastian.

-Ale Klemensowi w niedzielę mama zawsze robi.

Z dwóch jaj.

-Ty teraz też będziesz dostawała omlety.

- Anna całuje Sebastiana, bo wyczuwa w tym zwierzeniu cień wyrzutu.  
- Pani ci zrobi omlet, kiedy tylko zechcesz.  
- A pewnie, że zrobię - śmieje się pani Sylwia, zarumieniona od pośpiechu i podniecenia.  
- Omlet i grzybek, jeszcze lepszy od omletu.  
- A wiec tak - gdy wszystkie porcje zostały już wymiecione z talerzy, Anna przystępuje do zakończenia sprawy - otrzymaj pan dwa dziesięć dolarów miesięcznie, odpowiada to pani?  
- Komu by nie odpowiadało?  
- szczęśliwym śmiechem wybucha pani Sylwia, rozkwitła nagle przywróconej ważnością.  
- Ale ja i w złotówkach przyjąć mogę.  
Ja złotówkami nie gardzę, do Pewexu nie latam, mnie wszystko jedno.  
- Zdecydujemy pod koniec miesiąca, co pani woli - Anna zerka ku Szymonowi.  
- Przychodzi więc pani już jutro?  
- Tak.

O szóstej rano!

271.- O szóstej to może.

zawczasie - protestuje Szymon.

- Mogę być osiódmej.

Przyniosę swój fartuszek i domowe pantofle.

I od razu świeże pieczywo.

- O, tak!

- szepcze Anna.

- Tak!

I gdy ta cudowna, ta wspaniała, ta niezwykła kobieta odchodzi, Anna i Szymon siedzą nieruchomo przy stole i długo milczą.

XVIII On nikogo nie pozostawia obojętnym - myśli Anna, z zachwyconą uwagą słuchającego, co mówi Soldiwer przed nakręceniem kolejnego ujęcia.

Cała ekipa wpatruje się w niego i jest to ten rodzaj fascynacji, który współpracownicy zaszczycem, nikt tutaj nie wstydzi się dotego przyznać.

A więc ona także - choć jako gość jest tu nas szczególnych prawach - z całą uległością poddaje się nastrojowi panującemu na planie.

Zawsze lubiła pracować z reżyserami, którzy intuicyjnie wierzyła i których podziwiała za odkrycia, dokonywane na obszarach doszczętnie, zdawałoby się, wyeksploatowanych.

Doświadcza teraz tej radości; czas z takim trudem wygospodarowany w jej zapchanym obowiązkiem życia zdaje się być spożytkowany podwójnie.

Pracuje, zarabia, ale i bogaci się w jakiś inny sposób, a nie spodziewała się tego.

Raczej bała się zetknięcia z Soldiwerem na planie, nie sądziła, że będzie tak dobrze.

I pięknie.

Aż niebezpiecznie pięknie; dotego także trzeba się przed sobą przyznać.

Jest to ostatni klaps tego dnia, sekretarka planu uśmiecha się do Soldiwierra.

Wie, że jest zadowolony, a kiedy szef jest zadowolony, cała ekipa ceni swój trud, włożony w nakręcenie każdego ujęcia.

- Żeby jeszcze tylko mógł cię nauczyć patrzenia na kobiety - mówi do Serge'a Satie, który wraz z Anną jest wciąż na planie, a Anatole Giment, usadowiony wraz z kamerą na wózku do travellingu, podjeżdża do nich bezszelestnie na właściwą odległość.

- Mnie?

Patrzenia na kobiety?

- powtarza zdumiony Serge.

Jest przekonany, że tę umiejętność posiadał od dawna i że nikt - przynajmniej we Francji - mu mniej nie dorównuje.

272-Ciebie!

Ciebie!

Jeśli spojrzeniem osiągasz u dziewczyny zapowiedź uległości, wydaje ci się, że to jest wszystko, czemu należy poświęcić swój trud.

W twoim ubożuchnym życiu prywatnym, w ubożuchnym życiu prywatnym produktów współczesnej cywilizacji, do których także należysz - może to irzeczywiście dość.

Ale ty jesteś aktorem.

Jesteś aktorem przede wszystkim.

I tych, którzy cię oglądają, którzy zato - nie zapominaj - płacą, interesuj także i to, codzieje się z tobą, gdy po raz pierwszy spotykasz dziewczynę.

Chcą wiedzieć, czy pragnąłbyś się z nią tylko przespać, czy też wrażenie jest zbyt silne, żebyś w trywialny sposób myślał od razu o łóżku.

- Dziewczeta obrażają się dziś - mówi Serge, nadąsany - jeśli od razu i wyraźnie nie daje im się tego do zrozumienia.

- Ale powiedziałeś: dziś.

Maria nie jest współczesną dziewczyną.

Akcja toczy się czterdziestym czwartym roku.

Tragedia wojny i inna obyczajowość.

I tę inną obyczajowość musisz już zagrać pierwszym podniesionym nianą spojrzeniem.

- Wydaje mi się.

- zaczyna Serge wciąż tak uroczo nadąsany, że przynajmniej połowa ludzi, będących świadkami tej sceny, jest po jego stronie.

- Poczekaj - przerywa mu Soldivier.

- Chyba minęło już zedwadzieścia lat, kiedy oglądałem film - już nawet nie pamiętam pod jakim tytułem - z Liz Taylor i Montgomerym Cliftem.

Tytułu nie pamiętam, ale pamiętam wyraz oczu Clifta, kiedy spostrzegają po raz pierwszy.

Intensywność tego spojrzenia zapowiadała właściwie wszystko, co potem miało nastąpić.

I tego właśnie jawymagam od moich aktorów.

- Żeby nie można było ich zapomnieć?

- usiłuje żartować coraz bardziej speszony Serge.

- Tak, żeby nie można było zapomnieć intensywności ich uczuć.

Żeby byli z ciała, a nie z ciasta.

A to, co robią na ekranie, żeby było życiem.

- No, dobrze.

- Soldivier uznaje, że czas skończyć to kazanie, podchodzi do Serge'a, kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Musimy trochę więcej o tym pogadać, zapraszam was dziś na kolację, panią Annę i ciebie, uważam, że wciąż jesteście zamało z sobą zżyci.

- Dziękuję - mówi Serge, od razu po chłopięcem urozpogodzony.

Żle znosi choćby cień nagany, wymaga wciąż podziwui serdeczności.

273.- A pani?

- zwraca się Soldivier do Anny.

- Czy ma pani jakieś inne plany na dzisiejszy wieczór?

- Nie mam żadnych - mówi Anna.

Idodaje z żartobliwym zapewnieniem: - Nawet gdybym miała, zrezygnowałabym z nich ochotą.

- To pięknie!

- Soldivier klaszcze w dłonie.

- A teraz, dzieci, wracamy do roboty!

Zapalają się wszystkie reflektory, Giment podnosi dookła kamerę.



I tylko Michele, a jej zadaniem jest mieć baczenia wszystko, dostrzega w otwartych momentach odrzuciła zdjęciowej postaci, której widok podrywa ją z miejsca.

Stąpając bezszelestnie, zbliżyła się do przybylej.

- Pani?

- pyta zdumionym i radosnym szeptem.

- Ja - uśmiechając się Isabelle, rada z niespodzianki.

Przykładając palec do ust, a potem obejmuje Michele i całuje ją w pachnącą skórę policzek.

- Wszystko w porządku?

- Myślę, że tak - wyznaję skromnie Michele.

Wie, że pani Pasreger docenia jej udział we wszystkim, co dzieje się na planie poza planem.

- Myślę, że tak.

- Dziękuję, Michele.

- Isabelle pociąga asystentkę męża stojącą pod ścianą krzesła.

- Wykroiłam sobie kilka dni wolnego czasu i przyjechałam, żeby zobaczyć, jak wam idzie, zanim pojedziecie kręcić na południe.

Ile dni zostajecie jeszcze w studio?

- Trzy tygodnie.

Jak dobrze pójdzie.

- Napewno dobrze pójdzie.

Oto jestem spokojna.

Marcel bardzo chciał zrobić ten film, a to najważniejsze.

- Tak, to najważniejsze - powtarza Michele i dodaje nagle, przypatrując się twarzy Isabelle, jakby z trudem ją rozpoznawała.

- A pani.

Wciąż tylko, jak ptak?

Ani tu, ani tam na stałe?

- Och, Michele!

- Pani Pasreger obejmuje ją ramieniem w białym puszystym futrze.

- Robię tam po prostu coś, co mnie interesuje.

Kino francuskie stało się nieco staroświeckie, nie uważasz?

Poza filmami mego męża, oczywiście - dodaje zaraz żartobliwie.

- Ale trudno wciąż pracować razem z mężem, to się może przykrzyć, przede wszystkim jemu.

Czy zauważyłaś, że aktorki, które wyszły z małżeństw reżyserów, nie są prawie zaangażowane przez innych?

Ze scenografkami jest chyba tak samo.

- Wyskakuje kilka włosów ze swego futra.

- Wszystko zresztą jest bez znaczenia.

- Jak to.

bez znaczenia?

- zająknęła się Michele.

Isabelle patrzy przed siebie.

- No, tak - myślę.

w ogólnym rezultacie.

- Kto tam gada mi za plecami?

- wrzeszczy Soldivier.

Isabelle wstaje i idzie ku niemu.

Wysoka, w białym futrze, posuwa się jak jawa przez tonącą w mrokach hali.

- O ile się orientuję, będziesz robił postsynchrony, więc nie powinno ci to przeszkadzać.

Soldivier odwraca się gwałtownie.

- Kochanie!

-woła.

-Czy to możliwe?

I biegnie naprzeciw żonie, która także przyśpiesza kroku.

-Jak widzisz, możliwe!

Bardzo chciałam choć przez moment być przy tobie, kiedy pracujesz.

- Dziękuję!

-Soldivier, jak w maju nalotnisku w Nicei, unosząc się w górę i trzymając ją przez chwilę w swoich objęciach.

Giment odkłada kamerę, podchodzi, żeby się przywitać, elektrycy wyłączają reflektory, tylko Serge, który widzi Isabelle po raz pierwszy w życiu, nie wie, kim jest ta kobieta, mająca prawo do wszczęcia takiego zamieszania na planie.

- To pani Pasreger, żona Soldiviera, przyjechała ze Stanów - wyjaśnia mu Anna i także podchodzi, żeby się przywitać.

-O, Boże!

- woła na jej widok Isabelle.

-Co oni tu z pani zrobili pod moją nieobecność?

Marcel!

Czy po to zwróciłam ci uwagę na najpiękniejszą aktorkę w Cannes, żebyś teraz pogrzydzając do granicy wytrzymałości?

- Dopiero co opuściła więzienie - wyjaśnia Soldivier, usiłując obrócić wzrostem uwagę żony.

-Jeśli chodzi o perukę - wtrąca Michele, biorąc odwet za wszystkie uwagi Soldiviera przy odrzucaniu proponowanych przez nią próbnych zdjęć - nie jesteśmy jeszcze nawet na etapie "futrabobra".

To z Hemingwaya.

Isabelle ściska Annę ostrożnie, żeby nie zniszczyć jej charakterystyki i nie poplamzić śnieżnej białości swego futra.

- Trzeba wierzyć Marcelowi - mówi - jeśli się przy czymś upiera.

Na pewno nie pożałuje taśmy, żeby ukazać także pani urodę.

275. Podczas tej wymiany zdań jej temat Anna nie ma okazji, żeby powiedzieć choć słówko, a teraz cała uwaga Isabelle zwrócona jest na Serge'a, którego przedstawia jej mąż.

- Jak ci się podoba ten młody farmer spod Antibes?

-Och, co najmniej od roku uważam, że jest pan nadzieją na odnowienie kadry francuskich amantów.

- Dziękuję pani - mówi Serge, jest jeszcze na etapie, gdy łaknie się komplementów, kiedyś mu się przykrzą i będzie unikał zasypujących go nimi ludzi.

Teraz pani Pasreger wydaje mu się jeszcze bardziej uroczy niż jest w istocie i patrzy na nią z zachwytem i uległością pogłaskań gopsa.

- Zaprosiłem oboje na kolację - mówi Soldivier dożony.

- Panią Annę i Serge'a.

Chciałem z nimi pomówić, ale w obecnym momencie położymy tonę inny wieczór.

- Och, dlaczego?

- protestuje Isabelle.

- Zjemy tę kolację nas.

Zaprosiłam Balka i Patona, ma być także wasz wielbiciel - uśmiecha się do Anny mąż - Presson oraz Pierre Barraud.

Kiedy tylko przyjechałam, był telefon z "Cahiers du Cinema", że chce się z tobą zobaczyć, więc gorównież zaprosiłam.

- Kiedyż ty zdołałaś dokonać tego wszystkiego?

- zauważa Soldivier bez entuzjazmu.

Znowu zbiegowisko - myśli - jak przeżył czas w Cannes i w Antibes.

- Przerazające jest to, że nie wie, wciąż nie wie, co to znaczy.

- Przyleciałam rano, nie zjawiłam się od razu tutaj, bo nie chciałam ci przeszkadzać.

Może skończysz to ujęcie i pojedziemy?

- Nie, nie!

- protestuje Soldivier.

- Nie jestem już w nastroju.

Zacniemy jutro odejść sceny - zwraca się do Simone, sekretarki planu.

- Ujęcie sto czterdzieste piąte.

- Ujęcie sto czterdzieste piąte - zapisuje również w swoim notesie Michele.

A potem - po rozcharakteryzowaniu Anny i Serge'a - jadą do mieszkania Soldivierów, gdzie jarzą się wszystkie światła, a woniebijące z kuchni atakują o zdrzą już na schodach.

- Mam nadzieję, że nie przyprawiłaś Madeleine o palpitację - mówi Marcel półgłosem do żony - spraszając jej od razu poprzyjeździe tylu gości.

Pamiętam, co działo się z Paulette w Antibes.

276- Och, Madeleine to nie Paulette - z prawdziwym przekonaniem i radością stwierdza Isabelle.

- Ona to lubi!

Mówi, że przy tobie zapomina gotować.

Wszystkoci jedno, co jesz.

- Zależy mi tylko na tym, kto siedzi naprzeciwko.

Na dobrym towarzystwie.

- No, to będziesz je dziś miał.

- W nadmiarze!

- kończy tę przyciszoną dyskusję na schodach Soldivier.

- Och, jesteście już!

- woła, gdy Balk i Paton witają go w progu.

- To miłe z waszej strony!

- Nie pochlebiaj sobie, że śpieszyliśmy się tak do ciebie!

- odpowiada Balk.

- Ostatnio widywaliśmy się często.

- Rzeczywiście - mruczy Soldivier, którym ubokiem już zaczęły wyłazić utarczki z producentem.

- Isabelle uroczo wygląda!

- woła Paton.

- Nie uważasz, Marcel?

- Nie miałem jeszcze okazji dojrzej się przyjrzeć.

- Zaraz ci się pokażę!

- Isabelle puszcza mimo uszu tę cierpką uwagę męża i pociągając sobą Annę i Michele do swego pokoju.

Obydwie są w swetrach i spodniach, więc otwiera przed nimi szafę.

- Możesz coś wybrać?

W przeciwnym razie i ja będę musiała pozostać w moim sportowym kostiumie.

- Jest znakomity!

- stwierdza natychmiast Michele.

- A w mieszkaniu, jak mi się zdaje, nie jest zaciepło.

Zimaję jednak dotarła i do Paryża.

Wolałabym się nierozstawać z moim swetrem.

- A pani?

- pyta Isabelle Annę, która wstrząsnąwszy się, daje do zrozumienia, że i ona dobrze czuje się w swoim ogromnym pasiastym swetrze, który przed wyjazdem zdążyła kupić w Warszawie.

- Rzeczywiście-Isabelle zapina podróżny kostiumik -mieszkanie jest wychłodzone, bo Marcelurodził się w przerębli,i tolubi.

Ale Madeleine dogrzewa je od samego rana i niedługo powinno się zrobić ciepło.

- Poza tym.

-zaczyna Anna z wahaniem, każda chwila z panią Pasreger jest dla niej festywną i niedziela, ale odkilku dni trapiją ją jakiś niepokój, który nawet teraz nie opuszcza - postanowiłam zadzwonić dziś do domu, więc będę musiała dość wcześniej wrócić do pensjonatu, żeby po nocy nie budzić telefonem męża i syna.

277.- Ależ niech pani dzwoni stąd, natychmiast!

- Isabelle wskazuje Annie fotel przystoliczku z telefonem.

-Umie pani uzyskać połączenie?

- Tak, dzwoniłam już dwukrotnie.

Ale.- Anna wciąż jeszcze nie wyzbyła się skrupułów swego obszaru płatniczego- taka rozmowa kosztuje dość dużo.

- O czymżepani mówi, moja droga?

-pani Pasreger całuje Annę i razem z Michele wychodzą z pokoju, zamykając drzwi.

Rozmowa między Paryżem i Warszawą uzyskuje Anna w ciągu czterech minut; nie przyzwyczajona do takich satysfakcji z radosnym zdumieniem słyszy wsłuchawce głos Szymona, tak bliski, jakby dzieliła ich nie potężna, poprzecinana granicami przestrzeń, ale dwie ulice.

- Och, jak dobrze, że już jesteś w domu!

Wszystko w porządku?

Jakoś, niewiem dlaczego, wciąż się niepokoję.

- Niepotrzebnie.

Pracuj spokojnie.

Ukazało się twoje zdjęcie na okładce "Filmu" z podpisem, że kręcisz w Paryżu.

- Dobrze zdjęcie?

-Tak.

Bardzo.

Jak się czujesz?

- Trochę jestem zmęczona.

I wciąż przeżywam Paryż jak sensację.

Wszystko przeżywam jak sensację.

- Przyzwyczaisz się.

-Jak się ma Sebastian?

Wy obydwoj!

- Powiedziałem już, że wszystko w porządku.

Sebastian nawet jakby przybrał nawadze.

- Czy z pani Sylwii wciąż taki ideał?

-Tak.

- Jest jeszcze i słyszy tę rozmowę?

-Tak.

- Odpowiedz mi więc krótko:nie masz żadnych zastrzeżeń?

-Żadnych.

- No, to cieszę się.

Nie masz pojęcia, jak się cieszę!

Kamień spadł mi z serca.

Całuję cię!

Szymon!

Czujesz, jak mocno cię całuję?

Bardzo do was tęsknię!

Daj mi Sebastiana, chcę usłyszeć jego głos.

Przez chwilę w słuchawce szumi cisza.

- Przykro mi, ale akuratnie mago w domu.

- Jak to -nie ma go w domu?

A gdzież jest?

278- Poszedł z panem Olesiem.

- Z kim?

- Z panem Olesiem.

Mężem pani Sylwii.

Często z nim wychodzi na sanki albo na spacer.

Cera mu się poprawiła.

- Alektórażto godzina?

Bój się Boga!

Przecież już dawnociemno!

- Teraz wcześniej robi się ciemno.

- Nie bądź taki spokojny!

Szymon!

Dlaczego jesteś taki spokojny?

Dziecka nie ma tejporze w domu.

- Na pewno zarazwróca.

Pani Sylwia pozdrawia cię i prosi, żebyś się nie niepokoila.

- Najbardziej denerwujemnieto, że ty jesteś taki spokojny!

Puszczasz dziecko z jakimś typem.

- Ależ znam człowieka.

- Znasz!

Na czole ma każdy napisane, kim jest?

Czego cię uczy twoja praca?

Zaufania do ludzi?

- Ależ Haneczko.

- O, Boże!

Poco ja telefonowałam?

Straciłam cały spokój.

- Nie przesadzaj!

- Zatelefonuję jeszcze raz.

Za kilka godzin.

Ubierz się!

Wyjdź!

Szukaj!

- Uspokój się, błagam cię!

Anna odkłada słuchawkę i przez długie chwile nie może oderwać od niej ręki, jakby w ten sposób utrzymywała jeszcze łączność z domem.

Usiłuje opanować się, nie chce pokazać się z wzburzoną twarzą gospodarzom i ich gościom.

Ale trwa to długo, i w końcu Isabelle zagląda do pokoju.

- Stało się coś?

- Och, chyba przesadzam.

Dziecka nie ma do tej pory w domu.

Wyszedł mąż z opiekunki na sanki czy na spaceri jeszcze nie wrócili.

W końcu on nie ma jeszcze czterech lat.

Pani Pasreger przysiadła na poręczach fotela, przyciąga do siebie Annę.

- Tak to z nami jest - mówi cicho.

-Zawsze jesteśmy podzielona na dwie nasze kobiece sprawy, na dom i rodzinę, i na to, co usiłujemy robić.

Bo my wciąż tylko usiłujemy, to tylko mężczyźni poświęcają się swojej pracy za jakąś satysfakcją, bez żadnych wyrzutów sumienia, że okradają kogoś z swojej obecności.

Mię 279.

dzy innymi i dlatego nie chciałam mieć nigdy dzieci.

Wiedziałam, że nie byłabym dobrą matką.

Tak jak nie jestem dobrą żoną.

- Cóż panimówi?

- słabo zaprzecza Anna.

- Jest tak na pewno.

Zresztą - Isabelle milknie na chwilę - jakie to ma znaczenie wobec naszej ulotnej tymczasowości?

- Ulotnej tymczasowości?

- powtarza Anna ze zdumionym przerażeniem.

Isabelle uśmiecha się w smutnym zamyśleniu.

- Dziwi panią to sformułowanie?

Do niedawna mnietaż nieprzeszłoby przez myśl.

- Chwyta z drapieżnym pośpiechem śliczną kryształową popielniczkę i tak długo uderza nią o obwiedziony metalem brzeg stolika, aż rozbija ją na kilka części.

- Niszczę wszystkie przedmioty, które uważamy za piękne.

Nie mogą być, że są trwalsze od ludzi.

- Isabelle - Anna pragnie podnieść się z fotela, uciec z tego pokoju, ale pani Pasreger ją przytrzymuje.

- Może podpaliłabym nawet dom, gdyby nie mieszkali w nim inni ludzie.

- Isabelle!

- powtarza Anna, ale i tym razem nie udaje jej się podnieść z fotela.

- Przecież nie mów pani tego poważnie.

- Owszem!

Jak najpoważniej!

Chyba każdy dochodzi do punktu, w którym jego psychika budzi w nim samą przerażenie.

Na szczęście mam jeszcze od czasu do czasu dość siły, żeby je się oprzeć.

- Chyba wszyscy goście się dziwią, że zniknęła pani na tak długo.

- Chwileczkę!

Pragnę pani jeszcze coś powiedzieć, później już nie będzie na to okazji.

Wtedy w Cannes cieszyłam się to, że ma pani męża i dziecko, że jest pani tak mocno związana z krajem, ze swoim dotychczasowym życiem.

Stanowiło to dla mnie pewnego rodzaju zabezpieczenie, może nawet głównie dlatego wróciłam na panią uwagę Marcela.

On lubi być zafascynowany aktorkami, z którymi pracuje.

Teraz jednak.

- Teraz.

- Anna odpycha wreszcie ramię pani Pasregeri zrywając na równe nogi.

- Teraz?

- Teraz myślę - oczy Isabelle są wilgotne, gdy podnosi jej Annę z serdeczną i bolesną prośbą - że pewnie lepiej by było, żeby była pani wolna.

280- Wracajmy!

- szepcze Anna.

- Wracajmy do towarzystwa.

- Lepiej by było, żeby była pani wolna.

-powtarza Isabelle, nie zdejmując twarzy Anny błagalnego spojrzenia.

Anna cofa się ku drzwiom i wreszcie ma je zaplecami.

Śmiech Balka, który z za nich dochodzi, przywraca ją rzeczywistości - ton niemożliwe, żeby Isabelle to wszystko powiedziała, niemożliwe, żeby patrzyła na nią takim wzrokiem, niemożliwe, żeby przecucie, które nią ośladnęło, było prawdą.

- Chodźmy!

-mówi do Isabelle, wyciągając do niej rękę, choć ona była tu gospodarzynią.

-Czekaj na nas!

Madeleine - już choćby dlatego, że dużo młodsza od Paulette - nie zawiodła nadziei swojej tak rzadko pojawiającej się w domu chlebodawczyni: kolacja była znakomita!

Zimne zakąski, a potem pieczony indyk z kasztanami wywoływały pomruki zachwyty wokół stołu.

- Mam nadzieję, że będę tu częściej zapraszany!

-woła Pierre Barraud "Cahiers du Cinéma", któremu Soldivier wciąż dolewa wino.

Ogromnego wzrostu i wcale pokaźnej tuszy przyćmił jakby sobą resztę obecnych, a najbardziej niezyczliwym okiem spoglądaku niemu Presson, zgaszony przez niego podwójnie, bo „Cahiers du Cinema” były piśmie najwyżej liczącym się w świecie filmowym, zresztą nie tylko we Francji, podczas gdy jego popołudniówka mogła poszczycić się tylko tym, że miała wielokrotnie więcej czytelników.

- I cieszę się także - dodaje Barraud - że łącząc miłe z pożytecznym, ubiłem interes.

To będzie wspaniały wywiad, Marcel!

Przyrzekam to panu.

- Mam nadzieję - mruczy Soldivier, szczerzenie cierpiący wywiadów, a ledy kręci się film, trzeba dostatecznie wcześniej zadbać o jego reklamę.

-I proszę, żeby pan zabrał z sobą piękne zdjęcie pani Anny.

Napiszę - uśmiechając do niej - jak ślicznie mówi pani po francusku.

- Och, szlifowałam mój francuski na Corneille'u!

Anna siłuje pozbyć się złego nastroju, w który wtrąciła ją rozmowa z domem, a później z Isabelle.

- Umiem na pamięć całą rolę Infantki z "Cyda".

-O tym także napiszę!

-Jazrobię to już jutro!

- obwieszcza triumfalnie Presson, jego ładna, choć niezbyt męska twarz, ciemnieje z ekscytacji.

-I zanim

ukáže się to w pana miesięczniku, przeczyta o tym milion czytelników mojej gazety.

- Przeczyta, ale czy zapamięta?

-powątpiewa Barraud.

O, mój Boże!

- myśli Anna.

-Jaka powinnam być szczęśliwa!

Jaka mogłabym być szczęśliwa!

- Dwie rozmowy, które odbyła, zanim usiadła przy stole, nie mogły wywietrzeć jej głowy mimowiną, dolewano jej wciąż przez siedzącego przy niej Gimenta.

Indyk jej nie smakuje, nie smakują kasztany, które je po raz pierwszy w życiu.

- Przeczyta, ale czy zapamięta?

-powtarza zezłościwym zacietrzewieniem Barraud.

- Chciałbym kiedyś w życiu zagrać Cyda - Serge Satie przerywa ten spór i wszyscy zwracają ku niemu głowy.

Ciepło, dobre jedzenie i odrobineczkę za dużo wina rozpałiły mutwarz ioczy.

-Chciałbym zagrać coś, co by się liczyło w mojej karierze, wciąż mam uczucie, że jestem czystą kartką, która nie ma jeszcze nawet nagłówka.

Nie jest to wypowiedź satysfakcjonująca Soldiviera; Michelei Gimentzer kają niespokojnie ku niemu, tylko Isabelle, miastczym prędzej zagadać niezręczność młodego aktora, z entuzjazmem zdumiewającym Annę rozwija temat: -Och, jaki kostium zaprojektowałabym dla pana!

Chce pan?

Zaraz go naszkicuję!

- Obrażę się, Isabelle - odzywa się na szczęście Paton- jeśli będziesz zbyt wiele uwag poświęcała swojemu najmłodszemu gościowi.

Rozumiem, że Serge może zawracać w głowie podlotkom, ale tobie, zwłaszcza teraz, gdy masz przy sobie tylu wspaniałych dojrzałych mężczyzn?

- Obawiam się - wzdycha Balk nad swoim talerzem, na którym ma już drugą porcję indyka- że ja dojrzewam w zbyt szybkim tempie.

Znów mi przybyło dwa kilo, choć głodzę się.

Bóg mi świadkiem.

Wszyscy wybuchają przejmym śmiechem, tylko Anna nie może się do niego zmusić, choć najbardziej powinna pamiętać, jak potężną postacią jest Balk w świecie francuskiego filmu. Z największą ochotą ulotniłaby się po angielsku, złapała taksówkę i pojechała do pensjonatu, żeby czym prędzej zadzwonić po raz drugi do Warszawy.

Ale na razie jest to możliwe, nikt się nie rusza, wszyscy siedzą przy stole, a Madeleine przynosi coraz to nowe butelki wina.

- Moi złoci!

- mówi Isabelle.

- Jak przyjemnie znowu być wśród was!

- Częściej mogłabyś sobie robić taką przyjemność, kochanie!

- Soldivier po raz pierwszy odzywa się przy stole serdecznie dożony, całuje ją w rękę Anna naprawdę zaczyna wierzyć, że istnieje jeszcze dawny dobry czas, a to, co słyszała od Isabelle, da się odwołać, unieważnić, wymazać z pamięci.

Dopiero gdy Madeleine podaje w salonie kawę, nadarza się sposobna chwila, żeby - wytłumaczywszy się przed panią domu - przemknąć niepostrzeżenie do przedpokoju.

Ale nie uchodzi to wagi Soldiviera.

Pospiesza za nią, ciągnąc za sobą Serge'a.

- Odprowadzisz panią - mówi.

- Pensjonat jest niedaleko.

Nawet kawanie zdąży ci wystygnać.

- Ależ złapię taksówkę - broni się Anna.

Naprawdę chciałaby być teraz sama.

- Powiedziałem przecież - uśmiecha się Soldivier, ale w oczach nie ma uśmiechu, pozostają mroczne, mroczniejsze może nawet niż zwykle - że powinniście trochę zbliżyć się do siebie. Jutro kręcimy ujęcie sto czterdzieści pięć.

- Tak jest, szefie - mówi Serge, który naprawdę za dużo wypił wina.

- Pamiętam wszystko, co pan mówił.

I przepraszam pana za ten wygłup z Cydem.

Wcale mi się nie marzą te klasyczne starocie.

Wierzę, że Jean w pana filmie będzie najlepszym nagłówkiem, który wreszcie wpiszę na tę czystą kartkę, za jaką się wciąż uważam.

- Idź już, idź!



-wypycha go za drzwi Soldivier.

Serge już na schodach zaczyna całować Annę.

Czyni to żartobliwie, bez natarczywości, więc nie obraża się na niego, ucieka mętylko na ulicę nie pozwalając nawet ująć się pod rękę.

Pada śnieg, paryska sensacja podczas tej łagodnej zimy, rzadkie płatki topią się od razu na chodniku, tylko pod ścianami domów pozostają pasemki migotliwej bieli.

Przechodnie przyspieszają jednak kroku, kryjąc karki w podniesionych kołnierzach, dla mieszkańców tego miasta jest to przykra niespodzianka, na szczęście co kilka kroków jest jakieś bistro, gdzie można się schronić rozgrzać szklaneczką grzanego wina z korzeniami.

1283.

- Uwielbiam całować się w bramach - mówi Serge.

- Kiedy chodziłem do szkoły, odnosiłem zawsze co ładniejszym koleżankom teczek z książkami.

Odprowadzałem jena półpiętro i tam całowałem do utraty tchu.

Przypomniałem sobie teraz.

- Nie mam tylko teczek z książkami.

- Ma pani dość ciężką torbę.

Poniosę ją.

- Na nic się to nie zda, bo nie czekają nas żadne schody z półpiętremi.

Do recepcji pensjonatu madame Pivette wchodzi się wprost z ulicy.

- Mam nadzieję, że zaprosi mnie pan do pokoju.

- Po pierwsze, Soldivier powiedział, że zechce mnie pan odprowadzić, zanim kawa panu wystygnie, a po drugie - i on to także powiedział, kiedy przyjechał do mnie do Warszawy - ma pan w sobie tyle wzruszającej niewinności, iż wierzy się, że utraci ją dopiero podczas kulminacyjnej sceny naszego filmu.

- Do licha z Soldivierem i jego wyobrażeniem mnie.

Reżyserom zwykle się wydaje, że wiedzą wszystko o aktorze, gdy tymczasem.

- ...

gdy tymczasem miewamy swoje tajemnice, do których jednak prędzej czy później ktoś się zawsze dobiera.

Ja z resztą swoich nie ukrywam.

Starsza pani ze mnie, Serge.

Urodziłam się co najmniej trzy lata przed panem.

Mam syna i męża.

- Przepadam za mężatkami!

- Nie bacz na przechodniów, którzy z resztą nie zwracają na nich zbyt wiele uwagi, Serge zatrzymuje Annę w załomie jakiegoś muru i unieruchomiwszy jej głowę podniesionym kołnierzem kozucha, długo całuje w usta.

- Moja śliczna!

Moja cudowna!

Bądź miła!

Bądź dobra!

Annie wydajesz się to nieprzyjemne.

Wypiła, jak Serge, mnóstwo wina, a poza tym ten smarkacz jest naprawdę zachwycającym chłopcem i garniająca, prawdziwie kobiecy wielki żal, że jednak nie zaprosi go do swego pokoju i nie spędzi z nim nocy, że w najgłupszy sposób każe mu odejść pod drzwi pensjonatu madame Pivette, aby potem do końca życia wspominać tę straconą okazję.

- Przestań!

- szepcze, choć nie stara się oswobodzić z uścisku.

- Dlaczego?

Jest tak przyjemnie!

Nie myśl, że często miewam przygody.

Nierobię z tego sportu, jak inni.

Tylko wtedy, kiedy bardzo kogoś pragnę i wiem, że to szybko nie przeminie.

284- Przestań, Serge!

Powinno ci wystarczyć, że jest mi smutno.

- Smutno?

- Tak.

Smutno, że nic z tego nie będzie.

Nie odprowadzaj mnie do pensjonatu, to już tylko kilka kroków.

Wracaj do Soldivierów, Serge.

Kawa ci zupełnie wystygnie.

- Nie chcę żadnej kawy.

Wogóle już tamnie pójde.

- A tegocinie wolno zrobić!

- Anna, słodkoda senna, odzyskuje pełną przytomność.

Wyrwa kołnierz swego kozucha z rąk Serge'a, oddala twarz od jego twarzy.

- Tegomi nie zrobisz!

Nie wybaczyłabym ci nigdy.

- Piekelnica!

- mówi Serge i jeszcze raz usiłuje pocałować Annę, ale już mu się to nie udaje.

- Dobrze.

Pójde tam i wypiję tę cholerną kawę.

Mam nadzieję, że nikt nie pozna po mnie, jakiego dostałem kosza.

Anna wyjmuję z torebki chusteczkę i wyciera usta Serge'a śladami swojej szminki.

Teraz nareszcie się śmieją i Serge odbiegając woła: - Jutro ujęcie sto czterdzieści pięć!

Soldivier zdębieje, jak jabełde patrzył na ciebie!

W prawie pogodnym nastroju wchodzi Anna do pensjonatu, i tylko niemożemy tłumaczyć madame Pivette, dlaczego wszyscy wpadają tu z ulicy z marznięciami, a jej płońa policzki.

- Mam świetny kozuch!

Świetny kozuch!

- powtarza.

- Przydał mi się jednak w Paryżu.

Czy mogłabym poprosić o rozmowę z Warszawą?

Tak naprawdę to wcale jej się nie chce po raz drugi rozmawiać z Szymonem.

Sebastian już na pewno śpi, rzeczywiście, zachowała się jak histeryczka.

Ale powiedziała, że zadzwoni, więc musi to zrobić, niezależnie od niepotrzebnych kosztów, które wcale nie są takie znikome, jak sobie to wyobraża Isabelle.

I tym razem połączenie z Warszawą uzyskuje w ciągu kilkunastu minut.

Głos Szymona brzmi triumfująco.

- Wrócił tuż po twoim telefonie!

I żebyś widziała, jak irazadowany!

Zaraz go wytarłem.

- Dlaczego?

Wpadł do wody?

- woła Anna z przerażeniem.

- Zgrzał się!

Wiesz, że grzeje się podczas każdej zabawy.

Ale zaraz go wytarłem i przebrałem w suchą koszulkę, a pani Sylwia.

- Boże!

Żeby się tylko nie przeziębiał.

285.- Dlaczego masię od razu przeziębic?

Pani Sylwia dałam ugorącego mleka.

A pokolacjiposedł wprost do łóżka.

-I teraz śpi?

- Śpijak zabity!

-Znowu więc nie będę mogłaz nim porozmawiać.

- Jeśli chcesz, to goobudzę.

-Nie, nie, nie budź, niech śpi.

Możerzeczywiście przesadzami niepotrzebnie po raz drugi dzwoniłam.

-Potrzebnie!

- mówi Szymon pokróciutkiej ciszy, w czasiektórejdochodził do niej tylko jego oddech.

-Słyszałem twój głos.

Teraz Annamilknie - po całym tym dniu, po wszystkich rozmowach, jakie w ciągu niegoodbyła, nie znajduję żadnej właściwej odpowiedzi natakdalekie wyznanie.

Szymon więc, daremniena coś czekając, wkońcu woła:- Dostałaś zaproszenie na wieczór poezji.

-Skąd?

- Znów z Przasnysza.

-Oszaleli!

Odpisz im, że nie ma mnie w Warszawie.

- I jest jeszcze list od ojców werbistów z Pieniężna.

Podają ciałafrykański adresjakiegoś misjonarza.

- Ten adres będzie mi potrzebny, schowaj go do mojej szuflady.

Muszę.

Muszę już kończyć.

Całuję!

Ciebie i Sebastiana!

Powiedz mu to jutro rano.

Panią Sylwię pozdrów.

Powiedz jej, że dostanie coś ładnego z Paryża.

Dopiero po zakończeniu rozmowy Anna ulega spóźnionemu wzruszeniu.

Przygotowując się do snu, przez cały czas jest w swoim warszawskim mieszkaniu, tkwi przy łóżku Sebastiana, siedzi przy stole naprzeciwko Szymona, który zapewne i tego dnia przyszedł z sądu jakiegoś akta.

Ale jednak zasypiając nie jest pewna, czy to jej onie chciałazdradzić z tym chłopięcym cudem, jakim był Serge Satie.

286XIX Prokurator Klimontowicz uchyla drzwi do pokoju Szymona.

- Schodzisz do bufetu?

Szymon kładzie dłonie na stercie akt, które ma przed sobą.

- Przyznam się, że po tej lekturze nie mam zbyt wielkiego apetytu na śniadanie.

-Nie bądź przewrażliwiony.

- Klimontowicz wchodzi, zbliżając do biurka, odczytuje nagłówek klejącej na wierzchu teczki.

-No tak.

Może masz rację.

Sprawa wyjątkowo drastyczna.

Też nie byłem w najlepszej formie, kiedy pisałem akt oskarżenia.

- Namarginesie tej sprawy należałoby wszcząć alarm przeciwko stawianym bezwłaściwej odpowiedzialności diagnozom psychiatrycznym.

Gdyby tego Pytlaka nie wypuszczono z zakładu.

przecież już raz usiłował dokonać gwałtu na dziecku.

- Ale czy wolno rezygnować wiary w pozytywne wyniki leczenia?

Szymon zapala papierosa, ostatniobardzo dużopali, choć wciąż postanawia ograniczyć albo nawet w ogółerzucić palenie.

-i Niemówiłbyś tak, gdybyś sam był ojcem.

- W każdej sprawie usiłuję zachować obiektywizm.

-Tak, oczywiście.

Ale pomyśl o rodzicach tego chłopca.

Nigdy nie uwolnią się od myśli, że gdyby lekarze zatrzymali Pytlaka w zakładzie, ich dziecko żyło.

- Szczerze mówiąc, chyba nie ty powinieneś dostać tę sprawę.

Jeśli zgodzisz się, porozmawiam z Boruckim.

- Ach, nie.

Zostaw.

Chcę, chcę prowadzić tę sprawę.

I chyba dobrze się stało, że mi ją przydzielono.

Nabiurku odzywa się telefon.

Szymon pośpiesznie wyciąga rękę po słuchawkę, rozmowa z Klimontowiczem męczy go, jejdrażający temat nie nadaje się do roztrząsania.

- Sąd Wojewódzki.

Sędzia Turoń.

- Tu Zakrzewski.

Alfred!

- stryj Anny, który nieczęsto się odzywa, pragnie od razu dać do zrozumienia Szymonowi, że nierozmawia z teściem.

-Jak się masz?

- Dziękuję, dobrze.

-Sebastian zdrów?

287.- Tak.

Odpukać!

- Niania jeszcze jest?

-Jest.

Też - odpukać!

- Możebyście wpadli obydwa do mnie wieczorkiem?

Mam ostatni numer "Le Figaro", jest tam coś o Annie.

- O Annie?

-Szymon zerka ku Klimontowiczowi i ogranicza swoje pytanie do tego jednego słowa.

Itak fakt, że jego żona kręci film w Paryżu, jest wciąż sądową sensacją.

-Tak.

Niespodzianka!

-Ale.

miła?

- O, tak!

Na pewno!

Nie biorąc pod uwagę pewnych aspektów.

- Porozmawiamy, jak przyjdę -Szymon czym prędzej kończy rozmowę.

Chcę kupić Sebastianowi buty i zaraz, jak załatwimy ten sprawunek.

Odpowiada to stryjowi?

- Oczywiście.

Siedzę sam.

Moja żona znów buja po świecie.

Udałam się tenaszeżony!

Szymon odkłada słuchawkę, a ponieważ Klimontowicz patrzy na niego z niezbyt taktownym pytaniem w oczach, uważa za słuszną niejako wytłumaczyć się z tej prywatnej rozmowy.

- Zakrzewski.

Alfred.

Stryj mojej żony.

- Tenpisarz?

Czekaj.

czekaj.

Czytałem ostatnio jego książkę.

- Klimontowicz wymienia po namyśle tytuł powieści, którejnie napisał chyba Zakrzewski.

- Mocna rzecz!

Superobrachunkowa!

- Nie lubię obrachunków, czynionych post factum.

- A jak to sobie inaczej wyobrażasz?

- Choćby najbardziej nieśmiałe podliczenia w czasie, kiedy można jeszcze coś zmienić, z czego się wycofać, coś naprawić - miałyby o wiele większy sens.

Klimontowicz uśmiecha się.

Uśmiecha się na tyle, na ile mupozwala jego zawód, stanowisko i stopień zażyłości z Turoniem.

- Wiesz, Szymon, dobry jesteś!

Nie zejdziesz więc na śniadanie?

- Nie, wybacz.

Ledwie zamykają się drzwi za prokuratorem, ukazuje się nich pani Wisia.

- Skoro pan sędzia nie schodzi do bufetu, to może ja herbatki zrobić?

- Niech się pani nie fatyguje.

- Ależ dla mnie to drobnostka.

I przyjemność.

288 Szymon puszcza mimo uszu zwłaszcza to drugie słowo; wie, że protesty z jego strony nanie się nie zdadzą, i rzeczywiście, już pochwili świetna, mocna, słodka (czy uścił biurową składkę na herbatę i oddał pół miesięcznej kartki na cukier?)

) herbaty i minaję biurku.

- Na pewno dobrze pan zrobi - stwierdza pani Wisia.

- Dziękuję.

- Nie podejmuje rozmowy, więc pani Wisia, odczekawszy przepojoną nadzieją chwilę, wychodzi powoli z pokoju.

Dopiero gdy nie ma wątpliwości, że naprawdę zamknęła za sobą drzwi, Szymon wyjmuje z teczek z niesłychaną pieczołowitością przygotowane przez panią Sylwię drugie śniadanie. Są to owinięte w serwetki dwie świeżuteńkie bułki, jedna z żółtym serem, druga z jajecznicą i kiełbasą.

Dotego jabłko i dwa pierniki.

Wszystko to, wyjęte z celofanowego woreczka, sprawia wrażenie paczki od św.

Mikołaja, i Szymon czuje się odświętnie obdarowany, pani Sylwia jest prawdziwą doskonałością.

Niespodziewanie podczas przynębiającej ponurości dnia ukazuje się jakieś światełko.

Są na świecie ludzie, których nazwiska nie znalazły się jeszcze w sądowych teczkach, są sprawy, do których można zabierać się z radością.

Poszukają w sklepach butów dla Sebastiana, a potem pójdą do stryja, żeby dowiedzieć się, co też w "Le Figaro" napisano o Annie.

Ale na pół godziny przed piętnastą w pokoju Szymona zjawia się przewodniczący wydziału zrewizją, która akurat nadeszła z Sądu Najwyższego.

Rozmowa się przedłuża, sprawa jest nieprzyjemna, Szymon upiera się przy swoim stanowisku i dopiero przed piątą opuszcza sąd przyświadczeniem, że przełożeni, którzy nie mają własnych obowiązków rodzinnych, powinni jednak zastanawiać się, czy nie mają ich zatrzymywani przez nich podwładni.

Ale w sądach podkreślano zawsze -choćby i w ten sposób - wyższość tej instytucji nad innymi i wyjątkową dla społeczeństwa ważność załatwianych tu spraw.

- "Tusię nie sprzedaje sprawiedliwości - mawiał jeden z poprzednich prezesów - jak w sklepie, który można zamknąć o oznaczonej porze.

Tu się ją wymierza.

"Aby jak najprędzej zabrać Sebastiana do sklepu z obuwiem, Szymon bierze taksówkę i zastanawia się nawet, czy nie zatrzymać jej przed domem, ale rezygnuje z tego w obawie, że będzie to za 289.

długotrwało.

Zwłaszcza że jacyś nowi lokatorzy tarasują windę i klatkę schodową wynoszonymi i wnoszonymi meblami.

Te wynoszone wydają się Szymonowi jakby skądś znane, zatrzymuje więc Fjałkowskiego, opiekunadomu, jakby z urzędu asystującego przy przeprowadzce.

- Kto się wprowadza?

Idokogo?

Bo te stare meble to chyba u kogoś widziałem.

- To przecież graty naszego pana Feliksa.

Nic pan sędzianowie?

Umarł w zeszłym tygodniu w sanatorium.

Nawet miałem zająć do pana sędziego, żeby o tym powiedzieć.

- Umarł?

- Szymon cofa się przed tapczanem, który między innymi a Fjałkowskim przynosi dwóch młodych ludzi.

- Mój Boże!

Co się stało?

Przecież już go tak podleczyli w szpitalu!

Sam do sanatorium pojechał.

- No i widzi pan sędzia, po tygodniu zmarł.

- A pogrzeb?

Kto się nim zajął?

- Pogrzeb był przed południem.

Itak by się pan sędzia na taką okoliczność z sądu nie zwalniał.

A zajął się pogrzebem siostrzeniec, ten, co się teraz wprowadza.

- Ma prawo?

Nigdy go u pana Feliksa nie widziałem.

- Widzieć tego turzeczywiścienika nigdy nie widział.

Ale pan Feliksa go tu zameldował i spisał potwierdzoną przez kwaterunek umowę, że niby za opiekunstwo do śmierci to mieszkanie musi należeć.

No i teraz się wprowadza.

Szymon odchodzi bez słowa, przeciska się jakoś w klatce schodowej obok tarasującego przejście tapczanu, potraça nawet dość nieuprzejmie wnoszącego go człowieka, co wywołuje oczywiście z jego strony reakcję, nadającą się do kolegium, ale Szymon czuje odrazę do tego osobnika i nawet przed kolegium nie chciałby się z nim spotkać.

A pozatym bardzo się śpieszy.

Ale Sebastiana w domunie ma.

- Gdzie jest?

- pytanie zadowolony panią Sylwią, która naszczęście nie zauważa tego, gdyż cała w rumieńcach od rozgrzanego piekarnika wyjmując akurat z niego jakieś wspaniałe ciasto.

- A wyszedł na chwilkę ze Stasiem - odpowiada pogodnie.

- Z kim?

- Ze Stasiem.

- A kto to jest.

Stasio?

290- Mój brat.

Przyrodni.

- A..

zna go pani dobrze?

- Bożeświęty!

- pani Sylwia uważa prawie, że się przestyszała.

- Brata bym nieznała?

- Ale mów pani, że.

przyrodni?

- Wychowywali się od dziecka!

Od tyciego!

Coteż pansędzia?

- Bo różne teraz rzeczysię zdarzają, droga pani Sylwio.

- Może pan sędziabyć spokojny, jak jakomuś dzieciaka powierzam.

Sam się napierał, żeby iść, jak Staś powiedział, że popapierosy musi wyskoczyć.

- Akurat dziś!

Buty chcę mu kupić, a potem idziemy do stryja.

Niech panina nas nieczeka, nie ma potrzeby.

- Wszystko do snu będzie przygotowane.

Aciasta, jak wystygnie, sam pan sędzia Sebastianowi ukroi.

- Żeby tylko zaraz wrócili, bo siódmejsklepy zamykają.

- Szymon siada, nie dejmując płaszcz.

Jego podenerwowanie udziela się w końcu pani Sylwii, która otworzywszy drzwi, wychodzi na klatkę schodową i nasłuchuje.

Wraca rozpromieniona.

- Już idą!

Przetę przewodzkę to nawet nikt z windy nie może skorzystać, wciąż jakieś paki wożą.

Szymon postanawia nie mówić Sebastianowi śmierci pana Feliksa.

Kiedyś mu powiem - myśli - kiedy już prawie zapomni, że był ktoś taki.

Ktoś taki niepotrzebnie dobry dla ludzi, którzy nie odpłacali mu tym samym.

- Gdzież ty się włóczysz?

wita syna.

Buty idziemy kupować!

Sebastian zatrzymuje się przy progu, wcale nieuradowany tą odpowiedzią.

- Pan Stasio miał mi czytać książeczkę.

Od pana Stasia, który także nie posuwa się w głąb mieszkania, zalačuje jakby piwką.

Szymon stara się nie wciągać w nozdrzatej woni, żeby nie nabrać pewności, że jest tak w istocie.

Nikiej budowy mężczyzna, przyodziany wcale niezimowo w brudnobiałą kurteczkę, marozbiegane oczka czerwone od stałego oblizywania wargi.

- Wejdz, Stasiu!

Ogrzejesz się!

- zaprasza pani Sylwia.

291.- Proszę, niech pan wejdzie - bez prawdziwej zachęty mówi Szymon.

A do Sebastiana stanowczo wyciąga rękę.

-Idziemy!

- Ja nie chcę!

-szepcze Sebastian.

Pan Stasio.

-Idziemy!

- powtarza Szymon.

-Jak przyjdzie odwilż, butyci będą przeciekać.

- Nie -upiera się Sebastian, i trzeba aż interwencji pani Sylwii, żeby zdecydował się podać ojcu rękę.

-Idź, Sebastianku, idź!

Tatuś ma rację.

Pan Stasio jutro poczyta cibajeczkę.

Właściwie zasłużył na lanie!

- myśli Szymon, biorąc syna naręce, żeby łatwiej precyzyjnie przycisnąć się na klatce schodowej, tym razem obok szafy, którą wnoszą ci sami młodzieńcy.

-Naporządne lanie!

- Przerażała go myśl, że Sebastiana fascynowali tak łatwo obcy ludzie.

Ugnał do nich natychmiast, okazując roztargnioną obojętność bliskim.

Trzeba było zacząć z nim o tym rozmawiać.

Ale jak?

- Tatusiu, jest smutno mówi, wciąż niosąc go, choć są już na ulicy.

-Wolałeś zostać panem Stasiem, zamiast pójść z tatusiem do miasta.

- Pan Stasio jest fajny!

-Dlaczego taki fajny?

- z bolesną ciekawością pyta Szymon.

-Nie wiem -zamyśla się Sebastian i ojciec milknie, bo już niczego od niego się nie dowie.

Stawia gona zaśnieżonym chodnikowi bez czułości ujmując jego rączkę.

Niestety sprawunek, po który wybrali się do miasta, nie jest zbyt łatwy, choć właściwie półki pełne są zabawia dla dzieci.

Może Szymon ma zbyt wysokie wymagania, może niepotrzebnie wciąż zadaje sobie pytanie, czy Anna kupiłaby takie buty dla syna, w każdym razie, odwiedziwszy trzy sklepy, bez wielkiej nadziei wchodzą do czwartego.

I tu przydarza się coś nadzwyczajnego!

Są! Są wspaniałe buty dla Sebastiana!

Z grubą podeszwą, na futerku i wielkość powinna być dobra.

Szymon po raz czwarty przykłęka przed synem, zdejmując mustare buty, nakłada nowe.

I nagle zniknięcie z oczek Sebastiana.

-O, kurwa!

- woła na cały sklep.

-Za ciasne!

Szymon cierpnie.

Najpierw rozgląda się, czy kogoś nie słyszał.

Owszem, jakaś pani ze zgorznięciem odciąga swoje dziecko w głąb sklepu.

Ale ekspedientka uśmiecha się pobłaźliwie.

292- Teraz dzieci uczą się tak wszystkiego od starszych.

Trzeba bardzo uważać.



- Co ty powiedziałaś?  
- Szymon jednym szarpnięciem ściągnął buty z nóg Sebastiana i wrzucił je do pudełka.  
- Gdzieś ty to słyszała?  
- Pan Stasio tak mówi - nie bez zachwytu wyznaje Sebastian.  
- Pan Oleś.  
I pan Zdzisio.  
- A ktoż to jest pan Zdzisio?  
- Szymon nie panuje nad sobą, przystojna ekspedientka przygląda mu się coraz większym zdumieniem.  
- Brat.  
Brat pani Sylwii.  
- Jeszcze jeden?  
Iluż onaw końcu ich ma?  
- Nie wiem - wzrusza ramionami Sebastian.  
Manifestacyjnie trzymając uniesione do góry stopki w niebieskich skarpetkach, pocieranych różową włóczką.  
- Mamy większy numer - uprzejmie oferuje ekspedientka.  
Damska obsługa w sklepach całego świata jest zawsze uprzejmiej służy dla mężczyzn niż dla kobiet.  
- Czy podać?  
- Tak.  
Proszę zapakować.  
Nie będziemy już mierzyć.  
- Dlaczego jesteście?  
- pyta Sebastian na ulicy.  
- Ja się tak staram.  
i - Ty się starasz?  
- zdumiewa się Szymon, jednak trochę rozbrojony.  
- A niech cię!  
- Bo pani Sylwii powiedziała, że bym był grzeczny.  
Bardzo się staram - powtarza Sebastian.  
I nie może zrozumieć, dlaczego ojciec znowu pośpiesznie i nieskrępowanych kroków, co zawsze czyni, gdy idą razem.  
- Napijesz się koniaku?  
- pyta stryj Alfred zaraz po przywitaniu.  
- O, chętnie!  
Bardzo chętnie!  
Idź, umyj ręce!  
- Szymon wyprawia Sebastiana do łazienki.  
- Niech sobie stryj wyobrazi, co mi ten smarkacz zrobił.  
Powinienem go porządnie sprać.  
- Za co?  
Uroczy dzieciak!  
- Uroczy dzieciak?  
Ile wstydu się za niego namadłem!  
- Szymon, nie ochłonał jeszcze, przedstawia zachowanie Sebastiana w sklepie obuwniczym.  
Stryj Alfred zamiast zgorszenia ogarnia jednak niepojętą radość.  
Pada na fotel i zanosi się od śmiechu.  
293. - I jeszcze ekspedientka mówi, że nie trzeba się wyrażać przy dzieciach!

Stryj wciąż się śmieje, aż wyjmując kieszonki chustkę, żeby otrzeć łzy.

- Chyba za bardzo się tym przejmujesz.

- Takie słowo!

W jego wieku!

- Nie wykreślił tego słowa z potocznej polszczyzny.

Bo to już jest polszczyzna, mój drogi.

A używane jako swoisty przerywnik przez całą polską młodzież, przez klasę robotniczą, a także przez inteligencję, nie ma właściwie żadnego znaczenia.

Znaczenie zachowuje jedynie jako wyzwisko pod adresem niektórych pań.

U progu swojej kariery sędziowskiej prowadziłeś zapewne tak zwane pyskówki, sędziowie zwykle traktują je z humorem.

- Owszem, też je tak traktowałem, ale przyzna stryj, że jeśli mój syn jest pełną czterolatnie dziecko.

i to publicznie.

- Traktuj to z humorem!

Oczywiście trzeba mu powiedzieć, że to brzydkie słowo, ale jak mu wytłumaczysz dlaczego?

Nieraz się cieszę, że się nie rozmnożyłem jak inni.

Przynajmniej mogę dawać bliźnim dobre rady, nie troszcząc się o ich skuteczność.

Mam Napoleona VSOP.

- Tego midziś potrzeba!

Sąd Najwyższy odesłał moją sprawę do rewizji, no i te rewelacje z Sebastianem!

Że nie wspomnę podejrzanieli licznych braciach jego opiekunki, która poza tym jest aniołem.

- Przymknij więc oko na całą resztę - stryj Alfred wyjmując z barku butelkę koniak u dwakieliszki.

- Zaraz ci się humor poprawi.

A jeszcze, jak ci przeczytam, co w "Le Figaro" pisał Annie.

Szymon pociągały koniak i stara się całą uwagę poświęcić przepływowi owego cudownego napoju z ust poprzez przełyk do żołądka.

Nie przynagla stryja Alfreda, który szukał biurku francuskiego pisma.

Bo się?

Czego się boi?

- O, masz!

- Zakrzewski uderza w górną szpalnę.

- "Nowa inscenizacja Cyda Corneille'a w Teatrze Marigny.

Niewątpliwym wydarzeniem sezonu teatralnego w Paryżu będzie nowa inscenizacja Cyda, której podjął się dla Teatru Marigny Marcel Söldviera.

Obecnie pracuje wprawdzie jeszcze nad filmem, według własnego scenariusza, ale po zakończeniu zdjęć na południu Francji wraca do Paryża i rozpoczyna próby w teatrze.

Na prawdziwą rewelację w roli Cyda zapowiada się młody aktor Serge Satie.

Być może pokreacji nieodżałowanego Gerarda Philippe'a będzie to drugi Cyd, którego Paryż zapamięta.

W roli Infantki wystąpi polska aktorka, Anna Turoń z Warszawy, którą Söldviera zobaczył w Cannes i zaangażował do głównej roli w swoim filmie. Za wcześnie i za późno.

Chimene zagra również aktorka Söldviera, Suzanne Aringaux, tak znakomita w jego filmie Odsiecz, otwierającym ubiegłoroczny festiwal w Cannes.

" - Co ty na to?

- pyta stryj Alfred, podnoszącoczy znad gazety.

Szymon milczy.

Na szczęście wkracza do pokoju Sebastian, wyciskając wodę z zamoczonych rękawów.

- Podlało mi się!

- mówi, wcale nie zmartwiony.

Szymonbiegniedo łazienki po ręcznik.

- Jakże ja cię tak mokrego doprowadzę do domu?

-Wysuszyszmysweterekna kaloryferze - proponuje stryj,samrozbiera Sebastiana i zawija go w kurtkę od swojej piżamy, w pokoju nie jestza ciepło.

- Co więc ty mówiszna to, co tupiszą?

- Sam nie wiem.

- jakoś bardzo bezbarwnieszepcze Szyli mon.

-Jest to niewątpliwy sukces Anny.

- Czy to sukces, okaże sięna premierze teatralnej i filmowej -?

"stryj trzeźwo podchodzido sprawy.

- Wygląda jednak na to, że stanęła tam namocznych nogach.

No i że dłużej posiedziw Paryżu.

-Postanowiłem sprawić jej niespodziankę.

- Jaką?

-Masz smoking?

- Ja?

Skądże?

Po co mi smoking?

Mole by mi go zjadły.

- A jednak zdarzają się okoliczności.

-Mianowicie?

- Pojedziemy do Paryżana premierę "Cyda"!

Anna na pewno nas zaprosi.

- Cóżż tego, kiedy ja nie mam smokingu, o którym stryjśluszenie najpierw pomyślał.

-Uszyjesz sobie dotego czasu.

Mam świetnego krawca.

Napewno powie, że na twoją figurę szyćsmoking to przyjemność.

- Stryjwyobraża sobie, że się u niego zjawię?

-Nie masz pieniędzy!

MójBoże!

Pożyczę ci.

Będiesz mi oddawał, powiedzmy, po dwatysiące miesięcznie.

295.- Dziękuję.

Ale uważałbym te pieniądze za wyrzuconew błoto.

Szyć smoking na jedną okazję!

- Szymeczku!

-Mąż bratanicyzaczyna wreszcie wzruszaćstryjcia bywałego trochęw świecie, choćby dlatego, że sześćlatspędził w Paryżu, pracując w polskiej ambasadzie, i wiedzącego, że w tymmieście w swetrachna premiery się nie chodzi.

-Szymeczku!

Musisz wziąć pod uwagę, że twoja żona robi międzynarodowąkarierę i nie powinno cię zabraknąć jej boku.

- Wcalenie jestemtego takipewien.

-A to mniezaczyna niepokoić.

Mój drogi, zakurzyłeś się tych swoich sądowych foliałach.

Aleja cię pokażę w Paryżu.

Wyobrażamsobie miny tych Francuzów.

Zdębieją, jak się na premierze zjawi dwóch takich facetów jak my.

- Stryja ponosi fantazja.

-Szymon pozwala sobie po raz drugi na łać koniaku, rzadko pija alkohol, ale tego wieczora ma na niego prawdziwą ochotę.

- Wcalenie!

Koszty biorę na siebie.

Nie będą zresztą wysokie.

Pozwól, mógłbym być twoim ojcem, którego nie masz.

Mam przyjaciół w Paryżu, którzy nas przenocują, może dostaniemy pokój gościnny w ambasadzie.

Do diabła!

Przecież ty masz w Paryżu żonę!

- Ja się nudzę!

- stwierdza Sebastian.

- Pan Stasio miał mi poczytać książeczkę.

- Uspokój się!

- gromi go Szymon.

- I nie chcę więcej słyszeć o panu Stasiu!

- Dlaczego?

- pytają równocześnie i Sebastian, i stryj Alfred.

Szymon odpowiada półgłosem tylko stryjowi.

- To całkiem podejrzany braciszek naszej pani Sylwii.

- Czy to nie twoje zawodowe uprzedzenie do ludzi?

- Chciałbym, żeby tak było.

Stryj szperaw swojej bibliotece i wyszukuje w niej tomiki z rysunkami Maji Berezowskiej.

- Masz tu obrazki - mówi do Sebastiana.

- Oglądaj sobie!

Radzę ci to dobrze przemyśleć - zwraca się do Szymona.

- A w ogóle.

czy nie mógłbyś także posiedzieć trochę w Paryżu?

Wspominałeś, bodajże przed dwoma laty, o pracy doktorskiej na temat stosunku Woltera do kary śmierci, o ile pamiętam.

W paryskich bibliotekach znalazłbyś na ten temat materiały, których na pewno dostaniesz w Warszawie.

296- Jak sobie to stryj wyobraża?

- Całkiem prosto.

Miałeś dostać stypendium - odśwież sprawę.

I posiedź trochę w Paryżu.

Szymon!

- dodaje stryj cicho, z zakłopotaną niepewnością, czy powinien to powiedzieć.

- Onajest zachwycającą dziewczyną!

Szymon wypija do dna koniak, odstawia kieliszek.

- Wiem!

- mówi cokolwiek zagłębionym głosem.

- Wiem!

Wiem!

Wiem!

A z kim on zostanie?

Sebastian podnosi oczy z nadkłębowiska nagich ciał, które niewydają mu się wcale interesujące.

Wiem, że onim mowa.

- Jazostanę z panią Sylwią - woła z prawdziwym entuzjazmem.

Szymon tylko czeka, żeby wspomniało panu Stasiu, ale Sebastian na szczęście wraca do obrazków.

- No i widzi stryj!

- Tak, to nie jest proste.

Przepraszam cię, że mówiłem o tym.

- Ja sam.

czasem o tym myślę.

- Ale sprawa smokingu pozostaje aktualna!

- Stryj Alfred pragnie zatuszować swoją życzliwość, bo życzliwą, ale jednak fatalną niezręczność.

- W przyszłym tygodniu dzwonię do ciebie i jedziemy do krawca.

- Pomyślę jeszcze nad tym - za przejmym wysiłkiem uśmiecha się Szymon.

- Chyba ona nie zrobi nam krzywdy?

- mów do zasypiającego na jego kolanach Sebastiana, gdy pustawym o tej porze tramwajem wracają do domu.

- Chyba twoja mama nie zrobi nam krzywdy?

XX Na Lazurowym Wybrzeżu jest już wiosna.

Wyjątkowo wczesna tegoroku, mówi Paulette, nigdy tak prędko nie kwitły mimosy i azalie.

Anna nie może się tym nacieszyć, wszystkie przerwy między zdjęciami spędza w słońcu na długiej ławce pod południową ścianą domu, gdzie nakręca się większość filmowego materiału.

Soldivier bowiem przemienił znów swoją posiadłość na kraju Antibes w farmę, na której ukrywa się polska dziewczyna 297.

po ucieczce z "pociągu śmierci".

Bardzo ułatwia pracę fakt, że mogą tu również mieszkać, oczywiście nie

wszyscy, Soldivier gości w swoim domu tylko Marguerite Sacombe, grającą rolę właścicielki farmy, Annę, Serge'a Satie, Michele i drugiego asystenta Alaina Bennetta oraz operatora Gimenta, reszta ekipy mieszka w hotelu w Antibes.

Paulette ma do pomocy Jose, młodą dziewczynę z pobliskiego, zamkniętego jeszcze przed sezonem pensjonatu.

W kuchni więc coś się dzieje, przez uchylone okna biją w ogród wonie, nie podtrzymujące ochoty do pracy; jeśli plan filmowy jest blisko, czasem nawet Soldivierowi zdarza się popaść w obudzone nagłym apetytem rozstęgnięciem.

Rankami biega.

Wzdłuż wybrzeża kilkakilometrów w stronę Nicei, i z powrotem.

- Gdybyś nas tak nie przekarmiła - mówi do Paulette - mógłbym sobie rano dłużej pospać, jak inni.

Ale muszę spalić to wszystko, co we mnie ładujesz od rana do nocy, nie mogę wrócić do Paryża zaokrąglony jak prosiak.

- Jest pan chudy jak szczapa - nie zgadza się z Marcelem Paulette.

- Isabelle by ręce załamała, gdyby widziała, jak pan zmizemiał pod czastą pracę.

Dobrze, że woda w morzu jeszcze z zimna, żeby się w niej kąpać.

Bo pan by oprócz tego latania wzdłuż brzegu jeszcze pływał co dnia.

- Zdam się nieraz wykapać, zanim stąd wyjedziemy.

Morze się nagrzej przy tej wspaniałej pogodzie.

Nie zrzedź, Paulette.

- Isabelle pisała do mnie, żeby mój pan pilnowała.

- Nie wiadomo, co miała na myśli?

- śmieje się Soldivier.

- Na pewno to, co i ja.

Żeby pan głodny nie chodził i nie przemęczał się pracą.

Szkoda, że nie wpadliście tu chociaż nadziei, kiedy była ostatni w Paryżu.

- Nie chciała.

Czuła się wciąż zmęczona, no i ja zajęty byłam zdjęciami.

- Dawno jej nie widziałam.

Jeszcze w maju ubiegłego roku, kiedy przyjechaliście na festiwal do Cannes, była jakaś dziwna.

- Dziwna?

Wyglądała świetnie.

- Ja bym nie powiedziała - mówi cicho Paulette.

Anną jest tej rozmowy mimowolnym świadkiem.

Póллеżąc na ławce pod domem, opala twarz i dekolt, a oni rozmawiają w dużym pokoju, którego otwarte drzwi prowadzą prosto do ogrodu.

298 Soldivier wpadł nagle do domu, żeby się czegoś napić podczas przygotowywania planu do następnego ujęcia.

Biorą w nim udział tylko Sergew i Jeanne Marguerite Sacombe w roli jego matki, nie licząc kota, psa i kur Paulette, które znakomicie się teraz przydały, dodając prawdopodobieństwa filmowemu obrazowi farmy.

Poza tym w nie używanych chodlaczach budowlanych pojawiły się krowy i świny oraz para koni, którymi Jean odwozi mleko do miasta.

Cała gospodarka podoba się aktorom i ekipie technicznej, w wolnych chwilach prostnie wyłazą obory i stajni, zwierzęta są karmione, czyszczone i pieszczone, a kiedy pojawiają się obok ludzina planie, Giment, zanim podniesie kamerę do oka, nieodmiennie przestrzega aktorów: - Pamiętajcie, że widz zwróć najpierw uwagę na zwierzę!

Imusicie się bardzo starać, żeby wytrzymać tę konkurencję.

Najgorsze pod tym względem są psy i konie.

Byle kundel i byle skopa podoba się widzowi zawsze bardziej niż człowiek.

A jak już w kadrze pojawi się kogut!

- To ty!

- mówi Gimentowi Marguerite Sacombe.

- Ty zwracasz głównie uwagę na zwierzęta!

W twoim ujęciu, w twoim oświetleniu każdy zwierzak staje się bardziej interesujący od aktora.

Ile razy występuję w filmie, w którym ty robisz zdjęcia, znalazł się w jednym kadrze z czworonożnym partnerem, wiem, że nie mam szans.

- Wspomniałem jeszcze o kogucie!

- dodaje Giment.

Śmieją się oboje, a Marguerite wyciąga spod spódnicy sztuczny brzusek, który poprawiono jej tuszę, i kładzie go obok Anny na ławce.

Przyszli tu oboje z ekwipażem gotowości planu i korzystają także z wiosennego słońca.

Giment zdjął nawet czapkę, żeby opalić się.

- Chciałbym każdy film kręcić w takich warunkach - mówi.

- Dom cudowny!

Miejscowość urocza, no i to słońce, jakby dla nas zamówione.

Kiedy Giment odchodzi, bojąc się, że Soldivier, który już wrócił na plan, może go potrzebować - Marguerite podgania wysoko swoją wiejską spódnicę i wystawia na słońce białe jeszcze po zimie, mocne nogi.

Ma na nich drewniane saboty i włóczkowe karpety w kolorowe paski, które teraz w czterdzieści lat po wydarzeniach przedstawianych w filmie Soldimera, zaczynają być lansowane przez młode amerykańskie aktorki.

299. - Ten dom jest rzeczywiście cudowny!

- mówi.

- Kiedy go zobaczyłam, powiedziałam do Isabelle: Kupuj!

Bo przyjaźniłyśmy się wtedy bardzo z Isabelle, zanim zaczęła pracować w Hollywood, i mnie najpierw pokazała ten dom, dopiero później przyjechała tu z Marcelem. Powiedziała mi, że będzie jej potrzebny na starość, dom oczywiście, chociaż i o Marcelu można by powiedzieć to samo.

Jakkolwiek.

starość nie jest zbyt pewną przyszłością dla Isabelle.

- Dlaczego?

- pyta Anna.

Przypomina sobie nagłą trwogą przesłaną filizankę rozmyślnie upuszczoną przez Isabelle napodłogę w dużym pokoju, popielniczkę, którą na jej oczach długorozbijała w Paryżu.

I to, co Isabelle przy tym mówiła, wyraz jej twarzy, jej oczu.

- Oczywiście, starość nie dla każdego jest przyszłością - poprawia się natychmiast Marguerite.

I zrywa się, żeby biec napłan, choć nikt jej tam jeszcze nie woła.

W dużym pokoju dzwoni telefon; w obawie, że Paulette nie usłyszy go w kuchni, Anna biegnie do aparatu i podnosi słuchawkę.

Dzwonią z sekretariatu w Paryżu zawiadomieniem, że Denise Dorec, która miała jutro zjawić się na planie, nie przyjedzie, gdyż jest chora.

W sekretariacie chcą wiedzieć, czy Soldivier będzie czekać na nią, czy też trzeba natychmiast podesłać kogoś innego.

- Dowiem się - mówi Anna.

- Czy pana Soldiviera nie ma w pobliżu?

pytają z Paryża.

- Nie.

Jest napłanie, około 500 metrów stąd.

- Niech więc zadzwoni, jak skończy ujęcie.

Albo Micheleniechto zrobi.

Sprawajest pilna.

- Rozumiem - mówi Anna.

Odkłada słuchawkę i z żalem spojrzawszy na ławkę pod domem, wciąż całą w słońcu, biegnie przez ogród ku zabudowaniom gospodarczym, gdzie Soldivier zaczął właśnie kręcić ujęcie 853.

Jest to ługa sekwencja, w której Jean, odnaleziony przez matkę wstajni, roztrzęsiony i spłakany wyznaje jej, że dopuścił się zniewolenia Marii.

Matka bez słów wymierza mu kilka siarczystych policzków.

- Dubel!

- mówi Soldivier.

- Szeffie!

- Serge wyskakuje z obrębu planu.

- Obawiam się, że pani Marguerite zbyt przejęła się swoją rolą.

300- Nic podobnego - śmieje się aktorka, prywatnie chyba jednak trochę za młoda na matkę dwudziestokilkuletniego dryblasa.

Ujmuje bardzo pieszcotliwie podbródek Serge'a, gładzi go palcami.

Nie masz nawet zaczerwienionego policzka.

- Jajednak proszę.

- Serge niewraca na plan.

- Przepraszam - odzywa się Anna.

- Był telefon z Paryża.

- Czego chcieli?

- pyta Soldivier.

- Denise Dorec nie zjawi się jutro, jest chora.

Pytają, czy decyduje się pan czekać, aż wyzdrowieje.

- Przede wszystkim musiałbym wiedzieć, co jej jest.

- Tego nie powiedzieli.

- Typowe dla naszych pań z sekretariatu.

- Proszę o telefon, bo nie wiedzą, czy mają starać się kogoś innego.

Soldivier zamysła się.

Denise Dorec miała zagrać wielką rolę Rosalie, dziewczyny przyjętej do pomocy na farmie, w posępnym zapamiętaniu wodzącej oczyma za Jeanem.

Właściwie rolę można by powierzyć niezawodowej aktorce, jakiejś dziewczynie z Antibes.

Giment myśli zapewne o tym samym.

Bo nagle mówi: - Jose!

- Co - Jose?

- Jose mogłaby zagrać Rosalie.

Jest w odpowiednim wieku i wypadnie całkiem naturalnie w tej roli.

- Ale mówi trochę tekstu.

- Nie musi mieć nieskazitelnej dykcji.

Nawet nie powinna.

- Oczywiście, że nie powinna.

Ale wyobraźcie sobie, że powiedzenie przez nią tych kilku zdań zajmie nam dużo czasu.

- Przygotuję ją.

Obiecuję ci, że ją przygotuję.

- Anatole!

- Soldivier zniżył głośno głos, ale tak wszyscy go słyszeli, bo chyba chce, żeby go wszyscy słyszeli.

- Wiesz, że nie lubię takich historii podczas pracy nad filmem.

Komplikują.

- Ale ileż dodają juroku!

- Wzdycha skarcony Giment.

A Soldivier dodaje naciskiem: - Michele przygotowuje Josę, a jeśli się nie uda, zrobimy postsynchrony.

Alain!

- zwraca się do drugiego asystenta.

- Proszę, niech pan im odpowie, że nie potrzebujemy nikogo na miejsce Denise.

301. Alain Bennett zrywa się ze swojego krzesła, które stoi nieocofnięte za krzesłem reżysera.

- Nie mamy żadnych innych spraw do Paryża?

- Naszczęście.

- Kiedy ma zjawić się Gerard Yalendie?

- Wiedzą dokładnie.

Ale jeszcze przypomnij!

Alain odbiega, jest wysokim, dobrze zbudowanym młodym człowiekiem i przynajmniej odczytów pań - Michele robi to dyskretnie, Marguerite z jawnym, nieposkromionym łakomstwem swoich lat swojej samotności - odprowadzają go aż do skrajnej ulicy, w której jest.

Soldivier nie lubi "takich" historii podczas pracy nad filmem - wszyscy powinni przyjąć do wiadomości, ale czy przyjmują?

Annie zdaje się wciąż w nocy, że schody starego domu skrzypią pod jej ciężarem, a klamki cicho zamykanych drzwi mlaskają lubieżnie.

Pokoje gościnne są na górze, tylko Soldivier śpi na dole w swoim pokoju i Paulette - z Josę, którą musiała przyjąć do siebie.



Te nocne odgłosy są zapewne imaginacją, wywołaną światłem księżyca, wiosennym powiewem dochodzącym z uchylonego okna, a także wspomnieniami Anny zerotycznie naelektryzowanej atmosfery podczas kręcenia rodzimych filmów wrównie podniecających plenerach.

Ileż to aktorek i aktorów na całym świecie rozstało się ze swoimi życiowymi partnerami dla partnerów filmowych, ileż małżeństw rozpadło się i powstało w tym zaczadzeniu cudzą przecież, "graną" miłością, która nagle zaczęła się przeradzać w coś zdumiewająco i kłopotliwie, ale jak uroczo własnego.

Anna wszelki wypadek zamyka na klucz drzwi swego pokoju.

Nie podejrzewa, broń Boże, nikogo o to, że chciałby się w nocy doniej wybrać, ale śpisz spokojnie i wydaje jej się, że z większą swobodą możesz spytać Paulette, czy to nie kot włóczy się w nocy po schodach?

- Kot śpi teraz na dworze - odpowiada Paulette.

Wszyscy zgromadzeni na śniadaniu wokół stołu podnoszą na Paulette niewinne oczy, i Anna wstydzi się swojej wyobraźni.

Pobudziła ją może nadmiernie sytuacja scenariuszowa, narastanie napięcia między Marią a Jeanem, spotęgowane przeniesieniem Marii z budynku mieszkalnego do letniego domku w ogrodzie, gdzie latwiej jej się byłoby ukryć w suszonych tam i składowanych tytoniowych liściach.

W domu coraz częściej pojawiali się penetrujący okolicę Niemcy, a Marii włosy jeszcze nieodrosły i krótkie ich kosmyki było widać nawet spod chustki; ale przed innymi niebezpieczeństwami strzegło ją tu stale czujne oko gospodyni, waltanie zaś Jean zjawiał się wtajemniczy przedmatką i zawsze byli tu sami z szeroką przestrzenią ogrodu. Soldivier poświęca tym scenom szczególnie wiele uwagi.

przede wszystkim nie żałuje czasu na próby, na analizę sytuacji, komplikującej się coraz bardziej między młodymi.

- Musisz ukazać - mówi do Serge'a swoją młodzieńczą fascynację dziewczyną.

Jeszcze zadanie byłoby tak blisko i nadzadną niemiłość takiej władzy.

To ostatnie uczucie ukrywasz przed samą sobą, ale dla widza musi być ono jednak czytelne.

Tkliwość i serdeczność, jaką masz dla niej, i pragnienie, którego w końcu poskromisz - ustępują chwilami brutalnej pewności, że dziewczyna jest całkowicie w twoich rękach.

Uratowałeś jej życie, chronisz ją przed Niemcami, a każdej chwili mógłbyś ją wydać, przeprowadzając ich do jej kryjówki.

Możesz więc zrobić nią wszystko.

Wszystko!

Rozumiesz?

- Rozumiem - mówi Serge.

- Ale to nie będzie łatwe.

- Wiem, że nie będzie łatwe, ale niedaję łatwych zadań aktorom.

Maria - Soldivier zwraca się teraz do Anny - nie od razu orientuje się, co siedzieje z chłopakiem.

Darzy go zaufaniem i wzrastającą wdzięcznością.

Gdyby nie on, zginęłaby w tym rowie przy torze kolejowym, uratował jej życie, narażając swoje, ukrywając ją przed Niemcami.

Zdobywa dla niej lekarstwa.

Przynosi jej jedzenie.

I stara się, żeby nie czuła się samotna.

Rozjaśniają się jej oczy, gdy chłopak zjawia się w altanie, pośpieszają, gdy zostawia ją samą.

Ale to, do czego dochodzi któregoś dnia, jest dla niej zupełnym, przerażającym zaskoczeniem.

- Czy wszystko jasne?

-Jasne - mówi Anna.

Bardzo się boi tej kulminacyjnej, drastycznej sceny, ale chyba nie tylko ona.

Soldivier po nakręceniu sekwencji, prowadzących doniej narastaniem napięcia, usunął planu całą ekipę i został w altanie tylko z Anną i Serge'm.

- To nie ma być scena - mówi - którą pragnąłbym przyciągnąć widzów do kina, nie znoszę takich kalkulacji.

Jej gwałtowność musi służyć innemu celowi.

Bo po niej następuje przerażenie, żal i rozpacz - i one to mają uczynić z niej wielką, w jakiś sposób podniosłą i czystą w ostatecznym swoim wyrazie tragedię młodości.

Ści, której odebrana została szansa na należyty jej kształt pierwszego uczucia.

Niewiem, jak to zrobicie, ale musicie to zagrać.

Serge, odciebie specjalnie oczekuję intensywności przeżycia, ale także - umiaru w grze.

- Postaram się.

Ale proszę, bardzo proszę, niech pan mówi!

- Serge jest aktorem, którego otwiera każde skierowane do niego słowo. Soldivier bardzo to w nim ceni.

Nie ma tej pewności, jeśli chodzi o Annę, wydaje mu się bardziej oporna, a w scenie tej musi zrezygnować do reszty ze swojej kobiecej dojrzałości.

Musi zapomnieć, że nie budzą w niej (i chyba nigdy nie budzili) przerażenia mężczyźni, którzy jej pragną.

A może się mylę - zamyśla się Soldivier - i właściwie dla czego teraz pozwalam sobie na jakieś dywagacje.

Ona zagradzi wczęte przerażenie Marii, naplanie jest przede wszystkim aktorką, o to możesz być spokojny.

- Niech pan mówi!

- prosi Serge.

- A więc.

- Soldivier z trudem uwalnia się od swoich myśli, wydaje mu się, że Anna ma zbyt podkreślone charakterystyczne usta, może w tej scenie powinny być tak zmysłowe - więc przynosisz jej jedzenie.

Zbliżasz się do altany cicho, ona cię nie widzi ani nie słyszy, zsunęła z ramion pleców bluzkę, wystawiającę napadającą słońce.

Kiedy cię spostrzeża, chce z powrotem naciągnąć bluzkę na ramiona, ale ty prosisz ją, żeby tego nie robiła.

- Potrzebujesz słońca - mówisz.

- Nigdy nie nabierzesz sił bez słońca.

- I jak za hipnotyzowany dotykasz palcami jej nagich pleców, przesuwasz po nich dłoń, przyciągasz jej ramię ku sobie, zaczynasz je całować.

Już teraz oczy Marii ogromnieją z przerażenia, zaczyna cię od siebie odpychać, ale chłopak, ale ty jesteś silniejszy od niej i zaczyna cię ogarniać prawdziwe szaleństwo.

Ściągając jej bluzkę, drzesz ją na niej - z tym ostrożnie, Serge, nie pozwalaj sobie na zupełne obnażenie, tyle jest wszędzie gołizny, żeludzie zapomnieli prawie jak wygląda nagość

- ukazane mają być tylko plecy, ramiona, skrawek piersi Marii, to wystarczy, żeby chłopak do reszty stracił przytomność.

Maria zaczyna krzyczeć, ale ty zakryjesz jej usta dłoń.

- Niemcy!

- postraszysz ją.

- Nie chcesz tu chyba ściągnąć Niemców!

- I Maria milknie, wciąż się broni, gryzie cię, drapie, ale milknie, śmierć jest jednak gorsza od tego, co się tu dzieje i wreszcie jest chwila, w której Maria się poddaje.

może nie tylko ze strachu, musi to pani precyzyjnie ukazać, pani Anno.

W końcu jest to chłopak w tej chwili najbliższy jej na świecie.

Apotelem następuje u ciebie, Serge, to przerażenie, o którym mówiłem, żal i wstyd, i rozpacz.

Podnosisz dziewczynę, obejmujesz ją ramionami, i tak klęcząc, ciasno spleceni rozpaczliwym uściskiem, obydwójce zaczynacie płakać.

Scena zostaje nakręcona bez powtórki.

Soldivier jest bardzo zadowolony, wzruszony chyba także.

- Dziękuję - mówi.

- Tak to sobie wyobrażałem.

Zebrani wokół planu nagradzają ich oklaskami, co zdarza się nie często.

Anna pragnęłaby w jakiś sposób wyrazić Serge'owi swoją wdzięczność za takt, jaki - nie rezygnując z gwałtowności gry - wykazał wobec niej w tej scenie.

Całuje go w policzek.

- Dziękuję - mówi cicho.

- Bardzo bałam się tej sceny.

Serge ma w ogóle dobry dzień.

Kiedy Soldivier decyduje się powtórzyć scenę w stajni, z której nie był zbyt zadowolony, a teraz uważa, że nakręcenie jej bezpośrednio po scenie w altanie da jej właściwy nastrój (nareszcie!

- myśli Anna, przyzwyczajona w teatrze do ciągłości scen i buntująca się przeciwko wrywkowemu nagrywaniu ich w filmie) - w tej scenie w stajni Serge Satie jest również bezbłędny.

Policzkowany przez matkę, powtarza wciąż z uporem: - Jasię z nią ożenię!

Zobaczysz, mama - ja się z nią ożenię!

Z nikim innym, tylko z nią!

- Gówniarzu!

- pani Sacombeze szczególnie soczystą satysfakcją wymawia to słowo, może Serge nie odwiedził jej w nocy, na coliczyła.

- Ty gówniarzu!

Przed wszystkim musiałaby cię chcieć.

Wystarczy spojrzeć na nią, żeby wiedzieć, kto to jest.

Tonie jest dziewczyną dla takiego chłopaka zewsi, jak ty.

Kiedy tylko wojna się skończy, odnajdzie rodziców, wróci do kraju.

- Przedtem się z nią ożenię!

Sprowadzę księdza, da nam ślub.

A po wojnie kupię samochód i będę co dnia woził ją w kapeluszu do Nicei.

- Tomnie by już musiało tunie być!

- Farmerka wymierza synowi potężnego kopniaka.

- Samochód!

Kapelusz!

Myślisz, że się teraz rozgrzeszysz tym gadaniem.

Do końca życia będziesz miał wyrzuty sumienia, że zabrałeś tej dziewczynie to, co powinna zachować dla kogoś innego.

I ona ci tego także nigdy nie wybaczy.

305. Ita sekwencja zostaje nakręcona bez powtórki, ale Soldivier dopiero po chwili orientuje się, że wcale ekipie panuje w niej wesołość.

Dopiero Michele wyjaśnia mu, że spowodowały ją dwa ostatnie zdania i czy.

(odważna, odważna Michele!

) nie należałoby z nich zrezygnować, bo i widzowie będą się chyba śmiać w tym miejscu.

Soldivier nie godzi się na to, choć także ulega ogólnej wesołości.

- Jesteście obrzydliwe, zdemoralizowane współczesnością swintuchy!

Mamy rok czterdziesty czwarty.

Zapominacie, że filmowym czasem jest rok czterdziesty czwarty!

A wtedy byłam iłość, a nie seks, o którym w dodatku mówi się dziś, że się gouprowia, jakby to była lekkoatletyka albo sporty wodne.

Tak pomyślny dzień można zakończyć tylko nakręceniem sceny z Salomonem, czego nie udawało się dotąd zrealizować.

Ogromny czarny kot, ubrany na co dzień jak na bal, w nieskazitelny strój wieczorowy z białym gorssem i mankietami - miałby być głodzony przez kilka dni, żeby wpuszczony do kuchni od razu wskoczył na stół i zaczął lasować wśród misek z jedzeniem.

Niestety, zjawia się na planie pękaty z przejedzenia, roztar- 'gniony i senny, i nie można go skusić nawet na najbardziej smakowity kąsek.

- Może zjadł jakiegoś ptaka albo mysz?

- mówi Paulette.

Miaładopiłnować diety Salomona, ale jakoś dziwnie unika patrzenia reżyserowi w oczy.

Soldivier chwyta kota i podnosi do góry, zbliżając jego ozdobiony białymi wąsami pyszczek do swego nosa.

- Pachnie wędzoną polędwicą, którą mieliśmy dziś na śniadanie - stwierdza.

- A gdzieżbym ja kota karmiła polędwicą?

- obraża się Paulette.

I tym razem trzeba więc zrezygnować z sekwencji z udziałem Salomona.

Wpuszczony z kuchni, wyciąga się zaraz w cieniu najbliższego krzewu, szczęśliwy, że danemu wreszcie spokój.

Nie chce występować w filmie.

Po prostu go to nie interesuje.

Zato kurysą urodzonymi aktorkami.

Gdy farmerka (pani Sacombe ma znów podspódnicą swój okazały brzuszek) zjawia się na podwórzu z ziarnem w fartuchu, biegną za nią, niespełszone bynajmniej ekipą filmową, zgromadzoną wokół planu, i dziobią 306 ziarno, łypiąc co chwila okrągłym, radosnym kiem ku kamerze.

]]o i jest wśród nich kogut!

Gimentz kamerą na ramieniu obiega plan dookoła i wszyscy są pewni, że będzie to najlepsze, najstarsze, najbardziej artystyczne ujęcie z całego filmu.

- Na dziś koniec!

- ogłasza Soldivier.

Ci, którzy mieszkają w hotelu w Antibes, zbierają się do odjazdu, pozostali udają się do swoich pokoi, gdzie - wypoczywając - nie przestają nasłuchiwać, czy Paulette uderzeniami w gong niewzywana kolację.

Tylko Anna zostaje na swojej ławce przed domem, korzystając z ostatnich promieni słońca.

Już tylko kilka dni dzieliło ekipę od opuszczenia tego domu.

Następnego dnia miał przyjechać z Paryża Gérard Valendie, grający Jeana w późniejszym okresie jego życia i Julie Laceau, zaangażowana do roli Rosalie w dojrzałym wieku, miałybyć nakręcone sceny z ich udziałem, a potem przenosili się wszyscy do Tuluzy, gdzie naprawdę przed kilkoma miesiącami odświeżyła tablicę kuczki dowódcy oddziałów maquisz tej okolicy, zamordowanej przez Niemców - Soldivier opracował dokumentację swego filmu na podstawie informacji, udzielonych mu przez związek kombatantów.

A więc jeszcze tylko kilka dni w tym domu pod Antibes, a potem Tuluzę, w której raczej nie należało się spodziewać zbyt wielu przyjemności, pracować miała być intensywna ze względu na koszty, i znów Paryż, gdzie prawienatych miast miały się rozpocząć próby do "Cyda", którego między dwoma filmami zdecydował się zrealizować Soldivier.

W pracowniach Teatru Marigny powstawały już kostiumy i dekoracje, według projektów nadesłanych przez Isabelle, pracowała szybko i była niezawodnym partnerem przedsięwzięć artystycznych męża.

Anna czuje się zaszczycona, że i on abierze w nich udział.

Leniwie myśli, że musi uzyskać u Soldiviera przynajmniej trzy wolne dni, żeby polecieć do Warszawy.

Ale - dziwne - nie budzi to w niej tej bolesnej niecierpliwości, jakiej doznawała w Paryżu na myśl o domu.

Z Paryża zadzwoniła co kilka dni, stąd zadzwoniła raz i tylko wysyłała codniakolorowewidokówki, żeby Szymon mógł pokazać Sebastianowi, jak wyglądają temiejsca, w których jest teraz mama.

Ale poczta ła długoinawet wysyła drogą lotniczą kartki nieprędko miały znaleźć się w Warszawie.

Niemartwiła się tym, w ogóle martwiłaś?

teraz mniej niż dawniej.

To ten cudowny dom, w którym spędziła 307.

dziła kilkanaście dni, nie pozwalała myśleć, że istnieje coś poza nim.

Gdyby się udało przyjechać tu jeszcze raz po zakończeniu przedstawień "Cyda"!

I może z Sebastianem.

Myśli Anny stają się coraz śmielsze.

Przecież podczas przedstawień "Cyda", kiedy ona występowała w teatrze, Sebastian mógłby przebywać tutaj pod opieką Paulette, za odpowiednim wynagrodzeniem oczywiście.

Bawiłby się w ogrodzie, kąpał w ciepłym morzu, jadł owoce.

Anna uśmiecha się do tego marzenia.

Bożedrogi!

Przecież ma pieniądze, przecież zarabiała pieniądze, czy nie może kupić sobie za nie trochę szczęścia?

Ale żeby to wszystko mogło wydarzyć się naprawdę, żeby Sebastian spędził tu lato, bawił się w ogrodzie, kąpał w ciepłym morzu, jadł pomarańcze i banany - ona musi odnieść sukces w roli Infantki.

Bo gdyby recenzje były złe.

Czy nie objawiła zbyt wiele pychy, przyjmując tę propozycję?

A Soldivier zbyt wiele powodowanej nie wiadomo czym lekkomyślności?

Anna zaczyna w popłochu przepowiadać sobie rolę, którą tylerazy recytowała przed madame Yalentine, z którą ją chwaliła madame Yalentine, ale nagle we francuski tekst zaczynają się wplatać polskie słowa, a ich uroda przyćmiewa go i zagłusza, usuwa z pamięci.

coś się oddala, coś przybliża, czy to nastoiw białych skarpetkach na szkolnej scenie, czy dziewczynka z kotarecytatorskiego w Przasnyszu (chyba uwierzono tam, że naprawdę mogła donich przyjechać!

) opisuje się przed panią aktorką z Warszawy fragmentem "Pana Tadeusza" "Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju Napagórku niewielkim, we brzozowym gaju, Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany.

"W głębi trzeszczą schody pod czyimiś spiesznymi krokami.

Anna otwiera oczy i przez chwilę nie wie, skąd się tu wzięła, w tym obcym krajobrazie, zamkniętym na horyzoncie świetlistym tej porze dnia pasmem morza i kołyszącymi się na jego tle palmami.

Dopiero głos Soldiviera przywraca ją do rzeczywistości, - Nie miałaby pani ochoty pobicwzdłuż brzegu?

- Ubrany jest w dres i trampki, stoi przed nią i czeka na odpowiedź.

Anna milczy.

Może wciąż jeszcze jest gdzieś indziej, a może trudno jej uwierzyć w to poraz pierwszy skierowane ku niej zaproszenie.

Przypominając się poranek, kiedy całapaczką zjechali z Cannes, Soldivier pobiegł nad morze, a ona powiedziała Isabelle, że chciałyby mutowarzyć.

- Dziękuję - mówi po długiej, po nadmiernie długiej chwili.

- Ale nie mam odpowiednich butów, a piasek jest jeszcze chyba zimny; żeby mogła biec bos.

- Słusznie - godzi się z odmową Soldivier.

- Sam powinienem o tym pomyśleć.

Nie ma gorszej rzeczy, jak choroby aktorów podczas kręcenia filmu.

Zresztą - może jest już za późno.

Paulette pewnie zaraz wezwie nas na kolację, a jest wściekła, kiedy musi na kogoś czekać.

- Siada obok Anny na ławce i wyciąga przed siebie nogi.

Spracował się dzisiaj, ale wygląda na szczęśliwego.

Na bardzo szczęśliwego.

Bruzdy po bokach ust są prawie niewidoczne, wygładzone rozpogodzeniem twarzy.

Pasemkiem morza pod linią horyzontu płynie z Cannes do Nicei biały statek.

Co jakiś czas zakrywają go strzępiaste liście palm, ale wyłania się z nich znowu, biała, ruchoma plamka, podświetlona z jednej strony czerwono zachodzącym słońcem.

Zgęstwiny krzewów wychyla się Salomon, przez chwilę bada sytuację, a potem zbliża się do ławki i na całą swoją czarną i lśniącą długość wyciąga się u nóg Soldiviera, jakby chciał dać mu do zrozumienia, iż wybacz mu, że chciał z niego zrobić filmowego aktora.

- Jaki spokój - mówi Soldivier cicho.

Wkładając swoją dłoń na wspaniałą ławkę rękę Anny, a ona nie ma odwagi - och, ichęci!

- żeby ją cofnąć, żeby wstać i uciec.

XXI- Dobrze - mówi Anna do telefonu.

- Będę gotowa.

Położeniu słuchawki wskakuje do łazienki.

Telefon z sekretariatu producenta Balka wyrwał ją z głębokiego snu.

A miała nadzieję, że popóźnym przyjeździe z Tuluzy będzie mogła wreszcie porządnie się wyspać.

Czego on może chcieć?

- myśli.

Jak zawsze, najpierw ma złe przeczucia.

Kontrakt?

Zmiana kontraktu?

Obniżenie honorarium?

To chyba niemożliwe?

Ale tyle się napytała o brutalności producentów.

Balk był jednak zawsze taki.

miły, taki wyjątkowo dla niej miły, nie zrobi jej chyba świństwa?

A może chce jej podwyższyć honorarium?

Po złych przeczuciach Anna pozwala sobie na odrobinę optymizmu.

Podniesiona na duchu tą nieśmiałą nadzieją, ubiera się starannie i schodzi na dół do kawiarni pensjonatu, do której madame Pivette przynosi jej kawę i chrupiące rogaliki.

- O dziesiątej ma przyjechać po mnie samochód - mówi Anna już teraz wygląda przez okno na pustawą o tej porze ulicę.

Dzisiaj jest pochmurny i oczom trudno pogodzić się jego szarością po zaświeconym słońcem pejzażach południa Francji.

- Mieliliśmy przez cały czas wspaniałą pogodę - mówi do madame.

Veronique odsuwając stół i siada, pozwalając sobie na krótką chwilę pogawędki.

Przyglądasz się Anniez przyjemnością.

- Opaliła się pani.

Pięknie pani wygląda.

- Staralam się być na słońcu podczas wszystkich przerw między zdjęciami.

Wypoczywałam w ten sposób.

Bo pan Söldner jest bardzo wymagający.

- Czy.

to jego samochód przyjedzie teraz po panią?

- Och, nie.

To pan Balk, producent, chcesz zobaczyć.

- Anna dużymi haustami pije kawę, rogalik ledwie nadgryzła, choć jest tak świeży i pachnący.

- Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego zaprasza mnie do swego biura.

- Na pewno jakaś miła niespodzianka - uśmiecha się z czułością Madame Pivette.

Ale Anna nie może się pozbyć niepokoju i napięcia.

Dopiero gdy szofer producenta, zajeżdżając przed pensjonat, wyskakuje z wozu, ostrożnie niosąc przed sobą wiązankę róż - zaczyna mieć nadzieję, że niespodzianka może być miła.

- Jakie piękne!

- Madame Pivette odbiera od niej kwiaty.

- Zaraz wstawię do wody i zaniosę do pani pokoju.

- Dopóki nie wrócę, niech stoją w recepcji.

Szkoda, że bynik nie patrzył na nie.

Nawet w pochmurny dzień przejazd ulicami Paryża jest dla Anny odświeżającą przyjemnością.

Jeszcze nie poznała tego miasta, jeszcze nie miała okazji, każda ulica jest jak prezent, który zatrzymuje tego ranka.

Przed sklepami sprzedawcy ustawili już kolorowe skrzynki z warzywami i owocami, tę paryską wiosną chce się wachać jeść, co krok jakaś ponętna pokusa wabi nosioko klienta.

Muszę mieć choć jeden całkowicie wolny dzień - myśli Anna - żeby pochodzić tymi ulicami, żeby włóczyć się nimi bez celu od sklepu do sklepu, od straganu do straganu, od jednego do drugiego tarasu ulicznych kawiarni.

Ale już z pierwszych zdań Francisca Balka wynika, że na tak idzień się nie zanosi.

Mam coś dla pani - mówi tajemniczo uśmiechnięty.

- Niewypuścimy pani tak prędko z Paryża.

Czekają mnie przecież jeszcze próby, a potem przedstawienia "Cyda".

Jutro zaczynamy.

Ach, teatr.

Wściekły jestem na Marcela, że się w to uwikłał.

Nie wiem, dlaczego wy wszyscy stawiacie teatr ponad kino.

Trzeba trzymać się jednego, jeśli chce się mieć naprawdę dobre nazwisko.

No, ale już trudno, stało się.

Jamam dla pani rolę w nowym filmie.

W nowym.

filmie?

- powtarza Anna zaskoczona.

- Tak.

Söldner zgodził się, żebym na przegląd nakręcanego przez niego materiału zaprosił Claude'a Ferriego.

To zdolny młody reżyser, który zrobił już dla mnie dwa filmy.

Miały dobrą prasę i nie straciłem na nich.

Teraz przygotowuje się do trzeciego, scenariusz jest bardzo interesujący i cieszy mnie, że Claude, zobaczywszy panią w filmie Soldiviera, postanowił powierzyć pani główną rolę. Och!- zaczyna Anna, ale właściwie nie wie, co dalej powiedzieć.

Jest oszołomiona.

I świetnie się składa -ciągnie dalej Balk - bona nowy film Soldiviera trzeba będzie jeszcze poczekać.

Na nowy film Soldiviera pani udziałem.

„Nic o tym nie wiem - szepcze Anna coraz bardziej oszołomiona.

Ale ja wiem-uśmiecha się wciąż tajemniczo Balk.

- Marcelnie lubi się zwierzać, ale mnie musi, w przeciwnym razie zostałaby bez pieniędzy ze swymi marzeniami.

Nie ma nic gorszego dla artysty.

Ale wracając do Ferrie'go.

Obiecałem mu, że porozmawiam z panią i umówię was na spotkanie.

Bo chyba w zasadzie przyjmuję pani propozycję?

Anna milczy.

Zdaje sobie sprawę, że milczy zbyt długo.

(Boże!

-myśli - żeż ja nigdy nie mogę się niczym w pełni cieszyć!

)311.

- Oczywiście- mówi wreszcie.

- Jestem panu bardzo wdzięczna, że myśli pan o mnie.

Tylko.

- Jest jednak jakieś "tylko"?

Czy to chodzi o teatr- w Warszawie?

- W teatrze nie będzie miał trudności.

Naszczyście polscy artyści mogą już pracować zagranicą, nie zrywając więzów z krajem.

Ale ja prócz swego teatru mam jeszcze dom, męża i syna.

- Przecież to dla nich zarabia pani u mnie pieniądze!

Niemałe- ośmielam się podkreślić!

- Wiem.

Dziękuję bardzo to sobie cenię - ale oni obydwaj są akurat tacy, że nie myślą o pieniądzach.

Jeden niema jeszcze czterech lat wolałby zamiast pieniędzy mieć mamę w domu - a drugi.

- Wyobraź sobie, że drugi też chciałby mieć panią w domu.

- Niechże mi pan pozwoli skończyć- drugi powinien mieć przynajmniej tę satysfakcję, że zatelefonuję do niego i powiem mu o propozycji, jaką dziś otrzymałam.

- Żeby wyraził zgodę, tak?

Dziewczyno!

Przepraszam, że tak mówię, ale mógłbym być pani ojcem.

Niech pani przeczyta sobie historię kina, pamiętniki gwiazd ekranu.

Czy nie decydowały się zostawić domu, męża, dzieci dla kariery, która się nagle przed nimi otwierała?

Chwilowa rozłąka nawet dobrze robi niektórym małżeństwom.

Chyba że chodzi o jakieś ambicje na punkcie sławy.

Pani mąż jest także aktorem?

W ostateczności - Balk nie jest już tak przyjemny, jak na początku rozmowy- mógłbym porozmawiać z reżyserem, żeby dał mi jakąś rolę.

-Mój mąż nie jest aktorem - stwierdza Anna z zaskakującą satysfakcją i nawet- z niewiadomego powodu uwłaczając własnemu zawodowi - myśli z dumą o Szymonie, żona pewno nie mogłaby być aktorem.



Dla żadnej roli nie zrezygnowałby ze swojej osobowości, a to przecież było podstawą tego zawodu.

- Niemówmy już na ten temat - dodaje cicho.

- Chcę tylko zatelefonować do Warszawy.

Mąż na pewno zrozumie, jaka to ważna dla mnie sprawa - drugi film w Paryżu.

Chciałam panu powiedzieć, że to właśnie nakłonił mnie do przyjęcia propozycji pana Soldiviera.

- Nakłonił panią?

- Balko wzdaje się, że się przesłyszał.

- Tak.

Bo wcześniej otrzymałam zaproszenie z Meksyku i nie przyjąłam go.

Miałam akurat interesujące propozycje w kraju.

Choć nie za dewizy.

- Anna czuje, że każdym słowem obraża siebie Balka, ale nie może się już zatrzymać, już nie może.

(^, W ostateczności mógłbym porozmawiać z reżyserem, żeby mu dał jakąś rolę" - tego zdania długo nie zapomni).

- Choć nie za dewizy!

- powtarza naciskiem.

- Przepraszam - Balk reflektuje się wcześniej od niej, usiłując nadać rozmowie zabarwienie żartu - poprostu przyzwyczailiśmy się do tego, że w wschodniej Europie cenimy bardziej nasze zachodnie pieniądze.

Anna z ulgą podchwytuje ten ton.

- Balk jest naprawdę.

Ale bywają sytuacje.

- Rozumiem - Balk jednym kiwnięciem zerknął na swój terminarz, jak dekalog otwarty przed nim na biurku.

- Pani Anno!

Reasumując - pani dzwoni do Warszawy, a jutro zjawia się pani z dobrą wiadomością.

- Tak - Anna uśmiecha się nieco, ale jeszcze nie wstaje z fotela i dodaje jednym tchem, jakby czuła na sobie spojrzenie Ewki Zabiełło-Tereszkiewiczowej.

- Czy mogłabym poprosić o scenariusz?

- O...

scenariusz?

- Tak.

Chciałabym się z nim zapoznać.

- Och, tak.

Oczywiście.

- Balk naciska guzik na konsolce, zajmującej lewy narożnik biurka i mówi do sekretarki: - Proszę dać pani Turoń scenariusz!

Tak. "Wielki grzech świata".

I niech Laurent odwiezie panią pod wskazany adres.

- Nie, nie!

Dziękuję!

- Anna zrywa się z fotela.

- Chcę się przejść.

Przecież właściwie znam Paryż.

- Żegna się z Balkiem, starając się wywnioskować z wyrazu jego twarzy, czy bardzo jest wściekły na nią.

Idopiero zatrzymawszy się na chwilę w drzwiach, pyta: - Czy wiadomo, gdzie jest pan Soldmer?

- A skądże!

-wybucha Balk.

-Od ranego szukam.

Robicie przecież teatr!

To pani powinna wiedzieć, gdzie jest.

- Ale nie wiem - uśmiechając się Anna z zakłopotaniem i zamykając drzwi.

Bierze od sekretarki scenariusz, cieszy się, że mieści się w jej torbie i przemierzając długie korytarze biura Franciszka Balka wychodzi na ulicę.

Czy coś zepsuła?

Czyż może podniosła wyżej swoją cenę, co zresztą przez myśl jej nie przechodziło, gdy tu przysłała.

Ale rozmawiała się potoczyła.

Nie, nie mogła - niech się dzieje, co chce - nie mogła zachować się inaczej!

313. Utwierdziwszy się w tym przekonaniu, nabiera nieco lepszego humoru, ale nie nadługo.

Powraca znów do pytania; Dlaczego?

Dlaczego nigdy nie było jej dane w pełni się czymś cieszyć?

-Do diabła!

- mówi do siebie na głos, na szczęście po polsku.

-Jestem w Paryżu, czy to mało?

Nasycając się widokiem ulicy sklepów, po bardzo dobrym obiedzie w jakiejś małej, przyjemnej restauracji, dopiero po południu dociera do pensjonatu Madame Pivette wita ją wyraźnie podniecona.

- Dzwonił pan Soldmer - obwieszcza.

-Trzy razy.

Zostawił numer telefonu i prosił, żeby pani zatelefonowała zaraz po przyjściu.

- Madame podsuwa Annie karteczkę z wypisanym numerem.

-Stąd będzie pani dzwonić, czy z swego pokoju?

-W ogóle nie mogę teraz dzwonić - Anna chowa do torebki kartkę.

-Najpierw muszę rozmawiać z Warszawą, a nato jeszcze wcześniej, mój mąż nie wrócił z sądu.

- Ach, tak - szepcze Veronique, rozczarowana, że nie będzie uczestniczyć w rozmowie z Anną z reżyserem.

Twierdzi osobie, że interesuje się kinem, ale bardziej niż filmy, zajmuje ją życie robiących je ludzi.

Anna wchodzi do swego pokoju i stoi przez dłuższą chwilę płaszczu i torbą pełną sprawunków w ręku - porażona myślą, że obydwoje siebie szukali, ona pytała o niego Balka, on telefonował tutaj, właściwie po co?

na litość boską, po co?

Skończyli zdjęcie do filmu, jutro miały rozpocząć się próby w teatrze, czy tego jednego dnia nie mogli spędzić bez siebie, co to miało znaczyć, do czego prowadziło?

Ale przed rozmową z Warszawą nie mógł z nią rozmawiać, przynajmniej to należało się Szymonowi.

Przynajmniej?

- zatrwożyła się od razu.

Zdejmuje płaszcz, długo wieszego w szafie, idzie do łazienki, żeby umyć ręce.

Zwykle przy tej czynności patrzy w lustro na swoją twarz, teraz nie ma na to odwagi.

Jej przedłużający się pobyt w Paryżu nabiera tyłu znaczeń, tyłu niepokojących treści, że rozmowa z Szymonem, jej szczerłość wydajesz się prawie niemożliwa.

Ależnic się nie stało, zupełnie nic -powtarzaw myślach.

I wszystko zależy ode mnie.

Madame Pivette postawiła jak zwykle na stole paterę z owocami.

Dorodne pomarańcze, banany i kalifornijskie jabłka mają cudowny aromat, ale Anna nie wyciąga po nie ręki.

Siedzi nieruchomo, tępo wpatrzona w okno, a o szóstej, kiedy wydaje jej się, że Szymon powinien być już w domu, zamawia rozmowę z Warszawą.

Słyszalność jest znakomita.

- Dobry wieczór, Haneczko!

- mówi Szymon.

- Cieszę się, że dzwoniisz.

- Jestem już w Paryżu.

Wróciłam wczoraj z Tuluzji.

Skończyliśmy zdjęcia.

Co u was słychać?

- Unas wszystko w porządku.

- Zdrowi jesteście?

- Tak.

Sebastian świetnie wygląda.

- Z pani Sylwii wciąż taki anioł?

- Raczej tak - odpowiada krótko Szymon, widocznie pani Sylwia jest w kuchni lub w drugim pokoju i przysłuchuje się rozmowie.

- Co to znaczy - raczej?

Możesz to jakoś wytłumaczyć?

- Niepotrzebnie użyłem tego słowa.

Tylko nie zacznij się niepokoić.

Wszystko jest w porządku.

A jak ty się czujesz?

- Dobrze.

Trochę jestem zmęczona.

A jutro zaczynam już próby w teatrze.

- Teraz właściwie jest najlepszym momentem, żeby powiedzieć o propozycji Balka, ale Anna, zamknięwszy na chwilę, woła: - Daj mi Sebastiana do telefonu, chcę usłyszeć jego głos!

I z drugiej strony krótkie zamknięcie jest brakiem odwagi.

- Sebastian ma.

Nie wrócił jeszcze ze spaceru, piękna pogoda jest w Warszawie.

- Z kim poszedł na spacer?

Bowydawało mi się, że pani Sylwia jest w domu.

- Jest w domu.

Na spacer zabrał go pan Zdzisio.

- O, Boże!

Gubię się w tych imionach.

Ty się w nich orientujesz?

- Po trochu.

- Nie żartuj.

Puszczasz dziecko na miasto z jakimiś typami.

- Ależ to brat pani Sylwii.

- Wszystko jedno.

Powiedz jej, że proszę, żeby sama chodziła z Sebastianem na spacer.

- Prosiłem oto kilka razy - Szymon zniża głos - ale za każdym razem słyszę, że Sebastian jest pod znakomitą opieką.  
- Powtórz jej to ode mnie, że masama wychodzić z dzieckiem.  
- O, właśnie wrócili!  
- z ulgą woła Szymon.  
- Chodź tu prędko, Sebastian!  
Mamusia chce z tobą mówić.  
Sebastian najpierw sapie długo wsłuchawkę, co wzrusza Annę tak, że sama także nie może się odezwać.  
- Sebastianku!  
- mówi wreszcie.  
- Mamusia cię całuje.  
Mocno cię całuje.  
W buzię, oczka i nosek.  
Gdzie byłeś naspacerku?  
- Niebyłem na spacerku, tyłkona piwie - obwieszcza Sebastian.  
- Z panem Zdzisiem.  
- Nalitośćboską!  
- woła Anna, jak rażonagromem.  
- Co tywygadujesz?  
Gdzie byłeś?  
- Na piwie!  
- potwierdza Sebastian z triumfem, ale Szymon natychmiast odbiera mu słuchawkę.  
- To jakieś głupie żarty!  
- woła.  
- Wyjaśnię to.  
I to się niepowtórzy, możesz być spokojna.  
- Jak ja mogę być spokojna, kiedy słyszę coś takiego.  
A właśnie.  
- Anna bierze głęboki oddech, jakby powietrze było odwagą miało jej pomóc w wypowiedzeniu dalszych słów - Właśnie dzisiaj proponowanymi drugi film w Paryżu.  
Szymon!  
Słyszysz?  
Drugi film w Paryżu!  
Dlaczego nic nie mówisz?  
- Cóż mam mówić?  
Gratuluję!  
- Między innymi dlatego dzwonię.  
Dziś rozmawiałam z producentem.  
Jutro mam się widzieć z reżyserem.  
- A kto.  
kto jest reżyserem tego filmu?  
- Claude Ferrie.  
Młody reżyser, bardzo obiecująco się zapowiada.  
Nakręcił już dwa filmy, miały dobre recenzje.  
- Świetnie.  
- Co - świetnie?  
- Świetnie, że miały dobre recenzje.  
Czy już podpisałaś kontrakt?  
- Nie.

Najpierw chciałam porozmawiać z tobą.

Szymon przez chwilę milczy.

- Dziękuję -mówi wreszcie.

-Bo przecież to się łączy z dalszą moją nieobecnością w domu -woła Anna.

Musi krzyknąć,bo może, gdyby mówiła cicho,Szymon poznałby, że zbiera się jej na płacz.

- Trudno - Szymon tak stara się opanować.

Podpisz ten kontrakt, jeśli to dla ciebie ważne.

Jakoś będziemy sobie tutaj dawali radę bez ciebie.

316- Może uda mi się od czasu do czasu przylecieć choć na krótko do Warszawy.

No ity!

Ty przecież musisz być na premierze "Cyda"!

- Będziemy obydwaj ze stryjem Alfredem głos Szymona wreszcie brzmi trochę pogodniej.

-Zdziwisz się.

- Czym?

-Zobaczysz.

Bardzo się staramy, żeby cię nie skompromitować.

- O czym ty mówisz?

-Musisz być przygotowana na to, że na premierze zjawi się dwóch twoich krewnych z głębokiej europejskiej prowincji.

- Stryjo przecież prawie paryżanin, a ty.

-Już nie mówmy na ten temat.

Całuję cię mocno.

I niczym się nie martw!

-Spróbuję.

- Do widzenia, mamusiu!

-odzywa się w słuchawce bardzo tym razem grzecznym głosem Sebastiana.

- Do widzenia, skarbie!

Dopiero teraz Anna może sobie popłakać.

Z żalu.

Z tęsknoty.

Z litości nad sobą, choć powodów do niej nie umiałaby określić.

Może tylko ten jeden był jasny- teraz także nie mogła zadzwonić do Soldmera.

Niech sobie myśli, co chce, że zagubiła się w Paryżu albo że wreszcie puściła się z Scrgem i odrananie wychodzi z jego łóżka.

To zresztą może byłoby najlepsze.

Zamiast wikłać się.

W co?

W co, na litość boską, miałyby się teraz wikłać?

Zmęczona płacze się gąsienicą scenariusz, wręczony jej w biurze Francisa Balka, alez trudem przebija się przez tekst.

Jacyś ludzie biały dzień porywają z ulicy jakiegoś człowieka.

Jest wśród nich dziewczyna, wygląda na to, że to onadowodzi gangiem.

Trzymając przez cały czas palec naspuście broni ukrytej w torbie, siedząca tylnym siedzeniu samochodu obok porwanego zabawią go uroczo -na pierwszy rzut oka -rozmową.

Tak przynajmniej mogą sądzić pasażerowie innych samochodów, które także zatrzymują się na światłach.

W rzeczywistości słowa, które wychodzą z ust niewinnie wyglądającej panienki, mają mniej więcej takie brzmienie: "Ty stary sukinyń!"

Dosyć już nagromadziłeś pieniędzy, pewnie nawet nie pamiętasz, ile ich masz ino jakich kon317.

tach, iw jakich bankach.

Ale pieniądze stają się wielkim grzechem świata, jeśli jedni mają ich za dużo, a inni wcale. Dlatego my usiłujemy jakoś wyrównywać te dysproporcje.

Milion dolarów!

-powiesz żonie przez telefon, kiedy dojedziemy na miejsce.

-A drugiego miliona zażądała nas od kochanki.

Dostatecznie dużo włądowałaś w nią pieniędzy, żeby teraz móc oczekiwać rewanzu.

Przy okazji dowiesz się, czy cię kocha.

Żadna cena nie jest za wysoka, żeby to wiedzieć naprawdę.

"Przedwieczorna godzina jest porą, kiedy do pensjonatu schodzą się goście.

Schody więc trzeszczą bezustannie pod czyimiś krokami i Anna niewyłąwia na czas tych, którzy zmierzają ku jej drzwiom.

Dopiero pukanie zrywa ją na równe nogi.

- Proszę!

-woła, przerażona, zeczymana pewno zaczerwienione jeszcze od płaczu.

W progu stoi Soldivier.

-Mocny Boże!

- mów cicho, nie wchodząc do środka.

-Jest jednak pani w domu!

A ja dzwonię od rana i szaleję, że może coś się pani stało, nieznaj pani przecież Paryża.

Prosiłem, żeby pani zadzwoniła po powrocie.

Anna bierze ze stołu karteczkę z wypisanym przez madame Pivette numerem telefonu.

- Miałam dzwonić - mów i - ale przedtem musiałam rozmawiać z Warszawą, a po tej rozmowie.

-Rozumiem - Soldivier stoi wciąż w drzwiach, niewchodząc do środka i ona godzi tego nie zachęca.

- Rozumiem.

-powtarza.

- Po tej rozmowie także nie mogła pani zadzwonić, to pewne.

Wobec tego dobrze, że przyszedłem.

Uspokoiliem się, że nic się pani nie stało i że jutro -mam nadzieję, punktualnie -zjawi się pani na próbie w teatrze.

Odwraca się i cicho zamyka zasobę drzwi, a potem powoli -Anna słyszy każdy jego krok schodzący po schodach.

318XXII-Niech pan nie wychodzi, panie sędzio!

Ja sama pójdę ich poszukać.

Już! Już idę!

Na pewno są tu gdzieś niedaleko.

- Pani Sylwia, ledwie wstrzymując łzy, wiąże apaszkę pod brodą, wciągając płaszcz.

Ale Szymon pierwszy dopada drzwi.

- Tyle razy prosiłem, żeby pani sama z nim wychodziła.

Iżona, żona specjalnie zwracała na to uwagę.

- Ale przecież nic się nie stało - pani Sylwia wciska, się za Szymonem do windy.

-A oni tak lubią z Sebastianem wychodzić.

I Oleś, i Zdzisio.

Anajbardziej Stasio.

- Dostyc!

Nie chcę o tym słyszeć.

Gazet paninie czyta?

Niewie pani, jakie straszne rzeczy przydarzają się na świecie?

- A coteż pan sędzia?

Zobcymi wychodzi?

Zmoim mężem albo braćmi.

- Wie pani, gdzie tu są pijalnie piwa?

- pyta Szymon, gdy wychodzą na ulicę.

- Wiem - skromniutko przyznaje pani Sylwia.

- To niech pani prowadzi.

Szczególnie jest to prowadzenie, Szymon sady naprzód długimi krokami, kobieta biegnie za nim truchtem, coraz bardziej przerażona.

- Może oni już wracają do domu jakąś inną drogą.

Izastaną drzwi zamknięte.

Co sobie pomyślą, jak zastaną drzwi zamknięte?

- Poczekają.

Nic im się nie stanie.

Sebastianowi ani.

z kim toon dzisiaj wyszedł?

- Ze Stasiem - wyznaje pani Sylwia.

- Ale to chyba nie stanowi różnicy.

Wszyscy trzej przepadają za piwkiem, tak?

- A który chłop nie lubi piwa?

- Dogoniwszy wreszcie Szymona, pani Sylwia obrzuca go prawie nagannym spojrzeniem, że on jedynie, on jeden nie lubi, więc wszystkim innym ma od razu złe.

Ale przed budką z piwem nie ma przyrodniego braciusza pani Sylwii.

Szymon przepatruje cały ten plugawy tłumek mężczyzn, których tylko boska formuła rozmieszczenia oczu, nosa i ust czyniła podobnymi do ludzi.

Gdyby nie był w towarzystwie kobiety, 319.

mógłby nawet oberwać, podejrzani wydawali się tu wszyscy, których nie widywało się w tym miejscu co dnia.

- No i proszę!

- pani Sylwia triumfuje, odciągając Szymona od dwóch osobników którzy już zaczęli natarczywie mu się przyglądać.

- Są? Pan sędzia by od razu ludzi posądzał nie wiadomo co.

A oni już tam może stoją pod drzwiami.

- Niech stoją!

- twardo ucina Szymon.

- To chyba nie jest jedyna budka z piwem w tej okolicy?

- Nie - pokornie pani Sylwia.

- Jest jeszcze druga, tylko trzeba skrócić prawo.

- Idziemy!

I tutaj klębi się tłum ludzi cuchnących własnymi oddechami, potem i zatęchłą odzieżą.

Pchają się do okienka, skąd wydzielane jest im ich złociste szczęście.

Chwytają kufle łapczywymi rękami i odstąpiwszy nabok chciwie podnoszą jedno ust, żeby za chwilę znów tłoczyć się przed okienkiem.

Tak, tylko boska formuła rozmieszczenia oczu, nosa i ust sprawiała, że można było nazwać ten obszar bezmyślności, pochylony nad kuflem.

- Jest!

- mówi nagle Szymon.

- Kto?

Gdzie?

- pyta pani Sylwia truchlejąc.

- Sebastian!

I pani braciszek!

Chyba porachuję mukości.

- Panie sędzio!

-piskliwym błaganiem wybucha kobietai przepycha się zaSzymonem przez opornie rozstępujący się tłumpodpitych mężczyzn ku osobnikowi, którywysoko dzierzącw rękach Sebastiana, prze z nim ku okienku.

- Jestem dzieciakiem!

Bez kolejki mi się należy!

Wybucha rechotliwym śmiech i chwiejna ciżba rozstępuje sięrzeczywiście przed pomysłowym koleżką.

Ale najbardziej przerażające w tym wszystkim jest to, że to wcale nie jest Stasio.

Braciszek pani Sylwii postępuje z tyłu, jawnie dumny z tego, że Sebastian - trochę przerażony

-wyciąga ku niemu rączki.

- Panie sędzio!

-popłakuje pani Sylwia, czepiając się ramionSzymona.

-Ja mu zaraz powiem, żeby odebrał Sebastiana.

Onnieposłucha, zobaczy pan sędzia, że mnie posłucha, przecieżstarsza siostra jestem, zawsze mnie wszyscyślechu.

- Ty łobuzie!

-Szymon chwytapaną Stasię za wyszmelcowanykołnierze jego marynareczkiiodwraca go twarzą ku sobie.

-Totutajchodzisz naspaceryz dzieckiem?

320- Co jest?

Co się pan wtrąca?

- odzywa się pijaczek, trzymający Sebastiana wysoko nad swoją głową.

Zaczerwienione oczypatrzą zaczepnie.

- To mój syn!

-Szymon puściwszy Stasięchwytą Sebastiana i przyciąga go ku sobie, alenię udaje mu się go odebrać.

- Každy może tak powiedzieć!

-wybuchająpodniecone głosy.

-Do piwka ci się śpieszy, co?

Też chciałbyś dostać bez kolejki?

Spieprzaj, bracie, i to prędko!

Jeszcze nie jest groźnie.

Jeszcze podpity tłum ma pobłażliwą wyrozumiałość dla spryciarza, który także chciałby się posłużyć fortelem w dotarciu pozakolejką do okienka.

Ale sędzia Turoń zbyt nie pasuje do tego zbiorowiska, żeby się szybko nie zorientowano, że nie jest jednym z nich, a jak nie jest jednym z nich, to powinien dostać nauczkę, taką nacałe życie, a nawet i na dłużej.

- To jest mój syn!

-powtarza, wrywając Sebastiana z rąk trzymającego go wciąż mocno pijaka.

-Proszę mi go oddać!

Natychmiast proszę mi go oddać!

- Tak, to jest syn pana sędziego!

-przytomnie je wreszcie Stasio, kuksańcami pani Sylwii przynaglany do interwencji.

; -Przecież mówiłeś, że twój!

- Nie, niemój!

-płaczliwie zaprzecza Stasio.

- Oddaj go, bo jak się pan sędzia zdenerwuje.



Jeszcze sobie pan sądziego wymyśliłeś!

A jakby nawet sędzia, to co?

i- Niech sobieraz z bliska zobaczy, jak ludzie żyją.

'- Pewnie nigdy nie pił piwka pod budką, toniech się raz naPije!

- Oddaj dziecko!

Rozumiesz, co się dociebie mówi?

- Szymon nie panując nad sobą rzuca się na pijaka, sprawia, że ten straciwszy równowagę pozwalawyrzećsobie Sebastiana,któregosędziaod razu oddaje pani Sylwii, bo już jasne jest, że będzie musiała się bronić, że obie ręce będą mu potrzebne.

-Ty skurwysynie!

- pijak czuje się ośmieszony przed koleżkami, pochyla głowę i szykuje się do ataku.

-Wiesz,kogo uderzyłeś?

Dużego Bogdanka uderzyłeś!

W całej Warszawie niktjeszcze nie uderzył Dużego Bogdanka!

-Nie rusz go!

To jest naprawdę pan sędzia!

- piejepodniesio"ym głosem Stasio.

321.- Pierwszy zaczął!

Pierwszy mnie uderzył!

- pijak rzuca się naSzymona, na szczęście są jednakowego wzrostu i przez pierwszeczwilę sędzia odpiera tenatak, ale w zacieśniającym się tłumie niema przyjaciół ani kolegów, a Duży Bogdanek ich ma, pijakasolidarność sprawia, że i z tyłu padają ciosy i kopniaki, potężne uderzeniaw krzyże.

-Ludzie!

To jest naprawdęsędzia!

- Stasio usiłuje osłonić sobąSzymona, ale zostaje od razu odrzucony nabok,przeznany,usunięty z polawalki.

Teraz rusza do ataku paniSylwia.

Postawiła płaczącegoSebastiana pod murem domu naprzeciwoiskacze z tyłu naDużegoBogdanka, wpijając paznokcie w jego kark;niestety, jest zbytmała, żeby dosięgnąć twarzy, więc ta desperacka pomoc,na nic się nie zdała.

Bogdanek klnąc strząsa ją z siebie,ktoś odtrąca ją brutalnie, także nie szczędząc zwyczajowych epitetów, ażkobietapadana ziemię choć długo z niej nie wstaje,podnosi się wreszciei rzucaku najbliższemu oknu,w którymstłoczeniludziEspokoj^nie, nawetz pewnymrozbrawieniem przyglądają się bójce.

- Biją sądziego!

-piszczy pani Sylwia zrozpaczą.

-Ludzie!

Mordują sądziego!

Dzwońcie po milicję!

Jakaś kobieta uchyla okna.

- U nas nie ma telefonu.

-Gdzie jest?

- W sklepie narogu.

Ale tam mająremanent.

- Milicja!

Milicja!

- nie przestaje wołać pani Sylwia.

Wpadaw klatkę schodową, dopada drzwi napierwszym piętrze, długomusidzwonić, widocznie i w tym mieszkaniuwszyscy przez oknoprzypatrują się bójce.

- O co chodzi?  
-pyta ktoś wreszcie, nie otwierając.  
- Jest telefon?  
-Jest.  
i co z tego?  
Jakby mi tak każdy z ulicy chciał dzwonić.  
- Aletammordują człowieka!  
Sędziego!  
Trzeba wezwać milicję!  
Dopiero teraz drzwi uchyliły się nieco.  
- To naprawdę sędzia?  
-pyta z niedowierzaniem kobieta.  
- Sędzia Turoń!  
-pani Sylwia wpycha się do środka.  
-O, Boże!  
Zamordują go!  
I to ja!  
Ja jestem wszystkim winna.  
- Proszę, tu jest telefon - kobieta otwiera drzwi, prowadząc w głąb mieszkania.  
-Niech pani dzwoni.  
Zna pani numer?  
322- Znam.  
-Wyobraźcie sobie, że ten, którego biją, to sąsiedzi - zwraca się właścicielka mieszkania do reszty domowników, rzeczywiście stojących przy oknie.  
- Ciekawe, co tam robił wśród tych pijaków?  
Milicja nadjeżdża w momencie, kiedy pokrywionemu Szymonowi przybywa z niespodziewaną pomocą właścicielka budki z piwem.  
Wytaszczyła właśnie z zaplecza kubek z wodą, w której zapewne płukała kufle, i chlusnęła nią z tyłu na Dużego Bogdanka.  
Na widok milicjantów uciekłyby zapewne placu boju, ale teraz, zlaną wodą, z mokrymi włosami zasłaniającymi mu oczy, po rozdrgi ośmieszony przed koleżkami, nie może puścić płazem tej zniewagi.  
- Ty.  
-zaczyna, ruszając ku kobiecie, ale nie kończy, ramię milicjanta zatrzymuje go na miejscu.  
- O, my się kądś znamy!  
Duży Bogdanek spuszcza głowę.  
- Pan władzato ma pamięć.  
-Co się tu dzieje?  
- zwraca się sierżant do Szymona.  
-Widzi pan przecież -Szymon wyjmując kieszeni chusteczkę i przykłada do rozciętej wargi.  
- Napadnięto na mnie, gdy usiłowałem tym pijakom odebrać dziecko.  
-To pan jest sędzią?  
- Tak -Szymon niechętnie przyznaje się do swego stanowiska.  
-Przechodził pan tędy.  
-Nie.  
Przyszedłem tutaj, bo szukałem syna.  
- Syn nieletni?  
-Bardzo.  
Nie ma jeszcze czterech lat.  
Sierżantowi sytuacja wydaje się co najmniej dziwna.

- Przepraszam, ale muszę poprosić o dowód.

- To ten mały!

- pani Sylwia przypomniała sobie wreszcie Sebastianie, ciągnie go zarekę i pcha przed milicjanta.

- A wszystko przeze mnie!

Bo jakbym go nie wypuściła z domu z tym moim cholernym braciszkiem, co mu się okaże za dzień porze dniawiwkę zachciewa.

- Ale pannie ma, panie sędzio.

- milicjantowi, gdy patrzy na Szymona, z trudem przechodzi przez ustą tytuł- pan nie ma w dowodzie zapisanego syna?

323.- Przecież Sebastian jest pana sędziego, co pan, panie władzo?

Nawet podobny!

- Pani Sylwia chwytając Sebastiana naręcei podnosi go do góry, żeby go milicjant mógł lepiej obejrzeć.

- Nie widzi pan, że podobny?

- Syn jest zapisany w dowodzie żony- stwierdza Szymon.

- A w ogóle wyjaśnienia złożę na posterunku.

Proszę nas wszystkich tam zawieźć.

Wskażę panu tych, którzy mnie zaatakowali, to nie tylko ten.

- Ja?

- Duży Bogdanek cofa się, wciąż strzepując ubraniawodę.

- Z jakiej racji ja?

To on zaczął pierwszy!

No, powiedzcie panu władzy- bierze na świadków tych, którzy nieczmychnęli jeszcze przed milicją i nawet kobietę, stojącą przynimz pustym kubłem w ręce.

- Kto zaczął?

Rzucił się na mnie.

- ^ Chciałem odebrać dziecko!

Ipowiedziałem już, że zeznania złożę na posterunku - Szymon kieruje się do wozu.

- Jedziemy!

- My też?

- pyta z udanym zdumieniem pani Sylwia; widać, że ma namyśli nie tylko siebie i Sebastiana, ale przede wszystkim kryjącego się w jej cieniu brata.

- Też.

Oczywiście.

- Ale Sebastian jest już pewnie głodny.

Prawda, Sebastianku, że jesteś głodny?

- Nie!

- woła Sebastian, zafascynowany tym, co dzieje się wokół niego.

- Jedziemy!

- powtarza Szymon.

- Już na minutę oka z wasnie spuszczę.

Milicjanci zagarniają do wozu szarpiąc go się wciąż Bogdanka i kilku jego najaktywniejszych w zajściu kolegów.

- Piwa jużu mnie nie dostaniecie!

Zapamiętajcie to sobie!

- woła właściciel kabudki, zaproszona także do milicyjnego wozu w charakterze świadka.

Na posterunku Szymon od razu zwraca się do oficera dyżurnego:- Proszę zawiadomić prokuratora Klimontowicza, że tu jestem.

i że proszę, żeby przyjechał.

-Tak jest, panie sędzio.

Klimontowicz, na szczęście, jest w domu i chyba zaraz powyjściu udało mu się złapać taksówkę, bozjawia siębardzo szybko.

- Co się stało?

-woła odprogu, przerażony wyglądemSzymona.

324Ale po wysłuchaniu relacji ozajściu ma szczerąochotę się roześmiać- ile dowie się od tego powstrzymuje.

- Szymon!

-mówi cicho.

-Na litość boską!

W co się wdałeś?

-To pan sędzia pierwszy zaczął!

- powtarza wciąż DużyBogdanek, który wreszcie uwierzył w stanowisko swego przeciwnikawbójce.

-Ja spokojnie trzymałem dzieciaka narękach.

Dzieciak ani się nie wrywał, ani nie płakał.

Było mu całkiem fajnie.

No, jakbyło?

- zwraca się doSebastiana.

-Fajnie!

- potwierdzaSebastian z zachwytem w oczach.

-Sam pan prokurator słyszy.

I nagle pan sędzia,jak mi nieprzyłoży!

Najpierw się zdziwiłem, bo jeszcze nikt nie odważył sięprzyłożyćDużemu Bogdankowi.

- No i wreszcie ktoś to zrobił - odzywa się zsatysfakcją sierżant, który nie pierwszy raz przywiózł Bogdanka na posterunek.

-Szkoda tylko, że to pan sędzia- dodaje nieco stropiony, zwłaszcza że prokurator rzuca mukrótkie spojrzenie.

- Ale to jednak niety,Bogdanku- prokurator zagaduje czym prędzej tę niezręcznośćsierżanta - nie ty, tylko pan sędzia Turońmapodbiteoko i rozciętą wargę.

Anie wiadomo jeszcze, jak wygląda resztaciąła.

- Tak jakoś wyszło - pokorniej Bogdanek.

-Przecieżmusiąłem się bronić.

- Bronić będziesz się przed sądem - wtrąca znów milicjant,który manadzieję, że wreszcie zobaczy Dużego Bogdanka zakratkami.

Szymon odprowadza prokuratora w odległy kątpokoju.

- Jestem skłonny zlekceważyć całą sprawę - rozbawienieKlimontowicza okazuje sięzaraźliwe;tozdanie prawdopodobniepopiera uśmiech, ale przecięta i spuchnięta warganie pozwala sięgo domyśleć.

-Nie będę wnosił żadnych pretensji, ale jak ja się jutro pokażę w sądzie?

- No, właśnie- mruczy Klimontowicz.

- Trzeba coś wymyśleć.

Przede wszystkim zaraz stąd jedziemynapogotowie.

Teranyna twarzy trzebaopatrzyć.

Sądząc po wyglądzie płaszcz, roasz chyba i inne obrażenia.

- Nic nie czuję - słabo protestuje Szymon.

-Lekarz musi cięobejrzeć.

Powiemy, że wypadłeś przy wysiadaniu z tramwaju.

fl:a 325.

-Niech to będzie takżewersja dla sądu.

- Oczywiście.

Aco z tymi?

Ja bymich załadował przynajmniej do izby wytrzeźwień.

- To powinno im wystarczyć.

Ale pijaczkowie protestują.

- Po piwku?

Do izby wytrzeźwień?

, -Cieszcie się, że tak się skończyło!

sierżant zagarnia ich ku wyjściu.

Stasio także jestw tej grupie, pani Sylwia nie ma już odwagigobronić, choć wygląda na to, że on -odwracając się wciążkusiostrze - oczekuje tego od niej.

Tylko Bogdanek sunie bezoporu ku drzwiom, najwidoczniej zadowolony z takiegoobrotusprawy.

Przedprogiem zatrzymuje się iz czapką w ręku składawszystkim na saligłęboki ukłon.

- My poprosimy także o samochód - zwracasię prokurator dooficera dyżurnego.

-Musimy jechaćna pogotowie.

Dla Sebastiana jestto więc dzień pełen wyjątkowych atrakcji.

Zachwycone nimitowarzystwo przed budką z piwem, bijatyka, jazdamilicyjnym samochodem, posterunki tyłu panóww mundurach,znów jazdasamochodem zmilicjantem przy kierownicy i wkońcupogotowie, biel fartuchów, ostry, wiercący w nosie zapach.

- Klemens na pewno jeszcze nigdy nie był na pogotowiu -szepcze do pani Sylwii.

-Ani na milicji!

- Napewno!

-również szeptem odpowiadapani Sylwia.

Z niepokojem patrzy na opatrunki założone sędziemu przez lekarza.

Białe bandaże, pod którymi ginieczęść twarzy ojca,przerażająw końcu i Sebastiana.

-Co sięstało tatusiowi?

Czyto boli?

- Swoim zwyczajemobejmujeojca za kolana i zaczyna płakać.

-Czy tobardzo boli?

- Wreszcie się oto zapytałeś - stwierdza cierpko Szymon.

-Słuchaj -zwracasię do Klimontowicza, gdy lekarzna chwilę sięoddala-już dawno chciałem cię oto zapytać.

Czy niespełna czteroletnie dziecko może już mieć cechy kryminogenne.

- Oszalałeś?

Co ci przychodzi do głowy?

- Ta skłonność doludzi z marginesu.

-Niepowinieneśstwarzaćokazji, żeby się znimistrykał.

-No właśnie.

Mamzamiar dziś z tym skończyć.

Lekarz wręcza Szymonowi zwolnieniena trzy dni.

Dla sędziegodopiero teraz sprawa staje się poważna.

326- Ja jutro muszębyćw sądzie.

-Niech pano tym nawetnie myśli -lekarzjeststanowczy.

-Przeztrzy dni będzie się pan tu zjawiał na zmianę opatrunków.

I zapisujępanulekarstwo na uspokojenie.

Doznał pan jednak szoku.

Dobrze, żeto się tak skończyło.

Mógł pan znaleźćsię podtramwajem.

Ostatnia uwaga skłania Szymona do milczenia, zwłaszcza żeczyta w oczach Sebastiana rodzącą się chęć natychmiastowego prostowania mylnych wyobrażeń lekarza co do okoliczności, jakie ich tu przywiodły.

Podziękowawszy, czym prędzej wyprowadza syna na korytarz.

- Co ten pan mówił o tramwaju?

- pyta Sebastian.

- Przecież jechaliśmy tramwajem, tylko samochodem.

Milicyjnym!

- Cicho bądź, dobrze?

Bardzo cię proszę.

- Czy chcesz, żebym pojechał z tobą do domu?

- pyta Klimontowicz, zatrzymując się przed samochodem.

- Tak.

Jeśli możesz.

- Oczywiście, że mogę.

Wiesz, że namnienikt nie czeka.

Masz jutro rozprawę?

- Nie, na szczęście.

Ale mam stertę akt do przestudiowania.

- Powiem w sekretariacie, żeby przysłali ci je do domu przez woźnego.

- Nie mamy woźnego od miesiąca.

- Dodiabła, sam ci je przyniosę.

O ile twoja pani Wisia niespotkałam jeszcze równie rygorystycznie nastawionej babki - zechcemy je wydać.

- Mam nadzieję - Szymon uśmiecha się pod bandażem.

- Zna cię od lat, ale pewnie będziesz musiał się wylegitymować.

Pani Sylwia przez cały czas jazdy samochodem nie odzywa się ani słowem.

Ale na górze w mieszkaniu od razu woła: - Zrobię ci omlecek, Sebastianku.

A może i pan sędzia, i pan prokurator.

Szymon wchodzi za nią do kuchni.

- Koniec z omleczkami!

Koniec z nami!

Rozstajemy się, pani Sylwio!

- Jak.

jak to się rozstajemy.

- zająknęła się kobieta.

- Zwyczajnie.

Przestaje pani tu pracować.

Na szczęście wczoraj otrzymała pani wypłatę, więc jesteśmy rozliczeni.

Niech pani 327.

zabiera swoje kapcie i swoje fartuszki i już jutro proszę nie przychodzić.

- Ależ dlaczego?

- wybucha płaczem pani Sylwia.

- Dlaczego?

Czy to przez tę głupią historię?

- Dla pani może to być głupia historia, a dla mnie jest to uwłaczający incydent, którego długo nie zapomnę.

Tylerazy panią prosiłem, żeby sama pani wychodziła z Sebastianem.

Ale pani sobie to zlekceważyła, aż doszło do tego, że mój syn.

że ja.

no, już nie wracajmy do tego.

Nie mogę być narażony na sytuacje, które pani wydają się całkiem zwykłe.

- Tosię już nigdy niepowtórzy, panie sędzio.

- Tyle razy mi to pani przyrzekała, że już w końcu mam prawo nie wierzyć.

Niech się pani pakuje.

Pani Sylwia chwyta Sebastiana na rękę.

- Już ci nie zrobię omleciku, Sebastianku.

Już nigdy.

Twój tatuś każe mi stąd iść.

Nie chce, żeby tu była.

- Ale ja chcę!

Ja chcę!

- wrzeszczy Sebastian.

Szymon wrywa go z rąk kobiety i wrzuca do pokoju.

- Szymon!

- przy tej okazji zatrzymuje go Klimontowicz, zamyka drzwi.

- Czy ty nie nazbyt pochopnie pozbywasz się gospodyni?

Gdzie znajdziesz drugą?

- Nie chcę żadnej.

Ajak nie dam sobie rady z Sebastianem, oddam go do domu dziecka.

Może przyjmą go w drodze wyjątku, choć oboje rodzice żyją.

Ale tak, jakby ich nie było.

Matka artystka, będzie grać w Paryżu w teatrze, kręcić drugi film, a ojciec obłąkany od pracy sądowej facet, który mając wciąż do czynienia ze zbrodniami i we własnym dziecku zaczyna podejrzewać.

- Uspokój się!

Szkoda, że po drodze nie wstąpił do apteki po lekarstwo.

Odzwija się telefon i Szymon pozwala mu długo dzwonić, zanim wyciągnie rękę po słuchawkę.

, - Szymon?

- głos stryja Zakrzewskiego, słyszalny jest w całym pokoju.

- Co się z tobą dzieje?

Zapomniałeś, że masz dziś przymiarekę smokingu?

- Akurat mi smoking w głowie!

Przepraszam, wszystko stryjowi wyjaśnię.

Nie mogę przyjść.

- Czy ty wiesz, co ty mówisz?

Możesz nie przyjść na spotkanie z prezesem sądu, z ministrem sprawiedliwości, ale nie na przymiarekę, którą ci wyznaczył pan Wieczorkiewicz.

Jestem tu u niego.

- Stryju!

Mam głowę w bandażach, patrzę na świat tylko jednym okiem, i pan Wieczorkiewicz zemdlałby na mój widok.

- Co się stało?

Żartujesz chyba?

- Nie.

Nie chcę tego opowiadać przez telefon.

- Już do ciebie jadę!

Pani Sylwia wsuwa głowę przez uchylone drzwi.

- Czy pan sędzia to wszystko poważnie.

- Jak najpoważniej!

Niechcę tu pani widzieć!

- Szymon!

- mityguje przyciszonym głosem Klimontowicz.

Posadził sobie na kolanach rozwrzeszczanego Sebastiana, starosiego uspokoić.

- Bo jakby pansędzia jutrosię rozmyślił, toma pan zapisanymój adres.

- Na pewno się nie rozmyślę.

Proszę się pakować.

I to szybko!

- Szymon, zastanów się, co robisz!

- perswaduje wciąż półgłosem prokurator.

Pani Sylwia, wrzucając w kuchni do torby swojerzeczy, nie przestaje nasłuchiwać, czy z ust sędziego nie padnie wreszcie słowo przebaczenia.

Niepada, więc kobietanaciąga płaszcz, zmierraku drzwiom, otwiera je, jeszcze czeka, jeszcze ma nadzieję, że płacz Sebastian zmiekkczy serce ojca, ale z ust sędziego wciąż niepada ani jedno słowo, drzwi trzeba w końcu zamknąć, jeszcze chwilę można poczekać na progu, bo choć powinno mieć trochę honoru i nie napraszać się tam, gdzie jej nie chcą, to jednak za trochę tego miejsca, nie miał tu źle, przede wszystkim dlatego, że paninie byłow domu, mogła się sama rządzić zmieścić międzyósmą a trzecią, kiedy dzieciak byłw przedszkolu, tedwa opiekuństwa z PCK nad dwoma staruchami, jeden idruginie mieli zbytdużych wymagań, trochę im posprzątała, zrobiła zakupy - a z papierkiem siostry PCK nigdy nie stała wogonkach - przyniosła lekarstwaz aptekii miała z tego popięć tysięcy, razem dziesięć, no i te czternaście, co trzymywała tutaj, z wyżywieniem przecież, może i minister tyle niezarabia, szkodatyłko, że męzulek i braciszkwowie nie wzięli się do jakiejś roboty i jeszcze nie potrafilizaopiekować się dzieciakiem, żeby ona przez ten czas i w tym mieszkaniu mogła coś zrobić.

Jest winda, nie ma co dłużejcz.

kac, może sędzia jutro się namyśli, gęba mu otęchnie i przyjdziepo rozum dogłowy.

- Dobry wieczór, pani Sylwio!

Zwindy wysiada przystojny, choć niemłody pan, to chyba stryj Turoniowej, byłtu raz, gdy zabierał sędziego do jakiejś przymiarki, dobrą ma pamięć, że ją zapamiętał, pisarz podobno, a onina wszystko patrzą inaczej niż zwykli ludzie.

- Dobry wieczór!

- pani Sylwia odwzajemnia uśmiech i pozwala windzie odjechać.

- Tak późno pozakupy?

- A gdzie tam po zakupy!

Już w ogóle stąd odchodzę.

Pansędzia mnie zwolnił.

- To chyba niemożliwe!

Niemiał słów uznania, gdymówiło pani.

- No i widzi pan.

A teraz nagle się odmieniło.

O takie głupstwo!

- O jakie głupstwo?

- A pobił się tam z jednym.

- Pobił się?

Pan sędzia?

- Stryj Alfred miał zamiar skończyć nieopatrznie rozpoczętą rozmowę, ale teraz trzymuje się, patrząc w zdumieniuna kobietę.

- Co też pani opowiada?

Pansędzia się bił?



Gdzie?

Przed budką z piwem.

-Przedbudką.

Tak i zaraz, że to przeze mnie.

Bo puściłam Sebastiana.

Zakrzewski odsuwa kobietę ze swojej drogi i nie pożegnawszy się z nią, rusza ku drzwiom mieszkania Turoniów.

Otwiera mu Szymon.

-No i widzi stryj, że nienadają się do przymierzania smokingu.

Dobrze, żona tym się skończyło.

Mało brakowało, a wpadłbym pod tramwaj.

Zakrzewski wita się z Klimontowiczem, szczypie w policzek Sebastiana, daje mu torebkę kruchych ciasteczek, a na stole stawia butelkę koniaku.

- Ararat, innego nie było, ale jest niezły.

W jaką wersję mam więc uwierzyć?

Bo ty mówisz o tramwaju, a pani Sylwia, na którą natknąłem się przed progiem, o bójce pod budką z piwem.

- Co za baba!

Właśnie ją zwolniłem.

- A więc mówiła prawdę.

-Stale wyprawiała Sebastiana na spacerze swoim mężem lub którymś z licznych braci.

Odkryłem wreszcie, że chodzą nim pod budką z piwem.

Musiałem go dosłownie wyrywać z rąk jakiegoś pijaka.

- Huśtał mnie tak wysoko!

-odzywa się, jeszcze teraz zachwycony, Sebastian.

- Ty się w ogóle nie odzywasz, dobrze?

Bo wreszcie dostaniesz łanie.

Idź do kuchni i siedź tam, dopóki cię nie zawołam.

Sebastian, przyciskając dopiersi szeleszczącą torebkę z ciastkami, cofa się nadąsany kudrziom.

- Przecież prawdę mówię.

To tatuś zmyślał tym tramwajem.

Jechaliśmy samochodem.

Z milicją!

Szymon wypycha go do kuchni i zatrzaskuje drzwi.

- Tak oto deprawuje się dzieci.

Itogdzie?

W domu sędziego!

- Zakrzewski wyjmując z kieszeni szczyrzyk z korkociągiem, z kredensu przynosi kieliszkę i stawia je na stole.

-Wiedziałem, że alkohol będzie potrzebny dla zrozumienia sytuacji, w jaką się wdałeś.

- Nie wdał się w żadną sytuację -odzywa się wreszcie Klimontowicz.

-Oświadczył na milicji, że niewnosi żadnych pretensji i skończył się natym, że całe towarzystwo spod budki powędrowało do izby wytrzeźwień.

Awersję z tramwajem wymyśliliśmy dla pogotowia, no idła sądu.

- Dla Anny także - dodaje cicho Szymon.

-Bardzo stryja prosi, żeby się nigdy o tym nie dowiedziała.

- Ode mnie - na pewno nie.

Ale z tego wynika, że na premierę do Paryża jedziemy.

Wszystko załatwione - paszport, bilety.

A ty sobie nagle fundujesz pokiereszowaną twarz.  
Bo przecież doprzyszłego tygodnia to się nie zagoi.

- No, nie wiem.

- Szymon powinien chyba wyglądać najbardziej martwionego, ale może to ta nie zabandażowana część twarzy nie jest zdolna do wypracowania odpowiedniego do chwili wyrazu.

- Jestem pewny, że się nie zagoi.

Wkaż dym razie ślady zostaną.

O, do diabła!

I po co szyło się ten smoking?

- Włożę go na premierę filmu, a już na pewno na polską premierę w Warszawie.

- Cała widownia patrzyłaby na ciebie zamiast na ekran.

Bo jeszcze niewidziano tona kinowej premierze faceta w smokingu.

331. Napij się, Szymon!

To jedyny ratunek dla ciebie.

Bo poprzybyłeś się, jak słyszę, za jednym zamachem i gosposi?

- Czy mogę już wyjść z kuchni?

- Sebastian bębni piąstkami w drzwi.

- Powiedziałem ci, że masz tam siedzieć, dopóki cię nie zawołam.

- Ale dlaczego mam tu siedzieć?

- Sebastian za chwilę się rozplacze.

- Powiedziałem tylko prawdę.

- Biedne dziecko!

- mruczy Klimontowicz.

- Czyżby prokuratorzy mieli bardziej wyostzone poczucie sprawiedliwości niż sędziowie?

- pyta, nie zwracając się do nikogo, stryj Alfred.

- A dajcież mi Święty spokój!

- Szymon zrywa się i przyprowadza Sebastiana z kuchni.

Klimontowicz sadza go sobie na kolana i gładzi go głowie.

Mały Turoń - bądź co bądź synaktorki-wie, jak się należy w takiej sytuacji zachować.

Przytula główkę dopiersi w zruszonego tym prokuratora, ze słodyczą uśmiecha się do stryjecznego dziadka, i siedzi tak, absolutnie świadomy wrażenia, jakiego wywiera - sama grzeczność, sama potulność, sam wdzięk.

Tylko Szymon nie daje się na to nabrać.

Nie patrzy na niego i ku zgrozbie obydwu panów aż dokońca ich wizyty niezmiennego stosunku do dziecka.

Ale w nocy tylko przez krótką chwilę udajemy się nie słyszeć nieśmiałego szeptu, który dochodzi z drugiego pokoju: - Czy mogę do ciebie przyjść?

O, nie, kochanie!

- myśli.

- Po takim dniu nie będzie żadnych przytulank.

Trzeba być konsekwentnym.

Sędzia jest także pedagogiem, a więc i w stosunku do własnego dziecka.

Pokorny, cichutki głosik odzywa się znowu: - Czy mogę do ciebie przyjść?

Nie! - chce krzyknąć.

Ale bardziej właściwie, bardziej karząco wydaje mu się milczenie.

Niech smarkacz wie, że na to zasłużył.

Nie odezwie się do niego, chrząknie tylko, żeby dać mu do zrozumienia, że nie śpi, że go słyszy, ale nie chce z nim rozmawiać, w ogóle nie chce.

- Czy mogę przyjść?

On tak będzie prosił przez całą noc.

I obydwaj nie będą spać.

Jest uparty, zawsze był uparty, więc i teraz zadreczygo powtarza332niemtego jednego zdania.

Ale i siebie zadreczy, ato w końcu dziecko- imusi spać.

Anna na pewno pozwoliłabym przytulić się do siebie.

Ale to właśnie Anna tak po wariacku go wychowała, że nie można niczego od niego

wyegzekwować.

Wreszcie ojciec musiał się do tego zabrać.

- Ja chcę przyjść do ciebie!

Chyba trzeba mu będzie spuścić łanie.

Takie, jakiego nigdy jeszcze nie dostał.

Klimontowicz i stryj mogą się nad nim rozczulać, bo nie mają dzieci i niewiedzą, ile nerwów kosztuje taki mały, uroczy - ich zdaniem - szczeniak.

Chyba się uspokoi, jak się naniego krzyknie.

- Ja bardzo chcę przyjść do ciebie!

jak się wrzątnie do niego: Cicho, do jasnej cholery!

Szymon unosi się na łokciu i woła: - Chodź!

Rano czeka go niespodzianka.

Właśnie szoruje w zlewie garnki po przypalonych płatkach dla Sebastiana (już to samowystarcza, żeby zrzucić pychę z serca i udać się popanią Sylwią, alen- niezrobitego, na pewno tego nie zrobi!

), gdy udrzwi rozlega się dzwonek.

Czyżby to ona?

Szymon odwiązuje fartuch, wyciera w ścierkę ręce.

Może rzeczywiście był dla niej zasuwowy.

Niewiedząc w końcu jak się zachować, Szymon otwiera drzwi i aż się cofa w głąb przedpokoju - na progu stoi Duży Bogdanek, wyspany, świeży i pachnący, wykąpany, ostrzyżony, ogolony i wyprasowany w izbę wytrzeźwień, Duży Bogdanek nie do poznania, ale to jednak on!

Trzyma w ręku podwiednięty kwiatek i patrzy pokornie.

- Przyszedłem pana sędziego przeprosić.

- Ależ.

- Szymon jeszcze bardziej się cofa nie oczekiwałem tego.

Rozstaliśmy się wczoraj bez gniewu.

- No właśnie, pan sędziąmi przebaczył, ale ja sam sobie nie przebaczyłem mi głupio mi było, bo przecież mogłem pana sędziego jeszcze bardziej uszkodzić.

Ręką mam ciężką.

- Poczuję to!

- Szymon uznaje, że w tym miejscu wypada tylko zażartować.

Sebastian wychyla głowę zza kuchennych drzwi.

Jeszcze skrzywiony po płatkach, rozpromienia się na widok gościa.

- Cześć!

333.- Cześć - odpowiada ostrożnie Bogdanek, rozumie, że nie powinien przyzywać dziecka do siebie.

- Proszę, niech pan wejdzie - mówi Szymon.

- Ja tylko na chwileczkę.

Kwiatek chciałem wręczyć.

Jak wychodziliśmy ze Stasiem z izby wytrzeźwień, poprosiłem go o adres pana sędziego.

Szymon odbiera kwiat, zamyka za gościem drzwi.

- Napije się pan herbaty?

-Nie, dziękuję, panie sędzio.

Ja naprawdę tylko nachwilkę.

- Chyba się pan nigdzie nie śpieszy?

-No, właściwie nie.

- Nie pracuje pan?

-Szymon za późno reflektuje się, że zadał pytanie, jak wsądzie.

Dalej brzmiałoby tak: A na czym pozostaje oskarżony utrzymaniu?

A on by odpowiedział: Nautrzymaniumamusi.

-A z czego żyje mamusia?

- Z renty.

-Chwilowo nie pracuję.

Tak się jakoś żyło.

U mamusi jestem.

Mamusia samotna.

- Rencistka?

-Tak.

Skąd pan sędzia wie?

- No, bo.

dużo mamy teraz rencistów.

- Szymon podaje Bogdanekowi herbatę, wściekły na siebie, że go zaprosił do środka.

Zupełnie wie, o czym z nim rozmawiać.

I nagle przychodzi mudo głowymyśl zupełnie niedorzeczna.

-A nie miałby pan ochoty zacząć pracować?

Bogdanek jest wyraźnie w przykry sposób zaskoczony.

- Jakby się trafiła jakaś dobra praca.

-bąkawymijająco.

- Bardzo dobra!

-I ciekawa.

- Bardzo ciekawa!

Wręcz pouczająca!

Wiele można się podczas niej nauczyć, choćby z samej obserwacji.

-I lekka.

-wykrztusza jak w obronie własnej Bogdanek.

- Bardzo lekka!

Właściwie spacer przez cały dzień.

- Nie wierzę.

-Bogdanek odważa się powątpiewać.

Niema takiej pracy.

- Jest.

Praca woźnego sądowego.

Wciąż załatwia jakieś sprawy, nosi papiery.

Właśnie jest wolna posada w naszym sądzie.

-Wsą.

dzie.

- Był pan może karany, że się pan tak sądu boi?

-Ja? Skądże?

Panie sędzio!

Jak już człowiek trochę pije, to go od razu o wszystkim posądzają.

Na posterunku, owszem, kilka razy byłem, ale do sądu nigdy nie doszło.

- To bardzo dobrze.

No co?

Miałby panochotę na tęposadę?

- Bo jawiem?

-Bogdanek szybkoopije herbatę, choć jestbardzo gorąca.

-Musiałbysię namyśleć.

- Jak się pannamyśli, proszę przyjsćjutrodo sądu- nie, niejutro, mam zwolnienie lekarskiena trzy dni.

-Ma pan sędzia zwolnienie.

- Bogdanek kurczy się na krześle.

-Tak, ale w poniedziałekjuż będę.

Proszę więcprzyjsć w poniedziałek.

- Sąd Wojewódzki, sekretariat wydziału karnego.

Wiepan, gdzie to jest?

- Popytam się.

-Niech pan będzie przed ósmą.

Zaprowadzępana dodziałukadr.

I zaproteguję!

Nie było lepszego sposobu, żeby szybkoopozbyć się DużegoBogdanka.

Parząc sobie ustadopija herbatyi unosi sięz krzesła.

- To janie będę już panu sędziemuprzeszkadzać.

-Dziękuję za odwiedziny.

- Szymonodprowadza go dodrzwi, pewny, że widzi go po raz ostatni w życiu.

Ale to, że w poniedziałek nie zastajego w sądzie,sprawiamujednakjakąś małą przykreść.

Pochmurniewita się z panią Wisią,któratakże ma zwyczaj zjawiania sięwsekretariacie kilka minutprzed ósmą, i niezagadnąwszy jej,jak spałai jak się czuje, zmierza od razu do swego pokoju.

Ale ona sama gozatrzymuje,jużw progu.

- Był tujakiśtyp do pana, ale wydał mi się podejrzany,więcpowiedziałam, że pana sędziegodziś nie będzie.

Szymon cofa się od drzwi,ledwie tłumi irytację.

- PaniWisiu!

Naprawdę nie wymagam aż takiejopieki!

Umówiłemsię z nim.

- Skąd mogłamwiedzieć?

-pani Wisiałatwo przybiera obrażony wyraz twarzy.

-Pan,z takim człowiekiem?

- Tak,jaz takim człowiekiem!

Dawno był?

- Z dziesięć minut temu.

Szymon wypada na korytarz, potem naulicę.

WysokąpostaćBogdanka łatwobyłobydostrzecwśród przechodniów, ale nigdziego niema.

Nie wyobrażał sobie,że z takiego powodu możnado335.

znać aż takprzejmującego żalu.

Potrafił się przed nim bronić, nawet kiedy skazywał ludzi na karę śmierci, ale byli nie do uratowania, a ten.

Decydujesię pobiec w stronę przystanku tramwajowego.

O tej porannej godzinie czeka tam zniecierpliwiony, poddenerwowany tłum, któryrzucasię na podjeżdżający tramwaj.

Szymon, odepchnięty przez wsiadających, dostrzega nagle tego, którego szuka.

Woła go, ale Duży Bogdanek nie słyszy.

Wsiada, awłaściwiewciska się, torując sobie przejście potężną swoją postacią i Szymon wie, że się tam za nim nie dostanie, wskakując więc na stopnie drugiego wozu, teraz naprawdę mógłby ulec wypadkowi, ale nie myśli o tym, nie myśli o tym, na najbliższym przystanku przesiadając do pierwszego wagonu, sprawdziwszy uprzednio, że Bogdanek nie wysiadł, że jest w środku, stoi w przejściu i niełatwo się do niego dostać, ale jednak, jak ktoś chce, jak musi się przepchać przez tentum, to się przepcha, i sędzia Turoń wreszcie staje za szerokimi plecami, w które lekkouderza dłońią.

- Sekretarka się pomyliła, mówiąc, że nie będzie mnie dziwić.

Na szczęście dogoniłem pana.

Bogdanek gwałtownie odwraca głowę.

I nagle - boską formułę rozmieszczenia oczu, nosi ust rozjaśnia niespodziewaną radość.

XXIII Bezpieczniej byłoby mieć romans z mną, powiedział jej Serge.

zapamiętała to.

Tańczyli w jakimś małym lokalu, do którego wraz z Suzanne Aringauxi nie odstępującym jej reżyserem Saumontem zabrał ich Soldivier po kolacji, jaką wydał dla całego zespołu "Cyda". Premierowe przedstawienie było niewątpliwym sukcesem - na razie publiczności, ale z reakcji krytyków, którzy wyzbyli się zwykłej rezerwy, można było wnioskować, że i recenzje będą dobre - Soldivier więc promieniował wszystkim aktorom, nawet grającym dworzani i halabardników w scenach zbiorowych, ba!

także i paziowi 336 Infantki!

dziękował - za wspólne zwycięstwo, odniesione tego wieczoru na scenie Teatru Marigny.

Przy tak okazywanych - dość dużym gronie - względach i gościnności kolacja była raczej męcząca i dlatego zapragnął odpocząć po niej w małym gronie, przy dobrej muzyce, w zaprzyjaźnionym lokalu, gdzie sam właściciel, zjawiwszy się natychmiast przy jego stoliku, polecił mu dania, z których był dumny i których lekkość nadawała się na tę poranną przerwę godzinę, stając się właściwym smakowym tłem dla troskliwie dobranych win.

Sam prawie nie tańczył - tylko raz z Suzanne, pozostawiając ją potem Saumontowi raz z nią, skazując ją prawie na stałe obtańcowanie przez Serge'a.

A więc dlaczego Serge powiedział, jakie miał podstawy, żeby powiedzieć: - Bezpieczniej byłoby mieć romans z mną.

Nie powinna była pytać, ale jednak zapytała: - Niż z kim?

- Czy musimy wymieniać nazwisko?

Albo imię?

- Ale jeśli nie wiem, o kogo chodzi?

- Ach, wie pani doskonale.

Kobiety zawsze to wiedzą.

- Widocznie jestem wyjątkowo niedomyślna.

- Chce nią pani być.

A ja proszę, żeby się pani zastanowiła.

- Serge patrzy z bliska w oczy, trzyma ją ciasno w ramionach i szepcze prawie do jej ust: - Romans z mną byłby jak wiosenny deszcz, który odświeżyłby pani życie, wydobylby z niego wszystkie zapomniane barwy i wonie, nadałby mu lekkość, wyzwoloną z wszelkich obowiązków, nawet tego najgorszego - obowiązku kontynuacji.

A tamten człowiek będzie burzą w pani życiu, burzą, która wszystko zniszczy, roznieśli poszarpię, zniweczy.

Och, oczywiście, to nie będzie romans, tego rodzaju niszczycielskie uczucia nazywa się uroczyścią.

- Proszę, niech pan przestanie!

- krzyknęła, aż tańczący obok nich zwrócili ku nim głowy.

Do końca tańczenie odezwała się do Serge'a, po powrocie do stolika włączyła się w rozmowę Suzanne z Saumontem o jakimś nie omówionym jeszcze dostatecznie szczególnie przedstawieniu (Soldivier milczał), a kiedy orkiestra znów zaczęła grać, a Serge zerwał się z krzesła, wyciągając kuniej rękę, powiedziała, że jest zmęczona i nie będzie już ogóle tańczyć. 337. Odrzecz dni nie mogła usunąć z pamięci tej rozmowy z Serge'em i teraz także o niej myśli, choć powinna się skupić na tym, co mówi Claude Ferrie, określając sytuację kolejnego ujęcia "Wielkiego grzechu świata" przed wejściem aktorów na plan.

Ale on nie był Soldivierem, którego się słuchało z aparytymchem, nie był Soldivierem, który sprawiał, że to, co nie uświadomione, z każdą chwilą stawało się oczywiste i wyraźne, a pozostające w cieniu - rozjaśniało się od jego słów, nie był Soldivierem, opukującym tak długo każdego aktora, aż znalazł w nim miejsce, z którego wydobywał wszystko, co chciał, ale najpierw wdzięczność dla niego i zachwyt, że udało mu się to odkrycie - nie, ten biedny Claude Ferrie na pewno nie był Soldivierem, choć nie można mu było odmówić wyjątkowo błyskotliwej inteligencji i wrażliwości, sugestywności w prowadzeniu aktorów, a także wdzięku osobistego, który mógłby - który powinien być - sprawić, że i tym razem dokonałoby się zwykłe czarowanie reżyserem podługich, wspólnych godzinach pracy.

Czy jeszcze w szkole teatralnej nie podkochiwała się w profesorach, a później, już w teatrze, nie doznawała olśnień - przemijających na szczęście - w zetknięciu z reżyserskimi indywidualnościami, zwłaszcza jeśli zwróciły na nią uwagę?

Niechby więc ten Ferrie, ten wysoki, ciemny, jakby od urodzenia opalony chłopak, z którym na pewno przepadały dziewczyny, sprawił, że zaczęła by odczuwać dla niego wdzięczność za rolę, którą jej dał, i za to, że uczynił ją tak świetną, tak bogatą w zaskakujące motywacje psychologiczne, i tak odmienną od roli, jaką miała w filmie Soldiviera, niechby sprawił, że zaczęłyby ją cieszyć godziny, spędzane razem w chwili zdjęciowej, zacierając w pamięci te, które powinny stać się teraz tylko miłym wspomnieniem.

To powinno, to musi być możliwe, Anna patrzy się w Ferrie'go z tak przejmującym pragnieniem dostrzeżenia jego wszystkich zalet, że przestaje go słuchać i reżyser poraz drugi musi powtarzać skierowanekuniej słowa: - Pani Anno!

Proszę się skupić.

Zjawiasz się pani na estradziei jest pani kimś zupełnie innym niż ta dziewczyna, którą widział dotąd oglądał.

Ona jest szefem gangu i podczastej swojej pracy ma wygląd niewiniątka.

Natomiast tutaj, w tym kabarecie, którego jest gwiazdą, musi ukazać całą swoją kobiecą drapieżność, podkreślona ostrym erotycznie tekstem piosenki i wyzywającym kostiumem.

338 Anna dopiero teraz przypomina sobie (to fatalne dla roli, że wciąż myśli o czym innym), że jest ubrana, że jest obciążona czarnym lśnią trykotem, który czyni ją bardziej nagą, niż była po zdjęciu goz siebie, i że musi w tej czarnej swojej nagości przejść między rozstępującymi się przed nią ludźmi z ekipy i wkroczyć na plan w blask światła i wystrzoną uwagę skierowanych na nią spojrzeń.

W filmie Soldiviera miała za zadanie ukazać najpierw dziewczęcą, potem dojrzałą skromność bohaterki, jej nieśmiałość wobec życia, nawet strach przed nim - tu scenariusz stwarzał okazję do prezentowania innych walorów jej aktorstwa, i cieszyło ją to, budziło radość z posłusznego ciała, z jego - och, dlaczego miała by wciąż to ukrywać?

-piękności.

- Doskonale!

-woła Ferrie.

-Niech pani to zapamięta i utrzyma!

Ten długi krok, ten sposób stawiania stóp i patrzenia w kamerę, jakby miała pani zamiar uwieść całą salę!

Niechcę nikogo uwodzić - myśli Anna - na litość boską!

Nikogo!

Ile wysiłku trzeba włożyć w tęgrę, żeby wyglądało, żechę!

Że jestem silna i zwycięska, że niczego się nie boję i niczym się nie martwię, a już najmniej tym, że Szymon nie przyjechał na premierę "Cyda" i że takżenie przyjechała Isabelle.

Szymon przynajmniej podał poważny powód - chorobę pani Sylwii, nie miał z kim zostawić Sebastiana, ale Isabelle.

Przysłał długi i serdeczny telegram, który kończył się niezrozumiałym zdaniem: "Jestem z wami wszystkimi, ale przyjechać już nie mogę".

Przyjechać już nie mogę - co to mogło znaczyć?

Soldiwiernaty chmiast po otrzymaniu telegramu zadzwonił do żony, ale nie zastał jej w domu.

Nie zastał jej także następnego i znów następnego dnia.

Dlaczego zawsze mówił jej o tym, kiedy dzwonił do Hollywood?

Czy dlatego, że ona informowała go zawsze o każdym telefonie do Warszawy?

Dziś postanowiła także zadzwonić.

Miał to być telefon triumfalny!

Ukazało się już kilka recenzji z "Cyda", wszystkie bardzo pochlebne, wprawdzie w pismach codziennych.

(Kochany Presson!

Napisał, że nie było jeszcze na żadnej ze scen Paryża tak prawdziwie królewskiej, a równocześnie tak wzruszającej w swych kobiecych charakterach Infantki.

)... Tak, wprawdzie w pismach codziennych, ale pisma codzienne miały najwięcej czytelników.

Soldiwierny lekceważył, liczył się tylko z opiniami krytyków.

ków drukujących w "Paris Match", "Le Figaro", "Première" czy w "Le Nouvel Observateur", ale to były periodyki i na recenzje w nich trzeba było jeszcze poczekać.

A więc triumfalny telefon do Warszawy, inie myśleć o niczym więcej!

- Pani Turoń naplan!

Jak powiedział przed chwilą Ferrie?

- Niech pani to zapamięta i utryma!

Ten długi krok, ten sposób stawiania stóp i patrzenia w kamerę, jakby miała pani zamiar uwieścić salę!

- Ależ ona uwiodła Paryż!

Gra w drugim filmie, występuje w teatrze, piszą o niej, że nie było tu dotąd równie królewskiej Infantki!

Uwiodła, naprawdę uwiodła Paryż!

Zawsze wystrzegano się zarozumiałstwa, ale w tej chwili jest ono jej potrzebne, żeby tak, jak to wyobraża sobie reżyser, wkroczyć w światła reflektorów i w oko skierowanej na nią kamery.

Po zdjęciach samochód wytwórni odwozi ją do pensjonatu madame Pivette.

Jest to nie tylko kurtuazja wobec zagranicznej aktorki, ale także - a może przede wszystkim -

ubezpieczenie się przed jakąś złą przygodą, która w nieznanym mieście mogłaby ją spotkać; producenci i reżyserzy całego świata przez cały czas trwania zdjęć drżą, aby nic nie przydarzyło się aktorom.

Wieczorem - z tych samych względów - zawozi ją do teatru samochód Soldmera, i tak oto musi pogodzić się z tym, że nie zna pewnie miasta, które przyjęło ją tak gościnnie.

Jest piąta godzina po południu i Szymon od dawna powinien być już w domu.

Zamówiwszy rozmowę, Anna rozkłada na stole recenzje, zakreśla ołówkiem miejsca tekstem, który pragnie przeczytać Szymonowi.

Ale, gdy po sygnale podnosi słuchawkę, drętwieje.

Połączenie, jak zawsze, jest świetne i tym ostrzej, tym dobitniej dochodzi do niej głos.

pani Wisi.

- Przepraszam - Anna nierozumie, jak to jest możliwe.



-Czyżbym pomyliła numery i połączyła się z sądem?

-Nie, nie połączyła się pani z sądem- stwierdza oschle i jakzwykle autorytatywnie pani Wisia.

- A więc z mieszkaniem z moim.

znaszym mieszkaniem.

- Tak, połączyła się pani z mieszkaniem pana sędziego Turonia.

-A...

przepraszam - Anna nie wie, jak możliwie grzecznie sformułować to pytanie -co pani tam robi?

340- Pan sędzia marozprawę i prosił mnie, żebym odebrała chłopca z przedszkola i przypilnowała go aż do powrotu ojca.

-Dziękuję pani - ale czy pani Sylwia jeszcze niewyzdrowiała?

-Kto?

- Pani Sylwia, opiekunka Sebastiana.

-Nie wiem, czy wyzdrowiała.

Ja przyprawiam chłopca (czy ona go choć raz nie nazwie po imieniu? myśli Anna) z przedszkola, ilekroć pan sędzia jest zajęty.

-Dziękuję pani- powtarza Anna, ale nie brzmi to zbyt serdecznie.

Zmroziła ją wiadomość o nieobecności pani Sylwii, niewyobraża sobie, żeby oschła sądowa sekretarka na rok przed emeryturą (chyba stara panna) zdobyła się choć na odrobinę ciepła, potrzebną małemu dziecku.

- Czy mogłaby pani zawołać do telefonu Sebastiana?

-pytanie pewnie, jakby z obawą, że ta straszna baba nie pozwoli mu porozmawiać z matką.

- Ależ proszę.

-Sebastianku!

Mój skarbie!

- Mama!

-woła Sebastian.

(Czy zdaje jej się, czy naprawdę bliski łoż?

)- Kochanie moje!

Zdrowy jesteś?

Nic cię nie boli?

- Nie.

Tylko paluszki.

- Które paluszki?

-Nóżkowe.

- Buty ma za ciasne- wtrąca do rozmowy swoją informację pani Wisia.

-Chłopiec niemożliwie szybko z wszystkiego wyrasta.

Pan sędzia, jak tylko skończysz ten proces, zabierze go do miasta i kupi mu nowe buty.

- Ale dziecko dotego czasu będzie cierpieć.

-Co to za cierpienie?

Podłożyłam mu zwitki gazet pod piętę, stopa wtedy się unosi i palcenie uwierają już.

- Dziękuję pani - przerywa ten wywód Anna.

-Proszę dać jeszcze do telefonu Sebastiana.

- Chcę, żebyś przyjechała!

-mówi Sebastian, naprawdę przeżłzy.

- Skarbie!

Kiedy skończę tu pracować, zaraz przyjadę!

Zaraz przyjadę!

- Bo pani Sylwii także nie ma -dodaje Sebastian.

-AnipanaStasia.

IpanaOlesia.

I Zdzisia.

341. Ta wyliczanka wydajesię Annie zadługa.

- Słuchaj, Sebastianku!

-woła.

-Powiedz mamusi, ale krótko, tylko: tak albo nie - czy lubisz tę panią, która teraz jest z tobą?

- Nie!

-krzyczy Sebastian.

-Nie!

Nie!- O, Boże!

Niemów nic więcej!

Przyjadę, jak tylko będę mogła.

Będę się starać, żeby jak najprędzej!

A teraz całuję cię!

Bardzo mocnocię całuję!

- Ja też- mówi Sebastian wciąż przez łyzy.

-Czymam przekazać coś panu sędziemu?

- przejmuję słuchawkę pani Wisia.

-Tak.

Bardzo proszę.

Proszę powiedzieć, że ukazały się już pierwsze recenzje po premierze "Cyda".

Bardzo pochlebne recenzje!

Dla mnie także.

Odniosłam duży sukces.

- Co pani odniosła?

-pyta pani Wisia.

Napewno dosłyszała - Anna niema co do tego wątpliwości -ale chce, żeby ona musiała powtórzyć to głupie, jak jej się teraz zdaje, i tak nic nie znaczące w jej rodzinnej sytuacji słowo.

- Sukces!

-krzyczy.

-Sukces!

Mam znakomite recenzje!

Męża na pewno to ucieszy.

- Mam nadzieję -mówi z obraźliwym brakiem przekonania pani Wisia.

-Niech przekaze tę wiadomość moim rodzicom.

I stryjowi.

Żew teatrze odniosłam sukces, i że świetnie mi się wiedziew pracy nad nowym filmem.

-Czy coś jeszcze?

- Nie, już nic więcej- Anna wstydzi się, że uległa na chwilę niesieniu.

-Proszę pozdrowić męża ode mnie -dostosowuj się do oschłości tonu pani Wisi i znakomicie jej się toudaje.

-A pani dziękuję za opiekę nad Sebastianem.

Odłożywszy słuchawkę potrzebuje długiej chwili, żeby ochłonać.

Wszystko wydaje jej się mało ważne wobec krzyku Sebastiana w słuchawce telefonu: Nie!

Nie! Nie!

- Nie lubi tej kobiety, czuje się przy niej nieszczęśliwym i zgnębionym.

Zamiast wdzięczności, którą powinna odczuwać do pani Wisi, ogarnia ją niechęć doniej, jeszcze większa niechęć, boprzecież - kontaktując się z nią, na szczęście, tylko telefonicznie - nigdy jej nie lubiła.

Podczas kolacji, na którą Soldivier zaprosił ją przed przedstawieniem, Anna niespodziewanie mówi: 342- Mam prośbę.

Ogromną prośbę!

Czy mogłabym przywieźć Sebastiana.

meo syna.

na kilka tygodni do domu pod Antibes?

Soldivier sprawia wrażenie, jakby nie mógł zrozumieć, z czym Anna wraca się do niego.

Może przestał łączyć jej osobę z innymi osobami, do których należała, bo dopiero po chwili - chyba nawet z pewnym zdziwieniem - odpowiada: - Syna?

Ależ tak!

- natychmiast usiłujecie naprawić.

- Tak!

Niech go pani przywiezie.

- Dziękuję!

Dziękuję panu!

Oczywiście za pełnym wynagrodzeniem.

Umówiłabym się z Paulette.

- Och, nie ma mowy o żadnym wynagrodzeniu.

Paulette będzie szczęśliwa, że ktoś rozproszy jej samotność w tej pustelni.

- Dziś jeszcze zadzwonię do Isabelle.

Najpierw powinnam to zrobić.

Bo może zechce przyjechać na lato i dziecko by jej przeszkadzało.

Soldivier odkłada sztućce, pije wino, napełnia sobie po raz drugi kieliszek, ubiegając kelnera, który już ruszył ku niemu.

- Onanie przyjedzie - mówicicho.

- Ależ co pan mówi?

Dlaczego?

- Powodów może być wiele.

Ale najbardziej prawdopodobny jest ten, o którym coraz częściej myślę.

Anna pyta jaki.

Uważa, że nie powinna, że nie ma prawa wiedzieć, że byłoby bardzo źle, gdyby wiedziała.

Ale on jednak uważa za słuszną odpowiedź i czyni to bez bólu i zmieszania: - Isabelle jest uczciwa.

A ponieważ jest uczciwa - co jest coraz rzadsze u kobiet - nie chce tu przyjeżdżać, nie chce mnie okłamywać.

Ponad jej siły byłoby udawanie, że nic się nie zmieniło.

Anna wypija także swoje wino.

Myśli, czyta koncepcja losu Isabelle zgadza się z jej wyobrażeniami, z jej trwogą, którą poczuła patrząc, jak Isabelle - rok temu w Antibes - rozwiera palce i upuszcza na podłogę prześliczną filiżankę z cieniutkiej porcelany, jak pracowicie tłuczek kryształową popielniczkę owego ostatniego wieczora w Paryżu i jakby jej tego było mało, dodaje przez zacisnięte zęby, że podpaliłaby dom, gdyby nie mieszkali w nim inni ludzie.

Czy powinna powiedzieć o tym Marcelowi?

Czyż lepiej dla niego, żeby myślał, że Isabelle go zdradziła, ale jest szczęśliwa?

343. On jednak sprawia wrażenie, jakby już zapomniał, o czym rozmawiali.

Nakrywa jej dłoń swoją dłoń (co czyni coraz częściej).

- Cieszę się, że go pani przywiezie.

Bo może skończy wreszcie montaż filmu, teatr będzie miał letnią przerwę albo przedstawienie okaże się do tego czasu wygrane, Ferrie mógłby przez kilkadziesiąt dni zdjęciowych obejść się bez pani, a my wyskoczylibyśmy choć na tydzień do Antibes.

Najwyższy czas, żebym poznał pani syna.

Jest to powiedziane lekko, luptzejmie.

W każdej innej sytuacji oczekiwałaby takich słów, ale podczas tej rozmowy czuje się zaskoczona i prawie zagrożona, choć brzmiałyby mile.

Czyż Serge nie powiedział jej, że ten człowiek.

Nie, nie chcesz o tym przypominać.

Nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do dobrej, które podczas tańca wygaduje ktoś taki jak Serge.

Ale czy nie powinna jednak bać się tego, że Marcel.

że Soldivier nie bierze jakby pod uwagę, że ona ma jakiś dom i jakieś inne życie z człowiekiem, który.

- Najwyższy czas, żebym poznał pani syna - powtarza.

Okazja wypadu do Warszawy przydarza się nad spodziewanie szybko.

Suzanne Aringaux, włączając wciąż reżysera Saumonta ponocnych lokalach, zwichnęła nogę i trzeba było z tego powodu natychmiast odwołać przedstawienie "Cyda".

Annę zawiadamia o tym, telefonicznie z samego rana, niekryjący złego humoru Soldivier.

- Na trzy dni musiałem zawiesić przedstawienie!

i to akurat dziś, kiedy ukazała się taka znakomita recenzja w "L'Express".

Piszą także i o niej.

"Żywiłowa i zamysłowa Chimena!"

"Wolałbym, żeby nie była tak żywiłowa, żeby siedziała w domu i nie narażała teatru na odwołanie spektaklu.

- Świetnie!

- mówi Anna.

,- Co, świetnie?

- nie rozumie Soldivier.

Szeleści papierem, prawdopodobnie trzyma "L'Express" w ręku.

- Po takiej recenzji ludzie będą szturmować teatr.

Przepraszam, nie przeczytałem, co piszą o pani.

Bardzo wnikliwie oceniają rolę i podkreślają, że Polka potrafiła z niej wydobyć tyle.

- Och, zaraz jak tylko wyjdę, kupię "L'Express" - przerywa nie zbyt grzecznie Anna.

- I poślę kwiaty Suzanne!

- Co za pomysł?

Niezasługuje nato.

344- Dla mnie tak.

Przepraszam, to nietaktownie z mojej strony, że się cieszę, kiedy pan i wszyscy w teatrze się denerwują.

Ale jest to wspaniała okazja, żebym mogła na te trzy dni wyskoczyć do Warszawy.

- Dokąd?

- pyta Soldivier.

Brzmiało tak, jakby naprawdę zapomniał, że istnieje miasto.

- Do Warszawy!

Ferrie na pewno da się ubłagać i zwolnimnie ze zdjęć.

Wreszcie przywiozę Sebastiana, pogoda zrobiła się taka piękna.

Pobyłyby ze mną dwa dni w Paryżu, madame Pivette by go przypilnowała, a w niedzielę pojechalibyśmy do Antibes.

- Ach, tak - mówi Soldivier wolno.

- O ile nic się nie zmieniło - dodaje Anna, speszona jego tonem.

- Cóż mogło się zmienić?

- przytomnie Soldivier.

-Szkodatyłko.

- Szkoda?

Nie rozumiem.

- Szkoda, że nie można w jakiś inny sposób ściągnąć tu Sebastiana.

Anna cierpnie.

Co mówił Serge, wcale nietakinaiwny, i znający się na ludziach Serge, tańcząc z nią po premierze "Cyda"?

Romans z nim byłby wiosennym deszczem, a ten człowiek wprowadził jej życie.

- Anno!

-wota Soldivier.

-Przepraszam.

Nie powinienem był.

Niemam prawa.

- Może jednak - Anna nie potrafi stłumić w sobie przykrości.

-Może jednak lepiej będzie, jeśli zrezygnuję z pomysłu sprowadzenia Sebastiana.

- Ależ nie!

Cóż ja narobiłem!

Przecież chcę, żeby spędziła w Antibes.

Oczywiście, że musi pani po niego pojechać.

Jakkolwiek.

-O, Boże!

Jakkolwiek?

- ...

można by kogoś po niego posłać.

Na przykład Michele.

- Pan sądzi, że mój mąż.

-(nareszcie mówię o nim, nareszcie pamiętam o nim w tej rozmowie!

) - że mój mąż takłatwo zgodzi się.

takłatwo pozwoli na to, żeby Sebastian tu przyjechał?

Soldmerowi przychodzą dogłowy coraz gorsze pomysły.

345.- Macie przecież w Polsce tak ciężkie warunki.

-Och, nie aż takie, jak sobie wyobrażacie.

Właściwie rozmowa przeradza się w kłótnię.

Anna ma ochotę odłożyć słuchawkę.

Już wie, że nie przywiezie tu Sebastiana.

Ale jednak do Warszawy pojedzie!

Prawie musi tam pojechać, naprzekórtemu, co przed chwilą usłyszała.

- Anno!

Pani Anno!

Proszę mi wybaczyć!

Odwołuję każde słowo!

- Kiedy mam być w teatrze?

-Na czwartkowym przedstawieniu.

Będę na lotnisku.

-Niech się pan nie fatyguje.

- Będę.

Ile jest lotów z Warszawy?

- Nie wiem.

-Wyjdę na każdy!

- Do widzenia - mówi Anna.

Wrzuca do torebki tylko najkonieczniejsze drobiazgi toaletowe, chce mieć jak najwięcej miejsca na owoce i słodycze dla Sebastiana, ubiera się pośpiesznie.

Na dole, recepcjista zostawia adres Suzanne Aringaux z prośbą o posłanie jej kwiatów i ponagla madame Pivette, żeby jak najprędzej podała kawę, choć samochódz wytwórnijeszcze nieprzyjechał.

Zajeżdża natomiast przed pensjonatiny samochód, który Annatak dobrze zna, i wyskakuje z niego Soldivier (dla madame Pivette cudownie zaczyna się dzień!

Od takiej sensacji!

), otwierając gwałtownie - inie zamyka - drzwi, dopada lady recepcji.

- Pani Turoń jeszcze nie wyjechała?

- Nie - (coś się dzieje - myśli madame Pivette - coś się dzieje, jeśli mężczyźni mają takie oczy) - jeszcze nie wyjechała.

Pijewłaśnie kawę.

Soldivier kieruje się do kawiarni, siada przystoliku Anny, dyszy ciężko.

- Już nigdy nie będziemy się kłócić - mówi cicho.

- Zapamiętaj to sobie - już nigdy w życiu nie będziemy się kłócić!

346XXIV Odpocząć może Anna dopiero w samolocie.

Wsiada do niego po kilku godzinach na planie (Ferrie niechętnie zgodził się na jej wyjazd do Warszawy, dopiero po nakręceniu scen przygotowanych na ten dzień do realizacji; skrupulatnie liczone godziny i franki, czuwało nad tym całe biuro Franciszki Balka), po kilku godzinach na planie i po zakupach, czynionych pośpiesznie już w drodze na lotnisko. Nadźwigała się przy tym porządnie.

Najcięższe były owoce, najłżejsza apaszka dla pani Wisi, z prawdziwego jedwabiu, bardzo piękna, ale ją właśnie najtrudniej było znaleźć.

Sklepy w Paryżu pełne były jaskrawych, młodzieńczych kolorów, a chciała starszej pani przywieźć coś stosownego do jej wieku.

Udało się wreszcie znaleźć chustkę ciemnofioletową w delikatny cyklamenowy wzór, była pewna, że sekretarka wydziału karnego będzie choć raz z czegoś zadowolona.

Popołudniowy samolot z Paryża do Warszawy jest samolotem LOT-u.

A więc znajome stewardesy i polskie jedzenie na tackach, bardzo smaczne, choć - jak twierdzą (zagłębienie) pasażerowie często latająca na tej trasie - spisałe nieco w dobie kryzysu, polskie napisy, polskie rozmowy wokół.

Ale pasażerka siedząca obok Anny jest Francuzką.

W średnim wieku, niezłe ubrana, również z plikiem pism na kolanach, zwraca uwagę na recenzję z "Cyda" w "L'Express", którą rozłożyła przed sobą Anna.

- Świetne przedstawienie!

- mówi.

- Była pani?

- Tak - szepcze Anna, zaskoczona.

- Cieszę się, każdy, kto interesuje się sztuką, powinien je zobaczyć.

Marcel Soldivier rzadko reżyseruje w teatrze, ale jak już coś zrobi, to jest to zawsze wydarzenie.

Ten pomysł obsadzenia polskiej aktorki w roli Infantki!

- Ryzykowny?

- Skądże znowu?

Wspaniały!

Nikt inny by się na to nie odważył.

Podobno coś ich łączy.

- Kogo?

- pyta Anna.

Robi się jej gorąco, ale nie rozpoznana przez swoją towarzyszkę podróży (inna fryzura, inny strój, przeciwsłoneczne okulary) ma wreszcie okazję dowiedzieć się, co naprawdę mówi się o niej w Paryżu.

347.- Tych dwoje.

Reżysera i aktorkę.

Wyraźniej ją lansuje.

Zaangażował ją do filmu, obsadził w sztuce.

- Może jest tego warta?

- O, napewno!

Ale ile jest zdolnych aktorek i nikt nie zwraca na nie uwagi?

Anne.

Wie pani, jak to jest między tymi ludźmi.

- Między jakimi ludźmi?

- Tymi z teatru.

z filmu.

- Nie, nie wiem, jak między nimi jest.

- Nie czyta pani gazet?

- Nie wyczytuję z nich sensacji.

- Ja także nie.

Ale jednak pewne informacje same wpadają w oko.

Te częste rozwody.

- Myśli pani, że urzędnicy różnych instytucji, właściciele sklepów czy straganów z hal targowych się nie rozwodzą?

Tylko nikt o nich nie pisze.

Miejsca w gazetach by nie starczyło, gdyby ktoś chciał o tym pisać!

- Anna zaczyna się denerwować, milerozpoczęta rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót.

- Wśród aktorek i aktorów są także wierne żony i mężowie, zapewniam panią.

Och, nie wątpię.

Ale pani to trywializuje.

Ja, trywializuje?

- Anna aż unosi się na fotelu.

Przepraszam, ale tak mi się wydaje.

Mówiąc o związkach między tymi ludźmi, myślę o obojętnej fascynacji, która na dobre wychodzi sztuce.

Na pewno na dobre wychodzi sztuce.

Ma pani najlepszy przykład.

- sąsiadka Anny trzymanymi w dłoni okularami wskazuje recenzje z "Cyda".

Właśnie chcę to przeczytać - mówi Anna, wyraźnie kończąc rozmowę.

Pochyli się nad pismem, ale nie jest w stanie przeczytać ani jednego zdania.

Cóż za pech, że zajęła akurat to miejsce!

Miała nadzieję odpocząć, a tymczasem nerwosobie zszarpie przypomnieniem każdego słowa tej baby.

Bo jednak miała rację.

Sama sobie dawała sprawę z tej fascynacji, której ulegała już na studiach, którą potrafiła także budzić.

Którą także potrafiła budzić!

Dlaczego Soldivier obsadził ją w "Cydzie"?

Dlaczego dał jej szansę mówienia Comeille'a w oryginale?

Żaden z polskich przekładów, a było ich aż trzy, i każdy posługiwał się polszczyzną z innej epoki - nie oddawał w pełni tej lekkości, jaką wierszowi Corneille'a dały wieki wykształconej i

ukształtowane w salonach, wypolerowane w rozmowach towarzyskich i dworskich praktykach francuszczyzny.

Który toż profesorów mówił w szkole teatralnej, że nawet najlepszy przekład zatracą coś z ducha piękna oryginału?

Anna przemyka oczy (ma nadzieję, że pasażerka z sąsiedniego fotela tego nie widzi), poplątane myśli zapadają w gąszcz tekstów, które nagromadziły się w jej głowie w ciągu lat.

Gdyby można było sfotografować pamięć aktora!

Cudownym jakimś aparatem widocznie cząsteczki zespolonych z sobą słów, którymi wyrażaliście w różnych jego formach.

Napisane przez kogoś, a przez niego ożywione życie.

Napór tekstów, ich atak jest tak silny, że zaczynają wzajemnie sobie przerywać, zachodzić na siebie, zwalczać się dobywającą się nagle ze słów jakichś, niespodziewaną dobitnością - i naraz z tej gmatwaniny wyłania się dźwięk jeden, głos własny albo niewłasny (czy to ona w białych skarpetkach stoi na szkolnej estradzie, czyta małą Przasnysza - O, Boże! znowu ona!

- pragnie popisać się przed panią aktorką z Warszawy swoją recytacją.

) wyłania się, wybija się ponad inne głosy, przypominający w jaskrawym współczesnym miejscu świata tę zamgloną dawność najrodzimejszą, nie oddalającą się nigdy z serca.

"Śród takich pól przed laty.

"Anna podnosi dońdo czoła, uciska palcami skronie.

Chyba się tu nie rozchoruję?

- myśli w popłochu.

Po prostu dużo ostatnio pracowała i zabardzo się zmęczyła przed podróżą.

No i rozmawiała z tą denerwującą przeintelektualizowaną Francuzką.

- Proszę zapiąć pasy!

- odzywa się głos stewardesy (Anna wita go z radością).

- Za kilka minut lądujemy w Warszawie!

Majowe powietrze, które owiewa ją na schodkach podstawionych do samolotu, przywraca jej dobre samopoczucie.

Maj w Warszawie pachnie tak samo jak w Paryżu, nawet na płycie lotniska.

Anna przypomina sobie, że myślała o tym samym, kiedy rok temu po festiwalu w Cannes wysiadała tu z paryskiego samolotu z Wojtaszkiem Tarła i Markiem Sarpowiczem.

Ile się zmieniło przez ten rok!

Ależaden z sukcesów nie pozwala zapomnieć tym, że Wojtaszkowi zrobiła pospoliteświństwo.

Muszę zadzwonić do niego - myśli, ale wie, że nie zadzwoni.

Wojtaszek zresztą nie da się udobruchać przez telefon.

Powinna zaprosić go do siebie na porządną wódkę, rozkulić za jej pomocą rozserdecznieć, imożeby jej przebaczył.

Czuje się bardzo podle, kiedy za.

ktos się na nią gniewa.

Zaproszę go najjutro, postanawia.

Albo napojutrze.

Ma przed sobą całe dwa dni, dwa wspaniałe dni w Warszawie!

Tenentuzjizm, z niemałym trudem w sobie wypracowany, przycisnął ją już podczas odprawycelnej.

Była pewna, że nie będzie musiała otwierać walizki, przy poprzednich przylotach zachowywano się wobec niej z pełną kurtuazją.

Tym razem także celownik przepuścił jej walizkę, ale celniczka - zatrzymała.

- Proszę otworzyć!



Anna dopiero teraz szuka kluczyka wtorebce, trwato dość długo, dość długo manipuluje nim przy zamku.

Otwarta wreszcie walizka prezentuje swoją podniecająco apetyczną zawartość: pomarańcze, cytryny i banany, tabliczki czekolady, paczki kawowe, pudełko sardynek.

- Na handel?

- pyta celniczka.

Walizka rzeczywiście zawiera artykuły, które mają największy popyt na bazarze Różyckiego.

- Pracuję w Paryżu - mówi Anna - i wiozę to dla dziecka.

Nie pierwszy raz.

- Sardynki też?

- Dlaczego nie?

Chłopak ma cztery lata.

- Hm.

Pracuje pani w Paryżu?

Celniczka wsuwa dłoń pod banany i wyjmuje pięknie opakowaną chustkę dla pani Wisi.

- A to co?

Anna zaczyna tracić cierpliwość.

- Proszę rozwinąć, to pani zobaczy.

Prezent specjalnie prosiłam, żeby go ładnie zapakowano, ale proszę, niech pani rozwinie.

Celnik usiłuje odciągnąć koleżankę na bok.

- Przecież to Anna Turoń - szepcze.

- No to co?

- Fakt, że nie imponuje jej czyjaś tam sława, sprawiam młodej osobie wyraźną satysfakcję.

Zatrząskuje jednak wieki walizki, ale nie powstrzymuje się od pouczenia: - Zadużo pani wozi tych smakołyków!

- I będę jechać - mówi Anna.

Zamyka walizę i - zatoczywszy się pod jej ciężarem, co wywołuje błyskawiczne zmiany w oczach celniczki - zmierza dół.

Na szczęście na postoju jest taksówka.

Anna rusza ku niej obawiając się, żeby jej ktoś nie uprzedził.

Zdyszana, wlecze objającą się jej onogę walizkę, chyba naprawdę przesadziła z

zawartością, celniczka miała rację, zwłaszcza że Sebastian za dwa dni będzie miał w Paryżu ile tylko zechce owoców i słodyczy, więc niepotrzebnie dźwigał wszystko.

- Na Żoliborz!

- mówi taksówkarz.

Jeszcze się nie odezwała, jeszcze nie dołączyła do niego, a on już powtarza: - "Na Żoliborz!"

Staje więc obok w nadziei, że nadjedzie druga taksówka.

Nadjeżdża po dziesięciu minutach.

- Na Wolę - ogłasza wychylony przez okienko taksówkarz.

Anna przesuwa się znów kilka kroków dalej, pot spływa jej po plecach, ciężka walizka zaczyna ją denerwować prawie tak samo, jak przed chwilą denerwowała celniczkę.

Zaczyna być zła na siebie, że nie znalazła chwili czasu, żeby - z wytwórni lub z lotniska - zatelefonować do domu i zawiadomić Szymona o swoim przyjeździe.

Czekałby na nią.

Ale diabli wiedzą, czy ten Paragraf.

czy w ogóle zastałaby go w domu, może znowu nacięłaby się na tę cholerną staruchę.

Anna zaczyna popadać w coraz gorszy nastrój, ma ochotę kłać na głos, nie dochodzi jednak do tego, ma jednak trochę szczęścia, nadjeżdża następna taksówka, Anna ponętnym uśmiechem wita kierowcę i dźwiga z ziemi swoją walizę.

- Na Muranów!

-obwieszcza taksówkarz.

Anna stoi przez chwilę jakosłupiała, potem pochyła się iprzezopuszczoną szybę wsuwa głowę do wnętrza taksówki.

Reżyser Ferriebyłby zniejzadowolony, jest to bowiemscena, jak z jego filmu:anielskatwarz, oczy niewiniątka, cudowne usta, a w nich tak zaskakujące, choć bardzowyrządnie wypowiedziane słowa:-Ty sukinsynu!

Umknąwszy czym prędzej wtapia się w tłumkotłujący sięprzed wejściemdo hali lotniczego dworca i dopiero podługiejchwili wyłania sięz niego bez płaszcza, który zdjęła, a za tow przeciwsłonecznych okularach, które dopiero teraz rzałożyła, z włosamisczesanymina czoło- całkiem świeża kandydatka napasażerkę, zmierzająca ku pierwszejtaksówce iz tupetem podająca- po francusku - adres swego mieszkania.

Taksówkarz wyskakuje zwozu, chwyta jej walizkę, urnieszczaw bagażnikui błogo uśmiechnięty, zgięty w wyraźnym ukłonieotwiera drzwiczki samochodu przed cudzoziemką. ^.Podczas jazdy Annanie przestaje mówić - oczywiście pofrancusku - choć orientuje się, że taksówkarz nie znatego języka.

Pilnie też śledzizmianęcyferekna liczniku, a gdy taksówkarzstajeprzedblokiem, wyjmujez portmonetki, w którejtrzyma polskiepieniądze, sto osiemdziesiąt trzy złote pięćdziesiąt groszy:akurattyle, ile należy się za kurs.

- O, non!

-powiada taksówkarz.

Iwypisujena karteczce zaskakującecyfry - 50franków.

Anna przechodzi na polski:- Drogi panie!

Jeśli pan życzy sobie, że bymzapłaciła frankami, proszę bardzo.

Według obowiązującego kursu franka stoosiemdziesiąt trzy złote i pięćdziesiąt groszy to równo czternaściefranków.

Anna wyjmuje teraz "francuską" portmonetkę i skrupulatnie odlicza bilon.

Taksówkarz nabieraoddechu i wiadomo, od jakiego słowa zacznie swoje przemówienie.

Anna jednak go uprzedza:-Ostrzegam pana, że jeżeli zechce mnie pan obrazić, zgłoszęcałą sprawę z pana numerem rejestracyjnym na milicji.

I wie pan,co panu jeszcze powiem -to bardzосmutne, że się taknie lubimy.

-Ja zpanią?

A dlaczego mamy się lubić?

Nie znam pani.

- Żesię tak nielubimy - my, Polacy.

Bardzосmutne!

A terazniech mi pan poda moją walizkę.

Tylko bez żadnych historii.

I grzecznie, proszę!

Na grzeczność to się już taksówkarz zdobyć nie może.

Otwiera bagażniki wyrzuca z niego walizkępod nogiAnnie.

A potemodjeżdża odrazu natrzecim biegu i Anna wyobraża sobie, jakiemiota podjej adresempitety.

Ten incydent nawet ją rozbawił; kiedy w wejściowychdrzwiach napotyka opiekuna domu, ukazuje mu rozradowanątwarz.

- O! - woła Fjałkowski, odbierając odniej walizkę.

Jużzpowrotem?

- Nie, tylko na dwa dni.

-Anna przystajeprzed drzwiamiwindy.

-U mnie w domu wszystko w porządku?

- Ano, niby tak.

-Fjałkowskiodwraca się nieco, żeby nacisnąć guzik i sprowadzić windę.

-Nawet w tejchwili.

jest na górze ta pani,co przyprowadza Sebastiana zprzedszkola.

- Wiem -mówi Anna.

-Rozmawiałamz nią przeztelefon.

352- Ach, wiepani.

- Fjałkowskiemu powraca jakby dobry humor.

Otwiera drzwi windy, wstawia do niej walizkę Anny.

- Niechpan wpadnie jutro - mówiAnna.

-Dam panukilkapomarańczdladzieci.

- Och,dziękuję.

Zapomniały już nawet, jaki mają smak.

Gdy winda zatrzymuje się napiętrze, Anna cichutko wynosiwalizkę i stawia ją nawycieracze pod drzwiami.

Maklucz odmieszkania, postanawia więc zrobić Sebastianowi - noipani Wisi- niespodziankę.

Powolutku wsuwa kluczdok zamka, otwiera zatrask i uchyla drzwi.

Nie słyszeli tego, siedzą w kuchni i Sebastian grymasi, bo znów niechce czegoś jeść.

Anna wchodzinapalcach do przedpokoju, widzi już plecy Sebastiana,

odsuniętegozwyraźnymwstrętem od talerza, a obok niego.

Wcześniej w tymśadownictwie odchodzą babki na emeryturę - myśli zdumiona, alekiedy przygląda siędużej osobiesiedzącej obok Sebastiana, myślobliskiej emeryturzewydajesię w ogóle nonsensem.

Ta niesłychanie staranna fryzura, chyba dopiero co ufarbowana w modnepasemka, tenkarczek widoczny z głębokiego wycięcia letniej sukni,przy nagłym ruchu ukazany z boku zarys ponętnego biustu.

- Ja to jutro zjem!

-wołaSebastian.

-Pani Wisiu!

Ja tojutrozjem, naprawdę!

Niech pani otworzy telewizor!

Anna czuje,że cała ją oblewa ukrop.

Nawet na scenie udawałoj się uniknąć tego rodzaju trywialnychsytuacji.

"Nie należy nigdy bez zapowiedzi wracać do domu!

- mawiał nieraz stryjAlfred.

-Niespodzianką może być tylko prezent!

"W pierwszej chwiliAnnama ochotę zawrócić do drzwi,zamknąć je równie cicho, jakje otworzyła, wrócićna lotniskoi przenocować tamw oczekiwaniu na pierwszysamolotdoParyża. Tewszytksłowa, którychnie pozwoliła powiedzieć taksówkarzowi, teraz jejsamej cisną sięnausta.

- No, tak.

Ale tam siedział Sebastian, imiała go zabrać sobą.

Przyjechała w najodpowiedniejszym momencie, żeby goze sobą zabrać!

- Dobry wieczór!

-mówiwchodząc do kuchni.

Pani Wisia zrywasię z krzesła, odwraca się ku drzwiom, Sebastian zeskakuje ze stołka, z radosnym krzykiem dopada do matki.

AleAnna nie zwraca naniego uwagi, nie możeoczuc oderwaćd tej, dlaktórej w pięciu czy sześciu sklepach szukała konieczniefioletowej apaszki, wszędzie tłumacząc ekspedientkom,że ma być353.

odpowiednia dla starszej pani.

Pani Wisiana śniadą cerę brunetki, z którą kontrastują jej jasnoniebieskie oczy, zgrabny nos i piękne zęby, które teraz ukazują w wymuszonym nieco uśmiechu.

- O, Boże!

Jak się przestraszyłam!

A to pani!

- Tak, to ja!

Chciałam zrobić wam niespodziankę, lzdaje się, że zrobiłam!

- Mama!

Mama!

- powtarza Sebastian, obejmując uda matki.

I rozgląda się zawiedziony.

Nie masz walizki?

- Mam!

- Anna wychodzi i wraca z walizką, stawia ją na stołku, ale jeszcze jej nie otwiera.

- Mąż nadużywa pani uprzejmości - zwraca się do pani Wisi.

- Wszystkie popołudnia tu pani spędza.

- Tylko w te dni, kiedy pan sędzia jest zajęty.

- Pani Sylwiawciąż choruje?

- Pansędzia nic mi nie mówił na ten temat: A pani.

pani już skończyła.

swoje zajęcia w Paryżu?

- Nie.

Wpadłam tylko nadwa dni.

- Mama!

- woła Sebastian.

- Otwórz walizkę!

Dlaczego niemówisz, co mi przywiozłaś?

- Zaraz zobaczysz.

- Anna szuka w torebce kluczyków i wyjmując je, po raz pierwszy usiłuje uśmiechnąć się do pani Wisi.

- Mam także coś dla pani!

- Dla mnie?

Ależ nie oczekiwałam.

Odskakuj wreszcie wieko walizki i przez chwilę panuje nad nią zupełnie teatralna cisza.

Sebastian w olśnionym podziwiefasię nawet, nie śmiać po nic wyciągnąć rączki.

- To wszystko dla ciebie!

- mówi matka.

- Ale dziś dostaniesz tylko jedną pomarańczę i jednego banana, bo jak słyszałam, nie chciałeś jeść kolacji.

- Jutro zjem!

- przyrzeka Sebastian w roztargnieniu.

- A to skromniutki prezent dla pani.

Anna wyciąga wreszcie paczuszkę, z której rozpakowania celniczka naszcześnie zrezygnowała.

- Obawiam się tylko, czy ten kolor.

będzie pani odpowiadał?

- Ależ w ogóle nie trzeba było.

-pani Wisia zociąganiem,ale jednak i zaciekawieniem, rozwiązuje wstążeczkę, rozwija kolorowy papier (ma nieskazitelnie wypielęgnowane paznokcie),z nylonowej torebki wyjmuje leciuteńką jedwabną chustkę.

- Ach,354jaka ładna!

-woła z nadmiernym chyba entuzjazmem.

-Nie miałam nic fioletowego.

- Tatuś!

-krzyczy Sebastian, usłyszawszy zgrzyt klucza w zamku.

- Och, kochana pani Wisiu!

-woła Szymon od progu.

-Przepraszam, że tak długo musiała panina mnie czekać.

- Mnie także przepros- mówi Anna, wychodząc z kuchni do przedpokoju.

Szymon trzymając otwartej dłoni paczkę z ciastkami, jest jeszcze cały w biegu między drzwiami wejściowymi a kuchnią, przez kilka sekund nie potrafi nic powiedzieć; dobrze byłoby mieć wrażenie, myśli Anna, że zaniemówił ze szczęścia.

- Haneczko!

-odzywa się wreszcie.

-Co za niespodzianka!

- No, właśnie - Anna nie może sobie odmówić odrobiny złośliwości w głosie.

Pozwala się pocałować, co Szymon czyni, wciąż z ciastkami w ręce (a może ze względu na obecność szarż jakby nagle pani Wisi), niezbyt grabnie.

- Aktorka, która gra Chimenę, zwichnęła nogę, zawieszono więc przedstawienia na trzy dni, z planu zdjęciowego udało mi się zwolnić, a więc mogłam wyskoczyć do Warszawy.

-Jak się cieszę!

- Szymon odkłada wreszcie ciastka na stół w kuchni i jeszcze raz całuje żonę.

-A mnie?

- Sebastian nadstawia policzek, wypchany chyba połówką banana.

-Mnie także długo nie widziałeś.

- Bardzo długo!

-śmieje się Szymon.

-Od ósmej rano.

Dłużej bym nie wytrzymał!

- Nie będę państwu przeszkadzać.

-Pani Wisia rozgląda się za swoją torebką.

- Nie ma mowy o żadnym przeszkadzaniu.

Szymon sprawdza, czy jest woda w czajniku, podpala pod nim gaz.

- Przyniosłem ciastka, napijem się herbaty.

-Ależ tak!

- Annie nie wypada nie dołączyć się do tego zaproszenia.

-Mam również ciastka z Paryża.

- Nic nie mówiłaś - odzywa się z pretensją Sebastian.

-Nie, nie - pani Wisia taktownie daje się zatrzymać.

-Państwo zapewne chcą być sami, a nam nie czeka matka.

- Jutro ja odbiorę Sebastian z przedszkola - mówi Szymon podając jej płaszcz.

-Na szczęście nie mam rozprawy wychodzącej sądu otrzeć.

355.- On w ogóle jutro nie pójdzie do przedszkola - wtrąca Anna.

-A pozatym.

-nie kończy, bo Szymon, zamknąwszy drzwi z panią Wisią, znów zaczyna ją całować, oswobodzasie jednak z jego uścisku.

- Powiedz mi.

-zaczyna,a przez cały czas, odkiedy tu weszła,była pewna,że zdoła się od tego powstrzymać-  
dlaczego mówiłaś, że ona jest w wieku przedemerytalnym?

- Kto?

-pyta Szymon, naj szczerzej zdziwiony.

- Kto!

Pani Wisia!

Powiedziałeś mi, że za rok idzie na emeryturę.

Szymon zaczyna się śmiać.

- Nie rozumiem, co w tym śmiesznego.

Tylerazy rozmawiałam z nią przez telefon w przeświadczeniu, że to starsza pani, nauganiałam się w Paryżu posklepach, żeby znaleźć dla niej chustkę w odpowiednim do jej wieku kolorze a gdy niespodziewanie zjawiam się w domu, zastaję tu seksbombę, w wydaniu sądowymoczywiście.

Szymon śmieje się coraz serdeczniej.

- Co w tym śmiesznego!

-krzyczy Anna, aż Sebastian przestaje pożerać ciastko, które-pod nieuwagę matki - wyjął z rozpakowanej przez siebie paczki.

- Och, to stary kawał!

-Szymonusiłuje objąć Annę, ale ona wciąż mu nato nie pozwala.

- Stary kawał wszystkich sędziów!

Żeby żony nie były zazdrosne, mówi się o paniach pracujących w sądzie, że są w wieku przedemerytalnym.

- Nigdy nie byłam zazdrosna!

-Wiem!

Przepraszam.

Ale raz to tylko, niejako zrozpędu, powiedziałem - a ty w to uwierzyłaś.

-Nie wyprowadzałaś mnie z błędu.

- Boto było zabawne.

A poza tym, skąd mogłem wiedzieć, że będę musiał prosić panią Wisię o pomoc w odbieraniu Sebastian z przedszkola?

Czy miałem specjalnie po to dzwonić do Paryża, żeby ci powiedzieć, że ona jest młoda?

-I ładna!

- Jakoś tego nie zauważyłem.

-A co w ogóle jest z panią Sylwią?

Naco w końcu choruje?

Czy rozmyśliła się i w ogóle nie chce pracować?

- Zwolniłem ją.

-Oszalałaś?

356- Być może.

Ale wolę sam się opiekować Sebastianem niż wywlekać go sprzed budek z piwem, dokąd chodzili z nim bracia i siostry pani Sylwii.

- Coto znaczy - wywlekać?

-Ostatniego dnia ledwie goodbiłem.

no, ledwie odebrałem jakiemuś pijakowi.

Zapewniam cię, że pani Sylwia nie mogła dłużej u nas pracować.

- A dlaczego.

zamiast do pani Wisi, nie zwróciłaś się o pomoc do pana Feliksa?

Chyba jest już zdrowy?

- Pan Feliks nie żyje.

Umarł w sanatorium zaraz po przyjeździe.

Anna dopiero teraz przysiadła na stołku w kuchni, zbita znógtą wiadomością. Przyciąga do siebie Sebastiana, bo to on wydaje jej się najbardziej dotknięty śmiercią pana Feliksa.

- Nic mi nie mówisz - szepcze.

- Po co miałem cię martwić?

A teraz nie myśl o tym.

Przyjechałaś na tak krótko.

- Przyjechałam, żeby.

- Gdyby Anna na jutro zostawiła tę informację, godziny, które mieli przed sobą, pozwoliłyby nie tylko zapomnieć o śmiesznym w końcu incydencie z panią Wisią, ale nadałyby każdemu słowo znaczenie i ciepło wyłączone troską Sebastiana, o jego zdrowie, które zapewne by poprawił pobyt na Lazurowym Wybrzeżu.

Och, gdyby zostawiła tę informację na jutro!

Ale ona mówi już teraz: - Właściwie przyjechałam głównie po to, żeby zabrać z sobą Sebastiana.

Odpada nam, na szczęście, zmartwienie, że nie ma kto przyprowadzać z przedszkola.

Szymon tak zsiada, zamyka gaz pod czajnikiem, w którym woda zaczęła już pisać przed zagotowaniem, ale nie jest to już dźwięk, towarzyszący zawsze ich spokojnym chwilom w kuchni.

- Jak to - zabrać Sebastiana?

- Tak, na lato do Antibes.

A może nawet na dłużej.

Wszystko mam już umówione.

- Masz już.

umówione?

- Oczywiście.

Nie przyjeżdżałabym przecież po niego, niewiedząc, gdzie umieszczę.

- Az kim.

masz już to.

umówione?

Anna jest aktorką i potrafi nie zająknąć się przed następną kwestią.

357.- Soldi wierowie mają w swoim domu pod Antibes starą zaufaną gosposię.

Paulette ma naimię.

Wyobrażam sobie, że polubi Sebastiana, a i on.

Och, pomyśl tylko, jak wspaniale mu tam będzie!

Ciepłe morze, słońce, owoce, taki piękny ogród.

Pies!

I kot!

- Ładny?

Jaki?

Bury?

- chce od razu wiedzieć Sebastian, który od dawna marzy o kocie.

- Czarny, z białym gorsem i białymi rękawiczkami.

Nazywasz się Salomon.

- Salomon!

Jak śmiesznie!

A ma pchły, jak kot Klemensa?

- Nie wiem, czy ma pchły.

To bardzo elegancki kot.

- Nie nabijaj dziecku głowy bzdurami - odzywa się Szymon swoim głosem.

- On nigdzie stąd nie pojedzie!

Anna myśli przez chwilę, że się przesłyszała.

Spodziewała się, że Szymonnie rozstanie się zbyt łatwo z Sebastianem, dlatego zupełnie niemożliwe wydało jej się wysłanie po niego Michele, jak proponował Soldivier - ale nie wyobrażała sobie, że opór może być tak kategoriyczny i wyrażony takim tonem.

- Jak to - nigdzie stąd nie pojedzie?

Chybanie pozbawisz dziecka kilku letnich miesięcy w tak cudownym klimacie.

i w warunkach, których niemożemy tu stworzyć tutaj.

- Owszem.

Wybieram się z nim na urlop nad morze.

- Nie można chyba porównywać naszego zimnego Bałtyku.

- Kapał się w nim i nic mu się nie stało.

- Szymon!

- Anna zaczyna rozumieć, że w sprzeciwie Szymona jest nie tylko lęk przed rozłąką z małym.

- Powiedz mi, o co ci chodzi?

Przecież to bajeczne rozwiązanie dla nas.

Nie mamy opiekunki dla Sebastiana, a tam, w Antibes, zajęłaby się nim urocza staruszka, dobra i czuła.

A ja na każdą niedzielę przyjeżdżałabym do niego z Paryża.

- Długo masz zamiar tam siedzieć?

- Pytanie Szymona nie jest zbyt uprzejme.

- Sam mniemam, że do tego, że bym zagrała w drugim filmie.

Ferrie pracuje szybko.

Za jakieś dwa miesiące pewnie skończy zdjęcia.

No, ale gram w teatrze, a w Paryżu przedstawienia utrzymują się czasami na afiszu dość długo.

- Nie możesz więc przewidzieć, jak to długo potrwa.

Niewiem, co zamysłasz.

(jakie to potworne - wstrząsa się Anna - imputujące podstęp słowo!

) nie wiem, co zamysłasz, ale niemożę pozwolić, żebyś wywiozła stąd Sebastiana, żebyś skazała go na to, że będzie rośl.

To, co Szymon mówi, jest żałosne i Anna rozczuliłaby się kiedy indziej niesprawiedliwymi posądzeniami, które wysuwa pod jej adresem, urażony w swej męskiej ambicji, ale użyłby trąnających słów, żeby mogła się teraz nad nim roztkliwiać.

- Niczego nie zamysłam i na nic nie skazuję własnego dziecka.

Twoje sądowe słownictwo.

bardzo proszę, żebyś nie wnosił go do domu!

Z czymnie możesz się pogodzić?

Że Sebastian miałby trochę przyjemności, zaznałby innego życia, nauczyłby się może języka.

- Wiem, do czego to może doprowadzić.

Szymon coraz bardziej traci opanowanie, ale nie jest, niemożę się już wydawać żalony.

- Ja nie chcę - mówisz szeptem, ale tak wyraźnie, jakby mówił naskenie, a ten szept miał być słyszalny w ostatnim krześle widzów - ja nie chcę, żeby mój syn żył w świecie, który go nie będzie obchodził.

Tak, może dać mu trochę więcej przyjemności, więcej życiowego komfortu, ale nie będzie go obchodził, a jak może żyć człowiek.

- Szymon!

Na litość boską!

Coci przychodzi do głowy?

jak może żyć człowiek bez tego światła w duszy, które - choć czasem jest cierpieniem.

- Nie, nie mogę tego słuchać!

- Anna zrywa się wybiega z kuchni.



- Niepozwolę nigdzie wywieźć Sebastiana!

- krzyczy za nią Szymon.

- I weź topoważnie pod uwagę!

Anna wpada do pokoju, zabiera z tapczanu pled i zatrzasnąwszy drzwi zasobą, rzuca go na kanapkę w pokoju, w którym śpi Sebastian.

- Nie zabieraj go jutro do przedszkola!

- woła.

- Sama go tam zawiozę.

- Będiesz ze mną spała?

pyta zdumiony uradowany Sebastian.

- Tak, będę spała z tobą.

- I pozwolisz się przytulić?

- Tak.

- Na całą noc?

- Na całą noc.

359. Oczywiście zmrużyła oka do rana.

Szymon też, słysząc jak przewracając się na tapczanie, szeleści gazetą.

Może powinna była pójść do niego, przytulić się ufnie jak Sebastian, i cała kłótnia poszłaby w niepamięć, Szymon na pewno zgodziłby się na nią, że kąpiel w Morzu Śródziemnym jest przyjemniejsza - zwłaszcza dla dziecka - niż w Bałtyku.

Ale ona uważała, że to on powinien przyjść do niej, przeprosić za swój wyskok, przyznać się do tego, że nie miał, absolutnie nie miał racji.

Tak więc noc tę przespał smacznie tylko Sebastian, niczego, na szczęście, nieświadomy.

Rano, gdy tylko drzwi zatrzasnęły się za Szymonem, Anna zrywa się smutna, zła, głodna - odposiłku w samolocie nie miała nic w ustach - ale traci apetyt, dotknąwszy w kuchni zimnego czajnika.

I Szymon nic nie jadł wypadł z domu bez śniadania.

Na stole stoi talerz z nie zjedzonymi wczoraj przez Sebastiana płatkami, Anna zewstrętem wygarnia jedo ustępu, a z walizki wyjmując pudełka sardynek i parówek, które zaraz otwiera.

- Wstawaj!

- woła, pochylając się nad Sebastianem.

- Mama zaprasza cię na męskie śniadanie.

Obudził się od razu, usiadł, nie trąc nawet zaspanych oczu piąstkami.

- Co to znaczy - męskie śniadanie?

- pyta.

- Zaraz zobaczysz.

Wstawaj siadaj przystole.

- A nie będę się mył?

- Nie.

- Ty się zaważyło - myśli Anna - że i zasada mycia się przed jedzeniem może się zaważyć.

- Po śniadaniu się umyjesz.

- W przedszkolu też będę musiał jeść.

- Wiem, ale w domu zjesz coś innego.

- Anna wyjmując walizki cytrynę, myje ją starannie, kroi na plasterki i jednym z nich ozdabia sardynki dla Sebastiana.

- Tak podaje się sardynki w eleganckich lokalach!

- Gdzie?

- Wszędzie.

-Chciała powiedzieć: zagranicą, ale powstrzymała się od tego, żeby Szymon - choć nieobecny - nie mógł mieć satysfakcji, że przyucza dziecko do tego parszywego komfortu, który miał w pogardzie.

-Wszędzie w eleganckich lokalach.

- A my tam też pójdziemy?

-Tak.

Kiedy mamusia przyjedzie na dłużej.

Wyciśnij sok z cytrynki na rybkę.

360 Sebastian patrzy na sardynkę z tak jawnym szacunkiem, jakby mu było żal ją jeść.

Rozczuła to Annę, ale równocześnie przypomina, co zaszło wczoraj wieczorem i cała radość przepada, pozostaje tylko smutek i żal.

- Jedz prędzej - mówi.

-Bo muszę cię zawieźć do przedszkola, a potem mam mnóstwo spraw do załatwienia.

- Jakich?

-pyta Sebastian.

- Różnych.

Inieprzyjemnych, Sebastianku!

-Oczywiście, musisz zacząć działać, dokądś pójść, z kimś porozmawiać.

Z rodzicami albo ze stryjem Alfredem, może.

-właściwie, dlaczego bynie?

- z prezesem sądu.

Szymon w końcu musi się liczyć z opinią.

Nie, nie zrobi tego, na pewno tego nie zrobi!

Nie powie nikomu o tym, co ją wczoraj spotkało, załatwi to sama z sobą, choćby ponosząc klęskę.

Mimo głodu nie ma apetytu, choć parówkimuszą być świetne, skoro Sebastian pochłania je, zachwycony nawet musztardą, której mu odrobinę nałożyła na talerzyk.

- To jest męskie śniadanie?

-upewni się, długo oblizując usta po jedzeniu.

- Tak, Sebastianku, to jest prawdziwe męskie śniadanie.

-Powiem Klemensowi!

Jak tylko przyjdę do przedszkola, zaraz mu powiem, co jadłem!

- Weź dla niego pomarańczę i banana.

Sebastian jest olśniony.

- Mogę wziąć największe?

-Ależ tak.

Mycie, ubieranie - wszystko to odbywa się błyskawicznie, w przyspieszeniu, którego używa każdej czynności Sebastian, nadzieja na zachwyconą minę tak niespodziewanie obdarowanego Klemensa.

Już się gotowi do wyjścia, już zmiernają do drzwi, gdy Anna zawraca do telefonu.

Nakreca numer sądu i - na szczęście - bez pośrednictwa pani Wisi udaje jej się połączyć z Szymonem.

- Tu Anna - mówi.

-Chciałam cię zapytać, czy nie zmieniłeś zadania?

- Nie.

-W głosie Szymona brak najmniejszej wątpliwości.

Anna wyobraża sobie ten głos odczytujący wyroki i okrutne ich uzasadnienia.

-I nie żal ci, że krzywdzisz Sebastiana?

I...mnie?

361.-Nie.

Są raczej ważniejsze niż sentymenty.

Anna odkłada słuchawkę, chwilę przedtem wydawało jej się, że Szymon krzyknął coś do niej, że chciał ją zatrzymać (powstrzymać - przed czym?)

Jeszcze niczego nie postanowiła.

) - ale to na pewno było złudzenie.

-Idziemy!

- mówi do Sebastiana, mocno ujmując go za rękę.

W przedszkolu nie ma jeszcze Klemensa, stają więc na progu, czekając, aż nadejdzie mama.

-Ona pracuje jakiejś pani Róży - mówi Sebastian.

- U Róży Luksemburg.

-Skąd wiesz?

Przecież ci nie mówiłem?

- Bo jest tylko jedna taka sławna Róża w Warszawie.

-Mama Klemensowa z nim przyjdzie, bo ona nie może się spóźnić do tej pani Róży.

Zarazby jej coś obcięli.

Nie wiem co.

- Pewnie premię?

-Skąd wiesz?

- pyta znów Sebastian.

Pani Klemensowa rzeczywiście już nadchodzi.

Jest młodą kobietą o przyjemnej powierzchowności, maszerując, otwartą twarzą, jasne, o pogodnym spojrzeniu oczu.

Samakobiecość - myśli Anna.

I nagle zaczyna jej coś świtać w głowie.

-Cześć!

- mówi Zdzisio Klemens do Sebastiana.

-Co to?

-woła radośnie widok triumfalnie wręczanej mupomarańczy i banana.

- To dla mnie?

-Dłaciebie!

- potwierdza Anna.

-Och, po cóż to było.

- protestuje niezbyt stanowczo matka Zdzisia.

-Sebastianeksam by zjadł.

- Ma swoją porcję w domu.

-Daj!

- Klemensowa odbiera synowi owoce i chowa do torby.

-Zjesz, jak wrócisz z przedszkola.

Dla wszystkich dzieci bynie starczyło, a patrzyłyby, jak byś jadał.

- A pani już wróciła?

-zwracając się do Anny.

- Przyjechałam na krótko.

Proszę pani - Anna uznaje, że myśl, która jej przed chwilą wpadła do głowy, jest prawdziwym natchnieniem.

- Mam ogromną prośbę.

Proszę się nie dziwić, że tak nagle.

i dopierośmy się poznały.

ale jak panią zobaczyłam, wzbudza pani od razu zaufanie.

i Sebastian tak przyjaźni się ze Zdzisiem, wciąż o nim w domu opowiada.

Klemensowa patrzy zdumiona.

362- Mam ogromną prośbę!

- powtarza Anna.

-Ja muszę jeszcze trochę popracować w Paryżu, mąż bardzo zajęty, są kłopoty z odbieraniem Sebastiana z przedszkola i pomyślałam sobie, że u pani- gdyby się pani na to zgodziła - miałby bardzo dobrze.

Oczywiście za pełną odpłatnością.

- Anna nie daje przyjąć do słowa coraz bardziej zdumionej kobiecie.

-A płacić mogę tak zwaną walutą wymienną, dwadzieścia dolarów miesięcznie.

- Dwadzieścia dolarów.

-powtarza Klemensowa zupełnie oszołomiona.

-Niech będzie dwadzieścia pięć.

- (Boże!

-myśli Anna.

- Ile musiałabym zapłacić za taką stancję dla Sebastiana w Paryżu!

)-Kupi pani coś dla Zdzisia w Pewexie, a ja będę taka wdzięczna, taka wdzięczna.

-Zaskoczyłam pani.

- Bo dopiero, jak panią zobaczyłam, wpadłam naten pomysł.

Amieszkanie.

- Anna dopiero teraz zastanawia się nad tym -mają państwo przyzwyczajenie?

-Chybatac - mięknie Klemensowa.

- Nie narzekam.

Dwa pokoje z kuchnią łazienką, a nas tylko dwa, no i Zdzisiek.

Mąż pracuje na Żeraniu.

- Świetnie!

-Nie wiadomo dlaczego, fakt ten tak bardzo cieszy Annę.

-A pani u Róży Luksemburg, Sebastian mi to właśnie powiedział.

I wiem, że nie może się pani spóźnić, więc proszę mi powiedzieć - zgadza się pani?

-Mężowi powinienam powiedzieć.

-Chyba pani rządzi w domu - uśmiecha się Anna (tak jak ja!

- myśli z goryczą).

-No, nibytak.

- Proszę więc brać pieniądze.

-Anna wciska nieprzekonanemu do końca kobiecie dolary, bojąc się, że by nie dostrzegła, ile jest błagań w jej oczach.

-A o trzeciej czekam tu na panią, z taksówką i rzeczami Sebastiana.

Czy pościel będzie potrzebna?

- Kołderka by się przydała.

Poduszkę mam.

- Zabiorę kołderkę.

No, Sebastian!

- Anna całuje syna, a serce przestaje jej bić w piersi, zatrzymane żalem, niepewnością i strachem, bo nie wiadomo przecież, co zrobi Szymon, co zrobi ten jej Paragraf, kiedy wróciwszy do domu.

-No, Sebastian!

powtarza z udaną, ze świetnie zagrana niefrasobliwością.

- Ucałuj Zdzisia.

363. Nie będziesz teraz musiał się nim rozstawać, będziesz mieszkał u niego.

Cieszysz się?

- Tak - odpowiada Sebastian, nie bardzo wiedząc, co to znaczy.

-Tylko proszę - Anna zwraca się do Klemensowej - żeby się pani nie rozmyśliła.

Bardzo by mi się komplikowało życie, bojeszcie dziś muszę wrócić do Paryża.

- No, ja - jak raz coś powiem.

- Dziękuję!

Bardzo dziękuję!

I niech pani.

- Anna niespodziewanie chwyciła Klemensową w objęcia - niech pani okaże trochę serdeczności Sebastianowi.

Niech pani będzie jak matka.

- Ależ niech pani nie płacze.

- Nie, ja tylko tak - z radości, że panią spotkałam.

Na lotnisku, w oczekiwaniu na samolot, Anna usiłuje uporządkować myśli.

Czuje się jak po bitwie, a najgorsze jest to, że nie ma pewności, czy ją wygrała.

Przez kilka godzin porządkowała, a nawet prała i suszyła żelazkiem rzeczy Sebastiana; to, co przywiozła z Paryża, umieściła w kartonach, żeby także zawieźć do Klemensów; walizka była jej potrzebna, zapakowała do niej swoje letnie rzeczy.

Potem napisała krótki list do Szymona, informując, gdzie może znaleźć Sebastiana, jeśli chce go odwiedzić.

Zwiozła wszystko windą do dozorcówki Fijałkowskiego, poprosiła go o sprowadzenie taksówki.

- Już pani odjeżdża?

- dziwił się.

- Miała pani być dwa dni?

- Telefonowano z Paryża i muszę wracać już dziś.

- Ano, jak mus, to mus.

Mieszkanie Klemensów okazało się rzeczywiście całkiem przyzwoite.

Na trzecim piętrze, słoneczne, z dużym placem dla dzieci przed blokiem.

Sebastian miał spać na wersalce w pokoju, w którym sypiał mały Klemens.

- Będziemy się walić Jaśkami - zawołał.

- Ani się waż!

- skarciła go, niezbyt surowo.

- I w ogóle nie przysparzaj pani żadnych kłopotów, żeby mama się nie martwiła i mogła spokojnie pracować w Paryżu.

Sebastian tak był olśniony zmianą warunków, a przede wszystkim obecnością swego Klemensa, który natychmiast, bardzo ważny w roli gospodarza, zaczął go oprowadzać po mieszkaniu, tak był tym zachwycony, że nie zapytał nawet matki, kiedy wróci.

Ucałował ją, jakby rozstawał się z nim na godzinę, zato długo trzymał w objęciach Klemensową.

Kobieta wyczuła, co się z nią dzieje.

- Niech się pani nie martwi - powiedziała, odprowadzając ją do drzwi.

- Będzie muty dobrze.

Na lotnisku, na szczęście, okazało się, że jest wolne

miejsce w popołudniowym samolocie do Paryża i że może je wykupić, rezygnując z rezerwacji na dzień następny.

Zjadła obiad w restauracji na górze, mając trochę czasu do odlotu, decyduje się - żeby nie jakoś ułatwić wszystkie nieprzyjemne sprawy w Warszawie - natelefon do Wojtaszki Tarły.

- Tu Hanka!

- mówi dość niepewnie.

Nie odzywał się przez chwilę, a potem pyta, choć na pewno rozpoznał jej głos: - Jaka Hanka?

- Hanka Turoń.

Jestem w Warszawie.

Przyleciałam wczoraj w sprawach rodzinnych, ale już dziś wracam.

Dzwonię z lotniska.

Musiałam zadzwonić, bo.

- No, słucham - niezbyt uprzejmie przynagła jej niezręcznym wyznaniem Wojtaszek - słucham.

- Nie gniewasz się chyba na mnie?

- Nie, dlaczego?

- W głosie Wojtaszka brzmi doskonałe udane obojętność.

- Dlaczego miałbym się na ciebie gniewać?

Ewka jest znakomita w tej roli.

- Zaangażowałaś Ewkę?

- Mówię ci, że jest znakomita!

Tereszkiewicz szaleje z szczęścia.

- Wyobrażam sobie.

Choć z trudem, bo mój mąż nigdy nie szalał z powodu moich sukcesów.

- Może ich nie miałaś?

- O, dodiabła!

Wojtaszku!

Jesteś bardzo niegrzeczny.

A to oznacza, że mi jednak nie przebaczyłeś.

- Ależ skąd!

Naprawdę nie gniewam się na ciebie.

- No to się cieszę - mówi Anna bez przekonania.

- A w domu jak?

Wszyscy zdrowi?

- Tak.

Dziękuję.

A u ciebie?

- Także.

Jak wrócę, umówimy się na wódkę.

- Jeśli będę miał czas.

365.- Słuchaj, Wojtaszek, nie bądź taki nadęty.

Wczoraj idzisz i miałam cholernie przykredni.

Przynajmniej więc ty spraw, żeby mi się życie trochę rozpogodziło.

- Dobrze, niech ci się rozpogodzi.

Naprawdę nie gniewam się na ciebie.

Ale myślałem, że jak kręcisz drugi film w Paryżu, topławisz się w szczęściu.

- Ujmujesz trochę prymitywnie.

- Przepraszam.

A na wódkę pójdziemy.

Zgoda.

Zadzwoń domnie, jak wrócisz.

- Zadzwonię!

Uff! Przynajmniej to się udało, Anna z ulgą odkłada słuchawkę.

Marzy, żeby się przespać w samolocie.

I udaje jej się to tak skutecznie, że stewardesa musi ją budzić, żeby zapięła pasy przed lądowaniem w Paryżu.

- Już z powrotem?

- wołana jej widok madame Pivette.

- Miała pani przyjechać jutro.

- Zadzwoniono po mnie.

-Oj, ta praca!

- wzdycha madame.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Anna rzuca się natapczanibardzo musi panować nad sobą, żeby się nierozpłakać.

Wyjeżdżając wczoraj do Warszawy, nie przeczuwała, że wróci zuczuciem zupełnejklęski.

Musi zadzwonić zaraz do Soldmera, żeby się nie fatygował i nie wyjeżdżał po nią na lotnisko.

Ale czy tylkodlatęgochce do niego dzwonić?

Przez cały czas w Warszawiestarała się postępować tak, jakby nie było go na świecie.

Żeby fakt, że jednak istnieje, nie miał żadnego wpływu na jej decyzje.

Ale teraz może się już przyznać do ulgi, jaką odczuwa na myśl, że zaraz usłyszy jego głos, a może nawet wkrótce go zobaczy.

Zrywa się z tapczanu, podbiega do telefonu, ledwie opanowujedrzenie ręki, nakręcając numer.

- Słucham - odzywa się prawienatychmiast Soldmer.

Majowy wieczór nakłania do spacerów, ale on jest, jest, jest w domu.

- Tu Anna.

Dobry wieczór!

Przyjechałam już dzisiaj, więc dzwonię, że jestem.

Żeby się panie fatygował jutro na lotnisko.

- Cieszę się, że pani już jest.

Jak Sebastian zniósł lot?

Anna przez chwilę oddycha głośno słuchawkę.

- Sebastian ze mną nie przyleciał.

- Ależ dlaczego?

Co się stało?

366- Musiał zostać w Warszawie.

- Anna krztusi się tymi słowami, choć bardzo pragnie, żeby zabrzmiały całkiem zwyczajnie.

- Co się stało?

- powtarza Soldmer.

Idodaje: - Zaraz tam będę.

Zaraz!

Czy chce pani, żeby przyszedł?

- Tak - mówi Anna.

- Tak!

- woła.

- Tak!

I wychodzi przed drzwi swego pokoju, żeby patrzeć na schody, bo wie, że jeśli ten człowiek mówi: zaraz, naprawdę oznacza to zaraz, pośpiech i natychmiastowość w przybywaniu na ratunek.

Poznaje warkot samochodu Marcela, odgłos, jaki wydają zatraskiwane drzwiczki jego wozu, a potem gwałtowne otwarcie i zamknięcie drzwi nadole, pośpieszne kroki w górę po schodach, zanim ukaże się on sam biegnący ku niej.

- Och, dziękuję - szepcze Anna.

- Dziękuję, że pan przyszedł.

Nieważne jest, że prawdopodobnie madame Pivette przechyliła się przez schody i patrzy, że z każdych drzwi pokoi napiętrzem może akurat ktoś wyjść, obejmują się ciasno istoją w milczeniu, tak bardzo sobie potrzebni, jakby odnaleźli się po długim błędzeniu wśród nie przeznaczonych dla nich ludzi.

Mogliby to zrobić w pokoju, ale niecierpliwość jest zbyt wielka, całując się już tutaj, pośpiesznie przywierając wargami do swoich włosów, oczu, ust.

- Och, dziękuję!

-powtarza Anna, nie zdając sobie sprawy z tego, że niepowinna aż tak obnażać swego strachu przed samotnością.

-Dziękuję.

- Cicho.

cicho.

- szepcze Marcel.

-Naprawimy ten twój świat, skoro się zepsuł.

- Wprowadza Annę wreszcie do pokoju, zamyka drzwi.

Nie pozwalając opowiadać o tym, co zaszło w Warszawie, od razu rozumie, co się stało.

I jest w tym rozumieniu szacunek dla Szymona, ale Anna nie potrafi tego pojąć, nie potrafi zastanowić się nad tym, bo to ona teraz zaczyna całować mężczyznę, który wciąż trzyma ją w ramionach, zaczyna całować gwałtownie i niepoohamowanie, aż jego ogarnia ten płomień, zsuwa bluzkę z ramion Anny, obnaża jej piersi, kryje ich twarzą.

Stałoby się to, czego obydwój się bali, gdyby Marcel, uniósłszy głowę, niespojrzał nagle w szeroko otwarte oczy Anny.

Nieruchomieje, ciężko i głęboko oddycha, ale jednak uśmiecha się leciutko.

- Kochanie!

-mówi.

-Żaden mężczyzna nie może być dumny z tego, gdy kobieta oddaje mu się z rozpaczy.

Zrobimy to 367.

innym razem, kiedy będziesz mnie kochała.

A teraz wstań, ubierz się pięknie i pójdziemy gdzieś potańczyć.

A jutro mamy dla siebie całe przedpołudnie.

Jestem prawie gotów z montażem filmu, nie muszę już tyle godzin siedzieć w wytwórni.

Pojedziemy do Paryża do ośrodka sportowego, popływamy, pobiegamy, zagramy w tenisa.

Anna przytomnie powoli.

-A ja?

-pyta cicho.

- Ty będziesz na to patrzeć.

Ita już mi wystarczy za całe moje jutrzejsze szczęście.

XXV Zaraz, gdy opuszczają lotnisko, zaczynają atakować ich napływające zewsząd, wyłaniające się jakby z mgły, ogromne portrety Anny.

Pojawia się niekiedy obok nich twarz jej filmowego partnera, cały Paryż oklejony jest afiszami, reklamującymi film, na którego premierę przybyli.

- To mama?

-pyta Sebastian, olśniony i ani trochę zmęczony podróżą.

-Wszędzie mama?

- Tak, wszędzie mama!

-odpowiada mu, potępiając siebie za brak radości, jaką odczuwał dziecko.

- Producent musiał wydać kolosalną fortunę na reklamę - zauważa stryj Alfred.

-Prawdopodobnie.

- Słuchaj, Szymon - mruczy stryj półgłosem i niezbyt wyraźnie, żeby Sebastian nie zrozumiał, o czym mówią - jeśli masz zamiar być w dalszym ciągu tak napięty jak stare szelki, to chyba naprawdę niepotrzebnie tu przyjechaliśmy.

Bierz przykład ze swego syna.

Ciesz się wszystkim, na co patrzy.

W końcu ty także poraz pierwszy jesteś w Paryżu.

-Nie - odpowiada bez ożywienia.

- Byłem tu już kiedyś.

-Nic nie mówiłeś.



Kiedy?

- Dawno.

Zdałem akurat na drugi rok studiów.

Jakiś krewny ojca zaprosił nas obydwu namiesiąc do Paryża.

Tamten miesiąc zaczyna być nagle wyraźniej szy niż ten paryski dzień, który zaczął się po opuszczeniu samolotu na gwałtownym lotnisku, a miał być zamknięty bielą ekranu w przepełnionej premierową publicznością sali.

Znikły osaczające go wsząd afisze ogromną twarzą Anny, przestały patrzeć na niego z każdej strony jej oczy.

Był dziewiętnastoletnim chłopcem i miał przed sobą samą radość poznawania nowych piękności świata, nie kochał jeszcze żadnej kobiety i nie wiedział, że można cierpieć - tak bardzo!

-z tego powodu.

Co za szczęście - nie kochać!

Nie kochać nikogo.

- Itutaj mama!

- woła Sebastian.

- Jeszcze większa!

Cały fronton kina przy Polach Elizejskich, w którym ma odbyć się premiera, pokryty jest wizerunkiem aktorów, występujących w filmie.

Przed wejściem tłum, ledwie przeciskają się do środka.

- To moja mama!

- mówi Sebastian do jakiegoś pana w smokingu, bo i ściany w westybulu kina pokryte są afiszami.

Oczywiście wszyscy mężczyźni są w smokingach, a kobiety w wieczorowych toaletach, stryj miał rację, nie można się tu było pokazać w zwykłym garniturze.

Na szczęście Sebastian nie wyrósł jeszcze ze swego aksamitnego ubranka i prezentuje się w nim bardzo uroczyście.

Trzyma przed sobą niezwykle ostrożnie, a równocześnie w sposób zwracający ogólną uwagę, wiązanek storczyków, które mawręczyć matce, gdy ta ukaże się po wyświetleniu filmu.

Wie o tym i jeszcze raz obwieszcza, dotykając sukni jakiejś pani: - Tę wszystkie obrazki to moja mama!

- Uspokój się!

- ucisz go szarpnięciem rękę.

- Czego chcesz od niego?

- protestuje od razu stryj Alfred.

- Przynajmniej syn jest dumny z Anny.

Już ci raz powiedziałem - bierz go za przykład.

Na szczęście film szybko usypia Sebastiana.

Uciska się i nieruchomieje rozłożony w wygodnym fotelu i trzeba mu odebrać wiązanek kwiatów, żeby nie upuścił jej na ziemię.

Może i jej także chce się spać.

Nie potrafi się skupić i nie odbiera filmu z należytą uwagą.

Jakby mgła przesłoniła mu ekran, a zamiast słów wypowiedzianych przez Annę słyszy głos owego krewnego, który przed laty zaprosił go z ojcem do Paryża: - To jest najnowszy film z Brigitte Bardot, "Pogarda".

Grająca tu odmiesiaca.

- Szymon kocha się w Brigitte Bardot, mówi ojciec.

369. I nie wiadomo, czy zrywające się nagle oklaski nagradzają film Godarda czy Souldiviera, ale przed zasuniętą na ekran kurtynę zaczynają wychodzić jacyś ludzie i nie ma wśród nich

Bardotki, a jest Anna, jest Anna wśród tylu mężczyzn, więc to jednak jest film Söldiviera, film Söldiviera!

Który to jest?

Chciałbygo wreszcie zobaczyć, na pewno stoi obok Anny, oczywiście - ktośby stał tak blisko niej?

Z jednej strony matego gładkiego młodzika, który widnieje obok niej na wszystkich afiszach, a z drugiej może być tylko on, dlaczego nie udaje mi się dostrzec jej twarzy, dlaczego jakby w ogóle nie udaje mi się go dostrzec, a tylko widzę, na pewno wie, że on tam jest przynajmniej, promieniejącej, jeszcze piękniejszej niż zawsze, oklaskiwanej, podziwianej, i już sławnej.

Oklaski nie milkną, na proscenium wchodzi pierwsze osoby kwiatami, żeby złożyć gratulacje aktorom i realizatorom filmu, stryj stara się rozbudzić Sebastiana, kochany stryj, jak to dobrze, że jest tutaj, choć właściwie.

bardziej by mu się przydał w tej chwili Duży Bogdanek, nienaganny wprowadzić w rolę woźnego sadowego, ale pamiętający chyba jeszcze, jak rusza się na przeciwnika, jak daje mi się nauczkę raz na całe życie, żeby już nigdy nie odważył się odbierać drugiemu człowieka radości, jaką on miał w życiu.

całej prawdziwej radości, jaką miał.

- Idziemy!

- przynagła stryj.

Wsadził już rączkę Sebastianowi, obciągnął na nim wygniecione ubranko.

Tyle osób się tam bierze, że nie dopchamy się do Anny.

- O, kurwa!

- mówi Sebastian.

Jaki tłok!

Stryjoczywiście się śmieje.

Dopychają się jednak jakoś nacięciem i nikim nie zwraca na nich uwagi (stryj, kiedy namawiał go na uszy z smokingu, wciąż powtarzał: zbaraniej, Francuzi, jak zobacz dwóch takich facetów, jak my), absolutnie nikt nie zwraca na nich uwagi, w tłumie, w którym prawie wszyscy się znają, jest się w najdotkliwszym na świecie sposobie nikim, właściwie dostają się na proscenium głównie dzięki Sebastianowi, bo dziecko jest jednak czymś niezwykle w tej hałaśliwej zgrai, można by ją rozepchnąć jednym napięciem ramienia, a jeszcze gdyby Duży Bogdanek.

gdyby Duży Bogdanek był tu razem z nim.

ale przed Sebastianem, właśnie dlatego, że jest taki mały, rozstępują się wszyscy i Anna wreszcie go dostrzega!

Powinna się ucieszyć spontanicznie i nieteatralnie, ale ona już widzi błyskające flesze, już - uchem wyczulonym "Hate" dźwięk łowi terkot kamery.

Nagimi, wspaniałymi ramionami podnosi Sebastiana do góry, pokazuje go wszystkim, trzymając go w ramionach, dopóki nie milkną oklaski, które stają się cicha-?

; słabsze, gdy do Anny Turon podchodzi dwóch mężczyzn, starszy (teflwciąż piękny stryjcio) całuje ją w obydwa policzki i odbiera o piej Sebastiana, a ten młodszy nie patrzy wcale na mężczyznę, który stoi obok niej, choć mógłbygo sobie wreszcie teraz dobrze obejrzeć - nie patrzy na niego, tylko chwytając ją nagle za rękę, wyciąga, wyrzywa, wyszarpuje spośród otaczających ją osób. Przepycha się wraz z nią przez długą, długą, długą salę (Boże, ona chyba nigdy się nie skończy!

)- ku wyjściu.

Nikt ich nie goni, może za raptownie się to stało, a może po prostu wszyscy uznali, że miał prawo to zrobić, że miał prawo zabrać ją stamtąd - dla siebie.

On nic nie mówi, wciąż "icni?"

mówi, przerażona, a może także i zachwycona tym, co się stało - "och, gdyby tak było!  
Anno, bądź, bądź zachwyconym, ^ zwiłem, odebrałem cię tamtym ludziom, a temu jednemu  
Przedewszystkim, niechmu wystarczytaśmaceluloidowa z tobą i ^ afrsze, którychnadrukował  
miliony -ja będę miał cię żywą!

W szeregu aut przed kinem jest taksówka - cud prawda<sup>2</sup>^vy!

^wsiadają od razu, a on woła:- Do najbliższego hotelu!

Itu trzeba pokonać niekończącą się przestrzeń, biegną be<sup>t</sup>chu od drzwi do oddalającej się  
wciąż recepcji, ale na szczęście nikt się nie dziwi ich wieczorowym strojom i brakowi  
bagaży, w Paryżu nikt się niczemu nie dziwi, mówił krewny, który zaprosił ich razem z  
ojcem na cały dzień, cudowny miesiąc w tym moście, a więc nikt w recepcji nie  
miał zaskoczonej miny, gdy pokosie pokójna jedną noc, trzymając zarękę kobietę, której  
zdjęciem oklejałybyłtego dnia cały Paryż.

-Jak powoli wznosi się ^indana to szóste piętro i jak długi jest korytarz, jak daleko są  
drzwi, i doktórych kluczek mocno, aż do bólu ściska w dłoni.

Po Kojm czerwony dywan, ostro najego tle odcina się biała suknia-Anny, ale zaraz ją  
zniejzdejmie, wyposażona jest - jak wszystkie suknie, które noszą aktorki- w zamek  
błyskawiczny z tyłu, zrrójdujego, choć ręce musie trząsą, pociąga go do dołu i suknia  
padarazem z bielizną, białym obłokiem układa się u stóp Anny.

a on 371.

klęka i całuje je, coraz wyżej i wyżej przesuwając usta, całuje kolana i uda, i to miejsce,  
jeszcze nimi szczelnie zamknięte, ale on umiał je otwierać, i ma nadzieję, że i teraz.  
i teraz także.

Otwierało się zawsze, gdy kładł stężale usta na jej ustach, a ona przyjmowała jego wapliwą  
chwytnością warg, gdy przygniatał ją sobą tej wspaniałej męskiej pewności, żenie  
uciążliwy, niemęczący, ale cudowny i zachwycający jest dla niej ten ciężar, otwierało się samo,  
z własnego radosnego pragnienia, pośpiesznie i gwałtownie - furtkarozkoszy i triumfu,  
która przetracał zawsze w najwyższym uniesieniu, ale teraz.

teraz czyni to zbyt brutalnie, nie możesz opanować, ma zasobą tyle dni oczekiwania, ona  
musi to zrozumieć, ona pewno to rozumie i może nawet pragnie, żeby  
był brutalny, niepohamowany, zapamiętała w szaleństwie zwycięskiego posiadania, ona na  
pewno to rozumie i przejmuje w swoje usta jego jęk, jego krzyk, który jest także jej jękiem i  
krzykiem.

Jakiś mot, uderzenie, pukanie do drzwi - jest już chyba rano, skąd się wie, że jest już rano,  
kiedy w pokoju jeszcze ciemno i tylko jasną plamą odcinasie na podłodze wsunięta przez  
szparę pod drzwiami gazeta?

Biegnie boso przez czerwony dywan, który mimo ciemności ma swoją jaskrawą barwę, podnosi  
gazetę.

- To na pewno pierwsze recenzje - szepcze Anna, a w nim zaczyna się już budzić żal, że ona  
zaraz - po tej nocy - wraca w życie, z którego ją wyrwał, budzi się w nim żal, ale trwa krótko,  
ponieważ na pierwszej stronie gazety ogromnymi literami napisano tylko o niej.  
nie tylko o niej!

- ale i o nim!

"Porwanie polskiej aktorki z kina na Polach Elizejskich popremierze filmu z jej udziałem" -  
tytuł.

- Ależ to świetna reklama!

- wykrzykuje Anna, i miałaby ochotę uderzyć ją za to.

Czyta jednak dalej: "Jakiś młody człowiek w świetnie uszytym smokingu, firmy H.

Wieczorkiewicz, Warszawa (mógłbyś nie przyjść na konferencję u ministra, ale nie na  
przymiarce, którą wyznaczył pan Wieczorkiewicz) wdarł się na proscenium i uprowadził  
Annę Turoń na oczach całej tłumnie zgromadzonej publiczności.

"Co dalej?

Niewie, co dalej (może idziennikarz, piszący testowa nie wiedział), jużnie dowie się, co dalej, bo ów dźwięk, tołomotanie do drzwi, czygdzieśw głębi domu, odzywa sięznowuidopiero po długiej chwiliSzymon uzmysławia sobie, że to wyta372piacz Wieczorek z górnego piętra po razdruginaciskatajfunw swojej łazience.

Jest więc naprawdę ranek, nie ten paryski, rozświetlony tylkojaskrawączerwienią dywanuibiela gazetę, którą podniósłz podłogiprzeddrzwiaini, ale prawdziwiesłoneczny, zwalczający odrazu mrok snu, narzucający oczom swoją rzeczywistość.

Annyniemaobok na tapczanie, jest puste, chłodne miejsce, bardzo dużopustego, chłodnego miejsca, zbyt długo to trwa, stąd wziął się tensen, iz wszystkich wczorajszych myśli, z bolesnejdecyzji, którąpowziął, przekładając ważność procesu Bednarskiego ponad premierę filmuAnny, która właśnie wczoraj odbyła się w Paryżu.

Wstał, otrzeźwiłsięzimnym prysznicem (o, był mupotrzebny!

) i przełknąwszy tylko kawałek przedwczorajszejzeschniętejbułki, popitej nieosłodzoną herbata - wychodzi z domu.

Poprzedniego dnia postanowił, że przed udaniem się do sądu pojedzie najpierwdo przedszkola, żebyzobaczyćSebastiana, którego Klemensowa przyprowadzała wraz ze swoim Zdzisiem już o wpół doósmej- teraz jednakrezygnuje z tego zamiaru, decyduje się zabraćgo do domu popołudniu.

Chce jeszczeprzed rozprawą przejrzeć aktaBednarskiego, musi wciąż sam siebie przekonywaćo ważności jego procesu, skoroprzez niegoi dla niego niepojechałdo Paryża, choćpowinien.

powinien tam być, nietrzebabyło życzliwych przekonywań stryja Anny, żeby to zrozumiał. Sprzedałnawet samochód, żeby mieć pieniądze.

Nie może sięjednak skupić, choć tak wymownie zamknął drzwi przed podążającąjuż za nim panią Wisią, iż zrozumiała chyba, że nie należy muprzeszkadzać - nie możesz się skupić także podczasrozprawy, zkażdego jej szczegółuwysnuwając sprawiające muból dygresje, przyczynki do jego własnej - przed jakim trybunałem?

- toczącej się sprawy.

Tetwarze, na które patrzyłod tylu lat!

Które miałpod powiekami i wchwilach wypoczynku, nawet gdyzapadał w sen!

Too nich powinien był napisać pracę doktorską, anie o stosunkuWoltera do kary śmierci; stracił już chęć do tego tematu, choć stryjAnny starał się usilnie - w najmniej chyba odpowiednim momencie - mu jąprzywrócić.

Oczy!

U jednych wyrażające tylko strach(anie zawsze przecież musiał być przyznaniem się do winy, niekiedy - i jakże często - był brakiem wiary w tych, którzy mieliją373.

orzec), u drugich rozświetlone wyrazem niewinności, utrzymywanymcałą siłą woli, takślabą w innym momencie życia.

Ale byłyteż oczyzmyte wstydem, który miał ich już nigdy nie opuścić; polatach kary będą jeszcze - spłoszonei rozbiegane- unikać ludzkiego spojrzenia.

I okropne w swej posępnej płomienności oczytych, którzy dokonawszy tej rzeczynajgorszej, bylibysklonni popełnić ją po raz drugi, po raz trzeci, czwarty, dziesiąty, ponieważnie nasycili się jeszcze zemstą, nie uwolnili się od jej pragnienia.

Cobyło w oczachtego człowieka, który od kilku dni siedziałna ławie oskarżonych?

Zdumienie!

Zdumienie sobąatak porażające, że izolowało good tego, co działo się na sali.

Nieważne było, co inni o nim myśleli i mówili, co mu zarzucali, istotnebyło to, co on samsobie zarzucał, co on sam o sobie myślał.

Sprawił wrażenie, jakby nie widział sędziów i ławników, prokuratora, publiczności na sali; miał na oczach kurtynę nie opuszczającego zdumienia, że to się stało, że to było możliwe, aby on.

spokojny człowiek.

Od kilkunastu minut przemawia obrońca.

Młody, o twarzy rozjaśnionej wiarą, że wykształcone w zderzeniu z okrucieństwem współczesności moralne interpretacje powinny wzbogacić i wesprzeć przepisy kodeksu karnego - zżarliwością dowodzi swoich racji.

Przekonanie, że musi je gdzieś przedłożyć, nie tylko dla obrony swego klienta, zmusza Szymona do uwagi.

- Panująca w wielu rodzinach atmosfera nie tylko pobłażania dla wszelkiego rodzaju kombinacji, stwarzających i podnoszących dobrobyt, nie tylko pobłażania, ale wręcz nakłaniania i zmuszania do nich - jest nagminną deprawacją naszego społeczeństwa. Zrodzona niekiedy ze zbyt niskich zarobków i niejako nimi - choć nie w sensie prawnym - usprawiedliwiona, przemienia się stopniowo w nie posiadający hamulców nawyk zdobywania pieniędzy per fas et nefas, dla wciąż wzrastających, wygórowanych potrzeb.

Oskarżony żył w takiej rodzinie.

Miał takich rodziców, a później i taką żonę.

Poddawany był bezustannej presji ich wymagań.

Jak miliony dzieci w naszym kraju, słyszał od najwcześniejszych lat: masz być tym a tym!

Magistrem inżynierem, dyrektorem, docentem!

Nie usłyszał nigdy: masz być porządnym człowiekiem.

Mówiono mu: musisz mieć to czy tamto.

dom, samochód.

Nikt mu nigdy nie powiedział: musisz mieć czyste czoło.

Ale są natury, które nie dadzą się zdeprawować do końca.

I do nich należy oskarżony.

Narastający latami bunt doprowadził do wybuchu.

Szymon zapisuje w swoim notatniku: Nie tylko motywacją czynu - ważna jest imusibę tubrana pod uwagę motywacja całego życia.

Motywacja całego życia!

- napisał raz jeszcze, dodając wykrzyknik.

Todla tego człowieka, dla tego Zenona Bednarskiego, którego od czterech dni miał przed oczyma na sali sądowej, przedtem przez tydzień wyobrażał go sobie, czytając akta jego sprawy, dla tego niepozornego osobnika owciami zdumionych oczach zrezygnował z czegoś, co tak wiele mogło znaczyć w jego życiu.

Może w istocie zezgoła innego powodu nie pojechał ze stryjem Zakrzewskim do Paryża? Nie chciał, nie pozwalał sobie zastanawiać nad tym.

Jedynie oczywiste było dla niego w tej chwili to, że Bednarski stwarzał mu uczucie jakiejś pociechy, nie wydawało mu się wcale śmieszne, że sędzia oczekiwał jej od oskarżonego.

Wyrok, jaki miał nadzieję dla niego uzyskać, tak bardzo odbiegający od prokuratorskich żądań, usprawiedliwiał jego nieobecność w Paryżu.

W końcu - tak powiedział stryjowi, zanim ten rzucił słuchawkę - nie może być dla mnie sprawą obojętną, ile lat jakiś człowiek spędzi w więzieniu.

- Dąsas się na Annę, odpowiedział stryj, że nie zadzwoniła i nie zaprosiła cię na premierę, otco! Że zrobiła to za moim pośrednictwem.

Nie wiedziała, jak byś przyjął jej telefon.

Na pewno sam doszedł do wniosku, że nie zgadzając się, aby zabrała nalato Sebastiana na Lazurowe Wybrzeże, zachowała się jak ostatnia histeryk!

- Całarozmowa była nieprzyjemna, ale to ostatnie zdanie chyba kończyło serdeczne stosunki z Zakrzewskim.

Powinien był mu powiedzieć, że przy odrobinie ambicji, którą jeszcze zachował w swoim pożyciu małżeńskim, jego pojawienie się w Paryżu byłoby co najmniej dziwne.

Ale ilu mężczyzn zachowuje ambicję, kochając kobietę?

I pragnąc ją odzyskać.

Czy on już stracił Annę?

Do diabła, nie pojechał walczyć o nią, ponieważ ten niefortunnie z ławy oskarżonych go potrzebował - tak!

potrzebo.

wał go, to była prawda, wierzył w nią i nie powinien go nic obchodzić znów zamówione i znów odwołane przez stryja bilety do Paryża i smoking wiszący w szafie.

Adwokat skończył mówić i porządkował teraz notatki, wsuwając do teczek.

Szymon nie rozgrzeszyłby się łatwo z braku uwagi podczas końcowych partii jego wystąpienia, gdyby nie przekonanie, że wyrobił już sobie wcześniej dostatecznie jasną poglądą sprawę.

Miał nadzieję, że kolegasędzi, siedzący obok niego, i ławnicy byli tego samego zdania.

A gdyby było inaczej, to potrafiłby przekonać.

Choć może tak całkiem pewne to nie było, skoro prokurator po wystąpieniu obrońcy zmógł ani odrobinę, nie zgadzał się z nim w najmniejszym procencie, przeciwnie, cały jego wywód wydawał mu się wręcz śmieszny.

- Cóż ten człowiek nabredził?

- mówi Klimontowicz do Szymona podczas krótkiej przerwy na papierosa, zarządzanej przed udaniem się sądu na naradę.

- W końcu istnieje jakaś granica stosowanej wobec sądu, a głównie wobec ławników, demagogii.

Bonie sądzę, że byście ty Władekiej ulegli.

W jego wystąpieniu ten Bednarski jawił się jako jakiś socjalistyczny święty!

Nie jako niedoszły morderca, który rzucił się nożem na matkę, ojca i żonę, ale jako władnięty społecznymi ideałami człowiek, który sam jeden miał odwagę przeciwstawić się stosowanym powszechnie w peerelu niecznym praktykom.

- A nie są nieczne?

- Są.

Ale może nie aż tak powszechne, jak on uważa.

- I to ty mówisz?

- No więc niech będzie, że są prawie powszechne - przynajmniej w zamiarach.

Trochę jednak przeszkadzamy, tym osobnikom kombinującym od rana do nocy, co by wyszarpnąć z społecznego mienia.

Ale żeby nie zgodę na te praktyki, objawioną - musisz przyznać - dość późno, uznać za usprawiedliwienie niedokonanego, na szczęście, morderstwa.

- Działał w afekcie.

- Co ty mówisz?

Szymon!

Chyba nie twierdzisz tego poważnie?

Jak można mówić o afekcie, kiedy facet dziabie nożem pokolei matkę, tatusia i żonę?

- Ale nie można też mówić o niedokonanym morderstwie.

Nie miał tego zamiaru.

Nie było usiłowania zabójstwa.

Objawił się ten sposób tylko bunt przeciwko rodzinnej presji, której nie chciał się już dłużej poddawać.

-Dobrze to ująłeś:nie chciałeś już dłużej poddawać.

Ale był czas, że się poddawał!

Wiesz, co zrobię?

Ja przepepenetruję jego przeszłość.

Prześledzę te lata, w których nie buntował się przeciwko rodzinnej presji.

- Daj że spokój!

-No, skoro ty występujesz z działaniem w afekcie.

Szymon zerka na zegarek, żeby mieć pretekst zakończenia tej rozmowy.

Ale wieczorem, kiedy pisze uzasadnienie wyroku (Sebastian bawi się cichutko swoimi dawno nie widzianymi zabawkami), sprawa Bednarskiego nabiera coraz szerszych znaczeń.

Czy świat - a przynajmniej jego część - nie oszalał na punkcie posiadania?

O ileż mniej rzeczy miał dawniej człowiek, o ileż mniej musiało mieć!

Te aspiracje do posiadania, aspiracje do karier, któreby je umożliwiały, były jeszcze jednym rodzajem przymusu, pod którym działał, pod którym żył współczesny człowiek.

Telefon odzywa się w momencie, kiedy Szymon zaczyna formułować w uzasadnieniu wyroku ten właśnie nie jednostkowy, ale ogólny aspekt sprawy.

- Kto to może być?

-myśli, nie zamierzając podnieść słuchawki.

Na pewno Kłimontowicz!

Niech sobie wyobraża, że go nie ma w domu, że pojechał na basen, w końcu dzień jest upalny i kto go właściwie zmusza, żeby cały swój czas poświęcał sądowym sprawom.

Zresztą, akurat z nim nie chce rozmawiać.

Wymknął mu się po ogłoszeniu wyroku, przyjaźń przyjaźnią.

Telefonniemiłknie - to na pewno on, ależ jest uparty!

Łatwo sobie wyobrazić, co by od niego usłyszał, gdyby jednak zdecydował się na przyjęcie tej rozmowy.

- Telefon!

-woła Sebastian, podbiegając do aparatu.

-Dlaczego nie odbierasz?

- Pracuję.

Nie chcę z nikim rozmawiać.

-Toja będziesz rozmawiał!

- Sebastian podnosi słuchawkę, przykładając ją do ucha, oczy robią mu się okrągłe i ogromne.

Paryż!

-krzyczy.

Szymon jednym skokiem jest przy aparacie, wrywa słuchawkę z rąk Sebastiana.

- Jestem!

-woła.

-Jestem w domu!

- Cieszę się - odpowiada głos stryja Alfreda, tak bliski i wyraźny, jakby rozmawiali w tym pokoju.

- Pomyślałem, że miło ci będzie, jeśli zaraz nazajutrz dowiesz się, jakim sukcesem okazała się wczorajsza premiera.

Był na niej cały filmowy Paryż.

Rola Anny znakomita!

Ukazały się już dziś pierwsze recenzje, wprawdzie w popołudniówkach, ale dziennikarze popołudniówek są najbardziej spontaniczni w wyrażaniu swoich wrażeń i to oni narzucają swój gust szerokiej publiczności.

Halo!

Słyszysz mnie?

- Tak.

Dziękuję, że stryj zadzwonił.

- Musiałem.

Wprawdzie nasza ostatnia rozmowa telefonicznie należała do najprzyjemniejszych w moim życiu, i w twoim chyba także, ale wybaczyłem ci, bo sam się ukarałem dostatecznie.

Dużo straciłeś, Szymon.

Powinieneś być tutaj wczorajszego dnia.

- Powiedziałem przecież stryjowi i prosiłem, żeby stryj przekazał to Annie.

- Już tylko do tego nie wracaj.

Po premierze odbył się przyjęcie, wydane przez producenta, zostałem także zaproszony, jakiegoś Anny.

Było wspaniale!

Żałuję tylko, że nie udało mi się poznać Soldiviera, zaraz po projekcji filmu poleciał do Stanów, wezwany telegramem przez żonę, która tam pracuje.

- Czy chcesz rozmawiać z Anną?

- Czy chcę rozmawiać.

O, Boże!

Jest tam ze stryjem?

- Oczywiście, że jest.

Oddaję jej słuchawkę.

- Halo, Szymon!

- Głos Anny nie brzmi tak blisko i milknie od razu, a może ona po prostu nie wie, co powiedzieć.

- Kochanie!

Wybacz mi!

- Wybuchają Szymon.

- Ale to wszystko dlatego, że nie mogę dać sobie rady z sobą.

Nie mogę dać sobie rady.

- Wiem - mówi Anna cicho.

- Może za bardzo cię kocham; nie powinienem ci o tym mówić.

- Ależ wiem - mówi znowu Anna.

- Tak bardzo chciałem być wczoraj z tobą, ale bałem się.

- Wszystko rozumiem.

- Ja chcę rozmawiać z mamą!

- wrzeszczy Sebastian.

- Sebastian jest w domu?

Odebrałeś go od Klemensów?

- Nie.

Ale od czasu do czasu przywożę go do domu, żeby był ze mną.

- Mama!

- Sebastian wrywa ojcu słuchawkę.

- Słyszysz mnie?

- Słyszę.

Mój skarbie!

Zdrowy jesteś?

Nic cię nie boli?

- Nie.

- A pani Klemensowa jest dobra dla ciebie?

- Tak.



Mama Klemensa jest fajna!

Zawsze wieczorem Jsstw domu.

- Całuję cię, Sebastian!

-odzywa sięponagłym zamilknięciuAnny głos stryja.

-Oddaj słuchawkę tatusiowi.

Szymon!

Musimyjuż kończyć!

Bądź w sobotę po południu w domu!

Z Sebastianem!

Będę miał może dla was niespodziankę.

Do widzenia!

Całujemywas obydwu.

- Ja także całuję.

Przez całeopołudniew sobotę nie ruszę sięz domu.

Do widzenia!

Dziękuję!

Dziękuję za telefon!

Zupełnieoszolomiony odkłada słuchawkę irzucasię natapczan, żeby jesczeraż przeżyć całą rozmowę.

- Już koniec?

-Sebastian układa się obokniego, przytulającgłowędo piersiojca.

-Już koniec!

- powtarza z żalem.

-Ale pewnie w sobotę dostaniesz całą walizkę samychpysznych rzeczy.

-Najpyszniejsze będęmógł zabraćdla Klemensa?

- Wszystko tam zabierzesz.

-Nie!

- zamyślasię Sebastian.

Idodaje niespodziewanie: -Te całkiem najpyszniejszezostawiętobie.

Już w piątek wieczorem obydwuapokoje,kuchnia, łazienkai przedpokój lśnią nienagannączystością.

Wprawdzie stryj Zakrzewski znakomicie czuje się w bałaganie, ale chyba tylko u siebie w domu, uznając ten bałagan za twórczy isprzyjający pracy.

W sobotę Szymonodbiera Sebastiana z przedszkolai umawia sięzKlemensową, że odwiezie go w niedzielę wraz zparyskimi łakociami.

-Rozpsuje mi się ten mój Zdzisiekprzy Sebastianku - śmi<sup>^</sup>esię kobieta.

- Rozpsuje się, jak będzie jadł banany?

-dopytuje sięodrazuSebastian.

- To ja chcę się rozpsuć!

-oświadczapoważnie mały IClemens.

-Bardzo chcę się rozpsuć!

- Ja też!

-wtóruje muSebastian.

- Tylko, żebyś się od razu nie dopytywał, co jestw walizce-mówi mu Szymon, gdy sajużw domu i zbliża się pora, kiedy nalotnisku lada chwila wyląduje paryski samolot.

-Jasię nigdy niedopytuje, cojestw walizce- z godnościąodpowiada Sebastian.

Przez cały czas stara siębyć blisko przedpokoju, a na głos zatrzymującej sięwindy podbiega dodrzwii nasłuchuje.

- Pewnie stryj nie złapał taksówki - mówi Szymon, gdytooczekiwanie bardzosię przedłuża, a Sebastianwyrażnie się nimzmęczył.

-Usiądź,napij się soczku.

- Nie, nie!

-Sebastiana nie można niczym nakłonić do opuszczenia przedpokoju,zwłaszcza że winda znówzatrzymała się na chpiętrze, słycać jakieś glosy, zbliżające się kroki.

Ale dlaczegonieodzywasię dzwonek.

dlaczego nie odzywa się dzwonek.

choć ktoś stanął na wycieraczce, ktoś napewno stanął na wycieraczce!

- Tatusiu!

-woła Sebastian.

Obydwaj teraz słyszą wyraźnie szcękotwieranego zamka,obydwaj z biciem sercawpatrują się w drzwi, któreotwierają sięcicho, a na progu ukazuje się - Anna.

Uśmiechniętystryj Alfredzatrzymał się za nią zwalizkami i czekana efekt swojej niespodzianki.

- Stęskniłam się za wami - mówi Anna.

Wchodzi do mieszkania, klucz odswegodomu, który ma zawszeprzysobie, chowado torebki.

- Bardzo się za wami stęskniłam!

-Kochanie!

- szepcze Szymon, obezwładniony szczęściem.

-Mama?

- najpierw pyta zniedowierzaniem, a potem samsobiepotwierdza swoją radość Sebastian.

-Mama!

Stryj wnosiwalizki do przedpokoju,nie przestaje sięuśmiechać, choćjuż zmierza do drzwi.

- Ja uciekam.

Za dużo nas tu, jak na tak małe mieszkanie.

A oni stojąnaprzeciwkosiebie, jeszcze nie połączeni uściskiem, jeszcze nie mający na to odwagi, choć Sebastian usiłujeswoimzwycajemobjąć oboje zakolana i śmieje się, i mruczy,i szepcze cośdo siebie w radosnym zachwycie.

XXVIPrzed wyjazdem do Stanów,trzymając jeszcze w palcach teleoram od

Isabelle,Soldivierpowiedział:- Chce pewnie,żebym coś robił w Hollywood.

Alejanie chcenic robićw Hollywood - tamtejsiproducenci za bardzosię dowszystkiego wtrącają, a Balk pozostawia mi wolną rękę.

Poza tymna co ona terazliczy, po tak długim rozstaniu?

"Musisz przyjechać" - w dniu premiery wysłać mężowi taki telegram!

Aleja pojedę.

Zaraz!

Chcę z tym skończyćjak najprędzej.

- Niebędziesz na przyjęciu po premierze?

-zapytała zdoskonale zagranymspokojem, choć drżała,choć trzęsła sięcała od chwili, gdy pokazałjej telegram odIsabelle.

-Balk będzie zawiedziony.

- Przeproszęgo i zrozumie, choć bardzonie lubi, żebyzwiązani z nim ludzie mieli jakieśprywatne sprawy.

Wy wszyscy tegonie lubicie- pomyślała.

Aon dodał:- Przyjęcie na pewno się przeciągnie,a ja zamówiłem już biletnapierwszy samolot do Nowego Jorku.

Mogła wcześniej wysłaćten telegram, już by było po wszystkim.

- Wiedziała, żepracujesz.

Nie chciałzakłócać ci spokoju.

- Och, nie sądzę, żebyjeszcze terazsię z tym liczyła.

Jedli obiad w tej ulubionej restauracji Seldiviera, której właściciel sam się nim zajmował, nie odstępując przyjemności obsłużenia go żadnemu z kelnerów.

Dzień- mimo tego telegramu od Isabelle - był na tyle uroczysty, żeby uczcić go odpowiednim menu.

Na zakąskę gospodarz lokalu zaproponował langustę.

Nieprzełknę ani kęsa- myślała - nawet najmniejszego kęsa.

- Dziękuję!

- Ostroniła swój talerz dłoń, gdy Marcel chciał jej nałożyć majonezu, i powiedziała nagle cicho, ale bardzo wyraźnie: - Ja nie zrobię nic przeciwko Isabelle.

Wybuchnął: - Ależ to ona sama wszystko przeciwko sobie zrobiła!

- Nie wiem- powiedziała jeszcze ciszej.

- Czego nie wiesz?

Uważasz więc, że to w porządku wyzywać mnie teraz telegraficznie, kiedy przez tak długi czas nie odpowiadałam na żaden list, na żadną depeszę, nie przyjęła ani jednego telegramu?

Co ja w końcu mogłam sobie o tym myśleć?

- Nie wiem - powtórzyła.

- Jedz!

i nie myśl o swoim udziale w tej sprawie.

On tylko sprawia, że jest miżej.

Powiedziała jeszcze raz, skandując to zdanie, jakby było łacińskim wierszem: - Proszę - nie mogę zrobić nic przeciwko Isabelle!

- I nic nie robisz!

Myśl tylko o tym, że nie istniejesz w całej tej sprawie.

Nie istniejesz!

Postąpiłbym tak samo, gdyby cię tu nie było.

Może tylko.

byłbym w rozpacz.

- Ale może właśnie to, że nie jesteś w rozpacz, ułatwi ci.

Położył dłoń na jej ręce, jak to często zwykł czynić, ale nie była to pieszczota, ledwo powstrzymała się od krzyku, gdy zacisnął palce na jej palcach.

- Już ani słowa!

Nie jestem młokosem, żeby się nie orientował w swoich uczuciach.

Odsunął także swój talerz, a zaniepokojony właściciel biegł już ku ich stolikowi.

- Co się stało?

Niesmakuje?

Taka świeżutka langusta!

- Jest cudowna!

- odpowiedział Marcel.

- Ale obydwójniemamy apetytu.

To trema!

Wieczorem jest premiera naszego filmu.

- Rozumiem- powiedział z ukłonem restaurator.

- Przyślę panu bilet.

Jak tylko wrócę ze Stanów.

Bo jutro wyjeżdżam, ale nie zabawię tam długo.

Nie zabawię tam długo - powtórzył.

Czekała na niego każdego dnia.

Wszystkie godziny po powrocie z wytwórni (Ferrie pracował ostro, chcąc zakończyć zdjęcie przed terminem), a potem po teatrze, nie opuszczając swego pokoju w pensjonacie madame Pivette.

Czekała, wcale nie pragnąc, żeby prędko wrócił; i taki mógł być rodzaj czekania, wypełnionego strachem przed chwilą, w której będzie musiała być odważniejsza niż jak najmniej godziwa, tego właśnie wymagała od siebie.

Niewiedziała, jak mu powie, że przez półtora dnia - nie zwalając ani zdjęć, ani występu w teatrze - była w Warszawie, jak mu powie, że postanowiła.

Wiele myślała - potymnieudanym przedpremierowym obiedzie, i podczas projekcji filmu, i na przyjęciu, które wydał Balk; podziwiana, chwalona, już sławna - czuła się na nim jak zbity psiak, który nigdzie niemał naprawdę swojej budy.

I rzuciła się stryjowi na szyję, kiedy o świcie wyszli z dusznej sali, a stryj powiedział: Jedziemy do Warszawy, Haneczko!

- Wciąż nie jesteś przekonana, że wiosennym deszczem, który odświeżyłby twoje życie?

- spytał Serge Satie; przyszedł do jej garderoby przed rozpoczęciem spektaklu, i jak zwykle, chciał ją pocałować.

- Nie, nie nabrałam jeszcze tego przekonania.

Ale wiosenny deszcz, uczucie wiosennego deszczu przeżyłam. wczoraj.

- Co ty mówisz - z kim?

Gdzie?

- Byłam w domu.

W Warszawie.

- Też pomysł!

- Cudowny!

Odprowadziło mnię lotnisko dwóch panów, z których jeden ma cztery lata, ale jest to mężczyzna, z którym najbardziej mi do twarzy.

Kiedy już się z nim pożegnałam i szłam do okienka odprawy paszportowej, obejrzałam się jeszcze, a on zaczął biec do mnie, z rozpostartymi ramionami zaczął biec domnie i wtedy - spadł, wtedy lunął ten wiosenny deszcz, odświeżający, ratujący od posuchy, od wyschnięcia mojego życia.

Serge, jest wiele odmian radości w życiu.

- Nie jestem aż tak gruboskórny, żeby o tym nie wiedzieć.

Aleszkoda mi, że nie będziesz miał czego wspominać na starość.

- Już ci powiedziałam - jeszcze w zimie, kiedy wyszliśmy od Soldmerów i odprowadziłeś mnie do pensjonatu - powiedziałam ci wtedy, że do końca życia będę żałowała, że nie przespałam się z tobą.

No więc będę wspominać ten żal.

Czy to nie będzie piękne?

- A jednak wariatka z ciebie.

- Nie chciałam, żebyś tak o mnie myślał.

- Przepraszam.

Soldier odżywa się dopiero po tygodniu.

Dzwoni z lotniska zaraz po przylocie.

Anna wróciła akurat z teatru, otworzyła telewizor i patrząc w ekran jadła przygotowane przez madame Pivette kanapki.

Jest to spokojna, szczęśliwa chwila, w której zapomina o sobie, oddalwszy od siebie wszelkie udreki i niepokoje.

I właśnie wtedy - telefon!

- Jestem na lotnisku, przed chwilą przyleciałem - mówi Marcel.

- Muszę zaraz zobaczyć się z tobą.

- Ja też - odpowiada Anna cicho.

-Gdzie?

383.- Wszystko jedno.

Może u mnie?

W każdym razie gdzieś, gdzie będzie można spokojnie popłakać.

-Popłakać - powtarza Marcel rażony, ale nie zdumiony tym słowem, choć może jednak chwilę się nad nim zastanawia.

- Dobrze - mówi w końcu.

-Przyjeżdżam do ciebie.

Powiadomiona o wizycie madame Pivette przygotowuje półmisek zimnych mięs, przynosi nagórę termos z herbatą.

Jest powrotem w recepcji, kiedy wchodzi Soldivier, kiedy - nawet jej nie pozdrowiwszy - zostawia przy ladzie swoją małą walizkę (z taką walizką - ze Stanów?

) i pomalu udaje się na górę.

Madame Veronique, gdyby się go niespodziewała, nie poznałaby go pewnie - zrywa się ze swojego stołka, nie wie, czy powinna krzyknąć, czy pobic do Anny, wyprzedzając go na schodach; nic dobrego nie może wyniknąć, gdy mężczyzna z takim wyrazem twarzy przychodzi do kobiety, gdy o tak późnej porze odważa się na wizytę, mając w oczach rozpacz zamiast pragnienia.

I z Anną także Marcel się niewita, jakby w ogóle się nie rozstawali, jakby przez cały czas byli razem.

Siada ciężko przy stole, spleta przed sobą dłonie, zaciska je tak, aż bieleją kostki palców.

Anna dopada telewizora, wyłącza fonię, siada naprzeciwko, nalewa szklanek herbaty, przybliża półmisek z mięsem, który on zaraz odsuwa od siebie.

- Anno!

-mówi, spuszczać głowę, żeby ukryć łzy, które nagle zasnuwają mu oczy.

-Anno!

Ona umiera!

Annie jest w stanie nic powiedzieć.

Filizanka w Antibes!

Popielniczka w Paryżu!

Dom, który Isabelle miałaby ochotę podpalić, gdyby Niemieśkali w nim inni ludzie!

- Posądzam ją o nie wiadomo co, a ona umiera!

Anna okrąży stół, kładzie obydwie dłonie na głowie mężczyzny, kryje je gotową swoich piersiach.

- Powiedz!

Powiedz wszystko!

- Zaczęło się to jakoś przed trzema laty, w rok po rozpoczęciu przez Isabelle pracy w Hollywood.

Okazało się, że musi poddać się trepanacji czaszki.

Guz był jednak całkiem łagodny, profesor, który przeprowadził operację, wręcz go zlekceważył.

Isabelle szybko powróciła do zdrowia.

Ale nie chciała już opuszczać Hollywood, jak mi to teraz, dopiero teraz powiedziała - pragnęła być wciąż w kontakcie z profesorem, w pobliżu jego kliniki.

I, niestety, objawy się powtórzyły.

Najpierw mogły okazać się złudzeniem, potem stały się coraz wyraźniejsze.

To dlatego nie przyjechała na premierę "Cyda".

Już nie mogę, napisała w telegramie, a teraz.

teraz.

Anna mocniej przyciska do siebie głowę Soldiviera.

- Jest w klinice?

-Tak, jest już w klinice.

Jak długo dołała, ukrywała to przede mną.

Chciała, żebym mógł spokojnie pracować, żebym wyreżyserował sztukę, skończył film.

Jak mogłem.

jak mogłem myśleć, że znalazła sobie kochankę?

Tak mało brakowało, a zniszczyłbym jej dobre wspomnienie o mnie, które ona - Anno!

Przecież trzeba w to wierzyć!

- zabierze stąd z sobą.

-Nie zniszczyliśmy niczego - mówi Annacicho.

Teraz on obejmuje ją ramionami, stojąc przy nim trzymaw ciałem, rozpaczliwym uścisku.

- Muszę przenieść się do Hollywood.

Chcę być przez cały czas przy niej, nie wiem, jak długo to potrwa.

- Anno, wybacz mi!

Zakłóciłem twój spokój.

Anna odchyła jego głowę, dotyka palcami policzków, wymizerowanych policzków, ust.

- W bardzo piękny sposób zakłóciłeś mój spokój i nie mam ci czego wybacząć.

-Nie powiem mu - myśli - że byłam w Warszawie, że to ja - wcześniej - postanowiłam żyć, nie niszcząc niczego.

Niech nie wie; może to rozczarowanie, ten smutek wydałby mi się błahy, przy tym, co przeżywa, ale niech nim nie wie, nie należy dodawać komuś smutków, choćby najmniejszych.

- Nie mam ci czego wybacząć - powtarza.

Przez ekran telewizora przechodzący ludzie transparentami, krzycząco albo śpiewają, ustami szeroko otwarte, ręce wzniesione w geście protestu.

- Z podzielonego, skłóconego świata - mówi Soldivier - wybieramy to, co najbardziej czyni nas ludźmi.

A potem uwalnia Annę z uścisku i jednym haustem wypija swoją herbatę.

Milczy długo, a kiedy znów się odzywa, wydaje się już spokojny i opanowany.

- Dzwoniłem z Hollywood do Balka.

Recenzje są znakomite!

- Tak.

Anna także stara się o zwykłe brzmienie głosu.

- Nawet się nie spodziewałam, że będą aż takie.

385.- A ja miałem tę nadzieję.

Szczególnie te wszystkie pochlebne oceny twojej roli są jak najbardziej słuszne.

Wiedziałem, że ani publiczność, ani krytyka nie pozostaną obojętne na los małej

Polki, walczącej o wolność ich kraju.

Do ludzi zajmujących się zawodowo oceną sztuki najtrudniej docierawzruszenie, a jednak w odniesieniu do tego filmu recenzenci się nie oparli.

Gratuluję ci, Anno!

- Gratulacje należą się przede wszystkim tobie!

-Dziękuję.

Może za jakiś czas.

gdy to wszystko minie.

potrafię cieszyć się tym filmem.

Zabieram kopię do Hollywood.

Będę się starał go wyświetlić, żeby Isabelle mogła go zobaczyć.

- Och, tak!

Jaka szkoda, że nie dowiem się, co o nim powie.

- Napiszę do ciebie.

-Soldiviercałuje rękę Anny ipozostawiająw swojej dłoni.

-Zostajemy przecież przyjaciółmi.

Wprawdzieprzyjaźń iszacunek to bardzo zacne, aleraczej smutne uczucia, alemy potrafimy tchnąć w nienowe treści.

- Rozmawiałem o tobiez Balkiem.

Będzie miał dla ciebie nowe propozycje.

- Wiem.

Zaprosił mnie na rozmowę wśródę z samego rana.

- Ja zrobię cijoszczę wcześniejpobudkę.

Bo właśnie wśródęwyjeżdżam.

Pojedziesz ze mną na lotnisko?

- Jeśli tego pragniesz.

Ijeśli uważasz, że powinniśmy.

- Tak,proszę!

Bądź gotowa o szóstej rano.

Annaoprowadza Soldiviera na dół i tak, jak się nie witali, taksię i nie żegnają pod czujnym okiem madame Pivette, która podajereżyserowi walizkę, a on wreszcie ją zauważa, ściska jej dłońi mówi zprawdziwą serdecznością,jakiejsię po nim nigdy niespodziewała:- Dziękujępani, że Annie byłou pani dobrze.

Wśródę rano witaichw głównymwejściu do halilotniczegodworcana Orły- Robert Presson.

Skąd się dowiedział?

A jednaksię dowiedział!

Stoi uśmiechnięty - z aparatem fotograficznym napiersi, z notesem wręce.

Soldivier zasłania dłońią twarz.

-Nie, nie!

Żadnych zdjęć!

Żadnychwywiadów!

- Ale leci pan do Hollywood!

-Prywatnie!

Ściśle prywatnie!

I wzywają mnie okoliczności,które nie wymagają reklamy.

Wprost przeciwnie.

Bardzopanaproszę.

386Anna odciąga na bok Pressona.

- Niechpan nienalega.

Później panu wszystko wytłumaczę.

- Pani nie leci razemz nim?

-Skądże znowu?

Wracamdo Paryża.

- Podwiozę panią.

Będę czekał tu, przygłównym wejściu.

- Coza natręt!

-parska Soldivier, gdy Annastaje przynimw kolejce do okienka kontroli paszportowej.

Ale kolejka szybko-za szybko - posuwa sięnaprzód,więc wyprowadza z niej Annęi staje z niąznów na końcu.

Niezwracając uwagina otaczającychich ludzi- może i Presson obserwuje ich zdaleka?

- obydwie dłońi unosi ku sobie jejtwarz, tę twarz, przedktórej urokiemdługo się bronił, i patrzy na niąz bliskawbolesnym zapamiętaniu.

-Uważaj na siebie- mówi.

- O mójBoże!

Uważaj na siebie!

Nie jesteś tak samodzielna, jak ci się wydaje.

- Jestem.

Czasem mam tylko chwile załamania.

A Isabelle.

Isabelle powiedz, że zaczęłam ją kochać już na lotnisku w Nicei, kiedy mnie zapytała, jak dostanę się do Cannes.

Myśl o Isabelle jest ratunkiem, kiedy on odejmuje rękę od jej twarzy, odwraca się i odchodzi, i tylko wśród tłumu widać jego jasną głowę, głowę człowieka, który tak pięknie zakłócił jej spokój.

Presson czeka w umówionym miejscu.

Obawiając się, że zacznie zaraz wypytywać ją o Soldiviera, Anna sama atakuje: - Skąd pan wiedział, że Soldivier odlatuje dziś do Hollywood?

Presson śmieje się.

- Mam swój wywiad w biurze Francisa Balka.

- Ale informacja nie była zbyt rzetelna.

- Coto znaczy?

- Bo myślał pan, że on leci, żeby.

No, nic - wie panco?

Jest bardzo wcześnie.

O ósmej ma przyjechać po mnie samochód producenta, zaprosił mnie na rozmowę.

Przedtem zdążymy coś zjeść.

Zapraszam pana na śniadanie do mego pensjonatu, wreszcie mam okazję rewanżu.

To wprowadzenie "Carlton", ale jedzenie również świetne.

- Dziękuję.

Cieszę się, że porozmawiamy.

Czytała pani moją recenzję z filmu?

- Oczywiście.

Chciałam nawet do pana dzwonić, ale zaraz nazajutrz leciałam do Warszawy.

Bardzo wysoko mnie pan ocenił w tej recenzji.

387.- Jak najszczerzej.

A poza tym jest pani w pewnym sensie moim odkryciem.

- Odkryciem?

- Bo przecież to właśnie ja wyłowiłam panią tysiąca aktorek, które przybyły do Cannes.

Wywiad z panią był pierwszym wywiadem.

- Ale dotyczył głównie Soldiviera.

Inie zrobiłby pan zemnątego wywiadu, gdybym poprzedniego dnia nie wkroczyła do Pałacu Festiwalowego u jego boku.

- Anna śmieje się.

Już teraz możesz śmiać.

Ze wszystkiego.

Nie chce zresztą urazić Pressona, madla niego wiele sympatii.

On to czuje, bo także się śmieje, przyznając się do wszystkiego, comu zarzuciła.

Jadą przez paryski poranek, nabierający już pomalurozpuć dnia; im bliżej centrum, tym ciaśniej robi się na jezdni, Presson musi skupić całą uwagę na prowadzeniu wozu, ale jednak znajduje odpowiednią chwilę, żeby powiedzieć: - Mimo to przywiązałam się do pani, a nie do niego.

- Po cóż wobec tego zerwał się pan o świcie, żeby zobaczyć, jak on odlatuje do Hollywood?

- Zawód!

Jak u Antonioniego: "Zawód - reporter".



Madame Pivette, poinformowana, że śniadanie jej pensjonacie ma być rewanżem za śniadanie canneńskim "Carltonie", staje na wysokości zadania.

Dopiero co jednego odprowadził analfabeta, a już zjawia się drugim!

- myśli.

- Ciekawe, gdzie go znalazła tak o świcie?

- Ale mimo tej dezaprobaty kawajest znakomita, śmietanka świeżutka, bułeczki chrupią w zębach, a omelet z szynką pachnie daleka, już gdy się go wynoszą z kuchni, zapowiedzią kulinarnego szczęścia.

Presson jest głodny i miło patrzeć, jak mu to wszystko smakuje.

Ale choć tak bardzo pochłonięty jedzeniem, nie zapomina jednak, co go szóstej raną pognało na Orły.

- I pani mi także nie powie, pociągiem czy samochodem poleciał do Hollywood?

Obiecała pani wytłumaczyć jego zachowanie.

Anna zamyśla się.

- Powiem panu.

Ale to naprawdę nie jest nic do gazety.

Pojechał na wezwanie żony.

- Czy kobiety tak piękne, jak Isabelle Pasreger, muszą mieć mężów przy sobie?

Pytanie postawione jest tak lekkim tonem, że Anna z trudem zdobywa się na odpowiedź.

- Ona tak.

Bo to są ostatnie jej dni.

Naszczyście przed pensjonat zajeżdża właśnie samochód państwa i nie ma, nie może być dalszego ciągu tej rozmowy.

Anna odbiera róże, o których i tym razem nie zapomniał producent.

a trzeci przysłał jej kwiaty i samochód, myśli nie bez podniecającego podziwu madame Pivette), żegna się z Pressonem, obiecuje mu wywiad, ale dopiero w grudniu, czego on niemożę zrozumieć, i zawodowo gotowa do dotrzymywania ustalonych terminów, wsiada do wozu, gdy tylko kierowca zaczyna spoglądać na zegarek.

Iznów ulice, które już tak dobrze zna, kawałek życia, obrysowany jej spojrzeniem i przeniesiony na kliszę pamięci.

Bardzo bała się pokochać to miasto, bo oznaczałoby to zdradę tego drugiego, ale tak się nie stało.

Mogła kochać i jedno, i drugie.

Och! Czy i ludzi nie można było kochać tak samo.

Balk przystępuje od razu do sedna sprawy.

- Reżyser Ferrie kończy za tydzień zdjęcia do swego filmu.

Pracował wspaniale, materiał, który już mi pokazał, jest bardzo interesujący, cieszę się, że postawiłem na tego chłopaka.

On i Jajesteśmy bardzo zadowoleni z pani roli.

Tamała gangsterka i gwiazda kabaretu - są tak różne.

Macie znakomite szkoły aktorskie w tej waszej Polsce.

- O, tak!

Na pewno!

- z satysfakcją potwierdza Anna.

- Miło mi to stwierdzić.

I w jakimś wywiadzie specjalnie to podkreślę.

No, więc.

film jest prawie skończony, czeka go oczywiście jeszcze montaż, ale to już pani nie interesuje.

Przed sezonem letnim następuje też zawieszenie przedstawień "Cyda".

Rozmawiałem z dyrektorem teatru, przewiduje wznowienie "Cyda" najwcześniej w grudniu.

Ma na początek sezonu dwie premiery dopiero po wygraniu tych przedstawień.

- Wiem, że "Cyd" wchodzi znów na afisz dopiero w grudniu.

I w grudniu przywożę z sobą moją nauczycielkę francuskiego 'madame Valentine, żeby zobaczyła ten spektakl.

- Ale ja chcę panią widzieć u nas wcześniej!

Wcześniej niż w grudniu.

Udało mi się zdobyć scenariusz, który na pewno będzie pani odpowiadał.

Może pani zaraz się z nim zapoznać - dodaje 389.

Balk pośpiesznie, przypominając sobie poprzednią rozmowę z Anną.

- Jest rewelacyjny, jestem pewien, że będzie pani tego samego zdania.

Kameralna historia o dużym napięciu dramatycznym, łatwa i szybka w realizacji, uzależniona głównie od perfekcyjnego aktorstwa.

- Kto będzie reżyserował?

- A tego jeszcze nie zdecydowałem.

Odbyłem kilka rozmów.

- Reżyser może nie widzieć mnie w tej roli.

Balk odsuwa się nieco od biurka i opiera całą szerokość swoich potężnych pleców o oparcie fotela.

- Nie wiem, jak jest w naszym kraju, gdzie producentem jest państwo, ale u nas reżyserzy z producentami się liczą.

Zresztą ufają mi, wiedzą, że mam nosa.

Wywindowałem wysoko niejedną aktorkę, wprawdzie ostatnio pomagał mi w tym Marcel i Isabelle.

Mój Boże, jakie to straszne!

Nie mogę myśleć, że ona.

- Bardzo proszę, nie mówmy o Isabelle!

- Tak.

Nie mówmy o niej.

- A więc zdjęcia mogłyby się zacząć - Balk przerzuca kartki swego ogromnego terminarza - już we wrześniu.

Ale i Anna spogląda w swój kalendarzyk wyjęty z torebki.

- We wrześniu gram w teatrze.

- Gdzie, na litość boską?

- W Warszawie.

Dyrektor mojego teatru chce wystawić specjalnie dla mnie - bo dotarły do Warszawy paryskie recenzje "Cyda" i z filmu - świetną, trzyosobową angielską sztukę, którą łatwo i szybko da się przygotować.

Wystarczy najwyżej dziesięć prób w sierpniu.

Poza tym.

- Co poza tym?

- Balk oderwał już plecy od oparcia fotela i pochylony nad biurkiem nie zdejmując oczu z twarzy Anny.

- Poza tym równocześnie wystąpię w filmie telewizyjnym.

- Dziewczyno!

Kiedyż pani zdążyła to wszystko załatwić?

- Byłam półtora dnia w Warszawie.

Amówiłam panu, że czytają tam paryskie gazety.

- Mogła pani najpierw rozpatrzyć propozycje, które dla pani wpłynęły za moim pośrednictwem.

- Nic pan nie mówił.

- To jasne, że najpierw chciałem pozyskać panią dla siebie w najbardziej odpowiadającym mi terminie.

Ma pani zaproszenie 390 z Węgier i poważnej wytwórni angielskiej.

Ale pani sprawy zaczynają się dopiero rozkręcać.

Pojutrze robię pokaz dla kilkunastu dystrybutorów.

Film wejdzie na ekrany europejskie, a także, mam nadzieję, i amerykańskie, choć to nie jest łatwe.

Jak można było już teraz załadować sobie kalendarz zobowiązaniami, które pętają pani ręce i nie pozwolą na przyjęcie korzystniejszych propozycji.

- Coś panu powiem - Anna także pochyla się nad biurkiem, żeby być bliżej Balka, jego niezgodna jej racje, jego dyszące gozdumienia.

- Kiedy leciałem do Cannes w maju ubiegłego roku, w samolocie obok mnie siedział polski misjonarz.

Dużo rozmawialiśmy w czasie tego lotu.

Napisałam właśnie doniego kartkę - teraz, po powrocie z Warszawy.

Bo on mi powiedział takie zdanie.

i ja to zapamiętałam: "Nieraz dokonanie właściwego wyboru oznacza rezygnację z ponętnej, choć mniej dobrej, mniej pięknej alternatywy".

- To ja pani powiem coś o alternatywach, i niech to pani sobie zapamięta, stary Balk to pani mówi!

Misjonarzowi może marzy się niebo, i słusznie, ktoś w końcu do tego niebamusy iść, a pani ma całe życie przed sobą.

A więc - alternatywy istnieją nie tylko po to, żeby między nimi wybierać, ale także, żeby je mieć!

Doskonale poprawiają samopoczucie, jeszcze się pani o tym przekonaj.

- Może i pan ma rację.

Ale jest pewien drobiazg - ja mam dom, męża, dziecko.

Mam swój kraj.

- Od początku podejrzewałem, że to wpływ pani męża.

- Myli się pan.

Mąż nie sprzeciwia się moim występom zagranicą.

- Byle nie za częstym?

- A to już warunek mego syna.

- Jaki jest numer telefonu do pani męża?

- Chce pan do niego dzwonić?

Po co?

- Chyba mogę z nim porozmawiać?

- On jest w tej chwili w sądzie.

- A w sądzie nie ma telefonów?

- Są. Ale najprawdopodobniej mąż będzie w tej chwili na rozprawie i nie wywołają goz niej nawet do telefonu z Paryża.

- Niech pani poda numer telefonu.

Ja mam szczęście - nie będzie miał rozprawy.

- Nie zna francuskiego.

391. - Angielski?

- Zna, choć ma pewne trudności.

- Będę mówił wolno i wyraźnie.

- Dobrze - Anna w końcu zaczyna się śmiać.

Wyobraź sobie, że telefon Balka przyjmie pani Wisia i jak go swoim zwyczajem obetnie!

Podaje numer w przeświadczeniu, że do rozmowy niedojdzie.

Ale już po kilku minutach odzywa się telefon i sekretarka powiada: - Pan sędzia Turoń przy aparacie.

- Nowidzi pani!

- triumfuje Balk.

I zaczyna po angielsku, wolno i wyraźnie, jakby mówił do dziecka: - Pan sędzia Turoń?

Miło mi pana poznać, choć przez telefon.

Tu Francis Balk, producent filmów pana żony.

Ona tu przede mną siedzi - piękna, już sławna, ale zatrważająco naiwna.

Ja zresztą nie uważam tego za wadę, nie lubię sprytnych kobiet, spryt zawsze pozbawia wdzięku, ale wszystko, a więc i naiwność musi mieć swoje granice - a więc siedzi tu przede mną kiedy ja proponuję jej trzeci film, trzeci film w Paryżu!

ona pokazuje mi swój kalendarz zapchany jakimiś warszawskimi zobowiązaniami.

Dzwonię dlatego do pana.

- Pan wybaczy, ale ja się nie orientuję.

- zdumiony Szymon z trudnością, o co chodzi.

Klimontowicz powiadomił go właśnie z satysfakcją, że Sąd Najwyższy uchylił sprawę Bednarskiego do ponownego rozpoznania, i przysłuchuje się teraz z zdumieniem tej jakiejś niespodziewanej rozmowie z Paryżem, nieudolnie - tym bardziej że w pełnym zaskoczeniu - prowadzonej po angielsku.

- Niech mi pan pozwoli skończyć!

- krzyczy Balk.

- Żeby pana żona stała się tym, kim dzisiaj jest, żeby została odkryta dla międzynarodowego kina, musiało się porządnie napracować kilkadziesiąt osób.

Między innymi i ja!

i tego nie wolno zmarnować.

- Ja wiem, co panuje.

Ale musimy nauczyć się kochać ją - z jej sławą, jej powodzeniem, jej pieniędzmi w końcu.

Niektórzy mężowie to lubią, ale pan jest jakisdzinawak, panie sędzio - przepraszam, że to panu mówię.

- Zupełnie wiem, o co chodzi!

- Szymonowi dodatkowo utrudnia rozmowę obecność Klimontowicza.

Nawet i pani Wisiawchodzi do pokoju z pośpiesznie nalaną herbatą, zaintrygowana rozmową z Paryżem, z której nic nie może wynieść.

392- A więc powtarzam panu - krzyczy Balk.

- Proponuję panu trzeci film.

Moglibyśmy zacząć kręcić od września, ale ona mi mówi, że od września występuje w teatrze w Warszawie, a także, że będzie tam kręcić film dla telewizji.

- Pan wybaczy - jeszcze raz mówi Szymon - ja naprawdę nic o tym nie wiem i nie wpływam na decyzje mojej żony w jej sprawach zawodowych.

Do widzenia.

Mnie również było miło.

- Coto była za rozmowa?

- pyta Klimontowicz.

- Przepraszam, jeśli wolno wiedzieć.

I jeśli coś z niej zrozumiałeś, bo - niestety - twój angielski.

- Brakuje konwersacji.

Ale kiedy jest na nią czas?

Dzwonił producent filmów mojej żony, chciał zemną coś uzgodnić, ale nie miałem o tym pojęcia. No i co?

Jest ponowne rozpoznanie sprawy Bednarskiego!

- A co cię w tym tak cieszy?

- pyta zdumiony Klimontowicz.

- Bo może uda się faceta całkiem uniewinnić?

To by było coś dla prasy!

Wyobrażam sobie tytuł: Zbuntowałem się przeciwko rodzinie, bo nie chciałem więcej kraść!

Klimontowicz wstaje i bez słowa wychodzi, za nim wysuwają się pokój pani Wisia.

Szymon gwałtownym ruchem prostuje ramiona i zaczyna się śmiać, tak jak to czyni czasem Sebastian, sam ze sobą dzieląc swoją nagłą, nieposkromioną radością.

- Ależ on naprawdę niczym nie wie!

- krzyczy Anna, gdy Balk odkłada słuchawkę.

- Zepsuł mi pan całą niespodziankę.

- Pani mnietaż - sapie Balk.

- Myślałem, że się paniucieszy, kiedy zaproponuję panu trzeci film.

Nigdy jeszcze żadnej aktorce.

- Ależ ja się cieszę!

- Anna wyciąga rękę przez ogromne biurko i gładzi palcami tłuste dłonie producenta.

- Cenię sobie współpracę z panem, a poza tym.

potrzebuję pieniędzy, kupuję dom pod Warszawą, z ogrodem, pięknym ogrodem, po którym będzie biegał mój syn.

Cieszę się więc, z czego pan wywnioskował, że się nie cieszę?

Tylko termin, termin minie odpowiada.

Gdyby pan się zgodził.

gdyby można było zdjęcia rozpocząć w grudniu.

Balk milczy.

Wściekły jest na siebie, że dzwonił do Warszawy, mógł od razu zaproponować uzgodnienie terminu.

Sam wylansował tę smarkatą, a teraz zapomniał, kim ona już jest.

Mógłby 393.

oczywiście przestać ją lansować, niechby sobie jechała na Węgry albo popróbowowała szczęścia u Anglików.

Ale ona.

jeżudział w filmie już oznaczał pieniądze.

- To się da zrobić - przystaje słabo.

- Dziękuję!

Pan jest kochany, a ja nie powiedziałam jeszcze panu wszystkiego.

Muszę nie tylko zagrać w Warszawie w teatrze w tym filmie telewizyjnym.

- Co jeszcze?

- Mam takie jedno zobowiązanie.

Muszę pojechać do Przasnysza.

- Dokąd?

- Do Przasnysza - powtarza Anna wyraźnie trudne dla Francuza słowo.

- Macie tam wytwórnię?

- Nie, skądże?

To małe miasto.

Jest tam Dom Kultury i działa w nim kółko recytatorskie.

Wciąż mnie proszą, żeby się nim opiekowała.

Jedną dziewczynę objawia wyjątkowy talent.

Myślę, że gdybym już teraz się nią zajęła, mogłaby stać się wielką aktorką.

Wie pan, ma się w życiu różnego rodzaju dopłaty.

I muszą być spłacane tam, gdzie się je zaciągnęło, nigdzie indziej na świecie.

To pewnie panu wyda się śmieszne.

I nie rozumiem pan.

Gruby, coraz grubszy, Balk wstaje ociężale z fotela, obchodząc z boku i zatrzymując się przed Anną, unosząc dwoma palcami kusobie jej brodę.

Boże!

myśli Anna - żeby tylko mnie nie pocałował.

- Aleon całuje.

Wczowało.

- A jednak rozumiem - mówi zupełnie niezwykłym u niego głosem.

- Nie przypuszczałem, że ktoś mnie doprowadzi do tego, żebym coś takiego zrozumiał.

- Dziękuję panu.

I jeszcze coś panu powiem - kiedy byłam taka, jak ta mała, umiałam na pamięć całą pierwszą księgę "Pana Tadeusza".

I ona także ją umie.

Przez cały czas pobytu tutaj, podczas kręcenia filmu, w teatrze, przed zaśnięciem, w samolocie nawet - prześladował, wołał mnie głosem mówiący te cudowne strofy.

Pan nie wie, co dla Polaków.

- ...

znaczy "Pan Tadeusz"?

Wiem nawet, że Mickiewicz napisał go tu, w Paryżu.

Pani mnie stanowczo nie docenia, moja mała.

394- Przepraszam.

Prześladował mnie jej głos.

I sprawił, że przestały mnie uszczęśliwiać, że przestały mnie unosić jak na skrzydłach strofy Comeille'a.

- Rozumiem - powtarza Balk.

Odejmuje palce od brody Anny, wraca na swoje miejsce z boku.

- Kiedy będę w Warszawie, bo myślę, że Polacy kupią nasz film, opowie mi pani, jakby było w tym Prza.

- Praszam.

- Co pani zrobiła ze starego, cynicznego Balka?

Mój Boże, chciałbym jeszcze trochę pożyć.

Bo jednak okazuje się, że życiem wciąż dla mnie jakieś niespodzianki.

Koniec.